

MEAGAN MCKINNEY  
NO CHOICE BUT SURRENDER

Uzurpator

*Mojemu ojcu, Richardowi Johnowi Goodmanowi*



## *Prolog*

*Kochał Anglię  
jak Ateńczyk swoje miasto fiołkami wieńczone  
i jak Rzymianin stolicę na siedmiu pagórkach.*

Lord Macaulay



*St Mary Parish, Maryland*  
*Listopad 1780 roku*

**D**om uchodził za stary, choć Stany Zjednoczone ogłosiły swą niepodległość przed czterema zaledwie laty. Wznosił się nad rzeką Patuxent, a wysoki dach i gotyckie mansardowe okna sprawiały, że z zewnątrz prezentował się godnie. Nie dało się tego jednak powiedzieć o jego skromnym wnętrzu.

Robert Staples siedział przy ogniu w kuchni; był w nienajlepszym humorze. Miał zaledwie trzynaście lat i nie mógł się powstrzymać od zerkania co jakiś czas do przyległego pokoju, w którym zebrali się dorośli: jego ojciec i czterej inni mężczyźni. Otaczała ich atmosfera tajemniczości. Siedzieli wokół niewielkiego stołu, grając w karty.

Dziwne, że przybyli w tym celu do zniszczonego starego domu, choć mogliby pograć w znacznie lepszych warunkach w Satterlee Mansion. Było tam wiele elegancko urządzonych sal, ozdobionych pięknymi georgiańskimi rzeźbami; nie brakło również wykwintnych stolików do kart wykonanych przez najlepszych mistrzów stolarskich z Salem.

A jednak czterej obcy siedzieli właśnie tu, przy niewielkim rozkładanym stoliku z wiśniowego drewna, podczas gdy właściciel domu i jego syn z pewnym niepokojem obserwowali ich z boku.

– Słowo daję, Avenel – zauważył jeden z młodszych graczy, rozglądając się po niewielkim pokoju o ścianach pokrytych boazerią. – Ściągnąłeś nas do jakiejś podłej dziury!

Noszący to średniowieczne imię ciemnowłosy brodacz spojrział tylko na młodego lorda, a ten od razu zamilkł. Avenel rzucił jednak:

– Wolałbyś grać w tym domu koło przystani, gdzie od razu zdemaskowaliby nas jako zwolenników Anglii?

– Nie opowiadam się po niczyjej stronie w tej idiotycznej wojnie! Nikt nie ma prawa wytykać mnie palcem jako torysa! Marzę tylko o tym, żeby czym prędzej opuścić ten barbarzyński kraj i nigdy już tu nie wracać! Pokusa zabicia majątku na tytoniu nie jest aż tak silna, by dla niej warto było wyrzec się swej pozycji! – Młody człowiek otarł czoło.

– Może i nie opowiadasz się po niczyjej stronie, ale wystarczy rzucić okiem na tę cynobrową kamizelę z atlasu, aby rozpoznać, że należysz do brytyjskiej arystokracji. – Avenel spojrzął z niesmakiem na młodego lorda. – Nie muszę ci chyba przypominać, że tu, w Ameryce, nie ma miejsca dla arystokratów? To przecież jeden z powodów tej przekłętej wojny.

– No, no! Jak na kogoś, kto się tu urodził, płoniesz niewielkim entuzjazmem dla świeżo zdobytej wolności! Kim ty właściwie jesteś, Avenel? Sympatykiem torysów? – odezwał się sędzia pokoju. Starszy pan był w złym humorze: karta mu nie szła. Pocieszał się jednak, że i młody lalusz i pechowy lord Oliver byli w jeszcze gorszym położeniu. Grali stanowczo zbyt wysoko, zwłaszcza lord Oliver, którego stawką była posiadłość Osterley Park. Sędziego po prostu szokowała taka szalona hazardowa gra. Ale nie po raz pierwszy był świadkiem czegoś podobnego. Niestety, hazard w arystokratycznych kręgach był zjawiskiem codziennym i doprowadził do ruiny tyle znakomitych rodzin, że trudno je zliczyć.

– Jutro wyruszam do Anglii, postanowiłem więc nie mieszać się do polityki. – Avenel Slane wzruszył ramionami, jakby chciał otrząsnąć się ze zmęczenia i zakończył: – Ale dość tego. Wracajmy do kart. – Spojrzął na mężczyznę siedzącego naprzeciw niego. Oliver Morrow od początku gry nie odezwał się ani słowem. Wzrostem i postawą przypominał Avenela, na tym jednak kończyło się podobieństwo. Avenel grał śmiało z kamiennym spokojem; Morrow gorączkował się; ręka mu drżała, gdy tasował pięć swoich kart. Ostrożność lorda Olivera świadczyła tylko o jednym: miał wiele do stracenia.

– A poza tym – rzucił zagadkowo Avenel – mam prywatną wojnę do wygrania.

– Najwyższa pora kończyć, panowie – młody lord otarł czoło mocno uperfumowaną chusteczką. – Stawki są zbyt wysokie. Ja oczywiście mogę sobie pozwolić na przegraną. – Tu zakaszła, wspomniawszy, że zadłużył się już na pokazną sumkę... I to przede wszystkim u tego bydlaka Slane'a! – pomyślał z goryczą i poczuł się dziwnie upokorzony.

– Ale wszyscy chyba widzimy, że ryzyko przekracza już granice zdrowego rozsądku! W końcu lord Oliver to hrabia Laborde: nie można pozwolić, by przegrał rodowy majątek! To byłaby zbrodnia!

– To nie rozrywka dla lalusiów, mój panie – odezwał się Avenel pogardliwym tonem. – Wszyscy wiedzieliśmy, że czeka nas tu męska gra.

– Ale stawki są za wysokie. Wykorzystałaś trapiącą nas nudę i lęk. To czekanie na statek, który zawinie do przystani i zabierze nas stąd do Anglii, jest nie do zniesienia! Ile razy zjawi się w Satterlee Mansion jakiś rebeliant, by napić się herbatki i przekazać rzekomym sympatykom niepodległości ostatnie komunikaty wojenne, musimy bawić się w chowanego i kryć za boazerią! Powiadam: wykorzystałaś nasze ciężkie położenie! Mogłeś być pewien, że z entuzjazmem przyjmimy propozycję zagrania w karty w pobliskim dworku. Żyjemy tu w nieludzkich warunkach... a teraz jeszcze i to!

– Nie trzeba by wam było kryć się po kątach, gdybyście zrezygnowali z waszej szacownej pozycji... przynajmniej do chwili, gdy znajdziecie się na pokładzie statku płynącego do Anglii. – Avenel zwinął trzymany w rękę wachlarzyk kart i nie odkrywając ich, odłożył na wyszczerbiony blat. – Wystarczyłaby zwykła zmiana stroju.

– Nie urodziłem się do chłopskich łańchmanów jak wy, Amerykanie! – Młody lord złożył również karty na stole i poprawił swą wypomadowaną i upudrowaną perukę. Potem spojrzął na Avenela z miłym poczuciem własnej wyższości. Mierzył okiem każdy szczegół stroju Amerykanina, od zwykłych skórzanych spodni po ciemnoniebieską, wełnianą kamizelę. Ten człowiek nie mógł się poszczycić ani jedną falbanką na swej białej, batystowej koszuli! Ani skrawka koronki wokół szyi! I ani śladu peruki! Wystarczył mu porządnie spleciony warkocz z własnych ciemnych włosów.

– Cóż, rób jak uważasz – odparł Avenel, po czym dodał z rozmysłem: – ... milordzie.

Młody arystokrata czuł, że ten człowiek kpi sobie z niego. Poczucie wyższości nagle go opuściło.

– Mam już dość tej komedii! Chcę wrócić natychmiast do Satterlee Mansion! – skinała na ojca Roberta, jakby właściciel domu był jego służką.

– Ależ, milordzie! Nie chce pan chyba odejść w środku partii? – próbował przemówić mu do rozumu pan Staples. Zrobił krok w stronę graczy, potem obejrzał się na Roberta, który zerkał z sąsiedniej kuchni. – Nob! – zawołał syna zdrobniałym przezwiskiem. – Bądź grzecznym



chłopcem, przestań się gapić! Przynieś panom naszej domowej szynki i jeszcze coś do picia.

Chłopiec pospiesznie wycofał się do kuchni i przygotował na dużej tacy szynkę, jabłka i chleb. Z przysypanej słomą glinianej polepy przeszedł ostrożnie na sosnowe deski podłogi, którą niedawno ułożono w saloniku, i zaniósł tacę ojcu. Postawił ją ostrożnie na starej orzechowej komodzie z czasów panowania Wilhelma i Marii, po czym widząc ostrzegawcze spojrzenie ojca, odsunął się od mężczyzn. Rozgrywali teraz ostatnią partię i nie należało im przeszkadzać.

– Przynieś piwa, tato – szepnął Nob. Podobnie jak jego ojciec mówił z brytyjskim raczej niż z amerykańskim akcentem; było to charakterystyczne dla ludzi mieszkających w Marylandzie od pokoleń. Pan Staples nie skinął jednak z aprobatą, tylko potrząsnął głową i wzrokiem polecił chłopcu wycofać się do kuchni. Nim jednak Nob zdołał odwrócić się i zniknąć, rozległ się straszny huk: stół z wiśniowego drzewa gruchnął o podłogę. Wszystko, co się na nim poprzednio znajdowało, leżało teraz rozsypane po nieskazitelnie czystych, twardych sosnowych deskach.

– Ostrzegam, Avenel: jeśli ośmielisz się wyciągnąć łapy po Osterley Park, nie cofnę się przed niczym! – ryknął hrabia Laborde. Niemłody, wysoki mężczyzna wyprostował się i stał bez ruchu pośrodku rozrzuconych rzeczy. Jego dziwnie bezkrwiste ręce o długich palcach zacisnęły się w pięści. Okolona starannie uczesanymi, stalowosiwymi włosami twarz gwałtownie poczerwieniała.

Nob cieszył się w duchu, że Oliver Morrow przegrał. Od pierwszej chwili hrabia wzbudził w chłopcu gwałtowną niechęć.

– Mówiąc bez ogródek – mówił dalej lord Oliver – prędzej cię zabiję, niż wpuszczę do mego domu! – Z tymi słowy sięgnął po nóż ukryty za paskiem spodni. Nagle rzucił się na Avenela. Nob wrzasnął z przerażenia.

Gdy rozgorzała walka, pozostali gracze cofnęli się pod ściany i obserwowali ją z niewyraźnymi minami. Nob i jego ojciec próbowali powstrzymać Olivera Morrow; był jednak szybszy i niczego nie mogli dokazać. Chcieli zresztą ułagodzić hrabiego, a nie nadziać się na jego stalowe ostrze. Ostatecznie i oni odsunęli się i z daleka obserwowali, jak Avenel uskoczył zręcznie przed ciosem, a następnie kopniakiem wytrącił hrabiemu nóż z ręki. Ostrze potoczyło się po podłodze i znalazło poza zasięgiem Morrowa.

– Myślałeś, że złękę się twego noża? O, nie! Już go zakosztowałem! A teraz skóra tak mi stwardniała, że nawet byś jej nie drasnął!

– Avenel spojrział na przeciwnika i z satysfakcją dostrzegł w jego oczach lęk i ślad przypomnienia. Hrabiemu zaparło dech z przerażenia.

– Powiniennem był poznać cię po ślepiach... ty łotrze!... Ale i tak cię powstrzymam! Nie zniszczysz mnie, Slane! Zawsze umiałem sobie poradzić. Nie dam się pokonać...

– Oszczędź sobie gadania! – roześmiał się Avenel i podniósł kremowy arkusz pergaminu, który spadł z wywróconego stołu. – Wszystkie twoje groźby są już bez pokrycia. Głupio zaryzykowałeś i straciłeś wspaiały dom. Zgubiła cię własna chciwość. Chciałeś wygrać za wszelką cenę i masz za swoje. Teraz Osterley Park należy do mnie. Grałem uczciwie. Majątek wróci tam, gdzie trzeba i przejdzie w czystsze ręce niż twoje. – Wetknął gruby papier do wewnętrznej kieszeni kamizelki. – Jeśli się nie mylę, nie starczy ci pieniędzy, by opuścić ten kontynent... a co dopiero odkupić ode mnie Osterley Park! Porzuć więc mrzonki o zemście.

Avenel podszedł do stolika i postawił go z powrotem. Uśmiechnął się do Noba, który trząsał się z podniecenia i strachu. Chłopiec podał mu spiesznie leżący na krześle trójganiasty kapelusz i płaszcz. Avenel otulił się nim i wyszedł z domu, spiesząc do czekającego nań konia. Nob spoglądał za nim, pełen podziwu dla tego bohatera. Ojciec Noba również wyszedł na dwór, zostawiając resztę gości.

– Slane! Czy ty przypadkiem nie zapomniał o swej wygranej? – podbiegł do Avenela, który dosiadał właśnie konia.

– Mam to, czego chciałem. – Odwrócił się i popatrzył na Staplesa. – Zrobiłeś dla mnie znacznie więcej, niż ośmieliłbym się prosić – powiedział Avenel z wdzięcznością.

– Powiniennem był zrobić jeszcze więcej! Gdybyś nie oddał mi ziemi, nie miałbym nawet dachu nad głową.

– Mój ojciec zamierzał wrócić do Anglii, wracam i ja... Nie zostawię przecież ziemi odłogiem!

– Może i racja... Ale tam, gdzie rośnie tytoń, rosną i pieniądze.

Avenel dosiadł swego pięknego wierzchowca. Pochylił się w siodle i uściskał rękę Staplesa. Roześmiał się i dorzucił:

– Pilnuj lepiej języka! Nie wypada mówić tak ciepło o torysie!

– Chyba zawsze będziemy ciepło wspominać torysów... choć uparłeś się wracać do Londynu.

– Może tu wrócę, jak skończy się wojna. – Avenel obejrzał się w zadumie na błękitną rzekę Patuxent, która wiła się wśród bursztynowych i rubinowych jesiennych liści. – Spędziłem tu całe życie. Przyznam, że nie będzie mi łatwo przemienić się w Anglika... – Nagle uśmiechnął się

od ucha do ucha. – Ale żebyś widział Cumberlanda! Już sobie zaplanował całą nową garderobę... szlafroki i w ogóle!

Tym razem roześmiali się obaj. Avenel ujął wodze i ruszył wolnym truchtem w stronę Satterlee.

– Wracaj lepiej do domu, bo tamci napchają sobie kieszenie moją wygraną! – zawołał przez ramię.

– Niech cię Bóg prowadzi, Avenelu! – powiedział Staples, spoglądając za jeźdźcem, który przeszedł w kłus. Był w doskonałym humorze.

*Dinbych-y-pysgod*

*Tenby, Walia*

*Grudzień 1780*

Dziewczyna o ciemnorudych włosach spojrzała po raz ostatni na dom, który opuściła; dylizans do Londynu właśnie koło niego przejeżdżał. Kilka świń z kwikiem zbiegło z drogi i popędziło do innego pustego domu z epoki Tudorów. Ten budynek nie miał dachu: całe górne piętro zapełniały nasiąknięte wodą śmiecie.

To był jej prawdziwy dom – Tenby, niewielkie miasteczko zbudowane w średniowieczu. Niemodne, zapomniane, podupadające od wieków. A jednak znalazły tu z matką doskonałe schronienie. Mieszkańcy Tenby nie spoglądali podejrzliwie na pozbawioną męskiej opieki kobietę ani na jej córkę, piękną dziewczynkę o ciemnorudych włosach. Nie zadawali kłopotliwych pytań, na które ani matka ani córka wołały nie odpowiadać. Na przykład: skąd pochodzą, kim właściwie są?...

Stare, podupadające miasteczko witało życzliwie każdego przybysza. Dzieliło się z nim wielkodusznie zarówno pięknym widokiem z murów miejskich na zatokę Carmarthen, jak i świeżymi krewetkami i ostrygami, których było pełno u handlarzy ryb na Llangwm. Tenby rade było każdemu, kto chciał się tu zatrzymać.

A teraz jeszcze jeden dom świecił pustką. Bardzo wątpliwe, by znalazł nowego lokatora: mieszkańców było coraz mniej. Stary dom, w którym mieszkała dotąd dziewczyna, bez protestu przyjął swój los. Po zakurzonych podłogach, wśród wzorzystych ścian dawnego kupieckiego domu będą harcować myszy. Zamilknie echo rozlegającego się tu niegdyś śmiechu.

Odjeżdżająca dziewczyna była jednym z dzieci tego miasta: tutaj bawiła się jako dziecko i marzyła jako dorastająca panna. Spoglądała teraz na Wyspę Świętej Katarzyny i na Wzgórze Zamkowe. Odtąd bę-

dzie stracona dla Tenby. Miasteczko bolało po swojemu nad tą rozłąką. Wydawało się smutniejsze niż zwykle, bardziej nędzne, bardziej opuszczone... Ale ani jedna żywa dusza nie odprowadzała odjeżdżającej. Mimo to dziewczyna spoglądała do tyłu na przybrzeżną wieś, wierząc się na obitej zniszczoną skórą ławce dyliżansu. Uniosła skulone palce, jakby chciała nimi pomachać do starego przyjaciela, który tak ją chronił i tak jej pomagał. Jakże mi będzie ciebie brak, Tenby!... Odwróciła głowę, jakby w obawie, że stare, kruche miasteczko dostrzeże łzy tęsknoty, które napłynęły do jej łagodnych, fiołkowobłękitnych oczu. Gdy tak siedziała ze skrzyżowanymi ramionami, wydawała się żałośnie mała. Nie było nikogo, kto by rozproszył jej smutne myśli. Była w tej chwili w dyliżansie sama. Oczywiście, po drodze przybędzie pasażerów, ale nie wcześniej, nim dotrą do znacznie większego Carmarthen.

Usiadła prosto i przez brudne okienko dyliżansu spoglądała na górzysty walijski krajobraz. Pozwoliła sobie wreszcie na smutną zadumę i niespokojne rojenia o tym, co ją czeka u celu podróży.



*Część pierwsza*

# *Osterley Park*

*...Niewinna niczym Ewa przed upadkiem.*

Horace Walpole



# 1

*Osterley Park  
Styczeń 1781*

**B**rienne Morrow rozmyślała o wrażeniu, jakie zrobił na niej Osterley Park, gdy ujrzała go miesiąc temu, przekroczywszy bramę z ceglana stróżówką. Wspaniałe portyk ożywiały białe gryfy na frontonie. Wielkie kamienne orły, każdy ze żmiją w dziobie, wznosiły się groźnie nad schodami. Szare oczy granitowych ptaków czujnie wypatrywały wroga.

Teraz zaś, gdy siedząc na zimnej kamiennej ławce, spoglądała w kierunku dworu, wydał się jej jeszcze bardziej imponujący na tle monotonnego krajobrazu. Nie było tu ani pagórków, ani majestatycznych wiązków, niczego, co by osłabiło kontrast. Dwór wzniesiono na rozległej, niczym nieurozmaiconej płaszczyźnie, w pobliżu jeziora przypominającego kształtem długi palec. Osterley Park przerastał swym ogromem nawet najwyższe drzewo stojące w pobliżu: wysoki, strzelisty dąb.

Brienne popatrzyła na niego. Dąb był w oplakany stan: ostre zimowe wichry dały mu się we znaki. Dziewczyna zdecydowała się na melancholijną przechadzkę po parku otaczającym dwór, chcąc znaleźć nieco pociechy w pęsnym krajobrazie. Jego pustka stanowiła pewne wytchnienie po przytłaczającej swoim przepychem rezydencji.

Siedząc na kamiennej ławce w pobliżu zwirowanego podjazdu, Brienne pozwoliła swym myślom i oczom biec ku domowi. Przyglądała się parze białych gryfów, ich groźnie wzniesionym łapom. Miała wrażenie, że od wczoraj uniosły się nieco wyżej. Elżbietańskie wieżyczki na wszystkich czterech rogach domu nie pasowały do jego neoklasycyzmu



fasady. Może kiedyś, dawno temu – dumiała Brienne – znajdowało się tu szczęśliwe, przytulne domostwo a nie ten złowieszczy gmach?...

Zachowała bardzo nieliczne wspomnienia dworu sprzed lat. Wyjechała stąd jako pięcioletnie dziecko. Pamiętała chłód panujący w galerii ozdobionej z dwóch stron wielkimi weneckimi oknami. Hulały tam nieustannie przeciągi. Teraz okna zamurowano. Pamiętała również pokój matki, złocisty jak słońce i pachnący zawsze kwieciem pomarańczy. Z pokojem tym wiązało się jednak przykre wspomnienie. Kiedyś Brienne miała zły sen i przybiegła do mamy, ale nie znalazła jej w pokoju. Zjawiała się za to pokojówka i odniosła dziewczynkę z powrotem do łóżeczka, tłumacząc, że mamusia znajduje się gdzie indziej i jest bardzo zajęta. Pozostawione samo sobie dziecko poczuło się jeszcze bardziej przerażone i opuszczone.

Brienne spuściła wzrok na swe pocerowane brązowe rękawiczki i potrząsnęła głową. Żadne z jej własnych nielicznych wspomnień z Osterley Park i żadne z opowiadań mamy nie przygotowało jej na wspaniałość tej budowli. Po przekroczeniu bramy poczuła się przytłoczona widokiem rezydencji. A to, że była jej jedyną mieszkanką (nie licząc oczywiście służby), potęgowało jeszcze wrażenie, jakie wywierała na nią Osterley Park. Dzień w dzień błędziła po wytwornie urządzonej salach, czując się raczej zaleknioną służącą niż jedyną córką lorda Olivera, ósmego hrabiego Laborde. Cóż za ironia losu: ona – taka niepozorna i nędzna istota – jest jedynym dowodem jego męskości i jedyną dziedziczką rodzowego nazwiska!

Opowieści mamy nie zawsze były zgodne z prawdą. Brienne poruszyła się niespokojnie na zimnej marmurowej ławce. Myśli jej pobiegły ku miniaturze, którą schowała w tajemnej skrytce komody w swojej sypialni. Brienne odkryła portrecik wkrótce po śmierci matki, w jednym z kufrów w ich starym kupieckim domu w Tenby. Na kruchej płycie z kości słoniowej widniała podobizna mężczyzny o anielskiej twarzy. Choć był młody i bardzo przystojny, jego uroda nie zaszokowała Brienne. Ale obecność miniatury w maminy schowku musiała coś oznaczać.

Brienne od lat zastanawiała się, czy jej matka nigdy nie zaznała miłości? Wiedziała dobrze, iż lady Grace nie kochała hrabiego, swojego męża. Ojciec Brienne z pewnością nie zasługiwał na miłość. Kim więc był ten piękny mężczyzna z portretu? – myślała Brienne. Może jakiś daleki kuzyn, który nie zapomniał po dziś dzień swej młodzieńczej miłości – jej matki? A może przebywający na drugim końcu świata kapitan, który zachował Grace Morrow w pamięci, choć rozdzieliły ich morza?...

Tuląc miniaturę do piersi, Brienne snuła romantyczne fantazje. Przyносиła jej ulgę myśl, że matka mimo wszystko zakosztowała miłości, że w jej krótkim życiu był jeszcze ktoś prócz Olivera Morrowa. Hrabia traktował żonę jak jedno z kosztownych cacek, dodających blasku jego ukochanej siedzibie, a nie jak kobietę, którą może zranić grubiańskim słowem i brutalnym dotknięciem. Choć Brienne uświadamiała sobie, że związek matki z jakimś innym mężczyzną mógł mieć poważne konsekwencje, wołała nie zgłębiać tej sprawy. W jej mózgu czaiło się podejrzenie, że ona sama przypomina mężczyznę z portretu. Powiedziała sobie jednak stanowczo, że dopatruje się w miniaturze czegoś, czego wcale tam nie ma. Wiedziała tylko jedno: ten portrecik był dla mamy bardzo cenny. Zachowała go przecież przez te wszystkie lata... Dlatego Brienne również ceniła to znalezisko.

Przetrasnęła cały dom nie tylko w poszukiwaniu pamiątek o sentymentalnym znaczeniu. Wierzyście stukali do drzwi. Obciążały ją niewielkie, lecz zadawnione długi: za sztukę dawno już zużytego materiału, za kawał dawno zjedzonego mięsa. Wkrótce zrozumiała, że musi opuścić Walię.

Nocami dręczyły ją obawy i wątpliwości. Leżała bezsennie w swoim pokoju na górcie i wpatrywała się w łukowate belki sklepienia, zaciśkając w zziębniętej ręce cenną miniaturę. Od czasu do czasu wstawiała, by otworzyć gotyckie okno o ołowianych szybkach i wypuścić nocne powietrze. W końcu podjęła decyzję: musi stąd wyjechać. Nie spodziewała się znaleźć szczęścia w nowym miejscu pobytu. Wzdrygała się na myśl o ponownym spotkaniu z mężczyzną, którego nazywała ojcem. Nie było jednak wyboru. Nie miała dokąd pójść.

Brienne, zmuszona do opuszczenia Tenby, musiała rozstać się z wieloma drogimi jej sercu drobiazgami. Trzeba było sprzedać perłowe spinaki do włosów mamy, wszystkie suknie zmarłej i kilka własnych. Rozstała się z ukochаныmi książkami; były wśród nich tomy Szekspira i Chaucera. Były jednak dwie pamiątki, które Brienne postanowiła zachować za wszelką cenę, choćby bardzo brakowało jej pieniędzy. Jedną z nich był złoty grzebyk, wysadzany ametystami, który również znalazła w skrytce. Ametysty przywodziły jej na myśl kochane oczy mamy – fiołkowobłękitne, tej samej barwy co jej własne. Drugim ze skarbów była miniatura.

Brienne siedziała bez ruchu na ławce. Jej umysł wypełniały wspomnienia. Pozostawiały ohydny smak w ustach i wywoływały głęboki ból w brzuchu. Szczęście jednak dopisało jej pod jednym względem: jej ojciec nie zajrzał ani razu do Osterley Park przez cały miesiąc, który tu

spędziła. I sądząc z gadaniny służby, nie spodziewano się go w najbliższym czasie.

Dziewczyna była tak pogrążona w myślach, że dostrzegła elegancki powóz zaprzężony w czwórkę koni dopiero wówczas, gdy podjeżdżał pod dom. Nim zdążyła podnieść się z ławki, z powozu wyskoczyła znana jej postać: doradca prawny hrabiego zmierzał ku niej niecierpliwym krokiem.

– Dzień dobry – powitała go Brienne, nie ruszając się z miejsca. Co też skłoniło go do przyjazdu? – myślała z niepokojem.

– Dzień dobry, lady Brienne. Proszę nie wstawać: nie zajmę pani wiele czasu. – Skwaszony adwokat zatrzymał się przed nią i mówił dalej aroganckim tonem: – Przybyłem tu, by poinformować panią, iż nie jestem już doradcą prawnym pani ojca. Nie stać go dłużej na moje usługi. – Spojrzała na Brienne, oczekując jakiejś reakcji z jej strony, ale spotkało go rozczarowanie.

– Proszę mi wybaczyć – odezwała się wreszcie – ale nie pojmuję, po co pan tracił czas na informowanie mnie o tym. Ja przecież nigdy nie korzystałam z pańskich usług.

– Idzie o coś więcej. Pani ojciec od pewnego czasu przebywa w Ameryce. Grywa w karty nałogowo, a co gorsza, ponad stan. – Prawnik znowu zerknął na Brienne, tym razem pewien jakiejś reakcji. – Poniósł ciężkie straty materialne.

– Doprawdy? – Brienne popatrzyła na adwokata. Jej oczy nie wyrażały absolutnie nic.

– Prawdę mówiąc, stracił majątek. Przegrał w karty Osterley Park.

– Ach, tak. – Po sekundzie czy dwóch odsunęła od siebie ten problem. – Powiadomię o tym służbę. Czy mam przekazać jakieś konkretne szczegóły?

– Przepraszam, lady Brienne, ale chyba nie dotarło do pani to, co powiedziałem. Hrabia stracił Osterley Park. Pozostała pani bez dachu nad głową.

– Zrozumiałam doskonale, co pan powiedział. I wcale mnie to nie zaskoczyło. Jakie to podobne do mego ojca: postawić taką wspaniałą posiadłość na jedną kartę! I nie pomyśleć nawet o ludziach, którzy pozostaną bez pracy i domu.

– Nowy właściciel Osterley Park życzy sobie, by cała służba pozostała na razie w rezydencji. W swoim liście polecił mi powiadomić wszystkich, że przybędzie tu i zadecyduje osobiście, kogo zwolnić.

– A kiedy zamierza tu przybyć? – spytała obojętnym tonem. Będzie już daleko stąd, nim zjawi się nowy właściciel.

– Trudno powiedzieć... ale najpóźniej pod koniec tygodnia. Może przyjechać nawet jutro, sądząc z dat, które podała w liście.

Nastąpiła wreszcie długo oczekiwana przez gościa reakcja. Brienne zaparło po prostu dech; spoglądała na niego w osłupieniu.

– Chyba pan żartuje! Czemu nie powiadomiono mnie wcześniej?!

– Listy z kolonii przeważnie zjawiają się razem z ich nadawcami, lady Brienne. Przybyłem tu najwcześniej, jak mogłem. Sam dopiero co otrzymałem wieść o ruinie pani ojca. – Kościsty adwokat nie krył swego niesmaku. – Oświadczył mi, że nie będzie dalej korzystał z moich usług i wspominał, że ma trudności z powrotem do Anglii. Obawiam się, że uniemożliwia mu to nie tylko wojna, ale i całkowity brak pieniędzy.

– Przynajmniej jedna dobra nowina! – mruknęła pod nosem Brienne. Prawnik odchrząknął.

– Choć hrabia zalega z zapłatą za moje dotychczasowe usługi, uważałem za swój obowiązek przyjechać tu i zaoferować pani swą pomoc. Ośmielę się coś zasugerować: rezydencja w Bath pozostaje nadal w posiadaniu pani ojca, o ile wiem. Pan hrabia ma również niewielki dom w Londynie. Sądzę, że po powrocie do Anglii tam właśnie zamieszka. Pewien jestem, że pani ojciec nie będzie miał żadnych obiekcji, by korzystała pani na razie z jego rezydencji.

– Być może hrabia nie miałby obiekcji, ale ja mam. Zatrzymałam się w Osterley Park jedynie na krótko, nim znajdę odpowiednie schronienie. Cóż, muszę się stąd wynieść nieco wcześniej, niż myślałam.

– Nowy właściciel robi wrażenie szlachetnego człowieka. Jestem przekonany, że nie odmówi pani miejsca pod swym dachem, póki nie znajdzie pani czegoś lepszego. Rozumiem oczywiście, że podobna sugestia może wydać się pani haniebna i nieprzystojna...

– Haniebna? Czy przyjęcie życzliwej pomocy od nieznanego człowieka to hańba? Dla mnie prawdziwą hańbą jest pozostawianie na łasce ojca. Moja matka, gdyby żyła, mogłaby to lepiej wyjaśnić. – Brienne ledwie wymamrotała ostatnie słowa i nie dodała już nic więcej.

– No cóż... jeśli nie ma pani co do tego obiekcji, lady Brienne, pan Avenel Slane z pewnością udzieli pani gościny. Co prawda powstanie niezręczna, niemal niestosowna sytuacja... ale jeśli pani to nie przeszkadza, nie będę zanudzał pani moimi sugestiami.

– Może pan przekazać memu ojcu, o ile się pan z nim spotka, że nie tylko chętnie przyjmę życzliwą pomoc pana Slane'a, jeśli mi ją zaproponuje, ale nawet gotowa jestem zatrudnić się na stałe u nowego właściciela Osterley Park, byle nie mieć do czynienia z hrabią Laborde. – Roześmiała się i dorzuciła jeszcze: – Tak, niech mu pan to koniecznie

przekazać. Proszę powiedzieć ojcu, że wolę być pomywaczką w Osterley Park niż zamieszkać w jego londyńskiej rezydencji.

– Tak jest, lady Brienne. Powtórzę mu to, jeśli pani na tym zależy. – Spojrzał na nią jak na osobę szaloną. A potem, jakby niezrównoważony umysł czynił Brienne bardziej dostępną, spojrzenie adwokata spoczęło na jej gęstych, rudych włosach. Miały ciemną barwę czerwonego wina, pełną karmazynowych iskier. Figurka młodej dziewczyny była drobna i szczupła, ale biodra i biust zaokrąglone. W niewielkich, zezujących oczach doradcy pojawił się cieplejszy błysk. Brienne jednak szybko się z tym uporała. Spojrzała na niego z tak kamiennym wyrazem twarzy, że zdał sobie sprawę z bezcelowości swoich zabiegów. Dała mu niedwuznacznie do zrozumienia, że woli pozostać na łasce obcego człowieka niż wieść tak zwane przyzwoite życie pod opieką ojca. Nie ma jednak zamiaru brać sobie kochanki ani dla przyjemności, ani z żadnego innego powodu. Zmierzyła go tak stanowczym wzrokiem, że adwokat pożegnał się czym prędzej, nie próbując już wyrazić jej współczucia ani zaoferować pociechy.

Brienne wiedziała, że musi przekazać wieści całej służbie i obmyślić plan własnego postępowania, nim zjawi się Avenel Slane. Z niechęcią wstała z ławki. Zmierzając w stronę wspaniałego portyku, przecięła na skos nieocieniony dziedziniec. Wszędzie panowała niezwykła cisza. Zdumiewająca w tak wielkim domu, przy takiej ilości służby. Najlepszy dowód, że w Osterley Park zabrakło pana. Nie na długo.

## 2

*P*rzesiaduje tak całymi dniami. – Lokaj popatrzył na ozdobiony spiralnym ornamentem i obity ciemnoniebieską skórą taboret, na którym siedziała w milczeniu Brienne. W dwóch przeciwległych owalnych wnękach trzaskał ogień na kominku. Było tam ciepło, w odróżnieniu od reszty zimnego marmurowego hallu, wypełnionego rzymskimi posągami, które czas odarł z barw i były teraz białe. Nie mogąc znaleźć bardziej przytulnego kąta, Brienne siedziała w niszy, wpatrując się w płomień i oczekując przybycia nowego właściciela Osterley Park z jeszcze większą niecierpliwością niż dwaj obserwujący ją lokaje.

Pragnęła stąd wyjechać, ale nie miała na to środków. Niewielka sumka, którą dysponowała, nie wystarczyłaby na zakup miejsca w dylizansie.

Nie bardzo zresztą wiedziała, dokąd się udać. Londyn wcale jej nie pociągał: był zbyt wielki i nie знаła tam żywej duszy. Gdyby zatrzymała się w rezydencji swego ojca, spotkaliby się natychmiast po jego powrocie z Ameryki. Nie, mowy nie ma! Pozostawało więc tylko Bath. Pewnie Brienne natknęłaby się tam na którąś z dawnych przyjaciółek matki, popijając lecznicze wody i biorącą udział w życiu towarzyskim. Ale jak dotrzeć do Bath?... To była przeszkoda nie do pokonania. A czas uciekał.

Brienne wstała, narzuciła płaszcz, uśmiechnęła się do dwóch starszych lokajów i skierowała się w stronę drzwi. Poczowała na twarzy lodowaty deszcz i mocniej owinięła się płaszczem. Przebiegła przez dziedzińiec i stanawszy w cieniu wielkiego portyku, wlepiła oczy w podjazd. Oparła się plecami o jedną z wysokich i smukłych jońskich kolumn; miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje... Może cały dom?... Może dwa gryfy z frontonu, pod którym musiała przejść?...

Potem zorientowała się, kto to taki, i wybuchnęła śmiechem. Twarz pokojówki Annie mignęła między kotarami z żółtej tafty. Było to okno znajdującej się na piętrze sypialni Brienne.

Oni wszyscy uważają mnie za wariatkę – pomyślała i uśmiechnęła się gorzko. – Cóż w tym dziwnego?... Mieli już przyjemność zapoznać się z moim ojcem i sądzą pewnie, że w naszej rodzinie wszyscy są szaleńcami!... Znów roześmiała się głośno i otarła z twarzy krople deszczu.

Nie wracała jednak do domu. Była zbyt zdenerwowana, by czekać w swoim pokoju. Choć wychowano ją na prawdziwą damę, czuła się znacznie lepiej na zimnie i deszczu niż w tej pysznej rezydencji. Wkrótce dostrzegła wielki powóz, który wjeżdżał właśnie w bramę. Żołądek Brienne podskoczył, a potem ścisnął się boleśnie, gdy obserwowała połyskujący zielonym lakierem, elegancki powóz; był coraz bliżej. Złotoczerwone ornamenty jarzyły się nawet w ten posepny, chmurny dzień.

– Już tu jest! – wykrzyknęła półgłosem.

Nerwowym krokiem wbiegła do wielkiego hallu, w którym uwijała się służba, czekając na nowego pana. Brienne popędziła na górę do swego pokoju, zrzuciła mokry płaszcz i chwyciła z toaletki kilka spinek. Upinała na oślep wilgotne rude włosy, zastanawiając się, którą suknię włożyć. Nie trwało to długo. Zdecydowała się na jedną ze swych ulubionych, różową polonezkę, niezbyt już modną, ale jeszcze w całkiem dobrym stanie. Podeszła do wysokiej szafy z żółtodrzewu, by wyjąć suknię, ale – o dziwo! – mignęło jej coś różowego w kącie gotowni sąsiadującej z sypialnią.

– Co ty tam robisz, Annie? – spytała. Wszedłszy do gotowni, ujrzała pokojówkę mizdrzącą się przed lustrem. Dziewczyna miała na



sobie jej różową polonezkę, zresztą niezapiętą. Brienne nie była pewna, czy Annie nie zdążyła się ubrać, czy też suknia była dla niej za ciasna.

Złapana na gorącym uczynku pokojówka odwróciła się raptownie. Zaczęła coś mamrotać, ale Brienne nic z tego nie mogła zrozumieć.

– Mów wyraźniej, Annie! Chciałabym wiedzieć, co to wszystko znaczy – powiedziała surowym tonem.

– Nie będę już panience usługiwać!

– Doskonale – odparła Brienne, zastanawiając się, co opętało dziewczynę. Taka zuchwałość była czymś niezwykłym u służącej; co mogło się stać?... – Dobrze wiesz, że potrafię obejść się bez służby. Nie napracowałam się zbyt ciężko podczas mego pobytu w Osterley Park. Ale to jeszcze nie znaczy, że wolno ci bez pytania wkładać moje suknie. Co cię podkuśiło?

– Panienska nie jest już córką naszego pana.

– Może i nie. – Na czole Brienne pojawiła się delikatna zmarszczka. Ogarnęła ją konsternacja, ale nie zamierzała pokazać tego po sobie. – Ale to jeszcze nie powód, by paradować w mojej sukni. – Spojrzała na brzuch Annie. Sterczał wyraźnie mimo ściśniętego gorsetu. Polonezka lada chwila pęknie w szwach. – Proszę ją natychmiast zdjąć.

– Ojejku, panienko! – jęknęła Annie, próbując nabrać Brienne na litość. – To tylko przez to, że z nowego pana podobno kawał chłopca! Chciałam mu pokazać, że się nadam.

– Pozwoliłabyś mu się zbalałmucić? – spytała naiwnie Brienne.

– Chyba lepiej z nim jak ze stajennym, nie? A jak zobaczy taką kieckę, zaraz pomyśli, że ze mnie coś lepszego!

– Nie spytałaś mnie o pozwolenie. – Brienne spojrzała podejrzliwie na dziewczynę. Od przyjazdu do Osterley Park czuła, że Annie zazdrości jej urody i – pożał się Boże! – elegancji.

– No i co się takiego stało?! – zawołała pokojówka z buntem i urazą. Zdjęła polonezkę i wrzuciła ją do żółtej sypialni. – Masz panienska! – Potem wciągnęła własną suknię na lnianą koszulę i gorset. – Więcej jej nie włożę, mogę przysiąc! – I Annie wypadła z sypialni, nie powiedziawszy nawet „przepraszam”. Uśmiechała się triumfalnie pewna, że Brienne tego nie zauważy. Ona jednak zauważyła i patrzyła ze zdumieniem za odchodzącą. Działo się tu coś niedobrego i Brienne przeczuwała, że na niej się to skrupi.

Zastanawiając się nad przyczynami dziwnego zachowania pokojówki, podeszła do szafy ozdobionej intarsją z drzewa różanego. Przejrzała uważnie jej ubogą zawartość. Suknie zajmowały tylko niewielką część wnętrza. Polonezka była teraz zbyt wymięta, by ją włożyć. Zdecydowała się więc na suknię z ciemnofioletowej wełny i rozłożyła ją na łóżku.

Wyszczotkowała swe długie włosy przed wielkim lustrem w misternie rzeźbionej, pozłacanej ramie i spięła loki ametystowym grzebykiem. Wkładając fioletową suknię pomyślała cierpko, że jej pokojówka ma gorset w lepszym gatunku niż ona.

Mając nadzieję, że prezentuje się skromnie, ale nie nędznie, ośmieliła się wyjść z pokoju. Nie miała pojęcia, jak zbliżyć się do nowego właściciela Osterley Park w tej kłopotliwej sytuacji. Wiedziała, że mogła najwyżej liczyć na kilkudniową gościnę, póki nie znajdzie innego schronienia. Modliła się, by nowy właściciel okazał się wielkoduszny i wyświadczył jej tę przysługę.

Opuściwszy żółtą sypialnię, kierowała się na dół do hallu, gdy dotarli do niej głosy z sąsiedniego pokoju. Nie była ciekawa, o czym plotkuje służba, szła więc dalej korytarzem, ale zatrzymała się, kiedy w rozmowie padło jej imię.

– Wielka mi dama! Brienne Morrow nie potrzebuje już tych wszystkich kiecek! Nie ma teraz dachu nad głową i mówię ci, że skończy w domu wariatów w Bedlam! Przecież nawet rodzony ojciec nie chciał mieć z tą dziewczuchą do czynienia! – Był to bez wątpienia głos Annie rozmawiającej z inną pokojówką.

– Bedlam... – szepnęła Brienne i przypomniały jej się wszystkie opowieści o okropnościach tej instytucji: o brudzie, smrodzie i karach fizycznych, które musieli znosić pacjenci. Uśmiechnęła się posepnie. – Oni naprawdę uważają mnie za wariatkę!...

– To czarcie nasienie! – mówiła dalej Annie, nie mając pojęcia, że Brienne ją słyszy. – Wystarczy spojrzeć na jej kudły albo te niesamowite ślipia! Jak tylko wleżę temu nowemu do łóżka, ona długo tu miejsca nie zagrzeje! Przekonasz się. Znieść tej dziewczuchy nie mogę, odkąd się przywlekła do Osterley! Potrafi toto omotać każdego chłopca!

– Co ty gadasz! Nikt nie ważyłby się tknąć lady Brienne. Masz do niej złość całkiem po próżnicy. I nie wmawiaj sobie byle czego, Annie! Nowy pan dopiero co przyjechał, a ty już gadasz o włożeniu mu do łóżka. I chcesz mu dyktować, co ma robić! – odezwała się druga pokojówka, której głos Brienne także rozpoznała.

– Powiadam ci, że to czarownica! Nawet biedny stary Jack świata za nią nie widzi... Wie, że nie ma u tej wiedźmy żadnych szans i truje się tym, biedaczysko!

– Co ty, Annie? Nie ma żadnych czarownic!

– Mów co chcesz, ja wiem swoje! Mam rację i nie ustąpię! To wariatka: łązi po deszczu i ciągiem czyta po nocach. Ten nowy od razu mi uwierzy, nie bój się!



– Może, może... Ale nim zostaniesz jego kochanką, warto się trochę ogarnąć. Czuję, że jeszcze dziś wszystkich nas do siebie wezwie. No, chodźmy! – Pokojówka otworzyła specjalne zamaskowane drzwi w tylnej ścianie sypialni. Obie dziewczyny opuściły pokój i zeszły po schodach do pomieszczeń dla służby.

Początkowo paplanina zarozumiałej Annie bawiła Brienne, teraz jednak była wstrząśnięta. Jej sytuacja przedstawiała się fatalnie, a te ohydne wzmianki o Bedlam rozwścieczyły ją. Dobrze wiedziała, że „kobietom nie przystoi czytać” – ale nie dotyczyło to dam z arystokracji! Przecież jej humanistyczne zamiłowania nie czynią z niej wariatki! Czytała do późna w noc, gdyż była znudzona i osamotniona... A jeśli zdaniem służby to oznaka szaleństwa, to niech sobie głupcy myślą, co chcą! Czuła jednak dziwne zniechęcenie, gdy ruszyła znów korytarzem. Ciekawe, komu nowy właściciel Osterley Park uwierzy – jej czy Annie?



Jasny błękit ścian stanowił znakomite tło dla centralnych schodów i uwydatniał walory malowidła Rubensa na ośmiokątnym suficie. Brienne jak zawsze przystanęła i podniosła głowę do góry, napawając się pięknem *Apoteozy herosa*. W całym Osterley Park lubiła naprawdę tylko to malowidło i gryfy na frontonie. Niekiedy przyglądając się im, była prawie szczęśliwa.

Odwróciła się i dostrzegła nagle niewysokiego człowieka, który stał u podnóża schodów i przyglądał się jej. Był w średnim wieku i miał pocziwe, niebieskie jak barwinek oczy. Miał na sobie przepiękną haftowaną kamizelkę. Była jasnożółta i tak gęsto zahaftowana złotą nicią, że prawie nie widać było atłasu.

– A ty kim jesteś, panienko? – spytał starszy pan i skłonił się grzecznie.

– Ja?... Ja jestem Brienne. – Wpatrywała się we wspaniałą kamizelkę i nagle przyszło jej do głowy, że to zapewne nowy właściciel Osterley Park.

– No cóż, piękna Brienne, jesteś pewnie jedną z pokojówek? – Nieznajomy wziął ją za rękę i zaprowadził na górny podest. Był nią wyraźnie oczarowany. – Szukam córki hrabiego. Powiedziano mi, że znajdę ją na piętrze. Wiesz chyba, gdzie znajduje się córka lorda Olivera, nieprawdaż?

Brienne pospiesznie skrzyżowała ramiona tak, by nakryć dłońmi przetarte łokcie. Zawstydziała się swego wyglądu. Jak ubogo musiała wyglądać, jeśli nowy właściciel wziął ją za Annie!

– To ja jestem córką hrabiego – odparła z powagą. – Nazywam się Brienne Morrow.

Nieznamy dzentelmen spojrział na nią badawczo; czoło przecięła mu zmarszczka.

– Pani jest córką hrabiego Laborde’a?

– Tak, ale mogę wyjaśnić swą obecność w Osterley Park. Widzi pan, ja... – Rozmówca jednak nie pozwolił jej skończyć.

– Obawiam się, lady Brienne, że nic nie jest w stanie wyjaśnić pani obecności tutaj. – Uśmiechnął się pośepnie, spoglądając na jej fiołkowe oczy i ciemnorude włosy. Brienne nadal zakrywała dłońmi łokcie, żałując, że nie znalazła przyzwoitszej sukni. – Ale nic też na to nie możemy poradzić, prawda, moje dziecko? – I obdarzył ją smutnym, zagadkowym uśmiechem.

Była pewna, że każe ją wyrzucić z domu, więc zaczęła swą starannie przygotowaną przemowę:

– Jak pan zapewne wie, przebywam tu od kilku tygodni. Postaram się wyjechać jak najszybciej... a do tego czasu, proszę mi wierzyć, nie powstydzę się żadnej uczciwej pracy w pańskim domu. Matka nauczyła mnie...

– W moim domu? – wykrzyknął starszy pan. – Ależ, lady Brienne, ten dom wcale nie należy do mnie! – roześmiał się, jakby powiedziała coś bardzo zabawnego.

– Nie?... – jękała się Brienne. – Myślałam... To znaczy, sądziłam...

– Nie, nie! Bardzo mi przykro. – Starszy pan potrząsał głową niemal z desperacją. – W tej chwili bardzo bym chciał... Ogromnie żałuję.

– A więc kto jest nowym właścicielem Osterley Park? Muszę z nim koniecznie pomówić. – Brienne usiłowała odzyskać pewność siebie, która całkiem ją opuściła podczas rozmowy z tym małym człowiekiem.

– Czekaj na panią w galerii.

– Ach, tak?... – powiedziała. – I wysłał pana po mnie... A zatem już orientuje się w sytuacji? – popatrzyła badawczo na swego rozmówcę.

– Tak, dowiedział się od adwokata lorda Olivera, że pani tu przebywa.

– Miałam nadzieję, że sama wszystko mu wytłumaczę. – Brienne wyraźnie zasmuciła się. Właściciel Osterley Park zdążył już przemyśleć sprawę. A zatem wszystko przepadło. No cóż... obecność córki poprzedniego właściciela byłaby zawsze, łagodnie mówiąc, kłopotliwa. Teraz, kiedy zniknął element zaskoczenia, nie dysponowała żadnymi argumentami, które mogłyby go przekonać. Cóż, pozostaje tylko alternatywa: życie pod ojcowskim dachem lub brak dachu nad głową. Lepsza już ta druga ewentualność.

– Czy może mnie pan od razu do niego zaprowadzić? Chyba wszyscy pocujemy się lepiej, gdy sprawa się wyjaśni. – Uśmiechnęła się do sympatycznego jegomościa. Jaka szkoda, że to nie on jest właścicielem Osterley Park!

– Oczywiście! – Jej towarzysz znów miał niespokojną minę, gdy prowadził ją korytarzem do galerii. Brienne zauważyła, że przygryzała wargę. Zaczęła się obawiać, że nowy właściciel to ktoś, z kim lepiej nie mieć do czynienia.

Weszli do galerii drzwiami od południa. Na dwóch kominkach buzował ogień; pośrodku długiej sali stał stół zastawiony do herbaty. Przy drzwiach czuwali dwaj lokaje, a wokół stołu uwijała się gospodyni, aż jej spódnice furkotały. W północnej części pokoju, jak najdalej od zgiełku, stał samotny mężczyzna. Był odwrócony do nich plecami, ale Brienne domyśliła się, że spogląda na portret Olivera Morrowa. Jakże chętnie by spaliła tę podobiznę!

Starszy pan ujął dziewczynę za ramię, jakby pragnął dodać jej odwagi, i poprowadził przez całą długość galerii. Brienne czuła, że jego ręka drży. Niepokój towarzysza udzielił się i jej; kiedy byli już blisko celu, zwolniła kroku.

Zanim jeszcze mężczyzna odwrócił się do nich, Brienne zauważyła jego imponującą posturę. Nie znaczyło to jednak, że był tęgi. Czuła instynktownie, że pod wykwintnym strojem kryją się tylko twarde mięśnie. Był jednak wysoki, a barki miał tak potężne, że kamizelka z niebiesko-czarnego brokatu omal nie pękała w szwach. I wystarczyło raz spojrzeć na nogi odziane w spodnie do kolan, by upewnić się, że nie korzystał z żadnych podkładek, którymi wielu dżentelmenów poprawiało kształt swoich kończyn.

– Slane – odezwał się drżącym głosem przewodnik Brienne. – Odnalazłem córkę hrabiego.

Mężczyzna nadal wpatrywał się w portret.

– Przyrowadź ją tu. Umówiliśmy się, prawda? Mam nadzieję, że nie będziesz przeszkadzał.

– Ona jest tu ze mną, Slane. – Starszy pan puścił ramię Brienne i odsunął się od niej. Poczowała suchość w gardle. Bała się tego mężczyzny, który zaraz się odwróci.

Nie odwrócił się jednak od razu. Najpierw oderwał wzrok od portretu i zwiesił ciemną głowę, jakby i on bał się spojrzeć na Brienne. Potem jednak wyprostował się i popatrzył na nią.

Nie był potworem, jak się tego obawiała. Skórę miał ciemną, a jego usta szpecił okrutny grymas, ale rysy były szlachetne, od kształtnego

nosa po wysokie czoło. I te oczy... Wyglądały jak dwa błękitne brylanty w oprawie ciemnych rzęs. Ich blask w pierwszej chwili nie pozwalał dostrzec ich twardości. Na Brienne te oczy wywarły hipnotyczny wpływ.

Mężczyzna wydawał się równie zaskoczony jak ona. Przyglądał się jej tak długo, że dłonie Brienne powędrowały znów do łokci, aby ukryć opłakany stan garderoby. Kiedy na sekundę oderwał od niej wzrok, Brienne spiesznie obciągnęła stanik, chcąc wyglądać jak najschludniej.

– Zabierz stąd tych ludzi, Cumberland – rzucił prosto z mostu ciemnowłosy mężczyzna.

– Słuchaj no, Slane, ja...

– Ma być tak, jak mówię, Cumberland! – Był to niemal wrzask. Brienne zirytowało grubiaństwo tego człowieka.

Cumberland zrozumiał widać, że nic tu po nim i postanowił wyjść. Zwrócił się do Brienne.

– Pozwoli pani, że zostawię was na chwilę samych, moje dziecko?

Brienne skinęła głową i posłała mu ciepły uśmiech. Chciał jej pomóc; potrafiła to docenić. Skąd miałby wiedzieć, że przywykła sama dbać o siebie na długo przed przybyciem do Osterley Park?... Nie miał też pojęcia, ile złego ją czeka, kiedy ją stąd wyrzucą.

### 3

*P*roszę siadać – powiedział ciemnowłosy mężczyzna. Kiedy Brienne nie usłuchała, spojrzał na nią oskarżycielsko. – Lady Brienne, jeśli będzie się pani upierać przy staniu, ja też będę musiał sterczeć. Wolałbym wypić herbatę na siedząco, więc może się pani jednak namyśli? – Wskazał ręką solidne mahoniowe krzesło z poręczami, pokryte jedwabistym adamaszkiem w kolorze groszku.

Brienne usiadła i zaczęła, aż gospodyni poda im herbatę. Kobieta napełniła filiżanki, podtoczyła w ich stronę wózeczek z dodatkami do herbaty i opuściła galerię. Pozostali zupełnie sami; Brienne była bardzo zdenerwowana.

– Do niedawna nie miałem pojęcia o pani istnieniu.

– Nie udzielam się towarzysko – odparła, starając się pokryć zdenerwowanie sztuczną pewnością siebie.

– A to dlaczego? Ma pani wszelkie dane po temu. – Błyszczące i twarde jak kryształ oczy spoczęły na piersi Brienne. Kiedy mężczyzna

podniósł wzrok, Brienne z najwyższym trudem zmusiła się do spojrzenia mu w twarz.

– Prócz ochoty – odparła. Poczowała, że rumieniec oblewa jej szyję i twarz.

– Nawet na złapanie męża?

– Najmniejszej.

– A zatem, jakie są pani plany na przyszłość?

Brienne odchrząknęła i bez pośpiechu wypila łyk herbaty. Napój był mocny i gorący; to dodało jej sił.

– Zamierzałam udać się do Bath, proszę pana, ale okoliczności zmusiły mnie do zatrzymania się...

– W Osterley? – Uśmiechnął się drwiąco; tak się przynajmniej Brienne wydawało. – W jakim sposobie zamierza pani zarobić tu na swe utrzymanie? Nie jestem pani ojcem, a hrabia nie jest już właścicielem Osterley Park.

– Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pana. W tej chwili jednak nie mogę kontynuować podróży. W przyszłym tygodniu odjeżdża stąd dyliżans, zamierzałam... Ale zmiana sytuacji w Osterley całkiem mnie zaskoczyła. Nie mogę skontaktować się z moim ojcem, innych krewnych nie mam.

– A pani matka?

– Nie żyje.

– Ach, tak. Ale pani ojciec... z pewnością nie pozwoliłby swej jedynej córce zostać tutaj? Zapewne wolałby, żeby przyłączyła się pani do niego? Nie pojmuję tego wszystkiego.

Brienne orientowała się szybko. Na poczekaniu wymyśliła coś, co tłumaczyło brak troskliwej opieki ze strony ojca.

– Mój ojciec nie interesuje się mną, gdyż nie pochwalam jego trybu życia. Matka była podobnego zdania co ja, toteż pozostawałam pod jej opieką, dopóki żyła.

– W Osterley?

– Nie, nie! Zmarła w Walii, w innej rodzinnej posiadłości. – Brienne spuściła wzrok na filiżankę i wypila kolejny, duży łyk herbaty. Nie była pewna, czy nieznajomy jej uwierzył, ale w obecnej chwili nie potrafiła wymyślić nic lepszego. Szczerością niewiele by zwojowała: nowy właściciel zmusiłby ojca, by zabrał córkę do siebie, albo wyrzuciłby ją bez litości na ulicę. Teraz zaś miała pewną, dość nikłą szansę zyskania na czasie, poczekania w przyzwoitych warunkach na następny dyliżans. Opłatą za przejazd będzie się martwić potem!

Nieznajomy przyglądał się jej bardzo długo. Odpowiedź Brienne najwidoczniej nie zadowoliła go. Cóż mogła na to poradzić?

– Pani kłamie!

To zuchwałe stwierdzenie zaparło jej dech.

– Skąd ta pewność, mój panie?

Bez ostrzeżenia ściągnął ją gwałtownie z krzesła i uniósł jej ramiona do góry.

– Stań! – odparł, wskazując przetarte na łokciach rękawy. – Czy ktoś taki jak Oliver Morrow pozwoliłby swej córce chodzić w łachmanach tylko dlatego, że nie pochwała jego trybu życia?

– Nie widzieliśmy się z ojcem od dłuższego czasu. Nie orientuje się w mojej sytuacji finansowej. – Mężczyzna puścił ją, a Brienne opadła z powrotem na krzesło. – Nie zamierzam zanudzać pana opowieściami o dziwactwach naszej rodziny. Chciałabym po prostu pozostać w Osterley Park, póki nie zdołam się inaczej urządzić. Osterley to mój dom. Jestem do niego bardzo przywiązana.

– Jeszcze jedno kłamstwo! Wiem doskonale, że przebywa tu pani zaledwie od miesiąca. Przedtem nikt ze służby nie miał pojęcia o pani istnieniu. Może mi to pani jakoś wytłumaczyć?

Nie miała obowiązku tłumaczyć mu czegokolwiek. Zerwała się na równe nogi i popatrzyła mu gniewnie w twarz.

– Pragnęłam po prostu chwili wytchnienia po sytuacji, w której się znalazłam z winy was obu: pana i mego ojca. Jeśli spełnienie mojej prośby jest niemożliwe, proszę mi to powiedzieć bez ogródek, a wyniosę się natychmiast. Ale moja przeszłość i moje stosunki z ojcem nie powinny pana obchodzić: to wyłącznie moja sprawa! – Ametystowe oczy miały iskry, twarz miała rozpaloną, czerwoną z oburzenia.

– Niepotrzebnie się pani złości, lady Brienne. – Jej rozmówca usiadł również na krześle z poręczami. Wyciągnął przed siebie długie nogi. Jego swobodna poza była maską, pod którą kryła się wielka siła i wzburzenie. – Może pani zostać w Osterley Park, jeśli pani zechce. Powiem więcej: będę na to nalegał.

– Dziękuję panu. – Przyjrzała mu się podejrzliwie. Nagła zmiana w jego zachowaniu zbiła ją z tropu. – Zapewniam, że przez czas mego pobytu w Osterley nie pozostanę beczynna. Wiem, jakich starań wymaga tego rodzaju rezydencja. Nauczyła mnie tego matka; była doskonałą nauczycielką.

– Ach, tak? Królowa Maria Antonina ma słabość do życia w wiejskim zaciszu... Zapewne pani matka miała podobne gusta?

– Tak, prowadzenie naszego małego gospodarstwa sprawiało jej wiele radości. Uważała to za bardzo... zabawne.

– Jest jednak pewna istotna różnica, nieprawdaż? Czyżby jej pani dotąd nie dostrzegła? Zdumiewające!

– O czym pan mówi?

– O tym, że zacna królowa, miłośniczka sielskiej prostoty nie nosi łachmanów. A jej ręce nie stwardniały od ciężkiej pracy... choćby nawet wydawała się jej zabawna.

Brienne gniewnie zacisnęła dłoń, by nie mógł widzieć jej odcisków.

– Nie życzę sobie podchwytliwych pytań! Jeśli zamierza pan moim kosztem zaspokoić swoją niezdrową ciekawość, zabiorę się stąd od razu. – Odwróciła się, chcąc odejść. Nie pozwoli temu człowiekowi wydobyć z niej podstępem zwierzeń na temat ojca! Nie pozwoli! Zmierzała ku drzwiom, gdy rozległ się za nią donośny męski głos.

– Nigdzie pani nie odejdzie, lady Brienne! Jak już powiedziałem, nalegam, by pani tu została! Zdąży pani podczas tej wizyty doskonale poznać Osterley; nie ruszy się pani stąd aż do przyjazdu pani ojca!

Brienne zbladła, usłyszawszy te słowa. Czemu hrabia miałby przybyć do Osterley Park?! Utrata tej posiadłości musiała rozwścieczyć Olivera Morrowa! Brienne dałaby głowę, że spotkanie jej ojca z tym człowiekiem skończyłoby się rozlewem krwi. Popatrzyła na Slane'a, ale nie mogła nic wyczytać z jego kamiennej twarzy. Tak ją to zaniepokoiło, że na sekundę wpadła w panikę. Opanowała się jednak i odzyskała mowę.

– Nie zostanę tu dłużej. Pańskie nalegania nic nie pomogą. Zapomina pan, że jestem córką hrabiego, a pan ziemianinem bardzo świeżej daty! Nie zdoła mnie pan zatrzymać w żaden sposób. – Nie mogła mu przecież wyjawiać, że myśl o przybyciu ojca napełnia ją przerażeniem, szukała więc wykrętów. – Nie pozostanę pod jednym dachem z kimś takim jak pan!

– A to czemu, lady Brienne? – spytał z prowokacyjnym uśmiechem.

– Bo nie ma pan ani krzty ogłady! – rzuciła, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Natychmiast zdała sobie sprawę z absurdalności tego zarzutu, ale nie mogła się już wycofać.

Slane wybuchnął śmiechem.

– Ja nie mam ani krzty ogłady? – zaśmiał się jeszcze głośniejsze. – Z czego to pani wnosi?

– Pan... pan... – Szukała rozpaczliwie odpowiednich słów. – Pan mi się nawet nie przedstawił! I zarzucił mi kłamstwo!

Przestał się śmiać i popatrzył na jej roziskrzona oczy i słodkie, różane usta wygięte pogardliwym grymasem.

– Przecież pani skłamała, lady Brienne – odparł po prostu. – Na razie nie mam czasu ani chęci zastanawiać się, czemu pani to zrobiła.



Podszedł do Brienne, wziął ją za ramię i podprowadził znów do krzesła. Chciała się wyrwać, ale jego chwyt był jak żelazne kajdany. W następnej chwili posadził ją sobie na kolanach i objął mocno w pasie.

– Proszę mnie puścić! Natychmiast! – zażądała. Jej gniew okazał się silniejszy od strachu. Zaczęła się szarpać, ale ramię wokół jej pasa zaciśnięto się jeszcze mocniej.

– Jeśli chodzi o przedstawienie się, lady Brienne, to istotnie poczuwam się do winy.

Kiedy przestała się wyrwać, uścisk wokół talii nieco zelżał. Brienne była zdumiona, że trzyma ją tak mocno, nie sprawiając jej przy tym bólu.

– Nazywam się Avenel Slane – powiedział. Przesunął wolną ręką po gładkim policzku Brienne a potem po jej kruchej szyi. Kojące ciepło tego dotyku było dla Brienne kompletnym zaskoczeniem; poddała się pieśczości ze zdumiewającą uległością. Przemógłszy jednak reakcję zmysłów, odzyskała panowanie nad sobą i spróbowała znów uwolnić się z uścisku. Kiedy jednak odwróciła się do mężczyzny z wyzwaniem w oczach, ten spojrział na nią z takim natężeniem, że Brienne skamieniała. Wpatrywała się w lodowate głębie jego oczu, usiłując dociec, co się w nich kryje. Ból, pożądanie, nienawiść?... Nie wiedzieć kiedy dwie gorące, silne ręce podkradły się i objęły jej delikatną twarz. Poczula się całkowicie w jego mocy. Ich głowy znalazły się tak blisko, że czuła jego oddech na policzku.

– A ty, moja niezwykła, piękna dziewczyno, nazywasz się Brienne Morrow. – Jego usta znalazły się na jej ustach. Dotyk gorących warg był tak upajający, że przez chwilę Brienne nie myślała o zachowaniu godności, ani nawet o oddychaniu.

Pocałunek zakończył się równie niespodzianie, jak zaczął. Avenel oderwał usta od jej warg i zmierzył Brienne spojrzeniem oczu zimnych i nieczułych jak wody Północnego Atlantyku. Niełatwo jej było zebrać myśli, ale gdy uświadomiła sobie w pełni, co się wydarzyło, zaczęła znów się wyrwać. Cóż za upokorzenie! Ten mężczyzna ośmielił się ją pocałować! Przysięgła sobie przecież, że nikomu na to nie pozwoli!

Była to ostateczna zniewaga. Brienne uniosła rękę i nim Avenel zdążył temu zapobiec, uderzyła go z całej siły w twarz. Do jej fiołkowych oczu napłynęły łzy. Raz jeszcze spróbowała się wyrwać, ale znów przyciągnął ją do siebie. Tym razem chwyt był bolesny. Patrzył na nią morderczym wzrokiem. Zimne, obojętne oczy były teraz jak roztopione srebro: płonęły z wściekłości.

– Raz ci się udało, moja pani, ale nigdy się to już nie powtórzy. Nikt z Morrowów nie będzie mnie bił! – Z tymi słowy ruszył ku drzwiom galerii. Łzy Brienne nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.



– Pewnie, że się to już nie powtórzy! – krzyknęła za nim, mając na myśli pocałunek. Ścierając łzy z delikatnych policzków, wyrzucała sobie niewybaczalną słabość. – Wolę mieszkać w stajni niż pod jednym dachem z panem! – Odwróciła się i pobiegła ku drugim drzwiom, zamierzając zabrać swój mizerny dobytek i pozostawić na zawsze za sobą Osterley Park i Avenela Slane’a.

Nim jednak opuściła galerię, on wyszedł pierwszy, rzucając na odchodnym:

– Cóż, stajnia akurat wolna, lady Brienne!

## 4

Nie jest wcale taka, jak się spodziewałem. – Cumberland otarł czoło lnianą chusteczką. Pocił się, choć dzień był zimny i dżdżysty. Pokasływał, obserwując Avenela, który uparcie wyglądał przez okno galerii. Stał przy tym bez ruchu, drgał mu tylko mięsień policzka. Nie patrzył na przyjaciela. – Jakoś mi się to nie podoba – mówił dalej Cumberland. – Spodziewałem się, że będzie całkiem inna. Rozmawiałem z nią, Slane. To szlachetna dziewczyna.

– Płynie w niej krew ojca – odparł. Jego kryształowe oczy wpatrywały się w wielki, tonący we mgle park. W oddali widziała łąnię, która zapuściła się w poszukiwaniu obiadu w pobliże domku ogrodnika. Był wyraźnie urzeczony płochliwymi ruchami błaznącej po trawniku zwierzyny i zdawał się nie zwracać uwagi na Cumberlanda.

– Tak, ale ma w sobie również krew matki. I śmiem twierdzić, że niewiele w niej z ojca. Nigdy jeszcze nie widziałem takich oczu i włosów! Wcale nie wygląda na jego córkę.

– Do diabła z jej matką! Do diabła z jej pięknnością! – Avenel spojrział wreszcie na Cumberlanda. – Jest córką tego przeklętnika, to mi wystarczy! Niech ją piekło pochłonie!

Usłyszawszy te słowa, Cumberland opadł na jedno ze zdobnych w poręcze krzesel, wbił wzrok w podłogę i pogrążył się w zadumie. W końcu odezwał się, dobierając słowa starannie i z rozwagą.

– Jesteśmy razem od dwudziestu lat, Slane. Na wozie i pod wozem, w nędzy i w bogactwie. Dobrze wiesz, że na tamtym statku byłem prostym majtkiem. Za to ty... z ciebie jest pan z panów. Twój brat był wicehrabią, a ojciec... Chodzi o to, rozumiesz, że ci wierzę

bardziej niż rodzonej matce... Ale tym razem nie jestem pewny, czy masz rację.

Avenel odwrócił się raptownie i spojrzał na niego ostro.

– Nie musisz mnie uważać za nieomylnego! Chcę być tylko pewien twej lojalności.

– Mojej lojalności możesz być pewien – odparł z prostotą Cumberland, znów ocierając czoło. – Nie zapomniałem tego wszystkiego, co razem przeszliśmy. I nie zapomnę do końca życia. Ale tu nie idzie o lojalność, Slane. Chodzi mi o to, że ona jest taka młodziutka.

– Czy Christopher nie był równie młody? A ten piekielnik ani pomyślał o tym, by oszczędzić mego brata! – Avenel odwrócił się w stronę portretu Olivera Morrowa. Jego oczy roziskrzyły się na widok wizerunku w złotej ramie. – Czemuż ja mam być taki święty i litować się nad jego córką?! Taka już dola dzieci: muszą cierpieć za winy ojców! Ona przynajmniej nie straci życia; ułoży je sobie jak zechce, kiedy z nią skończę. Jej ojciec nie taki los szykował nam obu, mój zacny przyjacielu. Przypomnij sobie, jaki był koniec Christophera! – Odwrócił się znowu do Cumberlanda. – Myślałem, że pochwalasz moje plany... a ty masz mi je za złe, zrzędczący staruszkule!

– Nie myśl, że zapomniałem! Noszę blizny, tak samo jak ty! – zaprotestował Cumberland. – Ale, widzisz... mam taką wybaczącą naturę. Nie mówię, żeby wybaczyć jemu... o tym nie ma mowy! Ale córka... cóż ona może wiedzieć o jego zbrodniach?... I czy właśnie ona musi być narzędziem jego zguby?

– Nie wiedziałem o żadnej córce, kiedy wygrałem od niego Osterley Park! Nie planowałem nic podobnego. Ale okazało się, że dziewczyna istnieje i w dodatku jest tutaj. Na taką okazję czekaliśmy od lat, nie możemy jej zmarnować! Ta bestia szczególnie szybciej niż marzyliśmy. – Avenel odetchnął z wysiłkiem i popatrzył na przyjaciela. – Sam powiedziałeś, że minęło dwadzieścia długich lat. Przez cały czas harowaliśmy na plantacji tytoniu w Maryland. Doskonaliśmy również nasze talenty i ciułałiśmy każdy grosz, by zemścić się wreszcie na potworze, który zmienił nam życie w piekło! Każdy sposób jest dobry, byle osiągnąć cel! Jestem śmiertelnie zmęczony tą maskaradą, przyjacielu.

– Wiem, ja też. Nie będę ci przeszkadzał, Slane. – Cumberland potrząsnął głową. – Zbyt wiele razem przeszliśmy, jesteś dla mnie jak syn. Ale zapowiadam z góry: nie licz na moją pomoc. Nie przyłożę ręki do zguby tej dziewczyny.

Avenel spojrzał z wyrzutem na starego przyjaciela; najwyraźniej poczytywał jego słowa za zdradę.

– Już cię zawojowała?

– Nie chodzi o jej urodę, Slane. To dobre dziecko. Cóż ona winna, że ma podłego ojca?...

– Jest jego córką! – Avenel znów zaczął przyglądać się łani, która skradała się w stronę domu.

– Ma czyste serce!

– O, tak! – odparł z cynizmem Avenel. – Gdyby je wyciąć, zobaczyłbyś jak na dłoni, ile w nim szaleństwa i złości, zupełnie jak u tatusia!

Na tyłach domu ktoś zaczął z całej siły walić garnkami. Z kuchni dolatywały gromkie krzyki. Jakiś męski głos wyrzaskiwał celtyckie wyzwiska pod adresem łani. Obaj przyjaciele obserwowali zwierzę z okna galerii. Łania nastawiła śliczne, płowe uszy. Znów rozległy się przekleństwa. Łania nie zwlekała dłużej: zniknęła w jednej chwili, mignęła tylko w przelocie puszysta, biała kitka.

Cumberland obciągnął kamizelkę i schował do rękawa wilgotną chustkę.

– Gdzie ona teraz jest?

– Bez wątpienia pakuje manatki. – Avenel nadal stał przy oknie i patrzył w ślad za łanią.

– Ach, tak?... Pewnie cię to nie skłoni do zmiany zdania? Nie puścisz jej, co?... – Popatrzył na Avenela, ale nie bardzo liczył na odpowiedź. Gdy istotnie jej nie otrzymał, skierował się ku drzwiom, powtarzając: – Nie będę ci przeszkadzał, Slane. Tyle razy miałaś rację, że nie ufam już własnemu zdaniu. Ale nie przyłożę do tego ręki, jasne? Kiedyś wreszcie musisz się pomylić... daj Boże, żeby nie tym razem!

Od drzwi obejrzał się jeszcze na przyjaciela. Avenel stał w milczeniu przy oknie; jego wysoka postać była nienaturalnie sztywna, pełna hamowanego gniewu.

Cumberland wzdrygnął się na myśl o słodkiej, pięknej dziewczynie o fiołkowych oczach, na której skrupi się ten gniew. Rzucił jeszcze na pożegnanie:

– Dałbym wiele, żeby ci się wymknęła, przyjacielu! – Avenel jednak wpatrywał się uparcie w pustą, coraz bardziej mroczny ogród.



Brienne z furją wrzucała wszystkie swe rzeczy do płóciennej torby, nie dbając o to, że się pogniotą. Zwinęła zapasowe koszule oraz pończochy i bez szacunku wepchnęła te cenne przedmioty na samo dno. Podbiegła do szafy ze złocistego jak miód drzewa i otworzyła ją, by wygarnąć z wnętrza całą ubożuchną garderobę, którą w tej chwili dysponowała.

Staneła jednak jak wryta. Jedna z sukien wyglądała inaczej. Różowa polonezka zwisała krzywo z kołka. Ta stosunkowo nowa suknia była teraz bezkształtną i poszarpaną szmatą. Brienne ostrożnie wyciągnęła ją z szafy i obejrzała wszystkie rozdarte szwy i dziury w jasnoróżowym jedwabiu. Wiedziała doskonale, kto to zrobił. Annie nie ośmieliła się ukraść jej sukni, ale zadbała o to, aby i ona nigdy jej już nie włożyła. Brienne rzuciła podartą polonezkę na okrywającą łóżko żółtą taftową kapę.

Pomyślała ze smutkiem o dniu, gdy po raz pierwszy włożyła tę suknię. Poszły wtedy z matką na jarmark, który odbywał się na rynku w Tenby. Popijały słodką lemoniadę i gawędziły wesoło z Thomasami, starszym małżeństwem mieszkającym w sąsiedztwie. Dzień zakończył się przechadzką do starych murów, stanowiących granicę miasteczka. Obserwowały pływaków, skaczących do wody z blanków walącego się w gruzy zamku. Brienne przyglądała się z dziecinną ciekawością nagim, opalonym chłopcom, aż wreszcie matka kazała jej odwrócić się w inną stronę.

W nowym przypiływie gniewu Brienne wepchnęła resztę swego dobytku do torby i pospieszyła po swoje największe skarby. Otworzyła trzecią szufladę komody z żółtodrzewu. Z tyłu znajdował się zawias, który odkryła na samym początku swego pobytu w Osterley. Dotknęła go lekko i otworzyła skrytkę, w której przechowywała miniaturę i ametystowy grzebyk. Wyciągnęła go z kryjówki i obejrzawszy dokładnie, uznała, że powinna uzyskać za grzebień sporą sumkę.

Cenny przedmiot kojarzył się jej nie tylko ze śmiercią matki, ale i z innym przykrym wspomnieniem. Gdy owijała grzebyk chusteczką, przypomniał się jej dzień, w którym hrabia zjawił się nieoczekiwanie w ich małym, schludnym domku pod Londynem, gdzie zamieszkały z mamą po ucieczce z Osterley. Mimo że matka nigdy nie zwróciła się do męża o pieniądze na dziecko, mimo upływu lat, jakoś je odnalazł.

Początkowo Brienne była zachwycona ojcem, takim wysokim i silnym. Nie zwracała uwagi na niepokój matki. Radowała się tym, że ma wreszcie tatusia, jak inne dzieci. Potem jednak pierwsze oczarowanie minęło. Ojciec wziął ją na kolana i zaczął dotykać. Najpierw po prostu gładził ramiona dziewczynki. Potem pocałował ją w policzek.

Jednak w tej serdeczności było coś niedobrego... i niepokój matki udzielił się Brienne. Ku jej przerażeniu ręka ojca zacisnęła się na jednej z drobnych, pączkujących dopiero piersi. Matka krzyknęła, a ojciec zrzucił dziewczynkę z kolan. Potem zerwał się z krzesła i uderzył kobietę tak, że omal nie straciła przytomności.

– Oddaj to, coś mi ukradła! Jak zwrócisz grzebień, zostawię twoją córkę w spokoju! – domagał się natarczywie Oliver Morrow.

– Nie wzięłam go! – zarzekała się matka.

– Mój dowód! Mój bezcenny, jedyny dowód! – Znowu uderzył ją w twarz. W końcu zaciągnął lady Grace na górę. Brienne zapamiętała na zawsze rozpaczliwy płacz dobiegający z sypialni. Dziewczynka schowała się za jedną z szaf. Nawet gdy hrabia zszedł na dół i kazał stangretowi zawieźć się z powrotem do Londynu, Brienne pozostała w ukryciu, bojąc się poruszyć. W końcu matka wyciągnęła ją stamtąd. Przenosiły się potem z miejsca na miejsce i wreszcie znalazły spokojne schronienie w Tenby. Ale i tam nagłe kołatanie do drzwi szarpało nerwy Brienne. Dźwięczały jej w uszach ostatnie, przerażające słowa hrabiego:

– Nie zapomnij, kochana Brienne: pewnego dnia będę miał was obie!

Teraz była już dziewiętnastoletnią panną i wiedziała coś niecoś o obowiązkach małżeńskich. Niemniej jednak, ilekroć wspominała ów dzień, nasuwało jej się tylko jedno określenie: gwałt. Jej matka została zgwałcona, a przyczynił się do tego grzebień, który Brienne trzymała teraz w ręku. Ten sam staroświecki grzebyk, który znalazła razem z miniaturą dawno temu, jeszcze w Tenby. Brienne obracała go w ręku, jakby chciała w ten sposób odkryć tajemnicze znaczenie tego przedmiotu. Nic to jednak nie dało. Klejnocik wart był kilka funtów, zwłaszcza że miał na sobie znak Laborde'ów: litery KE i skrzyżowane różgi liktorskie. Czemu jednak matka wołała znieść haniebną mękę niż oddać ten grzebień hrabiemu?... Brienne doszła do wniosku, że najlepiej będzie pozbyć się grzebyka.

Dygocąc jeszcze na wspomnienie tych okropnych wydarzeń, Brienne owinęła oba cenne drobiazgi w haftowaną chusteczkę i umieściła je ostrożnie w torbie na samym wierzchu, żeby się nie połamały. Postanowiła opuścić bez zwłoki Osterley Park. Wymknęła się przez frontowe drzwi, nim któryś z lokajów zdążył ją zauważyć, i ruszyła żwawo podjazdem, aż żwir chrząścił pod jej chodakami. Odgłos ten radował ją, był bowiem zapowiedzią ostatecznego pożegnania z Osterley i z przykrymi wspomnieniami.

Snuła już plany na przyszłość. Może ze sprzedaży grzebyka uzyska tyle pieniędzy, że starczy jej na podróż do Bath? Przy odrobinie szczęścia znajdzie tam pracę u któregoś z księgarzy. Myśli dziewczyny krążyły wesoło wokół bliskiej już wolności. Nie zauważyła dwóch nowych strażników wyglądających z okna stróżówki. Zatrzymała się jednak na widok zamkniętej bramy i zmierzyła obu mężczyzn nieufnym wzrokiem.

– Muszę stąd natychmiast wyjść. Proszę mi otworzyć! – zawołała do tego, który był nieco bliżej. Otuliła się szczelniej płaszczem przed zimnem i natrętnymi spojrzzeniami.

– To chyba ta z fioletowymi ślipiami, co Hans? – Jasnowłosa olbrzym wyszedł ze stróżówki i ruszył w jej stronę. Brienne spuściła oczy i chciała mu zejść z drogi, ale osiłek zmusił ją, by spojrzała na niego. Świsnął ostro przez szparę w przednich zębach.

– Jakbym nie zobaczył na własne oczy, to nigdy bym nie uwierzył, Hans! – zawołał do swego towarzysza.

Ze stróżówki wynurzył się jeszcze jeden olbrzym. Również był blondynem, ale miał rudawe bokobrody.

– Dokładnie takie jak mówił Slane! – Mężczyzna o imieniu Hans zajrzał w oczy Brienne i aż się cofnął.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Dokąd pani tak spieszo, Brienne Morrow?

Próbowała ukryć ogarniający ją niepokój. Wiedzieli jak się nazywała!

– Opuszczam Osterley Park. Proszę otworzyć bramę. – Powiedziała to dość szorstko, nie bardzo wiedząc, jak się zwracać do tych zwalistych wikingów.

– Pan Slane zarządził całkiem inaczej. – Wygolony osiłek zawrócił do stróżówki.

– Nic mnie to nie obchodzi. Powtarzam raz jeszcze: proszę natychmiast otworzyć! – Zamknięta brama nie budziła w niej jeszcze przerażenia. Wolność była w zasięgu ręki. Jakże strażnicy mogliby ją powstrzymać? Kiedy żaden z nich nie wykonał polecenia, Brienne podeszła do ciężkiej bramy z kutego żelaza i spróbowała sama ją otworzyć. Ani drgnęła.

– Nie zostanę tu! – zawołała, stawiając torbę na rozmięklej ziemi. Wyteżając wszystkie siły zaczęła mocować się z bramą.

Po kilku minutach jej bezskutecznych wysiłków podszedł do niej olbrzym z rudawymi bokobrodami, który dotąd obserwował poczynania dziewczyny.

– To nie ma sensu, proszę pani. Jak pan Slane powie „nie wypuszczać!”, to nikogo nie wypuścimy.

– Wszechwładny pan Slane, co? – warknęła z wściekłością. – No cóż, nie muszę wychodzić przez bramę! Są i inne sposoby! – Z tymi słowami podeszła do ogrodzenia (także z kutego żelaza) i spróbowała przeznosić swoją torbę na drugą stronę tej trzymetrowej zapory. Za pierwszym razem nic z tego nie wyszło, ale za drugim powiodło się jej. Torba z brunatnego płótna wylądowała ze stukiem za ogrodzeniem.

Brienne popatrzyła na dwóch osiłków, którzy oddalili się od stróżówki i oberwowali ją z pewnym niepokojem. Widać nie mieli dotąd do czynienia z rozwścieczoną kobietą. I wówczas Brienne postanowiła wykorzystać szansę. Pomknęła wzdłuż ogrodzenia i przez otwarte drzwi wpadła do stróżówki, a stamtąd na zewnątrz. Dotarła już do swojej torby i miała właśnie zniknąć z nią w krzakach, gdy poczuła, że coś unosi ją do góry. Dwie olbrzymie łapy chwyciły ją w talii i zdała sobie sprawę, że już się z nich nie wywinie.

Hans przeniósł ją z powrotem przez stróżówkę, a do dworu dotarła pod eskortą obu wielkoludów. Żadne z nich nie przemówiło ani słowa. Krocząc pod eskortą, Brienne rzucała pełne pogardy spojrzenia na obu strażników. Jej płonące, podobne do klejnotów oczy miały fioletowe iskry.

Zanim dotarli do domu, płaszcz Brienne był mokry, a ona całkiem przemarzła. O kostki obijała się jej unurzana w błocie spódnica. Nawet jej włosy zwilgotniały od gęstej mgły, nieodłącznej cząstki angielskiego krajobrazu. W takim właśnie stanie, przemoczoną i zabloconą, dostarczono Brienne niczym tłumoczek do galerii w Osterley Park.

Na skinienie Avenela Slane'a dwóch jasnowłosych osiłków zostało ich samych. Mężczyzna siedział wygodnie przy południowym kominku, w pobliżu portretu hrabiego, którego Brienne tak nienawidziła. Ona sama stanęła przed nim, czując się jak cudem ocalony z powodzi kot.

– Nie zostanę tu! Proszę to wreszcie przyjąć do wiadomości i pozwolić mi odejść! Zupełnie nie rozumiem, czemu chce mnie pan zatrzymać... chyba że chorbliwa wyobraźnia podszeptuje panu, że można mnie wykorzystać jako przynętę dla zwabienia ojca. Uprzedzam od razu – dodała wzięwszy głęboki oddech – że to się panu nie uda. Ja nie chcę tu zostać, a mój ojciec z pewnością i tak się nie zjawi. – Mówiła przez zaciśnięte zęby, ale czy robiła to ze złości, czy dlatego, by nimi nie szczekać?... Sama dobrze nie wiedziała.

– Czemu pani nie podejdzie do ognia i nie ogrzeje się, lady Brienne? Gotowa się pani przeziębic.

– Pańskie olbrzymie zbiry z pewnością nie są wszechobecne i niezmordowane. Znajdę jakiś sposób ucieczki, jeśli pan sam nie odzyska rozsądku. – Brienne nie ruszyła się z miejsca. Miotła groźby, ale nie ośmieliła się podejść bliżej do niego.

– Niechże się pani uspokoi. Ma pani przecież ładną sypialnię na piętrze. Ofiarowałem pani schronienie pod moim dachem. Po co tak się gorączkować? – Wyciągnął długie nogi w stronę kominka i popijał



z wolna brandy z kryształowego kielicha. Brienne patrzyła na ten pogodny obrazek, wspominając mimo woli chwilę, gdy ten sam mężczyzna ucałował ją w usta i rozbudził w niej emocje, których za wszelką cenę pragnęła uniknąć.

Odruchowo przesunęła palcami po wargach, w których poczuła nagłe mrowienie. Odsunęła się raptownie od człowieka będącego przyczyną tego uczucia.

– Nie pozostanę z panem pod jednym dachem, nawet w największej i najwspanialszej rezydencji! Odchodzę i już!

– Nigdzie pani nie odejdzie! – Avenel raptownie wstał i ruszył ku niej. W porównaniu z olbrzymami nie wydawał się zbyt potężny, ale była w nim jakaś niepokojąca gwałtowność. Brienne czuła, że powinna mu się postawić, ale nie bardzo wiedziała jak. O uzyskaniu nad nim fizycznej przewagi nie było oczywiście mowy. Spojrzała więc buntowniczo w jego zimne, srebrzyste oczy i powtórzyła: – Nie zostanę pod jednym dachem z panem!

– Wobec tego zamieszka pani w stajni. – Popatrzył na nią, a potem wskazał na mroczny kąt sali. – Cumberland zaprowadzi cię do twej nowej sypialni, Kopciuszku!

Cumberland podniósł się z krzesła ustawionego w ciemnym kącie i podszedł do Brienne. Jego oczy były pełne smutku.

– I nie zapomnij swojej balowej toalety! – Avenel wyciągnął spod stojącego w pobliżu taboretu resztki podartej różowej polonezki. Brienne nie zauważyła ich przedtem. – Widzisz, Cumberland? Ta dziewczyna chodzi w całkiem zniszczonych sukniach, a pocięła nożem jedyną porządną, jaka jej jeszcze została. – Rzucił Brienne bezużyteczny różowy łańchman i roześmiał się zjadliwie. – Może istotnie brakuje jej piątej klepki, jak mówią!

Brienne z najwyższym zdumieniem przekonała się, że zaraz zostanie stąd wyprowadzona. Cumberland ujął ją za ramię, a ona wreszcie zdołała przemówić.

– Doprawdy, wolę przebywać w towarzystwie koni. To przynajmniej istoty ciepłokrwiste, nie tak jak pan! Bóg nie stworzył widać nic takiego, co zdołałoby rozgrzać taki lodowiec!

Cała roztrzęsiona pozwoliła, by Cumberland objął ją ramieniem i wyprowadził z galerii. Nie miała pojęcia, że Avenel wpatruje się w mokrą wełnę płaszcza oblepiającą jej pośladki. Nie usłyszała również jego słów.

– Chyba znalazłoby się coś takiego, lady Brienne! – szepnął z ironią, spoglądając za odchodzącą.



Czemu on to robi? – Brienne uczepiła się ramienia Cumberlanda, gdy szli po ciemku w kierunku stajni. Wielki budynek leżał przed nimi pusty i cichy; od czasu do czasu rozlegało się tylko rżenie kilku koni, które przybyły dziś i czuły się widać osamotnione. – Na co ja mu jestem potrzebna? – Potknęła się na jakiejś leżącej luzem cegle (stare mury krużyły się) i przywarła jeszcze mocniej do swego towarzysza. – Musi mi pan powiedzieć, o co mu chodzi!

– Jemu o nic nie chodzi, lady Brienne. – Przeprowadził ją ostrożnie przez kałużę. – Jeśli ma na coś ochotę, bierze to sobie i już. Sama się pani przekona.

– O niczym się nie przekonam! Ucieknę stąd jeszcze tej nocy. Nowy właściciel Osterley to szalowiec! Chyba sam pan to widzi? – Popatrzyła na małego człowieka. Nie dostrzegłszy w jego oczach potwierdzenia, zwróciła się do niego błagalnym tonem: – Mógłby mi pan pomóc: wzięlibyśmy powóz i konie. Rano odprowadziłyby je pan z powrotem. To nie byłaby kradzież!

– Nie, lady Brienne – powiedział tylko Cumberland i uniósłszy latarnię, wprowadził dziewczynę głównym wejściem do stajni.

– Czy zaprzęgnąć konie to takie trudne? Może choć w tym zechce mi pan pomóc? Przebiorę się po męsku, a te dwa olbrzymy przy bramie wezmą mnie za chłopca stajennego.

– Nic z tego. Dobrze wiedzą, że stajennych jeszcze tu nie ma.

– No to pan mógłby przejechać... tylko za bramę, nie dalej!

Cumberland porząsnął ponuro głową.

– Nic z tego, lady Brienne. Nie pomogę pani.

Wyszarpnęła gwałtownie rękę i popatrzyła na niego tak, jakby ją uderzył.

– Więc pan trzyma jego stronę? Myślałam, że jest pan szlachetnym człowiekiem, dżentelmenem!

– Nie zdradzę przyjaciela. Nie pochwalam jego zamiarów, ale nie przeszkodzę mu. Robi to, co musi.

– Wszystko jedno, jakie ma zamiary! Mnie to przecież nie dotyczy. Dlaczego nie chce mnie puścić? Nie wie pan, jak się zachował wobec mnie w galerii! To było... skandaliczne!

Starszy pan roześmiał się nagle.

– Pewnie panią pocałował, co?

Brienne poczuła, że twarz ją pali. Jak to dobrze, że w ciemności nie było widać jej rumieńców!

– Żaden mężczyzna nie potraktował mnie równie bezczelnie! Jest odrażający – odparła gwałtownie.

– Niewiele kobiet zgodziłoby się z panią. Widziałem jak mdlały, gdy Slane rzucił na nie okiem. Potrafi być niezwykle ujmujący, jeśli zechce.

– Mdlały pewnie ze strachu, nie z zachwytu! To przecież potwór! – Brienne znów się potknęła po ciemku. Gdy to coś, o co się potknęła, poruszyło się, krzyknęła ze strachu.

Ogromne zwierzę cofnęło się do kąta z groźnym pomrukiem. Kiedy światło latarni niesionej przez Cumberlanda padło w tamtą stronę, Brienne ujrzała wielkiego psa. Biała sierść jeżyła mu się na grzbiecie.

– A, jesteś tu, Orillon! – Ton głosu Cumberlanda nieco uspokoił dziewczynę. – To twoja nowa pani. Chodź no, przedstaw się jej.

Na dźwięk znajomego głosu pies zbliżył się do Brienne i zaczął ją obwąchiwać. Przekonawszy się w końcu, że dziewczyna nie stanowi zagrożenia, białe psisko oddaliło się znów do kąta i obserwowało stamtąd spokojnie dalszy rozwój wypadków.

– Czy to pański pies? – spytała Brienne. Kolana jeszcze uginały się pod nią ze strachu.

– Orillon należy do Slane’a. Zabrał go z ulicy w Annapolis. Co to był za dziki pies! Ale Slane całkiem go oswoił.

– Nic dziwnego: potwór łączy do potwora! – Idąc za Cumberlandem po schodach na górę, Brienne obejrzała się przez ramię: czy wielkie zwierzę nie zechce pójść za nimi?... Ale Orillon pozostał w swym kącie; minę miał trochę bezczelną, trochę znudzoną. Półprzymknięte, jasnoniebieskie ślepie psa skojarzyły się Brienne z oczyma jego pana. Po plecach przebiegł jej dreszcz, który wzięła za oznakę odrazy.

Drzwi izdebki u szczytu schodów były otwarte. Oboje weszli do środka. Stara, walcząca się stajnia musiała być dawniej imponującym budynkiem. Kłębily się tu niegdyś roje gości, którzy przybywali do Osterley na konne harce. Teraz jednak ogromna budowla znajdowała się w opłakanym stanie. Stanowiła doprawdy nędzne schronienie.

Rozglądając się po zakurzonej izbie, Brienne dostrzegła kilka kołków na ubraniu i toporny dębowy stołek koło łóżka. Podtrzymujące materac sznury tak obwisły, że cienki piernat włókł się niemal po ziemi.

Brienne podeszła do jednego ze sporych okien o ołowianych szybkach i spojrzała na sterczący tuż pod nim ostry występ dachu.

– Wspaniała komnata!... Cóż, zapewne odpowiednia cela dla wariatki. – Brienne poczuła, że dolna warga jej drży, więc ją przygryzła.

– Proszę nie mówić takich rzeczy! Slane umieścił tu panią wcale nie dlatego, że uważa ją za wariatkę.

– Nie on jeden. – Brienne rzuciła strzępy różowej sukni na pokryte pleśnią łóżko.

Cumberland przyjrzał się polonezce i spytał cicho:

– Podarła się przypadkiem?

– O, to wcale nie był przypadek! – Brienne uśmiechnęła się gorzko.

– Ach, tak... – powiedział tylko i w izbie zapadła niezręczna cisza.

W końcu Brienne nie mogła dłużej znieść jego podejrzeń, których taktownie nie wyraził. Wyjaśniła ponuro:

– To nie moja robota. Annie, pokojówka, za którą mnie pan w pierwszej chwili wziął, splątała mi tego psikusa. To zazdrosna osoba. – Popatrzyła na Cumberlanda łagodnym, aksamitnym wzrokiem. – Gdybyż mógł pan w to uwierzyć...

– Wierzę pani – odparł spokojnie Cumberland. – A pani powinna uwierzyć, że Slane wcale nie uważa pani za wariatkę. Słyszeliśmy te wszystkie bajeczki. Istotnie, niełatwo znaleźć czytaną kobietę, ale dama z pani sfery to co innego! A co do spacerów w każdą pogodę... – Mrugnął do niej po ojcowsku. – Takiej ślicznej młodej dziewczynie musiało być w Osterley pusto i nudno.

Usłyszawszy te łagodne, uspokajające słowa, Brienne nie mogła się powstrzymać i uściskała nowego przyjaciela. Od śmierci matki nikt nie okazał jej tyle życzliwości i zrozumienia. Nie potrafiła ukryć swej wdzięczności, mimo że Cumberland był przyjacielem Avenela Slane'a.

– Dziękuję panu – powiedziała z całą powagą, uściśnawszy go. – Nie mogłam sobie nigdzie znaleźć miejsca... Widzi pan, od śmierci mojej matki upłynęły zaledwie dwa miesiące. Tylko ona mnie kochała. – Brienne usiadła na niewielkim dębowym stołku, mocno nadszarpiętym zębem czasu. Rozejrzała się po izdebce. – Niezbyt eleganckie wnętrze, prawda? Zwłaszcza w porównaniu z pałacem.

Usłyszała westchnienie Cumberlanda, po czym znowu zapadła cisza. Oboje pogrążyli się w zadumie.

– Nie musi tu pani nocować, lady Brienne – odezwał się w końcu Cumberland.

– Żaden dżentelmen nie przeznaczyłby mi takiej izby. – Odwróciła się do swego towarzysza w nadziei, że zwątpił wreszcie w rozsądek Avenela Slane'a. – A pan jest z pewnością dżentelmenem, panie Cumberland. Nigdy by mnie pan nie potraktował tak haniebnie jak pański przyjaciel. – W przekonaniu, że darzy swego rozmówcę cennym komplementem, Brienne spojrzała nań z nadzieją. Może w końcu ustąpi i pomoże jej w ucieczce?... On jednak popatrzył na nią tak, jakby swymi słowami sprawiła mu wielki ból.

– Poprawne zachowanie to żadna moja zasługa. Gdyby los nie potraktował mnie tak srogo, nie byłaby pani w moim towarzystwie bardziej bezpieczna niż w obecności Slane’a.

W jego głosie brzmiała wyraźna gorycz. Brienne nie miała pojęcia, czym go uraziła. Zmieszała się i nachmurzyła.

Cumberland wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym odszedł, mówiąc tylko:

– Dobranoc, lady Brienne.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, dziewczyna poczuła się okropnie. Ogarnęła ją ogromna panika. Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież, chcąc jak najprędzej opuścić pełną kurzu, pustą stajenną izbę. Nie zdołała jednak przestąpić progu, bo leżał za nim biały pies, Orillon. Usłyszawszy nagły ruch, podniósł głowę i wyszczerzył zęby. Były równie białe jak jego sierść.

– Już pani zdążyła sprawić przykrość Cumberlandowi, jak widzę – doleciał do niej z ciemności na dole dudniący głos. U podnóża schodów stał Avenel Slane. Brienne spojrzała na niego, ale nie odważyła się ruszyć od drzwi.

– Powiedziałam mu tylko, że jest dzentelmenem... w odróżnieniu od pana. – Poruszyła lekko nogą. Orillon zauważył to od razu i warknął ostrzegawczo. – Proszę zabrać tę bestię! Nie potrzebuję dozorca więziennego.

– Jest tu raczej w charakterze pani obrońcy. – Avenel oparł się o kwadratowy słup i przyglądał się jej leniwie. Mimo panującego mroku ona również popatrywała na niego. Dostrzegła, że kosztowna brokatowa kamizelka jest rozpięta, a koszula rozchylona. Można było dostrzec delikatne ciemne włosy na jego piersi.

– Nie potrzebuję obrońcy! Potrafię bronić się sama – odparła Brienne, nie patrząc na niego.

– Mimo to Orillon zostanie tu. Nie chce pani chyba, by jakiś zbłąkany lokaj trafił do pani łóżka? – Slane popatrzył na nią, ale nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, ukrytej w cieniu.

Roześmiała się sarkastycznie.

– Może pan spokojnie zabrać psa! Jeśli mi coś grozi, to przede wszystkim z pańskiej strony... a w takim wypadku Orillon nie na wiele się zda!

Uśmiechnął się i odparł:

– Bardzo pani sprytna, lady Brienne! Ale Orillon i tak zostanie. – Zmienił temat i zapytał: – Jak się pani podoba nowa kwatery? Wystarczająco nędzna jak na pani gust? Nie zamierzam psuć pani zabawy w ubogą chłopkę, zmuszając panią do życia w zbytku!

Gniew wezbrał w jej piersi. A więc ten człowiek sądzi, że to tylko niemądra zabawa? Że bogatej córeczce hrabiego zachciało się udawać nędzarkę?... Przypomniała jej się matka, wyprzedająca sztuka po sztuce swoje wspaniałe klejnoty i ciężkie od haftów dworskie toalety. Musiała się z nimi rozstać, nie chcąc zależeć od łaski i kapryśków hrabiego. Z jakim trudem wiązały koniec z końcem! W ich zniszczonych ubraniach i nędznych warunkach życia nie było doprawdy nic śmiesznego.

– To nie żadna zabawa! – szepnęła zapalczywie, lecz tak cicho, że była pewna, iż Slane jej nie usłyszy.

– Jeśli tak jest w istocie, to może pani wrócić do domu. – Avenel zaczął wstępować po schodach. Orillon popatrzył na zbliżającego się pana i począł uderzać ogonem o podłogę.

– Ma pani w pałacu piękną sypialnię. Po co tkwić tutaj, gdy tam czeka tyle wspaniałości?

– Osterley Park budzi we mnie wstręt! – Brienne wyrwały się te słowa, nim zdołała je powstrzymać.

– Jak można tak mówić? – Dotarł już do szczytu schodów; słyszała wyraźnie szyderstwo i pogardę w jego głosie. – Powiadają, że to najpiękniejszy dom w całej Anglii. Drogo za niego zapłaciłem! – Mówił to z goryczą, a na jego twarzy, dobrze teraz widocznej w świetle padającym z jej izby, malowało się cierpienie.

– Nie zapłacił pan za Osterley Park! Zdobył go pan w bezprawny, niegodziwy sposób: wygrał go pan w karty! – Wymówiła z naciskiem ostatnie zdanie. Pamiętała dobrze pouczenia anglikańskiego pastora z Tenby, który ostrzegał przed demonem hazardu. Te słowa zdradzały jej całkowitą nieznaną obyczajów współczesnego ziemiaństwa.

– Mówi pani jak purytanka! – Slane spojrział na nią ciekawie i pochylił się, by pogłaskać od niechcenia Orillona po białej, kosmatej głowie. – Proszę mi powiedzieć: czy nigdy pani w towarzystwie nie rozegrała niewinnej partyjki wista? Trudno mi uwierzyć, że dama z pani sfery tak stroni od kart! Nawet młode Amerykanki znają już tę rozrywkę!

– Nigdy nie wzięłam kart do ręki – odparła ze świętym oburzeniem, wysuwając nieco spiczastą bródkę.

– Dziwna z pani dziewczyna! – powiedział, przyglądając się jej uważnie. – Uważa pan grę w karty za śmiertelny grzech, ale straty, jakie poniósł ojciec, zupełnie pani nie wzruszają! Czy nie oburza pani fakt, że Osterley Park przeszedł w moje ręce?

– Nie pieniądze decydują o wartości człowieka – odparła po prostu. – Niewiele mnie obchodzi, czy mój ojciec jest panem Osterley, czy nie. Z tym wyjątkiem – dorzuciła – że z powodu zmiany właściciela zostałam

bez dachu nad głową, a teraz jeszcze pan uniemożliwia mi znalezienie nowego schronienia. – Cofnęła się do wnętrza izby i podeszła do wygasłego kominka. Uświadomiła sobie, jak bardzo zimno jest nocą w stajni.

Avenel wszedł za nią, Orillon zaś za nim, wyraźnie rad z obecności swego pana.

– Cumberland miał rację. Nie jest pani wcale taka, jakiej się spodziewaliśmy. – Popatrzył na jej ciemnorude włosy, które wymknęły się z luźnego upięcia i spływały niemal do pasa, po czym wypytywał dalej. – Czy odziedziczyła pani urodę po matce?

– Byłyśmy do siebie podobne. – Z pewnym niepokojem odwróciła się twarzą do niego. – Oczy mam po niej.

Avenel podeszedł bliżej i wziął do ręki jeden z jej loków. Poglądził gęste włosy, podziwiając ich niezwykłą, niemal karmazynową barwę.

– A kolor włosów?... Także po matce?

Brienne cofnęła się i oparła o dębowy gzyms kominka. Czuła się osaczona. Zaniepokoiło ją to pytanie, ta ręka na jej włosach... Avenel podeszedł jeszcze bliżej, jakby przyciągany magnesem. Brienne poczuła dreszcz strachu. Nie obawiała się jednak brutalnej przemocy ze strony mężczyzny, który stał przed nią. Mimo ponurej twarzy i zagadkowego gniewu, który potrafił trzymać na wodzy, była pewna (nie wiedzieć czemu), że nie wyrządzi jej fizycznej krzywdy.

A jednak jego zachowanie budziło w niej lęk. Kiedy wpatrywał się w jej włosy, twarz mu wyraźnie złagodniała. Zamiast dotychczasowego napięcia pojawił się na niej wyraz sennej zmysłowości. Spojrzenie jego oczu – mimo ich lodowatej barwy – było naprawdę gorące. Iskrzyły się jak śnieg tający w promieniach słońca. Ten błysk oczu zdradził jego pożądanie i przestraszył Brienne bardziej niż poprzednie groźby uwięzienia w Osterley lub wygnania do stajni.

W uszach zabrzmiał jej płacz matki równie wyraźnie jak wówczas, gdy była jeszcze dzieckiem, a Oliver Morrow złożył im nieoczekiwaną wizytę. Czy wszystkie kobiety tak cierpią?... Czy stojący przed nią człowiek – silny, męski, niewątpliwie doświadczony w sztuce kochania, zachowywał się tak samo jak grzeszny i szalony hrabia Laborde?... W myślach Brienne panował chaos; wiedziała jednak, że musi dojść do jakichś konkretnych wniosków, nim Avenel Slane posunie się dalej. Jednak w tym momencie z niejasnych powodów brutalny akt fizyczny, narzucony jej matce, i spojrzenie Avenela Slane'a, będące wyraźnym zaproszeniem do miłosnych igraszek, spłoty się dla niej w jedno. Poczowała, że rośnie w niej panika i nim zdołała się opanować, zawołała głosem strwożonego dziecka:

– Proszę mnie nie dotykać!

Błyskawicznie wyszarpnęła z ręki Avenela pasmo swych włosów i odwróciła się, zmieszana zarówno własnym lękiem, jak i jego spojrzeniem, pełnym zdumienia i poczucia winy.

– Wydaje się pani odrażający? – Przemówił do odwróconej plecami, sztywnej z napięcia dziewczyny. – Nie brak mi wad, ale o tej dotąd nie wiedziałem.

– Nie chcę mieć do czynienia z żadnym mężczyzną, choćby nie wiem jak pociągającym! Chyba dałam to wyraźnie do zrozumienia na galerii! – Stała bez ruchu, nie chcąc na niego spojrzeć i mając nadzieję, że oedzie, zostawiając ją w spokoju.

– Ach, tak? – Wydawał się poruszony. – Jaka jest przyczyna tej nie-naturalnej powściągliwości?

– Nie muszę się przed panem tłumaczyć – odparła ostro, nadal odwrócona do kominka.

– Istotnie. Ale pewnego dnia pożałuje pani, że tego nie zrobiła, lady Brienne. Nie było dotąd kobiety, która odrzuciłaby moje zaloty. Klnę się, że pani tego gorzko pożałuje!

– Postara się pan, żeby mnie bolało, jeśli nie będę uległa? – Odwróciła się rapotownie do niego z twarzą pełną gniewu. – To doprawdy po męsku!

– Nigdy jeszcze nie pastwiłem się nad kobietą. Istnieją jednak inne sposoby, równie skuteczne i niemiłe jak fizyczna przemoc. Pani walczy zaciekle z naturalnymi uczuciami, ale w pani zbroi musi być jakaś szczelina. Odkryję ją! A gdy mi się to uda, nie okażę litości. – Podszedł do drzwi i rzucił Orillonowi: Leżeć! Na odchodnym powiedział tylko: – Dobrej nocy, lady Brienne. Niech się pani raduje tej nocy swą nieskalaną cnotą. – Rozejrzał się po smętnej izdebce i zatrzasnął za sobą drzwi.

Zaraz potem Brienne usłyszała, jak schodzi ze schodów. Pewna, że Avenel opuścił stajnię, uchyliła drzwi, ale tuż za progiem znowu warował Orillon.

Nie chciało się jej nawet zamknąć drzwi. Zakłęła z cicha i zawróciła do wnętrza izdebki. Jak zdoła przeżyć tę noc?...

Usiadła na dębowym stołku; rozmyślała bez końca o niezwykłych wydarzeniach tego dnia. W Osterley Park działy się doprawdy dziwne rzeczy!... Była pewna tylko jednego: Avenel Slane postanowił wykorzystać ją jako pionka w grze, którą toczył z hrabią. Zrozumiała, że musi uciec stąd za wszelką cenę, gdyż bez względu na to, jak potoczą się sprawy, wszystko zmierzało ku katastrofie, ona zaś była w to rozpaczliwie uwikłana.



Wyczerpana fizycznie i duchowo w końcu zasnęła, choć się przed tym broniła. Zrezygnowana osunęła się na oklapnięte łóżko. Strzępy różowej polonezki posłużyły jako poduszka i ochroniły Brienne przed bezpośrednim zetknięciem ze zbutwiałym, cuchnącym piernatem. Zwinęła się w kłębek, starając się odegnać zimno i poczucie osamotnienia. Żeby się nieco pocieszyć, przysięgła sobie, że na pewno stąd ucieknie, już jutro! Zapadając w sen, myślała o swoim starym domu w Tenby: przypominała sobie wzorzyste ściany pokoju od ulicy i huczący wesoło na kominku ogień, który zawsze bronił jej przed chłodem.

Brienne nie wiedziała, że nieco później do łóżka przybył nowy lokator. Nie poczuła nawet, że materac zakotłosał się, gdy Orillon na niego wskoczył. Kiedy jednak zwierzak skulił się obok niej, ogarnęło ją miłe ciepło; jemu zaś psi instynkt podpowiedział, że zupełnie nie ma sensu, by oboje marzli.



Tego wieczoru kuchnia w Osterley przypominała dom wariatów. Kucharka uwijała się jak szalona przy piecu, starając się, by na każdą, nawet najprostszą potrawę warto było rzucić okiem i zapragnąć jej spróbować. Cała służba – od lokaja do pokojówki – ciągle się tu kręciła. Każdy przynosił jakąś ploteczkę na temat nowego pana i jego upodobań. Nawet najędźniejsza pomywaczka nadstawiała ucha; wszyscy wiedzieli jakie to dla nich ważne, by Avenel Slane był w dobrym humorze.

– Lepiej uważaj, ty leniuchu, bo dostaniesz kopniaka w tyłek i wywalą cię na bruk, Annie! – Fergie McInnis wniósł ciężki wór jęczmiennej kaszy i postawił go przy tylnej ścianie kuchni. Sam stanął obok niego i w milczeniu obserwował Annie, która zajadała wielką maślaną bułkę.

– Niech cię o to głowa nie boli, Fergie! – Annie odgryzła jeszcze jeden kęs i niedbale go żuła.

– On sobie tego specjalnie zażyczył, Annie! – odezwała się kucharka, starannie skrobiąc młodą marchewkę. – Dla nas wszystkich to wóz albo przewóz! Cała jestem w nerwach, odkąd się tu zjawił. Musimy się mu przypodobać, nie ma rady! Dotąd rozkazał tylko jedno, i to właśnie tobie, dziewucho. Wszystkim nam zależy, żebyś zrobiła, co trzeba.

– Zrobię, jak zechcę! – odparła Annie, kipiąc z gniewu. Wrzuciła resztki bułki do ognia i przyglądała się, jak ciasto dymi i płonie. – Co też mu do głowy strzeliło?! Mam usługiwać tej tam w stajni? Po moim trupie!

– To lady Brienne, córka pana hrabiego. Co to za hańba jej usługiwać? Może ktoś jej równy miałby z tego despekt... No, ale z ciebie



żadna harystokratka! – Kucharka skończyła skrobanie marchewki i zmieniła temat. Wrzuciła marchew do osolonej wody, po czym zwróciła się słodziutko do męża:

– Fergie, mój kochasiu! Strasznie mi przykro, że tak cię dziś piłuję... ale, widzisz: ciastka mi się popaliły i chleb nie wyrósł jak należy... A teraz mi potrzeba ze dwa funty cukru... więc skocz po niego, co? – Popatrzyła na swego męża, zwalistego Celta, i zatrzepotała rzęsami zbyt zalotnie jak na swe pięćdziesiąt trzy lata. Fergie jednak zaczerwienił się, mile zdziwiony nagłą przychylnością żony, i skoczył radośnie wypełnić jej rozkaz.

– Teraz może nie, ale potem? Kto wie?... – odparła wreszcie Annie z zarozumiałym uśmiechem. Wydęła przy tym górną wargę, nad którą ku jej dumie i radości widniały trzy pieprzyki. Im to właśnie zawdzięczała swą opinię „rozpustnej dziewczuchy”. Ten epitet wcale jej nie gniewał, była z niego szczerze dumna.

– Będziesz harystokratką?! – Kucharka spojrzała na nią srogo. – Co też ci się roi, Annie Peters?!

– Nie dam sobą pomiatać, i tyle!

– Lepiej spuść z tonu, bo lady Brienne pewnie czeka już na ciebie w stajni. Nie wiem, co za zabawę sobie wymyślili z nowym panem, ale wszystko na tobie się skrupi, jak nie zrobisz, co ci każą! – Kucharka raz jeszcze spojrzała na nią srogo i odwróciła się do marchewek, bo już zaczęły kipieć.

– Kto na tym straci, jeśli nie pójdę? Chyba tylko lady Brienne! A ona się nie liczy: lord Oliver nie zwracał sobie nią głowy, a ten nowy wyrzucił ją do stajni!

Nie doczekawszy się odpowiedzi od kucharki, która była zbyt zajęta, by jej słuchać, Annie rzuciła na nią okiem i opuściła wielką kuchnię. Znalazłszy się w swoim pokoiku, zaciągnęła ubranie i weszła pod kołdrę. Zasnęła od razu. Nie zaprzętała sobie wcale głowy Brienne Morrow.

## 6

Następnego dnia wczesnie rano, gdy płowa równina tonęła jeszcze we mgle, obudziło Brienne grubiańskie walenie do drzwi. Otworzyła oczy, ujrzała Avenela: wszedł do izby i stojąc koło drzwi, wpatrywał się w nią.

Ze znużeniem uniosła się nieco na łóżku, przybierając bardziej dostojną pozę. Miała ochotę ofuknąć go za bezceremonialne wtargnięcie. Potem jednak ujrzała rozciągniętego obok niej Orillona. Leżał tak blisko, że jej długie, ciemnorude loki spletały się z jego lśniącem, białym futrem. Pies spojrzał na nią i zaczął energicznie uderzać wielkim ogonem o brudny piernat, wzbijając w powietrze tumany kurzu.

– Cóż to ma znaczyć? – Spojrzała na Avenela niezbyt jeszcze przytomnymi, zaspanymi oczami. Zauważyła, że jest zły, ale nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Nie próbowała przecież uciec; nie opuściła stajni przez całą noc!

Nie wyjaśnił ani słówkiem swego dziwnego zachowania. Stał po prostu ze wściekłą miną. Nie umknął mu żaden szczegół jej wyglądu: lśniące, rozwichrzone we śnie włosy, rozluźniony gorset i czarna smuga na policzku, którym dotknęła brudnego materaca.

– Czy ktoś się tu zjawił? – spytał nagle, a oczy błysnęły mu jak bryłki lodu.

– O dziwo, nie miałam gości. – Brienne wstała i obciągnęła swą fioletową wełnianą suknię najporządniej, jak mogła; trudno to było zrobić, nie poprawiając jednocześnie gorsetu. – Nie licząc, oczywiście, pańskiego parszywego kundla. No i pan zjawia się tu stanowczo zbyt często jak na mój gust. – Odwróciła się od niego i na próżno starała się dyskretnie zaciągnąć gorset. Gdy jej się to nie udało, dorzuciła zrzędnym tonem: – Nie ma pan na tyle przyzwoitości, by zostawić mnie w spokoju, gdy jestem w negliżu?

– Rzadko miewam okazję zobaczyć coś takiego! – Usłyszała jego śmiech i odwróciwszy się, zmierzyła go zimnym wzrokiem.

– Już wczoraj przekonałam się, że jest pan potworem i nie ma ani krzty ogłady! – Patrzyła mu prosto w twarz, ale cofnęła się o dwa kroki, czując się jak ostatni tchórz. Podciągnęła rękaw sukni, który opadł, obnażając kremowe ramię i – co gorsza – wypukłość piersi.

Jej ostatnia uwaga rozśmieszyła Avenela jeszcze bardziej. Powiedział:

– Myślałem, że nasz pocałunek w galerii był całkiem przyzwoity. Czy mam dać kolejną próbkę swych dobrych manier?

– Nie, nie! Tylko by pan udowodnił ich brak! – odparła pospiesznie drwiącym tonem w nadziei, że Slane wyniesie się i zostawi ją w spokoju.

– Możliwe... – Uśmiechnął się i przysunął jeszcze bliżej. – Ale przecież angielska dziewczyna nie powinna spodziewać się dwornych manier od dzikusa z kolonii!

– Z kolonii?! Jest pan Anglikiem tak samo jak ja! – zawołała zdumiona.

– To prawda, mam w sobie brytyjską krew. Kto wie, czy nie w lepszym gatunku niż pani! – odparł z namysłem. – Ale jestem również Amerykaninem: urodziłem się i wychowałem w pięknym Maryland.

– Wobec tego nie dziwię się już, że z pana taki barbarzyńca! Wychować się na tym wojowniczym, dzikim, przeklętym kontynencie! Słyszałam, że nawet najbogatsi Amerykanie żyją jak chłopci z ubiegłego stulecia, są równie prostacy i zacofani! – Uniosła wyniośle głowę. Serce jej przepęniała radość, że mimo wszelkich niedoli mogła się pochwalić swym angielskim wychowaniem.

– Ma pani rację. Tacy z nich prostacy, że potraciliby całkiem głowy na widok pani wytwornych szat. – Pociągnął luźny płat wierzchniej sukni tak, że widać było wyraźnie jej wystrzępioną falbankę, a pod nią zniszczoną, niczym nieprzyozdobioną spódnicę z tej samej fiołkowej wełny. – Proszę zdradzić, lady Brienne, w czym kryje się sekret pani elegancji? Pewien jestem, że pani zaniedbane amerykańskie siostrzyce chętnie by się dowiedziały, jak osiągnąć takie szczyty dobrego smaku!

– Niech pan przestanie! Natychmiast! – zawołała, czerwieniąc się od czoła aż po piersi. – Może to nie najelegantsza toaleta, ale przynajmniej nie jestem amerykańską dzikuską! – Wyszarpnęła z jego palców wełnianą suknię. Z najwyższym trudem powstrzymała się, by go znowu nie uderzyć.

– Dzikuską! – wykrzyknął, jakby nie wierzył własnym uszom. – W takim razie dzikuska to synonim urody i serca! O tak, amerykańskie kobiety w niczym nie przypominają wyblakłych, niemrawych, skamlących stworzeń, które wy, Anglicy, zwiecie „płcią piękną”! Co w nich pięknego? Moja arabska klacz bije je na głowę!

– Wyblakłe i niemrawe? – wyszczała Brienne. Była zbyt wściekła, by krzyżeć. Popatrzyła na niego bez słowa, z wyrazem najwyższej pogardy. On zaś ponownie wybuchnął zupełnie nieodpowiednim śmiechem.

– Nie mówię o pani, dziki kwiatuszku! Jest pani wyjątkiem. Pyszna jak królowa, co? Ale w jak opłakanym stanie musi być pani królestwo!... – Przesunął silną, stwardniałą od pracy ręką po jej rozwichrzonych, splątanych włosach i delikatnie dotknął policzka, do którego przylgnął brud z łóżka. Brienne cofnęła się pod jego dotknięciem; Avenel zauważył to i zadumał się. – Niech się pani doprowadzi do porządku. Każę pokojówce przygotować kąpiel dla pani i przynieść śniadanie do pokoju... do pani sypialni we dworze.

– Nie mam zamiaru wracać do dworu! Odchodzę stąd! Zapowiedziałam już wczoraj: nie zdoła mnie pan tu zatrzymać! – Spojrzała na niego z buntem. Wiedziała, że jest mała – zwłaszcza w porównaniu z nim! Przysięgła sobie jednak, że bez względu na swój wzrost nie pozwoli się więzić.

– A gdzie są fundusze umożliwiające dalszą podróż?

– Wystarczy mi, to co mam! Nie jest tego wiele, ale dojadę, dokąd trzeba.

Pomyślała o grzebieniu matki i poczuła ból na myśl, że musi się z nim rozstać. Nielatwo będzie go sprzedać, ale znacznie trudniej byłoby zostać w Osterley z tym barbarzyńcą z kolonii i perspektywą przyjazdu ojca, wiszącą nad nią jak groźna chmura. Westchnęła cicho i powiedziała:

– Może zechce pan stąd wyjść? Chciałabym ukończyć toaletę...

– Czy przypadkiem nie wiąże pani swych planów z tym drobiazgiem? – Avenel sięgnął ręką do kieszeni kamizelki i wyjął błyszczący złoty grzebień ozdobiony ośmioma dużymi, prostokątnymi ametystami i dwudziestoma maleńkimi brylancikami. Brienne nie zdołała powstrzymać jęku. Nie bacząc na opadającą suknię, podbiegła do swej torby i przetrząsnęła jej zawartość, rozpaczliwie usiłując odnaleźć matczyne klejnoty. Nie znalazłszy go, zaczęła szukać miniatury i na szczęście dostrzegła ją w fałdach chusteczki.

– Niech pan odda grzebień! To zwykła kradzież! – krzyknęła w bezsilnym gniewie.

– Kradzież? Jeden z moich ludzi znalazł grzebyk za bramą; pewnie jakaś roztargniona pannica go zgubiła. Chce pani powiedzieć, że ta błyskotka należy do niej? – sztychł.

– Dobrze pan o tym wie! Proszę mi go oddać! To wszystko, co posiadam.

– Jeden powód więcej, bym zatrzymał ten drobiazg. To kosztowne cacko. Cenniejsze niż pani sądzi – dodał tajemniczo.

– Musi pan zwrócić! To moje! – Starła się opanować, ale okazało się to zbyt trudne: w jej głosie brzmiała rozpacz. Oboje doskonale wiedzieli, że bez tego grzebienia nie zdoła opuścić Osterley Park.

– Proszę to udowodnić.

Gdy odpowiedzią Brienne było uparte milczenie, Avenel spojrzął na nią. Na jego zmiennej twarzy znów pojawiła się wrogość. Dziewczyna raz jeszcze spróbowała drżącymi palcami doprowadzić suknię do porządku; przeszkadzała jej jednak świadomość, że Slane ujrzał już stanowczo za wiele, znacznie więcej, niż gdyby była porządnie zasznurowana.

– To moje! – powtórzyła, widząc, że zabiera się do odejścia.

Nim wyszedł, schował znów grzebień bezpiecznie do kieszeni, mówiąc przy tym:

– Gorąca kąpiel i śniadanie będą czekały na panią w żółtej sypialni, kiedy tylko zechce pani tam wrócić.

Opuścił ją, zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodach do stajni. Klnąc pod nosem, obserwowała przez oprawne w ołów brudne szybki, jak Avenel zmierza przez dziedziniec do domu. W końcu zniknął w portyku. Brienne patrzyła jednak nadal w tamtym kierunku, póki kapryśne poranne słońce nie rozpedziło do reszty mgły, by skryć się niebawem za grubą warstwą szarych chmur.



W ogólnej izbie dla służby w najniższej części domu zapanowała cisza jak w rzymskich katakumbach, gdy Avenel się tam zjawił.

– Dzień dobry, jaśnie panie! Czym możemy panu służyć? – Z milczącej ciszy wynurzył się Fergie, przytknął palec do swej peruki z jagnięcej wełny i czekał na odpowiedź chlebobdawcy.

– Chcę zamienić kilka słów z pokojówką Annie – odparł Avenel, hamując gniew. Rozejrzał się po twarzach, ale nie dostrzegł tej, której szukał.

– To łajdus dziewczyna.

– Zamknij gębę, Fergie! – wrzasnęła z oburzeniem Annie, wysuwając się wreszcie do przodu. Była wystarczająco próżna, by wierzyć, że Avenel szuka jej z innego powodu, niż aby ją zwolnić.

– A, jesteś tu, Annie. Zabieraj swoje rzeczy i chodź ze mną. – Avenel zmierzył doświadczonego okiem piersiastą figurkę i pomyślał, że niebawem wszystkie te sprężyste okrągłości zginą pod grubą warstwą słoniny.

– Z miłą chęcią. – Annie uśmiechnęła z wyższością do kucharki i zawróciła po swój kuferek. Pani McInnis przyglądała się jej ze szczerą troską; to głupie dziewczysko nie wiedziało, co się święci!

– Annie ma swoje wady, ale w gruncie rzeczy to poczciwa dziewczyna, jaśnie panie – próbowała jej bronić kucharka.

– Pozwala sobie na fochy. Obejdziemy się bez niej – odparł cierpko Avenel, wyraźnie rozgniewany. – Żądam posłuszeństwa. Czy to jasne?

– Tak, jaśnie panie. – Kucharka cofnęła się. Annie powtórnie przejechała się przez tłum.

– Jestem gotowa, psze pana. – Popatrzyła na niego wyczekująco.

– Wobec tego zabieraj się stąd. Hans odstawi cię do bramy, da ci trochę pieniędzy i szczęśliwej drogi. – Avenel odwrócił się, by odejść.

– Co? To się już panu nie przydam?! Co za draństwo! – wrzasnęła Annie, pojmując nareszcie, co się dzieje. – Przecież lepsza od całej reszty! Wystarczy spojrzeć na Maurę albo na Peg! – Wskazała na inne pokoiki stojące w tłumie. – To przecież ostatnia hołota, jak zresztą wszystkie! Nie może mnie pan wyrzucić!

– Właśnie to zrobiłem. I to bez żalu. No, Hans! – spojrzał na swego krzepkiego, jasnowłosego pomocnika. Na dany znak Hans wyprowadził z domu dziewczynę, która wrzeszczała mściwie:

– Lord Oliver jeszcze o tym usłyszy! A jak wróci tu do Osterley, to ja razem z nim! Zapłacisz mi za to! Byłam jego ulubienicą, słyszysz? Ulubienicą!

– Nie mówiłem, że to łajdus? – odezwał się półgłosem Fergie, gdy uciły wreszcie krzyki Annie.

– Jestem skłonny przyznać ci rację – mruknął Avenel i wyszedł.



Dopiero późnym wieczorem Brienne poddała się i wróciła do wygodnych pokoi w Osterley Park. Potrafiła znieść głód i dręczący ją niepokój, ale pokonała ją ostatecznie zimno. Kiedy o zmierzchu w stajni zrobiło się lodowato, wyobraziła sobie kolejną noc na zapadniętym łożku. Sama myśl o tym wydała się jej nieznośna. Zabrała więc swą torbę oraz – nie wiedzieć czemu – brudną i poszarpaną polonezkę i wróciła do domu.

Dwaj starzy lokaje otworzyli dyskretnie duże oszklone drzwi od strony dziedzińca, zupełnie jakby czekali na przybycie Brienne. Spojrzała na nich wilkiem, jakby chciała powiedzieć: „A więc i wy dołączyliście do moich wrogów!” Obaj odwrócili wzrok, nie odważyli się przyjąć wyzwania. Rada z tego małego triumfu udała się na górę do żółtej sypialni. Na szczęście, nie spotkała nikogo po drodze.

Wszedłszy do pokoju, zdumiała się zmianą, jaka w nim zaszła. Co prawda umeblowanie pozostało bez zmian, począwszy od kotar przy łożku i zasłon w oknach z jedwabnej tafty malowanej w chińskie deseń, a kończąc na meblach z żółtodrzewu, ozdobionych inkrustacją z motywem zielonych liści akantu. Jednak atmosfera panująca obecnie w pokoju różniła się całkowicie od poprzedniej. Na kominku, dawniej wygaszonym i pustym, płonął i trząsał wesoło ogień. Obok stała miedziana wanna i kociołek napełniony po brzegi gorącą wodą. W powietrzu unosił się zapach kapryfolium i jaśminu. Stolik przykryto śnieżnym obrusem; stały na nim cztery półmiski z pokrywami. W porządkie wyczyszczonych srebrnych sztućcach odbijał się czerwonawy blask ognia.

W pierwszej chwili Brienne pomyślała, że trafiła przez pomyłkę do pokoju przygotowanego dla Avenela, ale zaraz zmieniła zdanie: sądząc z barw i zapachów była to niewątpliwie kobieca sypialnia. Poza tym nowy właściciel Osterley zajął z pewnością paradną sypialnię na parterze. Zmieszanie Brienne jeszcze wzrosło na widok drobnej, ciemnowłosej kobiety, która wynurzyła się z gotowalni.

– Ach! *Vous êtes* lady Brienne! Ja jestem Vivie. Ja... – małej Francuzeczce wyraźnie brakło słów – *je suis...* Ach... Ja jestem *votre nouvelle fille de chambre*. Ach!... – Westchnęła cicho i ciągnęła dalej z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. – Proszę wybaczyć, mademoiselle. Mój angielski nie za dobry.

Z tymi słowami pokojówka podeszła do Brienne, wyjęła jej z rąk torbę i położyła ją na jednym z barwnych foteli z bukowego drzewa, które stały pod ścianą.

– Jesteś nową pokojówką? Co się stało z Annie? – spytała Brienne po francusku. Lady Grace bardzo zależało na tym, by córka opanowała jak najlepiej ten język; uważała go za podstawę wykształcenia młodej damy.

– Jak to cudownie, że mademoiselle mówi po francusku! Kiedy jestem zdenerwowana, angielski strasznie mi się płacze! – odparła Vivie w swym ojczyznym języku i uśmiechnęła się z ulgą. – A to, o co mademoiselle pyta... ja przyjechałam dzisiaj z Londynu. Pan Slane sprowadził mnie tu dla pani. Co to był za pośpiech! Jeszcze nigdy tak szybko nie podróżowałam! A co do tej Annie, to nie wiem, gdzie się podziała. Nie spotkałam tu nikogo o tym imieniu. Mam jej poszukać?

– Nie, nie! Przypuszczam, że ma teraz nowe... obowiązki. – Brienne poczuła dziwne ukłucie w sercu; pomyślała przelotnie, że nowe obowiązki Annie związane są z sypialnią pana domu.

– Ale ja tylko gadam i gadam, mademoiselle, a najwyższa pora zająć się panią! – Vivie zabrała się do pracy. Rozłożyła lniane ręczniki, wlała do wanny parującą wodę ze stojącego obok kominka mosiężnego kotła, a potem pomogła zdjąć brudne ubranie zaskoczonyj Brienne, która nie przywykła do takich usług.

Zdając się całkowicie na Vivie, Brienne pozwoliła zaprowadzić się do wanny. Zziębnięte palce i stopy tajały rozkosznie w gorącej, perfumowanej wodzie, a mała pokojówka szorowała jej plecy i obficie mydliła długie, gęste włosy swej pani. Potem wylała Brienne na głowę mnóstwo cudownej, ciepłej wody, splukując z jej ciała i włosów pachnącą, mydlaną pianę.

W końcu zawinęła Brienne w ogromne, lniane ręczniki i zajęła się jej mokrymi lokami, rozczesując je przy kominku, by szybciej wyschły.



Dopiero wówczas Brienne zadała dziewczynie kilka pytań, które nie dawały jej spokoju.

– Co pan Slane powiedział ci na mój temat, Vivie? To znaczy... jak określił nasze wzajemne... – Brienne mówiła po francusku z największą łatwością, ale temat okazał się zbyt krępujący. Urwała.

– Nie powiedział ani słowa, mademoiselle! Proszę się nie martwić. – Vivie przerwała na chwilę rozczesywanie włosów i podała swej pani czystą białą koszulę nocną oraz stary szlafrok z szaroniebieskiej wełny. Pomógłszy jej przy ubieraniu, pokojówka podeszła do stołu. Zdjęła srebrne pokrywy z półmisków i umiejętnie nałożyła różne pyszności na talerze z sewskiej porcelany.

– Vivie – odezwała się Brienne, przyglądając się przygotowanym do obiadu. – Pewnie myślisz, że jestem jego...

– Nic mi pani nie musi wyjaśniać, mademoiselle! Jestem przecież Francuzką. Francuskie dziewczęta doskonale się znają na tych sprawach. Trafiła pani na wspaniałego mężczyznę! Słyszałam, że jest dobry i hojny... i prawdziwy z niego Adonis! Czego więcej można chcieć? Dostać się pod czułą opiekę kogoś takiego jak on...

– Nie! To wcale nie tak! Nie jestem jego kochanką! Widzisz, Vivie, on mnie więzi...

No właśnie, pomyślała Brienne, gdy głos jej się załamał. Więzi mnie tutaj! Zrozum... – ciągnęła dalej w duchu swą orację. On mnie tu trzyma wbrew mej woli. Ma w tym jakiś cel, ale jeszcze nie wiem jaki... I choć pewnie dobrze ci płaci i rzeczywiście jest przystojny i męski jak mało kto, w gruncie rzeczy to potwór i...

Westchnęła głęboko. Dobrze wiedziała, że nie ma sensu opowiadać tego wszystkiego słodkiej Francuzeczce. Albo Vivie uzna to za absolutne łągarstwo, którym jej pani – kochanka Avenela – stara się zamydlić ludziom oczy, albo też nowa pokojówka podobnie jak Annie potraktuje ją jak wariatkę.

Vivie podała obiad na tacy, ale Brienne nie miała zbyt wielkiego apetytu w tej niezwykłej sytuacji.

– Proszę zjeść choć odrobinę, mademoiselle! – Vivie obserwowała ją z niepokojem jak kochająca matka córkę, którą czeka właśnie noc poślubna. – Nie powinna pani za bardzo schudnąć! – Zmierzyła ją okiem znawcy i przeszła do gotowalni, by rozpakować tam ubłoconą torbę z rzeczami swej pani.

Brienne spróbowała flaczków, ale znacznie bardziej przypadło jej do gustu czerwone wino. W końcu z kieliszkiem w dłoni zasiadła z powrotem na sofie, która została przysunięta bliżej ognia. Niebawem zaczął ją



morzyć sen. Przez cały dzień zadreżczała się bezowocnym snuciem planów.

Wracając pamięcią do poranka, Brienne przypomniała sobie, jak krążyła niespokojnie po izdebce nad stajnią, próbując bezskutecznie znaleźć jakiś sposób ucieczki. Myślała nawet o wykradzeniu konia, choć wiedziała, że daleko na nim nie zajędzie: nie miała pojęcia o konnej jeździe.

Później, gdy minęło południe, spróbowała wymknąć się na piechotę. Zeszła na dół, a potem z torbą w rękę starała się przemknąć nieopstrzeżenie – krok za krokiem – przez dziedziniec koło stajni, potem wzdłuż tylnej ściany domu, kierując się na zachód, ku lasom. Próba ta nie zakończyła się kompletną klęską; nikt brutalnie nie zawrócił jej z drogi. Jednak samą Brienne ogarnęły wątpliwości, gdy lodowaty, zimowy wiatr zakradł się jej pod spódnice, a mróz zaczął szczypać w policzki. Dokąd pójdzie?... Nie miała pieniędzy na wynajęcie najtańszej choćby kwatery. Nie miała nawet na powrót dyliżansem do Tenby.

W tym momencie duchowego niepokoju odwróciła się i popatrzyła na dwór. Wielki murowany budynek zdawał się ją przyzywać. Tu miała przynajmniej ogień na kominku i coś do jedzenia. Potem zobaczyła Avenela Slane'a. Wyglądał z okna galerii, która ciągnęła się przez całą szerokość tylnej ściany budynku. Patrzył stamtąd na Brienne z twardym wyrazem twarzy, zaciśnięte usta tworzyły ponurą kreskę. Ich spojrzenia się spotkały; zrozumiała, dlaczego obserwował ją tylko z okna, nie wychodząc na mróz, nie usiłując sprowadzić zbiega z powrotem. Bynajmniej nie w nagłym przystępie wyrozumiałości! Po prostu zorientował się – znacznie szybciej niż Brienne – że dziewczyna będzie musiała zrezygnować z ucieczki. Znalazła się w pułapce. Nie zatrzymały jej w Osterley Park zamknięte drzwi, groźby czy dwóch osiłków przy bramie, ale absolutny brak pieniędzy. Nie mogła nawet marzyć o ucieczce bez cennego grzebienia. Avenel nie wątpił, że Brienne wróci, by go odzyskać.

Po zziębniętych policzkach pociekły pałace łzy. W bezsilnym gniewie odwróciła się i odeszła, by wróg nie był świadkiem jej porażki. Nigdy nie miała skłonności do płaczu ani do folgowania nerwom. Ale to było dawniej, zanim ten człowiek zjawił się w Osterley Park. W ciągu jednego dnia wszystko w niej uległo przeobrażeniu pod wpływem zaskoczenia, zdenerwowania, niepewności i strachu, wywołanych jego przybyciem.

Była teraz sama na wielkim, pustym trawniku za domem. Stała bez ruchu. Kiedy łzy przestały płynąć, uniosła dumnie głowę, choć ogarnęło ją uczucie beznadziejności, i wróciła do izdebki nad stajnią. Dostrzegła

po drodze, że w oknie galerii nie ma już jej wroga. Czuła jednak, że Avenel nadal ją obserwuje.

Teraz leżała skulona i senna na jasnożółtej sofie i w dalszym ciągu próbowała obmyślić jakiś plan ucieczki. Wiedziała, że przede wszystkim musi odzyskać grzebyk. Stało się to dla niej całkowicie jasne już wówczas, gdy w pustym parku walczyła ze łzami. Dopiero po odzyskaniu grzebienia będzie miała szanse ucieczki. W tym punkcie logiczny tok jej rozważań zakłóciło wino: w swej kompletnej nieświadomości nadużyła mocnego burgunda. Pod jego wpływem pomyślała optymistycznie, że wkrótce pożegna się na zawsze z Osterley Park i z Avenelem Slane'em.

Pocieszona tą myślą wypila resztkę wina i odstawiła kieliszek na brukselski dywan. Ocienione gęstymi rzęsami powieki przesłoniły oczy i Brienne zapadła w głęboki sen. Nie miała pojęcia, że Vivie zajrzała do jej sypialni, nim sama udała się na spoczynek.

## 7

**T**rzy dni napiętego oczekiwania... Tyle Brienne musiała odczekać, nim ujrzała, że Avenel opuszcza rezydencję. Nie było sensu wychodzić z sypialni, póki przebywał w domu. Z pewnością strzegł zazdrośnie skradzionego jej grzebienia. Teraz jednak nadarzała się okazja!

Obserwowała skrycie Avenela przez zasłony z malowanej tafty, zakrywające okna jej pokoju. Zmierzał butnym krokiem do stajni, nie zaprzatając sobie głowy ani nią, ani jej problemami. Tak to przynajmniej wygląda – pomyślała z irytacją. Był wyjątkowo piękny zimowy dzień; po lazorowym niebie szybowoła zaledwie kilka puszystych obłoczków. Avenel najwidoczniej postanowił wykorzystać wspaniałą pogodę i pojeździć sobie konno. Brienne z okna swego pokoju widziała, jak słońce odbija się w jego doskonale wyczyszczonych czarnych butach. We włosach Avenela, związanych porządnie czarną jedwabną wstążeczką, zapalały się niebieskawe światełka. Poleciał nowemu stajennemu, by przyprowadził mu osiodłanego konia i podziękował chłopcu uśmiechem. Błysnęły równe, białe zęby. Kobięcy instykt podszeptnął Brienne, że bez wątplenia wiele kobiet na obu kontynentach myśli w tej chwili o tym człowieku. Wypoczęty, uśmiechnięty, zachwycony słońcem i oczekujący niecierpliwie przejażdżki miał w sobie coś chłopięcego i Brienne musiała to wbrew woli przyznać – był bardzo pociągający.

Dość tych rozważań! Odskoczyła nerwowo od okna; zasłony opadły na dawne miejsce. Musi odzyskać grzebień, a czasu ma niezbyt wiele!

Wymknęła się ze swego pokoju i na palcach zesłała głównymi schodami. Starzy lokaje tkwili w hallu równie uparcie jak starożytne rzymskie posągi ustawione pod ścianą. Popatrzyli na Brienne, ona jednak nie zważała na ich puste, nieruchome oczy i z rozmysłem skierowała się południowym korytarzem w stronę salonu. Doszedłszy do niego, opuściła pasaż i przechodząc z pokoju do pokoju, dotarła do paradnej sypialni, unikając w ten sposób spotkania ze służącymi, na których mogłaby natknąć się na korytarzu.

Nie zwracając uwagi na purpurowe gobeliny, pokrywające ściany urządzonego z przepychem pokoju, skierowała się od razu do sąsiadującej z nim sypialni pana domu. Nerwy jej były napięte jak struny, gdy tam wchodziła i rozglądała się po jej wnętrzu. Nikt nie może jej tu przyłapać! Stanowczym ruchem zamknęła za sobą drzwi i stanąwszy tuż za progiem, odetchnęła głęboko parę razy.

Była już niejednokrotnie w tym pokoju i jego wspaniałość zawsze ją zdumiewała. Teraz jednak sypialnia ożyła i wydawała się jeszcze piękniejsza. Ilekroć Brienne zaglądała tu w ubiegłym miesiącu, pokój robił ponure, przytłaczające wrażenie. Obecnie uderzyło ją piękno ściennych draperii z zielonego aksamitu o różnych odcieniach i zatrwajająca wprost wspaniałość królewskiego łoża; wznosił się nad nim kopulasty baldachim, wsparty na ośmiu malowanych i lakierowanych kolumnach o złotych kapitelach. Nie chcąc tracić cennego czasu, Brienne oderwała wzrok od łoża i odpędziła od siebie niespokojne myśli.

Sprawdziła, czy drzwi na korytarz są starannie zamknięte: oczy wścibskiej służby potrafiły wszystko dostrzec. Uznała, że najlepiej rozpocząć przeszukiwanie sypialni od lakierowanej komody. Podeszła do niej, otworzyła górną szufladę i przerzuciła jej zawartość: chusteczki Slane'a, zwykła cynowa tabakierka, kilka par białych jedwabnych pończoch i masywny grzebień z szylkretu, na którym pozostały dwa czy trzy lśniące, długie, czarne włosy. Złotego grzebyka jednak nie znalazła.

Otwierała jedną szufladę po drugiej. Pełno w nich było białych, znakomicie wyprasowanych koszul z lnu. Przerzucała je, nie zważając na to, że będą pomięte. Pragnęła rozpaczliwie, by jej ryzykowna eskapada nie okazała się fiaskiem. Nie znalazła jednak wśród koszul lśniącego złotem i ametystami grzebienia. Jęknęła z niepokoju i bezsilnego gniewu, po czym rozejrzała się znów po pokoju: gdzie też można ukryć grzebyk?... Paradne łoże zajmowało jednak tyle miejsca, że w sypialni nie było wiele sprzętów. Brienne przeklinała w duchu tę olbrzymią konstrukcję. Ogrom łoża

nabrał dla niej nowego znaczenia pod wpływem niepokojących myśli, które Avenel rozbudził w niej owego ranka. Groźny mebel wprawiał ją w popłoch: uciec, uciec jak najdalej od tego człowieka!

Z wysiłkiem przeniosła wzrok na kufry, spiętrzone jeden na drugim pod północną ścianą. Widocznie zostały opróżnione i miano je wkrótce przenieść do schowka. Brienne z ulgą oddaliła się od łoża i zabrała się do leżącego na samej górze obitego skórą kufra, próbując ściągnąć go ze stosu. Przekonała się wkrótce, że jest dla niej zbyt ciężki. Grzmotnął o ziemię z ogluszającym hukiem. Serce jej się rozszalało w piersi; była pewna, że zaraz wpadnie tu zgraja służby i przyłapie ją na gorącym uczynku. Minęło jednak kilka minut i nic się nie działo. W ciszy słyszała tylko spokojne, równomierne tykanie stojącego na kominku francuskiego zegara.

Odetchnęła z niezmierną ulgą i usiadła po turecku na skraju kobierca z epoki Tudorów, podkreślającego jeszcze wspaniałość łoża. Postukiwała w wieko, podważała zamki, aż wreszcie udało jej się otworzyć kufer. Przekonała się jednak, że jest całkiem pusty. Była ogromnie rozczarowana.

Odepchnąwszy go z niesmakiem, zabrała się do następnego. Tym razem wiedziała, co ją czeka, więc objęła mocno kufer ramionami. Ledwie jednak chwyciła go zdecydowanym ruchem, usłyszała nagle groźny odgłos: po marmurowej podłodze pasażu zmierzał w jej stronę ktoś w butach do konnej jazdy. Strach przeszył Brienne jak piorun. Kufer wysunął się jej z rąk i upadł z wielkim trzaskiem na podłogę. Nieprzytomna ze strachu Brienne wsłuchiwała się w kroki. Nie stały się jednak szybsze; przybliżały się z doprowadzającym do szału spokojem, złowróżbną równomiernością. Potwierdzało to jej najgorsze obawy. Było to ponad siły Brienne!

Przedarła się jakoś przez stos kufków, nie potknąwszy się (na szczęście!) o żadne otwarte wieko; wiedziała, że zdąży zniknąć w pokoju z gobelinami, nim ten ktoś z korytarza wejdzie do sypialni. Kiedy jednak dotarła do właściwych drzwi, przekonała się, że nie wiedzieć jakim cudem zaklinowały się po jej wejściu do sypialni. Daremnie pchała je i mocowała się z ozdobnym zamkiem. Nie ustąpiły. Znalazła się w pułapce bez wyjścia.

– Tego pani szukała? – Avenel stał na progu, wypełniając swą potężną postacią odzwia. Trzymał w dwóch palcach złoty grzebień i wymachiwał nim prowokacyjnie.

– Niech pana diabli porwą! Miał pan przecież jeździć konno! – syknęła Brienne, opierając się plecami o zamknięte drzwi. Wyczuwała

każdą ich deskę. W gardle jej zaschło. Przełknęła kilka razy ślinę, żeby je zwilżyć.

– No, no! Skąd pani wie, że wybierałem się na przejażdżkę? Czyżby mnie pani szpiegowała? A myślałem, że pani specjalność to kradzieże! – Bez pośpiechu wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi na korytarz z taką stanowczością, że Brienne musiała zamknąć oczy, by nie krzyknąć ze strachu. Widziała już raz tego człowieka w gniewie, ale nie był wtedy aż tak wściekły i nie ona go wówczas sprowokowała... Teraz, gdy przyłapał ją na przetrząsaniu jego sypialni, z pewnością ją zabije... albo jeszcze gorzej!... Zmusiła się do otwarcia oczu i ku swemu przerażeniu spostrzegła, że ogromne dotąd łóże stało się wprost monstualne.

Słabsza od niej kobieta z pewnością by zemdlała. Brienne jednak stawiała wrogowi czoła i odezwała się tak spokojnie, jak tylko mogła:

– Nie jestem złodziejką. Przyszłam tu po swoją własność.

– To? – podniósł do góry grzebyk. – Już pani mówiłem, że ten drobiazg znalazł jeden z moich ludzi. – Ruszył w jej stronę niespiesznie, równomiernym krokiem, trzymając błyszczące cacko przed sobą.

– To mój grzebień. Wszystko, co mi pozostało na świecie. – Brienne unosiła głowę coraz wyżej, w miarę jak wróg się zbliżał. Była bardzo blada; nie miała pojęcia, że podkreśla to jeszcze gorącą barwę ciemnorudych włosów i soczystość pełnych, różowych ust. Wyglądała jak urzekająca, spłoszona nimfa leśna, gdy stała tak przy zamkniętych drzwiach w pełnym napięciu oczekiwaniu.

– Jeżeli to wszystko, co pani posiada, lady Brienne, to doprawdy nie jest pani wiele warta. – Z tymi słowy Avenel ujął mocniej grzebyk i wymierzonym ruchem cisnął go na środek przerażającego łóżka. Brienne chciała skoczyć w tamtą stronę, ale Avenel chwycił ją mocno za ramię i odwrócił twarzą ku sobie. Potem jego zmysłowe usta, które przed godziną rozchylały się w chłopięcym uśmiechu, zaatakowały Brienne z zaborczością, o której żaden chłopiec nie ma jeszcze pojęcia. Przerażenie sprawiło, że dziewczyna w pierwszej chwili skamieniała. Stała bez ruchu pod atakiem gniewnych, natarczywych warg; czuła się dziwnie obojętna, jakby to jej nie dotyczyło. Powoli jednak budził się w niej opór. Szarpnęła napastnika za koszulę, która rozchyliła się całkiem, ukazując niepokojąco miękkie i kędzierzawe, czarne włosy. Avenel jednak nie puścił jej. Przysunął się jeszcze bliżej, objął cienką talię Brienne, a potem powiódł dłońmi po jej bokach. Ręce zatrzymały się wreszcie pod pachami, tuż obok jej piersi. Avenel przyciskał się do niej tak mocno, że czuła na swym brzuchu napór jakiejś twardej wypukłości. Jednak pomimo jego natarczywego i despotycznego zachowania nie czuła już strachu ani (o dziwo!) wstrętu.

Całował ją teraz z czułością kochanka. Jego wargi sunęły bez pośpiechu po twarzy Brienne, po jej nieruchomych, zamkniętych powiekach. Budził w niej uczucia, które nie były wcale przerażające. Przypominały ulotne doznania z jej snów. Wszelkie świadome myśli o tym, co się tu dzieje, wydawały się niesłychanie odległe. Nie zdając sobie z tego sprawy, Brienne potraktowała dotyk jego warg na swoich jako coś naturalnego. Zachęciła go nawet, by wtargnął do wnętrza jej ust, rozchylając je instynktownie pod wpływem wewnętrznego impulsu. Gdy poczuła poruszenia jego języka, wszystkie nerwy w niej zapłonęły. Pragnąc czegoś więcej, objęła jego ciemną głowę rękoma i przyciągnęła go do siebie, spragniona tego ognistego, grożącego wybuchem napięcia, które budziło zamęt w jej ciele i potęgowało się nieustannie.

Wreszcie Avenel podniósł głowę; Brienne spostrzegła, że brakuje mu tchu tak samo jak jej. Popatrzył na nią, nie wypuszczając jej z objęć. Na jego twarzy nie było nic prócz lekkiego zdumienia.

– A więc jednak nie boisz się mnie.

Brienne skinęła głową. Jej lśniące, ametystowe oczy były tak blisko oczu Avenela, że widziała srebrne iskierki rozbłyskujące na niebieskich tęczęwkach.

– Piękna jesteś, dziki kwiatku. – Obejmował ją mocno i szeptał w pachnące kapryfolium włosy. – Może raczej ja powinienem obawiać się ciebie?... Twój ojciec spłodził cię widać po to, żebyś mnie urzekła!

Na wspomnienie ojca Brienne wróciła nagle do rzeczywistości. Co ona robi?! Chyba całkiem oszalała! Przecież ten człowiek z pewnością skrzywdzi ją tak, jak Oliver Morrow skrzywdził jej matkę!... W głębi serca czuła jednak, że obaj mężczyźni różnią się od siebie. Uświadomiła sobie, że hrabią władała przede wszystkim złość, chęć zadawania bólu... Avenel Slane wydał jej się o wiele potężniejszy, a przez to jeszcze bardziej przerażający.

Wyrwała się z jego objęć i cofnęła o kilka kroków. Nie czując już żaru bijącego z jego ciała, poczuła się dziwnie pusta i niezaspokojona. Musiała jednak przeciąć to raz na zawsze. Avenel nienawidził jej z powodu jakiejś krzywdy, którą wyrządził mu jej ojciec; wcale tego przed nią nie ukrywał. Jeśli nie będzie ostrożna, zemści się na niej – i nie skończy się tylko na fizycznym bólu!

– Proszę mi oddać mój grzebień. – Brienne starała się mówić spokojnie; nie było to jednak łatwe, gdyż tętno biło jej gwałtownie, a skóra była zaróżowiona i gorąca.

– Bardzo chętnie – odparł, rzucając jej uroczy, szelmowski uśmiech. Wskazał ręką na łożo pod baldachimem. Grzebień Brienne spoczywał na narzucie z jasnozielonego jedwabiu.



– Panie mają pierwszeństwo!

– Nie ma mowy! – oświadczyła stanowczo, spoglądając nerwowo na przeładowaną ozdobami konstrukcję.

– Wobec tego proszę się pożegnać z grzebieniem. – Oparł się plecami o drzwi do przedsionka i spoglądał na nią. Miała na sobie tę samą fioletową wełnianą suknię, tym razem jednak włożyła pod nią halkę w kolorze czerwonego wina, niemal tej samej barwy co jej włosy, upięte w wielki, luźny węzeł i zabezpieczone czarną siateczką.

– Proszę mi powiedzieć, lady Brienne: co w tej błyskotce jest tak cenne? Czemu nie ukraść zamiast niej kilku skarbów, których w tym domu nie brak? – Przeszedł w kąt pokoju, gdzie starożytna waza z lapis lazuli stała na trójnożnym piedestale. Bezceremonialnie wziął do ręki rzymski zabytek, obrócił w dłoniach i znowu popatrzył na Brienne. – Czemu nie zabrać na przykład tego? Ma to ze dwa tysiące lat. Z pewnością dostałaby pani dość grosza, by stąd wyjechać. I wyrządziłaby pani prawdziwą przysługę swemu ojcu, pozbawiając mnie części jego skarbów. No i co pani na to? Czy nie warto spróbować? – Nieoczekiwanie rzucił jej wazę. Brienne schwyciła ją w ostatniej chwili, bezcenny obiekt omal nie roztrzaskał się o podłogę. Dla wszelkiej pewności przycisnęła wazę do piersi. W chwili gdy omal jej nie upuściła, Avenel uniósł kruczą brew; oczy lśniły mu jak srebrne monety.

– To by była kradzież – powiedziała Brienne z oburzeniem.

– Kradzież? A jak nazwać to, co pani zrobiła? Przetrzęsła pani moje rzeczy, zrzuciła kufry na podłogę... Nie, nie! Proszę wymyślić coś lepszego, moja pani! Czemu nie zabrać tej wazy? Prawdę mówiąc, należą już do pani. Proszę ją zatrzymać.

– Dobrze pan wie, że jej nie tknę! – Rozwścieczyła ją nagle ta zabawa w kotka i myszkę. – Cokolwiek bym stąd zabrała, nie zdołam tego sprzedać. Z pewnością wie pan o tym! Każdy, kto ma o tym jakieś pojęcie, rozpozna częśćkę niezrównanej kolekcji z Osterley Park. Wszystko w tym domu, począwszy od klamek u drzwi a skończywszy na pogrzebaczku nosi na sobie piętno stylu architekta Roberta Adama! Natychmiast oskarżono by mnie o kradzież. Bardzo wątpię, czy ująłby się pan za mną i przyznał, że sam ofiarował mi jeden z tych bezcennych skarbów. To doprawdy groteskowy pomysł! Nie mam do pana zaufania i nie zamierzam ryzykować. Nie jestem aż tak naiwna!

W tym momencie Avenel podszedł do niej i wyjął jej z rąk błękitną wazę. Postawił ją ostrożnie na piedestale i roześmiał się.

– A zatem pani jedyną szansą jest odzyskanie grzebienia. Nie myłę się? – Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej. – A więc tak! No cóż:

musi go pani po prostu stąd zabrać. Jeśli się to pani uda, będzie należał do pani. – Odsunął się od Brienne i wpatrywał się w nią, skrzyżowawszy muskularne ramiona na potężnej piersi.

Obserwowała go spod rzęs. Nie ufała temu człowiekowi, ale bardzo jej zależało na grzebieniu. Leżał tak blisko, niemal w zasięgu ręki... Oceniała wzrokiem odległość, jaką musiała przebyć, by dotrzeć do łóżka. Miała do niego o wiele bliżej niż Avenel. Przez mózg przebiegła jej niepokojąca myśl, że jest o wiele szybszy niż ona... Stał jednak na drugim końcu pokoju obok pozłocanego postumentu. Choć nadal obawiała się ryzyka, zrobiła krok w stronę łóżka i obejrzała się na Slane'a, czy się przypadkiem nie poruszył. Stał nieruchomo jak głaz, co jej dodało odwagi. Było jednak w tym bezruchu coś niepokojącego: przypominał zaczajonego na antylopę jaguara, który nie zaatakował dotąd tylko dla tego, że jeszcze się namyśla. Nie nad tym, jak zaatakować, ale które zwierzę.

Brienne postanowiła zaryzykować. Odzyskawszy grzebień, zdoła dotrzeć do Bath w ciągu trzech dni i ta niezwykła, mroczna przygoda stanie się tylko wspomnieniem. Podjąwszy decyzję, pomknęła, nie szcędząc młodych nóg. Już, już miała pochwycić grzebień... I nagle krzyknęła: grzebień zniknął, a ona wbrew swej woli znalazła się na nefrytowej kapie. Przygniecioną ciężkim ciałem Avenela usiłowała się oswobodzić i walczyła jak nigdy w życiu.

– Cicho! Uspokój się. Nie zrobię ci nic złego. – Pochwycił jej szamoczące się ramiona i unieruchomił je nad jej głową. Od tej chwili była bezbronna: nie mogła poruszyć ani jednym mięśniem, tak przytłaczający był ciężar leżącego na niej mężczyzny. Wymyślała sobie w duchu od idiotek: dała się złapać na tak prymitywną sztuczkę!... Wpatrywała się tylko nienawistnie w swego wroga, a jej fiołkowe oczy syptały iskry. Slane powiedział cicho:

– Nie ruszaj się! Przypominam, że znalazłaś się tu z własnej woli.

– Ale nie po to, by dać się zgwałcić! – warknęła.

Uniósł irytująco brew i zaczął całować, lizać i drażnić zębami kremową skórę w wycięciu jej stanika. Potem uśmiechnął się i delikatnie wodził ustami po jej skroni i czole.

– Nie zgwałcę cię. Po cóż się pozbawiać rozkoszy twego przyzwolenia? Chcę słyszeć jak jęczysz i żebrzesz u mnie miłości. – Zwolnił chwyt, którym unieruchomił jej ramiona. Brienne znów zaczęła się wyrwać, ale szybko ją poskromił, obejmując jedną wielką dłonią oba jej nadgarstki. Rzucił dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie, po czym raz jeszcze puścił jej ramiona. Tym razem Brienne nie wymachiwała nimi, bojąc się żelaznego uścisku.



– Wiesz co? – odezwał się. – Stanowczo powinnaś być dla mnie miłsza. – Znów przytknął wargi do jej skroni, wywołując niepojęty zamęt w jej zmysłach. – Mogę przecież uwięzić cię tutaj i zabrać ci całe ubranie. – Pocałował ją. – Mogę uczynić cię swoją kochanką i zadbać o to, byś nie miała na sobie nic oprócz tego śmiesznego grzebyka... i mnie. – Ucałował ją znów, prosto w usta. Brienne nie mogła się powstrzymać: wydała cichutki jęk, czując, że odpływa, że coś w niej topnieje... O Boże!... Co się z nią dzieje?...

Pocałunek był długi i głęboki. Kiedy się skończył, Brienne spojrzała na Avenela sennym, półprzytomnym wzrokiem. Pod naporem jego warg usta jej przybrały barwę ciemnego różu i zwilgotniały. Policzki miała zarumienione, rozgorączkowane. Poczula, że Avenel ściąga jej siateczkę z włosów i niebawem oswobodzone ciemnorude loki rozsypały się po zielonej narzucie. Gładził ją po włosach, urzeczony ich niezwykłą barwą. Potem poczuła, że wpina w jedwabiste pasma tak upragniony przez nią grzebyk.

Odruchowo sięgnęła po niego ręką, lecz Avenel ją powstrzymał.

– Leż spokojnie... chcę tylko zobaczyć, jak wygląda w twoich włosach – szepnął, wpatrując się w nią intensywnie, obserwując każdy szczegół. Leżała więc znów bez ruchu i bez słowa, nie pojmując jego zachowania. – Pasuje do ciebie. To doprawdy zdumiewające! – powiedział zagadkowo. – Dopilnuję, byś go nosiła od czasu do czasu. Na przykład przy obiedzie, gdy będziemy jedli we dwoje.

– Daj mi go teraz! Wiesz przecież, że należy do mnie – błagała.

– Nie! – rzucił ostro. Podniósł się z aksamitnej kapy, wyjął grzebień z włosów Brienne i stał nad nią, gdy niepewnie usiadła na łożu. Nie od razu oprzytomniała po jego oszołamiających pieszczotach. Siedziała nadal na łóżku i przyglądała się, jak Avenel otwiera górną szufladę komody. Włożył do niej grzebień i przekręcił kluczyk.

– Proszę!... – powtórzyła błagalnie, widząc jak zamyka szufladę.

– Nie! – odmówił znowu i wyciągnął z włosów czarną jedwabną wstążeczkę, wplecioną w warkocz. Nanizał na nią kluczyk i zawiesił go sobie na szyi. Mosiężny klucz mienił się to czerwono, to znów żółto na jego śniadej piersi, wyraźnie widocznej spod rozpiętej koszuli. Wyglądało to bardzo kusząco.

– A więc, jeśli chcesz opuścić Osterley Park, musisz zasłużyć na moją życzliwość – oznajmił tonem dowódcy zachęcającego żołnierzy do męstwa.

– Ty bydlaku! – zaklęła gniewnie, zaskakując nawet samą siebie.

– No, no! – powiedział, biorąc ją pod brodę. – To ci nic nie da, moja piękna, niewinna dziewczeczko. Ale jeśli będziesz grzeczna... – Rzucił

okiem na łóżko, na którym siedziała. – ... i sprawisz się tu jak należy, gotów jestem wiele ci zaofiarować. Kto wie, może nawet ten kluczik?...

– Jeżeli gotów jesteś mnie uwolnić, o ile pójdę z tobą do łóżka, czemu mnie po prostu nie zgwałcisz? Będzie po wszystkim raz na zawsze! – Miała ochotę wrzeszczeć na całe gardło, ale opanowała się, nie chcąc go rozwścieczyć.

– Gwałt nie sprawiłby mi żadnej przyjemności. Musisz sama do mnie przyjść. Ale jeśli się na to zdecydujesz, a choćby jednym drgnięciem mięśnia zdradzisz swą niechęć, nie będę usatysfakcjonowany. Rozumiesz? – Wpatrywał się z natężeniem w jej twarz, wyraźnie oczekując pokornego przytaknięcia.

– Tak – wymamrotała.

– To dobrze. – Puścił brodę Brienne i pozwolił jej wstać z łóżka. – Chcę dziś wieczorem zjeść obiad w twoim towarzystwie. W moim łóżku możesz mnie odwiedzić dziś, jutro czy kiedy ci się spodoba. Ale do tej pory nie życzę sobie myszkowania po moim pokoju!

Uporządkowała jako tako włosy przed opuszczeniem sypialni i z westchnieniem ulgi skierowała się ku drzwiom. Jednak myśl o nowej przeszkodzie na drodze do wolności ciążyła jej bardzo.

– Lady Brienne! – powstrzymał ją, gdy miała już wyjść. – Proszę mnie pocałować na pożegnanie.

Odwróciła się i zmierzyła go nienawistnym wzrokiem, ale rzucił znacząco:

– Sprawisz mi tym ogromną przyjemność, kwiatuszku!

Zatrzymała się z buntowniczą miną, jednak kołyszący się na jego szyi złocisty kluczik działał na nią hipnotycznie. Podeszła do Avenela niezwykle potulnie, wspięła się na palce, przyciągnęła do siebie jego ciemną głowę i musnęła leciutko wargi mężczyzny. W tym samym momencie, gdy ich usta się zetknęły, uniosła rękę ku piersi Avenela i szarpnęła za czarną wstążeczkę. Jednak jej dłoń została błyskawicznie odepchnięta. Slane otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie tak, że stopy Brienne nie dotykały już ziemi. Jedną ręką obejmował ją w talii, drugą podtrzymywał jej pośladki i przyciskał do siebie dziewczynę jak dziecko lalkę. Nim się opamiętała, jego język domagał się już wstępu do wnętrza jej ust. Brienne zaznała równocześnie rozkoszy i goryczy: zdradziło ją własne ciało.

Gdyby w tej chwili stała o własnych siłach, natarczywy atak Avenela z pewnością podciąłby jej nogi. Pozostawała jednak całkowicie w jego mocy i nie miała wyboru. Odprężyła się więc i nie broniła już przed zachłannym pocałunkiem. Wiedziała, że napastnik każdym triumfalnym ruchem nienasyconego języka obwołuje swe zwycięstwo. Najbardziej

trudne do zniesienia było jednak to, że ona sama czerpała perwersyjną rozkosz z własnej porażki.

Kiedy ją wreszcie opuścił na podłogę, uczynił to powoli, tak iż zetknęła się z całym jego ciałem. Poznała wszystkie jego mięśnie, i te rozluźnione, i te napięte. Jego bliskość podziałała na nią niezwykle silnie. Wydawało się jej, że umiera. Kiedy się w końcu rozdzielili, ogarnęła ją zawierucha sprzecznych uczuć, która omal nie rozszarpała jej na strzępy. Zdumienie i zachwyty zmagaly się w niej z bezsilnym gniewem, gdy biegła do drzwi prawie na oślep, potykając się, by jak najprędzej odechnąć świeżym powietrzem i trochę oprzytomnieć.

– Pamiętaj, mała: jeśli sprawisz mi przyjemność, przekonasz się, jaki potrafię być szczodry.

– Ty bezczelny potworze z końca świata! – wrzasnęła po walijsku, w mowie swego dzieciństwa. Nie starczyło jej odwagi, by wykrzyknąć to w zrozumiałym dla niego języku. – Nic dziwnego, że sprowokowaliście nas do wojny, podłe dzikusy! – Wyrzuciwszy to z siebie i ujrawszy zdumienie na twarzy Avenela uciekła. Jednak na korytarzu i nawet na schodach biegł za nią jego gromki, niski śmiech.

## 8

Vivie westchnęła ciężko, z niezadowoleniem.

– Mademoiselle nie ma żadnej odpowiedniej toalety! Pani sukienki są takie zniszczone, choć piórę je i prasuję bez końca!

– Więc nie zwracajmy sobie tym głowy. Nie pójdę i już! – Brienne przysiadła na brzegu jasnożółtej sofy. Zapatrzyła się w ogień, który teraz stale płonął w jej pokoju. W odróżnieniu od swej pani Vivie była jak żywe srebro; kręciła się po pokoju, radośnie ożywiona z powodu czekającego ją zadania. Miała wystroić swoją panienkę po raz pierwszy na prawdziwe wydarzenie towarzyskie: obiad z panem Slane'em!

Gdyby sytuacja nie była tak rozpaczliwa, Brienne wybuchnęłaby chyba śmiechem na widok podniecenia swej pokojówki. Jakież to absurdalne! Tu na górze Vivie żywiła złudzenia, że Brienne jest dziewczką z prowincji, którą Avenel wziął pod swoje skrzydła, by wtajemniczyć ją w arkana sztuki miłosnej. Ale tam na dole – myślała z drżeniem Brienne – rozgrywał się niepokojący dramat. Każdy incydent utwierdzał ją w przekonaniu, że musi walczyć o własne życie. Teraz zaś główna postać owego

dramatu, okrutny tyran, roztoczył kontrolę nad wszelkimi aspektami jej życia. Brienne czuła, że niebawem nastąpi punkt kulminacyjny.

– No, cóż... ta musi wystarczyć! Odprasuję ją raz jeszcze. – Brienne podniosła głowę. Vivie przyniosła bladoniebieską suknię spacerową, bez rozcięcia, niewymagającą pod spód żadnej dodatkowej spódnicy. Suknia ozdobiona była z przodu rodzajem szamerowania, zwanym *echelle*: niewielkie kokardki sięgały szczytu piersi.

– To doprawdy niepotrzebne. Wcale nie mam ochoty...

– Ogromnie pani do twarzy z tym dziewczym oporem, mademoiselle! – trzepała Vivie po francusku. – Nigdy jeszcze nie wyglądała pani tak pięknie! Co za włosy! Co za oczy! Aż blask bije! Jestem pewna, że pan Slane będzie oczarowany! Nie ma się czego bać!

– Czyżby?! – pomyślała Brienne, uśmiechając się pośepnie. Nie sposób jednak było to wyjaśnić małej Francuzeczce. Vivie była zakochana wprost w Avenelu i nie można z nią było mówić rozsądnie o tym, co uważała za miłosną schadzkę.

Spostrzegłszy, że jej pani się uśmiecha, Vivie wyciągnęła całkiem fałszywe wnioski i spytała:

– Mile pani spędziła dzień, nieprawdaż? – I dodała chytrze: – Kto wie? Może noc okaże się jeszcze miłsza?... – Uśmiechnęła się promiennie, ale dostrzegła zakłopotanie na twarzy Brienne. – Proszę się nie martwić, mademoiselle: suknia zaraz będzie gotowa, a ja zrobię wszystko, co w mej mocy, by dodać panience jeszcze więcej uroku na tę... Zaczęła chichotać i nie mogła skończyć zdania. – *Tout de suite*, mademoiselle! – zaśmiała się i zniknęła w drzwiach gotowni.

Brienne odetchnęła głęboko i potrząsnęła głową z niedowierzaniem. W bezsilnym buncie oparła policzek na dłoni i zapatrzyła się w płomień na kominku. Może istotnie zasługiwała na epitet wariatki... ale tylko dlatego, że żyła w domu wariatów! Miała już tego dość!

Godzinę później siedziała przy toalecie, podziwiając efekty troskliwych zabiegów Vivie wokół jej fryzury. Pokojówka upięła bardzo starannie włosy Brienne w luźny węzeł na czubku głowy; tylko jeden czy dwa loki spływały swobodnie na kark. Każde pasemko włosów, wygładzone i wyszczotkowane, lśniło ciemną czerwieńią i różem. Brienne musiała przyznać, że wszystkie te starania były jej miłe... bez względu na cel, jakiemu miały służyć.

– Mogłabyś mi upudrować włosy? – spytała. Może to brak pudru, a nie niedostatki jej toalety sprawiają, że całość nie wywiera należytego efektu?...

– Może kiedyś upudruję pani włosy, kiedy będą goście... Ale nie teraz: wiem, że *les Americains* nie lubią pudru. Widzi pani, mój brat jest właśnie

tam, w Wirginii – zwierzyła się Vivie. – Walczy na wojnie, mademoiselle. Mówię to panience, bo pan Slane bardzo się tam z nim zaprzyjaźnił. I właśnie dzięki temu przybyłam tutaj. Mój brat powiedział panu Slane'owi o moim trudnym położeniu. Francuzom teraz w Anglii ciężko, rozumie pani?... Nie mogłam znaleźć żadnej pracy... Ale potem... – Vivie westchnęła z zadowoleniem i paplała dalej. – Przepraszam, chodzi przecież o pani włosy! Ależ ze mnie trajkota! Proszę mi wybaczyć, mademoiselle!

Brienne roześmiała się tylko i poczekała cierpliwie, aż Vivie skończy. Jej zwierzenia na temat brata niejedno wyjaśniały. Zachwyty pokojówki nad Avenelem były teraz całkiem zrozumiałe. A troska dziewczyny o swą nową panią była po prostu wyrazem jej głębokiego szacunku i wielkiej wdzięczności dla chlebobdawcy.

– Myślę, że lepiej zostawić włosy *au naturel*. – Vivie przyjrzała się bacznie upiętym wysoko lokom i próbowała wyjaśnić: – Widzi pani, monsieur Slane nie nosi peruki. On jest taki jak wszyscy *les Americains*, prawda?

– O tak, on jest rzeczywiście taki jak wszyscy Amerykanie. – Brienne uśmiechnęła się znów do pokojówki. Coraz bardziej lubiła Vivie. Ujmowała ją nie tylko żywość dziewczyny, ale i szczerą życzliwość względem niej. Nawet pierwszego dnia, gdy przysłała tu ze stajni i stanęła we drzwiach brudna, zmęczona i nieszczęśliwa, młoda pokojówka była troskliwa i pełna zrozumienia. Nigdy nie okazała Brienne lekceważenia z powodu jej niemodnych, i znoszonych sukien. Uznała po prostu, że wszystkiemu winne są niesprzyjające okoliczności. Z ogromną powagą perorowała, że to po prostu obraza boska, iż Brienne musi ubierać się ciągle w te same sukienki.

– Jak twój brat poznał pana Avenela, Vivie? – Brienne, nie chcąc okazać się wścibska, zadała to pytanie od niechcienia. Wstała od toaletki i ubrana w samą tylko płócienną koszulę bez rękawów oraz gorset zaczęła wkładać cienkie białe pończochy. Oparła smukłą, zgrabną nóżkę na stojącym obok taborecie.

– Ach, to niezwykła historia! – wykrzyknęła Vivie i jak przewidywała Brienne, natychmiast zaczęła trajkotać.

– Mój brat, Jean Claude, został ranny na wojnie. Gdy bitwa się skończyła, szedł i szedł, bardzo długo... Aż trafił na wielką plantację nad rzeką. I pozwolono mu zostać na tej pięknej, spokojnej plantacji, aż wróci do zdrowia. I spotkał pana Slane'a, który był tam gościem. Ale to jeszcze nie koniec!

Kiedy mój brat był bardzo chory, właściciel plantacji zdradził go. Wezwał Brytyjczyków, żeby wyciągnęli z mego brata informacje, a po-

tem go zabili!... Ale monsieur Slane miał przyjaciół, którzy cichcem zabrali Jean Claude'a z plantacji i zawieźli do Wirginii, i troszczyli się o niego! A tamci nigdy się nie dowiedzieli, kto zdmuchnął im nagrodę sprzed nosa! Pan Slane do tej pory się śmieje, gdy wspomni, jak tamci (podłe tchórze!) musieli schować mundur mojego brata w takiej skrytce pod boazerią, żeby nikt się nie domyślił, że zdradzili Amerykę! Kiedy jest wojna, nie można stać po obu stronach, mademoiselle. Chyba że się jest ostatnim tchórzem! – Vivie podała swej pani purpurowe pantofle z koźlej skórki.

– Przecież pan Slane stoi właśnie po obu stronach! Czyżby i on był tchórzem? – Brienne włożyła pantofelki, które nie pasowały niestety kolorem do reszty stroju, i podeszła do rozłożonej na łóżku, świeżo odprasowanej sukni. Starła się za wszelką cenę okazać swój brak zainteresowania. Udało jej się wreszcie zdobyć nieco informacji o tajemniczym mężczyźnie z sypialni na dole. Nie chciała zdradzić przed pokojówką nadmiernej ciekawości.

– *Mais non!* On jest najdzielniejszy ze wszystkich! Tak wiele zrobił dla swego kraju! Wcale nie jest zdrajcą! – wykrzyknęła Vivie.

– Jakże to możliwe? Porzucił przecież swą ojczyznę i udał się do kraju wroga! – powiedziała Brienne i dodała w myśli: – Na moje nieszczęście.

– No tak, na to wygląda... Ale jego rodzina stąd pochodzi. I tylko dlatego monsieur nie bierze udziału w wojnie.

– Jego rodzina? Chcesz powiedzieć, że jest żonaty? – Brienne czekała z zapartym tchem na odpowiedź Vivie.

– *Mais non!* On jest zupełnie wolny! Chciałam powiedzieć, że jego przodkowie stąd pochodzą. Monsieur Slane nie chciał zdradzić ani Amerykanów ani Brytyjczyków, więc wrócił do kraju swych przodków i zostawił wojnę daleko za sobą.

– A poza tym ma inne sprawy na głowie niż wojna w koloniach. – Brienne zadrżała nagle na myśl o spodziewanym przybyciu hrabiego Laborde do Osterley. Ta rozgrywka miała dla Avenela o wiele większe znaczenie niż walka Amerykanów o niepodległość. Ale ona, Brienne, za nic nie chciała być uwikłana w tę prywatną wojnę!

– Mademoiselle! Cała pani drży! Proszę stanąć przy ogniu, zaraz panią ubiorę. Nie wolno się panience przeziębić! – Głos małej pokojówki wyrwał Brienne z zadumy.

Posłusznie podeszła do ognia i cierpliwie poddała się zabiegom dziewczyny. Pokojówka ubrała ją i związała z idealną precyzją wszystkie kokardki na przedzie sukni.



– Gotowe! – Vivie odstaąpiła o krok i popatrzyła na swoje dzieło. Wykrzyknęła po francusku: – Och, lady Brienne, nie ma w świecie piękniejszej kobiety! Jest pani naprawdę olśniewająca!

Brienne z nadzieją spojrzała w wiszące naprzeciw kominka tremo. Z rozczarowaniem ujrzała w nim tę samą, dobrze jej znaną dziewczynę. Niebieska suknia, mimo iż starannie wyprasowana, nie prezentowała się lepiej niż zwykle. A choć nowe uczesanie dodawało jej nieco dojrzałości i kobiecości, twarz w kształcie serca pozostała niezmienna, jeśli nie liczyć ciemnego rumieńca od ognia i fiołkowych błysków w oczach.

Roześmiała się z własnej naiwności. Czy naprawdę spodziewała się ujrzeć w lustrze kogoś innego? Elegancką damę we wspaniałej kreacji, o kunsztownie utrefionych, pudrowanych włosach, z zalotną muszką nad karminowymi usteczkami? (Widziała kiedyś taką rycinę w jednym z żurnali, tak cenionych przez jej matkę). I dlaczego jej w ogóle na tym zależało? Nie było tu przecież nikogo, komu chciałyby zaimponować!

Otrząsnęła się z zamyślenia i ujrzała w lustrze twarz Vivie. Pokójka była najwyraźniej z siebie dumna. Zdołała upodobnić swą ubogą i niepozorną panią do czegoś w rodzaju damy. Tak bardzo starała się jej dogodzić!

– Dziękuję ci, Vivie – powiedziała Brienne, odwracając się od lustra. – Jeśli wyglądam nie najgorzej, to wyłącznie twoja zasługa. Dokonałaś prawdziwych cudów na tak niepodatnym materiale.

– *Mais non*, mademoiselle! Pani się nie docenia. Piękność to nie atłasy i pudrowana koafiura! Kobieta musi być urocza z natury... wszystko inne to tylko sztuczki. A pani jest piękna tu... – Vivie przeciągnęła dłonią po twarzy. – ... I tu! – Przyłożyła dłoń do serca.

– Jesteś dla mnie bardzo łaskawa, Vivie! Prawie mnie nie znasz, a mówisz mi takie miłe rzeczy.

– Ale znam monsieur Slane’a. On nie wybrałby sobie niewiele wartiej kobiety!

– A może ja wcale nie jestem „jego kobietą”? Cóż powiesz na to, Vivie? – Brienne zadała to pytanie ze zmarszczonym czołem. Nie chciała stracić przyjaźni Francuzeczki. Musiała jednak być wobec Vivie szczerą.

– Może jeszcze nie teraz... Ale to tylko kwestia czasu, jeśli idzie o was dwoje. Widziałam jak on z panią rozmawia, jak na panią patrzy... Ma wtedy takie gorące oczy, mademoiselle! Gorące jak nigdy! Jest pani stworzona dla niego. Kiedy się tylko przekona, że pozyskał serce panienki, ani spojrzy na inne!

Moje serce?... – myślała Brienne. – To jedyna rzecz, której ten człowiek z pewnością nie pozyskał! Nie miała jednak czasu na dalsze mocne postanowienia: Vivie szybko pociągnęła ją ku drzwiom. Czekał tam już ktoś, kto miał ją poprowadzić do sali jadalnej.



Schodząc ze schodów, Brienne przekonała się z radością, że to Cumberland na nią czeka. Uśmiechnęła się do niego i rada była, widząc, że wybaczył jej już przykrość, którą mu niechcący sprawiła w stajni.

– Czy wolno mi powiedzieć, lady Brienne, że nigdy jeszcze nie prowadziłem do stołu tak pięknej damy?

Brienne przyjęła podane jej ramię.

– A czy ja mogę wyznać, że nigdy jeszcze nie miałam tak wytwornego kawalera? – Roześmiała się i poczuła ulgę na myśl, że Cumberland będzie im towarzyszył przy obiedzie. Prezentował się bardzo dostojnie w surducie i spodniach ze srebrnoszarego aksamitu oraz w ozdobionej frędzlami kamizelce z kobaltowego atłasu. Brienne wyglądała przy nim niemal jak żebraczka w swej starej, niebieskiej sukni z mory, ale miło jej było wesprzeć się na jego ramieniu.

Podążyli północnym korytarzem; w pobliżu galerii znajdowała się jadalnia. Brienne przekonała się jednak, że jest w niej zupełnie ciemno: nie paliła się ani jedna świeca. Zawołała więc:

– Cóż to ma znaczyć? Myślałam, że idziemy na obiad...

– Ależ tak, drogie dziecko. Proszę się nie niepokoić. – Cumberland uspokajająco poklepał ją po ramieniu.

Brienne nie przepadała jednak za niespodziankami, zwłaszcza jeśli miały jakiś związek z osobą Avenela Slane'a. Wszystko odbiegające choć trochę od normy i wiążące się z nim wydawało się jej podejrzane.

– Wobec tego gdzie...?

– W galerii, moje dziecko. Slane uznał, że będzie tam o wiele przytulniej.

– Przytulniej?! Galeria jest cztery razy większa od jadalni!

– No cóż... Powiedzmy więc, że Avenel upodobał sobie szczególnie galerię i woli raczej przebywać tam niż gdzie indziej. – Cumberland znowu poklepał Brienne po ramieniu. W jego spłowiałych, niebieskich oczach pojawiły się wesołe błyski. – Dziwak z niego, nieprawdaż? Jak wszyscy Amerykanie!

– Na szczęście jednemu z jego przyjaciół nie brak zdrowego brytyjskiego rozsądku! – Brienne odpowiedziała uśmiechem na uśmiech Cumberlanda i pozwoliła, by pociągnął ją w kierunku galerii. Oboje szli w przyjaznym milczeniu.



Gdy dotarli do galerii, Brienne zauważyła, że jeden z trzech mahoniowych stołów, stojących zazwyczaj w północnym pasażu, został ustawiony w samym końcu sali. Ten wczesnogeorgiański mebel z opuszczanym blatem przykryto kremowym obrusem i ustawiono na nim nakrycia z seledynowej sewrskiej porcelany. Jedyne oświetlenie stanowił srebrny ośmioramienny świecznik, nie licząc oczywiście wielkiego ognia, który rozpalono na kominku, by odpędzić wieczorny chłód. Koło kominka Brienne dostrzegła charakterystyczną sylwetkę Avenela. Wspierał się od niechcenia o gzyms; w rękę miał kieliszek napełniony bursztynowym trunkiem.

– Jak widzisz, Slane, będziemy dziś mieli uroczę towarzystwo! – Cumberland podprowadził Brienne do stołu. Wzdrygnęła się bezwiednie na widok portretu hrabiego, który spoglądał na nich znad kominka. Martwe, błotnistobrazowe oczy Morrowa wpatrywały się w nią uparcie, śledziły każdy jej ruch; w końcu Brienne musiała odwrócić głowę.

– Dobry wieczór, lady Brienne – Avenel ujął jej dłoń i pochylił się, by złożyć na niej pocałunek. Zmysłowe ciepło warg, które dotknęły jej skóry, tak ją zatrwożyło, że pospiesznie wyrwała rękę. – Jest pani niezwykle piękna... jak zawsze. – Slane wyprostował się. Był od niej wyższy: Brienne sięgała mu ledwie do ramienia i miała teraz przed oczami materiał jego surduta. Był uszyty z ciemnego atlasu. W migotliwym blasku ognia nie mogła jednak rozpoznać, czy jest zielony, czy też niebieski.

– Zechce pani spocząć, lady Brienne! – Cumberland żywo podsunął jej jedno ze stojących przy stole rzeźbionych, krzesel z poręczami. Brienne usiadła na nim, rada, że stoi ono tyłem do kominka i do portretu Olivera Morrowa.

Podniosła głowę w samą porę, by dostrzec irytującą minę Avenela: uniósł kruszą brew do góry, wyraźnie ubawiony dwornymi manierami starszego pana. Zmieszany i nieco zażenowany Cumberland zajął miejsce po lewej ręce Brienne. Mamrotał coś pod nosem o nierycerskim zachowaniu pewnych osobników.

– Jestem ogromnie zobowiązana, panie Cumberland. Jedyne pan umie okazać damie należne względy. – Rzuciła Avenelowi zuchwałę spojrzenie, pełne niesmaku. Kiedy odpowiedział na nie czarującym uśmiechem, poczuła się niemal oszukana brakiem właściwej reakcji.

– Wrażnie pan polubił tę salę! – Popatrzyła na drugi koniec galerii. Pomieszczenie było tak długie, że Brienne z trudem dostrzegła zarys dużej, lekko zaokrąglonej sofy, która stała pod ścianą, ledwie widoczna w mroku.

– Polubiłem, lady Brienne? Myli się pani: ja się zakochałem w tej galerii! Przebywanie w niej znaczy dla mnie wszystko. Mogę spoglądać na pani ojca i cieszyć się z góry na jego powrót! – Avenel przytknął palcami i ukazało się dwóch lokajów; jeden wniósł wino, drugi pierwsze danie.

Brienne była głodna, teraz jednak straciła całkiem apetyt. Na samą wzmiankę o wizycie hrabiego każde włókno w jej ciele wzdrygnęło się z przerażenia. Zrobiło jej się niedobrze na myśl, że ujrzy go znów przed sobą. „Będę miał was obie!” – te słowa rozbrzmiały tak donośnym echem w jej mózgu, że odruchowo chwyciła za brzeg stołu. Popatrzyła na cienkie płyty kaczki i cząsteczki pomarańczy leżące na jej talerzu. Zmusiła się do tego, by podnieść kęs tej potrawy na srebrnym widelcu. Siłą się na obojętność, spytała:

– Kiedy spodziewa się pan przybycia hrabiego? – podniosła odrobinę mięsa do ust.

– O, trudno to przewidzieć. Jeśli szczęście mu dopisze, ujrzymy go wcześniej niż oczekiwaliśmy, prawda Cumberland? – Po tych słowach obaj mężczyźni roześmiali się gromko, nie zwracając uwagi na Brienne, która do reszty straciła apetyt.

– Więc nie ma pan pojęcia, kiedy hrabia się zjawi? – Brienne usiłowała łykiem czerwonego wina popić kęs, który stanął jej w gardle. Czuła w ustach taką suchość, że każdy kawałek ranił jej przetyk. Odzyskała jednak nieco odwagi i spojrzała morderczym wzrokiem na Avenela.

– A zatem może tu wejść choćby w tej chwili i zastać nas przy wspólnym stole! Zapowiadam, że nie wezmę udziału w waszych rozgrywkach!

– Niestety, lady Brienne, jest już pani częścią tej gry, czy się to pani podoba czy nie. – Avenel rzucił jej srogie spojrzenie.

– Nic podobnego! – zaprotestowała. – To po prostu bezczelność...

– Doprawdy, kucharka przeszła dziś samą siebie! I pomyśleć, że odziedziczyliśmy taki skarb razem z domem! – Cumberland przełknął ze smakiem następny kęs i spojrzał na swego przyjaciela z wyrzutem.

Avenel odchylił się na oparcie krzesła i pociągnął spory łyk wina. W milczeniu wpatrywał się w Brienne, która przez wzgląd na Cumberlanda nie dała się sprowokować i nawet nie spojrzała na Slane'a. Kipiąc wewnątrz z gniewu, skosztowała znów niechętnie pysznej kaczki; była jednak zbyt wściekła, by się nią rozkoszować. Straszliwa świadomość, że Oliver Morrow być może stoi już na dziedzińcu, gotując się do odebrania swej posiadłości i poskromienia córki, sprawiła, że żołądek Brienne zacisnął się w twardy węzeł. Jeśli nawet hrabia dziś się nie zjawi, niewielka pociecha! Przybędzie jutro albo pojutrze. Brienne wbiła zęby w dolną wargę, zapominając całkiem o współbiedniakach.

Podniósłszy głowę, spostrzegła, że obaj mężczyźni wpatrują się w nią. Potem spojrzeli na wiszący za nią portret.

– Zdumiewające, jak mało podobna jest pani do ojca – zauważył Avenel, pochylając się ku Brienne i bacznie się jej przyglądając. – Jeśli porównywać wszystko, rys po rysie... doprawdy, nie dostrzegam najmniejszego podobieństwa!

Spojrzała nerwowo na długi ciemnoczerwony lok, opadający na jej szyję i pierś.

– Wiele dzieci nie przypomina z wyglądu swoich ojców.

– Być może.

– Hrabia nie ma wątpliwości, że jestem jego córką! – rzuciła wojowniczym tonem.

– Zupełnie zrozumiałe. Ale w podobnym przypadku chyba jedynie matka wie, jak wygląda prawda.

– Cóż ma znaczyć ta uwaga? – Brienne starała się wyrazić swe oburzenie i zdławić dręczącą ją niepokój.

– Ależ nic! Przypuszczam tylko, że pani matka była wyjątkowo piękną kobietą... Wszyscy doskonale wiemy, jaki jest hrabia. Nietrudno wyobrazić sobie...

– Niech pan lepiej powściągnie swą wyobraźnię! – Brienne podniosła się z krzesła. – Żle by się to dla mnie skończyło, gdyby hrabia powziął co do mnie jakieś podejrzenia. On jednak wierzy, że jestem jego córką, a zatem jestem nią! Nie ma żadnych dowodów na to, że sytuacja przedstawia się inaczej!

– Proszę, lady Brienne, niech pani usiądzie. – Cumberland podniósł się z krzesła. – Nie powinna pani aż tak się przejmować. Nie wątpimy bynajmniej w pani słowa. Nieprawdaż, Slane? – Spojrzał znowu z wyrzutem na przyjaciela.

– Nie chciałem pani obrazić, lady Brienne. Proszę, niech pani nie odchodzi – powiedział Slane i nie wstając z krzesła, przesunął je lekko w jej stronę. Cumberland pojął jego intencje i po raz drugi pomógł Brienne zająć miejsce.

Dziewczyna ustąpiła, nie chcąc niepotrzebnie wszczynać kłótni. Lepiej o tym dłużej nie rozmawiać i jak najszybciej o wszystkim zapomnieć! – pomyślała. Zaczęła znowu skubać cząstkę pomarańczy. Kieliszki ponownie napełniono winem; z wdzięcznością podniosła swój do ust, spragniona uspokajającego działania trunku.

Po rybie w śmietanie i kolejnej porcji wina Brienne odzyskała głos.

– Skąd ta pewność, moi panowie, że hrabia w ogóle się tu zjawi? Nie odebrano mu Osterley Park przemocą. Po cóż miałby tu wracać?

Nie łudźcie się, że przybędzie tu ze względu na mnie. Nie widzieliśmy się od lat i nie ma pojęcia o tym, że jestem w Osterley.

– Na pewno się zjawi. – Twarz Avenela przypominała rzeźbę z granitu. – Proszę sobie nie wmawiać, lady Brienne, że stanowi pani główną przynętę. To byłoby przecenianie własnej wartości. Hrabia się tu istotnie zjawi, ale nie po panią, zapewniam! – Widząc jej zdumioną minę, roześmiał się. – Bez obaw, malutka! Zabawi tu pani wystarczająco długo, by przywyknąć do naszego towarzystwa.

– O, do towarzystwa pana Cumberlanda przywyknę bez trudu. – Brienne powoli sączyła wino z kryształowego kieliszka, a jej szczerze, ciemnoniebieskie oczy spoglądały drwiąco na Avenela. – Obawiam się jednak, że do końca świata nie zdołałabym przywyknąć na tyle do pańskiego towarzystwa, by w nim zasmakować! – Wgryzła się w miniaturowy rogalik z pszennej mąki. Nieskazitelne zęby błysnęły jak perły.

– Może jeszcze zmieni pani zdanie. U większości kobiet często się to zdarza.

– Owszem, ale ja nie jestem podobna do większości kobiet.

– Istotnie. – Avenel pochylił się ku niej i szepnął tak cicho, że tylko Brienne go usłyszała: – Kto wie, czy pani tego nie pożałuje... Bo to właśnie może stać się przyczyną pani zguby. – Wpatrywał się w nią i jego srebrnobłękitne oczy dostrzegały każdy szczegół. Przesuwały się po idealnie zawiązanych kokardkach na jej staniku i spoczęły wreszcie tam, gdzie górna część piersi przezieriała spod koronki, którą obszyto dekolt.

Brienne pożałowała, że nie zasłoniła (zwyczajem panienek z prowincji) szyi i piersi koronkową chustką, broniącą przed natrętymi spojrzemieniami. Postanowiła nie reagować na słowa Avenela nawet rumieńcem. Łyknęła od niechcenia wina i poświęciła się wyłącznie rozmowie z Cumberlandem.

– Niechże mi pan zdradzi, w jakich okolicznościach zawarł pan przyjaźń z tym Amerykaninem? Bardzo mnie to intryguje, zwłaszcza że jest pan tak niesłychanie brytyjski! – Uśmiechnęła się do niego zniewalająco i z przyjemnością dostrzegła lekki rumieniec zadowolenia na twarzy starszego pana.

– Rzeczywiście, niedobrana z nas para... Prawda, Slane? – roześmiał się Cumberland i odpowiedział wymijająco. – Spotkaliśmy się na statku, lady Brienne. To było dawno temu, więc już nie pamiętam, co zapoczątkowało naszą przyjaźń. Obawiam się jednak, że się pani pomyliła: ja również jestem prawie Amerykaninem. Bo choć urodziłem się i wychowałem w naszej kochanej starej Anglii, ostatnie dwadzieścia lat spędziłem w koloniach. Ściśle mówiąc, w Maryland.

– Ale po panu wcale tego nie widać! Gdyby wszyscy mieszkańcy Maryland przypominali pańskiego przyjaciela, należało by ich zamykać w klatkach! – Brienne czuła, że pod wpływem wina staje się zbyt zuchwała, ale sprawiało jej to radość. Spojrzała z uśmiechem na Avenela, mając nadzieję, że dostrzeże na jego twarzy gniew, ale się rozczarowała.

– No cóż... Cumberland nie jest... jak to pani ujęła?... – zaczął Slane po angielsku. – ... „bezczelnym potworem z końca świata” – zakończył po walijsku. Roześmiał się głośno i dołożył sobie ciasteczek z rodzynkami, które podsuwał mu lokaj. – Może i pani chce dokładkę, urocza Walijsko? – zaproponował z irytującą uprzejmością, gdy Brienne przestała się już krztusić.

– Myślę, że nie na wiele by się przydało, gdybym wypowiedziała po francusku wszystko, co o panu myślę? – Wbrew woli Brienne na jej twarzy odbiła się uraza.

– Ależ proszę bardzo! Chętnie się dowiem, co pani naprawdę o mnie myśli!

– Lepiej więc dam temu spokój. Tym bardziej, że słyszałam już opowieść o panu i bracie Vivie. Podejrzewam, że moje wysiłki poszłyby na marne! – Dźgnęła widelczykiem podsuwane przez lokaja ciastko. Czy istniało coś, na czym by się ten arogant nie znał?!

Na szczęście, obiad skończył się niebawem. Obaj panowie sęczyli brandy, Brienne zaś podano herbatę w dużej filiżance z przezroczystej niemal porcelany. Niebawem głowa zaczęła jej opadać. Wstała wczesnie rano, a obecna pora była – jak na nią – niezwykle późna. Warto by obmyśleć coś na jutro... Może uda jej się zawładnąć kluczem, ukrytym bezpiecznie pod haftowaną srebrem kamizelką Avenela?... W tym momencie jednak była zbyt oszołomiona winem, marzyła więc wyłącznie o chłodnej pościeli, czekającej na nią w łóżku za taftowymi zasłonami, w sypialni na górze.

– Mam wrażenie, że ona już pada z nóg, Avenelu. Zameczyliśmy ją kompletnie – szept Cumberlanda docierał do niej z jakiejś ogromnej dali. Niewiele ją obchodziło, co o niej mówią.

– Odprowadzę ją na górę, przyjacielu. Wrócę tu niebawem. – Krzesło Avenela skrzyknęło, kiedy wstawał. W milczeniu ujął Brienne za ramię, ona zaś pozwoliła wyprowadzić się z galerii. Przed odejściem podziękowała grzecznie Cumberlandowi za miłe towarzystwo podczas obiadu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, doprawdy. – Cumberland pochylił się i szarmancko musnął jej dłoń pocałunkiem. Spoglądał za odchodzącymi i usiadł z powrotem dopiero wówczas, gdy dotarli do drzwi galerii.

Nie była to zbyt daleka droga: do głównych schodów, a potem na górę do sypialni. Przebyli ją w milczeniu. Brienne nie uświadamiała sobie, że opiera się całym ciężarem na ramieniu Avenela. Wypiła stanowczo zbyt dużo wina. Ni stąd, ni z owąd zaczęła chichotać.

– Coś mi się zdaje, że twój przyjaciel Cumberland nie zechce więcej towarzyszyć nam przy obiedzie! – wykrztusiła. W tej chwili wydawało jej się to niesłychanie zabawne.

– Czemu tak sądzisz, głuptasku? – Objął ją wpół, gdy dotarli do drzwi sypialni. Widocznie postanowił skorzystać z jej swawolnego nastroju.

– Nie miał biedak spokoju przez cały wieczór! Kłóciliśmy się przecież zęb za zęb! – roześmiała się wesolutko.

– Może i nie miał spokoju, ale nie z powodu naszych kłótni. Coś mi się zdaje, że stracił dla ciebie głowę, kwiatuszku! – Nachylił się niżej i wdychał świeży, lekki zapach kapryfolium, bijący z jej włosów.

– On jest bardzo miły – powiedziała całkiem szczerze Brienne. – Zawsze chciałam mieć takiego właśnie ojca.

Po tych słowach Avenel wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Gdy stali tak pod drzwiami powieki Brienne zaczęły ciężać.

– Bardzo bym chciał, moja mała, byś jutro wybrała się ze mną na konną przejażdżkę.

Brienne podniosła bardzo już ciężką głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie wierzę własnym uszom! Takie przyzwoite zaproszenie zamiast jakichś srośnych, lubieżnych propozycji?!

– Wybierzesz się? – popatrzył jej głęboko w oczy. Widać i na niego wino podziałało, gdyż spojrzenie miał o wiele cieplejsze, a oczy ciemnoszare.

– Wszystkie te dżentelmeńskie zabiegi na nic się nie zdadzą, mój panie: nigdy w życiu nie siedziałam na końskim grzbiecie! A gdybym musiała to zrobić, z pewnością bałabym się okropnie. – Brienne odchyliła głowę do tyłu, opierając ją o drzwi, i także spojrzała mu w oczy.

– Wobec tego nauczę cię jeździć konno. Z pewnością nie będziesz się bała i niebawem się w tym rozsmakujesz. Dam ci bardzo spokojną klacz, nie wystraszyłaby nawet kota.

Przyglądała mu się, gdy mówił, i podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Panie Slane, coś mi się wydaje, że nie tylko Cumberland stracił dziś dla mnie głowę! Zupełnie pana nie poznaję!

Uśmiechnął się do niej. Jego zęby błysnęły olśniewającą bielą nawet w słabo oświetlonym korytarzu. Schylił głowę bez pośpiechu, by ją pocałować, ale odwróciła się szybko, przeczuwając jego zamiar.

– Odwołuję wszystko! Taki sam łotr jak zawsze! – stwierdziła, gdy udało jej się uniknąć pocałunku.

Avenel roześmiał się i otworzył drzwi sypialni, o które była oparta Brienne. Omal nie upadła. Przytrzymał ją, obejmując mocno obiema rękami w pasie, póki nie odzyskała równowagi; potem wypuścił dziewczynę z objęć. Zanim jednak odszedł, ujął jej rękę, pochylił się i złożył delikatny, gorący pocałunek we wnętrzu wrażliwej dłoni.

Zamknął palce Brienne wokół miejsca pocałunku, wyprostował się i powiedział na odchodnym:

– Pomyśl o mnie przed snem, dziki kwiatku.

Szybko zszedł ze schodów, Brienne zaś była pewna, że jego życzeniu stanie się zadość.

## 9

Gniady ogier, największy jakiego Brienne kiedykolwiek w życiu widziała, przeraził ją okropnie. Trącał ją żartobliwie łbem i ocierał się czołem o sztywne plecy wystraszonej dziewczyny.

– Dość tych igraszek, zalotny durniu! – ofuknął wierzchowca Avenel i odciągnął konia od dziewczyny. Powierzył wodze chłopcu stajennemu, który nazywał się Kelly, następnie zaś zajął się swą towarzyszką.

– One mnie chyba nie lubią. – Brienne odsunęła się o krok od jabłkowitzkiej klaczy, która nie była tak olbrzymia jak ogier, ale mimo wszystko przerażała! – Może odłożymy to na kiedy indziej?... – Odwróciła się, chcąc odejść, ale ku jej żalowi Avenel zastąpił jej drogę.

– Tchórz nas obleciał, co? – Popatrzył na Brienne; wyczytała z jego oczu, co o niej myśli.

– Nic podobnego! Po prostu nie widzę potrzeby uczenia się konnej jazdy. – Wzruszyła ramionami. Czowała się jak spętana w żakiecie, który był dla niej za ciasny. Od kilku lat nie wkładała tego okrycia z granatowej wełny i przekonała się dziś, że uszyto go na drobniejszą, nie w pełni rozwiniętą dziewczynkę. Długość żakietu nadal była odpowiednia: sięgał aż do kolan i stanowił wystarczającą osłonę liliowej, wełnianej sukni. Jednak od pasa w górę czuła się nieznośnie ściśnięta i obawiała się, że przy jakimś gwałtowniejszym ruchu materiał trzaśnie. – Po co się z tym spieszyć? – Raz jeszcze poruszyła ramionami w nadziei, że żakiet ułoży się jakoś wygodniej.



– Chcę mieć towarzystwo podczas konnych przejażdżek. To chyba wystarczający powód. – Włożył klaczy naczółek, umieszczając go tuż pod krótko przyszyżoną czarną grzywą.

– A Cumberland by nie wystarczył? – Brienne szukała wszelkich wykrętów, żeby wymigać się od okropnego losu na grzbiecie potwornej klaczy.

– Cumberland nie jest już młodzieniaszkiem. Trzęsienie się przez kilka godzin w siodle nie sprawiłoby mu przyjemności.

– A mnie sprawi?! – spojrzała na niego z powątpiewaniem.

Usta Avenela wygięły się w chłopięcym uśmiechu.

– Z początku chyba nie. Ale młodemu zawsze łatwiej znieść guzy i siniaki. Poza tym konna jazda to doskonale ćwiczenie fizyczne i świetnie się potem śpi. Nie będę musiał już wysłuchiwać nieustannego tup-tup nad głową, kiedy zasiedzę się wieczorem dłużej w bibliotece.

– Nie potrzebuję żadnych ćwiczeń fizycznych, zwłaszcza takich z guzami i siniakami! – oświadczyła Brienne, wydymając pogardliwie usta.

– Chyba nie będzie tak źle! Ta tiurniura to doskonała poduszka pod pupę!

Brienne aż zapało dech. Rzuciła mu wściekle spojrzenie i miała ochotę syknąć jak nagle zaatakowana kocica. Jak ten grubianin śmiał mówić o czymś takim, i to przy stajennym! Już miała odejść, ale Avenel odciął jej drogę. Podeszedł nieco bliżej i wyciągając ramiona z obu stron Brienne, oparł dłonie na grzbiecie stojącej za nią klaczy, układając je na damskim siodle ze wspaniałej francuskiej skóry. Brienne poczuła równocześnie zapach męskiego ciała, dobrze naoliwionej skórzanej uprzęży i czystych, zadbanych koni. Ponieważ nie mogła się wymknąć, zmusiła się do tego, by spojrzeć na Avenela; miała nadzieję, że jej podrażnione zmysły zaraz wrócą do normy.

– Jeśli chcesz uniknąć ćwiczeń fizycznych na grzbiecie klaczy... – powiedział, osaczywszy Brienne ze wszystkich stron. – Wobec tego... (Tu przeszedł na walijski, wiedząc, że oprócz Brienne nikt go nie zrozumie)... proponuję, żebyśmy wrócili do mojej sypialni. Będiesz sobie mogła pojeździć na mnie. – Gdy wyszeptał ostatnie słowa, nogi Brienne, przed chwilą całkiem silne i ruchliwe, omal się pod nią nie załamały. Avenel pochylał się jeszcze bardziej i znowu poczuła jego zapach.

Była tak zażenowana, że odebrało jej mowę. Spojrzała tylko niespokojnie na małego Kelly. Czy chłopiec zrozumiał słowa Avenela?... Przekonała się z ulgą, że stajenny zajmuje się wyłącznie Próźniakiem, wielkim gniadym ogierem. Poczucie upokorzenia nieco osłabło. Odwróciła się do Avenela i syknęła jadowicie w tym samym języku:



– Barbarzyńca! Jak śmiesz mówić coś takiego!

– Może i barbarzyńca. Ale zaspokój wreszcie moją ciekawość: wolisz klacz czy mnie?

Spojrzał na nią z tak bezczelną miną, że chętnie zdarłaby mu pazurami ten grymas z twarzy. Wiedziała jednak, że nie wymknie mu się, jeśli zrezygnuje z klaczy. Dała więc za wygraną i pozwoliła się podsadzić na damskie siodło.

Pospiesznie chwyciła za cugle, ale w swej nieświadomości zbyt je skróciła. Klacz posłusznie zaczęła się więc cofać. Wszystko wskazywało na to, że zawędruje tyłem do Londynu. Dziewczyna poczuła się okropnie bezradna, nie miała pojęcia co robić. Na szczęście Avenel przejął inicjatywę: wskoczył lekko na ogiera i łagodnym klusem pomknął ku polom i łąkom na północnym zachodzie.

Ku przerażeniu Brienne jej wierzchówka ruszyła za ogierem, przechodząc również w rażny, niezbyt równy klus. Brienne zwątpiła już w swe ocalenie: nie mogła ani rusz wpaść w ten sam rytm co jej koń.

– Chcesz mnie zamordować?! – wrzasnęła do Avenela, kiedy się w końcu zatrzymali na świeżo skoszonej łące. Nadal trzymała się kurczowo łęku siodła, ale czuła ogromną ulgę i wdzięczność dla losu: klacz nie trzęsła nią już, lecz stała spokojnie obok Próżniaka. – O to ci zawsze chodziło, prawda?! – Z irytacją usiłowała podciągnąć stanik sukni, który opadł podczas jazdy. Potem zajęła się granatowym żakietem, zauważwszy, że jeden z owalnych guzików rozpiął się. Zapinając go z powrotem, rzuciła Avenelowi wściekle spojrzenie. Doszła do wniosku, że o dalszej nauce jazdy nie ma mowy, a tego okropnego typu musi się pozbyć, i to jak najprędzej!

– Jeśli konna jazda ci się przypadkiem sprzykrzy, pomyśl lepiej o tym, moja damo! – Słane rozpiął koszulę i wyciągnął czarną wstążeczkę, zawiązaną na szyi. Pomachał Brienne przed nosem wiszącym na niej kluczykiem. Nie była tak naiwna, by po niego sięgnąć. Próbowwała udawać (bez większego powodzenia), że ani klucz, ani jego posiadacz nie obchodzą jej nic a nic.

– Będę się uczyć konnej jazdy, mój panie... – Brienne ustąpiła, gdyż skłonił ją do tego widok kluczyka. – ...Jeśli ci tak na tym zależy. Choć bolesna i niewygodna, jest o całe niebo lepsza od... tej drugiej propozycji.

– Doskonale. – Avenel zauważył, ile trudu kosztowało ją wyrażenie zgody. – A jazda okaże się znacznie wygodniejsza, jeśli będziesz trzymać wodze luźno. O, w ten sposób! – Opuścił lejce swobodnie na prawą łopatkę swego wierzchowca a następnie przeciągnął je przez zagięty mały palec, trzymając nadgarstki zgięte swobodnie.

– Dobrze – pochwalił, gdy Brienne niechętnie powtórzyła jego ruchy. – I jeszcze jedno. Powinnaś koniecznie trzymać ręce blisko grzywy. Będiesz wtedy miała większą kontrolę nad pyskiem klaczy, a poza tym wygląda to o wiele zręczniejszej. – Przyjrzał się jak Brienne opuszcza ręce i zakomenderował: – A teraz namów ją na stępa. Przesuń się lekko do przodu w siodle i trać ją łydka.

Brienne zrobiła jak jej kazał i – o dziwo! – klacz ruszyła stępa.

– Ale jak jej wytłumaczyć, dokąd ma jechać?

– Na początek wystarczy lekkie zaciśnięcie lewej lub prawej ręki na wodzach. Potem nauczysz się bardziej skutecznych metod.

Avenel dosiadł Próźniaka i przyglądał się, jak Brienne i klacz zataczają wokół niego kręgi. Pokazał jej, jak obracać konia. Dziewczyna poczuła się nagle o wiele pewniej. Kto wie, może nawet polubi kiedyś konną jazdę?... Cóż to za ulga znaleźć się z dala od Osterley!... Pogoda była równie piękna jak wczoraj: lazurowe niebo i złociste słońce. W powietrzu unosił się zapach świeżej trawy. I doprawdy zrobiło się jej lżej na sercu, gdy spoglądała z końskiego grzbietu na odległe pola, porośnięte to zieloną lucerną, to złocistym lnem.

– Mam wrażenie, że już się z nią dogadałyście – zauważył Avenel, gdy nadal objeżdżała go dokoła.

– A jak ona się wabi? – Brienne pochyliła się do przodu i poklepała klacz po jabłkowej szyi. Czowała się tak dobrze, że całkiem zapomniała o niewygodnym żakiecie i osuwającym się staniku.

– Nie ma jeszcze imienia. Musisz ją sama ochrzcić.

– Ja?... No to nazwę ją... – Błyszczącymi ząbkami przygryzła dolną wargę. Miała minę dziecka wymyślającego imię dla swej pierwszej lalki. – Nazwę ją... Królowa! Wygląda całkiem po królewsku, prawda? – Obejrzała się na Avenela, rozradowana, pewna jego aprobaty. Słońce zarumieniło prześlicznie jej policzki, a oczy Brienne nigdy jeszcze nie były tak świetliste i tak niesamowicie fiołkowe.

Brienne zdziwiła trochę mina Avenela. Wpatrywał się w nią tak, jakby zrobiła coś nadzwyczajnego i nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom. Szybko jednak ten wyraz znikł i jego spojrzenie stało się znów zimne jak lód. Potem odwrócił się, najwidoczniej dostrzegłszy coś bardziej interesującego w odległej kępie dębów.

Wkrótce pierwsza lekcja konnej jazdy dobiegła końca. Avenel ujął lejce i zawracając do stajni opryskliwie polecił Brienne, by jechała za nim. Ruszył znów tym przeklętym kłusem, a Królowa automatycznie wpadła w ten sam rytm, nie okazując żadnych względów niedoświadczonej amazonce. Brienne modliła się w duchu, by utrzymać się w kolebiącym,

niewygodnym siodle. Z ogromną ulgą (ale i ze wstydem) dotarła w końcu za Próźniakiem i jego panem na stajenny dziedziniec.

– Nie można by się obyć bez tego wściekłego kłusa?! – spytała cierpko Avenela, gdy objął dłońmi jej cienką talię i pomógł zsiąść z konia.

– Tylko w ten sposób nauczysz się jeździć – odparł krótko.

Przyglądała mu się, gdy przekazywał Kelly’emu cugle Królewny. Potem omal nie tupnęła nogą z irytacją, gdy bez słowa skierował się w stronę domu.



Z urzędzonego w stylu etruskim pokoju doleciał plusk wody i Brienne uznała to za niewątpliwy znak, że pan domu się kąpie. Powróciwszy z konnej przejażdżki, kipiała gniewem przez cały dzień i oczekiwała w napięciu jakiejś okazji do działania. I oto się nadarzała! Schowawszy się we wnęce między paradnym łóżem a drzwiami prowadzącymi do południowego korytarza, słyszała wyraźnie głos Avenela odprawiającego lokaja. A potem już tylko pluskała woda.

To była jej ostatnia szansa! Kluczyk leżał na komodzie i wabił Brienne złocistym blaskiem. Podeszła bliżej, modląc się, by pozostać niewidoczną mimo ognia płonącego na kominku. Przez szparkę w drzwiach prowadzących do ozdobionej wyszukаныmi freskami gotowalni dostrzegła olbrzymią, podługowatą, miedzianą wannę, w której – poza zasięgiem jej wzroku – siedział oczywiście Avenel. Brienne nasunęła kaptur peleryny na swe ciemnorude, lśniące włosy, by nie rozbłyły w blasku ognia. Potem prędko przebiegła przez pokój do kluczyka, który kusicielsko połyskiwał na czarnej lakierowanej komodzie.

Ostrożnie ujęła klucz drżącą ręką i bez pośpiechu wetknęła do właściwej dziurki. Z ledwie dosłyszalnym szcękaniem zamek odskoczył. Serce biło jej tak głośno, że była pewna, iż Avenel – choćby nawet nie zwrócił uwagi na zgrzyt otwieranego zamka – musi usłyszeć te uderzenia. Chyba by był głuchy! Bała się wprost odetchnąć i omal nie zemdląła, gdy plusk wody w etruskim pokoju nagle ucichł. Przez uchylone drzwi gotowalni dostrzegła, że ruchliwy cień Avenela na przeciwległej ścianie nagle zamarł.

Po chwili jednak Avenel doszedł do wniosku, że w sypialni nic się nie dzieje. Zabrał się znów do mycia, Brienne słyszała, jak szoruje sobie klatkę piersiową. Odważyła się wreszcie zaczerpnąć powietrza; aż osłabła z ulgi. Powróciła do swego zadania, przysięgając sobie zachowywać się jeszcze ciszej i przeklinając nieprawdopodobnie czuły słuch pluskającego się w wannie czyścioszka.

Bezszelестnie wyciągnęła szufladę na tyle, by dostrzec błysk drogich kamieni na grzebyku. Sięgnęła po niego i zacisnęła go miłośnie w dłoni. Potem ukryła grzebień w fałdach płaszcza, gładko wsunęła szufladę i odłożyła kluczyk z powrotem na komodę. Nie pożałowała kilku sekund na to, by omotać go wstążeczką dokładnie tak jak przedtem.

– To go powinno zmylić! – pomyślała, bardzo z siebie zadowolona. – A ja zyskam dzięki temu na czasie! – Wciągnęła powietrze głęboko w płuca. Była jak odrodzona, czując ciężar ukrytego w kieszeni grzebyka.

Odwróciła się, by wyjść z sypialni. Zdawała sobie sprawę, że musi pokonać jeszcze jedną przeszkodę nim znajdzie się na wolności. Musi powtórnie przejść obok uchylonych drzwi gotowalni. Wiedziała, że kąpiel Avenela dobiega końca; słyszała kapanie wody ściekającej z jego ciała, gdy wyszedł z wanny. Potem zaczął wycierać się ręcznikiem.

Przemykając obok drzwi gotowalni, spostrzegła Avenela; stał do niej tyłem. Obraz wysokiej, nagiej postaci, skąpanej w blasku ognia, pozostał długo w jej pamięci, choć jej oczy tylko się po nim prześlizgnęły. Mięśnie jego szerokich, gładkich ramion falowały, gdy przesuwiał ręcznikiem po mokrych włosach; zarysy smukłych, silnych ud przechodziły płynnie w zwarte pośladki, przęcające się przy każdym ruchu. Dostrzegła nawet, że włosy na jego nogach stawały się ku górze coraz gęściejsze. Na samą zaś myśl o tym nienazywalnym męskim organie, który mignął na sekundę między nogami, gdy Avenel schylił się, by je wytrzeć, Brienne zaczerwieniła się.

Z zamkniętymi oczami zdołała wyminąć groźne drzwi; uchwyciła się jednej z kolumniek łóżka, żeby nie upaść. Doprawdy, Avenel miał chyba jakiś szósty zmysł! Usłyszała jak podchodzi do drzwi gotowalni i zagląda do sypialni, by sprawdzić, czy nic się nie stało. Brienne instynktownie przywarła do ściany tuż obok kotar łoża, łudząc się nadzieją, że Slane nie wejdzie do pokoju. Zatrzymał się niezdecydowany na progu, poza zasięgiem jej wzroku. Domyśliła się, że nie ujrzał nic podejrzanego. Złocisty kluczyk leżał na komodzie dokładnie tam, gdzie go zostawił. Potem usłyszała, że wróg wycofuje się znów do gotowalni, by ogrzać przy ogniu swe nagie ciało.

Przemykając się jak spłoszony królik, Brienne dotarła do drzwi na korytarz i z niesłychaną ostrożnością zamknęła je za sobą, by niczego nie zaniedbać. Chciała jak najbardziej zyskać na czasie, więc nie mogła pozostawić żadnych śladów swej bytności w pokoju Avenela. Znalazszy się wreszcie w południowym pasażu, pomknęła do salonu, by ukryć się tam przed czuwającymi w hallu starymi lokajami. Potem zajrzała do słabo oświetlonej długiej galerii. Była na szczęście pusta, Brienne pośpieszyła więc tamtędy do głównego wyjścia, a następnie na tyły domu.

Znalazłszy się na zewnątrz, przekradła się pod ścianami w gęstniejącym mroku i dotarła do stajni. Żadne światło nie docierało z wnętrza wysokiego budynku. Brienne była zaskoczona własnym szczęściem. Gdy weszła do stajni, nie dostrzegła nigdzie Kelly’ego, za to Królowna wytknęła swą siwą główkę z najdalszego boksu, by ją powitać.

Niezręcznie klepiąc klacz po szerokim czole, Brienne poczuła nagle strach: trzeba było przecież osiodłać wierzchowca! Podeszła do ściany, na której wisiały siodła. Tylko jedno było damskie, więc je zdjęła. Okazało się nieprawdopodobnie ciężkie, ale zataszczyła je po ciemku do boksu Królowny. Potem raz jeszcze wróciła do tego samego kąta po uprząż; teraz jednak kompletnie się pogubiła: wszystkie wiszące na ścianie rzędy wydawały jej się takie same! W końcu zniecierpliwiona zdjęła pierwszą uprząż, która jej wpadła w rękę, sądząc, że posłuży równie dobrze jak każda inna. Powróciła do boksu Królowny, zarzuciła jej ciężkie siodło na grzbiet i przeszedłszy na drugą stronę zaciągnęła popręg. Umocowawszy go najlepiej jak potrafiła, zmarnowała kilka cennych minut, oglądając skomplikowaną uprząż i zastanawiając się, jak w to ubrać konia?...

Obracała w rękach ogłowie, aż zorientowała się, jak je nałożyć klaczy. Ucieszyła się bardzo, gdy zwierzę automatycznie wzięło wędzidło do pyska. Miała jednak kłopoty z wepchnięciem naczółka, choć Królowna wyraźnie nadstawiała łepetynę. Doszła do wniosku, że wybrała nieodpowiednią uprząż: była stanowczo za ciasna koło uszu. Mogła sobie jednak pogratulować, że w ogóle zdołała ustroić zwierzę w te wszystkie skomplikowane rzemienie. Po cichutku wyprowadziła klacz ze stajni na dziedziniec i miała nadzieję, że zbyt ciasna uzda nie zrobi Królownie krzywdy.

Zdumiała się, gdy Orillon podbiegł do niej, machając ogonem. Żartobliwie ofuknęła psa za to, że ją przestraszył. Od owej nocy, którą wspólnie spędzili w stajni, byli ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni.

– Tylko nie wypapłaj swemu panu, żeś mnie widział, Orillon! – ostrzegła psa, pochylając się i głaszcząc go po głowie. Wyprostowała się i po raz ostatni spojrzała na dwór: wielkie okna jaśniały; płonęło mnóstwo świec. Przez krótką, bolesną chwilę stała bez ruchu, niewidoczna w mroku, ściskając w drobnej ręce wodze Królowny.

Ileż dom taki jak Osterley Park miał do zaoferowania młodej dziewczynie, spragnionej miłego towarzystwa i odrobiny luksusu! Ilekroć jednak Brienne poczuła się urzeczona wspaniałością Osterley, czar wkrótce pryskał – i to nie na wspomnienie Avenela, gdyż zaczęła powątpiewać, czy jest w istocie takim potworem, za jakiego go uważała. Chodziło o jej

ojca, który miał się niebawem zjawić. Przed tą myślą nie było ucieczki. Trwoga Brienne była całkowicie uzasadniona. Nie zaryzykuje ponownego spotkania z nim, nawet za cenę luksusu i wytwornego życia.

Pogodziwszy się z losem, Brienne niezdarnie wspięła się na siodło, wykorzystując słupek ustawiony w tym celu przy podjeździe. Rzuciła ostatnie spojrzenie na Osterley Park i skierowała się na północny zachód, w stronę lasów. Z niejasnym poczuciem, że zapomniała o czymś ważnym, skłoniła Królową (nie bez trudu) do statecznego stępa.

Bardzo prędko przekonała się, że konna jazda wymaga znacznie więcej umiejętności niż można zdobyć podczas jednej lekcji. Zbyt mocno zaciśnięta uzda raniła delikatny pysk Królowy. Klacz nieustannie rzucała głową, żuła rzemień i obficie się śliniła, usiłując złagodzić ból. Odgłosy nocy (od pohukiwania sowy, która wcześniej wyruszyła na łowy, do trajkotania wiewiórek, które o tak późnej porze urządziły sobie spotkanie w gąszczu gałęzi) płoszyły klacz, skłaniając ją do ryzykownych podskoków, nad którymi niewprawna amazonka nie miała żadnej kontroli.

Ledwie jednak minęły pierwszą kępę drzew, Królowa uspokoiła się. Potem jednak stanęła jak wryta, zupełnie jakby ujrzała coś strasznego. Nadstawiła uszu i nienaturalnie wyciągnęła szyję.

– Co się stało? – szepnęła Brienne do przerażonej klaczy. Strach zwierzęcia udzielił się także jej. Nerwowo ściągnęła lejce, ale wierzchowka wcale na to nie zareagowała. W obawie przed tym czymś niewidzialnym i strasliwym Brienne bez ceremonii kopnęła konia w lewy bok, mając nadzieję, że Królowa wreszcie się ruszy. Zwierzę stanęło dęba i gwałtownie rzuciło się do przodu, pragnąc uciec przed czymś, co budziło w nim paniczny lęk. Królowa nie traciła czasu: pognęła w stronę odległej polanki. Klacz była w dzikim popłochu, Brienne zaś przerażona i – co grosza – całkiem bezradna. Nie miała żadnej władzy nad swym wierzchowcem, paraliżowała ją trwoga, wczepiła się więc tylko z całych sił w przystrzyżoną grzywę.

Dotarli do polanki w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Brienne była pewna, że obie przypłacą życiem ten szaleńczy galop. Gdy znalazły się na tonącej w mroku łączce, spłoszona klacz raz jeszcze stanęła dęba, jakby chciała sprawdzić zdolności jeździeckie Brienne. Dziewczyna nie zdołała utrzymać się w siodle i runęła na twardą, czarną ziemię. Była ogłuszona, rozpaczliwie usiłowała zaczerpnąć powietrza, ale płuca odmówiły posłuszeństwa. Patrzyła bezradnie jak klacz, pozbywszy się jeźdźca, pędzi jak szalona z zadartym ogonem i znika w otaczającym polankę mrocznym gąszczu.



W końcu, kiedy Brienne była już pewna, że udusi się z braku powietrza, chłodny nocny powiew znalazł jakoś drogę do jej klatki piersiowej. Wciągnęła go zachłannie w płuca. Leżała na brzuchu, ciężko dysząc i płacząc, aż wreszcie usłyszała za sobą tętent kopyt. Dolatywał z odwrotnej strony niż ta, w którą pognęła Królowna. Brienne nie odważyła się odwrócić głowy w tamtym kierunku. Bała się straszliwie skutków morderczej jazdy, przyjazdu hrabiego oraz wściekłego gniewu, który maluje się z pewnością na twarzy człowieka, który się do niej zbliżał.

– Niech cię piekło pochłonie! – syknął nienawistnie Avenel, zsiadając z konia. Machnął gniewnie lejcami przed samym nosem Próźniaka, aż przerażone zwierzę stanęło dęba, i cisnął na ziemię pokrytą pianą szpicrutę. – Ty idiotko! Powinienem cię zatłuc na śmierć! – Stał nad Brienne w lekkim rozkroku i zmierzył gniewnym wzrokiem jej trzęsące się od płaczu plecy. Chciał ją podnieść z ziemi i sprawdzić, czy się nie zraniła, ale cofnęła się raptownie pod jego dotknięciem.

– Jeśli masz choć odrobinę przyzwoitości, zostaw mnie w spokoju! – zawołała. Jej twarz była brudna i zalana łzami. – Nie rozumiesz, że muszę stąd uciec?! Czemu ciągle mi w tym przeszkadzasz?

– Już ci mówiłem: będziesz mogła odejść, gdy rozprawię się z twoim ojcem – odparł twardo.

– Z moim ojcem! Żadna ze mnie przynęta na niego! On mnie nienawidzi! Nie widziałam go od dzieciństwa! Z pewnością nie zjawi się tu po mnie! – przekonywała Brienne, starając się ujawniać jak najmniej ze swojej przeszłości. Znów odezwały się w jej mózgu gromkim echem straszliwe pożegnalne słowa lorda Olivera: „Będę miał was obie, obie, obie!...” Pragnąc je zagłuszyć, Brienne zatkała sobie uszy rękami. Jak zdoła znieść spotkanie z ojcem?... Nie była tak dzielna jak matka.

– Nie musisz wcale zwabiać tu hrabiego. I tak się zjawi, czy będziesz tu, czy ciebie nie będzie. – Avenel znów spróbował postawić ją na nogi.

– A więc mam odegrać w tym szaleńczym planie jakąś inną rolę? Powiedz mi wreszcie, o co chodzi! – Znów mu się wyślizgnęła i wstała o własnych siłach. Chciała uciec i skryć się w czarnym gąszczu otaczających polanę lasów. Nie odbiegła jednak daleko. Skręciła sobie kostkę: była spuchnięta i obolała. Upadła prosto w wyciągnięte ku niej ramiona; oboje potoczyli się po ziemi. Avenel przygniótł ją swym ciężarem i unieruchomił.

– Gdzie grzebień, Brienne? – Gdy patrzył na nią, oczy jaśniały mu jak dwa księżycy w pełni na ciemnym, chmurnym niebie.

– Nie mam go. – Próbowwała się podnieść, ale jej nie puszczał.

– Oddaj mi go natychmiast, bo rozbiore cię do naga i obszukam. – Zaczął od płaszcza; chwycił za kaptur i zdarł jej pelerynę z pleców.

– Nie, nie! Proszę, nie rób tego! – Slane zabrał się do jej stanika, drąc w pośpiechu koronkę przy dekolcie.

– Oddaj grzebień, Brienne! – Uśmiechnął się groźnie i przesunął lekko dłonią po jej piersi.

– Och... Jesteś potworem! – Szamotała się z nim, próbując go postrzymać.

Daremny trud. Choć wyęzła wszystkie siły, pokonał ją z łatwością. Jęknęła, gdy unieruchomił jej ręce i zabrał się do rozwiązywania tasiemek. Koszula opadła jej z jednego ramienia, a ciepłe, ruchliwe palce Avenela zaczęły błądzić po wszystkich wzgórkach i dolinach wewnątrz stanika.

– Cóż, tu go nie ma – mruknął złośliwie, nie zdejmując ręki z jej piersi.

– Więc przestań mnie macać! – zażądała, płonąć ze wstydu. Gdy jej nie posłuchał, nie wstyd, lecz gniew popchnął Brienne do ostatniej próby oporu. Zaatakowała zębami błądzącą po jej ciele rękę.

– Ach, ty! – warknął Avenel, wrywając palce z jej zębów.

Rozwścieczona jeszcze bardziej tym, że zmusił ją do niegodnego damy zachowania, Brienne znalazła w sobie nowe siły. Gdy Avenel ogłądał poszkodowane palce, wyslizgnęła się spod niego, zerwała na nogi i rzuciła do ucieczki.

– Jak jeszcze raz użyjesz zębów, zamknę cię do klatki! – Wyciągnął rękę, chwycił brzeg jej halki i mocno szarpnął. Rozległ się trzask. Brienne krzyknęła, czując jak zdiera z niej bieliznę. Straciła równowagę i znów leżała na ziemi, tym razem jednak na nim, nie pod nim.

– Jeśli mi nie oddasz grzebienia, kochanie, będę musiał zedrzyć z ciebie wszystko. Może zacniemy od tego?... – zacisnął palce na brzegu stanika.

– Nie uwierzysz mi, jak ci powiem, że go zgubiłam?... Pewnie wypadł wtedy, gdy Królowna się zbiesiła.

– Spisałaś na straty swój jedyny klejnot? Nie wierzę! – Odgarnął jej włosy, które opadły na twarz. – Oddaj grzebień, bo pożałujesz!

– Ja nie... – Urwała, czując usta Avenela na swoich. Gwałtownie odwróciła głowę. Ale ruch, który uniemożliwił pocałunek, sprawił, że Avenel miał jeszcze lepszy widok na rozchylony stanik znajdującej się nad nim dziewczyny. W końcu jednak uwagę Brienne zaprzętał nie pożądlivy wzrok, którym Avenel ją dosłownie pożerał, nie mocny chwyt, który unieruchamiał ją skuteczniej niż kajdany, ale dotyk jego drugiej ręki, sunącej bez pośpiechu w górę po jej nagim udzie.



– Czy dla ciebie nie ma nic świętego?! Śmiesz mi zaglądać pod spódnice?! – syknęła jadownicę.

– Jak widzisz – powiedział tylko. Jego ręka dotarła w końcu do gładkich, nagich pośladków i zamknęła się na nich. Brienne poczuła chłodne powietrze nocy na skórze, dotąd troskliwie osłanianej przez liczne warstwy ubrania. Było to bardzo dziwne uczucie. Dotyk dłoni Avenela sparzył ją jak rozpalone żelazo, wstrząsnął nią do głębi. A jednak pod wpływem wprawnej pieśczoży jej purytański opór tajał, oblewało ją gorąco. Jej nieodpowiedzialne ciało znów ją zdradziło. Była jak ogłuszona i w pierwszej chwili nie zorientowała się, że Avenel znów ją całuje.

Najpierw szyja, potem broda, wreszcie zalane łzami policzki doznawały tej – jakże delikatnej – napaści. Otworzyła usta, by zaklinać go bezładnie, trwożnie... i wówczas jego język, rozpalony i kusicielski, wtargnął jej niemal do gardła.

– Gdzie grzebień, kochanie? Obawiam się, że jeśli potrwa to dłużej, to twoja inicjacja miłosna odbędzie się na zimnie i na gołej ziemi – szepnął jej we włosy. Nadal gładził rozpaloną ręką gładkie pośladki Brienne.

– Żebyś zdechł! – Z płaczem zerwała się, drżącymi rękami poprawiając na sobie ubranie. Obciągnąwszy przywoicie spódnice i zaciśnąwszy sznurówkę, sięgnęła do ukrytej kieszeni płaszcza i cisnęła grzebieniem w Avenela. – Żebyśgnił w piekle!

– Dość tego! Nie przeklinaj jak jakiś dziewczka z karczmy.

Pełnymi łez oczyma przyglądała się, jak podnosi z ziemi zdobny ametystami grzebyk i chowa go starannie wewnątrz szerokiego pasa. Znalazła jakąś gorzką satysfakcję w tym, że swą ucieczką zmusiła go do tak wielkiego pośpiechu, iż nie zdążył nawet włożyć płaszcza lub grubego surduta, choć wieczór był zimny. Może przeziębienie się na śmierć w drodze powrotnej do Osterley! – pomyślała z nadzieją.

– Skąd wiedziałeś, że uciekłam? – spytała, nie kryjąc bynajmniej wrogości.

– Miałem wrażenie, że jesteś w mojej sypialni, kiedy się kąpałem. Pewnie wtedy wykradłaś grzebień. Gdy nie zjawiłaś się na obiedzie, Cumberland poszedł po ciebie i odkrył, że zniknęłaś. Domyśliłem się, że pojechałaś tędy, bo ostatnim razem, kiedy próbowałaś uciec, też ruszyłaś w tym kierunku. Obserwowałem cię z galerii.

– Następnym razem obiorę inną drogę.

Odsunęła się od niego, starając się odegnać od siebie strach, ale nie ustępował. Był równie mroczny i posepny jak jej prześladowca.

– Nie będzie żadnego następnego razu. – Bez ostrzeżenia podniósł ją i posadził na grzbiecie Próźniaka.

– Właśnie że będzie! – wrzasnęła, próbując zsiąść, ale ją powstrzymał.

– Nie będzie. Już ja się o to postaram. – Potrząsnął głową i bez ogródek powiedział jej, co myśli: – Cóż z ciebie za idiotka! Galopować na Królewnie w środku nocy! Nie rozumiesz, że mogła cię nie tylko zrzucić, ale powlec za sobą? Udało ci się tylko skrócić kostkę, gdy uwalniałaś nogę ze strzemięcia... Widziałem nieraz, jak noga niewprawnego jeźdźca więźnie w strzemięciu i spłoszony koń wlecze go milami!... Kiedy już zatrzymają konia, przykro patrzeć na takiego biedaka. – Podniósł z ziemi ubrudzony płaszcz Brienne i wskoczył na siodło, siadając za nią. Próbowała oponować, lecz objął ją mocno ramionami i owinał szczelnie płaszczem. Napierał tak mocno na jej plecy, że jechała z konieczności na łęku siodła, opierając nogi o bark zwierzęcia. Zawrócił do Osterley Park i Próżniak wolnym krokiem ruszył ku domowi.

– Ale co z Królewną?... Powinniśmy chyba jej poszukać? – spytała Brienne, oglądając się na Avenela. Na widok jego kamiennej twarzy serce jej zamarło.

– Trzeba było o tym pomyśleć, kiedyś ją wykradała. Możemy tylko mieć nadzieję, że klacz wróci jutro sama i nie trzeba jej będzie zastrzelić z powodu połamanych nóg.

– Ja... ja zamierzałam ją zwrócić – powiedziała Brienne cicho, trzęsącym się głosem.

– Doprawdy?

– Nie mogę tu być, gdy zjawi się hrabia! Czemu nie chcesz tego zrozumieć?! Obeszło by się bez tego wszystkiego, gdybyś po prostu zwrócił mi grzebień i pozwolił odjechać!

– Pogódź się wreszcie z sytuacją, Brienne. Uciekasz jak spłoszona sarna, choć staram się uprzyjemnić ci pobyt w Osterley.

– Ale on tu wkrótce przyjedzie i...

– Skąd ta pewność, że Oliver Morrow wkrótce tu będzie? Na jego drodze piętrzy się mnóstwo przeszkód i pokonanie ich zajmie mu dłuższą chwilę!

– Co rozumiesz przez „dłuższą chwilę”? – dopytywała się z niepokojem.

– Może się zjawić jutro, ale równie dobrze za kilka miesięcy. Wszystko zależy od niego.

– Kilka miesięcy?! – zdumiała się. Pod wpływem tej wieści obechły łyzy, wylane w bezsilnym gniewie.

– Całkiem możliwe – oświadczył mgliście – więc przestań się tak gorączkować. Sądzę, że jeśli potrwa to dłużej, zadomowisz się całkiem w Osterley... o ile sobie na to pozwolisz, rzecz jasna!

– Czemu sądzisz, że minie sporo czasu, nim zjawi się tu mój ojciec? – wypytywała dalej.

– Przebywa teraz w Maryland – wyjaśnił cierpliwie Avenel. – Toczy się tam wojna, więc nie będzie mu łatwo znaleźć statek zmierzający na Wyspy Brytyjskie. – Mówił to z wyraźną satysfakcją, jakby sam był odpowiedzialny za trudną sytuację hrabiego. – Bardziej niż prawdopodobne, że będzie musiał wracać okrężną drogą, przez Indie Zachodnie. Sama podróż potrwa zapewne kilka miesięcy. Wszystko wskazuje na to, że czeka nas dłuższe oczekiwanie, dziki kwiatku. Możesz mi wierzyć!

– Nie mogę siedzieć tu bez końca! To nie byłoby w porządku. – Podniosła łśniącą, ciemnorudą głowę. – O czym tak dumasz? – spytała z podejrziwą miną.

– Nie pytaj za wiele. Tak będzie lepiej – odparł szorstko i zmienił temat. – Ale jeśli tak ci zależy na wyjeździe, możesz opuścić Osterley Park o każdej porze dnia czy nocy. Dam ci nawet powóz.

– Czy oszalałeś?! W jednej chwili mówisz, że jestem twoim więźniem, a w następnej, że mogę odejść, kiedy chcę! Jeśli tak, to po co mnie ścigałeś?

– Bo jeszcze nie zasłużyłaś sobie na ten przywilej. Co ty na to, by wrócić do tego, co zaczęliśmy w zimnie, na gołej ziemi... i zakończyć to w mojej ciepłej sypialni? – Uśmiechnął się i przytulił do niej. Jego ręka zakradła się na kark Brienne, jakby chciał odgarnąć jej włosy i ucałować ją w szyję.

– Możesz sobie zatrzymać grzebień! Nie widzę potrzeby odgrywania znów tej niesmacznej sceny! – Brienne zeszytywniała i odsunęła się od niego najdalej jak mogła, nie ryzykując upadku z konia.

– Nawet za cenę wolności? Oczywiście, musielibyśmy posunąć się dalej niż dzisiaj wieczoru. Musiałabyś... pozbyć się wianuszka, jak to mówią. – Zaboreczo przygarnął ją ramieniem, którym obejmował dziewczynę w talii. Brienne była wściekła.

– Choćbym była wężem, co zrzuca skórę, nawet jej nie pozbyłabym się dla ciebie! – Próbowwała oderwać od swego pasa rękę Avenela, ale zupełnie jej się to nie udało. Tylko go rozśmieszyła.

– Jak sobie chcesz! Ale nie zamierzam więcej uganiać się po nocy, żeby ściągnąć cię z powrotem. Jeśli będziesz nadal próbowała takich sztuczek, zamknę cię w twojej sypialni. – Popatrzył na nią, ale Brienne nie zdołała nic wyczytać z wyrazu jego twarzy. – Albo jeszcze lepiej: w mojej.

– Myślisz, że ci to ujdzie na sucho?! Mój ojciec stracił majątek, ale to ci jeszcze nie daje prawa traktować jego córki w podobny sposób! Więzić i zmuszać do... do takich czynności... jak dziś!... – Poczwała, że

się czerwieni, ale to jeszcze bardziej ją rozwścieczyło. – Każdy uczciwy człowiek w naszym królestwie opowie się po mojej stronie!

– Więc gdzież ten tłum szlachetnych obrońców? Musisz sama przyznać, Brienne, że jakoś ich nie widać! Prawdę mówiąc, odebranie ci cnoty będzie najłatwiejszym zadaniem w moim życiu!

– Jeszcze mi jej nie odebrałeś! – Natychmiast pożałowała tych słów. Zabrzmiały jak wyzwanie.

– Prawda. Ale jeśli ci się do tego spieszy, możemy się pobawić w chowanego. Schowasz grzebień tu czy tam, a ja go będę szukać. Ale postaraj się tym razem ukryć go w bardziej podniecającym miejscu!

Czuła na karku jego gorący oddech. Drasnął zębami wrażliwą skórę na odsłoniętej szyi. Kiedy zaczął pieścić ją językiem, Brienne uniosła ramiona w obronnym geście.

Roześmiał się.

– Jakaś ty uroczo naiwna, kochanie!... No i co: nie masz ochoty odzyskać wolności jeszcze tej nocy?

– Nie! – miała ochotę wrzasnąć. Zamiast tego odwróciła się ku świecącemu oknom Osterley Park i wpatrywała w nie z gorzkim, kamiennym milczeniem. Jakże słaba i naiwna muszę mu się wydawać! – myślała, czując do siebie nienawiść. Jedyłą pociechę stanowiło to, że Avenela nienawidziła jeszcze bardziej.

## 10

**K**rólowna wróciła wreszcie do domu, ale w nie najlepszym stanie. Brienne spoglądała na klacz miotającą się po stajennym dziedzińcu; jakieś pnącza wplątały się w jej zazwyczaj pięknie rozczesaną grzywę; na zgrabnych nogach było mnóstwo skaleczeń, z których ciemnoczerwona krew ściekała na białe jak alabaster kamyki podjazdu. Kelly przemawiał uspokajająco do Królowny i gładził ją po jedwabistej sierści, aż wreszcie zgodziła się wejść do stajni, gdzie mógł ją opatrzyć. Stajenny nie rzucał wcale oskarżycielskich spojrzeń na Brienne, choć niemal wołałaby, gdyby tak było. Poczuli się okropnie na widok przerażonej i pokaleczonej klaczy. Obserwowała ją ze schodów przed frontowym wejściem, a łzy żalu mąciły jej wzrok.

– Dobrze już, dobrze... Nie trzeba płakać. – Brienne odwróciła się i ujrzała stojącego obok niej Cumberlanda. Tak samo stał przy

niej w chwili, gdy Avenel przyprowadził klacz z powrotem. Nie mogła już się powstrzymać: gorące łzy popłynęły strumieniami po jej policzkach.

– To wszystko przeze mnie, wie pan?... Na pewno Avenel już panu o tym powiedział.

– Owszem, opowiedział mi o wszystkim. Ale klacz całkiem wydobrzeje, sama się pani przekona. Po prostu bardzo się wystraszyła, ale wkrótce będzie jak nowo narodzona! – Ujął Brienne za ramię.

– Ale ona tak krwawi! – Dziewczyna aż krztusiła się łzami. Czuliła się okropnie. – Avenel nigdy mi nie wybaczy, że tak ją skrzywdziłam! – Odwróciła głowę, by starszy pan nie mógł zobaczyć jej twarzy. Nie wiedziała sama, czemu jej tak zależy na przebaczeniu Avenela... a jednak było to dla niej szalenie ważne.

– Konie to wielkie zwierzęta. Wydaje się, że klacz straciła mnóstwo krwi, ale wcale tak nie jest. Grunt, że wróciła już do domu, i to w jednym kawałku. Powinna się pani cieszyć.

– Widział pan przecież wyraz twarzy Avenela, gdy przyprowadził klacz z powrotem! – Brienne zadrżała i spuściła fiołkowe oczy, zaczerwienione teraz od płaczu i bezsenności. – Wyglądał tak samo jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Miał taki krwiożerczy wzrok!... On mnie nienawidzi, mówię panu! Nienawidzi mnie jak zarazy!

– No, no, kochanie! On wcale pani... – Cumberland próbował ją pocieszyć, ale Brienne przerwała mu. Nagle zaczęła wyrzucać z siebie wszystkie złe, straszne myśli.

– Wiem, że tak jest! To przez mego ojca! Avenel uważa, że i ja ponoszę winę za coś straszego, co on mu zrobił... – Głos jej się załamał. – Może ma słuszość. Może jest w mojej krwi coś, co popycha mnie do złego. Nigdy nie było mi lekko w życiu, podobnie jak mojej matce. Od kąd sięgam pamięcią, zawsze starałam się odciąć od swych korzeni. Uciec od czegoś, co było przerażające i ohydne! Może naprawdę płynie we mnie zła krew Olivera Morrowa. Ludzie zawsze przyglądają mi się dziwnie, gdzie się tylko obróć. Uważają mnie za odmieńca... – oczerniała się Brienne. – Może naprawdę diabelski pomiot ze mnie?... – Przepełniona żalem zbiegła ze schodów, nie chcąc słuchać pocieszeń Cumberlanda.

Łaknęła świeżego powietrza i samotności. Wiedziała, że długi spacer po parku dobrze jej zrobi. Kiedy późnym wieczorem wróci do domu, może dowie się czegoś pocieszającego na temat Królowny?...

– Jak... jak ona się miewa, Kelly? – Było już ciemno, gdy Brienne zjawiła się wreszcie w stajni. Ręce miała lodowate, a jej pociągająca twarz była spierzchnięta z zimna.

– To pani, lady Brienne? – Kelly uniósł wysoko latarnię, by przyrzeć się drobnej, spowitej w pelerynę postaci, stojącej w drzwiach stajni.

– Czy ona nadal krwawi?... – spytała z lękiem.

– Skąd znowu! Ta znarowiona klacz świetnie się miewa! Ale musi pani wejść do środka, lady Brienne! Nie może pani tak stać na zimnie! – Widać było, że bardzo się przejmuje jej losem. Aż się zaczerwienił. Brienne pomyślała, że chłopak nie ma chyba więcej niż piętnaście lat.

– Więc Królowna wydobrzeje?... Ja... widziałam jak strasznie wyglądała, kiedy pan Slane przyprowadził ją do domu...

– Przez kilka dni będzie troszkę sztywna, ale dobrze jej tak! Przecież panią zrzuciła. Warto byłoby jej przyłożyć batem!

– Ależ nie! To była moja wina! To cudowny koń. Popełniłam taki głupi błąd... nie wiedziałam, co robię. – Dolna warga jej drżała i Brienne czuła, że zaraz się znowu rozklei. Odwróciła się więc i na odchodnym rzuciła tylko: – Dobranoc, Kelly! Jutro rano do niej zajrzę.

– Dobranoc, lady Brienne – zawołał żywo Kelly za odchodzącą. – Niech się pani nie turbuje klaczą. Nic jej nie będzie, zobaczy pani!

Brienne chciała uśmiechnąć się do niego i skinąć głową, ale nie była w stanie tego zrobić. Wróciła więc do domu w posepnym milczeniu.

Weszła frontowymi drzwiami, pozdrowiła sędziwych lokajów i ze znużeniem powlokła się na górę do swego pokoju. Pragnęła tylko zasnąć i przestać myśleć w kółko o wszystkich ponurych wydarzeniach z przeszłości. Większą część dnia przesiedziała na marmurowej ławce w pobliżu domu, zastanawiając się, co właściwie było przyczyną wszystkich jej niedoli. Tytułowano ją co prawda „lady Brienne”, ale wyglądała niemal jak żebraczka i nie miała grosza przy duszy. Nie miała również dachu nad głową ani krewnych z wyjątkiem człowieka, który twierdził, że jest jej ojcem. A jednak nigdy nie opiekował się nią, ani nie troszczył się o jej los. I jeszcze ta okropna, dręcząca wątpliwość dotycząca jej pochodzenia...

W mózgu Brienne natrętnie pojawiały się dwa obrazy: twarz młodzieńca z ukrytej w komodzie miniatury i portret hrabiego wiszący w galerii. O Boże, jak wstrętna była dla niej myśl, że w jej żyłach płynie krew hrabiego! Nienawidziła go równie mocno jak Avenel Slane. Ale przypuszczenie, że mogłaby być bękartem, było zbyt okropne, by brać je pod uwagę. Matka twierdziła, że jej ojcem był ten okrutnik, który odwiedził je niegdyś w Londynie. Może jednak mama chciała ją w ten sposób

osłonić?... Gdyby człowiek pokroju hrabiego zwątpił w legalne pocho-  
dzenie córki, nie obeszłoby się bez dramatycznych konsekwencji dla  
matki i dziecka. Czyżby za przykładem matki miała dojść do przerażają-  
cego wniosku, że jedynym wyjściem jest uznanie za ojca hrabiego...  
choćby był nie wiem jak odrażający?... Że każde inne rozwiązanie może  
doprowadzić do tragedii?... Rozważania na ten temat przyprawiły  
Brienne o ból głowy.

Znalazłszy się w swoim pokoju, usiadła sztywno na żółtej kozetce,  
zastanawiając się, co teraz robić. Vivie gdzieś się podziała. Brienne brak  
było towarzystwa tej wesołej dziewczyny. Wpatrywała się pośpiesnie  
w swoje ręce, spierzchnięte i zaczerwienione od zimna.

– Nie przebierze się pani do obiadu, drogie dziecko?

Brienne podniosła głowę i ujrzała Cumberlanda stojącego na kory-  
tarzu przed otwartymi drzwiami jej pokoju.

– Ależ nie!... To znaczy... nie zamierzałam schodzić na obiad.

– Widziałem Vivie: odprasowuje właśnie jedną z pani sukien, więc  
będzie pani miała się w co przebrać. – Cumberland nie próbował nawet  
wejść do pokoju, lecz stał w przyzwoitej odległości.

– No cóż, ja... – Brienne potrząsnęła głową. – Czy nie mógłby pan  
powiedzieć mu, że się źle czuję? Dziś po prostu nie mogę się na to zdobyć.

– Jeśli mówiąc o „nim”, ma pani na myśli Avenela, nie musi się pani  
obawiać. Nie będzie dziś jadł razem z nami. Dopiero co wyjechał.

– Wyjechał? Dokąd wyjechał? – Popatrzyła na niego badawczo.

– Do Londynu.

– Przeze mnie? Przez to, co zrobiłam Królowi?...

– Ależ skąd, drogie dziecko! Od dawna zamierzał odnowić pewne  
znajomości. Nie będzie go chyba przez kilka tygodni.

– Kilka tygodni?... – powtórzyła w osłupieniu. Dlaczego zmartwił  
ją ten wyjazd? Powinna być w siódmym niebie, ale – Bóg wie czemu! –  
czuła się jeszcze gorzej niż przedtem. Było jej dziwnie pusto. Czyżby  
polubiła tego zimnego, twardego człowieka?... Czy to możliwe?...  
Chcąc temu koniecznie zaprzeczyć, odezwała się ze sztucznym ożywie-  
niem.

– Jeśli będziemy tylko we dwoje, z największą przyjemnością zej-  
dę na obiad... o ile zgodzi się pan poczekać, aż się przebiorę.

– Ależ oczywiście! Proszę mi wybaczyć, że byłem taki natarczywy  
i ośmieliłem się nawet tu panią niepokoić. – Cumberland zarumienił się.  
Jego pomarszczona, różowa twarz wprost promieniała. – Obawiałem się,  
że jeśli tego nie zrobię, nie spotkamy się na dole. Wybaczy mi pani, lady  
Brienne?...



– Oczywiście! Nie mówmy o tym więcej. – Uśmiechnęła się do niego ciepło. Przez cały czas miała wrażenie, że Cumberland stoi po jej stronie. Wiedziała, że martwił się o nią, mimo że nie wystąpił nigdy przeciw Avenelowi. Jego troskliwość bywała niekiedy wzruszająca.

– Dziękuję, lady Brienne. Jest pani dla mnie bardzo łaskawa. – Skłonił się i odchodząc już, dodał: – Jeśli pani pozwoli, zjemy dziś obiad w pokoju śniadaniowym. Jest niewielki, a to chyba nam obojgu bardziej odpowiada.

– Doskonały pomysł! Nie będzie pan musiał długo na mnie czekać! – zawołała za nim i wstała z sofy. Postanowiła dołożyć starań, żeby to był przemiły wieczór.

Zaczęła właśnie szcztokować włosy, gdy weszła Vivie ze świeżo odprasowaną suknią. Obie młode kobiety zaczęły gawędzić wesoło na różne tematy, kiedy jednak Vivie napomknęła o wyjeździe Avenela, Brienne od razu zamilkła i zadumała się.

– Pan Slane wróci, zanim się mademoiselle spostrzeże! – Pokojówka zaciągnęła mocniej sznurówki gorsetu, które obluźowały się w ciągu dnia.

– Nic mnie to nie obchodzi, dokąd on jedzie i kiedy wraca! – zawołała Brienne, siłąc się na lekki ton.

– Ach, tak?... Ale może pani zmieni zdanie po jego powrocie?... Jestem pewna, że nie wróci z pustymi rękami! – zauważyła tajemniczo Vivie.

– Coś ze sobą przywiezie? – spytała Brienne. Kiedy mała pokojówka nie udzieliła dalszych wyjaśnień, ciekawość Brienne wzrosła. Cóż to takiego? Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl: może nie chodzi o coś, tylko o kogoś?... Nie mógł to być hrabia; wynikało to wyraźnie z ich wczorajszej rozmowy, gdy wracali wieczorem na Próżniaku. Ale ktoś inny? Może jakaś kobieta?... Czy zamierzał upokorzyć Brienne przy obcych, dając do zrozumienia, że jest jego kochanką?... Przed kim? Jakąś inną kobietą?... Może chciał wzbudzić zazdrość damy, o której względy zabiegał? Czyżby o tym właśnie mówiła Vivie?... Nie, to niemożliwe! – skarciła się w duchu Brienne. To jakieś chorobliwe brednie! Skoncentrowała się na swej toalecie i dała sobie słowo, że nie pomyśli już ani razu o właścicielu Osterley Park ani o niczym, co wiąże się z jego osobą.

– Taka pani śliczna, mademoiselle! – uśmiechnęła się Vivie, gdy Brienne była już gotowa do obiadu. – Nie może pani pozbawić urody nawet ta stara sukienka! Ale i na nią znajdzie się pewnie jakaś rada.

– Obawiam się, że zanim będzie mnie stać na nową toaletę, ta całkiem się rozleci jak moja biedna polonezka! – Brienne spojrzała na swą



zniszczonej sukni z fioletowej wełny i ożyły w niej wspomnienia. – Moja matka miała kiedyś cudowną suknię, utkaną ze srebrnych nitok. Do czasu, gdy musiała się z nią rozstać, srebro trochę zmatowiało. Suknia była bardzo szeroka i rozpięta na ogromnych obręczach, tak jak te staromodne krynoliny. W ten sposób toaleta prezentowała się jeszcze efektowniej: w blasku świec przelatywały po niej srebrne iskry. Mama w tej sukni z pewnością była najpiękniejsza ze wszystkich! Przedstawiono ją nawet u dworu, wiesz? Zanim jeszcze wyszła za... – Brienne oderwała oczy od swojej sukni i roześmiała się. – Zabawne, jakie głupstwa zostają nam w pamięci! Same drobnostki bez znaczenia.

– Ależ nie! Wszystko ma znaczenie. Człowiek to poznaje dopiero z czasem, mademoiselle – odparła serdecznie Vivie. Potem zerknęła na zegar stojący na kominku i dodała prędko po francusku: – Pora na obiad, lady Brienne! Ten biedny Monsieur Cumberland pije już pewnie trzecią brandy!

Kiedy Brienne dotarła do pokoju śniadaniowego, była mile zaskoczona: jak przytulnie tu przy wesoło trzaskającym ogniu! Płomienie odbijały się w dwóch wyjątkowo pięknych ściennych lustrach, zaprojektowanych przez architekta Adama. Pokój był niewielki, a płomyki świec odbijały się w zwierciadłach, tworząc czarodziejską, niepowtarzalną atmosferę. Na widok wchodzącej Cumberland zerwał się z miejsca. Znajdujące się w tym pokoju krzesła miały oparcia w kształcie liry, a ich pokrycia ozdobione były delikatnym haftem.

– Tu będzie nam znacznie lepiej, prawda? – Usiadł naprzeciw niej przy starym, mahoniowym stole z opuszczanym blatem, który przyniesiono z pasażu.

– O wiele lepiej! Rano zjrzałam do Królowy, ale Kelly zapewnił mnie, że wkrótce wydobrzeje – uśmiechnęła się Brienne, a lokaj napełnił jej wysoki kieliszek mocnym winem z Bordeaux.

– Miło to usłyszeć! Serce mi się kraje, kiedy widzę panią przygnębioną. Namawiałem Slane’a, żeby został i pomógł mi panią rozweselić, ale powiedział, że musi jechać.

Gdy padło nazwisko Avenela, Brienne z pozornym spokojem sięgnęła do półmiska, który podsuwał jej lokaj. Nie miała jednak pojęcia, co nabrała na talerz. Udając, że je, spytała Cumberlanda:

– Ta podróż to coś dawno zaplanowanego?

– No... powiedzmy. Widzi pani, w Londynie mieszka jego kuzynka ze strony matki. Uznał, że czas najwyższy złożyć jej swe uszanowanie, rozumie pani.

– Ach, tak?... – Brienne wypła duży łyk wina.

– Spodziewam się, że przywiezie ją tu razem ze sobą. Wspomniał coś o urządzeniu balu, w którym mogłaby mu być pomocna. Chciałby nawiązać znowu stosunki z ziemiaństwem. – Cumberland wyraźnie rozkoszował się obiadem: jadł z dużym apetytem krewetki z wody.

Jego ostatnie zdanie zdziwiło Brienne.

– Znowu? Myślałam, że nigdy nie miał tu znajomości. Wydawało mi się, że obaj dopiero co przybyliście do Anglii!

– Tak, to prawda. Ale... widzi pani... – Cumberland nerwowo poruszał brwiami, szukając właściwych słów. – No cóż... to długa historia i nie będę pani nią zanudzał, zwłaszcza o tak późnej porze. – Wypił duży haust wina i powiedział nieoczekiwanie: – Myślę, że polubi pani kuzynkę Slane'a. Rose to wspomniała niewiasta, a jaka przy tym śliczna!

Brienne zauważyła, że oczy Cumberlanda zapłonęły, gdy wymienił imię tej kobiety.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że Avenel ma jakichś krewnych... a zwłaszcza miłych! – Czuła, że gorzko to zabrzmiało, ale nie mogła się opanować. Jeśli Slane ma w Londynie taką cudowną kuzynkę, która tylko na niego czeka, to czemu siedział dotąd w Osterley i tak ją dręczył?...

Cumberland jednak tylko się roześmiał; uwaga Brienne wydała mu się bardzo zabawna.

– Wyobrażam sobie, jak trudno pani w to uwierzyć! Ale Rose naprawdę jest cudowna. Jestem pewien, że przyzna mi pani rację, kiedy się spotkacie. Mam wrażenie, że obie bardzo sobie przypadniecie do gustu, moje damy!

– O, tak! Zwłaszcza gdy ona się dowie, że jestem więźniem Avenela! To ją od razu usposobi do mnie życzliwie. – Brienne odsunęła talerz z jedzeniem i popatrzyła gniewnie na swój kieliszek. Zapadła dręcząca cisza. Po oskarżycielskich słowach Brienne Cumberland również stracił apetyt.

– Proszę posłuchać, drogie dziecko... Nie powinna się pani aż tak przejmować...

– Dłużej już tego nie zniosę! – spojrzała błagalnie na starszego pana. – Czy nie może mi pan powiedzieć, czego on ode mnie chce? Teraz, zaraz! Żebyśmy mogła się na to przygotować...

– Nie mogę, lady Brienne. Niech pani mnie o to nie prosi. Naprawdę nie mogę wyjawić jego najskrytszej tajemnicy. – Pochylił się przez stół i objął gładką, świeżą rączkę Brienne swą pomarszczoną ręką. – To nic aż tak strasznego, jak się pani obawia.

– Ale on roi sobie jakieś fantazje! Wyobraża sobie, że będę tkwić tu w nieskończoność, czekając na przybycie mego ojca! To szaleństwo!

Jak mógłby usprawiedliwić moją obecność w tym domu przez tak długi czas? Ma się tu zjawić jego kuzynka. Cóż on jej powie? Nasuwa się przecież tylko jedno wytłumaczenie: jestem jego kochanką! I pewnie zamierza to powtarzać tak długo, aż stanie się prawdą!

Brienne zerwała się z krzesła i podeszła do ściennego lustra w złotej ramie, by się w nim przejrzeć. Spoglądająca na nią ze szklanej tafli dziewczyna była bardzo zmęczona. Miała zapadnięte policzki i fioletowe smugi pod oczami, wyrzeźbione przez niepokój.

– Ale mówię panu, że to się nigdy nie stanie! Nie będę niczyją zabawką, wołę umrzeć! – Przyszedł jej na myśl hrabia. Usta Brienne zacisnęły się w posępną linię.

– Proszę nie mówić takich rzeczy! – W głosie Cumberlanda brzmiało przygnębienie. Wyraźnie odezwało się w nim poczucie winy. – Nigdy do tego nie dojdzie. Avenel nie zniewoliłby kobiety! Potrafi zachować się jak dżentelmen. Wiem, że starał się zapewnić pani wszelkie wygody.

– Tak, rzeczywiście... – Brienne poczuła się znów rozbrojona wbrew woli. – Tylko, widzi pan, żyję w ciągłym napięciu... – Odwróciła się do Cumberlanda i spojrzała w jego zmęczone, pełne zrozumienia oczy. – Wiem, co obaj myślicie o mojej sytuacji życiowej. Nie mam się gdzie podziąć. Nie mam dachu nad głową. Muszę wam się wydawać żalonym, bezwolnym stworzeniem w tych zniszczonych sukniach, które noszę dzień po dniu, i bez grosza przy duszy. Nie jestem jednak aż tak bezwolna, by przymknąć oczy i dać się wciągnąć w grę, którą prowadzicie! Wiem, że zastawiacie tu jakąś pułapkę, a ja najbardziej na tym ucierpię!

– Sama pani przyznaje, że nie ma dokąd pójść. – Cumberland potrząsnął głową ze zdziwieniem. – Czy nie lepiej więc zostać tutaj, gdzie ma pani zapewnioną opiekę?

– Na jak długo? Do końca tej farsy, ale co potem?

– Któż może odgadnąć, co będzie potem? – Cumberland podeszedł także do lustra i przyglądał się Brienne. Głos mu złagodniał. – Rozumiem, że Avenel może budzić w pani strach. Jest pełen gniewu i nienawiści do pani ojca. I na razie nie zawsze potrafi oddzielić w myślach panią od niego. Kiedy mu się to udaje, czuje się winny... jakby akceptując człowieczeństwo córki Olivera Morrowa, sprzeniewierzał się tragicznej przeszłości i celom, które sobie postawił. Sądzę jednak, że z czasem może znaleźć w pani swe ocalenie. Już ma do pani słabość, i to taką, jakiej nigdy dotąd u niego nie widziałem.

Na zakończenie dodał przyciszonym głosem:

– Z każdym dniem poznaję panią lepiej, lady Brienne, i wiem, że pod żadnym względem nie przypomina pani ojca. I choć dziwnie to za-

brzmi... wierzę, że właśnie pani może dać Avenelowi ukojenie, którego tak bardzo potrzebuje.

– Niech mi pan powie, co on zrobił! – szepnęła niemal niedosłyszalnie. – Co hrabia mu zrobił?... Tak chciałabym to zrozumieć!

– To nie moja tajemnica. Nie mam prawa jej wyjawiać. – Cumberland cofnął się, przykładając kciuki do swej zielonej kamizelki. – Ale coś chciałbym pani powiedzieć, jeśli można. – Ciągnął dalej ojcowskim tonem: – Bardzo bym pragnął, by poczuła się tu pani swobodnie... Trzeba przyjmować życie takim, jakim jest... To jedyny ratunek w ciężkich chwilach. Nie mogę patrzeć, jak pani się zadrecza. Niechże pani sprawi przyjemność staremu człowiekowi: proszę jakoś zaakceptować to życie. Może okaże się całkiem znośne, przynajmniej na razie?...

Brienne wysłuchiwała uważnie całej tej mowy, kiedy zaś Cumberland skończył, uśmiechnęła się do niego łagodnie i ciepło. Tak bardzo pragnął ją pocieszyć i tak się bał, że mu się to nie uda!... Chyba właśnie tak zachowywały się kochający ojciec.

– Dobrze, postaram się... ale to nie może długo trwać! – powiedziała w końcu. – Chyba mi to łatwiej przyjdzie teraz, pod nieobecność Avenela. – Uśmiechnęła się krzywo, a Cumberland roześmiał się w odpowiedzi.

– Postaram się uprzyjemnić pani życie, jak tylko zdołam, drogie dziecko. – Wysunął nieco krzesło Brienne, zachęcając ją, by znów zajęła miejsce przy stole. – Postarajmy się zapomnieć o niemiłej sytuacji i odprężyć się! Co pani na to?

– No cóż... spróbuję – odparła bez większego entuzjazmu. Zajęła znów swe miejsce i pożałowała gorzko, że to nie Cumberland jest właścicielem Osterley Park. Westchnęła cichutko. O ileż łatwiej wszystko się układało bez tego człowieka o kamiennym spojrzeniu, który bawił teraz w Londynie!

## 11

**B**łyły to najbardziej beztrudne dni w życiu Brienne. Pod nieobecność Avenela w Osterley Park zimowe niebiosa ciągle groziły śniegiem, który jednak – o dziwo! – nie padał. Wydawało się, że tej zimy nie przylecą lutowe wichry z północy, a ziemia nie pokryje się białą płachtą. Choć Brienne musiała wkładać najcieplejsze spódnice i zakiety, mogła jednak nadal odbywać spacerów po parku, które tak lubiła.

W trakcie jednej z tych przechadzek przyjrzała się dokładniej dekoracyjnym budowlom po drugiej stronie wielkiego trawnika. Doszła do wniosku, że świątynka bożka Pana będzie bardzo odpowiednim miejscem do spokojnej lektury. Wszedłszy zaś do zbudowanej w stylu doryckim oranżerii, odkryła z zachwytem, że kilka z pozostawionych własnemu losowi drzewek pomarańczowych przetrwało, a nawet odważyło się zakwitnąć. Pozostałe rośliny sterczały na żardynierach uschnięte i martwe, ale od tego smutnego tła jeszcze żywiej odbijały delikatne, słodkie, białe kwiatki na ocalałych drzewach. Brienne odetchnęła głęboko, wciągając w nozdrza zapach ziemi, zeschniętych liści i górującą nad wszystkim słodką woń pomarańczowego kwiecia w pełnym rozkwicie. Nim wróciła do domu późnym popołudniem, podjęła decyzję, że odtąd tak długo, jak pozostanie w Osterley Park, sama będzie opiekować się pomarańczowymi drzewkami. Pomyślała rozsądnie, że to pożyteczne zajęcie wypełni jej dni.

Zajęta swym nowym hobby, „pielęgnowaniem wiosny w zimie”, Brienne odkryła, że dni mijają zdumiewająco szybko. Wieczory spędzała spokojnie, przebywając albo z Cumberlandem w wielkiej, bogato wyposażonej bibliotece obok jadalni, albo w swojej sypialni w towarzystwie Vivie.

Niepokój, który dręczył ją od pierwszego spotkania z nowym właścicielem Osterley Park, znacznie zelżał, odkąd Avenel wyjechał do Londynu. Dzięki temu stała się bardziej towarzyską. Spędziły z Vivie wiele wieczorów, dzieląc się wspomnieniami na temat swoich domów i rodzin, których obie były teraz pozbawione. Te wspólnie spędzone chwile bardzo je zbliżyły. Nie były już panią i służącą, ale dwiema przyjaciółkami.

Groźny cień Avenela Slane’a i jego przytłaczającej osobowości stawał się dla Brienne coraz bardziej mglisty. Niekiedy całkiem o nim zapominała. Nie uświadamiała sobie wcale, że coraz bardziej zbliża się chwila jego powrotu. Teraz zaś, gdy przez zwarzony mrozem ogród warzywny zmierzała w stronę neoklasycychnych budowli parkowych, nie miała pojęcia o procesji, która statecznym krokiem sunęła po podjeździe w stronę domu.

Nie zaprzętała sobie głowy domysłami, co też się może dziać od frontu, kiedy dotarła do niewielkiej doryckiej świątynki Pana i weszła do środka przez niezamknięte drzwi. Z twarzą rozjaśnioną łagodnym uśmiechem przyglądała się zaniedbanemu wnętrzu. Przez głowę przelatywały jej miłe obrazy; przypominała sobie, jak wraz z matką po raz pierwszy odwiedziły ten śliczny, maleńki budynek. Miała wówczas najwyżej cztery lata, ale wydarzenia owego dnia pozostały na zawsze

wśród jej najmilszych wspomnień. Była wówczas wiosna, a nie ponura zima jak teraz. Dorycka świątynia tonęła w powodzi słonecznego światła. Wpadało ono do wnętrza przez wielkie okna złożone z ośmiu szybek. Obie z matką zasiadły na brokatowych poduszkach, mama coś jej czytała.

Portrety Izaaka Newtona i wielkiego architekta Colina Campbella przyciągnęły uwagę Brienne, gdy tylko stanęła w drzwiach. Przypomniała sobie jak matka pokazywała jej te wizerunki i mówiła o znaczeniu nauki i sztuki. W tej chwili jednak ważniejsza od konkretnych wspomnień była atmosfera tego wnętrza. W tym małym pokoiku Brienne czuła się bezpieczna, spokojna i kochana. Ogromnie lubiła tu przychodzić i sycić wzrok wyobrażeniami czterech żywiołów: powietrza, ognia, ziemi i wody, które uwieczniono na ścianach w fantastycznych stiukowych obramowaniach. Podziwiała też główki w medalionach, symbolizujące cztery pory roku – wiosnę, lato, jesień i zimę.

Świątynka Pana miała dla Brienne niezwykle urok. Służba zauważyła to, palono więc pod niewielkim kominkiem, by zawsze było tu ciepło. Podłoga jednak była w dalszym ciągu zimna i zakurzona. Mimo to Brienne rzuciła na posadzkę niezwykle spłowiałe brokatowe poduszki i usiadła na nich, jakby to była tamta dawna wiosna, a nie środek ołowianoszarej zimy. Wyciągnąwszy się wygodnie, Brienne rozchyliła słodkie, różane wargi i uśmiechnęła się do miłych wspomnień. Zamierzała zająć się lekturą, ale zamiast tego przerzuciła sobie przez ramię gruby warkocz, ujęła go w obie ręce i zaczęła rozplatać. Ogarnęła ją senność, wypuściła z rąk spływające luźno włosy i położyła się na poduszkach, zapatrzona w geometryczne wzory na suficie. Loki barwy czerwonego wina wichrzyły się wokół jej twarzy niczym jakieś niezwykle, cenne futro. Wspomnienia dawnych szczęśliwych chwil ukołysały ją, powieki zaczęły ciężać, oczy same się zamykały. Czuła, że to nie miejsce na drzemkę, westchnęła więc cichutko, prawie niedosłyszalnie... i zapadła w głęboki sen pełen marzeń.

Gorące, czułe wargi sunęły po jej nagiej szyi. Strasznie długo trwało, nim dotarły do celu i przypuściły gwałtowny atak do ust Brienne. Bała się wprost odetchnąć, by nie zbudzić się z tego cudownego snu, pełnego płomiennych doznań; rozchyliła wargi pozwalając koźlonogiemu bożkowi wtargnąć pomiędzy nie, zakosztować wraz z nią jeszcze większej, upajającej rozkoszy. W tym stanie zawieszenia między snem a jawą Brienne marzyła, że całuje ją sam bożek Pan, który przywędrował tu z lasów i gra teraz na niej jak na swojej fletni z trzciny, rosnących nad jeziorem.



Jednak pocałunek zakończył się, stanowczo zbyt wcześnie a gorące usta oderwały się od jej warg. Brienne wykrzyknęła coś, pragnąc je znów przywołać. Wydawały się jej równie niezbędne do życia jak chleb i wino. Kiedy jednak otworzyła oczy, pomruk protestu zmienił się w okrzyk przerażenia, gdyż spojrzała w ocienione ciemnymi rzęsami zimne, niebieskie oczy Avenela. Roześmiał się swobodnie; ujrzała mocne, równe zęby i gładko ogolone policzki. Pochylił się znów ku niej, oparł na łokciach i ujął głowę dziewczyny w obie ręce.

– Coś mi się zdaje, że zaskoczyłem driadę! Przywędrowała tu panielka z lasu, a może z którejś z tych dalekich łąk?... – Chciał ją znów pocałować, ale tym razem Brienne sprzeciwiła się i wyswobodziła głowę z jego uścisku.

– Musiałeś się tak skradać?!

Niezrażony oporem, znów otoczył jej twarz dłońmi i spojrzał dziewczynie w oczy.

– Powiedz, że za mną tęskniłaś, dziki kwiatku, bo ja za tobą bardzo.

– Pochylił się i ucałował ją delikatnie w czubek lekko zadartego noska.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć... z pewnością zaspokoileś w Londynie wszystkie swe pragnienia!

– Pożądanie to dziwna rzecz... – Położył się na plecach obok niej i zapatrzył w sufit. – Czasem trudniej je zaspokoić, niż się wydaje.

– Zaspokajaj je jak chcesz, byle z kim innym.

Brienne usiadła i przerzuciła włosy przez ramię, by łatwiej je było spleść. Już miała się podnieść, gdy poczuła mocny uchwyt w pasie i wyładowała nagle na Avenelu. Niezaplecione jeszcze włosy okryły cały gors jego śnieżnobiałej koszuli. Nie ulegało wątpliwości, jak bardzo Avenel jest pobudzony. Czowała to mimo jego zamszowych spodni i wszystkich swoich halek.

– Naprawdę sobie tego życzysz, mała?... Czy przez te wszystkie noce ani razu nie zatęskniłaś za męskimi ramionami? Czy twoje śliczne ciało jest aż tak dziewicze, że nie marzy nawet o czekającej je rozkoszy?

– Proszę, nie rób mi krzywdy – powiedziała cicho w nadziei, że Avenel nie posunie się dalej. – Wstyd mi słuchać tego, co mówisz. – Rzuciła mu niespokojne spojrzenie spod ciężkich powiek.

– Prawdziwa dama, mimo łachmanów! – Naparł na nią jeszcze mocniej biodrami i powiedział: – Nie będę cię zmuszał, moja piękna! Ale gdybyś zapragnęła miłości, mogę ci obiecać rozkosze, o jakich nawet nie marzyłaś. I żadnego bólu, z wyjątkiem tej małej ofiary, którą przyjdzie ci złożyć na samym początku.



– Nie opowiadaj takich głupstw! Dobrze wiem, że jest inaczej. To przerażające męki, które trzeba znosić! Moja matka uciekła od nich i mnie też nauczyła się ich wystrzegać. Nie ustąpię, nie będę się z tobą kochać! – Spojrzała z buntem w jego stalowe oczy i zacisnęła kształtne usta, jakby chcąc je także ochronić przed nim.

– Doskonale rozumiem, czego pragnęła uniknąć twoja matka. Ale nie wierzę, by zawsze uciekała przed miłością. Był z pewnością czas, gdy pragnęła zostać schwytana. – Zafascynowany przebiegał palcami w długich, rudych lokach, opadających na ramiona Brienne, podziwiając ich niezwykłą, soczystą barwę.

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie i powiedziała:

– Na przykładzie hrabiego przekonałam się jacy są mężczyźni i jakie miewają zachcianki. Nie chcę mieć z nimi więcej do czynienia!

– Nie wszyscy mężczyźni są tacy sami. Krzywdzisz mnie, porównując ze swoim ojcem. Nie mam z nim nic wspólnego, nawet pojęcie męskości dla każdego z nas znaczy coś całkiem innego.

– Nie zamierzam się o tym przekonywać... więc może mnie wreszcie puścisz?

Odsunęła się od niego jak najdalej, wyginając plecy w łuk tak, że piersi omal jej nie rozsadziły okrągłego dekolту. Błysk, który dostrzegła w oku Avenela, nie wzbudził w niej wcale zaufania.

– Pocałuj mnie na powitanie, kwiatuszku. Na to właśnie czekałem, o tym marzyłem.

Na przystojnej twarzy Avenela pojawił się uroczy, łobuzerski uśmiech. Brienne miała dość rozumu, żeby mu się oprzeć.

– Głupstwa pleciesz! Nie było cię tak długo w Osterley, że całkiem zapomniałeś, jak sprawy stoją między nami.

– Ale klucza nie zapomniałem. A może pod moją nieobecność wyłamałaś zamek mojej komody i odebrałaś swój grzebień? – Uniósł czarną brew.

– O!... Przyznajesz wreszcie, że to mój grzebień! – powiedziała z satysfakcją. – Może więc raczysz mi go oddać?

– Nie przyznaję niczego. Grzebień będzie twój, kiedy na niego zasłużysz. Do tej pory będę go nazywał „twoim” z czystej grzeczności... i dlatego, że doskonale do ciebie pasuje.

– Jeśli tak do mnie pasuje, to mi go oddaj! Z pewnością w swoim bujnym życiu nieraz dawałeś prezenty różnym damom. Czemu teraz zachowujesz się inaczej?

– Bo nie jesteś dziwką – odparł niezwykle ostro.

– Ale mam się zachować jak one, żeby odzyskać grzebień!

– Cóż, można to rozmaicie interpretować.

W następnej chwili zerwał się na równe nogi, a Brienne wylądowała na gołej podłodze. Stał przez chwilę nad ogłuszoną dziewczyną w pogniecionej sukni, potem zaś schylił się po swój płaszcz, który zrzucił przy wejściu.

– Powiedz Vivie, żeby zadbała o twoją toaletę. Mamy gości. Oczekuję cię w salonie za niecałą godzinę.

– Kto przyjechał? – spytała całkiem zbita z tropu.

– Moja kuzynka i... kilkoro przyjaciół z Londynu.

– Ach, tak... Cumberland wspomniał, że pewnie przywieziesz tu kuzynkę. Pewnie to rodzaj testu dla mnie? Chcesz sprawdzić, jak znieosę upokorzenie, gdy będą wytykać mnie palcami jako twoją dziwkę?...

Podniósł ją brutalnie z podłogi i potrząsnął nią tak, że głowa jej omal nie odpadła. Kiedy ją wreszcie puścił, zarzucił swój wygnieciony płaszcz i syknął:

– Nie wygaduj więcej takich rzeczy! Wcale to do ciebie nie pasuje. Nie pozwalam i już!

Brienne otworzyła usta, nim jednak zdążyła odpowiedzieć, chwycił ją za ramię, wyprowadził ze świątyni i pociągnął w stronę domu.

– Nic już nie mów, mała! Rzeczywistość znowu nas oboje upokorzyła.



– Venetia poszła na górę z resztą gości. Mam wrażenie, że podróż całkiem ich wykończyła – zwróciła się do Avenela ładna, jasnowłosa kobieta, gdy tylko wszedł do wytwornego salonu. Na pokrytym sztukaterią sklepieniu pyszniło się słońce, przypominające słonecznik, w jakimś dzikim tańcu, otoczone promieniami podobnymi do falujących strusich piór. Odpowiednikiem różano-złoto-zielonych malowideł na suficie były barwne desenie dywanu leżącego na posadzce. Wszystko w tym pokoju zastygło w jakimś afektowanym ruchu. Całkiem na miejscu wydawały się więc niezbyt już modne, powyginane rokokowe meble.

Avenel przysiadł na jednym z pozłacanych krzeseł z krętymi nóżkami, wyściełanych kunsztownie udrapowanym adamaszkiem. Zwiesił głowę ze znużeniem. Przeciągnął nerwowo ręką po policzku i odezwał się:

– Tym lepiej. Niech sobie wypoczywają. Muszę koniecznie o czymś z tobą pomówić.

– O cóż chodzi, Avenelu? Nigdy jeszcze nie widziałam, byś tak się denerwował... od śmierci Christophera. A jak sam dobrze wiesz, jestem wdową od prawie dwudziestu lat.

We wpadających przez okno promieniach zachodzącego słońca widać było zmarszczki na tej pięknej kobiecej twarzy. Trudno jednak było odgadnąć, czy wyrzeźbiło je cierpienie, czy upływ czasu.

– W pewnym sensie czuję się tak jak wtedy, gdy zginął Christopher, Rose.

Podniosła się od stolika i podeszła do Avenela.

– Cóż mogło się wydarzyć równie strasznego?... Twego brata a mojego męża zamordowano w okrutny sposób. Ale Christopher już nie żyje i więcej nie cierpi.

– Za to nas nikt nie uwolnił od cierpień.

– Skąd te gorzkie słowa, Avenelu? Odzyskałeś przecież Osterley Park. A kiedy zjawi się tu ten potwór, odzyskasz resztę. Warto było o to walczyć. Sądzę, że warto byłoby nawet zapłacić to życiem.

Pochwycił jej dłoń i czule ją ucałował.

– Bardzo ci było ciężko przez te wszystkie lata, Rose. Tak ciężko i tak samotnie... – Spojrzał w jej starzejącą się już twarz i powiedział po chwili: – Wiedziałem, że Christopher znajdzie sobie najwspanialszą z kobiet. Jesteś prawdziwym cudem, Rose! Pocieszała mnie zawsze myśl, że był taki szczęśliwy aż do dnia, w którym zginął.

– Oboje byliśmy szczęśliwi. Ale nauczyłam się jakoś żyć bez niego. Przyznam jednak, że tobie bardziej dopisało szczęście. Jaki to śliczny pokój! Nasz wróg to bez wątpienia potwór, ale zmienił Osterley Park w prawdziwy pałac! To nie ten sam dom, o którym opowiadano nam w dzieciństwie, prawda?

– Z całą pewnością nie ten sam! – odparł ponuro Avenel. – Muszę ci coś powiedzieć, Rose. Kiedy się tu zjawiłem, dom nie był pusty.

– Chyba go tu nie ma?! Nie przywiózłbyś mnie tutaj! – spojrzała na niego z przerażeniem.

– O, nie! Nasz wróg jest cały i zdrow... w Ameryce. Nie obawiaj się, Rose! Nigdy bym nie pozwolił, żeby twoje śliczne oczy spojrzały na tego gada. Możesz być spokojna!

– Więc co masz mi do powiedzenia, Avenelu? Co cię tak dręczy?

– Wielu rzeczy o nim nie wiedziałem. Był przez jakiś czas żonaty. Miał żonę... i dziecko. Przed laty żona odeszła od niego wraz z dzieckiem. Ono jednak powróciło! Kiedy zjawiłem się w Osterley Park, była tu... jego córka. – Spojrzał Rose w oczy, głęboko i przenikliwie.

– Mój Boże, to strasne! – Rose zadrżała. – Jak zdołałeś się jej pozbyć?

– Nie pozbyłem się jej. Postanowiłem ją wykorzystać w ostatecznej rozgrywce.

– Wykorzystała ją?... Nie chcesz jej tu przecież zatrzymać! Jak mógłbyś patrzeć, dzień w dzień, na twarz tej dziewczyny?... Okropne przypomnienie tamtej twarzy...

– To jest właśnie najgorsze! – Avenel kopniakiem odsunął od siebie krzesło i podszedł do stolika z marmurowym blatem, na którym stały trunki. Nalał sobie potężną porcję brandy, wypił jednym haustem, jakby to było lekarstwo i odstawił kieliszek ze stukiem na wierzch półkolistej komody z różanego drzewa, ozdobionej wizerunkiem Diany, bogini łowów, w otoczeniu psów myśliwskich.

– Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie! – wykrzyknęła Rose, podchodząc do niego.

– Chodzi o jej twarz! Tak pięknej nie widziałem nigdy w życiu. Urzekłaby każdego! – Zaczął mu drgać mięsień policzka. Wbił ponuro oczy w ziemię. – Czasem myślę, że szatan mnie opętał! Mam w swej mocy córkę hrabiego... i czy budzi we mnie wstręt? Wręcz przeciwnie! Pociąga mnie! Zupełnie jakby spłodził ją tylko po to, by mnie opętała!

– Ale choćby ta dziewczyna była nie wiem jak ładna, przecież to jego córka... – wtrąciła Rose, próbując jakoś mu pomóc.

– Też tak myślałem! Ilekroć byliśmy razem, próbowałem się w niej doszukać jednego rysu, gestu, grymasu, który by świadczył, że jest jego córką! Ani jednego, przysięgam ci! Jej uśmiech, jej śmiech, nawet jej łyzy... żadnego podobieństwa do tego potwora! Po prostu chwyta za serce. Gdyby to nie było szczytem głupoty, gotów bym przysiąc, że to nie jest jego córka.

Usiadł na rokokowej sofie i objął głowę dłońmi.

– Wypędź ją stąd, Avenelu! Zmusz ją, żeby się stąd wyniosła. Nie ma żadnych praw do Osterley Park! Nawet do oddychania tym powietrzem! – Rose pochyliła się, by pogłaskać ciemną głowę, tak bardzo przypominającą jej tragicznie zmarłego męża.

– Pomyśl tylko: chcę go tu zwać i zmusić, by wyznał publicznie swe grzechy. O ileż łatwiej to osiągnę, mając w swej mocy jego córkę, jego jedyne dziecko! Nie mogę pozwolić, by mi umknęła, kiedy może być tak użyteczna.

Rose zmarszczyła brwi.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że ta dziewczyna nie jest jego córką?... Może dlatego właśnie nikt o niej nie słyszał! I co wtedy? Przybędzie ci jeden kłopot więcej.

– Może to rzeczywiście nie jego córka... ale on utrzymuje, że nią jest. Rozmawiałem z jego doradcą prawnym. Powiedział, że w testamencie hrabiego córka figuruje jako spadkobierczyni. Choćby więc na-

wet nie łączyły ich więzy krwi, boleśnie odczuje jej hańbę. A dopóki uważa ją za córkę, dziewczyna jest zbyt cenną zdobyczą, by się jej pozbywać!

– Jakie masz plany względem niej?

W pokoju zapadła długa cisza. Kiedy zaś Avenel odezwał się wreszcie, nie odpowiedział wprost na pytanie Rose.

– Były z nią pewne kłopoty: próbowała uciec. Doszedłem jednak do wniosku, że nie mogę zmienić Osterley w więzienie. Muszę zacząć przyjmować tu gości. To jedyny sposób, by odzyskać naszą dawną pozycję. Będę więc potrzebował twojej pomocy przez następnych kilka dni, aż do balu.

– Co mam dla ciebie zrobić?

– Muszę wymyślić jakąś prawdopodobną historyjkę na temat tej dziewczyny. Wytłumaczyć jej obecność w moim domu. Nie każę jej przecież grać roli pokojówki. Będzie musiała zetknąć się z Venetią i innymi gośćmi. Nie da się tego uniknąć. Jedyną dobrą stroną jest to, że nikt, zdaje się, nie słyszał o córce hrabiego Laborde'a. Gdyby więc dziewczyna z tym wyskoczyła, nikt jej nie uwierzy. – Avenel odwrócił się do bratowej i wziął ją za ramię. – Wiem, że z początku będzie to dla ciebie trudne do zniesienia... ale chciałbym, żebyś powiedziała wszystkim, że to twoja kuzynka z Ameryki.

– Chyba żartujesz!

– To jedyne wyjście. Jeśli dam do zrozumienia, że to moja kochanka, Venetia poważy się na wszystko! Wiesz, że straciła całkiem głowę dla mnie... i mojej sakiewki, odkąd przybyłem do Londynu. Nie poradzę sobie z jeszcze jedną nieobliczalną kobietą!

– Ależ ja od dwudziestu lat nie odwiedzałam Ameryki! Wróciłam do Anglii zaraz po śmierci Christophera. Nikt nie uwierzy w tę bajeczkę!

Otoczył dłońmi jej delikatną twarz o sarnich oczach i powiedział:

– Obawiam się, kuzynko, że musisz przekonać wszystkich. Zrozumię to przecież i twoja sprawa! A innej rady nie ma.

– Nie będę w stanie grać tej komedii! Dreszcz mnie przejmuje na samą myśl o tej okropnej dziewczynie! Jak zdołam znieść jej obecność, uprzejmie z nią rozmawiać... a cóż dopiero zachowywać się jak kochająca krewna?...

– Z pewnością z początku będzie ci bardzo trudno. Ale jak ci już mówiłem, ona chwyta za serce. Sądzę, że w końcu nawet ją polubisz.

– To bluźnierstwo! Jak śmiesz mówić takie rzeczy! Chyba ta czarownica naprawdę rzuciła na ciebie urok!

– Może i rzuciła... Nie myśl, że nie przychodziło mi to już do głowy. Pomożesz mi, Rose? Nie żądałbym od ciebie takiej ofiary, gdybym nie uważał, że sprawa jest tego warta.

– Spełnię każdą twą prośbę, Avenelu. – Rose wyraźnie zaprzestała oporu. – Od śmierci Christophera troszczyłeś się, żeby mi niczego nie brakło. Wiem, że nieraz dawałeś mi pieniądze, które tobie samemu były bardziej potrzebne. – Westchnęła i objęła jedwabistymi rękami jego twarde dłonie. – Zgadzam się, by ta dziewczyna była moją odnalezioną po latach krewniaczką z Ameryki. Nie wymagaj jednak, żebym ją polubiła! To ponad moje siły.

– Ach, Rose! Nie mam już na świecie prawie nikogo z rodziny... Ale ta cudowna dziewczyna, która mi pozostała, starczy za wszystkich! – Roześmiał się z ogromną ulgą i bez ceremonii poklepał Rose po pupie.

– Avenel! Zachowuj się przyzwoicie! Nie jesteśmy już dziećmi, które bawiły się razem na plaży. – Parsknęła jednak dziewczęcym śmiechem i podeszła pod rękę z nim do stolika obok sofy, by się czymś pochrześcić.

## 12

**B**rienne siedziała na taborecie, a Vivie rozczesywała jej włosy energicznymi, pieścizłowymi pociągnięciami szczotki. Wszystkie nerwy w niej dygotały na myśl o spotkaniu z gośćmi, na które to spotkanie Avenel kazał się jej starannie przygotować. Ubrała się w bładoniebieską suknię, lecz szybko zdarła ją ze wstrętem. Nigdy już tego na siebie nie włoży! Nawet podarta i podziurawiona polonezka byłaby lepsza, z dwójga złego! W końcu zdecydowała się na fioletową suknię z wełny i halkę w kolorze czerwonego wina. Siedziała już w tym bardzo znoszonym stroju, gdy rozległo się energiczne stukanie do drzwi.

Nie czekając na zaproszenie, Avenel wszedł do pokoju. Zaskoczona Vivie wybuchnęła potokiem francuszczyzny.

– *Bon Dieu!* Monsieur Slane?! *Bonjour!* *Bonjour!* – witała go z podnieceniem.

– Witaj, Vivie! – Skinął jej lekko głową, a potem całą uwagę poświęcił Brienne. Nie uszła jego oczom żadna wypukłość pod fioletową suknią ani olśniewający blask włosów. Brienne zaś musiała mimo woli dostrzec, jak wspaniale prezentował się we fraku i spodniach do kolan

z błyszczącego, szaroniebieskiego atlasu. Kamizelkę miał z brokatu o barwie roztopionego srebra. Wznosił się nad Brienne niczym wieża i wyglądał doprawdy imponująco.

Czekał, aż Vivie dyskretnie zniknie, zostawiając ich sam na sam. Nie zawiódł się: pokojówka zerknęła niespokojnie na swą panią i pospiesznie wyszła do przyległej gotowalni, skąd wymknęła się przez zamaskowane drzwi dla służby.

Brienne przerzuciła swe niesforne, ciemnorude włosy na jedno ramię i wstała, czując się nieswojo. Avenel nigdy dotąd nie ośmielił się wtargnąć do jej sypialni. Cóż mogła jednak zrobić?... Tylko czekać, co ma jej do powiedzenia.

– Moja kuzynka Rose już przybyła. Będziesz miała w niej wsparcie przez najbliższe dni. Uprzedzam, że nie zniosę żadnych kompromitujących wyskoków z twojej strony, zwłaszcza w stosunku do niej. – Rozsiadł się wygodnie na żółtej sofie. – Niebawem zaczną się zjeżdżać inni goście. Jedno musisz sobie wbić do głowy: pod żadnym pozorem nie wolno ci zdradzić swego pokrewieństwa z Oliverem Morrowem. Nikt ci nie uwierzy, a wywołasz ogólną konsternację. Gdyby się to zdarzyło, nie będę miał dla ciebie litości. Nie zamierzam ci wyjaśniać, co to znaczy. Wysil swą wyobraźnię. Czy wszystko jest dla ciebie jasne?

– Jak słońce – odparła lekkim tonem.

– To dobrze. – Rzucił jej wyjątkowo złośliwy uśmiech i mówił dalej: – Nie pozwolę na żadne wybryki w ciągu następnych kilku tygodni. Jeśli spróbujesz znów uciec, powiem moim gościom, że jesteś pomyłona i każe ci umieścić w najbliższym domu wariatów. Wyrażam się jasno? Nie mam ochoty trzymać cię wiecznie pod kluczem, ale jeśli nie będziesz posłuszna, zmusisz mnie do tego.

– Chyba wołę z dwojga złego dom wariatów – powiedziała wyzywająco, bawiąc się nerwowo lokami.

– Jeśli tak się rwiesz do zniewag i upodlenia, to cóż? Możemy cię tam odesłać choćby zaraz. Pytam więc: czy zastosujesz się do moich życzeń? – Jego oczy zwięziły się niepokojąco.

– Chyba tak – odparła sztywno. Raz jeszcze był górą! Jakże często Avenel Slane zaskakiwał ją. Bywał niekiedy tak miły, że prawie zapomniała, iż więzi ją w Osterley Park. Teraz jednak na sam dźwięk jego głosu ogarniała ją bezsilna wciekłość.

– Mam nadzieję. – Wstał, usłyszawszy jej dość mglistą obietnicę, i wyjął coś z kieszeni surduta. Podszedł do toaletki, przy której stała Brienne, i rzucił trzymany w ręku przedmiot na blat z żółtodrzewu. Wydała lekki okrzyk, gdy ujrzała połyskujący w blasku ognia grzebyk.



Sięgnęła po niego natychmiast, ale nim zdołała pochwycić błyskotkę, ręka Avenela zacisnęła się jak imadło na jej przegubie.

– Tylko na ten wieczór, moja panno. Pamiętaj o tym! Będę miał oko na tę błyskotkę i sam ją od ciebie odbiorę.

Puścił jej rękę i przyglądał się, jak Brienne zaczesuje włosy do góry i wpina w nie złoty grzebień.

Cudownie było odzyskać grzebyk matki, choćby na jeden tylko wieczór! Oczy Brienne rozbłysły jak ametysty, które miała we włosach. Nie czuła się już taką nędzarką; uniosła nieco wyżej głowę, zwracając się do Avenela. Nie była jednak przygotowana na takie spojrzenie twardych jak diamenty oczu: płonąca w nich nieskrywana żądza przepalała ją na wskroś. Nie wiedząc jak zareagować, pospiesznie odwróciła wzrok. Zapadło ciężkie milczenie.

– Idziemy! Czekają już na nas – odezwał się po dłuższej chwili.

Gdy weszli do salonu, Cumberland siedział przy kominku w towarzystwie dwóch najpiękniejszych kobiet, jakie Brienne kiedykolwiek widziała. Starsza z nich, blondynka o anielskiej twarzy siedząca po prawej ręce Cumberlanda, ubrana była w strojną suknię z wzorzystego jedwabiu. Promieniował od tej kobiety niezwykle spokoj i dobroć; Brienne natychmiast poczuła do niej sympatię.

Druga dama wyglądała tak, jakby zstąpiła z kart najmodniejszego żurnala. Była niezwykle elegancka ze swą upudrowaną koafiurą, w lśniącej, różowej polonezce z mory. We włosach i wokół szyi błyszczwały niezliczone sznury brylantów. Miała brązowe, nieco wylupiaste oczy, identyczne jak jej rozpieszczony pekińczyk, który zerkał wojowniczo spomiędzy fałd kremowej, atlasowej spódnicy swojej pani.

– Cóż to za nowe zwyczaje w Osterley Park? Myślałam, że pomywaczki powinny siedzieć w kuchni! – Białowłosa dama wyciągnęła ku Avenelowi dłoń, którą ten musnął zdawkowym pocałunkiem.

Na twarz Brienne wystąpiły krwawe rumieńce, gdy usłyszała tę znie wagę. Nie zdążyła jednak dobrać z siebie głosu, gdy blondynka wstała i podeszła spieszenie ku niej.

– Kochana Brienne! Nie widziałyśmy się całe wieki! Reszta gości wkrótce się zjawi, ale zaraz cię przedstawię lady Venetii. To córka hrabiego Culpeppera. – Brienne poczuła wokół talii ramię blondynki, która podprowadziła ją do drugiej damy.

– Pozwól, lady Venetio, że przedstawię ci moją kuzynkę Brienne. Przybyła do nas z kolonii, więc musisz jej wybaczyć prowincjonalny strój. Nie zdążyła jeszcze zaopatrzyć się w Anglii w odpowiednią garderobę. – Jasnowłosa kobieta uśmiechała się do niej z zażyłością starej

przyjaciółki. Brienne była jednak zbyt zmieszana i zaskoczona, by odwzajemnić uśmiech. Zerknęła na Avenela, jakby spodziewała się od niego wyjaśnień. On jednak wcale na nią nie patrzył. Utkwił wzrok w damie z żurnala, lady Venetii, ta zaś mierzyła bystrym, podejrzliwym wzrokiem „kuzynkę z Ameryki”.

Brienne wkrótce zorientowała się, że jest to bajeczka wymyślona specjalnie na użytek gości Avenela. Natychmiast zbudziła się w niej żądza buntu, Wszystko to było zbyt absurdalne, a w dodatku musiała zność docinki lady Venetii.

– Ależ popełniłam gafę! – zwróciła się do niej owa dama z miną bynajmniej nieskruszona. – Oczywiście, ciągle słyszymy o dziwactwach Amerykanów! Choćby ta ich obsesja na temat równości, sama pani rozumie... Ale choć wiem, że uparli się traktować służbę jak równych sobie, nie miałam pojęcia, że nawet ubierają się tak samo! Jakie to urocze!

Brienne aż się zjeżyła. Czuła, że nie znieśie dłużej tej komedii. Przerwijąc wywody lady Venetii, odezwała się:

– Zapewniam panią, że nie należę do służby! Jestem córką...

– Brienne! – Avenel nie pozwolił jej skończyć. Odwróciła się raptownie ku niemu; nakazywał jej spojrzeniem absolutne posłuszeństwo. A jak nie zechęć? – powiedziały mu wyraźnie jej roziskrzone oczy. Ostrzegł ją wzrokiem o strasznych konsekwencjach takiego buntu. W jego kryształowych oczach wyczytała bardzo intymną groźbę. Dostrzegłszy ją, pospiesznie dała za wygraną. To dokładnie w jego stylu! – pomyślała. Policzki jej pały gniewem i oburzeniem. Oczy Avenela zapowiadały, że nie ominą jej żadne zniewagi... A co gorsza – czuła, że podda się chętnie im... i jemu!...

Nie mając innego wyjścia, Brienne zmusiła się do uległości. Wymamrotała jakieś niechętnie przeprosiny i usiadła na podsunętym jej przez Cumberlanda krześle. Stało ono, niestety, zbyt blisko lady Venetii. Brienne z rezygnacją postanowiła więc przez resztę wieczoru grać rolę biernego widza. Lady Venetia nie dawała jednak za wygraną. Mówiła bez przerwy od chwili, gdy Brienne zajęła miejsce obok niej.

– Ależ się skompromitowałam! Cóż za *faux pas*! Widzisz, drogi przyjacielu... – zwróciła się do stojącego przy niej Avenela – całe to nieporozumienie wynikło stąd, że ujrzałam przedtem pannę Brienne na górze. Pewnie wróciła właśnie ze spaceru. Była taka... potargana i wymięta, że od razu pomyślałam o czyszczeniu kominów albo czymś w tym rodzaju. Proszę mi wybaczyć! Krewniczka Rose nie mogła się oczywiście zajmować czymś tak okropnym! – Venetia wypila łyk czerwonego

wina, przechylając głowę tak, żeby wyraźnie było widać prowokacyjną muszkę nad górną wargą. Rzuciła zdobywcze spojrzenie Avenelowi, który wziął właśnie z rąk lokaja kieliszek brandy i usiadł w obitym brokatem fotelu, po czym dodała: – Zdaje się, że i ty udałeś się po południu na przechadzkę... nieprawdaż, Avenelu?

To pytanie zaciążyło nad nimi jak ołów.

– Rose poprosiła mnie, bym odnalazł jej kuzynkę, lady Venetio. To dziewczętko ma zwyczaj zapuszczać się zbyt daleko od domu. – Avenel z całym spokojem sącył złotobrunatny trunek, a Cumberland dostał nagłego ataku kaszlu.



Był to niekończący się, okropny wieczór. Spośród zaproszonych na bal gości zjechało do Osterley Park – jak dotąd – dwadzieścia pięć osób. Żadnemu z nich Brienne nie miała absolutnie nic do powiedzenia. Damy wystroiły się w falbaniaste suknie z najdroższego atlasu. Zakoczyła ją ilość klejnotów, które mieli na sobie panowie. Przybyli książę i księżna Hardington. Brienne została im przedstawiona i odebrało jej mowę z podziwu.

Była to imponująca para. Księżna miała na sobie wierzchnią suknię ze szmaragdowego brokatu, pod nią zaś niezwykle ozdobną, jaskrawoczerwoną spódnicę. Książę prezentował się wspaniale w złocistym fraku i spodniach do kolan. W jego koronkowym żabocie jaśniał krwisty rubin wielkości piąstki niemowlęcia. Wszyscy (z wyjątkiem Avenela) bledli w porównaniu z tą olśniewającą parą. Cóż znaczyły jedwabie jakichś tam wicehrabiów i zwykłej szlachty?... Ale nikt nie wyglądał równie niepozornie jak „kuzynka z Ameryki”. Patrząc na swą fioletową, wełnianą suknię, Brienne przeklinała swój los. Siedziała obok damy w atlasach równie śnieżnych jak jej peruka. Cała spódnica tej elegantki była pokryta skomplikowanym haftem.

Obiad podano w jadalni. Brienne posadzono między Cumberlandem a lady Venetią. Z żadnym z nich nie zamieniła słowa. Nie miała pretensji do Cumberlanda o zaniedbywanie jej, widziała bowiem, jak bardzo jest rozmiłowany w Rose. Dwójka starych przyjaciół spędziła cały wieczór na wspomnianiu dawnych dziejów i najwyraźniej obojgu sprawiało to ogromną przyjemność. Brienne nigdy jeszcze nie widziała tak szczęśliwego, tak rozpromienionego Cumberlanda. Wyglądał też o wiele młodziej, gdy odpowiadał uśmiechem na każde zalotne spojrzenie Rose i śmiał się radośnie, gdy go kokietowała. Brienne szczerze cieszyła się jego szczęściem. Kto jak kto, ale Cumberland w pełni zasługiwał na względy prawdziwej damy!

Brienne niemal od pierwszej chwili poczuła sympatię do Rose, która wydawała się jej uosobieniem szlachetnej kobiecości. Spozrzęła również, że Rose jest bardzo przywiązana do Cumberlanda, i polubiła ją za to jeszcze bardziej. Podczas obiadu zdarzyło się kilkakrotnie, że Brienne, podniósłszy nagle głowę znad talerza, napotykała spojrzenie Rose, która siedząc po drugiej stronie wielkiego stołu, wpatrywała się w nią z niezrozumiałym i niepokojącym wyrazem twarzy. Dziewczynie niejedną raz robiło się nieswojo pod tym dziwnym, przenikliwym wzrokiem. Starła się jednak nie przywiązywać do tego wagi; mówiła sobie, że Rose jest po prostu zakłopotana – tak jak ona – tą komedią, którą przyszło im odgrywać.

Jej sąsiadka z drugiej strony, lady Venetia, nie zapomniała ani trochę o Brienne podczas swej konwersacji z Avenelem. Nie starała się bynajmniej wciągnąć dziewczyny do rozmowy, wręcz przeciwnie, dała jej wyraźnie do zrozumienia, by nie zakłócała ich intymnej pogawędki. Jednak każde głośniej wymówione słowo, każdy teatralny gest elegantki były przeznaczone dla oczu i uszu Brienne. Popisywała się wprost swą frywolnością i zalotnością.

Nic więc dziwnego, że skoro tylko podano deser, Brienne postanowiła opuścić towarzystwo i wymówiła się bólem głowy.

– Tak, tak, kochanie! Pozwólmy dziecku położyć się do łóżeczka! – wstawiła się za nią Venetia do Avenela.

– Tak wcześniej? Przecież wieczór dopiero się zaczął! – Cumberland oderwał się na chwilę od swej towarzyszki i mrugnął porozumiewawczo do Brienne. Musiała się do niego uśmiechnąć. Na widok jego szczęścia zrobiło jej się nieco lżej na sercu, ale zaraz zwróciła się do reszty towarzystwa:

– Mam nadzieję, że nie zakłóciłam państwu miłego wieczoru. To było bardzo niemądre z mej strony, że tak długo przebywałam dziś na słońcu. To właśnie mi zaszkodziło. Muszę się wcześniej położyć, ale państwo niech bawią się dalej! – powiedziała Brienne, wstając od stołu.

– Mam nadzieję, że jutro poczujesz się lepiej, moja droga. Mamy sobie tyle do opowiedzenia... Ciekawe, czy starczy nam na to czasu? – Rose podeszła do „kuzynki” i ucałowała ją leciutko w policzek. Życzyła Brienne dobrej nocy i wróciła na dawne miejsce. Cumberland wstał, by przysunąć jej krzesło.

Brienne ruszyła do drzwi, zanim jednak wyszła, usłyszała za sobą głos Avenela:

– Odprowadzę cię na górę, Brienne! Państwo wybaczą.

Rozległy się dobrze jej znane kroki, potem mocna ręka objęła ją w pasie. Z końca jadalni lady Venetia wpatrywała się w odchodzącego

Avenela tak intensywnie, że omal nie wywierciła mu wzrokiem dziur w szerokich plecach. Rose i Cumberland prawie nie zwrócili na to uwagi, znów wspominali z zapalem dawne dzieje.

– To „dziecko” samo trafi na górę, panie Slane. Proszę nie tracić czasu na nic nieznaczącego berbecia! – syknęła Brienne przez zaciśnięte zęby.

– Niestety, w posiadaniu tego berbecia jest coś, co muszę odzyskać. Najchętniej na osobności – odpowiedział równie cicho, a Brienne odwzajemniła mu się zuchwałym spojrzeniem, nim jeszcze opuścili jadalnię.

Wejście na górę nie zajęło im wiele czasu. Gdy znaleźli się w żółtej sypialni, ręka Avenela opadła na jej wysoko upięte włosy; wyciągnął z nich grzebyk. Loki Brienne rozsypały się po jej czole, szyi i ramionach w malowniczym nieładzie; pociemniałe od czerwonego wina wargi wychylały się prowokująco spod ciemnorudej grzywy.

– A teraz, dzieciaku, marsz do łóżka! – Uniósł wskazującym palcem brodę Brienne, by spojrzeć w jej piękną twarz. – Milczałaś uparcie przez cały wieczór, sądzę więc, że moja rodzina ani przyjaciele nie przypadli ci do gustu.

– Rose to prawdziwa dama. Obawiam się jednak, że tamta druga...

– Uważaj, co mówisz! Uprzedzam, że ojciec lady Venetii, hrabia Culpepper, to ktoś bardzo znaczny! – powiedział Avenel i wyraźnie czekał na reakcję Brienne.

Nie mogła się opanować i odparła złośliwie:

– Ja także jestem córką hrabiego! Czyżbyś o tym zapomniał?

– Niczego nie można być pewnym, dziki kwiatku.

– Gotowam przysiąc, że Oliver Morrow jest moim ojcem!

– Hrabia Oliver Morrow?...

– Pewnie że hrabia! Kim innym mógłby być? – spojrzała na Avenela, całkiem zbита z tropu.

– Już ci mówiłem, kochanie: niczego nie można być pewnym... Ale powinienem dbać o moich gości, więc wybacz, że ci sprawię bolesny zawód: muszę do nich wracać.

– Taki zawód zniosę bez trudu! Mam stanowczo dość twego towarzystwa jak na jeden dzień.

– Wcale nie wyglądało na to, że masz mnie dość, gdyśmy się spotkali w świątyni Pana. Wydawałaś się raczej spragniona mego towarzystwa.

– Spałam przecież! Myślałam, że to tylko sen!

– Śniłaś o mnie? – Spojrzał jej prosto w twarz; nadal unosił ją ku górze jednym, mocnym palcem.

– Oczywiście, że nie! – Brienne mówiła prawdę; dobrze pamiętała koźlonogiego bożka, który przyśnił jej się tuż przed obudzeniem. – Lady Venetia z pewnością będzie śnić o tobie, jeśli ją tylko poprosisz! – Cofnęła się, unikając dotyku jego palca. – Ale ja będę śnić, o czym sama zechcę! Choć mnie tu więzisz, nad tym nie masz kontroli!

– To prawda, nie mam kontroli nad twoimi myślami. – Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, jakby chciał do głębi rozważyć tę sprawę. Usiadł na żółtej sofie, pogrążony w myślach. Kiedy jednak Brienne wyminęła go, chcąc związać wstążką opadające bezładnie włosy, przyciągnął ją na kolana. Rozejrzała się niespokojnie po sypialni, szukając Vivie, ale pokojówki nigdzie nie było.

– Gdybym jednak zdołał ujarzmić twe ciało, wkrótce i twoje myśli byłyby mi posłuszne. Dobrze grasz swoją rolę, malutka! Zadzierasz nosa i zapewniasz mnie, że wcale nie pragniesz moich pieśczoł. Rzucam ci wyzwanie: pocałuj mnie, w tej chwili. – Ujął jej dłoń i podniósł drobne paluszki Brienne do ust. – Mówisz, że śniłaś o kimś innym. Pocałuj mnie, a założę się, że od tej chwili będziesz śniła wyłącznie o mnie!

– Nie będę cię całować, ty egoistyczny potworze! – szamotała się z nim w tej, starej jak świat, walce.

– Nie proszę cię o pocałunek. Chodzi o coś więcej: rzucam ci wyzwanie! – Poskromił ją bez wysiłku.

– Nie warto nawet próbować! Nie robisz na mnie żadnego wrażenia! – Przerwała, by spojrzeć na niego. Czy ten człowiek zwariował?! Przecież piętro niżej siedzi dama, która aż się pali do igraszek z nim! Dlaczego więc zaczepia i dręczy nie tamtą, tylko ją?...

– No to pocałuj i udowodnij, że nie mam racji. – Rozsiadł się na sofie tak, że Brienne było teraz całkiem wygodnie na jego kolanach.

Popatrzyła na jego zarozumiałą minę i zapragnęła z całego serca zetrzeć mu z twarzy ten arogancki uśmiech. Rozważyła jego propozycję i doszła do wniosku, że jest groteskowa. Jeśli jednak tym jednym pocałunkiem uwolni się od tego natręta, przynajmniej na jakiś czas... no cóż, warto zaryzykować! Vivie powinna się wkrótce zjawić, jeśli więc Avenel liczy na coś więcej niż jeden pocałunek, wkrótce się rozczaruje!

– A co z twoimi znakomitymi gośćmi? Nie powinienes ich opuszczać z mego powodu! – powiedziała, raz jeszcze próbując się wykręcić.

– Cumberland i Rose nawet nie zauważą mej nieobecności. Reszta też się nie orientuje: są zbyt pijani. Lady Venetia będzie musiała poczekać na mnie trochę dłużej, niżby chciała... Ale jeśli masz słuszość, nasza próba sił nie potrwa zbyt długo. Dotknij mnie swoimi słodkimi



usteczkami, Brienne! Przekonamy się, czy w naszych stosunkach zmysły nie odgrywają żadnej roli.

– Bardzo się rozczarujesz!

Zakryła oczy gęstymi rzęsami. Zebrawszy wszystkie siły (przecież całowanie mężczyzn było przeciwne jej naturze!), odetchnęła głęboko i pochyliła się nad ciemną głową, spoczywającą na oparciu sofy. Czarne rzęsy przesłoniły srebrzyste tęczówki Avenela, gdy usta Brienne dotknęły jego warg. Siedział bez ruchu, gdy ucałowała go prosto w usta. Mimo swego opanowania zamarudziła nieco dłużej, niż należało. Wdychając zapach gorącego, męskiego ciała, przyłgnęła bezwiednie do szerokiej, muskularnej piersi. Nim zdołała oprzytomnieć, ręce Avenela zanurzyły się w jej włosach. Przyciągnął głowę Brienne do siebie, gestem nie brutalnym, lecz władcym. Myśli jej się splątały, a potem wszystko wymknęło spod kontroli, gdy język Avenela wtargnął do jej rozchylnych kuszaco ust. Brienne jęknęła, ale czy z powodu niewątpliwej porażki, czy z nadmiaru zmysłowych doznań? Nie była pewna.

Całowali się tak długo, że omal nie oszalała. Kiedy oderwali się od siebie, na twarzy Avenela nie było triumfalnego uśmiechu. Rozpaczliwe, zgłodniałe spojrzenie uczyniło twarz jeszcze szczuplejszą i piękniejszą. Mroźne oczy sypały teraz błękitne iskry.

Usiadł prosto, nie puszczając jej z kolan i pochylił ciemną, lśniąca głowę ku widocznym nad stanikiem szczytom piersi o kolorze kości słoniowej. Jego usta były tak gorące, że ich żar przeniknął do serca Brienne, które zaczęło walić jak szalone. Jęknęła znowu, choć czuła jedynie błogość, gdy rozpinał jej stanik. Wełniany trójkąt opadł bezszelestnie na dywan; Avenel zabrał się za sznurówki gorsetu. Ustępowały powoli, uwalniając śliczne piersi z bezpiecznego schronienia. Położył ją na wznak na sofie i musnął opaloną ręką różany sutek. Popatrzył Brienne prosto w twarz; nie ujrawszy na niej lęku, objął pierś całą dłonią, biorąc tym gestem w posiadanie wszystkie rozkoszne okągłości jej ciała, i pochyliwszy się, ucałował ją znowu w usta.

Sytuacja była tak szalona, że uderzała do głowy jak wino. Teraz jednak nieujarzmiona namiętność ogarnęła ją bez reszty. Koniuszki piersi przeżyły się pod gorącym, pieścizotliwym dotknięciem palców Avenela. Rozum wołał wielkim głosem: „Dość tego!”, ale ciało Brienne błagało o więcej. Pragnęła ostatecznego spełnienia, bo tylko ono mogło wyzwolić ją od nieznośnej udreki.

– Już pani wróciła, mademoiselle? – dał się słyszeć z gotowalni głos Vivie. Avenel podniósł raptownie głowę w chwili, gdy pokojówka weszła do sypialni, niosąc na tacy dzbanek z gorącą czekoladą. Ujrawszy



ich oboje: twarz Avenela jak wykutą z granitu i szkliste z pożądania oczy Brienne, Francuzka zbladła i zaczęła mamrotać jakieś przeprosiny. Odwróciła się błyskawicznie i uciekła z pokoju wraz z tacą.

Zapadła złowieszcza cisza. Brienne z trudem odzyskiwała oddech, ale długo trwało, nim usiadła i zasłoniła rękoma nagie piersi. Obserwowała Avenela, który wstał i podniósł z podłogi porzucony frak i srebrną kamizelkę. Zdumiało ją to: nie pamiętała wcale, by się rozbierał! Popatrzyła na niego: wznosił się nad nią jak wieża. Pochylił się jednak i przyłożył usta do piersi Brienne, których jej szczupłe ramiona nie zdołały całkiem zasłonić. Wstrząśnięta i oszołomiona patrzyła na niego bez słowa, gdy oznajmił niskim głosem i niedbałym tonem to, co i tak było oczywiste:

– Przegrałaś, lady Brienne.

Potem wyszedł z pokoju, a ona długo, bardzo długo wpatrywała się w drzwi, które się za nim zamknęły.

## 13

**D**o balu pozostały już tylko trzy dni. Brienne codziennie ze zbożnym podziwem obserwowała przygotowania do tej imprezy. Wszystkim kierowała Rose. To ona podejmowała ostateczną decyzję co do tego, jakie wino serwować gościom do kremu z łososia albo gdzie mają złożyć swe okrycia po wejściu z dziedzińca. I tak dalej.

Brienne była pełna podziwu dla kuzynki Avenela. Gdy Rose nalewała gościom popołudniową herbatę lub instruowała lokaja, gdzie ma postawić wazon blad różowych tulipanów, Brienne wyobrażała sobie własną matkę, która przed laty pełniła te same funkcje w Osterley Park. Gdyby Grace Morrow żyła, byłaby teraz mniej więcej w wieku Rose. W takich chwilach przez głowę Brienne przelatywały niespokojne myśli, które sprowadzały się ostatecznie do jednego pytania: „Co by było, gdyby sprawy ułożyły się inaczej?...” Nietrudno jej było wyobrazić sobie własne życie pod skrzydłami dwojga kochających rodziców. Rosłaby w luksusach jako rozpieszczona jedynaczka, podobnie jak lady Venetia w Culpepper House. Jej matka byłaby szczęśliwą żoną tajemniczego mężczyzny, którego piękną twarz uwieczniono na miniaturze. A Brienne przyjmowałaby hołdy konkurentów, wyjeżdżałaby pod opieką przyzwóitek na kilkudniowe wizyty do przyjaciół, brałaby udział w przyjęciach... I wiedziałyby dokładnie, czego może się spodziewać na balu Avenela.

Brienne nie zdradziła się przed nikim, że perspektywa tego balu przejmuje ją śmiertelnym lękiem. Bardzo rzadko brała udział w spotkaniach towarzyskich; nigdy dotąd nie uczestniczyła w czymś równie wspaniałym. Jak miała się zachować, co mówić podczas tego spotkania z wielkim światem?... Nie miała pojęcia. Sztuka salonowej konwersacji, którą dobrze urodzeni goście Avenela opanowali do perfekcji, była dla Brienne czymś zagadkowym i niedostępnym. Sprawę pogarszało jeszcze i to, że wypytywano ją ciągle o jej „ojczyznę” i przez cały wieczór musiała zmyślać na poczekaniu różne bajeczki.

Najgorszym utrapieniem była dla Brienne lady Venetia, która okazywała niezwykle zainteresowanie jej sprawami. Zasypywała ją mnóstwem pytań o rodzinę i o warunki życia w udręczonej wojną Ameryce. Na żadne z nich Brienne nie była w stanie odpowiedzieć ani szczerze, ani sensownie. Nawet w tej chwili, gdy damy siedziały same w salonie, lady Venetia poddawała Brienne dalszemu przesłuchaniu.

– Słyszałam, że w Ameryce jest tak mało kobiet, że większość z nich wychodzi za mąż niemal w dzieciństwie. Jakże więc pani uniknęła tego losu i nie związała się z jakimś mieszkańcem kolonii? – wypytywała lady Venetia, głaszcząc swego pieska.

– Ja... cóż... – zaczęła Brienne, ale nie umiała zdobyć się od razu na sensowną odpowiedź. Wyrezyła ją Rose, która żenująco często musiała spieszyć jej z pomocą.

– Brienne może sobie pozwolić na to, by wybierać i przebierać. Nieprawdaż, kuzynko? – Śliczna blondynka popatrzyła na Brienne, która rzuciła jej spojrzenie pełne wdzięczności.

– Sądzę, że niewiele kobiet może sobie pozwolić na taki luksus. – Lady Venetia zmierzyła krytycznym wzrokiem prostą, wełnianą suknię Brienne i zaczęła poprawiać atlasowe kokardki przy staniku własnej toalety, ozdobionej skomplikowanym haftem w kwiaty. – Zwłaszcza niezbyt posażne panny. Przypuszczam jednak, że niekiedy taka postawa się opłaca... Staropanieństwo nie jest zbyt wysoką ceną za wyzwolenie z tego... barbarzyńskiego kraju!

– Barbarzyńskiego kraju?! Jest pani w wielkim błędzie, lady Venetio! – Tym razem Brienne nie zdołała pohamować gniewu. Docinki tej kobiety stawały się z każdym dniem coraz trudniejsze do zniesienia. Mimo iż nie wiedziała prawie nic o życiu w koloniach, Brienne postanowiła sama poradzić sobie z przeciwniczką, nie chowając się za plecy Rose. – W Maryland mamy najpiękniejsze rezydencje w świecie! Sama co prawda nie wychowałam się w żadnym z tych zamków, ale mogę panią zapewnić, lady Venetio, że nie brak w Ameryce wykształconych

i dobrze wychowanych ludzi, którzy z pewnością byliby wstrząśnięci kompletnym brakiem manier u wielu przedstawicieli angielskiej śmie-tanki towarzyskiej!

– Coś podobnego!... Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób!  
– Venetia wywracała wściekle oczami, a jej pekińczyk dzielnie jej se-kundował; zaczął podskakiwać i ujadać.

– Proszę się uspokoić, lady Venetio! Brienne wcale nie miała na myśli... – Rose starała się załagodzić sytuację.

– Właśnie że miała! A poza tym ta dziewczucha kłamie: w Ameryce nie ma żadnych zamków! Twoja kuzynka, Rose, jest głupia: myśli, że uwierzę w takie brednie! To idiotka i kłamczucha! – Lady Venetia wsta-ła z miejsca i postawiła pieska na ziemi.

– Może się przejdziemy po ogrodzie? Tyle zdenerwowania... i cał-kiem bez potrzeby! – Rose podniosła się również, ale choć przemawiała koją-cym tonem, Brienne dostrzegła z przyjemnością szelmowskie błę-ski w jej oczach, gdy Venetia schyliła się po pieska.

Wyrzała za nimi na korytarz i przyglądała się bez odrobiny skruchy, jak Rose prowadzi lady Venetię w stronę galerii. Gdy tylko zamknęły się za nimi ciężkie, mahoniowe drzwi, Brienne wybuchnęła śmiechem i po-czuła chwilową ulgę.

– Bardzo zabawne! – usłyszała za sobą głos Avenela. Odwróciła się raptownie i ujrzała go: stał w otwartych drzwiach ozdobionego gobeli-nami pokoju i obserwował ją.

Brienne przełknęła z trudem ślinę; czuła się skrepowana w jego obecności. Prawie go nie widywała od tamtego wieczoru, gdy odprowa-dził ją do sypialni. Ta sytuacja najwyraźniej odpowiadała im obojgu: Brienne chętnie jadała posiłki w swoim pokoju, Avenel również nie szu-kał jej towarzystwa.

– Słyszałeś? – spytała bezczelnie.

– Wszyciutko. – Wszedł do wnętrza pokoju. – To nie było mądre posunięcie, Brienne! Ostrzegalem cię, byś tego nie robiła.

– Całkiem sobie na to zasłużyła! To złośliwa jędrza i w dodatku uwzięła się na mnie. Nie mogę jej znieść! – Brienne cofnęła się o krok, ale zachowała wojowniczą postawę. – Zupełnie nie pojmuję, co ty w niej widzisz!

– Od dam jej pozycji wymaga się tylko, żeby były cnotliwe i piękne. Ponieważ Venetia spełnia oba te warunki, wszystkie inne jej wady czy zalety są bez znaczenia.

– Ach, tak?... – odparła Brienne. Słowa Avenela sprawiły, że po-czuła się jak nędzna szara mysz. – Pewnie chcesz powiedzieć, że od

kobiet w mojej sytuacji wymaga się tylko, by posłusznie rozkładały nogi i trzymały buzie na kłódkę? – W jej głosie zabrzmiała gorycz, której nie potrafiła ukryć. Miała nadzieję, że uraziła go swym grubiaństwem. Po tamtym epizodzie w swojej sypialni czuła się jak zabawka, którą wykorzystał i odrzucił. Avenel nigdy nie wspomniał o tym wydarzeniu, jakby to był incydent bez znaczenia, jak jakieś igraszki na sianie z dziewczuchą z oberży.

– Nie mówiłem nic podobnego. – Rzucił jej chmurne spojrzenie i wojowniczo skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie musiałeś wcale mówić!

Przypomniał jej się wczorajszy dzień. Wyrzała z okna swej sypialni i zobaczyła, jak Avenel z lady Venetią idą do oranżerii. Venetia uwiesiła mu się na ramieniu, a on uśmiechał się do niej kokieteryjnie. Brienne nigdy jeszcze nie widziała, by tak kogoś czarował. Nim się zorientowała, zaczęła użalać się nad sobą: wobec niej nigdy się tak nie zachowuje!

Odwróciła się od Avenela, chcąc wyjść na korytarz. Nie próbował jej zatrzymać; nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Doszła do wniosku, że tak będzie lepiej.

Dotarła do głównych schodów i zaczęła się na nie wspinać, wywijając gniewnie spódnicą przy każdym kroku. Kiedy była już na korytarzu, dostrzegła na jego drugim końcu Rose: przymykała właśnie drzwi pokoju lady Venetii. Brienne pospieszyła ku niej. Po raz pierwszy miała okazję porozmawiać sam na sam z tą przemiłą osobą.

– Bardzo mi przykro, jeśli sprawiłam ci kłopot moim wybrykiem, Rose! – Brienne dotknęła jej ramienia, by zwrócić na siebie uwagę „kuzynki”. Mówiła szeptem: po drugiej stronie drzwi lady Venetia pewnie zapadła w drzemkę. – Wiem, że to było niemądre, powinnam...

Cofnęła się raptownie, ujrawszy prześliczną twarz Rose wykrzywioną strachem i nienawiścią. Poczowała się tak, jakby została uderzona w twarz.

– O co ci chodzi? – spytała szeptem, nie bardzo wiedząc, czy chce poznać przyczynę.

– Nie waż się mnie dotykać! – Rose ze wstrętem wycierała ramię, którego dotknęła Brienne. – Tylko dla Avenela zgodziłam się grać tę komedię! Tyle mu zawdzięczam... Ale nie życzę sobie znajomości z tobą ani żadnych rozmów na osobności!

Okropny ból przeszył pierś Brienne. Czuła się skrzywdzona i oszukana. Cała życzliwość Rose była jedynie komedią, którą odgrywała na życzenie Avenela! Zniknęły wszelkie pozory przyjaźni, które wzięła na wiernie za dobrą monetę. Ujrzała na twarzy Rose nienawiść i ból przeszył

ją na wskroś. Oczy jej napełniły się łzami. Cofnęła się i omal nie przewróciła o złocone krzeselko, stojące pod ścianą. Poczowała się nagle jak osaczone zwierzę, chciała już tylko uciec: uciec z tego korytarza, uciec od oskarżających ją niebieskich oczu Rose.

Odzyskała równowagę i wykrztusiła z płaczem „przepraszam”. Wiedziała instynktownie, że przeprosza za jakąś zbrodnię hrabiego, która teraz ciąży i na niej. Musiała stąd uciec, zapomnieć o tej strasznej scenie, o odtrąceniu przez Rose. Potknęła się znowu, tym razem na pofałdowanym francuskim dywanie. Ktoś ją podtrzymał. Podniosła głowę i ujrzała pytający wzrok Avenela; spoglądał na nią z konsternacją. Wyrwała mu się i na oślep, nieprzytomnie pognąła do swego pokoju, by w jego pustce znaleźć jedyną dostępną dla niej pociechę.



Przyniesiono jej do pokoju tacę z obiadem, ale go nie tknęła. Siadła tylko na łóżku, popatrzyła na ocieniające je malowane zasłony i opadła znów na haftowaną narzutę. Vivie skłoniła swą panią, by się rozebrała, leżała więc w szlafroku. Jeśli jednak chodziło o przyniesione na tacy jedzenie, mała pokojówka musiała przyznać się do porażki i odesłać je z powrotem do kuchni. Vivie opuściła po cichutku sypialnię; miała nadzieję, że mademoiselle się zdrzemnie. Brienne leżała jednak z otwartymi oczami, wpatrując się w przestrzeń, a jej myśli były mroczne i ciężkie.

Nie wyrwał jej z zadumy ani odgłos otwieranych drzwi, ani kroki zbliżające się do łóżka.

– Naprawdę niczego mi nie trzeba, Vivie. Idź sobie, zajmij się własnym obiadem.

Brienne odwróciła się plecami do drzwi, by spojrzeć na ciemniejące niebo za oknami. Dostrzegła w oddali kilkoro dzieci z miasteczka; zbierały się w ustronnych zakątkach parku, by się tam bawić i myszkować. Widywała je już wcześniej. Była to banda obdartusów, umiejąca przechytrzyć strzegących posiadłości dozorców. Dzieciaki znały wszystkie dziury w ogrodzeniu, przez które mogły się niepostrzeżenie wślizgnąć. Ponieważ nikomu specjalnie nie przeszkadzały, Avenel (w odróżnieniu od poprzedniego właściciela Osterley Park) przymykał oczy na te wizyty i nigdy nie przepędził dzieciarni raz na zawsze. W tej chwili Brienne przyglądała się malcom niemal z zazdrością: trzymały się za brudne rączki i skakały w koło. Ich śpiewów nie słyszała – głużyły je szyby. Te dzieci mogą przynajmniej iść, dokąd chcą – pomyślała Brienne. Odwróciła się od okna z zazdrością i rozpaczą.

– Nie mogę cię przeprosić w imieniu Rose, moja mała. – Słowa te dobiegły z mroku zalegającego sypialnię. Brienne siadła raptownie na łóżku. Zapachnięte od płaczu oczy ledwie dostrzegły zarys postaci. Nie potrzebowała jednak świadectwa oczu: doskonale знаła ten głos.

– Co on jej zrobił? – rzuciła w mrok. – Ja... ja muszę wiedzieć! – Głos jej drżał i załamywał się, ale mimo to brzmiał stanowczo.

Kiedy Avenel znów się odezwał, mówił dziwnie martwym głosem; w pierwszej chwili wydawało się, że słowa nie przejdą mu przez gardło.

– Zabił jej męża.

– O, Boże!... O, Boże!... – Brienne słyszała własny głos, powtarzający w kółko te słowa. Przypominało to straszliwy koszmar senny, z którego nie można się obudzić. – Dlaczego to zrobił?... Jak... – Głos jej się załamał. – Czy to był... pojedynek?

– O, nie! To byłoby zbyt szlachetne, nie w jego stylu.

– Powiedz, dlaczego on to zrobił?...

– Prawdopodobnie dla samej przyjemności mordowania. – Jego słowa, wymówione z takim spokojem, przeszły ją na wylot. Nie patrząc na Avenela, wiedziała, że ma w tej chwili kamienną twarz. Pewnie mu nawet powieki nie drgnęły.

– Musiał być jeszcze jakiś powód! Mój ojciec nie robi nic bez powodu. Avenelu, ty wiesz, czemu to zrobił! Powiedz mi! – błagała.

– Nie mogę. – Był wyraźnie spięty.

– Wiesz, o co chodzi! Mam przecież prawo... – zaczęła.

– Jesteś teraz w Osterley. Nie masz żadnych praw.

W tym momencie, po poznaniu strasznej tajemnicy, Brienne wierzyła niemal, że zasługuje na takie okrutne traktowanie.

– Powiedz... – błagała uporczywie, choć po wszystkich walkach, jakie ze sobą stoczyli, wiedziała doskonale, że niczego więcej się dowie. – Rose uważa mnie za potwora. Myśli pewnie, że lepiej by było, gdybym umarła...

– Na pewno nie życzy ci śmierci. – Głos Avenela dobiegał teraz z bliska. Wkrótce Brienne poczuła, jak materac się ugina: usiadł na brzegu łóżka.

– Jestem w jej oczach jak trędowata... – jęknęła; ogarnął ją wstręt do samej siebie. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, mówiła dalej: – Wydawała się taka miła! Nie miałam pojęcia!... Nigdy bym sobie nie pozwoliła... Nigdy bym się do niej nie odezwała! – Zaczęła płakać. – Pozwól mi odjechać stąd, Avenelu! Nie mogę spojrzeć jej w twarz! Chyba bym umarła, gdyby raz jeszcze spojrzała na mnie z takim wstrętem!... Jakże ona musi mnie nienawidzić za to, że żyję, podczas gdy jej mąż...

Nie mogła mówić dalej. Zakryła twarz rękami i rozszoła się. Avenel nie próbował ani jej pocieszać, ani obwiniać. Widziała tylko nieruchomą, sztywną sylwetkę na drugim końcu łóżka. Toczył ze sobą jakiś bój, który doszedł właśnie do punktu kulminacyjnego. Nie był teraz w stanie zwrócić się ani w jedną, ani w drugą stronę, siedział więc w całkowitym bezruchu, podczas gdy Brienne wyplakiwała sobie oczy z powodu nieszczęścia, które jej ojciec ściągnął na Rose.

Miała wrażenie, że płacze tak długie godziny. W końcu opadła wyczerpana na wezgielowie; nadal jednak od czasu do czasu pochlipywała, aż wreszcie śmiertelnie znużona zapadła w głęboki sen bez marzeń. W pewnej chwili poczuła, że ktoś ją podnosi, układa w pościeli i otula kołdrą. Była jednak tak senna, że nie wiedziała, czy to Avenel odgarnia jej delikatnie włosy z bolącego czoła, czy też robi to Vivie, która wróciła wreszcie, by położyć swą panią do łóżka.



– Nie ma mowy! – oświadczyła Brienne na zakończenie długiej sprzeczki. Rozglądała się po swej sypialni, zarzuconej stosami sukien, które dostarczono tego ranka. W całym domu wrzało: czyniono ostatnie przygotowania do mającego odbyć się wieczorem balu i do powitania znamienitych gości, którzy mieli się na nim zjawić. Ktoś zastukał do drzwi sypialni Brienne i zaraz potem lokaje zaczęli wnosić wielkie kufry pełne przepięknych toalet. Leżały one teraz rozpostarte na wszystkich meblach. Vivie otwierała kufer po kufrze i jej oczy robiły się coraz większe z zachwyty.

– *Ici, mademoiselle! Ici!* Tutaj! – Wydobyła właśnie amazonkę z ciemnozielonej serży, ozdobionej czarnym haftem przy mankietach i przy obrąbku. Potem przysła kolej na suknie spacerowe z bawełnianej satyny i z jedwabnej lustryny. Kiedy jednak Vivie wyciągnęła z kufra złotą toaletę balową, której stanik pokryty był lśniącym haftem w różnych odcieniach brązu, Brienne zaprotestowała.

– To jakieś szaleństwo! Vivie, spakuj to wszystko z powrotem! Jestem pewna, że to własność lady Venetii... a może lady Carlotty lub lady Anny! Wszystko jedno! Właścicielka z pewnością zrobiłaby piekło, widząc, że rozpakowujemy jej rzeczy.

– *Mais non, mademoiselle!* To wcale nie tak! – zawołała Vivie, grzebiąc nadal w wielkim kufrze.

– Skąd wiesz, że to nie jest wyprawa lady Venetii? Pewnie Avenel już ją poprosił o rękę, więc...

– On widzi tylko panią, mademoiselle! Tamte zaloty... – Vivie zrobiła pogardliwy grymasik – to zwykłe mydlenie oczu!



– W tej chwili schowaj to wszystko z powrotem!

Ale było już za późno: rozpakowawszy wszystkie suknie w błyskawicznym tempie, Vivie przypuściła do Brienne energiczny atak.

– Musi pani przymierzyć choć jedną, mademoiselle! ... I widziała panienka coś takiego? – pokojówka podsunęła jej pod nos jasnoniebieski, atlasowy gorset. – Z pewnością od Cosina! Pomyśleć tylko, mademoiselle! To są najlepsze gorsety na świecie!... Nawet pani nie ciekawa, jak leżą?... – Vivie wróciła do złotej, balowej sukni; pokazywała ją Brienne ze wszystkich stron. – Na pewno chciałaby to pani poczuć na skórze... Musi to panienka koniecznie przymierzyć!

– Bo ja wiem?... – powiedziała niepewnie Brienne, przygryzając dolną wargę. – No, może tę jedną...

Vivie – cała w uśmiechach – wydobyła natychmiast koszulkę bez rękawów, z cieniutkiego batystu, obrzeżoną koronką. Położyła obok niej błękitny, atlasowy gorset, w tym momencie jednak Brienne sprzeciwiła się stanowczo.

– Nie będę wkładać cudzej bielizny! Nie mogę... i nie chcę!

– Dobrze już, dobrze! Proszę przymierzyć samą suknię! Kiedy się mademoiselle przekona, że idealnie pasuje, to uwierzy wreszcie w to, co mówię!

Vivie rozpięła wszystkie haftki przepięknej toalety i pomogła Brienne zdjąć brunatną, wełnianą sukienkę. Tonąc w istnej powodzi cudownego jedwabiu, Brienne czuła się przeobrażona, zanim jeszcze do końca zapięła balową suknię. Vivie krzątała się, zatraskując haftki, wygładzając fałdy, zakrywając ozdobnym stanikiem stary, kremowy gorset Brienne.

– Gotowe! – zawołała wreszcie Francuzka, skończywszy ją ubierać. – Wygląda panienka jak marzenie! Monsieur nie będzie mógł oderwać od pani oczu!

Brienne podeszła do ściennego lustra, które wisiało naprzeciw kominika. Obróciła się przed nim powoli, podziwiając, jak układa się przy każdym ruchu kosztowna tkanina. Czuła na nagich ramionach dotknięcie jedwabiu, mięciutkiego jak futerko małego kotka; słyszała przy każdym ruchu zachwycający szelest jedwabnej spódnicy. Suknia pasowała tak znakomicie, jakby uszyto ją na nią, i to po wielu przymiarkach. Brienne roześmiała się w głos, zachwycona sobą jak dziecko.

– Drzę na myśl, co powie lady Venetia: ośmieliłam się włożyć jej suknię!

Brienne raz jeszcze obróciła się przed lustrem. Zauważyła, jak różowe są jej policzki, jak rozbłyśły oczy. Znowu się zaśmiała i odwróciła do Vivie.

Pokojówka jednak nie patrzyła na nią. Zerknęła w stronę drzwi. Na jej ustach pojawił się uśmiech; nie wyglądała bynajmniej na przestraszoną. Za to Brienne serce zamarło, gdy usłyszała energiczne stukanie do drzwi.

– Nie otwieraj!

Rozejrzała się po pokoju. Gdzie się tu ukryć?! Nie udało się jej to jednak, bo drzwi otworzyły się natychmiast: na progu stał Avenel.

– Jak tu wesoło, malutka! Naprawdę się śmiejesz? Jeśli tak, to warto było postarać się o to wszystko.

Podszedł do Brienne i okręcił ją w koło, przyglądając się ze wszystkich stron sukni, która opinała ciasno piersi i talie, niżej zaś opadała mnóstwem połyskliwych fałd aż do podłogi.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć... – wymamrotała Brienne. Na jej twarzy pojawił się rumieniec zakłopotania.

– Nie musisz nic mówić. Wystarczy, że słyszę twój śmiech.

Avenel doszedł do wniosku, że wygodniej mu będzie przyglądać się na siedząco. Zasiadł na sofie, która wydawała się dziwnie mała w porównaniu z jego potężną postacią.

– Lady Venetii nie będzie wcale do śmiechu!

Brienne skromnie skrzyżowała ręce na piersi i zapragnęła, by Avenel już sobie poszedł, a ona mogła się przebrać we własne ubranie.

– Mademoiselle ani rusz nie chce mi uwierzyć! – Vivie odwróciła się do Brienne. – Mówiłam przecież, że monsieur przywiezie z Londynu niespodziankę, *n'est-ce pas?*

– Myślałam, że tą niespodzianką jest Rose... i reszta gości.

Brienne zaciągnęła kotary przy łóżku i przebrała się za nimi. Wyłoniła się stamtąd w swej brunatnej wełnianej sukience. Włożyła cudowną złocistą toaletę do kufra, w którym ją przywieziono.

– Jeśli zamówiłeś te suknie dla mnie, to obawiam się, że nie mogę ich przyjąć. Nie mam pieniędzy, by za nie zapłacić, dobrze wiesz.

– Powiedzmy, że już mi za nie zapłaciłaś. Utrzymujesz przecież, że mam w posiadaniu pewien przedmiot, który należy do ciebie. – Avenel był wyraźnie rozbawiony. Rozsiadł się swobodnie na sofie. Zbyt swobodnie! – pomyślała Brienne. – Przecież to damska sypialnia!

– Za ten grzebień z pewnością nie dostałabym tylu pieniędzy, by kupić to wszystko.

– Cóż ty wiesz o prawdziwej wartości tego grzebyka?...

– Wystarczająco dużo. – Brienne lekko się wzdygnęła. Myśli jej pobiegły w innym kierunku.

– Potraktuj więc to jako pożyczkę. Musisz się przecież w coś ubrać dziś wieczorem!

– Nie wybieram się na bal.

Brienne przykleła koło kufra i zapakowała do niego z powrotem zieloną amazonkę.

– Ale się na nim zjawisz!

Avenel odchylił się na oparcie sofy i przymknął oczy z zadowoloną miną.

– Obawiam się, że przeszkodzi mi w tym ta sama słabość, która od kilku dni nie pozwala mi zejść na obiad.

Nie zwracając uwagi na Avenela, składała fałdy srebrzystozielonej polonezki z bawełnianej satyny. Była i różowa, o wiele piękniejsza od jej starej... Brienne z żalem zapakowała obie suknie.

– Byłem dla ciebie wyrozumiały przez ostatnich kilka dni, kwiatuszku. Ale dziś zejdziesz na dół. To moje ostatnie słowo.

Był tak pewny siebie, że jej odmowa nie skłoniła go nawet do otwarcia oczu.

– Nigdy już nie spotkam się z Rose! To byłoby zbyt bolesne przeżycie dla każdej z nas.

– Rose wie, że cię dziś zobaczy. I nie będzie to dla niej przykre.

– Ale dla mnie tak! Nie zejdę i już.

– Zejdziesz!

Avenel otworzył nagle oczy i wstał z sofy.

– Nie zejdę! – odparła, zaciskając zęby.

– Zostaw na samych, Vivie – zakomenderował Avenel. Brienne zakleła w duchu, widząc, że dziewczyna odchodzi.

– W jaki sposób tym razem chcesz mnie zmusić do posłuchu? – Brienne wstała i wrzuciła do kufra pikowaną, ałtasową halkę. Nie pozwolę się zastraszyć! Masz zamiar ścigać mnie po pokoju, aż opadnę z sił i ustąpię?... A może okażesz się bardziej pomysłowy i zaczniesz drzeć moje suknie na strzępy, póki nie wyrażę zgody?...

– Chyba to drugie byłoby znacznie przyjemniejsze. – Głos Avenela był cichy i miękki; czuć jednak było w nim gniew. Brienne wzdrygnęła się, jakby na nią krzyknął.

– Uwaga godna barbarzyńcy.

Gwałtownie wepchnęła do kufra jeszcze jedną halkę.

– Skończ z tym pakowaniem! – warknęła.

Rozwścieczyła go... ale było jej już wszystko jedno. Upajając się własnym zuchwalstwem, chwyciła kilka leżących na łóżku koszul i ruszyła z nimi w stronę kufrów.

– Powiedziałem: skończ z tym pakowaniem!

Chwycił ją za przegub i przytrzymał mocno.

– Nie przyjmę od ciebie tych sukien!

– Właśnie że przyjmiesz!

– A to dlaczego?

Próbowała mu się wyrwać.

– Przyjmiesz, bo ja sobie tego życzę! I z tego samego powodu zjawisz się na balu! Chcę tego i już!

– Chcesz tego?... Nic mnie nie obchodzi, czego chcesz! Nie pójdę z tobą do łóżka! Nie pójdę na twój bal!

Podniosła głowę, zamierzając rzucić mu pogardliwe spojrzenie, ale zamiast tego na jej twarzy odmalował się niepokój. Avenel wznosił się nad nią groźnie, z rękoma skrzyżowanymi na potężnej piersi. Na twarzy miał posepny, sardoniczny uśmiech.

– Są pewne sytuacje, w których twoja dobra wola byłaby pożądana. Jeśli jednak chodzi o bal, nie obchodzi mnie, czy zjawisz się na nim chętnie, czy niechętnie. Zapowiadam: masz być na balu. Nic mnie nie obchodzi, co będziesz przy tym czuła.

– Komu potrzebna moja obecność na balu? Przez ostatnich kilka dni wszyscy goście z przyjemnością naigrawali się z żalostnej Amerykanki, kuzynki Rose. Byłam dla nich osobliwym stworem. Ale założę się, że już im się ta zabawa sprzykrzyła. – W głosie Brienne zabrzmiała urażona duma, ale pokryła ją grubą warstwą złośliwości.

– Wolę, żeby uważali cię za „osobliwego stwora”, niż próbowali rozszyfrować twoją tajemnicę. Jeśli nie zjawisz się na balu, zaczną snuć rozmaite domysły. A tego wolałbym uniknąć. Rozumiesz, moja mała?

Popatrzył na nią badawczo; wzruszyła tylko ramionami.

– Rozumiesz? – powtórzył szorskim i złowróbnym tonem.

Zamiast wziąć sobie do serca to ostrzeżenie, Brienne odwróciła się do Avenela plecami, podkreślając tym gestem, że nie zamierza go słuchać. Tym razem nie ustąpię! – przysięgała sobie w duchu. Nie spotka się już nigdy z Rose ani ze znakomitymi gośćmi Avenela!

Nagle jego ręce wczepiły się w jej włosy. Spinki posypały się na podłogę jak grad. Avenel nie sprawił jej bólu, zmusił ją jednak, by spojrzała mu w twarz.

– Może moi goście daliby się odstraszyć tą twoją lodowatą rezerwą, ale ze mną nie pójdzie ci tak łatwo! – Puścił jej włosy i objął ją ramieniem w talii. – Zjawisz się na balu, moja piękna, choćbym sam musiał cię ubrać na tę okazję!

Gniew w niej zakipiał. Uderzała Avenela w pierś drobnymi piąstkami, próbując go odepchnąć, ale przytrzymał ją w pasie także i drugą ręką, przyciągnął przy tym tak mocno, że nie mogła się poruszyć w jego objęciach.

– O Boże!... Czemu tak mnie dręczysz?! – rzuciła szorstko, odwracając od niego twarz.

– Domagam się jedynie posłuszeństwa. Żądam od ciebie współpracy. A ty sprzeciwiasz mi się na każdym kroku!

– Nie chcę być na tym przeklętym balu! Chcę stąd wyjechać!

– Wyjedziesz wtedy, kiedy ja tego zechcę!

Zmusił ją znowu, by spojrzała na niego.

– Podły tyran! – wrzasnęła. Jej rozpuszczone rude loki zalśniły, gdy potrząsnęła głową. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie wolno ci mną pomiatać?!

– Nie ty mnie będziesz sądzić! A teraz żądam odpowiedzi: zjawisz się na balu?

– Tak! Tak! Zjawię się na twoim balu! – Uśmiechnęła się mściwie. – Nie krępuj się: wbij mnie przemocą w jedną z tych toalet, które mi kupiłeś! Ale zapowiadam: będziesz musiał mnie wlec na siłę, jak odporne dziecko do szkoły! Będę kopać i wrzeszczeć! Twoim znakomitym gościom nie zabraknie tematu do plotek!

Oczy jej płonęły buntem.

Wkrótce jednak rozwarły się szeroko z przerażenia, gdy Avenel gwałtownie pociągnął ją w stronę łóżka. Przysiadł na brzegu wśród piętrzących się jedwabi i atlasów i syknął przez zaciśnięte zęby:

– Jak odporne dziecko, powiadasz? A jak się poskramia takie uparte dzieci, Brienne? Takie krnąbrne dzieci?

Chociaż się wrywała, bez trudu przyciągnął ją na swoje kolana i ułożył na nich. Jedną żelazną ręką przytrzymał ją w tej pozycji, drugą unieruchomił wierzgające nogi.

– Nie pozwolę! – wrzasnęła. – Nie będziesz mi już wsadzał łap pod spódnicę!

– Pozwolę ci wybrać, Brienne. Co wolisz poczuć na swoim tyłku: potężnego klapsa czy gorące wargi? – Roześmiał się; dręczenie jej sprawiało mu wyraźną przyjemność.

– O, Boże! – jęknęła. – Cóż za niegodne postępowanie! Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób?!

– Co wolisz? – przerwał jej Avenel.

Zdażył już ściągnąć z jednej nogi Brienne pończochę i podwiązkę. Gdy wierzgnęła, uszczypnął ją w gołą łydkę. Jej oburzenie skwitował wybuchem śmiechu.

– Przestań, potworze! – jęknęła, czując muśnięcie języka pod kolanem. – Mówię ci, przestań!

– Z jakiej racji?

– Z racji balu! Zjawię się na nim!

– Dobrowolnie?

Palce Avenela sunęły w górę uda, głaszcząc delikatne ciało.

– Dobrowolnie! – syknęła.

Wstał raptownie i bez ceremonii rzucił dziewczynę w nogi łóżka. Obciągnęła pospiesznie spódnicę i zmierzyła go spojrzeniem pełnym nienawiści.

On jednak nawet na nią nie spojrział. Podszedł do ukrytych w ścianie drzwi. Przywołał Vivie i polecił jej:

– Lady Brienne ma być gotowa na ósmą.

– *Oui, monsieur.*

Brienne usłyszała niepewny głos Vivie i zorientowała się, że pokojówka podsłuchiwała pod drzwiami. Avenel wyszedł pospiesznie, bez słowa.

Wróciwszy do sypialni, Vivie zaczęła wypakowywać rzeczy, które jej pani schowała do kufrów. Brienne przyglądała się temu w milczeniu. Od czasu do czasu rzucała mordercze spojrzenia w kierunku drzwi.



– Musisz mi upudrować włosy, Vivie! Nie pozwolę, by goście śmiali się ze mnie i tym razem!

Brienne przyglądała się odbiciu swej bladej twarzy w lustrze nad toaletką. Jej nerwy były równie napięte jak tasiemki gorsetu. Nie miała pojęcia, jak zdoła przetrwać ten wieczór. Ilekroć przymknęła oczy, wyobrażała sobie jakąś niepokojącą scenę. Widziała lady Venetię szydzącą z jej nieupudrowanej głowy i pyszniącą się własną koafiurą, sięgającą prawie sufitu, przybraną w sztuczne kwiaty i owoce, wstęgi i perły. Brienne przyszła również do głowy straszliwa myśl, że będzie zmuszona do rozmowy z Rose i ujrzy znów na jej twarzy ten przerażający grymas. Na myśl o Rose poczuła w sercu przeszywający ból; ogarnęły ją wyrzuty sumienia z powodu niepopelnionych win i z powodu cierpień, które nie ona przecież zadała. Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła:

– Och, jaki to będzie okropny wieczór!

– Skądże znowu! Będzie się pani doskonale bawiła. Czemu się tak zadrećcać, panienko? – przekonywała ją Vivie po francusku. Zawsze posługiwały się tym językiem podczas bardziej poufanych rozmów ze swą panią.

– Dobrze wiesz, że biorę udział w tej „rozrywce” nie z własnej woli! – odparła Brienne również po francusku, rada, że może zwierzyć się ze swego rosnącego niepokoju. – Nie rozumiem, czemu Avenel tak się przy

tym upiera... Widać chce, żebym się skompromitowała. Dobrze wie, że brak mi towarzyskiego obycia. Chce mnie wystawić na pośmiewisko przed swoimi przyjaciółmi! – Brienne gniewnym ruchem odsunęła od siebie flakoniki perfum. – Jak ja ich wszystkich nienawidzę!

– Ależ, lady Brienne! Proszę na nich nie zważać! Jeśli się śmieją, to tylko z zawiści!

– Musisz mi upudrować włosy, Vivie! Nic mnie nie obchodzi, co powie Avenel. Nie chcę udawać kuzynki z kolonii! Dziś będę sobą! – oświadczyła z nową determinacją.

– Niech mnie panienka o to nie prosi! – W sercu Vivie przyjaźń do Brienne zmagą się z wdzięcznością wobec Avenela.

– To takie dla mnie ważne! Nie zmuszałabym cię do nieposłuszeństwa wobec pana Slane’a, gdyby to nie było konieczne!

– No, dobrze... Spróbuję.

Vivie poszła po pomadę do włosów. Zaczerpnęła niewielką ilość gęstej i tłustej, szarobrunatnej mazi. Gdy całkiem stopniała we wnętrzu gorącej dłoni, pokojówka zwróciła się do Brienne. Ta nadstawiła obojętnie głowę okrytą lśniąco-ciemnymi lokami w kolorze ciemnego burgunda.

– Nie mogę! – szepnęła po francusku przejęta lękiem Vivie i spuściła oczy. – Sięgnęła po lnianą szmatkę i błyskawicznie starła z rąk tłustą pomadę. – Nie mogę zapaskudzić tym świństwem takich pięknych włosów! – Podsunęła Brienne ubrudzoną szmatkę, by zobaczyła jaki to obrzydliwy kolor.

W poczuciu bezsilności Brienne wstała od toaletki i zaczęła krążyć po dywanie.

– Czy Avenel Slane musi rządzić moim życiem? Czy nie mam prawa decydować nawet o mojej fryzurze?!

– Proszę pozwolić, bym panią ubrała, mademoiselle! Przekona się panienka, jakie będzie miała powodzenie!

Pełna współczucia Vivie wzięła swą panią za rękę i podprowadziła do sofy. Leżała na niej suknia, której Brienne dotąd nie widziała. Uszyto ją z fioletowego brokatu, tak ciemnego, że wydawał się niemal czarny. Halka była dokładnie w tym samym kolorze, a stanik ozdobiono dyskretnym złotym haftem. Brienne zorientowała się od razu, że będzie jej do twarzy w tym stroju. Tylko ten kolor... Zupełnie niemodny.

– Nie za ciemna?...

– Monsieur Slane specjalnie wybrał ten kolor. Czy nie jest cudowna?

– Wszystkie suknie są niewiarygodnie piękne. Nie mogę tylko pojąć, jakim cudem tak doskonale na mnie pasują?



– Wymierzyłam dokładnie pani stare suknie. Ale wszystko obstało nasz pan! I widzę, że zadbał o każdy szczegół. Nie ma tu ani jednej sztuki, która by nie pasowała idealnie do pani! Należą mu się gratulacje, *n'est-ce pas?*

Brienne wzruszyła obojętnie ramionami i zaczęła wkładać brokatową suknię. Jej stanik był usztywniony fiszbinami, nie trzeba więc było używać gorsetu. Brienne włożyła pod spód tylko batystową koszulkę. Okazało się to prawdziwym błogosławieństwem, gdyż brokat był niezwykle ciężki i gdyby nie pomysłowy krój sukni, Brienne chyba by się w niej upiekła.

– Gotowe, mademoiselle! – Vivie odstaąpiła do tyłu i z zapartym tchem czekała na jej aprobatę.

Brienne zerknęła do lustra w złotej ramie i doznała niemal szoku: ujrzała w nim prześliczną kobietę. Suknia miała niezwykle głęboki dekolt, a ciemny materiał podkreślał delikatną różowość jej karnacji. Na twarzy miała ciemne rumieńce, a oczy spod gęstych rzęs spoglądały płomiennie i kusząco.

– Czyż nie jest pani bosko piękna?... – Vivie poprawiła ostrożnie długi ciemnorudy lok, opadający na pierś Brienne. – Nasz pan będzie miał dzisiaj mnóstwo powodów do zazdrości!

Brienne zaśmiała się sucho.

– Mam nadzieję, że będzie tak zajęty lady Venetią i innymi damami, że ani na mnie spojrzy!

– Już on panią wyprowadzi z błędu, lady Brienne! – Vivie przeszła na angielski. – Muszę już iść, ale pan Slane zaraz tu będzie. – Szybko obeszła całą sypialnię, zbierając porzucone drobiazgi i ustawiając krzesła. Zmierzając ku drzwiom, szepnęła do Brienne: – *Vive l'amour!* – i z triumfalnym uśmiechem wymknęła się z pokoju.

Brienne spoglądała za odchodzącą. Z galerii dobiegły pierwsze dźwięki muzyki, które rozdrażniły jej nerwy. W wielkim hallu wszczął się ruch i gwar. Usłyszała głosy lady Venetii i Rose, schodzących głównymi schodami w towarzystwie Cumberlanda. Po nią jednak nikt nie przychodził. Przysiadła na skraju łóżka – bardzo ostrożnie, by nie pognieść sukni. Była coraz bardziej zdenerwowana.

Po kilku minutach przyszło jej na myśl, że to jakiś idiotyczny żart. Pewnie nikt się jej nie spodziewa na tym balu. Może lady Venetia oświadczyła, że nie chce jej widzieć?... A może Rose uznała, że jej obecność byłaby hańbą...

Nagle rozległo się lekkie stukanie do drzwi. Brienne wstała i wygładziła fałdy sukni. Zwilżyła wargi, które jej nagle zaschły, i rzuciła obojętnym tonem:

– Proszę wejść!

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Avenel w czarnym atłasowym fraku i takich samych spodniach. Jego strój był niezwykle surowy i pozbawiony ozdób. Najstrojniejsza była śnieżnobiała kamizelka, pokryta dyskretnym, srebrnym haftem, który dodawał oczom Avenela krystalicznego blasku.

Zauważyła każdy element jego stroju i czuła, że on również dostrzega każdy szczegół jej powierzchowności. Wzrok Avenela prześlizgnął się po jej sukni i fryzurze, zatrzymał się w końcu na twarzy Brienne. Wreszcie odzyskał głos.

– Jesteś tak śliczna, jak się tego spodziewałem, dziki kwiatku. Żałuję, że nie mogę tej nocy mieć cię wyłącznie dla siebie.

– Może więc będzie lepiej, jeśli w ogóle nie zejdem na dół? – spróbowała po raz ostatni wykręcić się od niemiłego obowiązku. Bała się jednak zbytnio nalegać: nadal czuła dotyk palców Avenela na swym udzie.

– Nie zmieniam swoich decyzji. Rad jestem, że się do nich zastosowałaś.

Raz jeszcze zlustrował ją wzrokiem. Jego spojrzenie zatrzymało się najdłużej na sukni. Najwyraźniej docenił uroki cienkiej talii i głębokiego dekoltu. Po dłuższej chwili odezwał się znowu.

– Obawiam się, że skoro tylko pojawisz się w tym stroju, każdy będzie chciał dowiedzieć się jak najwięcej o „kuzynce z Ameryki”.

– Należało mnie dokładniej poinstruować o życiu w koloniach... Nie chciałabym popełnić znów pomyłek – powiedziała chłodno.

– Tak, najgorzej wypadło z tymi zamkami w Ameryce. Bardzo mi przykro, ale nie ma tam ani jednego!

Roześmiał się, ale był to cierpki, nieco wymuszony śmiech. Ujął dłoń Brienne i złożył na niej lekki pocałunek. Brienne pospiesznie oswobodziła rękę: miała wrażenie, że dotyk warg Avenela sparzył ją. Zaniepokojona pospieszyła ku drzwiom.

– Zaczekaj!

Chwycił ją za przegub i wetknął jej w rękę ciężki woreczek z jedwabiu. Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Cóż to takiego?

– Otwórz – odparł Avenel.

Przysłonił oczy powiekami i nie mogła nic z nich wyczytać. Czy rzeczywiście w ich lodowatej głębi dostrzegła cień skruchy?... Nie, to przecież niemożliwe.

Ostożnie otworzyła woreczek i wysypała jego zawartość na siedzenie sofy. Swój grzebyk poznała natychmiast, ale nie od razu doceniła

wszystkie walory drugiego klejnotu. Był to naszyjnik, obróżka z wielkich, szlifowanych w kwadrat brylantów oraz z ametystów w kształcie gruszek; wydawał się równie stary jak jej ametystowy grzebień. Oba przedmioty stanowiły komplet. Brienne nie mogła pojąć, czemu Avenel oblatował naszyjnik pasujący do jej grzebyka?...

Pochylił się nad nią i w milczeniu zapiął obróżkę na jej delikatnej szyi. Zrobił to bardzo czule, mówiąc przy tym:

– Dzisiaj ty będziesz mogła patrzeć na wszystkich z góry.

– Przepiękny! – dotknęła klejnotów zdobiących jej szyję i podniosła oczy na Avenela.

– Kazałeś wykonać naszyjnik, który by pasował do grzebyka... Dlaczego?

– Wydaje się stworzony dla ciebie.

Nie powiedział nic więcej. Podał jej spiesznie grzebyk i dał znak, by podeszła do lustra. Przyglądając się swemu odbiciu czuła na sobie pieszczotliwy wzrok Avenela. Drżącymi rękami wpięła grzebyk w ciemnorude loki. Potem, uświadamiając sobie, że wszelkie dalsze pytania muszą poczekać na inną okazję, wsparła się na wyciągniętym ku niej ramieniu i pozwoliła, by Avenel poprowadził ją na spotkanie tego, co miał jej przynieść dzisiejszy wieczór.

## 14

**K**to by pomyślał, że ten okropny człowiek sprzeda Osterley Park? Włożył przecież mnóstwo pieniędzy w jego przebudowę!

– Lepiej, że sprzedał! Pozbyliśmy się go raz na zawsze. To paskudny typ, ten lord Oliver. Nigdy mu nie ufałem... No i wiecie, co sobie opowiadano o jego... dziwnych skłonnościach!

– Słyszałem, że urządzenie pokoju w stylu etruskim omal go nie zrujnowało. Może to właśnie zmusiło go do sprzedaży Osterley?

– A co powiecie o nowym właścicielu?... Nie należy nawet do arystokracji!

– Ale przynajmniej w niczym nie przypomina swego poprzednika! A lady Venetia, jak widać, całkiem straciła dla niego głowę.

Po tej uwadze oczy wszystkich siedzących przy stole (nie wyłączając Brienne) zwróciły się w tę stronę, gdzie obiadował Avenel ze swym towarzystwem. W jadalni ustawiono trzy stoły; przy pierwszym siedział

pan domu i jego najznakomitsi goście. Lady Venetia znajdowała się po prawej ręce Avenela. Oprócz niej zasiedli tam Rose i Cumberland, księstwo Hardington i hrabia Culpepper.

Brienne przesiadła cały wieczór przy jednym z pozostałych dwóch stołów. Avenel opuścił ją, gdy tylko znaleźli się na dole. W galerii wyszła im naprzeciw lady Venetia z wyraźnym zamiarem zagarnięcia Avenela w niepodzielne władanie. Obecność Brienne skwitowała niebadałym skinieniem głowy i zabrała Avenela jak swego, oświadczając, że chce się napić czerwonego wina. Brienne spoglądała za oddalającą się parą z uczuciem nagłej paniki: pozostawiono ją samą w tej ogromnej sali, w obcym tłumie! Wkrótce jednak podszedł do niej Cumberland i dziewczyna poczuła się nieco lepiej. Jej towarzysz – jak zawsze wzór dżentelmena! – przedstawił Brienne jakiejś arystokratycznej parze; Rose powitała ją pozornie przyjacielskim uśmiechem. Ich spotkanie było na szczęście krótkie i niezbyt bolesne.

Gdy tylko Brienne przestąpiła próg galerii, oczom jej ukazał się rozkoszny, barwny widok. Wkrótce z prawdziwą przyjemnością przyglądała się dygającym i pływającym damom w wyszukanych toaletach z wzorzystego jedwaniu i barwnego adamaszku. Panowie (z wyjątkiem Avenela) wystroili się jeszcze bardziej niż panie. Brienne wprost oniemiała, gdy Cumberland przedstawił jej wytwornego dandysa, spowitego w haftowane jedwabie we wszystkich kolorach tęczy.

Wkrótce po przybyciu Brienne wszyscy przeszli do jadalni. Dżentelmen, który miał siedzieć obok niej przy stole, został przedstawiony Brienne. Podsunął jej uprzejmie krzesło, na które opadła z wdzięcznością. Był to wielebny Trumbell, proboszcz miejscowej parafii, nieśmiały, tęgi, starszawy pan o rumianej twarzy. Brienne pastor wydał się dość sympatyczny i próbowała nawiązać z nim rozmowę. Doszła jednak niebawem do wniosku, że nic nie wskóra, a w dodatku zanudzi się na śmierć. Przestała więc mówić i zaczęła przysłuchiwać się temu, co mówią inni. Z początku była zaniepokojona, a nawet troszkę urażona tym, że nie posadzono w pobliżu nikogo znajomego. Jednakże współbiednicy okazali się całkiem nieszkodliwi, choć mieli wyraźne upodobanie do plotek.

– Moja córka mówi, że poznała pana Slane’a na jakimś raucie w Londynie. Był po prostu obleżony: setki panien zagięły na niego parol. – Otyła matrona zmierzyła Avenela spojrzeniem spod ciężkich powiek. Potem zwróciła się do swego sąsiada przy stole i trzepnęła go lekko po ramieniu malowanym wachlarzem. – Podobno to wołało wprost o pomstę do nieba! Na każdym przyjęciu, na które się zapowiedział, pa-

nował straszliwy tłok! Możecie sobie wyobrazić, jak zachwycone były panie domu!

Brienne popatrzyła w stronę głównego stołu. Venetia akurat kładła poufale rękę na silnym ramieniu Avenela, okrytym czarnym ałtase. Był to pozornie niewinny gest, mający zwrócić na coś uwagę rozmówcy; Brienne czuła jednak, że miał o wiele większe, ukryte znaczenie. Venetia wyglądała niezwykle efektownie w bladożółtej toalecie, pokrytej od góry do dołu lśniącym, błękitno-złotym haftem. Brienne zerknęła na własną suknię z fioletowego brokatu i pomyślała, że w porównaniu z kreacją córki hrabiego Culpeppera jej strój jest zbyt skromny. Na szczęście, był przynajmniej nowy!

Nagle poczuła, że jeżą jej się włosy na karku. Zerknęła na Culpeppera; tak jak przypuszczała, hrabia znów się na nią gapił. Brienne szybko odwróciła wzrok od tamtego stołu i skoncentrowała się na swym talerzu. Czuła dreszcze przebiegające jej po plecach. Czemu ten człowiek tak się jej przygląda?... Miała wrażenie, że zwrócił na nią uwagę od pierwszej chwili, gdy tylko weszła do galerii. Nie ubiegał się o zawarcie z nią znajomości ani o rozmowę. Czuła jednak na sobie spojrzenie jego zmrużonych oczu od samego początku. Nieustannie wodził za nią wzrokiem, teraz też uparcie spoglądał na nią, choć siedzieli przy różnych stołach. Brienne od pierwszej chwili poczuła do niego antypatię. W jego bladej twarzy i chudej, wysokiej postaci było coś odpychającego. Poza tym wypił zbyt wiele, zanim jeszcze siadł do stołu. Od czasu do czasu dobiegał do niej z drugiego końca pokoju jego donośny, arogancki głos.

Brienne ostrożnie zerknęła znad talerza. Czy hrabia się jeszcze na nią patrzy?... Z ulgą przekonała się, że zajęty jest rozmową z księżną. Powiodła szybko wzrokiem po reszcie osób, siedzących przy tamtym stole. Zdumiała się, gdy Avenel podniósł głowę i spojrzał prosto na nią. Pod jego spojrzeniem zaczerwieniła się. Choć pragnęła okazać mu całkowitą obojętność, przekonała się, że nie może oderwać od niego wzroku. Zatonęła w szarobłękitnej głębi jego oczu, które zdawały się ją rozbiierać; odruchowo zasłoniła ręką różowiejącą pierś. Tkwiła tak w rozkosznej pułapce jego spojrzenia, aż wreszcie Venetia odezwała się do swego partnera i czar prysnął. Avenel szybko odwrócił się do swej sąsiadki; Brienne jednak siedziała nadal zapatrzona, pragnąc choć chwilę cieszyć się jego widokiem.

– Jak ci się podoba w Anglii, panienczko? – spytała Brienne otyła matrona, chcąc nawiązać z nią konwersację, gdy zanudziła już swym gadaniem pozostałych współbiesiadników.

– Bardzo tu wygodnie – odparła bez entuzjazmu Brienne i zwróciła wzrok na ciemne wino w kieliszku, by ukryć swą urazę. Przed przybyciem do Osterley Park nigdy nie przywiązywała wagi do swego tytułu, ale tego wieczoru drażniło ją nieznośnie, że Venetia była dla każdego „lady Venetią”, ona zaś „panieneczką” bez znaczenia, lekceważoną przybłądą z kolonii.

Obiad ciągnął się w nieskończoność; kiedy się wreszcie skończył, damy przeszły do salonu, by podziwiać nawzajem swe toalety i wymieniać ploteczki, panowie zaś pozostali w jadalni. Brienne poszła oczywiście za innymi paniami i usiadła pod ścianą, starając się nie rzucić w oczy. Lady Venetia i księżna wdały się w ożywioną dyskusję o zaletach kąpieli w Bath; pozostałe damy również uznały ten temat za fascynujący. Każda z nich miała coś do powiedzenia w tej materii. Brienne była wdzięczna tym gadułom: mogła sobie spokojnie pomilczeć! Nigdy nie przebywała w tym modnym uzdrowisku, ale przejeżdżała przez nie po opuszczeniu Tenby i potem, na początku pobytu w Osterley, Bath śniło się jej kilkakrotnie.

Matrona, która siedziała podczas obiadu przy tym samym stole co Brienne, klapnęła teraz na kanapę obok niej: była zbyt tęga, by czuć się wygodnie w którymkolwiek z foteli. Jej uwagę przyciągały dwie bogate, młode damy, wokół których koncentrowała się rozmowa w salonie. Grubaska podzieliła się z Brienne swoją opinią na ich temat.

– Córka lorda Culpeppera i pan Slane mają się wyraźnie ku sobie, nieprawdaż?

Brienne wpatrywała się w lady Venetię i prawie nie słyszała słów otyłej matrony. Przypomniała sobie, jak poufale ta arystokratyczna kokietka gawędziła z Avenelem w galerii a także podczas obiadu, i musiała przyznać rację rozmówczyń.

– Chyba tak – odparła chłodno.

– A ty, moje dziecko, przebywasz w Osterley Park od dawna? Nie dziwiłabym się, gdyby takie młodziutkie stworzonko poczuło słabość do właściciela podobnej rezydencji! – Dama rzuciła jej porozumiewawcze spojrzenie w nadziei, że Brienne wymknie się coś, co posłuży jako temat do plotek.

– Nie czuję słabości ani do Osterley Park, ani do jego właściciela.

Brienne odwróciła się od ciekawskiej starej baby i wypila łyk herbaty. Miała nadzieję, że to położy kres dalszej konwersacji. Nadzieja okazała się jednak płonna.

– Więc chyba jesteś ślepa, moja droga! Nawet ja, w moim wieku, muszę przyznać, że nigdy nie widziałam przystojniejszego mężczyzny!

Cóż za bary! Jaka szczupła talia! I w dodatku nie brak mu ani jednego zęba!

– Mnie się wydaje wyjątkowo nieciekawym.

Brienne popijała herbatę z obojętną miną.

– Ach, tak?...

Czerwona twarz matrony przybrała chytry wyraz. Zaprzestała dalszych pytań.

Brienne odwróciła się od plotkary i zobaczyła, że panowie, opuściwszy jadalnię, zaczynają przyłączać się do dam. Na widok znajomej twarzy Cumberlanda rozpromieniła się. Uśmiechnął się do niej, ale nie podszedł, gdyż zobaczył siedzącą koło kominka Rose. Na widok ich powitania Brienne pomyślała, że niebawem w Osterley Park odbędzie się wesele. Rose wyglądała niezwykle młodo; obdarzyła Cumberlanda olśniewającym uśmiechem i wskazała mu miejsce obok siebie.

Zdawałoby się, że wśród takiego tłumu nikomu nie może dokuczać samotność... A jednak Brienne, patrząc na Rose i Cumberlanda, czuła się bardzo samotna. Bała się, że zauważą jak na nich spogląda, spuściła więc oczy na swoje ręce. Nie chciała, by spostrzegli jej wzrok. Nie wiedząc czemu, poczuła się nieszczęśliwa i bezradna. Nie wytrzyma dłużej w tym salonie! Przeprosiła siedzącą obok niej matronę i wstała w samą porę, by uniknąć rozmowy z elegancikiem, który właśnie zmierzał ku niej.

Brienne tak było spieszno do wyjścia, nim młody nudziarz ją przyłapie, że wpadła na Avenela, który wchodził właśnie do salonu.

– Dokąd to, malutka?

Z powodu swego wzrostu patrzył na nią zawsze z góry. Był wyraźnie zadowolony ze swego balu; Brienne poznała to po jego leniwym uśmiechu i swobodnym zachowaniu.

– Ja?... Chciałam zajrzeć do galerii i posłuchać muzyki.

Brienne powiedziała to bardzo cicho. Czuła, że oczy wszystkich w salonie zwróciły się ku nim. Nie ulegało wątpliwości, że goście byli zafascynowani osobą gospodarza. Dla wszystkich Avenel ze swą tajemniczą przeszłością stanowił wyjątkowo interesujący temat do rozmów. Ale Brienne pragnęła pozostać poza zasięgiem plotek. Robiła co mogła, by nie wzbudzać podejrzeń, siedziała cichutko jak myszka. Teraz jednak Avenel wcale jej nie pomagał: stał w drzwiach, zagradzał jej drogę i wdał się z nią w poufałą rozmowę.

– Tańczyłaś już?

W jego oczach pojawiły się figlarne błyski. A zawsze wydawały się takie zimne i niezgłębione...



– Nie umiem tańczyć. – Brienne odwróciła się, by ukryć zażenowanie. Bombardowano ich spojrzeciami ze wszystkich stron salonu. Najbardziej dokuczliwy był wzrok Venetii i księżnej: po prostu wierciły jej dziury w plecach! – Wiesz przecież, że nie prowadziłam życia towarzyskiego. Powiedziałam ci o tym, jak tylko zjawiłeś się w Osterley Park. – Próbowała go wyminąć, ale uparcie tkwił przy niej. Irytowało ją to: na początku wieczoru nie przyszedł jej z pomocą; obiad musiała jeść w towarzystwie zupełnie obcych osób, a teraz ni stąd ni z owąd zapragnął jej towarzystwa! Nie mogła tego dłużej znieść i powiedziała z urazą w głosie:

– Proszę mnie przepuścić!

– Czy ci już mówiłem, jak ślicznie dziś wyglądasz, dziki kwiatku? Mnóstwo mężczyzn zazdrości mi w tej chwili jak diabli!

– Zapewne zażyłości z córką lorda Culpeppera. Mam wrażenie, że ta dama nie może się ciebie doczekać, więc...

Udało jej się wreszcie wymknąć za drzwi, ale zdążyła jeszcze usłyszeć:

– Czyżby w twoim słodkim głosiku była nutka zazdrości?...

Spojrzała na niego z taką miną, jakby nie mogła wprost uwierzyć w równie bzdurne podejrzenie. Avenel jednak roześmiał się głośno i patrzył za nią, gdy oddalała się z podniesioną dumnie głową.

Brienne pozostała długo w galerii. Przyglądała się tańczącym parom i odmawiała wszystkim, którzy zapraszali ją do tańca. Kiedy zabrakło jej już wymówek, przeszła do marmurowego hallu i zakosztowała nieco spokoju przy kominku w jednej z nisz. Wielebny Trumbell wieziony rycerskim duchem podszedł do samotnej damy. Z samozaparciem wdał się w konwersację na temat rzymskich posągów, przedstawiających Herkulesa i Apollina, które stały w hallu. Wkrótce jednak muskularna nagość antycznych rzeźb wprawiła w zakłopotanie oboje rozmówców; pastor pospiesznie oddalił się pod pretekstem pilnej rozmowy ze starym przyjacielem.

U boku Brienne pojawił się wówczas inny śmiałek, tym razem młodszy. Ona jednak odkryła tego wieczoru, że jest bardzo wybredna jeśli chodzi o męskie towarzystwo. Większość panów wydawała się jej przerażająco nudna, a przynajmniej połowa odznaczała się nieznośnym zarozumiałstwem. Poczwała więc prawdziwą ulgę, gdy matka młodego śmiałka przywołała go do swego boku, by przedstawić syna odpowiedniejszym kandydatkom do małżeństwa.

Pozostawiona znów sama sobie Brienne doszła do wniosku, że najlepiej będzie przesiedzieć resztę wieczoru w salonie. Kiedy jednak wró-

ciła tam, wszyscy grali z zapalem w karty. W dodatku na pieniądze! Nie mogła się przyłączyć, gdyż nie znała się na kartach i nie miała ani grosza. Cumberland i Rose gdzieś zniknęli, Avenela też nigdzie nie było. Po cichu wymknęła się z salonu, zamknęła za sobą drzwi i powędrowała samotnie południowym pasażem, wyglądając przez jego duże okna na jasno oświetlony dziedziniec.

Nie wiedzieć jak dotarła do urządzonej w stylu etruskim gotowalni. Myślała, że nikogo tam nie ma; drzwi jednak były uchylone i ze zdumieniem usłyszała dochodzące z wnętrza szept. Serce jej zamarło, gdy rozpoznała zalotny kobiecy śmiech i jeszcze lepiej jej znany męski głos.

– Czemu nie tu, kochanie? Unikniemy skandalu. Mój papa dostałby chyba apopleksji, gdyby odkrył nas w czułym uścisku w twojej sypialni!

Rozległ się podejrzany szelest spódnicy. Brienne instynktownie przysunęła się bliżej do drzwi, powodowana jakąś chorobliwą fascynacją.

– Pocałuj mnie, Avenelu! – Brienne słyszała wyraźnie natarczywy głos Venetii.

– A fe, droga lady Venetio! To nie jest odpowiednia pora ani miejsce po temu. – W głosie Avenela była obojętność i rozbawienie.

– Ach, ty łotrze! Nie potrafisz już myśleć logicznie przez siebie!... A ty śmiesz mnie pouczać, co jest odpowiednie, a co nie! – Venetia z rozmysłem zmieniała taktykę; udawała szczerze zakochaną niewinność. – Czy nie jestem dla ciebie dość piękna?... Nazywano mnie „ozdobą Londynu”... Miałam naprawdę wielu u mych stóp, błagali o wzajemność!... Nie igraj z moimi uczuciami, bo je utracisz!... – Dał się słyszeć trzask zamykanego wachlarza i piskliwy chichot.

– Bardziej by ci odpowiadało, gdybym i ja padł ci do stóp? – W głosie Avenela brzmiało szyderstwo.

– Wiesz przecież, że twój chłód i rezerwa podniecają mnie do szaleństwa!... Ale przynajmniej dziś nie bądź taki nieczuły, kochanie! Jestem twoja: możesz mieć wszystko, czego zapragniesz.

Po tych słowach zapadła kompletna cisza. Brienne wyciągnęła z niej jedyny logiczny, okropny wniosek. Nie chcąc słyszeć nic więcej, odsunęła się po cichu od drzwi i znajdującej się za nimi pary. W aksamitnych pantofelkach stapała bezszelestnie. Odchodziła z dziwnie ciężkim sercem. Pragnęła zamknąć się w swoim pokoju, odgradzić od towarzystwa, w którym nie było dla niej miejsca.

Nagle ktoś od tyłu chwycił ją za ramię i popchnął ku zamkniętym mahoniowym drzwiom paradnej sypialni. Poczowała kwaśną woń alkoholu i stanęła twarzą w twarz z hrabią Culpepperem.

– Jesteś równie ponętna z bliska jak z daleka.

Culpepper zatoczył się, gdy chciał ją objąć ramionami; udało mu się to jednak, był bowiem bardzo silny, choć niewątpliwie pijany.

– Jak pan śmie traktować mnie w ten sposób?!

Brienne odepchnęła go bez ceremonii, ale natychmiast znów ją pochwylił. Ratunek był jednak niedaleko: na drugim końcu korytarza Brienne dostrzegła Rose, wracającą właśnie z hallu do salonu.

– Rose! – zawołała do niej, przyparta do framugi drzwi.

Usłyszawszy swe imię, Rose spojrzała w głąb korytarza i stanęła bez ruchu, patrząc na wielkiego, pijanego Culpeppera, który walił się całym ciężarem na drobniutką dziewczynę.

– Rose, proszę! – zawołała raz jeszcze Brienne, ale nadzieja szybko umarła w jej sercu. Na jasnym czole kobiety pojawiła się tylko lekka zmarszczka i Rose pospieszyła do salonu.

– Twoja dobrodziejka nie widzi nic złego w moich zalotach, więc i ty nie powinnaś się opierać. Prawdę mówiąc, wyświadczam ci zaszczyt.

Culpepper uśmiechnął się lubieżnie i chwyciwszy Brienne za ramię, wepchnął ją do otwartych już drzwi wielkiej sypialni.

– Obok jest taki pokój z gobelinami. Zwiedzałem go dawniej, kiedy jeszcze rezydował tu lord Oliver. Przejdziemy tam.

Pijak znów się zatoczył; wypił z pewnością mnóstwo alkoholu. Brienne oceniła sytuację w ułamku sekundy i rzuciła się ku drzwiom na korytarz. Hrabia wpadł jednak na nią, nim zdążyła się wymknąć i drzwi zatrasnęły się za jej plecami.

– Idziemy tam! – wskazał przejście na drugim końcu sypialni, prowadzące do pokoju z gobelinami. Brienne odwróciła się w nadziei, że trzecie drzwi, do gotowalni w stylu etruskim, są otwarte. Niestety, były szczelnie zamknięte.

Culpepper popchnął ją znowu w stronę pokoiku z gobelinami. W tej samej chwili na korytarzu rozległy się kroki. Uszczęśliwiona Brienne chciała krzyknąć „Ratunku!”, ale wielka, spocona, odrażająca łapa zaciśnęła się boleśnie na jej ustach. Zarówno kroki, jak i głos Avenela ucichły w dali, a ją wepchnięto do pokoju z gobelinami. Culpepper, zamknąwszy drzwi od sypialni, odwrócił się do dziewczyny. Brienne z rozpaczą rzuciła się ku drugim drzwiom, prowadzącym do salonu. Dochodził stamtąd tak donośny gwar rozmów i śmiechów, że zginął w nich krzyk przerażonej Brienne, gdy Culpepper ją dogonił.

– Będę wrzeszczeć na całe gardło! – ostrzegła. Przekrwione oczy błędziły po jej twarzy i ramionach. Próbował ją pocałować, więc chciała spełnić swą groźbę. Uderzył ją jednak brutalnie w twarz. Krzyk dziewczyny przeszedł w bolesny jęk.

– Miałem na ciebie chrapkę, jak tylko cię zobaczyłem w galerii, Brienne! Muszę cię mieć. I to już!

Pochylił się i poczuła na ustach jego zaślinione wargi.

– Avenel! – zawołała bezwiednie; była półprzytomna po ciosie.

– Avenel, co? Jesteście po imieniu? – Porząsnął dziewczyną, by nieco oprzytomniała. – Kim on jest dla ciebie, słodka kuzyneczko z Ameryki?

Mówił bełkotliwie i pryskał jej w twarz śliną.

– Precz ode mnie, potworze! – Brienne odzyskała mowę i z całej siły próbowała odepchnąć wstrętne napastnika. Przyciskał ją tak mocno, że sztywne hafty jego fraka raniły delikatną skórę jej ramion.

– Śmiesz mnie nazywać potworem?! – Twarz Culpeppera poczerwieniała i wykrzywiła się strasznie. – Ty, niepozorna przybłąda z Ameryki, bez grosza przy duszy?! Venetia mówiła mi, że nie miałaś nawet co na siebie włożyć, póki Slane nie przywiózł ci z Londynu nowych kieck! Powiedz no, cukierczku: od kiedy to dama przyjmuje w podarunku od mężczyzny ubranie?! – Obmacywał jej delikatne, podrapane ramiona, wtykał paluchy w dekolt brokatowej sukni. – Tylko ostatnie dziwki naciągają jurnych byczków na fatalaszki! To stara sztuczka! – Gwałtownym szarpnięciem zdarł jej suknię z ramion. Brienne wzdygnęła się i odskoczyła.

– Precz ode mnie! – krzyknęła – Mylisz się, skończony głupcze!

– Ja się mylę?! – Zaskoczony Culpepper, aż się zatoczył. – To ty się mylisz! Sądzisz, że Venetia pozwoli Slane’owi utrzymywać kochanicę?! Chce za niego wyjść i wyjdzie! A wtedy zostaniesz bez dachu nad głową. Weźmie cię pierwszy lepszy. – W niewielkich oczkach znów błysnęła żądza. – Więc kładź mi się tu zaraz, suczko! – rozkazał, wznosząc w górę pięść. Prerażona Brienne próbowała uskoczyć przed następnym ciosem. – Pora zmienić właściciela! – Chcąc ją zmusić do uległości, uderzył znowu. W głowie Brienne eksplodowały tysiące rozpalonych do białości gwiazd.



Rose siedziała nieruchoma i milcząca na końcu salonu. Na jej czole rysowała się wyraźna zmarszczka.

– Zmęczyłaś się, kochanie? – Cumberland wpatrywał się w nią zakochanymi oczyma; był uosobieniem czułej troski.

– Nie, nie! Wszystko w porządku – odpowiedziała z roztargnieniem. I nagle wybuchnęła: – Gdzie jest Avenel?! Widziałeś go ostatnio?

– Chyba w galerii. Chcesz, żebym ci go przyprowadził?

– Nie! – odparła stanowczo. – Nic się nie stało. – Spuściła zatrwożone, pełne winy oczy na leżące na podolku ręce, które nerwowo zaciskała. – To nieprawda: stało się coś złego! – powiedziała w końcu i odwróciła się z rozpaczą do Cumberlanda. – Muszę odnaleźć Avenela! Chodzi o Brienne. – Z nagłą determinacją zerwała się z fotela i pobiegła do drzwi, nie dostrzegając nikogo na swej drodze.

– Otóż i on! – zawołał Cumberland, gdy Avenel (z nieodstępną lady Venetią u boku) pojawił się na progu.

Rose z płaczem rzuciła się ku niemu.

– Boże, zmiłuj się! Avenelu... Boże!... Avenelu, co ja zrobiłam?!

– Co się stało? – Avenel spojrział na nią badawczo.

– Chodzi o Brienne! Brienne... – wołała ze skruczą. – O, ja niegodziwa! Jak mogłam tego chcieć... Zasługuję na wieczne męki za to, co zrobiłam!

– Co z Brienne? Mów natychmiast! – Avenel chwycił bratową za ramiona i lekko nią potrząsnął.

– Lord Culpepper... on jest strasznie pijany! Widziałam jak osaczył Brienne na korytarzu pod twoim pokojem... i... nie zrobiłam... nic. – Zwiesiła głowę ze skruczą i ukryła twarz w rękach. – Pospiesz się! Co ona teraz cierpi...

Avenel bez słowa rzucił się ku drzwiom do południowego pasażu. Po wyznaniu Rose w salonie zapadła głucha cisza. Goście zaczęli wymykać się dyskretnie na korytarz; chcieli być naoczными świadkami rozgrywającej się sceny. Venetia biegła za Avenelem, zaklinając go, by nie czynił nic pochopnie, nie wywoływał skandalu.

Avenel wpadł do swej sypialni i zaklął siarczyście, nie zastawszy w niej nikogo. Otworzył drzwi do przyległego pokoju w chwili, gdy lord Culpepper rozdarł właśnie stanik Brienne i obmacywał jej piersi, zatykając jej równocześnie usta zaślinionymi wargami.

Brienne była półprzytomna; poczuła jednak, że ktoś odrzuca na bok niczym tłumok ciężkie ciało napierającego na nią Culpeppera. Cofnęła się o kilka kroków, wymamrotała coś niezrozumiałego, chyba imię Avenela. Głowa jej pękała, nie była w stanie mówić. Nagle objęły ją opiekuńcze ramiona, Brienne instynktownie wtuliła się w nie. Znajomy zapach i dotyk uspokajały ją, otępienie powoli mijało. Odezwął się lęk, więc go wypłakała wtulona w białą kamizelkę Avenela. Objemował łagodnie i pewnie jej drżące ramiona, czuła jego usta na swych splątanych włosach. Nie było w nich grzebienia: leżał połamany na podłodze.

– Już wszystko dobrze, malutka. Rose powiedziała mi, co się dzieje. Już ci nic nie grozi.

– Chciał mnie zgwałcić – płakała; czuła znów brutalne uderzenie w policzek, ohydny dotyk rąk Culpeppera na swoim sponiewieranym ciele.

Avenel spojrział w jej obolałą, spuchniętą twarz.

– Nic ci już nie może zrobić. Popatrz! – powiedział, rozluźniając uścisk na tyle, by mogła zobaczyć napastnika leżącego bez przytomności na podłodze. Pochylona nad ojcem Venetia obrzuciła ich oskarżycielskim spojrzeniem.

– On krwawi! Mój ojciec krwawi przez ciebie! – Venetia dotknęła głowy hrabiego i powalała rękę jego krwią. – Chyba go zabiłeś! Dla takiej szmaty! – rzuciła mściwie.

Avenel odwrócił się do Cumberlanda, który przeciskał się przez tłum gromadzący się u drzwi. Rose z determinacją odpędzała gapiów.

– Każ lokajom wynieść lorda Culpeppera za bramę. Powiedz, że nie muszą się z nim specjalnie cackać!

Cumberland skinął głową z aprobatą.

– Widziałem chyba obok pokoju śniadaniowego dwóch chłopów na schwał. Na pewno chętnie się tym zajmą – powiedział, wychodząc z pokoju.

Usłyszawszy krzyk oburzenia lady Venetii, Avenel odwrócił się do niej.

– Możesz wracać z ojcem albo zostać, jak sobie życzysz. Ale on ma natychmiast się stąd wynieść. Inaczej wyzwę go na pojedynek i rozprawię się z nim raz na zawsze.

Po tych słowach przestał się kompletnie interesować lady Venetią. Całą jego uwagę zaprzętała kobieta, którą trzymał w ramionach.

Zdjął frak i otulił nim Brienne. Wziął ją delikatnie na ręce, bez wysiłku, jakby nie ważyła więcej niż piórko i ruszył korytarzem przez tłum ciekawskich gości. Brienne była rada, że czarny atłas fraka zakrywa jej podarty stanik i obnażoną lewą pierś. Była blada i milcząca, ale już nie płakała.

Jeden z gości, lekarz, poszedł za nimi na górę. Nim Brienne się spostrzegła, leżała już w swoim łóżku i piła laudanum, które zaordynował. Silny środek uspokajający podziałał natychmiast; zapadła w sen, nim zdążyła podziękować Avenelowi za ocalenie.



Nie było jej dane zaznać tej nocy spokojnego wypoczynku. Z zakamarków umysłu Brienne wyłoniły się różne mroczne, niewyraźne widma. Rzuciła się po pościeli, usiłując je odegnać, ale nie mogła się ocknąć z narkotycznego snu.

Jeden z tych koszmarów sprawił, że znalazła się znów w Tenby. Był jasny, pogodny dzień. Urządziły sobie z mamą piknik na Zamkowym Wzgórzu i spoglądały stamtąd to na czyste, błękitne wody Atlantyku, to na leżące pod nimi w dole szare mury starego warownego grodu.

– Opowiedz mi o balach, mamusiu! O wszystkich tych pięknych paniach i eleganckich toaletach!

Odgarnęła z twarzy ciemnorude loki, morski wiatr szarpał jej spódnice.

– To był doprawdy wspaniały widok. A ja znajdowałam się w centrum tego wszystkiego. Miałam najpiękniejsze suknie, najdroższe klejnoty... Twój dziadek, Brienne, był wspaniałomyślny i szczodry. Z pewnością bardzo by cię kochał.

– Mamusiu, kim był ten młody człowiek? Ten z miniaturowej?

Brienne pochyliła się ku matce, chcąc koniecznie usłyszeć jej odpowiedź. Słowa, które raz na zawsze uwolnią ją od strasznej przeszłości.

Zanim jednak matka odpowiedziała, na piękną, jasną twarz padł z tyłu jakiś cień. Brienne obawiała się spojrzeć w tamtą stronę. Gdy się jednak w końcu na to odważyła, ujrzała postać Olivera Morrowa wznoszącą się groźnie nad nimi.

– Ona jest taka młodzianka! Weź mnie zamiast niej! – błagała go matka.

– Gdzie mój grzebień, moje klejnoty? – zaśmiał się okropnie Oliver Morrow; jego żółtawe zęby i wargi wydawały się zbyt wielkie w stosunku do reszty twarzy.

– Nie! Nie! – krzyknęła do matki Brienne. – Uciekajmy, mammo! Na pewno mu uciekniemy! Teraz ja zaopiekuję się tobą!

Zerwała się z ziemi i schwyciła matkę za rękę. Wspinały się po górskim zboczu do samotnej wieży. Tam właśnie się ukryją! Brienne widziała, że hrabia je ściga. Pospiesznie wepchnęła matkę do wnętrza wieży.

Jej nagły krzyk zmałował spokój walijskiego pejzażu: hrabia jakimś diabelskim sposobem zjawił się na najniższym stopniu schodów w głębi wieży. Nim przed skamieniała ze strachu Brienne zatrzasnęły się masywne drewniane drzwi, ujrzała jak hrabia chwytając brutalnie matkę za jej piękne kruczoczarne włosy i woła:

– Będę jeszcze miał was obie!

– Mamusiu, uratuję cię! Mamusiu!

Brienne waliła w twarde jak skała drzwi, aż ręce spływały jej krwią. Ze szczytu wieży dobiegały żałosne jęki. Zatkąła krwawiącymi dłońmi uszy, by ich nie słyszeć.



– Uratuję cię, mamusiu! – łkała bezradnie.

Wkrótce jednak rozległy się ciężkie kroki: lord Oliver schodził na dół! Odskoczyła od drzwi i rzuciła się do ucieczki. Potykając się, biegła po zboczu w dół, przerażona i splakana, szukając rozpaczliwie jakiejś kryjówki. Ku jej zdumieniu na stoku góry pojawiła się nagle stara szafa z ich domku. Brienne wślizgnęła się do niej i przycupnęła w ciemności, modląc się, by prześladowca nie odnalazł jej tutaj.

Usłyszała zbliżające się kroki i zaczęła cichutko jęczeć. Wszystkie nerwy w niej dygotały ze strachu. Na szczęście jednak hrabia minął jej kryjówkę i oddalił się. Zapadła cisza. Brienne uznała, że może już wyjść z ukrycia i poszukać matki. Uchyliła drzwi szafy: ujrzała jedynie morze, niebo i zamkową wieżę na szczycie góry. Otworzyła je więc szerzej i wtedy wstrząsnęło ją przerażenie: okolona siwymi włosami twarz hrabiego ukazała się ponad szafą. Brienne wrzasnęła w panicznej trwodze, gdy prześladowca pochwycił ją.

– Brienne, kochanie!

– Przecież odszedłeś! Słyszałam jak odchodzisz! – bełkotała niewyraźnie.

– Obudź się!... Obudź się, malutka!

Ktoś potrząsał jej ramionami. Brienne otworzyła oczy i ujrzała pochylającego się nad nią Avenela. Miał na sobie tę samą kamizelkę i spodnie co na balu. Brienne była zdyszana i zlana potem; jej nocna koszula nadawała się do wyżęcia. Drżąc ze strachu, spojrzała w okno i dostrzegła pierwszą zapowiedź mglistego świtu.

– O Boże! – jęknęła. – Muszę się stąd wydostać!...

– To był tylko zły sen, kochanie moje.

Brienne uniosła głowę i odkryła, że czepia się kurczowo jego białej kamizelki. Opuściła drżące piąstki na łóżko i pozwoliła Avenelowi, by odgarnął jej delikatnie ciemne włosy ze spoconego czoła.

– On mnie zabije, Avenelu! Jeśli mnie tu zastanie, zabije mnie. Muszę stąd uciec!

– Gdzieś się podziejesz, kwiatuszku?... Przecież *dinbych*, twoja walijska forteca, wali się w gruzy; nie możesz do niej wrócić. Moi ludzie przeczesałi cały kraj, poszukując jakiejś zapomnianej ciotki lub kuzynki, u której mogłabyś się schronić... ale nie znaleźli nikogo. Krótko mówiąc, kochanie, nie masz żadnej rodziny, nie masz dokąd pójść.

– Ale jak mogę zostać?... Tak się tu męczę! Ty z każdym dniem wiesz o mnie coraz więcej, ja nie wiem o tobie nic. Po prostu nic! Jak mogę ufać komuś, kogo zupełnie nie znam? Jak mam uwierzyć, że mój ojciec nie zdoła...

– On jest już martwy, Brienne. Może jeszcze chodzi po ziemi, ale jest już skończony. Zadbaliśmy o to. – Głos Avenela był bardziej zimny i nieczuły niż kiedykolwiek dotąd.

– Chcę ci wierzyć. Czuję, że powinnam ci wierzyć. Ale jak mogę?... Jestem przecież twoim wrogiem... – szepnęła Brienne.

Avenel milczał przez długą chwilę; nie mógł widać zaprzeczyć jej słowom. W szarości przedświt jego postać była coraz wyraźniej widoczna. Brienne spostrzegła, że miał zmęczoną twarz i pomięte ubranie.

Potarł w zadumie nieogolony policzek i przeczesał ręką włosy.

– To była bardzo długa noc, dziki kwiatku. Nie mogę w tej chwili odpowiedzieć ci na tak trudne pytanie.

Wiedzioną instynktem Brienne wyciągnęła rękę i poczuła pod palcami szorstki, ciemny zarost na jego przystojnej twarzy. Bezwiednie przesunęła się na łóżku, by Avenel mógł położyć się obok niej. Rozpiął kamizelkę i utulił dziewczynę w ramionach bez słowa, jakby ze smutkiem. Oboje zapadli w sen, gdy zabłysła jutrzeńka.

## 15

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Brienne w oczy zaraz po przebudzeniu, była wilgotna, szarawa mgielka, wisząca nad Osterley Park. Nie miała pojęcia, jaka to pora dnia. Czowała się jednak wypoczęta, a ból głowy, który dręczył ją przez całą noc – nawet we śnie – całkiem ustał. Odwróciła się od okna i zakopała jeszcze głębiej w pościeli. Zdumiewało ją, że czuje się taka szczęśliwa i wypoczęta po tym okropnym przejściu. Kiedy jednak spojrzała na puste miejsce obok niej, przyczyna dobrego samopoczucia poraziła ją jak grom. Na drugiej poduszce pozostał wyraźny odcisk głowy Avenela; do wytwornej, jedwabnej pościeli przylgnął jego zapach.

– Obudziła się pani wreszcie, mademoiselle! – Na dźwięk głosu Vivie Brienne siadła na łóżku. Francuzka odłożyła szycie i wstała z sofki, przysuniętej bliżej do wesoło trzaskającego ognia. – Dobrze się dziś paniencie spało, *n'est-ce pas?* – Vivie podeszła do stołu i wzięła przygotowaną dla Brienne tacę.

– Która to godzina? – spytała dziewczyna z poczuciem winy.

Odgarnęła z twarzy spletaną masę ciemnorudych włosów i chciała wstać z łóżka. Jednak po pierwszym żywym ruchu pokój zaczął wirować wokół niej; w głowie poczuła znów otępienie po laudanum.

– Ach! Nie wolno panience wstawać! – Brienne ustawiła tacę na nocnym stoliku i pospieszyła po grzebień. – Musimy zrobić porządek z tymi włosami, mademoiselle! – Pokojówka rozczesywała splecione loki koloru burgunda; niebawem całkiem ujarzmiła włosy Brienne, splatając je w długi warkocz. Po wykonaniu tego zadania postawiła tacę na łóżku i nalała swej pani filizankę esencjonalnej czekolady.

– Gorący napój rozjaśnił Brienne w głowie; ponowiła swe pytanie.

– Która to godzina? Czuję, że późna!

– Minęło już południe, ale...

– Minęło południe?! – wykrzyknęła z niepokojem Brienne. – Niemożliwe!

– Bardzo pani potrzebowała wypoczynku. Miała panienka ciężką noc! – Vivie potrząsnęła zadzierzyscie głową i wybuchnęła: – Jak on śmiał tak panią potraktować! Podła świnia! Mam nadzieję, że monsieur Slane dał mu dobrą nauczkę!

– Widziałaś się dziś rano z Avenelem? – spytała Brienne i nagle złękła się odpowiedzi.

– Tylko w przelocie.

Vivie spuściła oczy i Brienne domyśliła się, że mała pokojówka naktnęła się na nich, gdy zjawiła się rankiem w sypialni.

– A jednak wiesz doskonale, co wydarzyło się ostatniej nocy? – Kiedy pokojóweczka skinęła głową, Brienne mówiła dalej z rozpaczą. – Czemu ja poszłam na ten bal?! Powinam się domyślić, że to się źle skończy! Czulałam się tak obco wśród tych wszystkich bogaczy... Łatwo było przewidzieć, że prędzej czy później ktoś z nich zechce wykorzystać naiwną prostytutkę...

– Dlaczego pani tak mówi, mademoiselle? Wiem od pana Avenela, że panienka pochodzi ze znakomitego rodu! To pani powinna zadziierać noska, nie ta cała zgraja!

– Sam tytuł nie wystarcza. Potrzebne są jeszcze inne zalety, obycie w towarzystwie... Miniona noc dowiodła tego w całej pełni. Poniosłam sromotną klęskę. Powinam była zaraz po obiedzie wrócić do swego pokoju. Wówczas nic by się pewnie nie wydarzyło.

– To nie była żadna klęska! Przekonała się panienka, jak bardzo monsieur Slane panią kocha.

Vivie obejrzała się na dwie młode służące, które weszły do sypialni i krzątały się koło kominka, przygotowując kąpiel. Jedna rozkładała białe, świeżo wyprane ręczniki, druga nalewała do wanny gorącą wodę z lśniącego, mosiężnego kociołka.

– Nigdy w to nie uwierzę, Vivie.

Brienne podniosła się ostrożnie z łóżka i stanęła, trzymając się oparcia fotela.

– Jak można w to nie wierzyć?! Przesiedział tu przecież całutką noc; nie wyszedł, póki się nie przekonał, że panienka smacznie śpi! Wszyscyśmy słyszeli, jak pani krzyczy przez sen... ale tylko on panienkę uspokajał, nikomu innemu nie pozwolił podejść! Mówią też, że nasz pan i lady Venetia nie odzywają się do siebie po tym wyczynie jej papcia! Pan Avenel bardzo panienkę kocha!

Vivie przepędziła obie służące z sypialni, kiedy kąpiel była już gotowa, i zaczęła ściągać z Brienne nocną koszulę.

– Nie opowiadaj takich rzeczy! Nie myśl nawet o nich! – odparła chmurnie Brienne. – Avenel z pewnością liczy na małżeństwo z lady Venetią. Taka żona wniesie mu w posagu wszystko to, czego ja nie mogłabym mu dać. Ubiegłej nocy rozgniewało go zachowanie jej ojca, ale gdyby przeze mnie stracił lady Venetię, nigdy by mi tego nie wybaczył.

Brienne zanurzyła się w jedwabistej wodzie i poczuła, że pod wpływem ciepła jej napięte mięśnie rozluźniają się. Oparła głowę o krawędź wanny, przewieszając przez nią swój długi rudy warkocz.

Brienne postanowiła nie przywiązywać wagi do słów Vivie. Nawet jeśli nie były to zwykłe wymysły, między nią i Avenelem nie mogło być mowy o miłości. W tych okolicznościach?! Wykluczone!

– Jak sobie pani życzy, mademoiselle. Nie pisnę już ani słówka. Ale co jest, to jest, nawet jak się o tym nie mówi!

Vivie wręczyła swej pani duży kawałek żółtego mydła i poszła do gotowni po suknię.



– Och! – jęknęła Brienne, oglądając krwisty znak na policzku, pamiątkę po wczorajszej strasznej przygodzie. Nadal bolało przy dotknięciu. Próbowwała ukryć tę skazę pod warstwą pudru, ale wciąż odcinała się ona ostro od jej nieskazitelnej, kremowej karnacji.

– Ciągłe widać. Nie przysypie tego panienka pudrem. – Vivie potrząsnęła głową, przyglądając się usiłowaniom Brienne. – A zresztą, Monsieur i tak nie zapomni o tej sprawie! A jak to zobaczy, rozwścieczy się na nowo. – Francuzka wskazała krwawą pręgę.

– Nie chcę, żeby się gniewał. Nie chcę, żeby o tym dłużej myślał!

Brienne popatrzyła w lustro i zmarszczyła brwi. Przyglądała się sobie przez dłuższą chwilę, usiłując wymyślić jakiś sposób zamaskowania wstrętnej, czerwonej plamy. Jednak stukanie do drzwi odciągnęło ją od tych rozmyślań. Podniosła się, by otworzyć.

Na progu ze skruszoną miną stała Rose. Jej niebieskie, zaczerwienione oczy świadczyły o bezsennej nocy i wylanych łzach.

– Rose?! – wykrzyknęła ze zdumieniem Brienne.

Pospiesznie zebrała myśli i zaprosiła gościa do pokoju. Zobaczyła, że Vivie wymyka się dyskretnie. Była pewna, że pokojówka niebawem zjawi się z herbatą i ciasteczkami. Poprosiła Rose, by usiadła w pobliżu ognia na obitej żółtą taftą sofie. Dla siebie wybrała jedno ze zrobionych z żółtodrzewu krzeseł wyposażonych w poręcze.

– Czy mogłabyś usiąść koło mnie, Brienne? – Rose wskazała miejsce na sofie.

Brienne wpatrywała się w nią przez długą chwilę, potem z prawdziwą radością spełniła jej prośbę, choć czuła się nieswojo w towarzystwie kuzynki Avenela.

– Czym mogę służyć, Rose? Moja pokojówka z pewnością przyniesie nam zaraz jakieś smakołyki, ale...

– Nie, nie... Niczego mi nie trzeba... prócz twego przebaczenia, Brienne.

– Mego przebaczenia? – spytała Brienne z najwyższym zdumieniem. – Ależ proszę nie robić sobie żadnych wyrzutów...

– Muszę! Byłam bez serca, chciałam za własne niedole zemścić się na niewinnej dziewczynie!

– Przez mego ojca twoje życie legło w gruzach, straciłaś męża... Zupełnie zrozumiałe, że obwinałaś także mnie! – Brienne z poczuciem winy wpatrywała się we własne ręce.

– Culpepper ci to zrobił?...

Rose dostrzegła właśnie znak na policzku Brienne i oczy zaszyły jej łzami. Gdy dziewczyna skinęła potakująco głową, rozszochała się na dobre. Ocierała oczy chusteczką zaciśniętą w garści.

– Nie płacz, Rose! To paskudnie wygląda, ale prawie nie boli, słowo daję! A ty wczoraj nie zrobiłaś nic złego. Nikt przecież...

– Mój mąż, Christopher – przerwała jej Rose – był najcudowniejszym człowiekiem w świecie. Kiedy się pobieraliśmy, była z nas para dzieciaków. Miałam zaledwie szesnaście lat, a on dopiero co skończył dwadzieścia... Ale znałam ich obu całe życie, rozumiesz?

– Ich obu?... – spytała Brienne, niczego już nie pojmując.

– Mego męża i Avenela. Christopher był jego bratem.

Brienne starała się ukryć szok, którego doznała, i pozwoliła Rose mówić dalej.

– Próbuję ci wytłumaczyć, że choć mój mąż nie żyje od tak dawna i choć nasze małżeństwo, które można by uznać za nierozważną decyzję

dwojga dzieciaków, trwało bardzo krótko, zawsze będę kochać Christophera za jego wielką dobroć. Spotkała go okrutna, przedwczesna śmierć. A ja znieważylam jego pamięć moim podłym zachowaniem wobec ciebie, szczególnie wczoraj wieczorem! – szlochała pełna skruchy Rose.

– Proszę cię, Rose, nie opowiadaj takich rzeczy! Twój mąż z pewnością był zawsze z ciebie dumny! Na pewno ogromnie cię kochał, tak samo jak kochają cię Cumberland i Avenel. Jesteś w ich oczach doskonałością i mają całkowitą słuszność! – Brienne dotknęła ramienia Rose, ale uświadomiła sobie, kim jest, i pospiesznie cofnęła rękę. Sama też pragnęła się wypowiedzieć, zaczęła więc:

– To ja powinnam błagać cię o przebaczenie! Zabrano ci ukochanego, i to tak wczesnie! Gdyby nie bolesne rany, które zadał ci mój ojciec, nie byłabyś taka nieszczęśliwa, a mój widok nie przypominałby ci o wszystkim, co utraciłaś!

Łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je siłą woli, nie chcąc, by Rose czyniła sobie jeszcze większe wyrzuty.

– Jakaś ty dobra, Brienne! Poznałam cię przez tych kilka tygodni i wiem, że bez względu na swoje pochodzenie nie ponosisz żadnej winy za to, co się stało. To ja podle cię skrzywdziłam swoim postępowaniem. Przyznam zresztą, że trudno mi było zachować lodowaty chłód wobec kogoś, kto zawsze odnosił się do mnie tak serdecznie... Więc, jeśli nie jest jeszcze za późno, pragnę zaoferować ci najszczerzą przyjaźń. Oczywiście jeśli będziesz na tyle wielkoduszna, że jej nie odrzucisz.

Rose spoglądała na nią zażawionymi oczyma. Na jej pięknej twarzy nie było nic prócz szczerego uznania. Kiedy wyciągnęła rękę do Brienne, ta instynktownie ją pochwyliła; jej oczy również zaszyły łzami. Kamień spadł jej z serca.

Obie kobiety spędziły popołudnie na rozmowach przy herbacie. Brienne pragnęła się dowiedzieć jak najwięcej o mężu Rose a zarazem bracie Avenela. Zасыpywała rozmówczynię pytaniami.

– Więc jesteś nie tylko kuzynką, ale i bratową Avenela?

Rose skinęła głową.

– Wszyscy troje wychowywaliśmy się razem.

– W Maryland?

– Tak. Moi rodzice zmarli na febrę; nie miałam wtedy nawet dwóch lat. Wtedy ciocia i wujek wzięli mnie do siebie i wychowali jak własne dziecko. Wszyscy troje dorastaliśmy razem i byliśmy sobie bardzo bliscy. Chyba zawsze byłam zakochana w Christopherze... – Rose uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Nawet jako dziecko. Był taki piękny i dzielny. Avenel jest do niego bardzo podobny. Jednak jest mię-

dzy nimi pewna różnica. – Oczy Rose spochmurniały. – Avenel ma w sobie jakąś twardość, której w Christopherze nie było... Ale jeśli zechce, bywa niesłychanie czarujący. Lepiej się go strzeż! Avenel złamał już wiele serc i obawiam się, że mógł i na ciebie zagiąć parol!

– Zawsze się tylko ze sobą kłócimy! Mojemu sercu nic nie grozi. – Brienne podeszła do srebrnego imbryka, by nalać jeszcze jedną filiżankę herbaty. Spuściła oczy, by Rose nie mogła nic z nich wyczytać. – A jak to się stało, że przeniosłaś się do Anglii?

– Wysłano mnie tu po śmierci Christophera. Avenel uważał, że tak będzie dla mnie lepiej.

Rose zamilkła. Pograżona w myślach popijała herbatę.

– Ja... – Brienne z trudem przełknęła ślinę. Zdobyła się wreszcie na odwagę, by spytać o to, czego pragnęła się dowiedzieć od pierwszego dnia pobytu Avenela w Osterley Park. – Ja wiem, że to może być dla ciebie bolesne... Ale czy mogłabyś mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi? Czy Avenel nienawidzi hrabiego tylko z powodu brata?...

– Nie pytaj mnie o to, Brienne!

– Proszę, odpowiedz mi! Ja to muszę wiedzieć! – nastawała Brienne.

– Nie mogę ci tego wyjawić. Nie dlatego, że byłoby to dla mnie zbyt bolesne. Ten ból nigdy mnie nie opuszcza. Towarzyszy mi każdego dnia... Tak jak Avenelowi i Cumberlandowi. Nie mogę ci tego powiedzieć, bo przyrzekłam Avenelowi, że tego nie zrobię. Nie złamię słowa, które mu dałam.

– No tak... rozumiem... – powiedziała nieporadnie Brienne.

– Avenel od dwudziestu lat jest moim opiekunem i obrońcą. Jego życzenia są dla mnie święte. Nie okażę się niewdzięcznicą! Rozumiesz, Brienne? – W przyjaznym wzroku Rose była błagalna prośba.

– Tak, rozumiem – odparła cierpko Brienne. – Wygląda na to, że wszyscy mają jakiś dług wdzięczności wobec Avenela. – Głos zaczął jej drżeć.

– Nie przejmuj się tym aż tak bardzo! Avenel był przecież dla ciebie dobry, prawda?

– Był dla mnie bardzo hojny. – Brienne wygładziła fałdy swej śliwkowej sukni z jedwabiu, zachwycając się jej gładkością i barwą. Zmarszczyła jednak brwi i wykrzyknęła: – Ale ta nieświadomość jest nie do zniesienia! Wyobrażam sobie niesamowite rzeczy, z pewnością stokrotnie gorsze od prawdy. Avenel nie ukrywał przede mną, że szuka zemsty. – Spojrzała badawczo na Rose, chcąc się upewnić, czy może jej zaufać. Gdy była już tego pewna, mówiła dalej: – W nim jest tyle gniewu,



Rose... Z pewnością o tym wiesz. Boję się, że każe mi drogo zapłacić za wszystko, co hrabia wam uczynił. W jakiś sposób chce się mną posłużyć, by okryć lorda Olivera ostateczną hańbą. Właśnie dlatego Avenel budzi we mnie strach. Ale co gorsza, równocześnie pociąga mnie... i w tym właśnie będzie moja zguba. – Brienne roześmiała się gorzko i po chwili ciężącego im obu milczenia dodała: – To zupełnie tak, jakby ktoś patrzył prosto w słońce, prawda?...

Rose nakryła drżącą rękę dziewczyny swą ciepłą dłonią.

– Avenel nie jest taki straszny, jak ci się zdaje. Wiem, że bywa groźny, ale jego nienawiść zwrócona jest tylko przeciw hrabiemu. Pamiętaj tylko o jednym: Avenel nienawidzi wyłącznie hrabiego – powtórzyła z naciskiem. – Nie ciebie, Brienne!

– Mam nadzieję, że to prawda.

Brienne podniosła głowę, a Rose pogłaskała pocieszająco jej rękę.

– Pozostaw przeszłość za sobą. Ja też próbuję to zrobić. – Rose zarumieniała się. – Muszę przyznać, że Cumberland ogromnie mi w tym pomaga.

– Bardzo się z tego cieszę, Rose. Wiesz?... Ogromnie polubiłam Cumberlanda i serce mi rośnie, kiedy widzę, jak go uszczęśliwiłaś.

Rose roześmiała się jak młoda dziewczyna.

– Jest przemiły!... Coś mi się wydaje... Nie, nie powiem tego, bo jeszcze zapeszę!

– Więc ja powiem to za ciebie! – zaofiarowała się Brienne. – Coś ci się wydaje, że Cumberland lada chwila się oświadczy! Widzisz: powiedziałam, co trzeba, a ty możesz nie lękać się pecha!

Rose zarumieniała się uroczo i odparła:

– Przyznam, że mam pewne nadzieje...

– I słusznie! Z pewnością do tego dojdzie. Ma to wypisane na twarzy. Kiedy wchodzisz do pokoju, cały się rozpromienia! – Roześmiała się w głos. – Wygląda jak chłopiec, zakochany po raz pierwszy w życiu.

Obie kobiety rozchichotały się, ale Rose wkrótce spowaźniała.

– Wiem, jak ci ciężko, Brienne! Sytuacja w Osterley Park jest bardzo niezwykła... Ale ty jesteś o wiele za młoda, by się tylko zamartwiać! – Ucisnęła nagle rękę dziewczyny. – Obie jesteśmy na to za młode! Obiecuj mi, że zapomnisz o wszystkim, co wydarzyło się do tej pory!

Brienne wpatrywała się w nią przez kilka chwil. Nie mogła wymazać z pamięci tego, że jej ojciec wkrótce tu przybędzie, ani strachu, który w niej budził. Nie była też w stanie zapomnieć, że jest w Osterley Park

więźniem. Ale choćby nawet przyjaźń z Rose miała trwać krótko, Brienne wolała czasowy rozejm od nieustannej wojny. Odparła drżącym głosem, uśmiechając się przy tym:

– No cóż... spróbujemy... Może nam się uda?...



Brienne ubrała się do obiadu niezwykle elegancko; zjawiała się w sukni z brzoskwińowego atłasu, przetykanego złotą nicią. Cumberland i Rose powitali ją w galerii. Po kilku minutach spędzonych w ich towarzystwie Brienne doszła do wniosku, że nigdy jeszcze nie widziała równie zakochanej pary. Cumberland był jak zawsze przemiły, ale każde jego spojrzenie, gest i słowo biegło ku Rose. Ona zaś, niezwykle odprężona i pełna spokoju, przyjmowała jego czułe starania ze słodkim rumieńcem młodziczki dziewczyny.

Kiedy czekali na przybycie Avenela, Brienne siedziała w milczeniu na krześle z poręczami. Z przyjemnością przysłuchiwała się rozmowie, ale nie brała w niej udziału. Wystarczało jej poczucie wzajemnej życzliwości; radowała się spokojem, który zstąpił do jej udręczonej duszy.

Avenel zjawił się niebawem. Brienne instynktownie odwróciła się tak, by nie widział jej wyraźnie oszpeconego policzka. Miała nadzieję, że ukryła dość dobrze ślad uderzenia pod warstwą pudru, i że Avenel go nie dostrzeże. Podszedł najpierw do Rose i ucałował ją po bratersku w policzek. Kiedy jednak zbliżył się do Brienne, stanął jak wryty. Bez słowa odwrócił ją posiniaczonym policzkiem do ognia i bardzo delikatnie musnął palcem opuchliznę. Kiedy dotknął bolącego miejsca, Brienne skrzywiła się. Próbowwała to ukryć, bezskutecznie jednak. Krucze brwi Avenela zmarszczyły się groźnie, a twarde jak brylanty oczy zabłyśły nieposkromionym gniewem.

– Nie bądź zły! – próbowała go udobruchać Brienne. – Przynajmniej dziś się nie gniewaj!

– To bydlę! – zaklął. Ale kiedy jego zimne jak lód oczy spotkały się z błękitnym jak niebo spojrzeniem Brienne, wyraźnie uspokoił się. Ujął jej dłoń i pochylił się nad nią w dwornym ukłonie. Złożywszy na niej delikatny pocałunek, wyprostował się i powiedział:

– Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, Brienne. Culpepper nigdy by nie zdołał zniszczyć takiej doskonałości.

Rada, że udało jej się zażegnać burzę, Brienne zasiadła przy stole na krześle podsuniętym jej przez Avenela. Wszyscy zajęli miejsca i obiad upłynął w przemiłym nastroju. Wymieniono kilka niezobowiązujących uwag na temat balu, nikt jednak nie wspomniał lady Venetii ani jej ojca.

Avenel nigdy jeszcze nie był taki czarujący. Brienne zachwycała się jego urokiem i dobrym humorem.

Zanim się spostrzegli, świece wypaliły się do cna, a na kominku po ogniu pozostały jedynie żarzące się węgielki. Deser został podany i zjedzony, a oni ciągle siedzieli nad opróżnionymi do połowy kieliszkami, zatopieni w cichej rozmowie. I wówczas twarze Cumberlanda i Rose rozświetliły się szczególnym blaskiem. Cumberland wstał, miał widocznie coś ważnego do powiedzenia. Odchrząknął raz i drugi, po czym oznajmił:

– Jestem dziś wyjątkowym szczęściarzem. Mogłem cieszyć się towarzystwem dwóch niezwykle pięknych kobiet. – Unosił kieliszek w górę, składając w ten sposób hołd urodzie obu pań. Brienne prawie nie zwróciła na to uwagi, czekając z zapartym tchem na jego dalsze słowa. – Jedna z nich – mówił dalej Cumberland – w swej niepojętej skromności i łaskawości zgodziła się zostać moją żoną.

Uśmiechnął się, a Rose uniosła lewą rękę, ukazując pierścień, który jej podarował. Był to wielki, kwadratowy szmaragd, w którym migotały błękitnawe światelka. Brienne wydała okrzyk zachwytu. Wszyscy zerwali się z miejsc, wymieniając gratulacje i podziękowania. Avenel wysłał natychmiast lokaja do piwnicy po najlepszego szampana. Wkrótce posypały się toasty i zabrzmiał beztroski śmiech.

– Chcemy po ślubie udać się do Londynu. Jednakże – Cumberland odchrząknął z pewnym zmieszaniem – zważywszy napiętą sytuację w Osterley Park, nie zabawimy tam dłużej niż tydzień.

– Jestem pewna, że wrócimy tu jeszcze szybciej; będzie nam bardzo brakować was obojga.

Rose ujęła rękę Brienne i uścisnęła ją, potwierdzając w ten sposób niedawno zawartą przyjaźń.

– Wcale wam nie będzie nas brakowało! – zaśmiał się serdecznie Avenel. – Cóż za niemądre pomysły!

Wszyscy się roześmiali, Rose z wyraźnym zażenowaniem. Wkrótce dopito szampana, a Rose i Cumberland wstali od stołu, by przejść do salonu. Szli przodem, w pewnej odległości od Avenela i Brienne, pochłonięci bez reszty planami dotyczącymi wesela. Brienne spoglądała za nimi, po czym dotknęła leciutko ramienia Avenela, by przyciągnąć jego uwagę.

– Czego chcesz, dziki kwiatku? – Pochylił się ku niej i uśmiechnął z niezwykłą u niego bez troską.

– Oni chcą побыć trochę sami, Avenelu. – Ruchem głowy wskazała parę znikającą w drzwiach salonu. – Wrócę już chyba do swego pokoju.

Popatrzył na nią i pogłodził ją po ciemnorudych włosach. Spoważniał nagle, a słowa same popłynęły mu z ust.

– Bądź ze mną dziś w nocy, malutka. Przyjdź do mnie, pragnę dać ci radość. Nie mogę ci teraz niczego obiecać, ale... – przerwał, zobaczywszy jak posmutniały jej oczy, gdy wypowiadał ostatnie słowa. Dodał jeszcze: – Nie powinnaś tak patrzeć na mnie! Twoje oczy nie powinny żądać ode mnie tak wiele!

– Niczego od ciebie nie żądam.

Spuściła oczy. Nie patrzyła już w twarz Avenela tylko na skomplikowany deseń na jego idealnie dopasowanej brokatowej kamizelce.

– Nie wypowiadasz swych żądań słowami, a jednak... – Odjął ręce od jej włosów; opadły mu bezwładnie po bokach. – Idź więc! Wracaj do swego samotnego pokoju, a ja wrócę do mojego. Nie licz jednak na to, że zmienię zdanie. I nie bądź zdziwiona – dodał zagadkowo – jeśli to ty je zmienisz!

Spojrzała na niego pytająco, ale nie wyczytała nic z kamiennej twarzy. Odsunęła się więc i odwróciła, by odejść. Rozsądek podpowiadał jej jedno, ale serce (jak trafnie odgadł Avenel) mówiło zupełnie co innego.

## 16

**J**uż idę, idę! – wołała ze śmiechem Brienne.

Oddech wydobywał się jej z ust w postaci małych, mroźnych obłoczków. Przebiegła przez uśpiony ogród warzywny i skierowała się w stronę oczekującego powozu. Miała na sobie pelerynę obszytą futerkiem, pod nią zaś jedną ze swych najpiękniejszych toalet: liliową suknię z jedwabnej lustryny, haftowaną w bukieciki jasnożółtych kwiatów. Podkasała teraz spódnicę i pędziła po zwirowanym frontowym podjeździe tak, że niemal unosiła się nad ziemią. Rada, że jej fryzura jest zabezpieczona siateczką, przytrzymała jedną ręką zawadiacki kapelusik, przybrany jasnożółtymi atłasowymi wstążkami.

– Spóźnię się przez ciebie! – zawołała z wnętrza powozu Rose, promieniająca szczęściem i bardzo piękna w fałdowanej, białej pelerynie z gronostajów. Spod futra wyzierała ślubna toaleta Rose: lśniąca wierzchnia suknia w kolorze barwinku i kremowa spódnica z atłasu. Obie części stroju ozdobiono złoto-srebrnym haftem.

Gdy Brienne dobiegła do powozu, lokaj pomógł jej wsiąść. Kiedy już znalazła się we wnętrzu, bardzo ostrożnie złożyła na kolanach Rose bukiet z umiejętnie przyciętych gałązek kwitnącej pomarańczy.

– Jakie piękne! Ty doprawdy myślisz o wszystkim, Brienne! – wykrzyknęła Rose i wzięła do ręki kwiaty, starannie przewiązane białą, atłasową wstążką. Wdychała upojny zapach, który rozszedł się po wnętrzu lakierowanego powozu Avenela. Podniósłszy głowę znad kwitnących gałązek, powiedziała:

– Nie mogę wprost uwierzyć, że te stare drzewka pomarańczowe w oranżerii znowu zakwitły!

– To był ich święty obowiązek. Każdej pannie młodej należą się w dniu ślubu świeże kwiaty!

Brienne także pochyliła się ku kwitnącym gałązkom, które Rose podsunęła jej do powąchania.

– Jestem taka szczęśliwa! Nigdy nie przypuszczałam, że zaznam jeszcze takiej radości...

Rose wyglądała przez okno powozu, który przyjechał przez park, minął bramę i zdążył do małego kościółka w pobliskim miasteczku. Dzień był bardzo piękny. Na lazurowym niebie jaśniało oślepiająco złote słońce. Nawet twarda, skuta mrozem ziemia tajała w jego promieniach w dniu ślubu Rose.

Brienne westchnęła z niezwykłym ukontentowaniem i wróciła myślą do tygodni poprzedzających dzisiejszą uroczystość.

Spędziły z Rose wiele radosnych godzin, snując plany dotyczące tego dnia. Wieczorami wszyscy czworo: obie kobiety, Cumberland i Avenel spotykali się w galerii, by przy obiedzie omówić wszelkie niezbędne sprawy. Poza tym Brienne prawie nie widywała Avenela. Odbił on wraz z Cumberlandem kilka jednodniowych wypadów do Londynu, by kupić to i owo i poczynić wszelkie przygotowania do miodowego miesiąca. Po każdej takiej podróży Avenel był w świetnym humorze. Raz udało mu się skłonić Brienne do konnej przejażdżki. Uśmiechnęła się w duchu, wspominając dzień, w którym po raz pierwszy dosiadła znów Królowny. Avenel czuwał nad nią i nad klaczą oraz udzielał wskazówek. Gorącą dłonią objął nogę Brienne w kostce, pomagając jej wetknąć stopę w strzemień; potem, jakby zawstydzony, burknął, że tak ma ją trzymać, bo napyta sobie biedy. Brienne starała się zachować skromnie, jak przystało na przyzwoitą pannę, i nie patrzeć na niego, ale nic to nie pomogło. Jej uczucia do Avenela potęgniały z każdym dniem i nie miały nic wspólnego z dziewiczą skromnością. Były zarazem straszne i cudowne... i coraz trudniej było się im oprzeć.

Siedząc w powozie obok panny młodej, Brienne zastanawiała się nad przyszłością. Gorąco pokochała Cumberlanda i Rose, ale trochę im zazdrościła, że dotarli już do bezpiecznej przystani. Ona sama – jak daleko sięgała pamięcią – nigdy nie zaznała całkowitego bezpieczeństwa. Miała wrażenie, że od urodzenia błąka się po ogrodowym labiryncie i każda ścieżka prowadzi ją znów do wnętrza tej pułapki; nie może w żaden sposób wydostać się na zewnątrz.

Powóz zatrzymał się przed głównym wejściem do kościoła, gdzie czekali już Cumberland i Avenel. Wszyscy niemal członkowie parafii, którzy słyszeli zapowiedzi, zjawili się teraz, by życzyć państwu młodym szczęścia. Przepuściwszy przodem małeńki ślubny orszak, życzliwi obserwatorzy wtargnęli do kościoła, zajmując wszystkie ławki. Kiedy jednak rozpoczęła się ceremonia ślubna, zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Avenel stał obok Cumberlanda i nie odrywał oczu od Rose, która w swoim szczęściu nieprawdopodobnie odmłodziła. Brienne domyśliła się, że patrząc na Rose składającą przysięgę małżeńską Avenel ma przed oczyma inny ślub, który odbył się przed dwudziestu laty. Poczwała nagle, że musi odwrócić od niego oczy; lękała się ujrzeć właśnie dziś tamto oskarżycielskie spojrzenie. Wkrótce jednak poczuła na sobie jego wzrok i wbrew woli popatrzyła w jego stronę. Spodziewała się wyczytać z jego twarzy potępienie, ale było w niej tyle jawnej tęsknoty, że nie mogła oderwać oczu. Trwała tak przez długą chwilę, przykuta jego zniewalającym spojrzeniem, pełnym nieskrywanych uczuć, których na ogół nie ujawniał.

Ceremonia wkrótce się skończyła, a obezwładniający Brienne czar rozwiął się w charakterystycznej dla ślubów atmosferze, pełnej łez i uśmiechów. Rose i Cumberland – teraz już mąż i żona – zdążyli jeszcze uściskać Brienne, nim obstał ich tłum, pragnący złożyć młodej parze życzenia. Proboszcz pospiesznie zaprosił całą czwórkę na kieliszek wina na plebanii. I nim Brienne się obejrzała, Rose i Cumberland siedzieli już w nowym powozie, który miał zawieźć ich do Londynu.

– Opiekuj się nim, Brienne! – powiedziała Rose, mają oczywiście na myśli Avenela. – Bywa czasem zbyt sztywny... musisz go rozruszać, skłonić do śmiechu!

Pochyliła się ku Brienne i ucałowała ją w policzek. Potem, nie puszczać ręki męża, przytknęła drugą dłoń do policzka Avenela. Brienne usłyszała, co mu przy tym szepnęła.

– Wybaczylam jej, Avenelu. Dziś jestem taka szczęśliwa, że wybaczyłabym chyba nawet jej ojcu!... Dam ci pewną radę, kochany: zapomnij o przeszłości! Nam się to udało, uda się i tobie. Inaczej nigdy nie znajdziesz spokoju.

Z tymi słowami odjęła rękę od jego twarzy. Cumberland niecierpliwie dał znak stangretowi i ruszyli.

Pozostała dwójka machała im na pożegnanie, póki powóz nie zmienił się w maleńką plamkę na horyzoncie. W końcu Avenel powiedział:

– Chyba żadne z nich nie mogło dokonać lepszego wyboru.

– Mają wielkie szczęście, że odnaleźli się nawzajem.

Brienne spojrzała na niego z powagą swymi fiołkowymi oczami. Przyglądała się jej, marszcząc brwi. Wyglądał dziś na znacznie więcej niż trzydzieści cztery lata. Być może sprawiły to trapiące go wspomnienia – pomyślała Brienne.

Duża ręka Avenela objęła cieniutką talię Brienne; chciał ją podsadzić do powozu. Odwróciła się do niego i powiedziała:

– Taki dziś piękny dzień, Avenelu! Wolałabym wrócić do domu spacerkiem.

– Chcesz się przejść? – Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Pochylił nisko ciemną głowę, by widzieć wyraźniej jej twarz. – Niestychane! Dama nie boi się zbrukać atlasowych pantofelków na błotnistej drodze?

– Od tak dawna nie wyszłam poza bramę Osterley Park... Myślałam... – zaczęła się usprawiedliwiać, ale położył jej palec na ustach, nim powiedziała coś więcej.

– Nie musisz mi się tłumaczyć ze swoich dziwactw, Brienne! Aristokracja znana jest z ekscentrycznych zachcianek. – Popatrzył na chłodny błękit nieba i uśmiechnął się czarująco. – Poza tym sam miałem na to ochotę, tylko nie chciałem cię przymuszać. – Wziął Brienne za rękę i roześmiał się, gdy rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Ty?! Nie chciałeś mnie przymuszać? – zawołała kąśliwie, gdy kroczyli przez senne miasteczko. – To tak, jakby król Henryk VIII klarował którejs z żon, że nie uznaje rozwodów!

– Cicho, rozpuszczona smarkulo! Czas, żebyś się nauczyła szacunku dla starszych, zwłaszcza gdy są dla ciebie tacy uprzejmi!

Zrobił groźną minę, ale dziewczyna zaczęła beczelnie chichotać, dostrzegłszy wesołe błyski w jego oczach.

Byli już prawie na skraju maleńkiego miasteczka; oboje zwolnili kroku. Zdali sobie sprawę, że ich wspólny spacer dobiega końca. Chcieli jeszcze przez chwilę radować się swym towarzystwem, nim dotrą do Osterley i znów wyrośnie między nimi mur. Idąc bardzo wolno drogą, spotkali nieśmiałą dziewczynę w ciemnoniebieskiej sukni z samodziału. Brązowe, nijakie włosy były porządnie spięte w ciasny koczek; zakrywał je kapelusz z opadającym rondkiem. Twarz dziewczyny była jasna i czysta.



– Mam wrażenie, że ona stara się zwrócić twoją uwagę, Avenelu – powiedziała Brienne, pociągając go bezceremonialnie za rękaw. Uśmiechnęła się do ubogiej dziewczyny, a ona odpowiedziała jej uśmiechem, ukazując rzadkie zęby.

– Dzień dobry, panno Jill! – Avenel popatrzył na drobną, chudą dziewczynę, która zaczerwieniła się po uszy i zaprosiła gestem ich oboje do budyneczku, przed którym właśnie stali. – Dobrze panienka dba o swą podopieczną? – spytał ją znowu, gdy wchodzili do krytej strzechą chaty. Dziewczyna poważnie skinęła głową i znowu się uśmiechnęła.

Stojąca przy boku Avenela Brienne dostrzegła starą kobietę siedzącą w mrocznym wnętrzu pozbawionej okien, glinianej chaty. Gdy ta odwróciła się w stronę otwartych drzwi, w padającym stamtąd świetle Brienne ujrzała jej twarz i omal nie krzyknęła. Starucha wyglądała jak wiedźma z koszmarnego snu. Nos i brodę pokrywały brodawki ze sterzczącymi siwymi włoskami. Kiedy się uśmiechnęła, z bezkształtnych, bezzębnych ust pociekła ślina. Przyzwyczajawszy się do ciemności, Brienne dostrzegła również, że oczy wiedźmy są nienaturalnie białe, zapewne była ślepa.

– Jak się pani dziś miewa, pani Blake? Widzę, że mamy już nowy dach! – odezwał się Avenel głośno, wymawiając wyraźnie każde słowo. Nie krzyczał jednak, jak to robi wielu w rozmowie ze starymi ludźmi.

– A jakże! Taki dach to prawdziwe szczęście: teraz mi suchutko i ciepło. – Starucha roześmiała się, z kącika ust znów pociekła ślina. – Może pan siądzie koło mnie? Podziękuję za dach choćby napitkiem!

Pani Blake machnęła ręką w stronę wiszącego nad ogniem wielkiego czarnego kotła, w którym coś się pichciło. Dziewczyna imieniem Jill, która dotąd się nie odezwała, podeszła do kociołka i zamieszała gotujący się w nim płyn. Potem zaczerpnęła go i nalała do glinianych kubków, częstując uprzejmie najpierw Brienne, potem Avenela. Wykonawszy tę czynność, dygnęła i skryła się w jakimś ciemnym kącie.

Brienne zerknęła niespokojnie na Avenela, on jednak stał przy kominie, popijając napój czarownicy. Nie chcąc jej urazić, Brienne ostrożnie skosztowała trunku, mając nadzieję, że go przełknie. Zdumiała się jednak, odkrywszy, że poczęstunek jest bardzo smaczny! Był to jablecznik z dodatkiem świeżej śmietanki i jakichś tajemniczych przypraw. Po chwili Brienne piła go z prawdziwą przyjemnością.

– Nie jest pan sam, lordzie Oliverze? – spytała stara pani Blake.

Zaskoczona Brienne szepnęła do Avenela:

– Czemu ona cię tak tytułuje?

Avenel potrząsnął głową, nakazując jej milczenie, i odpowiedział staruszce:

– Jest ze mną młoda dama, pani Blake. Przybyła z kolonii w Ameryce.

– Pewnie ładna, co? Zawsze się pan znał na kobietach, lordzie Oliverze. Dobrze pamiętam! – starucha znowu się roześmiała.

– Wyprowadź ją z błędu, Avenelu! – szepnęła Brienne. – Jak możesz pozwolić, żeby cię nazywała tym zniechęcającym imieniem?!

– Chodź no tu, dziewczyno! Chcę cię zobaczyć, a mogę tylko palcami – skinęła na nią pani Blake.

Brienne obejrzała się ze strachem na Avenela; uspokoił ją spojrzeniem. Podeszła więc lekko do starej kobiety i przyklękła obok niej. Powykrzywiane palce dotknęły jej twarzy, badając uważnie rysy Brienne. Potem staruszka schwyła jeden z loków dziewczyny i spytała zwracając się w tę stronę, skąd dobiegał do niej głos Avenela.

– Jaki to kolor?

– Ciemnorudy, bardzo niezwykły. Nigdy jeszcze takiego nie widziałem.

Avenel wpatrywał się we włosy Brienne. Karmazynowe światełka błyskały na nich nawet w słabym świetle żarzących się węgla.

– Nie oszukuj starej kobiety, mój panie! Ta dziewczyna nie jest z żadnych kolonii! Wiem, kto to taki! – Pani Blake wypuściła z ręki włosy Brienne. – Jej oczy też są bardzo piękne i osobliwe. – Zwróciła się do samej Brienne. – Takiej jak ty, moje dziecko, niełatwo zapomnieć. Jesteś z Osterley, od tego fałszywego!

– Od pana Slane'a? – spytała Brienne, nie otrzymała jednak odpowiedzi. – Lorda Olivera już tam nie ma...

Próbowała wytłumaczyć wszystko starej, zdezorientowanej kobiecie, ale Avenel wziął ją za ramię i pomógł wstać z podłogi.

– Musimy już iść – oznajmił. – Jeśli będzie pani czegoś jeszcze trzeba, proszę przysłać dziewczynę do dworu.

Trzymając Brienne nadal za ramię, wyprowadził ją z chaty, zanim zdążyła podziękować obu kobietom za poczęstunek.

– Czemu wyszliśmy tak nagle? – dopytywała się Brienne, gdy szli szybkim krokiem w stronę Osterley Park

Avenel milczał, póki nie znaleźli się w bezpiecznej odległości od pani Blake. Wówczas odwrócił się i popatrzył na kryty strzechą dach odległej już chaty.

– Całkiem porządny, nie uważasz? – powiedział, jakby nie słyszał pytania Brienne.

Stał, wpatrując się w gęsto posyty słomą dach. Strzecha w niektórych miejscach miała prawie metr grubości. Złocisty dach opadał stromo w dół. Były w nim dwa okienka.

– Cóż mnie obchodzi dach?! Brutalnie przerwałeś mi, kiedy próbowałam pomóc tej biednej starowinie! Pani Blake nie ma pojęcia, co się wokół niej dzieje! Jak mogłeś nie wyprowadzić jej z błędu?!

– Ona jest stara, Brienne, i wszystko jej się pokręciło. Do szczęścia nie trzeba jej wyjaśnić, tylko ciepłej chaty i ludzkiego towarzystwa. Innej pomocy nie potrzebuje.

Chwycił ją znów za ramię i ruszył szybkim krokiem, nie pozwalając Brienne nacieszyć się wyjątkowo pięknym zimowym dniem.

– Więc odpowiedz mi na to: kiedy pani Blake dotknęła mojej twarzy, czy rzeczywiście mnie poznała, czy znów ją zawiódł biedny, zmacony umysł? – dopytywała się Brienne natarczywie, coraz bardziej zła na Avenela za jego pozorny brak zainteresowania.

– Omyliła się.

– Ach, omyliła się! Oczywiście! W Osterley jest tyle kobiet o włosach takich jak moje, z moimi...

– Twoja ciekawość wpędzi cię kiedyś w kłopoty, Brienne! Nie dopatruj się we wszystkim jakichś tajemnic! – przerwał jej.

Brienne czuła, jak rośnie w niej bezsilny gniew. Kiedy weszli już przez bramę na teren Osterley Park, spróbowała z innej beczki:

– To ty zatroszczyłeś się, by pani Blake miała nowy dach?

Usłyszawszy potwierdzający pomruk Avenela, ciągnęła dalej: – Spełniłeś dobry uczynek! – Przebiegłość jej rosła. – A może chciałeś jej się za coś odwdziaczyć?... Ta staruszka uważa cię za Morrowa. Bez wątplenia jest bardzo lojalna wobec mojej rodziny i mogła ci udzielić cennych informacji, nawet jeśli jej umysł jest zmacony!

– Postarałem się o nowy dach, bo bardzo go potrzebowała. Jest ślepa i samotna. Głupio bym się czuł, uczując co wieczór we wspaniałym dworze i wiedząc, że mieszkającej w pobliżu staruszce brakuje nawet porządnego dachu nad głową.

Zwolnił kroku, gdy mijali wrzecionowate jezioro.

– Czemu mówisz, że pani Blake jest samotna? Przecież ma tę dziewczynę, Jill, która się nią opiekuje!

Zwracała się nadal do niego uprzejmie, ale gniew ciągle w niej rósł. Kiedy Avenel znów się zatrzymał, była o krok od wybuchu. Czy on choć raz odpowie jej wprost na pytanie?! Zerwał się wiatr; Brienne otuliła się peleryną. To może jej ostatnia szansa, by wyciągnąć coś z Avenela, zanim zjawi się ojciec! Nie może zmarnować takiej okazji, tylko dlatego,

że się robi chłodno. Czekaając na odpowiedź Avenela, oparła się o pień bezlistnego wiązu.

– Jill opiekuje się nią od niedawna.

Avenel oparł rękę na pniu tuż obok ramienia Brienne. Spojrzał w jasne, błękitne niebo. Jego ciemne włosy załśniły w promieniach słońca.

– Pewnie i o dziewczynę do pomocy także się wystarałeś?...

Brienne przyglądała się Avenelowi, nieco skrzępowana jego bliskością. Pospiesznie odwróciła oczy, pełne beznadziejnego zachwytu, od imponującej męskiej postaci i patrzyła teraz w stronę jeziora.

– Rodzina Jill żyła w skrajnej nędzy. Jej rodzice są już starzy, a ich jedyna córka, Jill, nie miała żadnych szans na znalezienie pracy. Jest nie tylko niema, ale także nerwowa i zamknięta w sobie. Mimo to, jej rodzina była zbyt dumna, by żyć z jałmużny. – Popatrzył w dół, gdzie spod rozchylonej peleryny Brienne widoczne były atlasowe kokardki, przytrzymujące stanik sukni. Powoli, jakby w przystępie niewinnego roztrągnięcia, zaczął bawić się najniższą z kokardek, tuż obok brykli gorsetu. Mówił dalej, chcąc odciągnąć uwagę Brienne od tego, czym się zajmował. – Uznałem to za najlepsze rozwiązanie. Płacę Jill za opiekę nad staruszką, dzięki czemu dziewczyna jest teraz żywicielką rodziny.

– To był szlachetny czyn – przyznała niechętnie, ale uczciwie Brienne. Ciszej dodała: – Wiem, że hrabia nigdy by nie okazał tyle dobroci, w ogóle nie zwracałby sobie głowy sprawdzaniem, czy komuś czegoś nie brakuje...

Zapatrzyła się w zimne, szare wody jeziora. Szum uderzających o brzeg fal przypominał szelest taftowych falban.

– Życie Jill nabrało teraz sensu. Wystarczyło wskazać jej jakiś cel.

Avenel wpatrywał się kokardki na staniku Brienne. Gęste, czarne rzęsy trzepotały, gdy zerkał spod nich chytrze.

– Może więc i mnie podpowiesz, czemu mam się poświęcić, mój panie?... Bardzo by mi się przydał jakiś cel w tej próżni, w której egzystuję z winy was obu: ciebie i mego ojca.

Teraz naprawdę chciała usłyszeć odpowiedź Avenela, wyrwała więc z jego zbyt przedsiębiorczych rąk zwisające luźno wstążki. Z oburzeniem przekonała się, że wszystkie kokardki – prócz jednej – zostały rozwiązane. Niezręcznie usiłowała naprawić szkodę.

Avenel, który znów miał wolne ręce, w zamyśleniu potarł brodę.

– Cel twojego życia, malutka?...

– Jeśli ta biedna, zahukana dziewczyna zasługuje na to, by żyć z sensem, to chyba i ja też! – starała się panować nad głosem, ale w jej piersi kłębiło się tyle emocji, że ledwie mogła je powstrzymać. Podwójny rząd

kokardek wydawał się nie do ujarznienia, więc ze złością odrzuciła wstążki i stanęła twarzą w twarz z Avenelem. – Jesteś taki dobry dla ludzi, których masz wokół siebie... pomyśl choćby o tej Jill, o Vivie... Czy nie możesz także i mnie okazać odrobiny serca? Pozwolić mi odejść?... – Odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała mu prosto w oczy. Przysięgła sobie, że tym razem Avenel nie wywinie się jej bez odpowiedzi. Po spotkaniu z tą niemową może dostrzeże analogię między nimi równie jasno jak ona?... I może w końcu okaże, że jego uczucia dla niej są znacznie głębsze, niż przyznawał?...

– Masz przecież misję do spełnienia w Osterley, dziki kwiatku.

Poczuła w ustach gorzki smak zawodu. To niegodne, by tak ją wykorzystywał! Wydawało się, że króciutki okres narzeczeństwa i ślub Rose i Cumberlanda tworzą podatny grunt, na którym zakiełkują pomiędzy nimi choćby drobniutkie pędy wzajemnego szacunku... Tymczasem odżyła z nową siłą dawna, gwałtowna nienawiść. Avenel nie miał do niej ani krztyny ciepłych uczuć. Widział w niej wyłącznie użyteczne narzędzie do realizacji swych planów. Nawet dla biedoty z miasteczka miał więcej względów niż dla niej!

– A, rozumiem – powiedziała zimno i chciała odejść.

– Nic nie rozumiesz.

Chwyił ją za ramię i zmusił, by stanęła przy wiązcie, oparta plecami o pień. Oparł z całej siły ręce na pniu drzewa po obu stronach Brienne i zamknął ją w ten sposób jak w pułapce.

– Nie pozwolę się znów obmacywać!

Spojrzała na niego z buntem, ale Avenel tylko się uśmiechnął. Rozchylił zmysłowe wargi, ukazując białe, ostre jak u zgłodniałego wilka zęby.

– Już ci mówiłem, co jest twoim zadaniem. Daj mi szczęście. Taka powinna być twoja rola w Osterley.

– To obowiązek twojej żony, a nie mój! – zawołała, patrząc na niego z wściekością. Usiłowała odepchnąć muskularne ramię, postanowiła jak najprędzej wrócić do domu. Jednak Avenel nachylił się bliżej i udaremnił wszelki opór.

– Tak się składa, że nie mam żony. I chyba nigdy nie będę miał. Jakże więc będzie? – odparł szorstko. Było jasne, że opór Brienne rozzłościł go tylko i roznamiętnił. Opuścił głowę jeszcze niżej i zmusił Brienne do patrzenia mu prosto w oczy.

– Nie mogę ci dać szczęścia, sam najlepiej wiesz!

Usiłowała go odtrącić, choć im bliżej były usta Avenela, tym większym pożądaniem płonęły jej wargi. Próbując się wyrwać z klatki jego

ramion, przekonała się, że sprzeciw nie na wiele się zda. Wszelkie jej wysiłki były daremne, jeśli Avenel chciał udowodnić, że on tu jest panem.

– Możesz mnie uczynić bardzo szczęśliwym, kochanie – szepnęła, pokonując ostatni skrawek dzielącej ich przestrzeni.

– Nie chcę!...

Usta Avenela spadły na jej usta, żadna cząsteczka jej ciała nie ocalała przed jego naporem. Nim jeszcze Avenel przypuścił atak, Brienne wiedziała, do czego zmierzał. Wiedziała też, że w tym momencie powinna kopać, wrywać się i wrzeszczeć jak przekupka. Kiedy jednak kusicielskie usta Avenela szukały jej ust, własne ciało znów ją zdradziło: zareagowała na pieśczętę z dziką namiętnością, o której istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Nie wyobrażała sobie czegoś podobnego w najbardziej płomiennych marzeniach!

Avenel domagał się, by pożądała go równie mocno jak on jej. Pod tym drapieżnym pocałunkiem Brienne ogarnęło niepojęte pragnienie, by nie tylko ulec jego żądaniom, ale przewyższyć jego wszelkie oczekiwania. Zamiast więc szamotać się, pozwoliła, by ręka Avenela wtargnęła pod jej pelerynę. Silne, zwinne palce rozwiązały ostatnią kokardkę stanika. Brienne wydała długie, płomienne westchnienie, gdy jego ręka wślizgnęła się do wnętrza stanika i zamknęła na jej piersi, nadal osłoniętej jedwabnym gorsetem. W nowym przyplwywie namiętności całował tak zachłannie jej usta, że aż przygniótł ją całkiem do drzewa. Kapelusz spadł jej z głowy, siatka do włosów podarła się na szorstkiej korze. Brienne jednak wcale o to nie dbała.

Jej ręce bezwstydnie uniosły się ku jego twarzy. Policzki Avenela były szorstkie i twarde; przez mózg przemknęła jej niewiarygodnie błaha myśl: „będzie musiał ogolić się jeszcze raz przed obiadem”. Słyszała jego przyspieszony oddech, czuła pieśczętę kciuka na swej piersi i zdrząła, gdy wrażliwy sutek naprężył się. Wsunęła ręce pod ciepły płaszcz Avenela. Ona również pragnęła dotknąć jego piersi – twardej, szerokiej, owłosionej. Jej ręce nieśmiało i niezręcznie torowały sobie drogę przez warstwy ubrania: kamizelkę, chustkę na szyję, wreszcie koszulę. Pociągnęła za wiążące ją tasiemki i natychmiast trud jej został nagrodzony: dotknęła pokrytej lekkim meszkiem piersi. Ogarnięta nagłym, niepojętym szaleństwem wodziła palcami po jego muskularnym torsie. W tej chwili marzyła tylko o tym, by ujrzeć Avenela nagiego i poznać dotykem każdą cząsteczkę jego atletycznego, wykutego z żelaza ciała.

Poczuła pod dłonią jakiś metalowy przedmiot. Mosiężny kluczyk sam trafił jej do rąk; odruchowo pociągnęła go. Avenel poczuł, że napi-

na się otaczająca jego szyję wstążeczka. Oderwał usta od warg Brienne i czekał na jej słowa.

– Avenelu... – szepnęła, z trudem chwytając oddech; oczy jej pociemniały od namiętności. – Czy nie moglibyśmy zapomnieć o tym szaleńczym planie?... Czy to naprawdę niemożliwe? – Wyciągnęła ku niemu mosiężny klucz. Wiedziała, że Avenel wyczuwa każde drgnienie jej serca; jego ręka spoczywała nadal na jej piersi. – Oddaj mi go! Oddaj z dobrej woli, a uczynię cię bardzo szczęśliwym. Przysięgam!

Zapadła cisza, jakby Avenel rozważał jej propozycję. Po chwili jednak zdecydowanie potrząsnął głową.

– Nie mogę zwrócić ci wolności.

– A jeśli dam ci to, o co prosisz? – targowała się, czując rozczarowanie, że do tego doszło. – Jeśli spędzę dzisiejszą noc w twoim łóżku?...

– Więc po cóż zwlekać z tym aż do nocy?

Pochylił znów głowę i miłosne szaleństwo rozpełtało się od nowa. Całował teraz szyję Brienne, jego usta sunęły coraz niżej, aż dziewczyna zadrżała z rozkoszy.

– A wtedy oddasz mi mój grzebień? – spytała bez tchu, wczepiając palce w jego ciemne włosy. Swymi pieszczotami doprowadzał ją do szaleństwa. Myśli jej się płatały, sama już nie wiedziała, czego chce. Potrząsnęła głową i oprzytomniała na tyle, by zapytać go znowu: – A wtedy oddasz mi mój grzebień?

– Być może – odparł z rezerwą. W jego głosie był niemal niedostrzegalny fałsz. Brienne natychmiast zeszytniała i wyciągnęła rękę z jego włosów.

– Być może tak, być może nie... Nieprawdaż, panie Slane? – zawołała z goryczą i zepchnęła jego rękę ze swej piersi. Czując większą pustkę i niezaspokojenie niż kiedykolwiek dotąd, rzuciła ostro: – Już to widzę: spełnię wszystkie twoje życzenia, a potem ty odmówisz mi zapłaty! Wielka szkoda, że spędziliśmy ze sobą tyle czasu, bo teraz potrafię poznać, kiedy kłamiesz! Ty podlec!

– Kłamię czy nie... jakież to ma znaczenie? Nie masz wyboru, musisz przyjąć moje warunki – rzucił oschle.

– Nigdy!

Próbowała zawiązać stanik. Czowała na twarzy palący rumieniec upokorzenia.

– Godna podziwu pogarda, lady Brienne! Szkoda, że przed chwilą nie czułaś takiej odrazy.

Schwycił ją za ręce i zmusił, by je opuściła.



– Nienawidzę cię! Nienawidzę twego domu! Nienawidzę twoich pieszczot i pocałunków!

Patrzyła na niego jak na śmiertelnego wroga.

– Czy mam ci udowodnić, że wcale tak nie jest?

Poczuła jego oddech na swych wargach.

– Nie!

Znalazła nagle dość siły, by mu się wyrwać. Potykając się, odbiegła od drzewa. Patrzyła, jak Avenel próbuje ją przywabić mosiężnym kluczykiem i jak z rozmysłem chowa go znowu pod koszulę, gdzie nie mogła go już zobaczyć.

– Nienawidzę cię! Słyszysz?! Nienawidzę tego klucza i wszystkiego, co symbolizuje! A z boską pomocą niedługo znenawidzę cię do reszty!

Odskoczyła jeszcze dalej, pochwyciła kapelusz i siatkę do włosów, które spadły podczas sceny pod drzewem. Odwróciwszy się na pięcie, pobiegła w stronę widocznego z daleka wielkiego domu. Sama nie wiedziała, czemu jej tak śmiertelnie smutno.

Kiedy dotarła do schodów przed domem, dostrzegła jakiś nieznaną powóz, który zatrzymał się właśnie przed stajnią, niemal poza zasięgiem jej wzroku. Biegając jednak przez portyk i przez dziedziniec, Brienne nie myślała wcale o tym, jakie wrażenie sprawi na gościach.

– No, no! Otóż i mała kuzynka z Ameryki!

Głos lady Venetii Culpepper rozległ się głośnym echem w hallu, gdy córka hrabiego wraz z księżną Hardington wkroczyły tam z galerii. Venetia była piękna w spacerowej sukni z jedwabiu o barwie białego wina. Zmierzyła wzrokiem każdy szczegół stroju Brienne, od kawałków kory w rozwichrzonych włosach do rozwiązanych kokardek przy staniku. Wściekła, niemogąca wykrztusić słowa Brienne dostrzegła Avenela, który wpadł do domu tuż za nią. Nie spojrzawszy nawet na starszych lokajów, rzucił swój płaszcz na jeden z ozdobionych spiralnym ornamentem taboretów. Spojrzał na Brienne z taką wrogością jak nigdy dotąd.

– Nie życzę sobie więcej takich wybryków! – ryknął. – Jak się to powtórzy, gorzko pożałujesz!

– A więc przygarnięta sierotka okazała się niewdzięcznicą? – Venetia postąpiła naprzód. Avenel zauważył wreszcie obecność dwóch dam i z wysiłkiem oderwał oczy od Brienne. – Po tym wszystkim, coś dla niej zrobił!... No, no!

Venetia rzuciła Brienne złośliwe spojrzenie, które ześlizgnęło się z pogardą po rozpiętym staniku. Brienne jednak przysięgła sobie, że za-

wiąże kokardki dopiero wówczas, gdy znajdzie się daleko od tej przeklętej baby. Lady Venetia nie będzie miała przyjemności oglądać jej zażenowanej miny!

– Lady Venetio... Księżno pani... – Avenel powitał niezbyt uprzejmie nieproszonych gości.

– Postanowiłyśmy cię odwiedzić, Avenelu. Chyba jednak zjawiamy się nie w porę.

Księżna spojrzała drwiąco na Brienne i wygładziła skromnie szafirową spódnicę.

– Zechciejcie panie przejść do salonu. Za chwilę służę – odparł Avenel, po czym z pozornym spokojem położył żelazną dłoń na ramieniu Brienne i zwrócił się do niej stanowczym tonem. – Brienne, idź na górę do swego pokoju.

Zakipiał w niej bunt i wyrwała ramię z jego uścisku.

– Nie pójdę! – oświadczyła, wysuwając buntowniczo brodę.

Mięsień w policzku Avenela zaczął drgać nerwowo.

– Natychmiast na górę! Dam tu sobie radę bez ciebie.

– Nie pójdę! Nie jestem dzieckiem i nie zniosem...

Odebrało jej mowę: Avenel przerzucił ją sobie niedbale przez ramię i usunął z hallu jak zbyteczną statuetkę.

– Tyranie! Łotrze! – wrzeszczała Brienne, odzyskawszy głos w korytarzu na piętrze. Waliła pięściami w twarde, muskularne plecy Avenela. – Nigdy ci nie wybaczę tego upokorzenia! Słyszysz?! Nigdy! – Zagryzła wargi w bezsilnym gniewie.

– Nie życzę sobie takich awantur przy Venetii! – syknął gniewnie. – Dała mi wyraźnie do zrozumienia, że pragnie się zemścić za swe upokorzenie podczas balu. Myślisz, że nie ucieszyłaby się, odkrywszy przyczynę twego pobytu w Osterley Park? Ona odegrałaby się na mnie, a Culpepper ściągnąłby tu raz-dwa twój ojca, by się o ciebie upomniał!

W sypialni rzucił bez ceremonii dziewczynę na przykryte indyjską narzutą łóżko i wyszedł bez słowa.

– Boisz się plotek, co?! Księżna Hardington rozpowie jeszcze wszystkim, że poniżasz się, romansując z kimś takim jak ja!

Z zajądłością niegodną prawdziwej damy Brienne nie ograniczyła się do wykrzykników, lecz chwyciwszy pierwszą lepszą porcelanową figurkę, rzuciła nią w zamknięte drzwi. Pozwoliła, by sercem jej owładnął wściekły gniew, urażona duma i – co gorsza – zazdrość.

**B**ył już prawie marzec, nim zaczęto wyglądać powrotu Cumberlanda i Rose z Londynu. Brienne zachowywała się jak żołnierz podczas kampanii wojennej; zносиła dzielnie trudy każdego dnia, czekała tylko jego końca i bez entuzjazmu witała następny świt. Avenel większość czasu spędzał na końskim grzbiecie, objeżdżając swą posiadłość. Próżniak bardzo rzadko stał w swoim boksie. Jeśli zaś Avenel przypadkiem siedział w domu, Brienne wołała nie ruszać się ze swego pokoju. Siedząc przy kominku, piła herbatę, starając się nie zwracać uwagi na odgłos kroków, dobiegający z położonej pod jej sypialnią biblioteki i na przekleństwa, rozlegające się w hallu. Ostatnio Avenel był przeważnie w złym humorze i łatwo wybuchał gniewem na widok niedbałego lokaja lub niezdarnej pokojówki.

Z otchłani nudy wyratowała Brienne nowo nabyta umiejętność jazdy konnej. Podobnie jak Avenel odbywała regularne przejażdżki. Każdego popołudnia wyruszała na grzbiecie Królowny. Choć w zasadzie nie wolno jej było jeździć bez stajennego, odczuwała ogromną ulgę galopując jak szalona po polanach i łąkach, przeskakując po drodze walące się kamienne ogrodzenia.

Była właśnie na konnej przejażdżce, gdy dostrzegła w oddali wbiegającego do lasu Orillona. Biała sierść psa odcinała się wyraźnie od złotawej leśnej podściółki i od oświetlonych słońcem wiecznie zielonych iglaków. Obecność psa zwiastowała, że jego pan znajduje się w pobliżu. Brienne zakipiała gniewem, gdy istotnie ukazał się i narzucił jej swe towarzystwo. Po kilku minutach jazdy w kompletnym milczeniu zwróciła się do Avenela zgryźliwym tonem.

– Nie mam ochoty być dłużej „kuzynką z Ameryki”! Ta kobieta – jej spojrzenie i ton mówiły wyraźnie, że ma na myśli lady Venetię – sprawiła, że czuję się w tej roli jak nieokrzesana chłopka!

– Chcesz powiedzieć, że przedtem nie miałaś nic przeciwko temu, by uważano cię za Amerykankę?

Avenel podjechał jeszcze bliżej i popuścił cugli, pozwalając gniadoszowi rzucać głową i brykać pod samym bokiem Brienne.

– Skądże znowu! Amerykanie to prostaki, gbury...

– Zapewniam cię, kochanie, że nie wszyscy są tacy jak ja!

Avenel roześmiał się i spróbował ściągnąć kapelusik z aksamitu, który Vivie z takim staraniem osadziła na lokach swej pani. Brienne pospiesznie odskoczyła w bok. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że nużą ją idiotyczne wybryki Avenela.

Ten jednak – o dziwo! – zatrzymał nagle gnadosza i kompletnie znieruchomiał. Potem rzucił ostre spojrzenie do tyłu, jakby spodziewał się tam kogoś ujrzyć.

– O co chodzi? Czy tam ktoś jest? Już trzy razy...

Spojrzała na pas skórzanych spodni Avenela, za którym chował zawsze nabity pistolet. Ujrzała, że ręka w rękawicy drgnęła, jakby miał już wydobyć broń; zatrzymała się jednak. Avenel nosił również wielki, groźnie wyglądający nóż w cholewie prawego buta. Nie miał pojęcia, że Brienne wie o tych morderczych narzędziach; wypatrzyła je jednak pewnego razu, kiedy zbroił się w stajennym boksie. Zdumiała się: po co mu broń podczas niewinnych przejażdżek po okolicy? Avenel robił to jednak stale i Brienne przywykła już do widoku charakterystycznego wybruszenia.

– Chyba nikogo tam nie ma. – Odsunął od siebie podejrzenia, jak to już robił trzykrotnie. – Zwykle odgłosy lasu.

Uśmiechnął się i znów sięgnął ręką do jej zawadiackiego kapelusika. Brienne zignorowała tę próbę rozśmieszenia i wróciła do poprzedniego tematu.

– Cóż, Cumberland ma pecha, że jest Amerykaninem. Nie wmówisz mi jednak, że Rose czuła się dobrze w tym zakazanym kraju! Jest rodowitą Angielką, tak samo jak ja, i z pewnością była rada, że stamtąd wyjeżdża.

– Maryland nie wygląda wcale tak, jak sobie wyobrażasz. Pod wieloma względami przypomina angielską wieś: są tam równie starannie uprawiane pola i wiejskie dwory. Jest tam również miasto, noszące imię lorda Baltimore'a, a w nim wiele pięknych prywatnych rezydencji i gmachów publicznych. Tamtejsi stolarze artystyczni nie są gorsi od Johna Linnena, któremu Osterley zawdzięcza swe meble. – Avenel uśmiechnął się z pewnym roztargnieniem i dodał: – Pewnego pięknego dnia zabiorę cię tam i przekonasz się sama, że Stany Zjednoczone są znacznie mniej barbarzyńskie niż powiedzmy, walijskie *dinbych*, w którym wyrosłaś.

– Nigdy nie pojedę do Ameryki! – Brienne w odruchu buntu puściła Królową kłusem. Skoncentrowała się na odpowiednim ułożeniu stóp i rąk, zmusiła się także, by nie zwracać uwagi na Avenela.

– Ale do Tenby chętnie byś wróciła, prawda? Choć zostało już z niego rumowisko. Wolałabyś wrócić do tych gruzów niż zostać tu ze mną.

W głosie kłusującego obok niej mężczyzny zabrzmiała twarda nuta.

– Tenby to bardzo miłe miasteczko! Teraz wszyscy o nim zapomnieli, ale odżyje na pewno, będzie znów ładne! Czy to dziwne, że chcę wrócić do domu? – Zacisnęła mocno wargi, ale zwolniła biegu i przeszła

w stępa, by porozmawiać ze swym towarzyszem. – Jak odkryłeś, że mieszkałam w Tenby? Chciałam cię o to zapytać od tamtej nocy po balu. Nie mówiłam ci przecież, gdzie...

– Ktoś zebrał dla mnie informacje. Odkąd się przekonałem, że mówisz po walijsku, było to bardzo proste: wystarczyło popytać na stacjach dyliżansów. Na szczęście rzucasz się ludziom w oczy i pozostajesz im w pamięci.

Avenel również zwolnił.

– A ty? Ty także mówisz po walijsku. Jakim cudem?

– Moja matka pochodziła z Walii.

– Twoja matka? Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Mogłabym przysiąc, że nigdy nie miałaś matki!

Brienne patrzyła prosto przed siebie, obserwując Orillona, który nadal ich wyprzedzał, zapuszczając się coraz głębiej w las.

– Niezbyt długo się nią cieszyłem, to prawda. Założę się, że wyglądam na opuszczoną sierotkę!

Avenel roześmiał się. Wszystkie kąśliwe uwagi Brienne chybiały celu.

– Młodo umarła?...

– Owszem.

– Bardzo mi przykro. – Brienne zamilkła; po chwili rzuciła mu nieco zaczepne spojrzenie. – Mimo wszystko, brak macierzyńskiej opieki nie usprawiedliwia wszystkich twoich wad, grubianinie! – W żartobliwym nastroju miała znów ochotę pokłusować... choćby po to, żeby ją gonił. Nim to jednak uczyniła, obejrzała się na Avenela. Znowu się zatrzymał. – Tam nie ma nic ciekawego, Avenelu! Czego ty wypatrujesz? – spytała, nieco zaniepokojona jego zachowaniem. Zanim jednak zdążyła zadać mu następne pytanie, Avenel odpędził od siebie złe przeczucia i postanowił wykorzystać okazję: zerwał znienacka kapelusik z loków Brienne i pogalopował ze swą zdobyczą. – Ach, ty!... – wrzasnęła z furją za oddalającym się rabusiem.

Zmuszając Królową do tęgiego klusa, zapędziła się za Avenelem w leśną gęstwinę. Orillon zawrócił i biegł teraz razem z Próźniakiem, który poruszał się szybko i sprawnie. Gdy Brienne zrównała się wreszcie z Avenelem, pomachał jej przed nosem kapeluszem, prowokując ją wyraźnie do tego, by próbowała odzyskać swą własność. Kiedy jednak odwróciła się z najwyższą pogardą dla jego beczelnych machinacji, roześmiał się tylko i popędził konia.

Zapuscili się bardzo daleko od Osterley Park. Brienne nie знаła tej części lasu. Niebo zaczęło się chmurzyć i wkrótce cienie padające od

iglaków stały się smoliście czarne. Zrobiło się tak chłodno, że amazonka z serży nie chroniła Brienne dostatecznie przed zimnem.

– Twoje dziecięce psikusy ogromnie nas ubawiły – odezwała się Brienne, zatrzymując Królowną na niewielkiej polanie. – ...Ale chyba już pora wracać! Zaraz zapadnie noc, a ja nie mam zielonego pojęcia, jak trafić do Osterley.

Rozejrzała się po polance, odgarniając z oczu ciemne, rozwichrzone loki.

Avenel podjechał do niej.

– Masz rację! W dodatku zrobiło się zimno. Jest tu stary domek myśliwski. Trafię do niego, to bardzo blisko. Chyba byłoby rozsądniej zatrzymać się tam... i jakoś ogrzać.

W jego oczach dostrzegła srebrny błysk, gdy zatrzymał się u jej boku. Postanowiła zignorować jego nieprzystojną propozycję. Spojrzała w drugą stronę i mruknęła coś o ludziach, którym brak wychowania.

– Jak daleko stąd do Osterley Park, Avenelu? Nie jestem pewna...

Odwróciła się znów i oniemiała na widok jego twarzy. Orillon warknął groźnie; Brienne popatrzyła na psa: sierść na jego karku i grzbiecie zjeżyła się.

– Co się dzieje? – spytała z rosnącym niepokojem. Znów spojrzała na Avenela. Wszystkie mięśnie w jego ciele napięły się, ramiona uniosły. Gotował się do walki.

– Uciekaj! – rzucił jej pospiesznie, wyciągając pistolet zza pasa.

– Co takiego?

– Uciekaj! To twoja szansa! Uciekaj stąd, powiadam! Zwracam ci wolność!

Jego wzrok pobiegł ku ciemnej kępie iglaków koło polanki; tworzyły idealną kryjówkę. Wpatrywał się w nie z napięciem, mrużąc oczy.

– Avenelu, ja przecież nie mogę...

Usłyszała nagły huk: ktoś wystrzelił z zarośli, którym Avenel tak się przyglądał. Przerazone konie stanęły dęba; minęło dobrych kilka chwil, nim udało się je opanować. Zanim Brienne skłoniła Królowną do opadnięcia na wszystkie cztery nogi, Avenel chwycił także i jej cugle i zmusił oba wierzchowce do biegu – byle dalej od polany. Znaleźli w końcu prowizoryczne schronienie wśród ostrokrzewów. I wówczas Brienne spostrzegła, że twarz Avenela jest blada jak płótno. Niebawem pojęła, co było tego przyczyną. Strugi jaskrawoczerwonej krwi spływały na koński bok, a stamtąd na leśne poszycie.

– O Boże! Avenelu, jesteś ranny! – szepnęła Brienne, podjeżdżając do niego jak najbliżej.

– Uciekaj stąd, Brienne! – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

– Uciekniemy oboje, Avenelu! – przekonywała go.

Nie zważał jednak na jej słowa. Niespodziewanie pochwycił bicz i zaciął klacz po wrażliwym zadzie.

– Wynoś się stąd! – powtarzał, uderzając Królową raz po raz. Nie trudno było ją spłoszyć, ale jakimś cudem Brienne zdołała poskromić zwierzę i cofnąć się poza zasięg uderzeń.

– Nie mogę cię tu zostawić!

Wzdrygnęła się na widok krwi lejącej się ze zranionego uda. Rozległ się jeszcze jeden wystrzał. Orillon rzucił się jak szalony w gąszcz, gdzie z pewnością krył się wróg. Z zajadłego warczenia Orillona poznała, że pies jest rozwścieczony: zapach krwi Avenela, która splamiła białe psie futro, doprowadził zwierzę do szału.

– Brienne, to twoja szansa! Orillon wykończy tego bydlaka. Uciekaj! Może czają się tu inni...

– Masz rację. Kto wie, czy nie ma tu innych! No, w drogę! Wracamy do Osterley – przerwała mu Brienne. I tak by jej nie namówił do porzucenia go. Zerknęła na polanę – miejsce tragedii – i przeszedł ją dreszcz. Przeczuciwała, że za tę napaść odpowiedzialny jest jej ojciec. Odwróciwszy się do Avenela, ujrzała jak bardzo cierpi. Usiłował zacisnąć dłonią ranę i zatamować upływ krwi.

– Nie możemy tkwić bez końca w tych krzakach. Ten, kto do ciebie strzelał, z pewnością nas tu wypatrzy. Zbierz siły i jedź za mną. Wracamy do Osterley! – znów omiotła polanę przerażonym wzrokiem.

– Dobrze. Prowadź!

Chwycił się za nogę i zacisnął zęby. Brienne puściła Królową kłusem. Nie czekając na powrót Orillona zawrócili w stronę Osterley Park.

Przedzierali się przez mroczny las prawie pół godziny; wkrótce stało się jasne, że jeśli mają dotrzeć do Osterley, trzeba najpierw opatrzyć ranę Avenela. Ściekająca krew pozostawiała ślad na leśnym poszyciu, a rana, nawet przyciśnięta z całej siły dłonią, nie przestawała krwawić. Widząc w jak rozpaczliwym stanie jest Avenel, Brienne zebrała wszystkie siły. Serce skakało jej do gardła przy każdym dobiegającym z tyłu szmerze. Nawet szelest przemykających leśnych zwierząt rozlegał się niezwykle głośno w ciszy spowitego mrokiem lasu. Dodawała jej jednak odwagi myśl, że ujechali już kawał drogi, a dotąd nikt ich nie gonił. Miała nadzieję, że Avenel się nie mylił, a Orillon rozprawił się raz na zawsze z wrogiem.

– Avenelu, musimy chyba odpocząć – powiedziała. – Twoja noga...

– Wracaj do Osterley! Ja spędzę noc w myśliwskim domku.



Ledwo mógł mówić z bólu.

– Gdzie jest ten domek?

– Niedaleko. – Nieoczekiwanie podał jej swój pistolet. – Jest nabity, Brienne. Bierz go i jedź! Ale zrób coś dla mnie: powiedz w Osterley, by wezwali Cumberlanda z Londynu.

– Zaprowadź mnie do tego domku, Avenelu! Musimy sprawdzić, czy nie kryją się w nim zbiry mego ojca. Zatrzymamy się tam i wrócimy do Osterley jutro rano.

– Kwiatku... masz, czego chciałaś. Jesteś... wolna!...

Avenel był przekonany, że Brienne go nie zrozumiała.

– Gdzie jest ten domek? – Chciała rzucić to pytanie rozkazującym tonem, ale na widok poszarzałej twarzy Avenela zdobyła się tylko na szept. – Zrozum, proszę! Nie wrócę bez ciebie.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Potem doszedł widać do wniosku, że znacznie łatwiej będzie usłuchać Brienne niż ją przekonać. Wskazał głową kierunek.

– Jakies półtora kilometra stąd.

Zauważyła, że Avenel oddycha z trudem i kuli się z bólu. Obdarzyła go drżącym, spłoszonym uśmiechem.

– W porządku. Ruszamy!

W ciągu kilku minut dotarli do małego leśnego domku. Brienne zsiadła z konia i ruszyła ścieżką z pistoletem w garści. Nie bardzo wiedziała, jak się nim posługiwać, ale trzymała groźną broń przed sobą w nadziei, że ten widok odstraszy napastników. Za nią, ledwie widoczny w mroku, Avenel chwiał się w siodle.

Rozejrzawszy się pospiesznie dokoła, Brienne z ulgą stwierdziła, że od dawna nikt tu nie gościł. Podeszła do otwartych drzwi, stanęła w progu i zajrzała do mrocznego wnętrza.

I wówczas przeraziła się jak nigdy w życiu: z domku wyskoczył ku niej... duch na czterech nogach!...

– Boże świąty! – Nie wystrzeliła do zjawy tylko dlatego, że nie wiedziała jak to zrobić. I nagle rozplakała się z ulgi. – Orillon! Skąd się tu wzięłeś?!

– Był tu kiedyś ze mną – usłyszała za plecami głos Avenela. Zsiadł z konia, ale trzymał się nadal za zranioną nogę i był bliski omdlenia. – Uwiązałem konie. – Bełkotał jak pijany. Utrata dużej ilości krwi sprawiła, że mówił z wielkim trudem.

– To dobrze.

Brienne podeszła do niego, łagodnie objęła go ramionami i pomogła wejść do domku. Opanowała jakoś wstręt na widok dwóch wielkich

szczurów, gapiących się na nią z okiennego parapetu. Przy jednej z bocznych ścian dostrzegła siennik. Podprowadziła do niego Avenela i pomogła mu położyć się. Ranny jęczał przy każdym ruchu, a jej robiło się słabo na widok jego cierpień.

– Postaram się oświetlić izbę. I wtedy opatrzę ci nogę.

Zanim podeszła do pokrytego kurzem kominka, zamknęła na dwa spusty uczernione sadzą drzwi. Dreszcz ją przeszedł na myśl o tym, co... albo kto... czai się być może w ciemności za nimi. Zebrała jednak siły i pokonała strach. Musi być dzielna: nie ma innego wyjścia!

W jednym z kątów odkryła wśród pajęczyn stosik polan. Kilka z nich ułożyła na palenisku. Na gzymsie kominka znalazły się jakimś cudem hubka i krzesiwo; wkrótce na palenisku trzaskał już wesoło ogień. Dokonawszy tego, Brienne wróciła do rannego.

– Gdybym... – Przełknęła z trudem ślinę, patrząc na krew zakrzepłą na ręce, którą zaciskał ranę. – Gdybym ci sprawiła ból, mów od razu!

– Co za ironia losu: właśnie ty opatrujesz moje rany... – zauważył z posępnym uśmiechem.

Brienne w odpowiedzi uśmiechnęła się drżącymi wargami. Pochyliła się i ściągnęła z siebie dwie halki z cieniutkiego batystu. Podarła je na pasy, by zrobić z nich bandażę. W łagodnym blasku ognia wyjęła z buta Avenela nóż i rozcięła nim nogawkę zamszowych spodni. Trwało to bardzo długo, kiedy jednak noga była już na wierzchu, obandażowała ranę paskami batystu. Kula rozdarła mięśnie uda. Rana była paskudna i Avenel jęknął kilkakrotnie podczas opatrunku. Za każdym razem Brienne serce się ścisnęło. Gdy wreszcie skończyła, opuściła drżące ręce i z ulgą podeszła do kominka w nadziei, że ciepło ognia ukoji jej stargane nerwy.

Pogrzebała patykiem, by ożywić płomienie. Usłyszawszy za sobą jakiś szmer, odwróciła się nerwowo. Avenel przesunął się na brzeg siennika, pod samą ścianę. Poklepał wolne miejsce, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że powinna położyć się przy nim. Wpatrywał się w nią z niezwykłym napięciem. Zdawało się jej, że dostrzega w jego wzroku żalu... ale to przecież było niemożliwe!

– Jest za mało miejsca – szepnęła. – Mogłabym cię urazić w nogę.

– Jesteś taka malutka, kochanie! Nie zrobisz mi żadnej krzywdy, tylko mnie ogrzejesz.

I znów poklepał wolne miejsce na sienniku.

Brienne odeszła od kominka i powoli zbliżyła się do rannego. Niezręcznie, z oporami położyła się obok niego. Wkrótce zorientowała się, że jeśli zacznie się odsuwać, spadnie na podłogę. Avenel objął ją muskularnym ramieniem i skłonił, by oparła się o jego szeroką pierś. Nie-

bawem Brienne poznała po oddechu, że zasnął; od niej jednak sen uciekał. Wmawiała sobie, że to wina twardego siennika. W głębi serca wiedziała jednak, że to zmysłowe ciepło leżącego obok niej twardego, męskiego ciała nie pozwala jej zasnąć.

## 18

Christopher!

Nagły krzyk obudził Brienne; zerwała się z siennika. Choć ogień dawno zgasł i na kominku pozostały tylko żarzące się węgielki, była złana potem. Spojrzała na posłanie i odkryła przyczynę swego przerażenia. Avenel płonął wprost z gorączki.

– Uspokój się, proszę... – szepnęła do niego w ciemności.

Mając nadzieję, że Avenela trafi tylko zły sen, próbowała go obudzić. Ale wszelkie jej wysiłki okazały się daremne.

– Christopher!... O, mój Boże!...

Wykrzyknął imię brata z ogromnym, niewątpliwym bólem. Leżące na sienniku ciało zeszytywniało: Avenel przeżywał na nowo straszliwe wydarzenie, którego odbiciem był obecny koszmarny sen.

– Avenelu... Avenelu!

Dotknęła jego ramienia, z wahaniem przysunęła się do niego bliżej. Wówczas, ku jej zaskoczeniu, spojrział jej prosto w oczy. W myśliwskim domku było ciemno, ale Brienne dostrzegła, że jego jasnoblękitne źrenice są dziwnie szkliste. Przeraziło ją to.

– Coś ty za jedna? – spytał natarczywie; głos miał zdumiewająco silny.

– To ja, Brienne.

Odgarnęła mu z czoła wilgotne, czarne kędziory i zmarszczyła brwi, dotknąwszy rozpalonej skóry.

– Jakaś wieśniaczka?

Obrzucił wzrokiem jej zakurzoną, postrzępioną spódnicę i żdźbła słomy, które przyłgnęły do stanika. Brienne zawstydziała się. Otrzeпаła ubranie i odgarnęła opadające na twarz włosy.

– To ja, Brienne! Nie poznajesz mnie, Avenelu? – Jej oczy rozszerzyły się z niepokoju.

– Nie znam żadnej Brienne!... Ale wydajesz mi się dziwnie znajoma, dziewczuszko... – Uniósł jedną brew i wpatrywał się w nią z natężeniem.

– Jestem córką hrabiego – zaczęła, nerwowo zaciskając ręce. – Spokaliśmy się w Osterley Park. – Po chwili wahania spytała szeptem: – Nie pamiętasz?...

Schyliła głowę, próbując bezskutecznie ukryć oznaki niepokoju.

– Ty masz być córką hrabiego?! – Avenel wybuchnął szalonym śmiechem. – W tych łachmanach? Wątpię, czy ktokolwiek wzięłby cię za lady Venetię, choćbyś się nawet ubrała przyzwoicie!

– Wcale nie mówiłam, że jestem córką lorda Culpeppera! – odparła ostro. Spojrzawszy na rozgorączkowaną twarz Avenela, nieco zmiękła. – Bardzo mi przykro... jestem córką hrabiego Laborde'a.

– Ty? Córką hrabiego Laborde'a?! Przecież jesteś na to za stara!

Roześmiał się, jakby usłyszał znakomity dowcip. Próbował usiąść i wesprzeć się na niej; powstrzymała go łagodnie, ale stanowczo.

– Nie jestem taka znów stara. Może mój obecny wygląd cię zmylił.

Usiłowała go zmusić, by położył się znów na sienniku; odkryła jednak, że przeciwstawia się jej ze zdumiewającą siłą.

– Ileż możesz mieć lat? Co najmniej osiemnaście! – Roześmiał się głośno. – Jakim cudem hrabia mógłby mieć córkę w tym wieku?!

– Mam dziewiętnaście lat. Ale proszę, nie zwracaj sobie głowy takimi głupstwami. Powinieneś odpocząć... – Popchnęła go znów na sienник, zatrwożona jego majaczeniem.

– Głupstwami?!

– Dobrze już, dobrze... Wszystko będzie dobrze – zapewniała nie tyle jego, ile siebie. Avenel bredził jak szaleniec.

– Kłamiesz, dziewczuszko!

Usiadł całkiem prosto. Tak ją przestraszył, że aż odskoczyła.

– Nie. Chcę ci tylko pomóc!

– Więc ci na mnie zależy?... – Zwrócił na nią swe szkliste oczy. – Nie jesteś przypadkiem moją kochanką?

– Nie. – Głos uwiązał jej w gardle, ale przemogła się i przysunęła bliżej. – Powiedziałam ci przecież, kim jestem. To ja, Brienne!

Na wargach Avenela ukazał się półprzysłony uśmiech.

– Jesteś moją kochanką! Dobrze się nawzajem znamy.

Schwycił ją za rękę i czule, lecz stanowczo przyciągnął do siebie.

– Proszę cię, przestań! Jesteś ranny i chory. Nie można tak!

Zdołała mu się wyrwać. Obawiała się jednak, że sobie z nim nie poradzi, jeśli w tym stanie będzie próbował wziąć ją przemocą. Był silny, zdumiewająco silny, mimo rany i gorączki. Choć poruszał się z wysiłkiem, dziki płomień w jego oczach nie gasł.

– Przyznaj, że byliśmy kochankami! – nalegał, nie puszczać jej ręki. – Czuję, że bardzo cię pragnę. Nie powiesz chyba, że zostawiłem cię dotąd w spokoju!

Popatrzyła znów na niego i dostrzegła, że twarz mu mrocznieje. Z jakiegoś powodu bardzo mu zależało na potwierdzeniu, że są kochankami. Brienne postanowiła więc spełnić jego życzenie. Miała nadzieję, że to go zadowoli i uspokoi się.

– Nie, Avenelu. Nie zostawiłeś mnie w spokoju. Łączą nas pewne...

– A więc jestem twoim kochankiem! Powiedz to wyraźnie! – nalegał.

Brienne przez chwilę milczała; potem zmarszczyła w zamyśleniu czoło i zdecydowała się na kłamstwo.

– Jesteś moim kochankiem.

– A widzisz! – Zerwał się i chwycił ją potężnymi rękoma. – Więc kłamałaś: nie jesteś wcale córką hrabiego!

– Nie mam zwyczaju kłamać.

Przełknęła z trudem ślinę i spróbowała uwolnić się z żelaznych palców, które siniaczyły jej ramiona.

– Mój śliczny kłamczuchu! Jak moglibyśmy być kochankami, gdybyś była moją córką?! Ładny byłby ze mnie ojciec!

Opadł na siennik, wyczerpany ale triumfujący. Wyraźnie oczekiwał, że Brienne przyzna się do kłamstwa.

– Twoją córką?! Ależ nie jestem twoją córką, Avenelu! Przyjrzyj mi się: jestem na to o wiele za stara! – strofując go tak, ocierała mu spotniałe czoło ocalałym jeszcze kawałkiem halki.

– Sam to mówiłem... Kłamiesz i tyle – wymamrotał z wyraźnym znużeniem; oczy same mu się zamykały. – Nie jesteś córką hrabiego... Nie możesz być córką hrabiego... Przecież... hrabia Laborde... to ja...

Wyrzekłszy te słowa, Avenel zapadł znów w niespokojny sen. Brienne miała w głowie kompletny zamęt.

Gdy następnego ranka otworzyła oczy, minęło kilka minut, nim uprzytomniła sobie, czemu spędziła noc na twardym sienniku w jakiejś nędznej budzie. Zesztywniała i zmarznięta uniosła się na łokciu, ujrzała w mroku leżącego obok niej mężczyznę. Wówczas przypomniała sobie, gdzie się znajduje i co przytrafiło się jej i Avenelowi. Podeszła do kominka, roznieciła ogień. Potem otworzyła ostrożnie dębowe drzwi i ucieszyła się na widok siedzącego na progu Orillona. Ujrzawszy ją, pies zaczął machać ogonem, łomocząc nim o drzwi.

– Jesteś tutaj! Całkiem zapomniałam o tobie! – Brienne pochyliła się i pogładziła uspokajająco psią głowę. – Chodź, zobaczymy, jak się miewa pacjent!

Wstała i wpuściła psa do izby; potem z niepokojem podeszła do nędznego barłogu, skapanego teraz w pomarańczowym blasku wschodzącego słońca.

Jak sztywny i blady był leżący na słomie Avenel! Na sekundę serce zamarło Brienne w piersi: przestraszyła się, że już nie żyje. Jednak ku jej niewypowiedzianej uldze usta chorego poruszyły się w niezrozumiałym, gorączkowym szepcie.

– Avenelu?... – dotknęła jego ramienia.

– Ja... umarłem?... – wyszeptał spękanymi wargami i uniósł głowę. Oczy miał nadal szkliste, ale trawiące go w nocy szaleństwo chyba ustąpiło.

Brienne uśmiechnęła się do niego ze znużeniem i odparła cicho:

– Skądże znowu!

Westchnął i opadł znów na siennik.

– To dobrze...

– Bardzo cię boli?

Potrząsnął głową.

– Nie wiem, jak tego dokonamy, Avenelu... Ale musimy wrócić do Osterley Park.

Delikatnie otarła mu czoło.

– Rozumiem... Idź po konie.

Przymknął oczy, zbierając siły przed czekającą go ciężką próbą.

– Zaraz wracam.

– Brienne? – zawołał nim zdążyła wyjść.

– Tak?

– Weź broń.

– Tak, oczywiście.

Przycisnęła do piersi pistolet z orzechową rękojeścią.

Było już późne popołudnie, gdy wrócili do Osterley Park. W połowie drogi rana Avenela zaczęła znów krwawić. Nim dotarli do granic dworskiego parku i dostrzegli ich stajenni, Avenel stracił niemal przytomność z upływu krwi.

– Zajmijcie się nim! – zawołała Brienne, kiedy podbiegł do niej Cumberland wraz z dwoma norweskimi osiłkami, strzegącymi bramy. Ściągnęli Avenela z końskiego grzbietu i złożyli go na trawie.

– Hans, sprowadź lekarza z miasteczka! I zawołaj paru ludzi: niech nam pomogą wnieść go do domu! – wykrzykiwał polecenia Cumberland, zapominając na chwilę o Brienne.

Hans pomknął żywo i wkrótce zjawił się cały zastęp młodych lokajów. Dźwignęli Avenela i szybko zanieśli go do domu.

– Nie wiedziałam, czy dojedzie tu żywy...

Brienne otuliła się poplamionym zielonym żakietem. Drżała z zimna i nerwowego napięcia, była wyczerpana koszmarną jazdą. Zauważywszy w jakim jest stanie, Cumberland objął ją ramieniem i próbował pocieszyć. Nim wrócili do domu, Brienne zdołała zebrać myśli.

– Myślałam, że oboje z Rose jesteście nadal w Londynie.

– O, w stolicy było nam cudownie... Ale każde z nas niepokoiło się, co się tu dzieje. Dowiedzieliśmy się w Londynie, że hrabia Laborde powrócił do Anglii. Obawiałem się czegoś w tym rodzaju.

Gdy Cumberland wypowiedział te słowa, Brienne dostrzegła, jak troska przeorała jego przyjacielską twarz.

– A więc to był mój ojciec. – Całe ciało Brienne zaczęło drżeć: potwierdziły się jej podejrzenia. – Ilekroć Avenel opuszczał dom, zawsze zabierał ze sobą broń. Ale w żaden sposób nie mógł nas obronić. Zostaliśmy zaatakowani... – Nie była w stanie mówić dalej. Z wdzięcznością wsparła się na Cumberlandzie, który objął ją mocniej ramieniem.

– Kiedy nie wróciliście z konnej przejażdżki, wysłaliśmy ludzi na poszukiwania. Ogromnie się cieszę, że sami zdołaliście powrócić. Nie jesteśmy z Rose zbyt dzielni: obawialiśmy się najgorszego.

– Może należało czekać w domku myśliwskim na przybycie pomocy... Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, pozwalając Avenelowi dosiąść konia...

Na myśl o tym, że lokaje musieli wnieść go do domu, Brienne poczuła łzy w oczach. Otarła ręką mokre i brudne policzki. Oczy płonęły jej, jak iskrzące się ametysty w pokrytej pyłem twarzy. Wiedziała, że wygląda okropnie, ale nic jej to nie obchodziło. Po tym wszystkim, co przeszli, widok leżącego jak trup Avenela był kroplą, która przepęłniła czarę.

– To było najlepsze rozwiązanie. Avenel z pewnością wyzdrowieje. Bywało z nim znacznie gorzej!

– Gorzej?...

Brienne przestała płakać i spojrzała ze zdumieniem na Cumberlanda. Nie mogła sobie wyobrazić nic gorszego niż to, co zdarzyło się na polanie.

– Nie mówmy o takich przykrych sprawach, lady Brienne. Pora teraz zająć się panią! Vivie zamartwiała się o swoją mademoiselle! Wszyscy się o panią martwiliśmy.

Przytulił ją do siebie, nim weszli do pałacu.

– Czy... czy mogłabym jakoś pomóc Avenelowi, nim się zjawi lekarz?... – wyjąkała, gdy znaleźli się wewnątrz domu. Nie chciała wracać



do swego pokoju. Jej ciało domgało się snu i kąpieli, ale miała wrażenie, że zwariuje, jeśli będzie musiała tkwić beczynn timer w sypialni, czekając na jakieś wieści.

– Nie, nie, drogie dziecko! Zrobiła już pani wystarczająco dużo! Teraz zajmie się nim Rose. – Cumberland urwał i spojrział Brienne w twarz. – Coś mi się zdaje, że bardzo zaprzyjaźniła się pani z Avenelem pod naszą nieobecność.

To stwierdzenie zbiło ją całkiem z tropu, nie było jednak sensu przeczyć. Wiedziała, że jej uczucia do Avenela są wyraźnie widoczne. Serce jej rozdzierało się i krwawiło, gdy zdejmowano go z konia.

Na widok zrozpaczonej twarzy Brienne Cumberland pokiwał głową z rezygnacją i mruknął zagadkowo:

– Sam nie wiem, czy to dobrze czy źle?... Ale to pani uczucia utrzymały go przy życiu.

Nim Brienne zdążyła spytać, co przez to rozumie, w hallu pojawiła się Rose. Podbiegła do nich i objęła czule dziewczynę.

– Co z nim? – spytała Brienne.

– Jest już w swojej sypialni – odparła Rose. – Czekam na lekarza. Nie odważyłam się zmieniać bandaży bez niego. Obawiam się, że rana znowu zacznie krwawić.

– Ja... ja chciałam mu pomóc... Naprawdę chciałam...

Brienne zadrżała.

– Avenel zawdzięcza ci życie. Nie bój się! Nie wygląda teraz najlepiej, ale jest silny jak byk. Z pewnością jedna powierzchowna rana go nie pokona! Założę się, że będzie zdrow jak ryba. – Ujęła lodowatą rękę Brienne. – Chodźmy! Odprowadzę cię do twego pokoju. Najwyższy czas, żeby ktoś zaopiekował się tobą! Cumberlandzie?... – zwróciła się do męża.

– Zawiadomię cię natychmiast, gdy tylko zjawi się doktor.

Popatrzył na obie kobiety. Brienne zauważyła, że wygląda teraz całkiem inaczej niż w dniu ślubu. Wydawał się stary i wymizerowany. Choć minął zaledwie tydzień, miała wrażenie, że upłynęły całe wieki od poranka, gdy z Avenelem żegnali wyjeżdżającą do Londynu parę.

Rose odpowiedziała mężowi skinieniem głowy i poprowadziła Brienne głównymi schodami na górę. Obie z Vivie otoczyły dziewczynę troskliwym staraniem, ale prawie tego nie zauważała. Przebywała duchem w paradnej sypialni, w której leżał Avenel. Lekarz z miasteczka zjawił się niebawem; kiedy odjechał, powiadomiono Brienne, że Avenel zasnął smacznie, a ona powinna pójść za jego przykładem. Siedziała jednak na żółtej sofce, wpatrując się w ogień trzaskający na kominku. Wiedziała, że tej nocy i tak nie zaśnie.

**M**inał tydzień na oczekiwaniu wieści z pokoju chorego. Tydzień daremnych marzeń o zobaczeniu Avenela. Ze wspaniałej sypialni tonącej w zielonych aksamitach nie przybyło zaproszenie dla Brienne.

Codziennie widziała, jak inni wchodzi i wychodzi z pokoju Avenela. Złożył mu kiedyś wizytę miejscowy proboszcz o rumianej twarzy, wielbny Trumbell; kiwnął w przelocie głową Brienne, gdy mijali się na korytarzu. Doktor był teraz stałym gościem w Osterley Park. Poza tym jednak, o dziwo, nie zjawił się nikt z zewnątrz. Na żądanie Avenela dwór i park były pilnie strzeżone. Cumberland powiadomił dozorców przy bramie oraz stajennych o niebezpieczeństwie grożącym ze strony hrabiego. Zrozpaczona Brienne pragnęła spytać Cumberlanda, czemu Avenel nigdy nie przysłał po nią; postanowiła jednak nie zawracać głowy i tak już znękanemu starszemu panu. Dręczyły ją nieznośne wyrzuty sumienia, ilekroć spoglądała w jego sympatyczną, przemiłą twarz. Mogła wówczas myśleć tylko o tym, jak bardzo nienawidzi swojego ojca.

Chyba tylko Rose zdawała sobie sprawę z cierpień dziewczyny. Ilekroć Brienne napomykała o tym, że Avenel z pewnością jej nienawidzi i nie może znieść jej widoku z powodu krzywd, jakich doznał od jej ojca, Rose spiesznie zapewniała ją, że wcale tak nie jest. Brienne czuła jednak, że i Rose niepokoi upór, z jakim Avenel unika swej wybawicielki. Brienne nie pozostawało nic prócz błędzenia po korytarzach wielkiego domu w oczekiwaniu na chwilę, gdy Avenel przyzna, że się za nią stęsknił.

Wydawało się jednak, że Avenel bynajmniej nie pragnie jej widoku. Dzień włókł się za dniem, chory wracał do zdrowia, ale ani razu nie próbował się z nią spotkać. Zgodnie z przewidywaniami Rose i Cumberlanda, rana szybko się goiła. Wieść o tym radowała Brienne, ale równocześnie ją przygnębiała, gdyż w tej sytuacji niechęć Avenela do wszelkich z nią kontaktów była jeszcze mniej zrozumiała.

Co wieczór, gdy Brienne, Cumberland i Rose zasiadali w jadalni do obiadu, przemiła para starała się przedstawić sytuację w jak najlepszym świetle, opowiadając o dziwactwach Avenela, do których oboje przywykli przez te wszystkie lata. To, że z ust chorego nie padło ani jedno słowo na temat spotkania z Brienne, Rose usiłowała zbagatelizować jako jeden z jego ekscentrycznych wybryków. Dzień po dniu fabrykowała nowe wymówki, aż ich w końcu zabrakło. Z jakiegoś niepojętego powodu Avenel nie chciał się spotkać z dziewczyną, która ocaliła mu życie.

A przecież zgodził się w końcu przyjąć nawet księcia i księżną Hardington!... Brienne poczuła się odrzucona jak niepotrzebna już stara szmata. Czuła w sercu przeszywający ból zazdrości. Uskrzydłone sfinksy, podtrzymujące oparcia foteli w paradnej sypialni, znalazły w oczach Avenela więcej łaski niż ona!... Zazdrościła nawet pościeli, na której leżał.

Minęły pogodne dni, śnieg pobielił ziemię. Mocno spóźniona zima nawiedziła Osterley Park. Śliski, oblodzony grunt uniemożliwiał konne przejażdżki. Brienne siedziała więc w swoim pokoju i przyglądała się, jak wilgotne płatki śniegu okrywają ziemię smętym, białym całunem. Wcześniej zapadł zmierzch. Pochmurny dzień stanowił dokładne odbicie nastroju Brienne: był mroczny, zimny i żaloszny. Vivie przyniosła swej pani obiad na tacy. Wrażliwa Francuzka krzątała się cicho po pokoju, podnosząc Brienne na duchu swą dyskretną obecnością, a zarazem nie przeszkadzając jej w rozmyślaniach.

Brienne odsunęła tacę, wstała z miejsca i zaczęła krążyć niespokojnie po sypialni w niezwykłym podnieceniu. Zmusiła się w końcu do tego, by przejrzeć tomik wierszy przyniesiony z biblioteki na dole. Kiedy jednak usadowiła się wygodnie na obitej taftą sofie, uwagę jej przyciągnął ogień płonący na kominku. Zapatrzyła się w płomienie, jakby w tych ogniszcach pomarańczowych obrzeżonych błękitem kształtach, mogła znaleźć ukojenie dla swych niewyrażonych słowami uczuć. Była w wyjątkowo ponurym nastroju, gdyż Rose i Cumberland spędzali ten wieczór z Avenelem.

Odłożyła tomik poezji; mogła myśleć tylko o tym, co oni teraz robią?... Przygryzła dolną wargę i pogrążyła się w myślach. Rozpaczliwie usiłowała zrozumieć sytuację. Dlaczego Avenel postępował z nią w ten sposób?... Choć nie opuszczało jej poczucie winy, nie mogła wprost uwierzyć, że nadal jest dla Avenela tylko córką Olivera Morrowa, nikim więcej. Ocaliła mu przecież życie! Dlaczego odwrócił się od niej właśnie teraz, gdy okazała, jak bardzo jest jej drogi?...

Dlatego, że strzelał do niego jej ojciec! Te słowa nieustannie wdzierały się jej do mózgu. Z rozpaczą przyznała, że całkiem możliwe, iż Avenel nienawidzi jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Wiedziała, że ilekroć odczuwał ból w ranie, myślał o swoim wrogu... a zatem i o niej.

Próbując otrząsnąć się z rozpaczy, powiedziała sobie, że w obecnej sytuacji musi zachować dumę. Nie będzie narzucać Avenelowi swego towarzystwa, jeśli go nie pragnął. Z czasem osłabnie ból wywołany odtrąceniem.

– *Tout de suite!* – zawołała Vivie, gdy ktoś głośno zastukał do drzwi sypialni.

Brienne spojrzała w tamtą stronę. Stukanie oderwało ją na chwilę od smutnych rozważań.

– O co chodzi? – spytała Francuzka, otwierając drzwi.

Brienne ujrzała stojącego na korytarzu młodego lokaja; przekazał Vivie jakąś wiadomość. Zamknawszy drzwi, pokojówka przybiegła w podnieceniu do swej pani.

– Mademoiselle! Monsieur Slane prosi panienkę do pokoju z gobelinami!

Wszystkie nerwy Brienne zadrżały; siłła się jednak na sztuczny spokój.

– Co odpowiedziałś Toby’emu?

– Powiedziałam, że pani tam przyjdzie. – Vivie popatrzyła na nią ze zdumieniem. – Tak przecież powinnam była odpowiedzieć, *n’est-ce pas?*

– Cóż... chyba masz rację – odparła niechętnie Brienne; zła była nie na Vivie, lecz na Avenela, który miał czelność wydawać jej rozkazy!

– Ale od razu powiedziałam temu chłopcu, że monsieur Slane będzie musiał na panienkę trochę poczekać.

Vivie uśmiechnęła się chytrze, a Brienne odwzajemniła jej uśmiech.

– Ach, tak?... No cóż, jeśli nie musimy się spieszyć, to chyba... – Brienne zastanowiła się przez chwilę, co by tu wykombinować zajmującego wystarczająco dużo czasu, aby poirytować tego tam, na dole. – ... chyba się wykąpie! – Roześmiała się w głos, wyjmując spinki ze swych lśniących włosów. – I nie zaszkoździ umyć porządnie włosy... Wyszły już przecież po porannym myciu!

Obie kobiety zachichotały figlarnie i Vivie bez pośpiechu poleciła służącym, by przygotowały kąpiel.

Dwie godziny później Brienne stała w salonie przy mahoniowych drzwiach wiodących do prywatnych apartamentów Avenela. Na jej mocno wyszczotkowanych lokach błyskały karmazynowe światełka. Włosy były starannie uczesane, a jeden cudowny, gęsty lok opadał na pierś Brienne. Ubrała się w prostą sukienkę z atlasu w kolorze błękitnych hiacyntów. Suknia była szamerowana z przodu wstążkami tej samej barwy. Nieozdobiony żadnymi haftami strój był skromny, lecz niesłychanie twarzowy. Brienne czuła, że jest świeża i ładna, i to właśnie dodało jej odwagi, by otworzyć drzwi po usłyszeniu rzuconej przez Avenela niemiłym tonem komendy: „Wejść!”

Po cichu wślizgnęła się do ozdobionego gobelinami pokoju. Półnagi Wulkan z wielkim zapałem umizgał się do golutkiej Wenus, a Amor i Psyche znaleźli sobie podobną rozrywkę. Wszyscy przedstawieni byli

na zainspirowanych malowidłami Bouchera medalionach, łudzących wzrok swą trójwymiarowością; medaliony zaś stanowiły charakterystyczny element utrzymany w różnych odcieniach czerwieni gobelinów. Przedstawiono na nich miłostki bogów. Wśród tych starożytnych frywolności Avenel siedział na mauretańskim kobiercu o żywych barwach. Zraniona noga była sztywno wyprostowana, zdrowa zgięta w kolanie. Plecami opierał się o kanapę; wzór na jej obiciu znów nawiązywał do boucherowskich motywów, tym razem miłostek pasterskich, *Les Amours Pastorales*. Avenel nie spojrzał na wchodzącą; wpatrywał się w płonący na kominku ogień, który bronił przed zimowym chłodem i nadawał temu przeladowanemu ozdobami pokojowi przytulny charakter.

Brienne musiała zrobić dobrych kilka kroków, nim ujrzała twarz Avenela. Gdy tak się stało, przekonała się, że ma ona twarde, a równocześnie dziwnie smutny wyraz. Nie była to twarz człowieka, który spędził miły wieczór w towarzystwie przyjaciół. Brienne dostrzegła też w ręku Avenela kryształowy kieliszek napełniony aromatyczną brandy.

– Chciałeś się ze mną widzieć? – spytała, podchodząc jeszcze bliżej; znalazła się również w kręgu padającego od kominka blasku.

Zauważyła, że pod ciemnoczerwonymi gobelinami niewidoczne były krawędzie ścian. Ponieważ w odleglejszych kątach nie zapalono świeczników, nastrój był rozkosznie ciepły i intymny.

– Jak śmiałaś zamawiać sobie kąpiel po moim wezwaniu!

Avenel spojrzał na nią wilkiem; słowa przedzierały się z trudem przez zaciśnięte wargi. Wziął jabłko z patery pełnej owoców i zaczął je starannie obierać ostrym, stalowym nożykiem.

– Nie wiedziałam, że jestem tu na służbie! Czyżbym musiała pędzić na każde skinienie mego pana i władcy?

Nie cofnęła się ani nie wzdrygnęła pod jego morderczym spojrzeniem. Nadal była na niego wściekła i poprzysięgła sobie, że mu to okaże.

– Kazałaś na siebie czekać przeszło dwie godziny! – wrzasnął, odrzucił nożyk do owoców i skrzyżował muskularne, porośnięte czarnym meszkiem ramiona na okrytej szlafrokiem piersi. Wyraźnie oczekiwał przeprosin.

– Istotnie... – odparła bez pośpiechu, mierząc wzrokiem każdy szczegół powierzchowności czowieka, którego tak jej brakowało przez ostatnie dni. Szczególnie długo wpatrywała się w pierś Avenela. Jego ciężki, zielono-niebieski szlafrok rozchylił się i widziała wyraźnie potężny męski tors, który przechodził w sprężysty brzuch. Tego, co znajdowało się poniżej, można się było tylko domyślać pod fałdzistym, szerokim pasem z jedwabiu i aksamitu. – Chyba istotnie dwie godziny mogą

bardzo się dłużyć czekającemu – dokończyła, wkładając w te słowa całą gorycz, jaką odczuwała w ciągu ostatniego tygodnia.

Spojrzał na nią ostro.

– Ach, tak?... Więc jesteś na mnie zła?... – Parsknął niewesołym śmiechem. – Usiądź, malutka. Postaram się ułagodzić cię.

Usłuchała i zajęła miejsce w fotelu stojącym doładnie naprzeciw niego

– W jakiej sprawie chciał się pan ze mną zobaczyć? – spytała z ironią.

Czuła gorąco jego spojrzenia znacznie wyraźniej niż żar bijący od ognia buzującego na kominku.

– Podjąłem pewną decyzję, która dotyczy ciebie, moja piękna – odpowiedział równie ironicznym tonem; skłoniło to Brienne do popatrzenia w jego zuchwałą twarz. – Zajęło mi to cały tydzień, ale się w końcu zdecydowałem. Dziś wieczorem moje postanowienie się urzeczywistni.

– Postanowienie?... Związane ze mną?... – Brienne zmarszczyła brwi.

– Tak.

Odwrócił od niej na chwilę wzrok i wypił potężny łyk brandy.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz niczego rozumieć! – warknął.

Nagle rzucił Brienne jakiś błyszczący przedmiot, który wylądował na podółku jej sukni. Spojrzała i przełknęła z trudem ślinę; strach chwycił ją za gardło.

– Cóż to ma znaczyć? – wyciągnęła ku niemu rękę z kluczykiem.

– Zasłużyłaś na ten klucz. Dałbym ci go jeszcze przed tygodniem, ale musiałem sobie wszystko przemyśleć. – Oczy Avenela rozbłysły, a potem stały się lodowato zimne na widok jej reakcji. W końcu warknął ze złością: – Zabieraj go i wynoś się!

– Jest teraz bez wartości – wykrztusiła, gdy nagły, niepojęty ból przeszył jej pierś. – Nie ma już mojego grzebienia. Uległ zniszczeniu właśnie tu, w tym pokoju. Może sobie przypominasz? Hrabia Culpepper połamiał go.

– Kazałem naprawić tę błyskotkę. Chcę ci ją wręczyć wraz z sakiewką pełną złota, żebyś mogła wyjechać, dokąd tylko zechcesz. Jutro rano będzie też do twojej dyspozycji powóz, który cię tam zawiezie. – Zgiął z trudem chorą nogę, ale z grymasem bólu złożył ją znów na podłodze. Spojrzał na Brienne i powiedział tak szorstko, że aż podskoczyła: – Zabieraj się stąd, powiadam! Wynoś się natychmiast!

– Więc... ty mnie... nie... – Brienne krztusiła się słowami.

– Poszukaj jakichś krewnych i zamieszkać z nimi. – Głos mu złagodniał na widok jej rozpaczy. – Zasłużyłaś w pełni na swą wolność, Brienne. Wydostań się z tego bagna, nim cię zassie... nalegam! To mój obowiązek!

Na te słowa Avenela Brienne przyszły na myśl chwile spędzone z nim w domku myśliwskim. Przypomniała sobie z bolesną wyrazistością ciepło jego ramion, które obejmowały ją tamtej nocy. Wróciło dręczące poczucie winy wywołane świadomością tego, że to jej ojciec lub któryś z jego pacholków zaatakował ich na polanie. Następnego ranka, gdy Avenel za jej namową znosił straszliwe męki, dosiadając konia, gorąco pragnęła przeprosić go za wszystko, co go spotkało. Wiedziała jednak, że zwykłe „przepraszam” jest niczym wobec ogromu jego cierpienia. Szukała więc jakichś odpowiednich słów, które przyniosłyby im obojgu ukojenie, pomogłyby im znieść trudy drogi powrotnej do Osterley Park i najlepiej wyraziłyby wszystko, co kryło się w jej sercu. Potem jednak uświadomiła sobie niedorzeczność takich myśli. Dosiadła Królowny i ruszyli w drogę, nim zdążyła wymówić te straszne, nieodwołalne słowa: „kocham cię”...

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Natarczywe pytanie Avenela przywróciło ją do rzeczywistości.

– Słucham.

Brienne z trudem przełknęła ślinę, nie wiedząc jak się zachować w tej sytuacji. Kilka tygodni temu przyjełaaby od niego z radością kluczyk i pieniądze. Wyjechałaby natychmiast, nie obejrzałaby się nawet na niego!... Teraz jednak miała wrażenie, że cały świat rozpada się wokół niej. Płomienny gniew, który w niej kipiał, gdy wchodziła do pokoju, przemienił się w poczucie rozpaczliwej samotności. Nie miała się już dokąd zwrócić.

– Chcesz, żebym stąd wyjechała?...

– Chcę, żebyś wyjechała. – Unikał jej pytającego spojrzenia, ale wyraził się wystarczająco jasno. – Musisz wyjechać!

– Tamtej nocy... w domku myśliwskim... – zaczęła niezbyt mądrze.

– Zapomnij o tamtej nocy! Zapomnij o tamtym miejscu! – przerwał jej. – Jesteśmy z powrotem w Osterley Park; musimy stosować się do tutejszych reguł, żyć zgodnie z tutejszą tradycją. Nie mamy innego wyjścia!

– Rozumiem... – powiedziała drżącym głosem.

W odrętwieniu podniosła się, zamierzając wyjść. Nagle uświadomiła sobie, że kluczyk upadł na dywan niedaleko miejsca, gdzie siedział Avenel. Przyklękła więc, by podnieść ten symboliczny drobiazg; ręka drżała jej, gdy sięgała po niego.



– Musisz mi coś powiedzieć, Brienne, zanim odejdziesz.

Palce Avenela zacisnęły się na jej delikatnym przegubie, gdy wyciągnęła rękę po klucz.

– Co takiego?

Spojrzała na niego; twarz miała bladą i ściągniętą.

Długo trwało, nim zadał to pytanie.

– Kiedy do mnie strzelili... czemu mnie nie zostawiłaś, choć kazałem ci uciekać?

– Bo... byłeś ranny.

Avenel potrząsnął głową.

– I to był jedyny powód? – Zmrużonymi oczyma wpatrywał się badawczo w fioletowe oczy Brienne. – Nie wierzę!

Kiedy te słowa dotarły do Brienne, nie odpowiedziała na nie tak, jak tego pragnęła.

– Sam wiesz, czemu... – szepnęła tylko i spuściła oczy pod jego mrocznym, pełnym triumfu spojrzeniem.

Avenel popatrzył na własne palce, zacisnięte na jej delikatnym przegubie. Gdy się odezwał, w jego głosie brzmiały sprzeczne uczucia. Znow jej rozkazywał, ale po raz pierwszy wyczuwała w nim jakieś wahanie.

– Powiedz mi, żebym cię puścił, Brienne! Powiedz mi to sama. Zaraz, już! Wtedy będziesz wolna. Jeśli nie...

Zawahała się na jedną, brzemienneą w skutki sekundę. Zrozumiała, że nie odejdzie, póki tego nie zrobi... Pochyliła się ku niemu i złożyła długi, słodki pocałunek na jego podejrziwych wargach. Chciała zdobyć ostatnie wspomnienie, które będzie musiało jej wystarczyć do końca życia. Potem pogodzi się z wolą Avenela. Wiedziała, że była to rozsądna decyzja. Stanowczo lepiej nie mieszać się do obłąkańczej prywatnej wojny, którą Avenel toczył z jej ojcem. Stanowczo lepiej opuścić tego człowieka, który nie ukrywał, że jest jej wrogiem.

Nim delikatny, pożegnalny pocałunek dobiegł końca, Brienne bezwiednie wypuściła znow klucz z ręki. Leciutki brzęk, towarzyszący jego upadkowi na podłogę, zabrzmiał w jej uszach silniej niż wystrzał armatni. Głos rozsądku krzyczał ostrzegawczo, ale serce odmówiło posłuszeństwa. Poczuła, że Avenel puszcza jej nadgarstek. W tym króciutkim momencie, gdy stykały się tylko ich wargi, miała jeszcze ostatnią szansę ucieczki.

A jednak została.

Pozwoliła, by Avenel chwycił ją w ramiona. Równie dobrze mogła pozwolić zgłodniałemu lwu, by pożarł ją żywcem. Pocałunek przestał być łagodny i niewinny; stał się brutalny, żarłoczny i drapieżny. Zmysły

Brienne rozszalały się, była na krawędzi ekstazy. Wargi Avenela, dzięki i zaborcze, zagarnęły jej usta w posiadanie. Dotknięcie jego języka paliło żywym ogniem. Ścisnął ją mocnymi ramionami, przygarnął do siebie; jego szlafrok rozchylił się szerzej. Dopiero wtedy, gdy delikatny hiacyntowy atłas sukni przylgnał do jego twardego, nagiego ciała, Avenel odebrał usta od warg Brienne. Choć pocałunek dobiegł końca, poznała po jego oczach, że wszystko dopiero się zaczyna.

– Powinnaś była mnie zmusić, żebym cię puścił! Powinnaś była walczyć o swą wolność! Zrobiłabyś tak, gdybyś miała choć odrobinę rozsądku, kochanie – wykrztusił niemal z rozpaczą. – Zadręczałem się przez siedem dni i nocy, nim zdobyłem się na to, by pozwolić ci odejść.

– Chciałam tylko... – szepnęła Brienne i nagle zapragnęła go całym ciałem i duszą.

– Wiesz chyba, że jeśli tu dziś zostaniesz, nie uwolnisz się nigdy od Osterley ani ode mnie. Moje piętno pozostanie na tobie na zawsze – inaczej nie może być!

Objął jej twarz wielkimi, silnymi rękoma; chciał w niej wyczytać odpowiedź. Otrzymał ją natychmiast: jej usta z własnej woli dotknęły jego ust.

Usłyszała głęboki jęk Avenela. W chwilę potem szamerowanie sukni zostało przecięte – wstążka po wstążce – ostrym nożykiem do owoców. Ręce Avenela rozdarły suknię. Zwoje atłasu otoczyły ich, gdy opadli na podłogę ni to siedząc, ni to leżąc. Jednym nieopanowanym ruchem Avenel odgarnął na boki rozciętą koszulę Brienne i objął zachłannie rękoma jej piersi. Pod dotknięciem jego szorstkiej brody na ramionach i piersiach Brienne pojawiły się różowe plamy. Wreszcie błędzące po jej ciele usta przylgnęły do koniuszków piersi. Gdy drażnił zębami wrażliwą skórę, Brienne czuła, że jej wnętrzości ogarnia pożar. Bezrozumnie pożałowała dalszych pieszczot Avenela, on zaś – równie nieopatrnie – spełniał jej życzenia.

Ręce Avenela sunęły w dół po jej gładkich, kremowych udach i pochwyciły brzeg jedwabnej pończoszki. Wystarczyły dwa mocne szarpnięcia i już pończochy i seledynowe pantofelki leżały obok Brienne. Tonąc w odmęcie swych płomiennych pragnień, Brienne patrzyła gorejącymi, pociemniałymi oczyma, jak Avenel ściąga szlafrok z ramion. Pozbywszy się ubrania, chwycił ją gwałtownie w ramiona. Potem zaś, ujarzmiwszy drzemiące w nim zwierzę zmusił się do nieco bardziej cywilizowanego zachowania, zaniósł dziewczynę do paradnej sypialni i rzucił ją na ozdobne, osłonięte baldachimem łóżce.

Coś zbliżonego do paniki kazało Brienne związać pospiesznie obie części rozciętej koszuli; próbowała uklęknąć na łóżku. Całym jej ciałem

wstrząsały straszne, nieznanne dotąd pragnienia; spoglądając na stojącego nad nią Avenela, zastanawiała się, czy jej brak doświadczenia nie przeszkodzi w ich spełnieniu. Jak zdoła w swej naiwności stawić czoła namiętnościom, które w nim wrzały?... Przyglądała mu się półprzytomnie, gdy tak stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, opierając się potężnymi udami o materac. Przez głowę przelatywały jej strzępy wielokrotnie słyszanych rozmów na temat tego, co dzieje się między mężczyzną a kobietą.

– Za pierwszym razem zawsze boli... Trzeba to jakoś wytrzymać... Jak która ma szczęście, to nie za bardzo krwawi... Musisz to znieść... musisz... musisz!

Ze strachem cofnęła się w stronę wezgłowia. Może powinna była odejść?... Może popełniła błąd?... A jednak nawet w tej chwili lęku, gdy wspaniały w swej nagości Avenel wznosił się groźnie nad nią w ciemnej sypialni, oświetlonej tylko blaskiem ognia, Brienne czuła, że dokonała trafnego wyboru. Jej oczy błędziły po ciele ukochanego; widziała, że jest niepokojąco piękny. Z jego ciała emanowała władczość, widoczna w najdrobniejszym poruszeniu mięśni. Tak, jestem szalona! – pomyślała w popłochu. – Z całą pewnością! Jakże inaczej mogłabym aż tak pragnąć czegoś, co przyniesie mi tylko ból?...

Zmagając się ze swymi wątpliwościami, Brienne zauważyła, że Avenel znieruchomiał. Ujrzała w blasku ognia jego udręczone spojrzenie. Oczy Avenela błędziły po jej ciele i ostatecznie zatrzymały się na twarzy Brienne. Czegoś w niej szukał z napięciem. Jego nienaturalny bezruch zatrzywał dziewczynę.

– O co chodzi, Avenelu? – wyszeptała z ciemnego kąta łoża. Czyżby posunęła się tak daleko tylko po to, by doznać znów odtrącenia?... Ścisnąc koszulę na piersi, pomyślała z lękiem, że może Avenel w tej chwili nie widzi w niej słabej, spragnionej miłości kobiety, tylko córkę swego wroga. Modliła się, by nie dostrzegł w niej żadnej z cech Olivera Morrowa. Podniosła oczy i przekonała się, że Avenel wpatruje się w zadumie w burzę jej ciemnorudych włosów, przypominających swoim kolorem burgunda.

– Są takie piękne... – szepnął jakby do siebie. Wyciągnął rękę i pochwycił kilka loków. – Cała jesteś taka piękna...

Po tych słowach wszystkie jego wahania znikły. Z nową energią przyciągnął Brienne na skraj materaca. Twarz miał napiętą, nic z niej nie mogła wyczytać. Poczwała znów dreszcz strachu i podniecenia. Avenel był teraz gotów sięgnąć po to, czego pożądał, walczyć o to choćby z samym diablem!

– Rozwiąż to! – powiedział do Brienne, wskazując ruchem głowy wstążkę, która przytrzymywała strzepy podartej koszuli.

Uniosła drżące ze strachu ręce. Zacisnęły się kurczowo na delikatnym pasku, dzięki któremu poszarpana szmatka trzymała się jeszcze na jej ciele. Rozsupływanie jedwabnej kokardy na piersi trwało bez końca. Nim się z nią uporowała, Avenel ściągnął z niej przez głowę resztki delikatnej koszulki. Ciemnorude loki Brienne rozsypały się przy tym i okryły ją jak płaszczem. Avenel wpatrywał się w nią, gdy w blasku ognia klęczała na wielkim łożu. Ręce Brienne uniosły się znów instynktownie ku jędrnym piersiom, by je zasłonić. Avenel jednak wcale sobie tego nie życzył.

– Nie!

Zmusił Brienne do opuszczenia rąk, zanurzył palce w jej włosach i pochylił się, by ją pocałować.

– Avenelu, zaczekaj!...

Urwała, bo jego wargi spadły na jej usta. Ramiona Avenela objęły jej szczupłą talię i nim się zorientowała, pocałunek stał się wprost zaborczy. Domagał się od niej czegoś więcej, sama nie wiedziała czego. Zabrakło jej tchu. Próbowwała ignorować te natarczywe żądania, obawiała się całkowitego zbliżenia. Kiedy jednak ręka Avenela zakradła się aż na jej pośladki, Brienne nabrała nagle odwagi. Ogień, który zapłonął w dole jej brzucha pod wpływem jego pieśczoł, skłaniał ją do nierozważnych odruchów. Za każdym jego dotknięciem ogarniające ją płomienie strzelały coraz wyżej. W końcu nie mogła tego dłużej znieść; wyrwał się jej cichy jęk i zrobiła to, czego pragnął. Wślizgnęła się nieśmiało językiem do wnętrza jego ust i wówczas uświadomiła sobie w pełni, ile znaczą dla Avenela jej pieśczoły. Byli mocno do siebie przytuleni, więc czuła drgnienie każdego jego mięśnia. Pod jej pierwszą pieśczołą Avenel zeszywniał, ona zaś wkrótce odkryła, że im dłuższe i namiętniejsze są jej pocałunki, tym silniejsze robią na nim wrażenie. Gwałtowność jego reakcji przerażała Brienne, ale wiedziała przynajmniej, że sprawia mu przyjemność.

– Avenelu... to dla mnie za szybko... – wykrztusiła, gdy oderwał usta od jej ust. Przyłgął do niej jego mocny męski zapach, którego nie zdołałaby zmyć z siebie żadną ilością mydła. Dotyk jego ust parzył jej szyję. Czuła, że tonie w tym upajającym odmiecie, i zamilkła, nim jeszcze położył ją na wznak na łożku. Potem materac ugiął się także pod jego ciężarem. Wkrótce Avenel znalazł się tuż przy niej; obejmował jej piersi i skłonił ją, by dotykała rękami jego szerokich, muskularnych pleców. Niepokój i rozkosz ćmiły jej wzrok. Ręka Avenela, błądząca po jej ciele, była ciepła i łagodna. Ilekroć jednak Brienne spojrzała na niego,

ogarniał ją strach. Wydawał się opętany pożądaniem. Nie pojmując jego natarczywości, była nią przerażona.

Usiłując go powstrzymać, położyła obie ręce na jego piersi. Ponieważ ich ciała ciasno przylegały do siebie, czuła włoski porastające jego pierś, przecinające cienkim pasmem sprężysty brzuch i gęstniejące znów poniżej pępka. Czuła na brzuchu rosnący napór jego ciała. Dłonie jej zwilgotniały. Pomyślała z przerażeniem, że nie ma co marzyć o zapanowaniu nad Avenelem. Nie była nawet panią własnego ciała, które rwało się do niego jak ćma do ognia.

Próbowała po raz ostatni odzyskać kontrolę nad sobą, ale pieścizoty Avenela zniweczyły te usiłowania. Zaczął gładzić jej talię, potem biodra, aż wreszcie jego ręka zakradła się na wewnętrzną stronę uda. Szczyptał leciutko zębami ramiona Brienne, jego usta dotarły aż do jej piersi.

– Pragnę cię, Brienne... wiesz?... Żadnej jeszcze tak nie pragnąłem. Kim będziesz: moim szczęściem czy moją zgubą?... – jęknął.

Nie czekał na jej odpowiedź. Wyraził dobitnie swoje pragnienia obejmując obie jej piersi. Muskał palcami te kremowe wzgórki, aż różowe koniuszki pociemniały i wyprężyły się, spragnione dalszych pieścizot. Gdy wziął je do ust, w ciele Brienne rozszalał się pożar; czuła, że Avenel wciąga ją w swoje szaleństwo. Pozbawiona tchu, całkowicie bezradna, poddawała się pieścizocie języka błędzącego po łagodnej wypukłości jej piersi. Równocześnie Avenel osunął się między jej uda. Kiedy zanurzył ręce w przepychu jej rozplecionych włosów, zrozumiała, że jego gwałtowna żądza musi być natychmiast zaspokojona.

A jednak jego namiętność wydawała się jej zbyt zachłanna, zbyt dzika! W sercu Brienne odezwał się strach, gdy silne, męskie ciało spoczęło między jej nogami. Nieporadnie spróbowała po raz ostatni wyjaśnić mu swoje pragnienia i obawy.

– Avenelu!... Wiesz, że nie jestem mądra... nie znam się na miłości...

Avenel, tak jak tego oczekiwała, wysłuchał tych słów, ale szepnął tylko do jej ucha z wielką pewnością siebie:

– Dobrze to wiem, kochanie! Gdybyś była mądra, to byś odeszła.

Potem znów ją zaczął całować i wsunął się jeszcze głębiej między jej uda. Każdy jego ruch budził w Brienne coraz większą panikę.

– Avenelu... jeszcze nie!... – zawołała z płaczem, ale zdawał się tego nie słyszeć. Brutalnie chwycił ją za obie ręce i unieruchomił je nad głową Brienne. Oszołomiona i zdezorientowana dziewczyna miała wrażenie, że w tej chwili Avenel nie wie nawet, z kim ma do czynienia. Jego ruchy były sprawne i mechaniczne, przypominały odtwarzanie jakiegoś wyuczonego

na pamięć rytuału. Miała wrażenie, że on kocha się teraz z inną kobietą, doskonale obeznaną w tych sprawach. Dyszał ciężko i czuła, że chce jak najprędzej zanurzyć się w niej. Całe jego ciało było spięte, serce waliło mu ciężko. Choć Brienne była przekonana, że nie zdoła go powstrzymać, czuła, że musi uprzytomnić mu, jak okrutnie z nią postępuje.

Gdy natarł jeszcze energiczniej, rozpląkała się i próbowała zacisnąć nogi. Piekące łzy spłynęły jej po policzkach. Przerazona własnym zachowaniem i bolesnym zaskoczeniem na twarzy Avenela, odwróciła gwałtownie głowę, by ukryć swój ból i strach.

– Brienne... Brienne!... – wykrztusił Avenel. Nie wypuścił jej z objęć, ale jego uchwyt zelżał. Silne ramiona nie więziły już rąk dziewczyny, tylko splatały się z nimi nad jej głową. Spytał jakby z wysiłkiem:

– O co chodzi, Brienne?

– Nie rób mi nic złego! – wyszlochała w poduszkę.

– Przestraszyłem cię.

Avenel wyrzekł to szorstko, zrozumiał jednak sytuację. Widać było, że zмага się z jakimś niezwykłym bólem. Minęło dobrych kilka minut, nim znów zdołał wydobyć głos. Kiedy się wreszcie odezwał, Brienne zauważyła, że oddycha spokojniej i jest mniej spięty. Ucałował ją w czoło, nadal nie wypuszczając dziewczyny z objęć i zaczął ją uspokajać słowami:

– Musisz o tym pamiętać, kochanie, że dzisiejsza noc jest czymś niezwykłym dla nas obojga. Ty jeszcze nigdy nie miałaś do czynienia z mężczyzną, a ja z dziewczcą.

Mimo że Brienne nadal odczuwała strach przytłoczona ciężarem Avenela, to jej łzy przestały płynąć.

– Naprawdę chcę, żebyś był blisko, Avenelu – szepnęła.

Usłyszawszy to, równocześnie zaśmiał się i jęknął. Pogładził ją po włosach i po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć.

– Naucz mnie tego, Avenelu! Wiem, że potrafisz. – Spojrzała w jego piękną twarz. – Naucz mnie, jak kochać mężczyznę. Naucz, jak mam kochać ciebie. – Spuściła oczy; wyjawiała mu swe najintymniejsze myśli... Czy Avenel zrozumie, co wyznała mu z taką prostotą?

– Nie! – odparł pospiesznie, a jej o mało serce nie pękło.

Rozpląkała się bezgłośnie, łza znów spłynęła jej po policzku.

Nie rozumiał. Nie rozumiał...

– Kochanie... – głos Avenela przerwał jej ponure myśli. Podniosła na niego oczy i odetchnęła głęboko, przygotowując się na kolejne odtrącenie. Nie nastąpiło jednak. Zamiast tego Avenel ucałował jej oczy i powiedział:

– Zrobimy odwrotnie: ty dzisiaj będziesz moim nauczycielem. Ty mi pokażesz, co mam robić, jak powinienem kochać dziewczycę.

– Nie mogę cię niczego nauczyć, Avenelu! Sama nie wiem...

– No, powiedz: czy dziewczycy będzie przyjemnie, kiedy ją pocałuję tak?...

Powoli schylił głowę i przycisnął usta do jej ust. Ich ręce splotły się ciasniej. Brienne wyczuwała w nim teraz tkliwość i odprężyła się.

– Albo tak?...

Jego usta przesunęły się teraz niżej, na pachnącą skórę szyi i wgłębienie u jej nasady. Zatrzymały się tu przez dłuższą chwilę, nim powędrował dalej.

– A tak?...

Nim jego wargi dosięgły wreszcie piersi, Brienne już na nie czekała. Upajała się swymi doznaniem. Jej palce nurzały się w gęstych włosach Avenela, a ona sama topniała pod dotknięciem biegłych w całowaniu warg.

Minęło wiele czasu, nim Avenel podniósł głowę. Jego magiczne sztuczki podziały. Brienne jęczała bezwstydnie:

– Chcę czegoś... bardzo chcę... daj mi to!...

Ogień pożądania nie ogarnął jej tym razem jak zatrważający pożar, lecz żarzył się w jej wnętrzu i rozpałał powoli. Ale to nie był jeszcze koniec gry wstępnej. Avenel zwlekał z zaspokojeniem jej pożądania.

Odwrócił Brienne na brzuch i pieścił gładkie, zaokrąglone pośladki. Sunął gorącymi ustami wzdłuż jej kręgosłupa. Całował miejsca, które nigdy przedtem nie kojarzyły się jej z całowaniem.

– Czy to się podoba dziewczycy? – dopytywał się żartobliwie. Gardłowy ton jego głosu zapowiadał dalsze niespodzianki.

– Avenelu...

Dalsze słowa Brienne przeszły w jęk, gdy poczuła leniwe muśnięcia jego języka w dole pleców. Nim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, uniósł ją i położywszy dziewczynę na sobie, całował jej piersi, ramiona, talię. Przerwał tylko raz, by odgarnąć Brienne z oczu ciemnoczerwone kędziory i szepnąć porywczo:

– Wiesz, co czuję, kiedy tak patrzę na ciebie?

Potrząsnęła głową, zachwycona blaskiem jego oczu.

– Zaborczość. Taką drapiezną zaborczość, że wolałbym zginąć, niż ujrzeć ciebie z innym mężczyzną!

Po tych słowach całował ją w usta tak długo, że Brienne zabrakło tchu i całkiem osłabła.

Kiedy położył ją znów na wznak i osunął się na nią, nie czuła już lęku. Gdy zaś szepnął jej namiętnie do ucha:



– Moja cudowna, słodka dziewczyna! Moja piękna, słodka Brienne! – poczuła, że gdy się ze sobą złączą, będzie to coś najbardziej naturalnego w świecie. A kiedy w końcu pozbawił ją dziewictwa i poczuła piekący ból, przyjęła go chętnie, gotowa zapłacić tę cenę za rozkosz, którą jej dał.

Jednak, ku zaskoczeniu Brienne, nie był to jeszcze koniec. Jęknęła i poczuła rozkoszne dreszcze, gdy ich złączone ciała zaczęły poruszać się w jednym rytmie. Otwierała się coraz szerzej, przyjmując kochanka w swoje ramiona i do swego wnętrza. Spojrzała mu w twarz i musnęła dłońmi jej harmonijne płaszczyzny. Choć oślepiały ją emocje, obudzone w niej przez Avenela, dostrzegła, że i on się w nią wpatruje. Jego oczy, zazwyczaj jasnoniebieskie i zimne jak lód, były teraz zamglone i pełne namiętności. Przy każdym ruchu wyraz tych oczu stawał się coraz gorętszy i bardziej zaborczy, aż wreszcie Brienne nie mogła patrzeć w nie dłużej.

Zaczęła drżeć, ciało jej reagowało ruchem na każdy jego ruch. Brienne pragnęła wyrwać się z tego dręczącego, kusicielskiego rytmu... a równocześnie chciała stopić się z nim, chciała, by się nasilał... W kulminacyjnym momencie wyszeptła ledwo dosłyszalnie:

– Kocham cię, Avenelu...

Nie wiedziała jednak, czy jej słowa do niego dotarły, gdyż w tej właśnie chwili zamknął oczy i z gwałtownym pomrukiem, biorąc i dając najwyższą rozkosz, osiągnął szczyt.

Kiedy oboje leżeli bez tchu, spleceni uściskiem, Brienne przesunęła ręką po udzie kochanka; miłość do niego malowała się wyraźnie na jej twarzy. Avenel wprowadził ją do krainy, do której nigdy nie spodziewała się trafić. Był to świat, gdzie nawet najzimniejsi i najgroźniejsi ludzie uczą się kochać i dawać szczęście. Samotność, która jej dotąd nie odstępowała, rozviała się jak mgła o świcie. Ona i Avenel stali się sobie bliscy i po raz pierwszy w życiu Brienne zaznała prawdziwego szczęścia. Przysięgając sobie, że będzie strzec tego szczęścia, nie da go sobie wydrzeć.

Gdy tak leżała cicho, zatopiona w myślach, Avenel odgarnął jej włosy z czoła. Obojgu brakowało słów. Nim się odezwali, Brienne poczuła, że z bandaża na jego nodze sączy się ciepła krew.

– Krwawisz... – szepnęła.

Avenel wpatrywał się w nią bardzo długo, nie poruszając się, nie przerywając uścisku. Potem ucałował ją namiętnie, ku zaskoczeniu Brienne gryząc jej pełne wargi. Potem powiedział z wysiłkiem, niemal wbrew woli:

– Obawiam się, kochanie, że to z winy twojego ojca krwawimy oboje.

Po tej niezrozumiałej uwadze wysunął się wreszcie z jej ciała i położywszy się obok Brienne, objął ją opiekuńczo ramionami.

## 20

**K**toś stuknął do drzwi sypialni; z początku lekko, potem zaś – nie otrzymawszy odpowiedzi – coraz natarczywiej. Avenel otworzył oczy. Jego spojrzenie pobiegło natychmiast ku leżącej obok niego Brienne. Włosy dziewczyny opadały mu na pierś cudownym rubinowym płaszczem, gdy leżała uśpiona w jego ramionach, z rozchyłonymi nieco ustami, czerwieńszymi niż zwykle po nocnych namiętnych pocałunkach. Avenel ostrożnie odsunął się, by jej nie obudzić, ale poruszyła się tylko lekko w rozgrzanej kremowej pościeli, pod ciężkim przykryciem z zielonego aksamitu. Pochylił się, ucałował kuszące wargi dziewczyny i okrył jej delikatne piersi, po czym wstał i nie wkładając nic na siebie, podszedł do drzwi.

– O co chodzi? – spytał niecierpliwie wyglądając na korytarz. Ujrawszy stojącego na progu Cumberlanda, ubranego tylko w czerwony szlafrok i szlafmycę, uniósł kruczoczną brew i zauważył: – Słońce jeszcze nie wstało. Cóż to za niecierpiące zwłoki sprawy sprowadzają cię o tej porze?

– List, Slane! List z Satterlee. – Cumberland miał ponuro zaciśnięte usta i zdawał się nie dostrzegać nagości Avenela. – Obawiam się, że bardzo spóźniony. Posłaniec, który go dostarczył, powiedział, że list znajdował się na fregacie uszkodzonej przez Amerykanów. Widzisz datę? Został napisany pięć miesięcy temu, następnego dnia po naszym wyjeździe.

Cumberland rzucił na Avenela niespokojne spojrzenie i z wyraźną obawą przyglądał się, jak ten przełamuje woskową pieczęć z herbem Satterlee i odczytuje pospiesznie list. Gdy skończył, twarz miał równie ponurą jak jego przyjaciel.

– Co się stało, Slane? – spytał Cumberland tonem, który mówił wyraźnie, że lęka się odpowiedzi.

– Staples nie żyje – odparł bezbarwnym głosem Avenel.

– Jak to się stało?... – wykrztusił z trudem starszy pan.

– Robota naszego hrabiego. Zostawił... swój podpis na ciele Staplesa.

– O Boże, nie!... – jęknął Cumberland. – A co z chłopcem? Także zabity?...

– Nie, Nob ocalał. Podobno wybrał się akurat na polowanie. Kiedy wrócił i znalazł ojca, pobiegł do Satterlee po pomoc. – Avenel przegarnął drżącą ręką grzywę ciemnych, luźno spływających włosów. – Został tam na razie, ale piszą mi, że jeśli nie doczekają się ode mnie jakichś innych instrukcji, wsadzą chłopaka na statek płynący do Anglii. Uważają, zdaje się, że będę dla Noba najodpowiedniejszym opiekunem. Trzeba uważać na dzieciaka, żeby go... – Westchnął ponuro i nie dokończył zdania.

– Grunt, że nic mu się nie stało, Slane! Powinien się tu zjawić zdrów i cały za kilka tygodni. Mogło być gorzej!

– Nie! – rzucił Avenel przez zaciśnięte zęby. – Nie mogło się zdarzyć nic gorszego! To przecież Staples wyciągnął nas z morza, gdyśmy płynęli do brzegu, pokrwawieni i okaleczeni... Pomyśl, jaką dostał nagrodę za swą dobroć!... Ten podlec zarznął go i pociął tylko za to, że pomógł mi odzyskać Osterley. – Twarz Avenela wykrzywiła się w grymasie morderczej furii. – Nic go nie uratuje! – powiedział cichym, twardym głosem. – Nic go nie uratuje, jeśli spróbuje postawić nogę na mojej ziemi!... To prawda, że zdołał zaskoczyć mnie w lesie, ale przysięgam: drugi raz mu się to nie uda!

– Pewnie – przytaknął Cumberland. I nagle zastygł w zdumieniu z otwartymi ustami: spojrzął na łożę z baldachimem za plecami Avenela. Nie mogło być wątpliwości, czyja to rudowłosa głowa spoczywa na poduszkach.

– Bardzo jeszcze wcześniej, Cumberland. Wracaj do łóżka! Ja się nią zajmę – powiedział Avenel bezbarwnym głosem. Jego podobne do sopli lodu oczy miały iskry gniewu. Cumberland poczuł dreszcz trwogi na myśl o młodej dziewczynie, śpiącej spokojnie w łóżku kochanka. Nie przeczuwała nadciągającej burzy, która rozszałe się nad jej głową.

– Co chcesz z nią zrobić, Slane? – spytał Cumberland, pragnąc za wszelką cenę przemówić mu do rozumu. – Ona nie ma z tym nic wspólnego! – Wyszarpnął mu list z ręki. – To niewinne dziecko...

– Już nie, przyjacielu! I tym lepiej. – Avenel odebrał mu list.

– Nie rób jej tego, Avenelu! Ta dziewczyna cię kocha. To ją zabije!  
– Cumberland zwilżył językiem zaschnięte wargi.

– Dałem jej szansę: mogła odejść, ale zrezygnowała. Teraz tkwi w tym po uszy. Z własnej winy czy nie, ale powiadam ci, przyjacielu,

tkwi w tym po uszy! – Avenel powoli cofnął się do wnętrza pokoju i chciał zamknąć drzwi za sobą.

– Na litość boską, Slane, nie rób tego! Przecież ocaliła ci życie! – szepnął z rozpaczą stojący tuż za drzwiami Cumberland.

– Bo jest głupia. Mego życia nie warto ratować.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i przez długi czas nie dobiegł zza nich żaden odgłos.

Ciężkie od snu powieki Brienne uniosły się powoli i zza zasłony ciemnych rzęs wyjrzały oczy błękitne jak genjany. Dziewczyna odechnęła głęboko; poczuła odurzający zapach Avenela, zapach ich miłości, który przylgnął do okrywającej ją pościeli z delikatnego egipskiego lnu. Podniosła głowę i spojrzała na drugą stronę łóżka, gdzie leżał przedtem Avenel. Nikogo tam nie było. Wkrótce jednak dostrzegła kochanka: stał nago przy oknie, skąpany w szarości przedświt. Był odwrócony do niej plecami i wyglądał jakoś groźnie. Skrzyżował ramiona na piersi i lekko rozstawił zgrabne nogi, z których jedna nadal była owiązana bandażem; była to postawa władcza, pełna wyższości. Oczy Brienne pieściły całe jego ciało, od szerokich,znaczonych bliznami ramion do niewielkich sprężystych pośladków, harmonijnie przechodzących w muskularne, porośnięte ciemnymi włosami nogi. Na ten widok zbudziły się wspomnienia ostatniej nocy, gdy raz za razem brał ją w ramiona i gdy splełani w uścisku opadali na posłanie. Kochali się zachłannie przez całą noc, jakby to miały być ich ostatnie wspólnie spędzone godziny. Teraz Brienne, rozkosznie znużona i całkowicie zaspokojona, usiadła na wielkim łożu z kolumnkami, osłaniając skromnie prześcieradłem pełną, nagą pierś.

– Dzień dobry, najdroższy! – powitała Avenela.

Chyba po raz pierwszy czuła prawdziwą radość życia. Czekwała z uśmiechem, aż kochanek odwróci się do niej i poczuje wokół siebie jego silne, ciepłe ramiona. Nie doczekała się jednak żadnej reakcji z jego strony.

– Avenelu!... Co się stało, kochanie?...

Na gładkim czole dziewczyny pojawiły się zmarszczki niepokoju. W dalszym ciągu nie odwracał się, nie patrzył na nią... To trwożyło ją chyba najbardziej.

– Powiedz mi, proszę!... – szepnęła.

Odpowiedział jej szorstki, bezlitosny głos.

– Otrzymałem właśnie list, lady Brienne.

Wymówił jej tytuł z wyraźnym szyderstwem.

– List?... Przecież nawet jeszcze nie świta!

Podciągnęła przykrycie, jakby nagle zapragnęła jakiejś osłony.

– Przywiózł go specjalny wysłannik. List zaginął podczas działań wojennych i dopiero teraz został odnaleziony.

– A co... Co w nim jest?...

Brienne oblizwała wargi, dziwiąc się, że mogą być takie suche po tych wszystkich pocałunkach.

– Jest w nim wiadomość... – Tym razem Avenel mówił podniesionym głosem. – ... O śmierci mego przyjaciela. Zamordował go twój ojciec.

– Zamordował?... – Brienne zmarszczyła czoło. – Zostanie więc osądzony za swą zbrodnię. Udowodnią mu winę i powieszą go. Nie będzie już lorda Olivera, uwolnimy się od niego raz na zawsze! – przekonywała, pragnąc rozpaczliwie, by z głosu Avenela znikła ta ostra nuta.

– Jak może stanąć przed sądem, gdy władze nie mają pojęcia, że to jego robota?

– Ale ty jesteś pewien, że to był hrabia!

– Tak. I wiesz, skąd mam tę pewność?

Był teraz śmiertelnie spokojny.

– Nie, Avenelu – szepnęła Brienne i nagle ogarnął ją strach.

– Ponieważ morderca zostawił swą wizytówkę.

Słyszała nienawiść w głosie Avenela. Odwrócił się powoli twarzą do niej. Brienne popatrzyła na niego i nagle wydała okrzyk przerażenia. Krew odpłynęła jej z twarzy, gdy spojrzała w dół, na jego biodra. Przypomniała sobie jak przez sen, że ubiegłej nocy dotykała ręką jego brzucha. Nie miała jednak pojęcia, że ta pozornie gładka powierzchnia była niegdyś jedną wielką raną. Cały brzuch poniżej pępka nosił niezliczone ślady jakiegoś niezwykle cienkiego i ostrego noża. Najstraszliwsza z blizn biegła wzdłuż pachwiny i omijała dosłownie o włos męskie organy.

– Wiesz, co to takiego kastracja?

Głos Avenela sprawił, że jej oczy pobiegły ku gniewnej twarzy kochanka.

– Wiem... Zostałeś poraniony, ale przecież...

– Nie chodzi o mnie. W moim przypadku spartaczył sprawę. Ale opowiem ci o kimś, kogo podobno lubisz, Brienne. O Cumberlandzie!

Oczy Avenela błysnęły lodowato.

– Nie! – krzyknęła Brienne, nie chcąc słuchać dalej. Mimo to słowa Avenela wdzierają się do jej uszu; nie miał żadnych względów dla wrażliwej dziewczyny.

– Wsiedliśmy z bratem na statek płynący do Anglii. Właśnie tam stało się to nieszczęście z Christopherem. – Avenel zamilkł. Cały płonął

nienawiścią, skierowaną wyłącznie przeciw niej. – Twój ojciec i jego zbiry porąbali go na kawałki, lady Brienne! – Ten tytuł wymówił z najwyższą odrazą. – Poćwiartowali go i wykastrowali. Kiedy chcieli zrobić to samo ze mną, Cumberland skoczył mi na ratunek. I zanim obaj rzuciliśmy się do morza w Zatoce Chesapeake, cała męskość Cumberlanda była już tylko krwawym strzępem na pokładzie.

– Cumberland nie przestał być mężczyzną! Rose bardzo go kocha!

Brienne rozplakała się gorzko. Uświadomiła sobie, jak drogi stał się jej Cumberland i jak straszliwie skrzywdził go jej ojciec.

– Może masz słuszność. Pomyśl jednak o straszliwym upokorzeniu! Pomyśl! – Podeszedł do niej, chwycił za rozpuszczone włosy i bolesnym szarpnięciem uniósł głowę Brienne ku swojej twarzy. – Pomyśl o tym, jak pali morską sól, gdy się dostanie do okropnych ran! Pomyśl o czystej błękitnej wodzie Atlantyku, która czerwieni się od krwi! – Odepchnął ją gwałtownie; upadła znów na łóżko. Avenel podeszedł do okna i stał jak skamieniały. Drgał jedynie mięsień w dole policzka. – Miałem wtedy trzynaście lat. Minęło dwadzieścia lat nim dokonałem zemsty. A dzień później mój wróg zabił i wykastrował człowieka, który udzielił mi pomocy.

– Dlaczego on cię tak nienawidzi?

Brienne otarła grzbietem ręki załzawione policzki. Niepomna swej nagości ani zimna przysiadła na piętach, wpatrując się w Avenela.

– Dowiesz się tego we właściwym czasie. Na razie starczy, że powiem: żre go chciwość.

Dotknął antycznej wazy z lapis lazuli, stojącej dumnie na trójnożnym piedestale koło okna. W bladym świetle poranka wydawała się niemal czarna. Avenel przesunął dłonią po lśniącej powierzchni; waza zaczęła się niebezpiecznie chybotać.

– Twój ojciec lubi kolekcjonować piękne przedmioty, nieprawdaż? Zmierzył Brienne złym wzrokiem.

– Tak – odparła bezbarwnym głosem. – Moja matka też należała do jego kolekcji.

– Ach, tak!... Wiesz zatem, jak się sprawy mają.

Znów odwrócił się do okna. Ciszę przerywał tylko stukot kołyszącej się masywnej wazy.

Kiedy wreszcie znieruchomiała, Avenel zaś stał nadal w milczeniu, Brienne pospieszyła zapewnić kochanka, że w pełni się z nim solidaryzuje.

– Pomogę ci, Avenelu! Jeśli mogę ci w czymkolwiek pomóc, bądź pewien, że to zrobię. Razem wymyślimy jakiś sposób...

– Sposób już się znalazł.

Brienne poczuła nagle, że jeżą się jej włosy na karku. W postawie Avenela było coś bezdusznego. Wydawał się nie istotą ludzką, lecz jakimś szatańskim automatem. Spytała z lękiem, wiedząc z góry, że nie otrzyma odpowiedzi, jakiej pragnęła.

– Jakież to sposób?

– Od samego początku wyznaczyłem cię do tej roli. – Roześmiał się szorstko i mówił dalej tak, jakby jej przy tym nie było. – Kiedy tylko dowiedziałem się, że córka Olivera Morrowa przebywa nadal w Osterley Park, zacząłem się zastanawiać: jak posłużyć się nią dla jego zguby? Jakiej hańby nie mógłby znieść żaden ojciec? – Zwrócił powoli oczy w stronę wspaniałego, okrytego zmiętą pościelą łoża. – Cóż, odpowiedź nasuwała się sama! Czyż hrabia mógłby znieść obojętnie to, że jego córka jest moim więźniem w domu, który on uważa nadal za swój? I nie tylko żyje w nędzy i poniżeniu, ale nawet... – Urwał, jak gdyby następne słowa nie chciały przejść mu przez gardło. – ...Ale nawet uczyniłem z niej swoją dziwkę. Usłużną dziwkę!

Gdy Brienne to usłyszała, coś w niej umarło. Nie miłość do Avenela, ona bowiem przetrwała, niezłomna i bolesna. Ale tych kilka sprytnie dobranych słów zniszczyło sens jej życia, zabiło rozkwitające nadzieje na przyszłość. Brienne widziała teraz, że ich cudowna wspólna noc, która uświadomiła jej, jak bardzo kocha Avenela, z jego strony była tylko wyrachowanym, niemoralnym posunięciem. Powodowała nim przegromna nienawiść do jej ojca; dla niej czuł jedynie pogardę.

Z gardła Brienne wydobył się zimny, opętańczy śmiech. Nagle rzuciła kochankowi w twarz:

– Jakaż ci się muszę wydawać żałosna! Ale twój sprytny plan uwiedzenia mnie do niczego nie prowadzi, możesz mi wierzyć! Nie przyłożę ręki do twoich machinacji. A hrabiemu nie sprawisz najmniejszej przykrości, zadreęczając mnie. On mną gardzi, rozumiesz? Oliver Morrow gardzi mną prawie tak jak ty!

Umilkła i obserwowała reakcję Avenela. Jego spojrzenie przesunęło się niespokojnie po jej twarzy, jakby sądził, że postradała zmysły.

– Choćby nawet tobą gardził... nie zniesie myśli, że ja...

– Że mnie zhańbiłeś? Zgwałciłeś? O, tym się nie przejmie. Wyobraź sobie, że gwałt to jedna z ulubionych rozrywek mego ojca!

Pluła mu tymi słowami w twarz.

– Czy rzeczywiście ubiegłej nocy doznałaś gwałtu?

Avenel podszedł spiesznie do łoża i chwycił Brienne za ramię, domagając się odpowiedzi.



– Nie dotykaj mnie!

Brienne odepchnęła go gwałtownie i zerwała się z łóżka.

– Rozumiesz już? To właśnie go zaboli! Jestem teraz panem jego ukochanego domu, a jego jedyna córka przyjmie ode mnie z radością wszystko, czym zechcę ją zaszczycić! – Teraz on roześmiał się pośepnie. – O tak, to go dotknie! Czy cię nienawidzi, czy kocha, powali go to na kolana!

– Bardzo się mylisz! – Brienne skrzyżowała ramiona na nagiej pierśsi i rozejrzała się za koszulą, ale jej nigdzie nie było. – Nim on się tu zjawi, mnie dawno już nie będzie! Mam teraz wystarczające środki i potrafię je wykorzystać!

– Masz wystarczające środki? Jakie mianowicie?

Uniósł drwiąco brew.

– Pieniądze... – Głos jej się załamał na widok jego szyderczego uśmiechu. – A więc wycofujesz się ze swej obietnicy?...

– Moja oferta przestała być aktualna ubiegłej nocy, kochanie. Sama postanowiłaś zostać.

– Bo sądziłam, że ty... – Spuściła głowę, kryjąc przed nim oczy, bezbrinnie szczerze i wymowne. Próbowwała zebrać myśli, ale głowa pękała jej z bólu. Zdołała powiedzieć tylko: – W takim razie odejdę bez pieniędzy!

– Nigdzie nie odejdiesz! Jesteś teraz moja: zapłaciłem za ciebie własnym ciałem i krwią.

Mówił z trudem, starając się opanować. Nagle jednak strącił z piedestału bezcenną wazę z lapis lazuli. Jedna sekunda gniewu – i liczący sobie trzy tysiące lat zabytek leżał u jego stóp jako kupa żalonych odłamków. Ciałem Brienne wstrząsnął bezgłośny szloch. Uciekła pędem do sąsiedniego pokoju. Chciała być jak najdalej od tego bezlitosnego brutala, który postanowił ją zadrzeć. Z ulgą dostrzegła swoją hiacyntową suknię, leżącą na fotelu obok kominka, na którym płonął już ogień. Pospiesznie wciągnęła ją przez głowę.

Ubrała się, zasłoniła rękoma stanik i zaczęła rozglądać za odciętymi od niego wstążkami. I wówczas dostrzegła połyskujący złociście w blasku ognia kluczyk. Czuli, że nagi Avenel stoi za nią i czai się jak wspańiałe, drapieżne zwierzę. Wiedziała, że musi się spieszyć, jeśli chce odzyskać wolność. Chwyciła kluczyk, ale triumf zmienił się w porażkę. Avenel skoczył i łamiąc jej niemal palce wydarł kluczyk z ręki. Bez cienia żalu rzucił go w ogień. Brienne odruchowo sięgnęła po niego i jęknęła, oparzywszy sobie boleśnie rękę. Kiedy Avenel odciągnął ją od kominka, zaciśniętą pięścią uderzyła go bezlitośnie w zabandażowane udo;

dobrze znając ranę, wiedziała, gdzie wycelować. Pozostawiła go bezradnego, jęczącego z bólu i z całym spokojem opuściła pokój, jak przystało zwycięzcy. Znała jednak gorzką prawdę: mimo podrażnionej rany Avenel cierpiał mniej niż ona. I to nie z powodu oparzonej ręki, tylko złamanego serca.



Wszystko było gotowe. Brązowy płaszcz Brienne leżał na łóżku, a obok niego torba z grubego płótna, w której mieścił się cały jej dobytek: dwie suknie, zapasowa lniana koszula i namalowany na cieniutkiej płytce z kości słoniowej portrecik młodego mężczyzny. Brienne wetknęła nogi w patenki i mocno potarła czoło. Od powstrzymywanych siłą łez ogromnie rozboleła ją głowa. Odetchnęła głęboko, podeszła do łóżka i chwyciła płaszcz oraz torbę. Potem ruszyła w stronę drzwi. Ogarnął ją dziwny niepokój: wszystko szło zbyt gładko!

I wtedy właśnie zorientowała się, że drzwi są zamknięte. Szarpnęła mosiężną, zdobną w arabeski klamkę. Zmagiła się z nią dłuższą chwilę, wmawiając sobie, że drzwi się tylko zacięły. Kiedy weszła do swej sypialni, nie dosłyszała cichutkiego szczęku przekręcanego w zamku klucza. Była zbyt zajęta zbieraniem swych rzeczy i ściąganiem z siebie hiacyntowych atłasów. Teraz jednak nie ulegało wątpliwości: drzwi były zamknięte. I z pewnością nie zostawiono w sypialni zapasowego klucza!

Brienne zrezygnowała z otworzenia tych drzwi i rozejrzała się po złotym pokoju w nadziei, że znajdzie inne wyjście. Było jeszcze tylko jedno. Przeszła więc do gotowalni i skierowała się ku ścianie, w której znajdowały się zamaskowane drzwi dla służby. Przesunęła palcami wzdłuż krawędzi, chcąc znaleźć ukrytą sprężynę. Szybko jednak zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Sprężynę otwierającą te drzwi można było uruchomić jedynie z drugiej strony. W tej chwili wejście było szczelnie zamknięte, na klucz!

– Niech to wszyscy diabli! – szepnęła Brienne, chwytając się za głowę, która bolała niemiłosiernie.



Późnym popołudniem Avenel siedział w galerii przy płonącym jasno kominku, pod samym portretem Olivera Morrowa. W rękę miał kryształową szklaneczkę wypełnioną bursztynowym trunkiem. Zaciskał palce na kieliszku tak silnie, że kruche szkło w każdej chwili mogło trzasnąć.

– Pijesz dziś przez cały dzień, Avenelu.

Rose podeszła do fotela, w którym siedział. Przyklęła obok niego i wzięła go za drugą, wolną rękę.

– Rzeczywiście.

Po zaczerwienionych oczach Avenela można było poznać, że wypił dużo, mówił jednak całkiem wyraźnie.

– Może odprowadzić cię do sypialni? Powinieneś się przespać.

Rose oparła głowę na zdrowym kolanie Avenela i spojrzała na męża, który stał z boku.

– To dobry pomysł, Slane. Wyglądasz na bardzo zmęczonego – powiedział Cumberland, podchodząc do nich.

– Nie, nie! Wcale nie jestem zmęczony. Myślałem tylko dużo. Wspominałem dawne dzieje. – Avenel podniósł kieliszek do ust i wypił potężny łyk cennego trunku. – Przypomniało mi się, jaką miałaś straszłą gorączkę. Wydawało się nam, Staplesowi i mnie, że nigdy nie minie. Pamiętasz?

– Nie bardzo. Teraz to wygląda na jakiś koszmarny sen – odparł Cumberland.

– A ja pamiętam! Staples postawił mnie na nogi od razu po tym, jak nas wyłowił z morza. Ale ty długo wtedy przeleżałaś! – Avenel przy-mrużył oczy jakby z wysiłkiem przywoływał wspomnienia, ukryte w naj-głębszych zakamarkach mózgu. – Pamiętam, jak Staples zagonił mnie do roboty. Pracowaliśmy na polach tytoniowych, razem z tym nowym transportem afrykańskich niewolników. Harowaliśmy równie ciężko jak oni. Pod koniec lata Staples i ja byliśmy prawie czarni, tak nas słońce spaliło. Do dziś nie znoszę zapachu wysuszonych liści tytoniowych! Dobrze pamiętam, ile kosztują krwi i potu.

– Ze Staplesa był prawdziwy przyjaciel. Ja też nie mogę go odżałować, Slane. Ale poszczęściło się nam w końcu, prawda?... A jak poszliśmy w górę, to i o nim nie zapomnieliśmy – pocieszał go Cumberland.

– To, że się nam poszczęściło, to tylko twoja zasługa. Staples nigdy by się nie dorobił takiej plantacji, gdybyś ty nie nauczył mnie grać w karty. – Avenel łyknął znów trunku i zmarszczył czoło. – Długo to trwało, ale w końcu zacząłem wygrywać. Ach, ci bogaci durnie!... – sarknął. – Jak toto sypało złotem, jak przepuszczało forszę, nie mając pojęcia, skąd się ona bierze! Ani ile zwykły człowiek musi się naharować, żeby jakoś związać koniec z końcem. – Roześmiał się. Jego nastroje zmieniały się z minuty na minutę. – Popatrz tylko na naszą trójkę! Wszyscy wzbogaci-liśmy się nadspodziewanie, a w dodatku siedzimy w Osterley Park! I to wszystko dzięki karciętom!

– To wszystko dzięki tobie – powiedziała miękko Rose, spoglądając w jego pełne bólu oczy.

Avenel w tym momencie dostrzegł jej obecność i z wyraźną przyjemnością zaczął głaskać upięte w koronę jasne, lekko siwiejące włosy.

– Wy tłumacz mi, Rose... Czemu się z tobą nie ożeniłem po śmierci Christophera?... Ciągłe jesteś śliczna, choć kilka lat ode mnie starsza.

– Dość takiego gadania, mój panie! – zawołała z żartobliwym uśmiechem. – Mój mąż słucha... gotów cię jeszcze wyzwąć na pojedynek!

– Ale powiedz mi, dlaczego nie zakochaliśmy się w sobie i...

– Dlatego, mój panie – odparła łagodnie – że nie jesteś Christopherem... ani Cumberlandem. A ja, niestety, nie jestem Bri...

– Przestań! – rzucił ostrzegawczo Avenel, nim zdążyła wymówić to imię.

– Przecież to prawda, Slane! – wtrącił się Cumberland.

– Nic podobnego! Czyście poszaleli? Ja miałbym się zakochać w jego córce?! – Avenel wyprostował się tak raptownie, że Rose musiała nagle unieść głowę z jego kolan.

– Czemu nie chcesz się do tego przyznać? Po co się okłamujesz, że ta dziewczyna na górze to tylko narzędzie, które wykorzystasz i odrzucisz?... To istota ludzka, Slane! Rzeczywiście, mieliśmy różne plany w związku z nią, ale to było wcześniej, zanim tu przyjechaliśmy. Myśleliśmy, że to podła egoistka, przyzwyczajona do wygod i leniuchowania. Ale Brienne wcale taka nie jest i nie wolno ci nią pomiatać jak jakąś londyńską wywłoką! – Cumberland popatrzył błagalnie na przyjaciela swymi niebieskimi oczyma. – Ona cię kocha, Slane! A ty... Boże, zmiłuj się!... ty też ją kochasz!

– Niech cię wszyscy diabli!

Kieliszek, który Avenel ścisnął z całej siły, pękł mu w rękę. Cienkie strużki krwi pociekły na śnieżny, koronkowy mankiet. Rose zerwała się z podłogi, by przynieść serwetkę ze stołu zastawionego do herbaty; Avenel jednak powstrzymał ją gwałtownym ruchem ręki. Wyładował swój gniew, wymyślając jej mężowi.

– Czyś ty oszalał, stary głupcze, że wygadujesz takie brednie?! – krzyczał, wstając raptownie z fotela. – Wolałbym, żebyś mi wbił nóż w plecy! A może oboje spodziewacie się, że ten... hrabia was w tym wyręczy?! Pewnie, zajmie się tym z przyjemnością! Już zapomielście, co zrobił w lesie?! – Avenel wpatrywał się w nich zbiegającymi oczyma wściekłego wilka. – Słuchajcie uważnie: klnę się na wszystko (a wiecie, że dotrzymuję przysięgi!), że on mnie nie złamie przy pomocy Brienne! Nie dostanie mnie tym sposobem!

Odrzucił kopniakiem piękne, zdobne w poręcze krzesło i wypadł z galerii, pozostawiając Rose i Cumberlanda. Na ich twarzach odmalowało się zdumienie, niedowierzanie i strach.



Brienne krążyła niespokojnie po dywanie z jasnej wełny, leżącym w jej sypialni. To czekanie doprowadzało ją do szaleństwa! Wiedziała, że prędzej czy później ktoś – Vivie, Cumberland, a może Avenel we własnej osobie? – wejdzie do jej pokoju. Wtedy właśnie ucieknie! Teraz jednak tkwiła tu beczynnienie i z trudem powstrzymywała się od walenia w drzwi swej luksusowej żółtej klatki i wrzeszczenia: „Wypuście mnie!” Zmusiła się jednak do cierpliwego czekania; próbowała się odprężyć. Może cisza panująca w sypialni uśmierzy ból głowy?... Miała wiele czasu na myślenie; zbliżał się wieczór i słońce zapadało za okoliczne lasy. W głowie Brienne zrodził się sprytny plan zmylenia wartujących przy bramie stróżów. Z pewnością do tej pory zostali uprzedzeni o przewidywanej ucieczce. Avenel bez wątpienia podjął wszelkie niezbędne środki ostrożności. Wiedziała jednak, że w przeprowadzeniu obmyślonego właśnie planu większą przeszkodę stanowią zamknięte drzwi jej sypialni niż dwóch zwalistych Skandynawów przy bramie.

Nadstawiała uszu, słysząc zgrzyt klucza w zamku. Coś szczęknęło, sprężynka odskoczyła i Brienne, stojąc w bezpiecznej odległości od drzwi, przygotowała się na spotkanie osoby, stojącej po drugiej stronie masywnej płyty z mahoniem.

– Wynos się! – rzuciła gwałtownym szeptem, ujrawszy na progu Avenela.

Nie zważał jednak na jej słowa; starannie zamknął za sobą drzwi na klucz. Brienne zauważyła, że jego oczy były martwe i szkliste. Domyśliła się, że dużo pił, choć jego opanowane, sprawne ruchy przeczyły temu.

– Mówię ci: zostaw mnie! – nastawała.

Przeraziła ją nonszalancja, z jaką położył klucz na gzymsie kominka i rozsiadł się na sofie. Zdjął wysokie czarne buty i cienkie wełniane pończochy. W całkowitym milczeniu Brienne przyglądała się jak ściąga je ze swych długich nóg. Po raz pierwszy zauważyła, że skaleczył się w rękę i krwawi. Nie czuła jednak współczucia, jedynie strach. Avenel zdjął pokrytą wykwintnym haftem kamizelkę i rzucił ją na podłogę. Potem spojrzął na dziewczynę oczyma pozbawionymi wszelkiego wyrazu i ściągnął białą, lnianą koszulę. Bez pośpiechu rozpiął zamszowe spodnie. Ze swego miejsca przy oknie Brienne obserwowała go z przerażeniem jak osaczona lisica. Zobaczyła blizny w dolnej części sprężystego

brzucha. Odwróciła wzrok, gdy Avenel rzucił na sofę ostatnią część ubrania. W ustach jej zaschło; serce tłukło się rozpaczliwie w piersi.

Powoli i z rozmysłem zbliżał się do niej. Gdy wreszcie – nazbyt szybko! – znalazł się przy niej, oczekiwała gwałtownej fizycznej napaści. Nie nastąpiło jednak nic prócz przelotnego zetknięcia się dwóch ciał, gdy popchnął ją pod ścianę.

– Tym razem będziesz mnie musiał wziąć siłą!

Odrzuciła głowę w bok, podkreślając tym swą odmowę. Czuła jego przesiąknięty alkoholem oddech. Porośnięta ciemnym futerkiem pierś otarła się o jej odkryty dekolt. Wbrew woli Brienne poczuła, że jej skóra czerwieni się pod tym dotknięciem i przebiegają po niej dreszcze.

– Nie sędzę – szepnął w gęstwinę rudych loków pachnących kapryfolium. Wdychał pełną piersią ten zapach. Potem pochylił się i poczuł oddech jej słodkich, spragnionych ust, nim zagarnął je w pocałunku.

Brienne zacisnęła powieki, chcąc odpędzić od siebie natarczywe wspomnienie ich miłosnej nocy. Odpychała muskularną pierś Avenela, manifestując swój protest. Nie zdołała jednak wyrwać się temu władczemu, nagiemu mężczyźnie, który napierał na nią biodrami; nie ulegało wątpliwości jak bardzo jest pobudzony. Brienne bała się spojrzeć w dół, toteż podniosła twarz ku górze... i ułatwiła mu w ten sposób wtargnięcie do wnętrza jej ust twardym językiem.

– Nie chcę! – protestowała rozpaczliwie, gdy wprawne palce rozpięły jej stanik. Wkrótce trzymał już w dłoni pełną pierś o różowym koniuszku. Z jakąś słodką goryczą Brienne zauważyła, że wypełnia ona dokładnie całe wnętrze jego dużej, opalonej ręki.

– Mówię ci: nie chcę!

Trzymając się za rozpięty stanik, podbiegła do kominka w poszukiwaniu pozostawionego na gzymsie klucza.

– Mogę cię skłonić do zmiany zdania, Brienne. I to bez trudu.

Podszedł za nią do kominka. W popłochu usiłowała znaleźć klucz, nim jednak go schwyciła, Avenel złapał ją za nadgarstek i odciągnął na sofę.

– O, Boże!... Mylisz się! Bardzo się mylisz! – rzuciła ze złością. Atakowała go rękami i nogami, usiłując wyrwać się z żelaznego uścisku. Przemocą położył ją na poduszce. Przysięgała sobie, że nie ulegnie! Nie tym razem!

– Nie będę się kochać z wrogiem! Nie chcę cię! Nie chcę!

Nim zdążyła dodać coś więcej, zamknął jej usta pocałunkiem. Pocałunek był długi i brutalny; pod koniec Brienne już się nie opierała. Jednak to nie napaść na jej usta pokonała ją ostatecznie. Sprawiała to ręka Avenela, która zakradła się na wewnętrzną stronę gładkiego uda. Jego

palce dotknęły wilgoci, kryjącej się pod trójkątem jedwabistych włosów o barwie wina. Brienne zaparło dech, zrobiło się jej gorąco, jakby w jej wewnątrz zapłonął ogień.

Jęknęła, gdy ściągnął ją z kanapy na podłogę. Odpychając znów jego nagą pierś, powiedziała rwącym się głosem:

– Skończ z tym szaleństwem!... Przestań, Avenelu!... Przestań!...

Wbiła mu paznokcie w skórę. On jednak nie zważał na nic poza swym opętaniem. Rozdarł jej stanik, zerwał suknię. Koszula nie była już żadną przeszkodą.

– Poproś ładnie... – Pochylił się i uszczypnął zębami wyprężony, wrażliwy sutek. – Do końca życia będziesz pragnąć mnie i tylko mnie.

– Wcale cię nie pragnę! Wcale! – Raz po raz odwracała głowę przed jego pocałunkami. Kiedy jednak usta Avenela dopadły jej ust, ich pieśczęta uczyniła ją niemal uległą. Potem poczuła jego wargi na szyi. Ugryzienia i liźnięcia sprawiły, że wyrwał się jej mimo woli jęk pożądania. Usta Avenela sunęły coraz niżej. Odrzucona koszula uwięzła pod łokciami Brienne. Gdy szorstki i delikatny równocześnie język dotknął koniuszka piersi, Brienne omal nie oszalała. Wrzała w niej burza sprzecznych uczuć i doznań.

– Poproś...

Wzniósł się nad Brienne, czekając na jej słowa. Jeszcze się opierała, ale zgłodniałe zmysły zbyt natarczywie domagały się zaspokojenia. Nie miała już siły walczyć. Po raz ostatni nieudolnie spróbowała zmusić go do opamiętania; ale ciemna głowa Avenela znów pochyliła się nad jej piersiami. Pożądanie wdarło się do jej duszy, jak powódź przez zerwaną tamę. Wiedziała już, że jest zgubiona. Bez słowa, bez świadomej myśli, schyliła głowę w bezradnym geście przyzwolenia.

– Powiedz to! – настаwał. – Powiedz sama, że mnie chcesz!

– Chcę! – zawołała na sekundę przedtem, nim zanurzył się w niej. Chora z pożądania, zacisnęła ręce na jego plecach, chcąc czuć najdrobniejszy ruch każdego mięśnia. Usta, które pierwsze ją zdradziły, poszukały ust Avenela. Ucałowała go równie zachłannie, jak on ją przedtem. Prawie natychmiast ogarnęły ją dreszcze. Była zupełnie bezbronna wobec tej udręki i rozkoszy. Poddała się z jękiem: wchłonał ją oszalamiający wir ich wspólnej namiętności i osiągnęła to, za czym tak nieopatrnie goniła. Czuła się zawieszona między dobrem a złem, rozdarta między pragnieniem serca i ciała. Jej jęk mógł być równie dobrze wyrazem najwyższej ekstazy, jak i ostatecznej rozpacz.

Kiedy się wreszcie oderwali od siebie, Avenel położył się na podłodze na wznak; spoglądał na kochankę sennym wzrokiem. Wydawał się



mniej spięty, Brienne dostrzegła nawet w jego oczach coś podobnego do skruchy. Była w nim jakaś miękkość, której nie widziała przedtem, gdy wkraczał do jej pokoju. Wydawało się, że demony, które go opętały, opuściły go, gdy dokonał tego, co mu podszeptęły. Brienne nie miała zamiaru czekać na ich powrót.

W milczeniu podniosła się z podłogi. Włosy zakryły jak welon jej pozbawioną wyrazu twarz. Avenel obserwował ją, spodziewając się słów pełnych gniewu i nienawiści. Nie padło jednak ani jedno. Zamiast tego Brienne, całkiem naga, podeszła do kominka i zdjęła ciężki, zielony wazon z sewskiej porcelany. Jednym przemyślanym ruchem roztrzaśkała go na ciemnej głowie, nim Avenel zdążył się uchylić.

– Ty bydlaku! – syknęła.

Dostrzegła zaskoczenie na jego urodziwej twarzy: nie spodziewał się takiego odwetu. Nim zwałił się na plecy i stracił przytomność, w jego oczach pojawił się błysk uznania.



Było bardzo ciemno, gdy Brienne podeszła do grupki małych obezwalnów, hasających bezprawnie po dworskim parku. Była niewielkiego wzrostu i ciasno owiązała sobie piersi szerokimi paskami batysty. Wyglądała podobnie jak reszta dzieci w podartej i brudnej sukni, bez ciepłej halki i bez butów. Z bioder zwisała, niczym olbrzymia kieszeń, torba ze zgrzebnego płótna. Brienne trzęsa się z zimna.

– Kto chce pasztecika z gołębim mięsem?

Wyciągnęła przysmaki, które wykradła z kuchni, nim wyszłizgnęła się z domu.

Dzieci – nieufne wobec obcych, zwłaszcza tych z dworu – początkowo przyglądały się Brienne podejrzliwie. Nie przypominała jednak wcale imponujących, odzianych w atłasy postaci, które widywały niekiedy z daleka. W swoich łachmanach wyglądała raczej na dziecko niż na dorosłą osobę. Jej delikatna, kremowa skóra i wymowne ametystowe oczy nie ginęły pod warstwą kosmetyków. Po cichutku dzieciarnia przysuwała się coraz bliżej, jak zabiedzone zwierzątka spragnione pożywienia, które im podsuwała.

– Naprawdę fajne. I świeżutkie! – zachwalała Brienne, drżąc z niepokojem, że nie pozyska ich zaufania. Nie musiała jednak długo przekonywać dzieci o swych dobrych intencjach. Wygłodniałe, nędzne istoty były oczarowane piękną żebraczką o niezwykłych, purpurowych włosach, których nie zdołała całkiem ukryć pod brudnym czepkiem. Jej fiołkowobłękitne oczy mówiły wyraźnie, że i ona wie, co to krzywda i zdrada.

– Fajne, mówisz? – Chudziutki chłopiec podszedł bliżej. – Skąd je masz?

Zmierzył Brienne podejrzliwym spojrzeniem.

– Ukradłam – odparła. – Miały iść na pański stół. Będą się musieli bez nich obejść!

Któres z dzieci parsknęło łobuzerskim śmiechem i wkrótce śmiały się już wszystkie. Lubiły takie gadanie prosto z mostu! Jedno po drugim wyciągało rękę po paszteciki, aż ich w końcu zabrakło.

– Wynocha stąd, zanim wam skroję tyłki!

Wyższy z dwóch jasnowłosych osiłków strzegących bramy ukazał się nagle i krzyknął na dzieci. Nie szczędząc oberwańcom przekleństw, przepędził ich z Osterley Park. Zgodnie z oczekiwaniami Brienne, nie zwrócił uwagi na brudną dziewczynę ze spuszczoneymi oczami, w podartej, niegdyś różowej, polonezce.

Dzieci pospiesznie rozbiegły się wzdłuż ogrodzenia, śmiejąc się złośliwie z irytacji olbrzyma. Brienne zauważyła, że jeden z chłopców zniknął w wygrzebanej w ziemi dziurze. Poszła w jego ślady, ale ponieważ była większa, omal nie utknęła. Zdołała się jednak jakoś przepchać i znalazła po drugiej stronie ogrodzenia. Uciekać! Uciekać jak najdalej od Osterley Park!



*Część druga*

# *Bath*

*Cóż za wdzięczny upadek do grobu...*

James Quin



Gdy tylko zniknęły ostatnie promyki światła dziennego, cała okolica została spowita gęstą mgłą i mrokiem. Zziębnięta, zmoknięta Brienne ze smutkiem spoglądała za dziećmi, które rozbiegły się we wszystkie strony, niknąc w ciemnościach nocy. Każde z nich wracało do swej nory. Brienne żałowała, że nie może się należycie odwdzińczyć tym dzieciakom. Nie miały nawet pojęcia, jak wielką wyrządziły jej przysługę.

Popatrzyła na swą przemoczoną i ubłoconą polonezkę. Mimo że starannie owinęła gors pasami płótna, trzęsa się z zimna. Choć była już wiosna, przejmujący chłód nadchodzącej nocy przywodził na myśl raczej zimę. Marząc o ciepłej wełnianej sukni i grubym płaszczu, Brienne przemknęła ukradkiem po błocie pod okap najbliższej stojącej chaty; szukała ustronnego kąta, by przebrać się w podróżny strój. Zrobiło się jej jeszcze zimniej, gdy ściągnąwszy z siebie splugawiony różowy jedwab i płócienne bandaże, grzebała w worku, szukając sukni z brązowej wełny. Znalazłszy wreszcie, wciągnęła ją na wilgotną koszulę, zapięła na wszystkie guziki i od razu zrobiło jej się cieplej. Włożyła następnie szorstkie pończochy robione na drutach i ciemnoczerwone buty do konnej jazdy (prezent od Avenela; przysięgła sobie, że odeśle mu kiedyś pieniądze!), otuliła się płaszczem i pozbierała wszystko, co mogło naprowadzić na jej ślad. Strzępy materiału schowa tak, by nigdy nie wpadły Avenelowi w ręce.

– O, mój Boże!...

Odwróciła się nagle i ujrzała wlepione w siebie żółte, kocie oczy Jill. Dziewczyna była jak zawsze czystułka; ściągnięte bezlitośnie do

tyłu włosy upięła ciasno na karku. Na szyi miała chustkę, a do paska niebieskiej wełnianej sukni przyczepiła dwie „kieszonki” z żółtego płótna – znak, że skończyła na dziś pracę u ślepej staruszki i wraca do domu.

Brienne obserwowała niemowę; nie wiedziała, czy powinna wyjaśnić jej jakoś, skąd się tu znalazła, czy też wziąć od razu nogi za pas – znała przecież oddanie Jill dla Avenela-dobroczyńcy. Los rozstrzygnął za nią. Obie zauważyły z daleka zamieszanie przy bramie Osterley Park i wyjeżdżający stamtąd zastęp mężczyzn na niespokojnych koniach. Wydano jakieś rozkazy i jeźdźcy popędzili we wszystkie strony. Mimo że Brienne była ukryta w głębokim cieniu pod okapem, nie potrzebowała dalszej zachęty do ucieczki. Wyobraziła sobie krwiożerczy grymas na twardej jak skała twarzy Avenela. Spojrzała znów na Jill; w bursztynowych oczach dziewczyny mignął zdradziecki błysk. To wystarczyło; w ułamku sekundy Brienne podjęła decyzję.

Gdy tylko niemowa wybiegła spod dachu pani Blake, by sprawdzić jak najszybciej Avenela, Brienne machnęła ręką na wszystkie dowody ucieczki. Chwyciła tylko płócienną torbę. Ściskając ją w garści, pomknęła jak szalona przez zimne, tonące w mroku łąki. Była pewna, że nie odnajdą jej po ciemku; nawet księżyc nie sprzyjał poszukiwaniom: skrył się za chmurami.



– Uciekła do Walii. Z całą pewnością! Gdzież by indziej pojechała, jak nie do tej okropnej dziury, Tenby?... Nie zna przecież żadnych innych miejscowości!

– A jeśli znalazła inne wyjście?... Może wyruszyła do Londynu szukać szczęścia? Z pewnością wkrótce się zorientuje, że wielu bogaczy oddałoby nie wiem co, by się „zaopiekować” tak piękną i niezwykłą dziewczyną jak ona – odparł Cumberland.

– Niech cię diabli! Licz się ze słowami!

Avenel walnął pięścią w stół z żółtodrzewu z taką siłą, że omal nie odpadło spiralne obramowanie blatu, jakby wyjęte ze zbioru rycin *Brytyjskiego Witruwiusza*.

– Przeciągnąłeś strunę! Doprowadziłeś ją do ostateczności: nie wytrzymała napięcia! Cóż, chyba to i moja wina. Powiniennem był pomóc jej w ucieczce tamtej nocy, którą musiała spędzić w stajni... tak jak dwadzieścia lat temu pomogłem ci uciec z tamtego statku. Ale wtedy byłem prostym majtkiem, nie wielkim bogaczem jak teraz – przeciwstawił się Avenelowi Cumberland; jego niebieskie oczy pełne były niepokojem i poczuciem winy.



– Zrobiłem to, co musiałem – odparł Avenel cichym, obojętnym głosem.

– Czyżby?! – rzucił ostro Cumberland.

– Dość tego! – Rose weszła do biblioteki od strony korytarza. – Nie życzę sobie dalszych kłótni!

– Nie wtrącaj się! – warknął Avenel, zapominając o zwykłych względach dla kuzynki. Obracał w palcach bezcenny strzęp brudnoróżowego jedwabiu, leżący na jego kolanach.

– Właśnie że będę! Nie mam zamiaru się z wami patyczkować! Wy tu sobie skaczecie do gardła, a tam Brienne błąka się samiuteńka i bez grosza przy duszy... Może nawet żebrze o jedzenie?... A ponieważ już nie jest... – Urwała i zmierzyła Avenela oskarżycielskim wzrokiem. – Musimy zrobić co w naszej mocy, żeby powstrzymać ją od...

– Dość tego! – Avenel przegarnął drżącą ręką rozwichrzone włosy. Westchnął ciężko, potarł zmęczone oczy palcami. – Sam ponoszę za to odpowiedzialność. To wyłącznie moja wina. Jeszcze dziś w nocy wyruszam do Walii. Znajdę ją, nim umrze z głodu albo zejdzie na manowce, przysięgam!

Zerwał się z nieprzytomnym wyrazem twarzy i skierował do drzwi. Cumberland chwycił go za rękaw.

– Wiesz przecież, Slane, że nigdy nie miałem dzieci. – Zamilkł na chwilę. – Nigdy nie miałem córki. Nigdy nie będę jej miał. – Spojrzał przyjacielowi prosto w twarz błagalnym wzrokiem. – Kiedy odnajdziesz Brienne, nie myśl o tym, że to jego córka. Traktuj ją tak, jakby była moja. Zasluguje przynajmniej na tyle.

Puścił rękaw Avenela i opadł ciężko na jedno ze złocistych jak miód poręczowych krzesel. Był wyraźnie zgnębiony i niesłuchanie znużony.

Avenel popatrzył na niego i skinął sztywno głową, wpatrując się w mrok za oknem. Była to już druga bezsenna noc.



Wokół panował całkowity bezruch; nawet drzewa stały sztywno w pancerzu szronu, który oblepił każdą gałąź, każdy sęk. Brienne wędrowała od trzech dni, rzadko zatrzymując się na spoczynek i ani razu na posiłek. Jej nogi uniezależniły się od reszty ciała; brnęły uparcie na zachód przez wiosenne roztopy. Jedyny radosny element pejzażu stanowiły jaskrawoczerwone narzutki wieśniaczek, odbywających codzienne wędrowki pomiędzy starymi miasteczkami rozsianymi na Wyżynach Cotswold. Poprzedniego dnia Brienne podeszła do jednej z tych kobiet, która niosła na ramieniu kosz ciepłych, brązowozłotych,

plecionych bochenków. Z fałd płótna, którym pieczywo było owinięte, unosiła się woń gorącego jeszcze chleba. Pokusa okazała się zbyt silna. Wygłodniała dziewczyna, z fiołkowymi, wielkimi jak spodki oczyma i ze ściśniętym z głodu żołądkiem, zagadnęła wieśniaczkę.

– Dzień dobry! – powiedziała, zapominając o swej uszarganej w błocie spódnicy i rozczochranych włosach – Jak ten chleb cudownie pachnie!

– No pewnie!

Kobieta uśmiechnęła się dobronudownie; wcale na nią nie patrzyła, wymieniając powitania z przejeżdżającymi właśnie na wozie sąsiadkami.

– Po prostu kusi!

Brienne oblizała wargi, popękane i krwawiące od zimna i wiatru.

– A masz czym zapłacić? Chleb jest na sprzedaż, nie dla żebraków!  
– Wieśniaczka przyjrzała się Brienne podejrzliwie. – Nie wyglądasz mi na taką, co by miała... – Dech jej zaparło, gdy spojrzała w niezwykle, fiołkowe oczy Brienne. Odzyskawszy mowę, kobieta wybuchnęła: – Ale niesamowite ślipia! Możeś ty wiedźma i chcesz mnie urzec?...

– Wiedźma? Nie jestem żadną wiedźmą! – broniła się Brienne.

– I kudły tyż jak u odmieńca!... Pani Crocker ciągiem się skarży, że ktoś ją urzekł, i bez to straciła dwóch tęgich chłopaczków. Boży się, że nic dzieciakom nie było, póki jej wiedźma nie zastąpiła drogi, i bez to, jak przyszła jej godzina, oba niebożątka podusiły się, nim z niej wyszły! Wszyściutko bez tę wiedźmę i jej czarne serce!

Wieśniaczka w czerwonej narzutce odsunęła się od Brienne; chleb stał się prawie nieosiągalny.

– Proszę nie odchodzić! Bardzo żal mi pani Crocker... Taka jestem głodna... dajcie choć kawałek chleba!

– Jeszcze mnie urzekniesz i zatrujesz moje bochenki!

Kobieta uciekała co sił w nogach. Czerwona narzutka powiewała za nią na wietrze.

– Nie, nie!

Brienne patrzyła z przerażeniem, jak upragniony chleb z koszyka nieznajomej znika ostatecznie.

– Wynocha! Jeszcze mnie kto zobaczy z wiedźmą!

To były jej ostatnie słowa skierowane do Brienne. Zrozpaczona dziewczyna została znów sama na pustej drodze do Bath.

Jednak następnego dnia owa przygoda niewiele już wzruszała Brienne. Jedzenie wydawało jej się czymś odległym i mało ważnym. Nie czuła już głodu. Zresztą w ogóle niewiele już czuła. Mimo to brnęła nadal,

krok za krokiem, po stromym, gdzieniegdzie jeszcze zaśnieżonym zboczcu; kiedy jednak dotarła na szczyt, widziała przed sobą następne wzniesienie. Tylko strach przed Avenelem sprawiał, że wciąż szła naprzód.

Po ich ostatnim spotkaniu Brienne pragnęła tylko jednego: oddalić się jak najbardziej od Osterley Park. Nawet perspektywa spotkania z ojcem w Bath wydawała się jej znośna; byleby tylko uniknąć łap Avenela! Brienne zdawała sobie sprawę, że wyprawa do Bath jest ryzykowna. Miała nadzieję, że hrabia istotnie bawi w swojej londyńskiej rezydencji, jak przypuszczał jego doradca prawny. Musiała jednak być przygotowana i na inną, groźną ewentualność: jej ojciec mógł zatrzymać się w Bath.

Tak więc podczas długich godzin wyczerpującej podróży Brienne opracowała pewien plan. Postanowiła udać się do rezydencji ojca w charakterze służącej, która poszukuje pracy. Po zasięgnięciu informacji na temat hrabiego, podejmie odpowiednią decyzję. Nie miała pojęcia, co pocnie, jeśli przyjdzie jej opuścić Bath, by uniknąć spotkania z ojcem. Mimo że nieustannie o tym rozmyślała, ani rusz nie mogła sobie przypomnieć żadnej krewnej mamy czy jej dawnej przyjaciółki, u której być może znalazłaby schronienie. Jeżeli hrabia przebywał w Bath, jedynym rozwiązaniem był powrót do Walii. Ale skąd zdobyć pieniądze na podróż?... W Walii jednak byłaby bezpieczna. Hrabia nie miał pojęcia o miasteczku, w którym mieszkały z matką. I nagle Brienne zbladła: jej starannie opracowane plany rozpadły się w proch: Avenel wiedział o Tenby!

Avenel... To imię rozbrzmiewało echem w jej udreżonym mózgu, wywołując okropne bóle głowy. Od kilku dni Brienne pełna była wzdargi, nienawiści i odrazy do siebie. Jak mogła być aż tak głupia? Dać się zaciągnąć do łóżka jakiemuś amerykańskiemu rozpustnikowi i hazardziście?! Przecież po tym, jak hrabia zgwałcił jej matkę, przysięgła sobie, że jej samej nigdy to nie spotka!

W głębi duszy wiedziała jednak, że nie można porównywać ze sobą tych dwóch przypadków. Choć znieawidziła Avenela za to, że śmiał nią manipulować, pożądała go równie mocno jak on jej. Wiedziała, że go kocha, choć jej rozsądek buntował się na samą myśl o tym. Nawet ostatniego wieczoru, gdy Avenel zjawił się w jej sypialni, wściekły i pijany, pragnęła go. Dzięki niemu poznała rozkosz, która była dla niej zarówno zgubą, jak i ocaleniem. Choć chciała go zamordować w chwili, gdy stoczył się z niej po ostatnim stosunku, zdobyła się tylko na to, by rozbić mu na głowie zielony wazon z sewskiej porcelany... Dzięki temu nie mógł jej przeszkodzić, gdy przebierała się w podartą różową suknię i uciekała z Osterley Park. Przemówiła do niego po raz ostatni, kiedy

leżał u jej stóp nagi, piękny i bezbronny. Głosem drżącym z gniewu i bólu powiedziała:

– Ty opętana bestio! Już mnie nie wykorzystasz w twojej przeklętej wojnie! Od tej pory tocz ją sobie sam w Osterley!

Po tych słowach przyklęła obok Avenela i z goryczą w sercu pocałowała go w usta. Jeszcze większy, niewysłowny ból czuła na myśl, że nigdy go już nie zobaczy, i na wspomnienie tego, co było przyczyną ostatecznego rozstania.



Kamienne budynki georgiańskiego kurortu tuliły się do stoków złocistych wzgórz nad rzeką Avon. Kiedy Brienne ujrzała po raz pierwszy Bath, była olśniona jego bogactwem i wspaniałością. Postanowiła, że nie wkroczy do miasta główną ulicą; paradowało po niej mnóstwo znakomych osobistości; Brienne była zbyt świadoma swego nędznego wyglądu, by mieszać się z tłumem poetów, satyryków i ich mecenasów. Tak więc łąkami, na których pasły się owce, dotarła do wyżej położonych dzielnic Bath. Teraz zaś, znalazłszy się na ruchliwej Milsom Street, przy której mieściły się eleganckie wypożyczalnie książek i księgarnie, poczuła się zagubiona i przerażona: jak też w labiryncie tylu ulic odnajdzie rezydencję ojca?...

Wędrowała w swym nędznym stroju, czując się całkiem nie na miejscu w tym otoczeniu. Mijały ją wytworne damy i panowie, dumni jak pawie w swych różnobarwnych atłasach, aksamitach i brokatach; przeważnie niesiono ich w prostokątnych, czarnych lektkach. Ten i ów obejrzał się za Brienne, wstydziła się jednak spytać ich o drogę. Gdy tak szła po Milsom Street, poczuła zawrót głowy: trudy ostatnich kilku dni dawały o sobie znać.

Jakiś mężczyzna w ciemnoczerwonych aksamitach zderzył się z nią. Spostrzegłszy ubogi strój dziewczyny, burknął grubiańsko: „Z drogi, dziwko!” i wszedł do sklepika modniarskiego, którego witryna pełna była atłasowych wstążek wszelkich kolorów; od seledynu i płomiennego oranżu do ciemnych, soczystych odcieni szafiru, rubinu i szmaragdu.

Brienne tępo wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął gbur. Była zbyt wyczerpana, by jego obelgi mogły ją dotknąć. Czuła, że nie wytrzyma już długo bez jedzenia. Marzyła tylko o jakimś dachu nad głową... bez konieczności spotkania z Oliverem Morrowem.

Idąc dalej wznoszącą się w górę ulicą, dostrzegła zabiedzoną, nędznie odzianą kobietę, która sprzedawała kwiaty na rogu. W nadziei, że otrzyma od niej potrzebne informacje, Brienne przyglądała zmierzwiłone włosy i podeszła do kwiaciarki.

– Bardzo przepraszam, szukam...

– Nie trza nam tu więcej dziadówek! – Starucha roześmiała się, ukazując bezzębne dziąsła. – Wynocha stąd, psujesz mi interes!

Strzyknęła gęstą, zieloną flegmą i obciągając przetruszczone, wyszarżaną spódnicę, odwróciła się tyłem do Brienne.

– Pani mnie źle rozumiała... Chciałam tylko o coś zapytać. Royal Crescent... Czy może mi pani powiedzieć, gdzie to jest? – spytała Brienne znużonym głosem.

– Na Royal Crescent się wybiera, no, no! Pierwsza lepsza pomywaczka stamtąd to haligantka przy tobie, moja panno! – Łypnęła na Brienne niechętnym okiem. – ...Ale widzę, że i tak z ciebie ślicznotka!... Może kupisz ode mnie kwiatka, jak się wybierasz na Royal Crescent?

Uśmiechnęła się znowu, ukazując szerniałe dziąsła; z podsuniętego koszyka buchnął na Brienne mdły, słodkawy zapach zwiędłych fiołków.

– Nie, nie! Dziękuję.

Opanowała jakoś mdłości.

– No to nie zwracaj mi głowy! Ja tu pracuję, rozumiesz?

Kobieta z wyraźnym żalem chwyciła koszyki z fiołkami i różnobarwnymi tulipanami i poczłapała na inny róg, gdzie nie było konkurencji.

Brienne przytknęła drżącą rękę do ust i zmarszczyła czoło. Mimo odejścia kwiaciarki uprzykrzony zapach fiołków nadal przyprawiał ją o mdłości. Nagle poczuła ciężar wszystkich problemów, które waliły się na nią, odkąd uciekła z Osterley. Z przywilejów należnych jej z racji urodzenia dawno już zrezygnowała; drażniło ją jednak, że ona – córka wielkiego pana – stała się po prostu nędzarką błakającą się po ulicach Bath, której nikt nie chce nawet wskazać drogi. To ją nazywano wiedźmą, to dziadówką... Uświadomiła sobie nagle, że zawsze była wyrzutkiem. Tylko w Osterley, gdzie najmniej mogła się spodziewać gościnnego przyjęcia, czuła się przez jakiś czas jak w domu...

Uprzytomniwszy sobie tę ironię losu, Brienne omal się nie załamała. Może lepiej poszukać sobie jakiejś łąki, gdzie nie ma nikogo i pasą się tylko owce?... Położy się tam w trawie, zamknie oczy i nie otworzy ich więcej. Spotka się znowu ze swą mamą... Tylko ona ją kochała. Wargi Brienne zdrząły na wspomnienie matki; nieproszone czarne myśli zbierały się jak chmury przed burzą.

– Wybacz, piękna panienko. Niechcący podśluchałem rozmowę. Szuka pani Royal Crescent?

Łagodny męski głos wyrwał Brienne z chorobliwych myśli. Podniosła głowę i ujrzała parę brązowych oczu, spoglądających na nią z zachwytem. Wpatrując się w ich kojącą głębie, pomyślała, że – być może – nie wszystko jeszcze stracone?...

– Szuka pani Royal Crescent? – spytał ponownie młody człowiek. Jego maniery były doskonałe, spojrzenie ciepłe i przyjazne. Od pierwszej chwili nie zwracał uwagi na brudną, sfatygowaną odzież Brienne; widział tylko kryjącą się pod tym przebraniem kobietę.

– Tak... – odparła z wahaniem Brienne, spuszczać oczy pod jego zachwyconym wzrokiem. Pospiesznie zasłoniła włosy kapturem. Nieznajomy wydawał się urzeczony ich niezwykłą barwą; zaniepokoiło to dziewczynę. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. A nuż hrabia jest w Bath?...

Przyjrzała się uważnie nieznajomemu. Nie był specjalnie wysoki ani potężny; wydawał się jednak silny i zręczny. Miał pociągającą twarz. Nie była ciemna ani przejmująca, ale mimo to zwracała uwagę. Mężczyzna przypominał antyczne posągi, stanowiące ozdobę hallu w Osterley Park. Jasne włosy były starannie związane na karku, nad oczami widniały delikatnie zarysowane łuki złotobrazowych brwi. Prosty nos o lekko wydętych nozdrzach znamionował niezależność charakteru. Brienne natychmiast poczuła zaufanie do tego młodzieńca, nie zapomniała jednak o bolesnej nauczce, którą otrzymała w Osterley Park. W końcu odpowiedziała nieznajomemu.

– Tak, szukam Royal Crescent.

– Może mógłbym pomóc? Idzie pani w złym kierunku. Należy udać się w górę Milsom Street, potem przez King's Circus i... – Młodzieniec nagle zmarszczył czoło, jakby dopiero teraz zauważył zmęczenie Brienne. – Lepiej chyba sam panią odwiozę. Szczerze mówiąc, obawiam się, że nie dotarłaby tam pani o własnych siłach. – Ruchem głowy wskazał błyszczący powóz na resorach, który czekał na niego u wylotu ulicy. – Pani pozwoli... – uprzejmie podał jej ramię.

– Obawiam się, że nie mogę skorzystać.

Brienne cofnęła się. Ten nagły ruch przyprawił ją o zawrót głowy. Nie wiedziała, jak sobie tłumaczyć wielkoduszną propozycję nieznajomego.

– Proszę, niech się pani zgodzi, księżniczko! Jeszcze mi pani zemdleje!

Chwyił ją za ramię i podtrzymał. Uścisk jego palców był ciepły i miły.

– Dlaczego nazywa mnie pan księżniczką?... – mruknęła; to określenie wcale nie pasowało do jej oplakanego wyglądu.

– Nic w tym dziwnego. Wystarczy posłuchać: mówi pani jak wielka dama, księżniczko. – Przyjrzał się jej dyskretnie. – A choć ukryła się pani pod tym brudnym płaszczem, jestem pewien, że wygląda pani również jak wielka dama!

– Pomylił się pan, niestety – odparła pospiesznie. – Chcę znaleźć na Royal Crescent posadę służącą.

– Pomyliłem się czy nie, i tak panią tam odwiozę. Proszę się zgodzić! – uśmiechnął się ujmująco, po chłopięcemu.

Brienne jeszcze się wahała, ale gdy nieznamy podprowadził ją do powozu, pomyślała sobie, że prawdziwa służąca nigdy by nie przepuściła takiej okazji. Niezrozumiałym oporem zwróci na siebie tylko większą uwagę.

Znalazłszy się we wnętrzu wielkiego czarnego powozu, zaczęła po-wątpiewać o słuszności swojej decyzji. Powinna raczej wyciągnąć od nieznanego dokładne informacje, podziękować mu serdecznie i ruszyć pod górę na własnych nogach.

Jednak wyściełane, obite skórą siedzenia i całe wygodne wnętrze powozu skłoniły Brienne do zmiany zdania. Gdy usiadła, uświadomiła sobie, że jest śmiertelnie zmęczona. Tak zmęczona, że mogła w każdej chwili upaść i wylądować w rynsztoku. Obserwowała młodego człowieka: zajął miejsce naprzeciw niej i zastukał na stangreta, by ten ruszał. Uśmiechnęła się do nieznanego, modląc się w duchu, by zawiózł ją rzeczywiście na Royal Crescent, a nie do własnego mieszkania.

Gdy jechali ulicami Bath, młodzieniec wpatrywał się w ubrudzoną, delikatną twarzyczkę Brienne.

– Czy do Royal Crescent jest bardzo daleko? – spytała grzecznie.

– Niezbyt daleko... ale nie mogę obiecać pani, że zaraz tam będziemy. Bardzo niewygodnie jest jeździć powozem po Bath.

Uśmiechnął się znów, ale Brienne spuściła oczy; jego zaciekawiony wzrok bardzo ją niepokoił. Zauważyła wówczas, że jadą niezwykle wolno, by uniknąć zderzenia z jakąś lektyką; było ich tu pełno. W końcu zaczęła wyglądać przez okno i poczuła się raźniej.

Przejeżdżali właśnie przez King's Circus; trzy półkoliste budowle utrzymane w stylu architekta Andrei Palladia otaczały wielki brukowany plac. Ogromne zmęczenie przyćmiło nieco jej entuzjazm, ale trudno byłoby nie dostrzec, jak wspaniałe są mijane gmachy, ozdobione kolumnami w trzech antycznych porządkach: doryckim, jońskim i korynckim oraz sterczącymi nad poziomem dachu złotawymi zwieńczeniami w kształcie żołądzia.

– Podwiezienie mnie to niezwykła uprzejmość z pańskiej strony.



Uśmiech Brienne był nieco drżący. Przyglądając się obszernemu wnętrzu powozu i eleganckiemu strojowi jego właściciela (najlepsza wełna, piękna purpura, hafty), upewniła się, że jest on człowiekiem bogatym. Może nawet arystokratą?... Przypomniała sobie jednak, że na drzwiczkach powozu nie było herbu.

– To doprawdy nic wielkiego.

– Często pan zaprasza do swego powozu zbłąkanych żebraków? – spytała znacząco.

– Nie. Tylko wtedy, gdy olśniewają urodą.

Ta uwaga i spojrzenie jego ciemnobrązowych oczu odebrały Brienne mowę. Nie odzywała się już, dopóki powóz nie zatrzymał się na Brock Street.

– Czy to już Royal Crescent?

– Mój stangret pyta o numer domu.

Gdy na nią spojrział, nie potrafiła ukryć konsternacji.

– Numer domu?... – powtórzyła niespokojnie.

– Cóż, Royal Crescent składa się z ponad trzydziestu rezydencji. Która z nich panią interesuje, księżniczko? – spytał łagodnie.

– Nie mogę sobie przypomnieć. – Rozmyślała gorączkowo, usiłując znaleźć właściwy numer. Tego by jeszcze brakowało, by trafiła do niewłaściwego domu! – Słyszałam, że jest pierwszy z brzegu... Chyba pierwszy?...

– Dom pod numerem pierwszym na Royal Crescent. Czy tam właśnie mamy stanąć?

– Tak, tak! Doskonale.

Brienne gryzła dolną wargę, gdy jej towarzysz wydawał stangretowi jakieś instrukcje przez okno. Powóz znów ruszył.

Brienne znowu ogarnęły wątpliwości. Co się stanie, jeśli hrabia mimo wszystko przebywa w Bath?... Czy będzie mogła wówczas wrócić do Tenby?... A może Avenel okazał się sprytniejszy od niej i już tu na nią czeka?... Albo pod nieobecność hrabiego służba nie uwierzy jej, że jest córką Olivera Morrowa?... Albo...

Przez mózg przelatowały jej setki pytań. Stanowczo zbyt szybko zatrzymali się pod numerem pierwszym.

– Pani pozwoli...

Młody człowiek wyskoczył z powozu i wyciągnął rękę, by pomóc Brienne przy wysiadaniu. Obejrzała się nerwowo na zwrócony w stronę Brock Street budynek. Miał dwa piętra ozdobione jońskimi kolumnami i parter w stylu wiejskim. Nie widziała całości, gdyż półkolisty budynek skręcał niejako za róg. Dzięki temu nie przytłaczał tak swym ogromem. Brienne zwróciła się do młodego człowieka, by mu podziękować.

– Tak wiele pan dla mnie zrobił...

– Chętnie zrobiłbym znacznie więcej, księżniczko. – Uśmiechnął się do Brienne. Był od niej niewiele wyższy, zaledwie o parę centymetrów. – Czy ktoś tu na panią czeka? Może kogoś przywołać?

– Nie, nie! – odparła pospiesznie; nie miała pojęcia, jak ją tu przyjmą. – I tak zajęłam panu zbyt wiele czasu. Z pewnością ma pan mnóstwo zajęć, może się pan przeze mnie spóźnił na jakieś ważne spotkanie?...

– Czy mogę towarzyszyć pani aż do drzwi?

Spojrzał na schody opadające łukiem od parteru do wejścia dla służby. Brienne zauważyła je również, ale powiedziała sobie, że jeśli wejdzie do rezydencji ojca, to tylko frontowym wejściem, jak przystało lady Brienne.

– Nie, dziękuję panu – odparła, zerkając na drugie schody, prowadzące do ozdobionych frontonem głównych drzwi domu. – Nie byłam tu od bardzo dawna – skłamała. – Obawiam się, że długo potrwa, nim zapoznam się z tym budynkiem na nowo.

– Czy pani rodzina tu pracuje? Czy pozostanie pani tutaj przez dłuższy czas? – dopytywał się.

– Trudno mi powiedzieć – odparła wymijająco.

– No cóż... Może przynajmniej zdradzi mi pani swe imię?

– Nazywam się Brienne...

Nie dokończyła.

– Po prostu... Brienne?

Uniósł delikatnie brwi.

– Tak, po prostu Brienne.

– Piękne imię, w sam raz dla pięknej kobiety. Kiedy znów panią ujrzę, Brienne?

– Bardzo mi przykro, ale... Dziękuję panu za wszystko.

Potrząsnęła głową i ruszyła po schodach na górę, ku wyraźnemu zakoczeniu młodzieńca. Zbliżała się do drzwi frontowych ze zmarszczonym niespokojnie czołem. Wiedziała, że młody człowiek nadal obserwuje ją z ulicy. Znów jej się zrobiło niedobrze; ze strachu, bez wątpienia. Bardzo się bała tego, co przyniosą jej następne minuty; serce zamierało z lęku. Na myśl o ojcu zaschło jej w ustach, ogarnęła ją panika. Mógł być przecież w tym domu... Może ją nawet w tej chwili obserwował z okna salonu?... Przypuszczenie było tak okropne, że Brienne omal nie zemdląła. Potem jednak wróciła myślą do Osterley Park i jego despotycznego władcy. Chwyliła piękną mosiężną kołatkę i zastukała do drzwi.

Otworzyły się natychmiast.

– Słucham? – spytał kwaśno lokaj.

– Ja... ja...

Brienne z trudem przetykała ślinę. Czemuż wiatr musiał właśnie w tej chwili powiać od strony kuchni?... Odurzyła ją intensywna woń pieczonego mięsa: wołowiny i jagnięcia. Ten atak z powietrza był ponad siły dziewczyny o pustym żołądku i z zawrotami głowy.

– Gadaj, czego chcesz, dziewczucho! Bezcelności ci nie brak: dobiegać się od frontu! Dla takich jak ty jest wejście na dole! – Lokaj ubrany w czerwoną liberię ze złotym galonem aż trząśł się z oburzenia. Potem obrzucił Brienne podejrzliwym spojrzeniem. – Mallorej cię tu przysłał, co? Chce mnie drań wykurzyć z jedynej porządnej posady, jaka mi wpadła w ręce!

– Nie, nie! Nikt mnie tu nie przysyłał. Ja... – Uchwyciła się kurczowo żelaznej poręczy obok drzwi, chcąc zachować równowagę. – Szukam pracy. Czy pan hrabia przebywa w rezydencji?

– Hrabia?! – zdumiał się lokaj. Potem jednak wykrzyknął z chytrym, niby to dobrodusznym uśmieszkiem: – Więc jednak to Mallorej cię przysłał! Możesz mu powiedzieć, że nie skuszę się nawet na taką lalunię jak ty! Sprawuję się jak złoto od dwóch tygodni! Też coś! – prychnął z pogardą, przymykając drzwi.

– Chwileczkę! Proszę mi powiedzieć – wyjąkała gorączkowo – czy hrabia jest w rezydencji?

– Hrabia? Czego ty chcesz od hrabiego?

Lokaj otworzył znowu drzwi i przyglądał się jej ciekawie.

– Niczego nie chcę... Szukam po prostu pracy – wyszeptła Brienne. – Więc jest tutaj?...

– Niech to szlag! – Lokaj uderzył się po kolanie i wybuchnął śmiechem. – Ten podły rajfur Mallorej! Co mu za kawały w głowie?! Nie masz co liczyć na hrabiego, dziewczuszko! Bierz słodką dupcię w troki i wracaj do tego bydlaka. Powiedz mu, że nic z tego! – Nagle zeszczywniał; z głębi domu doleciał jakiś hałas. – Masz ci los! Lezie tu pani Whatsome! Już cię tu nie ma! I powiedz Mallorejowi, że dość już tych sztuczek!

– Nigdzie nie pójdę. Muszę się dowiedzieć, czy hrabia jest w rezydencji!

Brienne nie odrywała oczu od zamykających się drzwi. Zachwiała się nagle, nie mając pojęcia, czy przyczyną był głód, czy dolatujące z kuchni zapachy, czy może bolesne przejścia ostatnich kilku dni. Poczerniało jej przed oczami. Nadal nie miała pojęcia, czy hrabia przebywa w Bath. Trzymając się kurczowo żelaznej poręczy próbowała zejść

ze schodów. Stokroć lepiej zemdleć na ulicy niż na progu hrabiowskiej rezydencji.

Było już jednak za późno. Wszystkie siły ją opuściły. Zatoczyła się do tyłu i padła bez czucia w wyciągające się ku niej ramiona. Powieki jej opadły. Nie dostrzegła przerażonej twarzy gospodyni, która stanęła w drzwiach.

Na widok bezwładnej, nędznie odzianej postaci osuwającej się w mocne męskie ramiona, pani Whatsome zawołała do wybawcy dziewczyny:

– Niech Bóg panu wynagrodzi, panie Harcourt! Przecież to Brienne Morrow! Od razu ją poznałam po tych włosach, choć jak ostatni raz ją widziałam, była jeszcze dzieckiem!

## 22

Ostry zapach podetkniętego pod sam nos amoniaku sprawił, że Brienne szarpnęła się gwałtownie do tyłu z wyraźnym wstrętem. Otworzyła oczy i ujrzała ściany w kolorze pruskiego błękitu i kanapę z obiciem, którego wzór przypominał języki ognia. Na niej właśnie położono Brienne. Był to zupełnie nieznaną jej pokój.

– Proszę się położyć! Nie powinna panienska jeszcze wstawać – odezwał się cicho za jej plecami kojący, macierzyński głos. Fiołkowe oczy Brienne pobiegły w tę stronę; zobaczyła stojącą obok niej siwowłosą kobietę w czepku. – Proszę to wypić, dobrze paniencie zrobi!

Stara, biała ręka podsuwała jej srebrny kubek; unoszący się z niego słodki zapach gorącego mleka z miodem mile polećchał nozdrza Brienne; kusząc jej pusty żołądek.

– Czy jestem na Royal Crescent? – spytała Brienne, marszcząc brwi.

– Tak, panienko. Na Royal Crescent pod numerem pierwszym.

Oczy Brienne rozszerzyły się ze strachu.

– Czy.... czy hrabia?...

– Pana hrabiego nie ma w rezydencji. Bardzo proszę to wypić!

Usłyszawszy te upragnione słowa, Brienne odprężyła się nieco i wzięła kubek do ręki. Zapominając o dobrych manierach, wypila jego zawartość duszkiem i opadła wyczerpana na kanapę.

– Mówiłam panu Harcourtowi, że panienska pewnie nie będzie pamiętała starej baby!

Matrona w czepku usiadła na taborecie obok kanapy ostrożnie, z wyrażną dbałością o stan swej tiurniury i całej sukni z liliowego jedwabiu.

– Z pewnością nie zapomnę pani dobroci: zlitowała się pani nade mną i nie odegnała żebraczki od drzwi. Jeśli tylko będzie to w mojej mocy, za wszystko zapłacę... Nie ma pani pojęcia, od jak dawna nie jadłam – odparła Brienne, zrozumiawszy opacznie słowa starszej pani. Potem przymknęła oczy i starała się pokonać zmęczenie.

– Myśli panienka, że ja czekam na zapłatę? – Siwa kobieta roześmiała się i spoważniała od razu. – Ach, panienko! Widzę, że źle się panience działo, bardzo źle... Ale co się stało, jeśli wolno spytać, z mamą panienki?

– Z moją matką?

– Tak, z dobrą lady Grace.

– Nie żyje – odparła głucho Brienne. – Mogę spytać, skąd pani...

– Oczywiście że możesz, kochanie! Byłam twoją nianią, panienko. Od pierwszego dnia twojego życia do chwili, kiedy wyjechałyście obie z mamą z Osterley Park. Nazywam się Whitsome, ale tego już panienka z pewnością nie pamięta!

– Wobec tego na pewno pani wie, dlaczego opuściliśmy Osterley Park. – Brienne wlepiała wzrok w swoje drżące dłonie. – Czy hrabia wkrótce się tu zjawi? Myślałam, że go nie zastanę... tylko dlatego tu przyszedłam.

– Obawiam się, że czekają nas większe zmartwienia niż spotkanie z twoim ojcem, dziecinko... Prawdę mówiąc, hrabia jest całkiem zrujnowany. Już tutaj nie mieszka. Mamy teraz innego pana, który pozwolił nam zostać. Kiedy – dawno temu – panienka z mamusią wyjechała z Osterley, pan hrabia przeniósł mnie do Bath. Jestem tu teraz gospodynią.

Straszne podejrzenie zrodziło się nagle w duszy Brienne. Zmusiła się do zadania tego pytania, choć panicznie bała się odpowiedzi.

– Ten nowy właściciel... Czy to przypadkiem nie Amerykanin?... Z długimi czarnymi włosami i...

– Przybysz z kolonii? Panienka chyba żartuje! Nie ma panienka pojęcia, ile kosztuje rezydencja na Royal Crescent! – roześmiała się zdumiona pani Whitsome.

– Ale ten jest wyjątkowo bogaty!

– Nie ma obawy! To z pewnością nie ten Amerykanin, którego panienka ma na myśli. Mam do czynienia tylko z zarządcą, nowego pana nie widziałam jeszcze na oczy, ale mi mówiono, że pochodzi z najstarszej arystokracji.

Brienne odetchnęła z ulgą. Podejrzenie, które przemknęło jej przez głowę, było niewypowiedzianie straszne.

– Ale mamy większy kłopot, panienko. – Gospodyni podniosła się ze stołeczka i stanęła przy samej kanapie. – Przyjechała tu panienka, żeby mieć dom... A prawdę mówiąc, domu tu dla panienki nie ma...

– Tak, rozumiem...

Brienne położyła się znowu, z głową na poręczy kanapy. Była w Bath zaledwie od paru godzin, ale jej sytuacja znowu się pogorszyła.



– Jaka pani dla mnie dobra!

Brienne przeglądała się w lustrze. Miała na sobie o wiele za obszerną, ciemnoniebieską suknię pani Whitsome.

– Skądże znowu! Ta wążka to nic takiego, nie ma za co dziękować! Stój spokojnie, dziecko! – Zaczyna matrona starannie zaznaczyła długimi, stalowymi szpilkami wszystkie niezbędne zakładki, po czym poleciła się Brienne obrócić dokoła, chcąc zobaczyć ostateczny efekt. – To powinno wystarczyć, panienko!

Brienne popatrzyła na panią Whitsome z czułością.

– Proszę mnie nie nazywać panienką! Będę tu służącą, więc po prostu Brienne!

– Oj, niełatwo mi się będzie przyzwyczaić. Zwłaszcza że taka dama z panien... No i znowu! – Pani Whitsome zakryła sobie usta pomarszczonymi rękoma... i uśmiechnęła się wesoło za tym parawanem. – Powiem tylko tyle: aż się wierzyć nie chce, żeś się wychowała w jakiejś walijskiej dziurze, dziecinko, a nie na londyńskich salonach! Twoja matka byłaby z ciebie bardzo dumna.

– Obawiam się, że pragnęłaby dla mnie lepszego losu. – Brienne zdjęła nie bez trudu gotową do przeróbki suknię. – Ale znalazłam dzięki niej prawdziwą przyjaciółkę, a tak skarb więcej znaczy niż całe złoto Wersalu! – uśmiechnęła się nieśmiało. – Czy mam zacząć od pomagania w kuchni?... A może...

– Skądże znowu! Będiesz moją pomocnicą. Zawiadomiłam już o tym całą służbę. I chyba nawet wtedy, gdy znajdziesz sobie tę pracę w księgarni (jeśli się przy tym upierasz!), będziesz mogła tu mieszkać do przyjazdu nowego pana. Powiem, że jesteś moją krewniaczką. Zresztą, kto wie?... Bath robi się mniej modne, więc nie martwmy się na zapas. Może ten nowy w ogóle się tu nie zjawi?...

Starsza pani podniosła suknię z podłogi i przerzuciła ją sobie przez ramię.

– Zabawne... – rozważała Brienne. – Gdyby wszyscy ludzie, którzy ostatnio podawali się za moich krewnych, byli nimi rzeczywiście... nie znalazłabym się chyba w takiej sytuacji!

W zadumie związała tasiemki zniszczonego gorsetu i włożyła starą, wytartą ale wreszcie idealnie czystą suknię.

– Czy to ma jakiś związek z tym Amerykaninem, o którym wspomniałaś zaraz po przyjeździe, moje dziecko?

Brienne zeszytywniała. Pani Whitsome okazała się prawdziwym skarbem i aniołem miłosierdzia: pielęgnowała ją troskliwie prawie przez tydzień i obmyśliła plan, dzięki któremu Brienne mogła pozostać na Royal Crescent. Dotąd nie zadawała żadnych pytań na temat opłakanej sytuacji finansowej Brienne i ani razu (nie licząc ich pierwszej rozmowy) nie wspomniała o jej ojcu.

– Nie mówiłam wiele o sobie, prawda?... – szepnęła.

– A po cóż miałabyś się przede mną spowiadać, dziecinko? Mówiłaś mi, że wychowałaś się w Walii i że lady Grace była tam szczęśliwa.

Pani Whitsome krzątała się żywo po swej idealnie czystej sypialni.

– Zanim się tu zjawiłam, mieszkałam przez jakiś czas w Osterley – wyrwało się Brienne, nim zdążyła się powstrzymać.

– Twój ojciec to zły człowiek... – Starsza pani potrząsnęła głową, jakby się obawiała tego, co usłyszy od Brienne. – Powinnaś wiedzieć, że wszyscy byliśmy radzi, kiedy się okazało, że już nie jest naszym panem. Ani ja, ani cała służba nie mogliśmy się w nim doszukać niczego dobrego.

– Nie widziałam się w Osterley z moim ojcem. Majątek przeszedł w inne ręce, tak samo jak ta rezydencja.

– To cudownie! – rozpromieniła się pani Whitsome.

Brienne westchnęła.

– Nie za bardzo. Ten nowy właściciel jest moim wrogiem.

– Ten Amerykanin?

Brienne potwierdziła skinieniem głowy i odparła:

– Nie chciał mnie puścić z Osterley Park. Widzi pani...

Urwała, próbując znaleźć wyjaśnienie, które zacna gospodyni mogłaby zaakceptować.

– Nieważne, kochanie. Grunt, że tu jesteś. A o przeszłości najlepiej zapomnieć.

Gospodyni poklepała ją po rękę i podeszła do zamaskowanych drzwi w głębi pokoju. Były oklejone francuską tapetą w konwalijki, podobnie jak ściany sypialni.

Brienne uśmiechnęła się z przymusem i skinęła głową. Odwróciła się do okna w nadziei, że rozciągający się za nim sielski widok istotnie



pomoże jej zapomnieć o przeszłości. Stukot końskich kopyt rozbrzmiewał na niedawno wybrukowanej drodze, wśród zieleniejących łąk i drzew. Rzeka Avon wiła się po tym terenie, ciągle jeszcze szara i lodowato zimna po ostatnich przymrozkach. Patrząc na nią, Brienne myślała o parze oczu, przypominających barwą pokrytą lodem rzekę... I o pewnej nocy, gdy ów lód zaczął tajać.



Trzy dni później Brienne, odziana w nie najlepiej dopasowaną suknię z szorstkiej, niebieskiej wełny, wyszła na ulicę drzwiami dla służby i ruszyła ku Brock Sreet. Był późny ranek, rześki i jasny, co napawało Brienne optymizmem. Ciekawie rozglądała się dokoła. Po raz pierwszy od przybycia do Bath wyszła z domu i postanowiła jak najlepiej wykorzystać ten cudowny, bezchmurny dzień, aby poznać wspaniały kurort, o którym tyle się nasłuchiwała w dłużących się nieraz dniach samotnego dzieciństwa.

Doszedłszy do rogu ulicy, popatrzyła z zachwytem na Royal Crescent, rozciągający się półkoleście na olbrzymim trawniku. Gigantyczny kompleks budynków wznosił się w palladiańskim majestacie, pyszniąc się ni mniej ni więcej tylko setką kolumn.

– Niektórzy to mają życie! – dumiała Brienne, spoglądając na śliczną młodą kobietę w peruce i w atlasowej sukni w różowo-zielone pasy. Materiał był rozpięty na monstualnych składanych obręczach; elegancie pomagano właśnie wsiąść do powozu, który na nią czekał pod numerem czternastym. Kiedy ekwipaż ją mijał, Brienne dostrzegła, że damie towarzyszy siedząca obok niej starsza przyzwoitka i pokojówka oraz wielbiciel, który zajął miejsce naprzeciwko.

Kocham cię... Te słowa uczepliły się mózgu Brienne jak pajęczyny żyrandola. Zaczęła masować zbolące czoło i stopniowo ból zelżał.

– Zapomnij o nim! On nie jest wart twoich łez! – szeptała do siebie, wpatrując się w spacerujące po trawniku pary.

Wyrzucając sobie słabość, która sprawiła, że myśli jej pobiegły do Avenela, z goryczą odpędziła wspomnienia. Przecież nigdy już nie wróci do Osterley Park! Serdeczność Avenela i jego urok działały jak niebezpieczny narkotyk na kogoś zgłodniałego uczuć... Nie wolno jednak pozwalać sobie na słodkie wspomnienia!... Wystarczyło zresztą, aby pomyślała o ostatnim popołudniu w żółtej sypialni, by krew w niej zakipiała. Od tamtej pory poczucie upokorzenia i gniew towarzyszyły stale Brienne. Tylko dzięki nim przetrwała ostatni, okropny dzień w Osterley Park i żyła nadal. Brienne przygryzła dolną wargę i zmarszczyła brwi.

W piersi poczuła ostry ból i musiała przystanąć, póki ten nie ustąpił. Nigdy nie wybaczy Avenelowi tego, co wówczas zrobił! Nigdy!

– Nie zapomnij, dziecko: zachowuj się tak, jak ci mówiłam! – zawołała za odchodzącą pani Whatsome, która w swym nieodłącznym czepku pojawiła się na najwyższym stopniu schodów dla służby.

Dziewczyna zawróciła od rogu ulicy i podeszła do gospodyni.

– Dobrze pamiętam: nie wdawać się w pogawędki z obcymi, zwłaszcza z żadnymi elegantami! I nie odkrywać głowy.

Uśmiechnęła się niepewnie, zasłaniając znów loki kapturem, który wiatr poprzednio odrzucił do tyłu.

– Nie lekceważ sobie tego, moja panno! Kiedy się już uparłaś przy tym szukaniu pracy, musisz być bardzo ostrożna! – Dawna niania patrzyła na Brienne z niepokojem. – Wolałabym, żebyś dała temu spokój, kochanie. Wstrzymaj się z tym, aż dostanę odpowiedź od tego nowego zarządcy. Już do niego napisałam, że potrzebuję kogoś do pomocy. Jestem pewna, że jak się dowie...

– Wiem, wiem... Ale co zrobimy, jeśli nie odpowie od razu?... A potem dojdzie do wniosku, że żadna dodatkowa pomoc nie jest potrzebna w rezydencji, której właściciel nawet nie oglądał?... To byłoby całkiem logiczne.

– Jakiego męża znajdziesz, dziewczyno, w księgarni?!

– Może właśnie takiego, który mnie szczerze pokocha?

– Jakiegoś gryzipiórka bez grosza przy duszy! – obruszyła się pani Whatsome.

– Jeśli zostanę starą panną, cóż w tym złego? Teraz też nie mam męża, a jestem szczęśliwa!

– Bzdury! – Pani Whatsome zmarszczyła czoło. – Prawie nie sypiasz. Słyszę, jak się przewracasz z boku na bok po całych nocach. Apetytu też nie masz!

– Ależ... – próbowała jej przerwać Brienne.

– Zostań w domu! Tu ci przynajmniej nic nie grozi – gospodyni po raz ostatni próbowała jej przemówić do rozumu.

– Proszę mi pozwolić popytać o pracę w księgarniach! Nie mogę przecież być dla pani ciężarem tylko dlatego, że mój ojciec nie mieszka już na Royal Crescent!

Brienne cmoknęła starszą panią w pomarszczony policzek i machała na pożegnanie drobną, zimną ręką, póki gospodni nie zeszła do ciepłych pomieszczeń dla służby.

Pozostawiwszy za sobą King's Circus, Brienne mijała właśnie nowo wybudowane Assembly Upper Rooms. Mieszkańcy Bath – jeśli można

tak określić książąt i hrabiów, malarzy i poetów, którzy kuśtykali po ulicach kurortu lub podróżowali po nich w lektykach – zaczęli właśnie swój poranny obchód księgarń i bibliotek na Milsom Street; mieli pełne ręce tomów w luksusowych, modnych oprawach. Brienne odetchnęła głęboko, by uspokoić rozdygotane nerwy, i podeszła do drzwi pierwszego sklepu; próbowała sobie wyobrazić pracę w takim miejscu. Wielkie, malowane drzwi otwały się ze skrzyknięciem; młody mężczyzna, odziany w wytworny ciemnozielony surdut, podszedł do kontuaru.

– Czy pracowała już pani w księgarni? – zapytał w odpowiedzi na prośbę Brienne; patrzył na nią z powątpiewaniem, ale życzliwie.

– Nie – odparła uczciwie.

– No cóż... potrzebuję kogoś do pomocy, ale z pewnym doświadczeniem.

– Jestem bardzo odczytana – Brienne spojrzała na niego z nadzieją.

– Ogromnie mi przykro – odpowiedział z pewnym żalem.

– Rozumiem. Dziękuję panu.

Uśmiechnęła się lekko i wyszła z księgarni; nie dała bynajmniej za wygraną. Na tej ruchliwej, tłocznej ulicy jest mnóstwo sklepów z książkami! – mówiła sobie w duchu. Będzie chodzić od jednego do drugiego i znajdzie wreszcie mniej wymagającego księgarza. Z nowym entuzjazmem ruszyła biegnącą stromo pod górę ulicą na dalsze poszukiwania. Kaptur spadł jej z głowy, gdy wychodziła z pierwszej księgarni. Przypomniała sobie o przestrogach pani Whitsome dopiero wówczas, gdy dwóch elegantów ruszyło za nią, wszelkimi sposobami starając się przyciągnąć uwagę dziewczyny. Kiedy ich wreszcie zauważyła, pospiesznie zasłoniła loki brązowym kapturem. Przeklinała je w duchu: czemu tak się rzucały w oczy?!

Dobrze po czwartej dotarła do ostatniego sklepu. Przez cały dzień słyszała wyłącznie „Dziękuję, nie”. Księgarzy albo zniechęcał ubogi strój dziewczyny, albo z zasady nie zatrudniali kobiet, albo nie potrzebowali nikogo do pomocy. Niebawem będzie musiała pożegnać się z marzeniami o niezależności i liczyć tylko na to, że tajemniczy właściciel rezydencji pod numerem pierwszym pozwoli jej tam zostać w charakterze pomocnicy pani Whitsome. A tak bardzo chciała się usamodzielnic!... Po miesiącach niewoli w Osterley Park marzyła o małym, własnym domku na wzgórzach, z których roztaczał się widok na całe miasto... Może byłby to stary, solidny budynek podobny do tego, w którym wraz z mamą mieszkała w Tenby?... Brienne przymknęła oczy i oddała się snom na jawie. No cóż... zrobi wszystko co w jej mocy, by te marzenia się spełniły! Zacisnęła zęby i weszła do ostatniej księgarni.

Był to niewielki sklepik w nie najlepszym punkcie, w pobliżu Abbey Churchyard. Zza drzwi dolatywał znany i miły sercu Brienne zapach skórzanych opraw i zadrukowanych stron. Czekwała w milczeniu wśród stosów książek, aż jegomość w średnim wieku, zapewne właściciel księgarni, zakończy rozmowę z klientem – bardzo dystyngowanym panem koło pięćdziesiątki. Może był nawet starszy, ale promieniowała z niego taka energia i urok osobisty, że nie myślało się o jego wieku. Stalowo-siwe włosy były starannie przystrzyżone i ufryzowane; nie używał pomady ani pudru do włosów. Miał prosty nos i mocno zarysowane usta. Ciemne, przenikliwe oczy wprost urzekały, mimo otaczających je zmarszczek sięgających niemal kości policzkowych.

– *Fanny Hill*... pikantne, powiadasz?... – zwrócił się do księgarza klient i zaczął ze śmiechem kartkować niepozorną książeczkę w oprawie z kurdybanu. Brienne zauważyła dziwny kontrast między poplamionymi rękami tego dżentelmena a jego złotą kamizelką pokrytą delikatnym haftem.

– Właśnie... Lepiej, żeby twoja siostra, mistrzu, nie dowiedziała się, że to z mojej księgarni!...! Ach, ta pani Gibbons!... Ciągłe jeszcze uważa swego słynnego brata za dziecko i czuwa nad nim jak kwoka! – uśmiechnął się księgarz.

– Rzeczywiście – zgodził się przystojny starszy pan. – Mary to wspinała kobieta, ale powiem ci szczerze: rad jestem, że przyjechałem tylko z wizytą! Przez siedem lat trzymałem się z daleka od King's Circus. I wiesz co? – dodał chytrze. – Przekonałem się, że londyńskie życie ma swoje zalety. Przynajmniej człowiek się nie boi, że rodzina zwali mu się na głowę w najmniej odpowiedniej chwili!

Obaj panowie wybuchnęli śmiechem. Nagle właściciel księgarni dostrzegł Brienne; przeprosiwszy wymownym gestem swego rozmówcę, zwrócił się do dziewczyny.

– Czym mogę służyć?

– Ja... właśnie...

Nagle ogarnęło ją ogromne zdenerwowanie. Klient przyglądał się jej bacznie; jego spojrzenie wzbudziło w niej dziwny lęk. Oczy nieznanego zdawały się dostrzegać każdy szczegół jej powierzchowności: kremową cerę, zaróżowione na wietrze policzki, błękitnawe cienie pod oczami, świadczące o zmęczeniu... nawet piersi, mocno ściśnięte gorsetem. Ta szczegółowa inspekcja odebrała jej resztę pewności siebie. Zaczęła z wahaniem:

– Szukam pracy... Umieję oczywiście czytać i pisać. Znam wszystkie wielkie dzieła literackie, na przykład...

Recytowała wykutą na pamięć przemowę jak automat, przygotowując się w duchu na kolejną odmowę, która z pewnością nastąpi. Kiedy skończyła, księgarz odprawił ją szybko i zdecydowanie. Ostatecznie pokonana Brienne skierowała się ku drzwiom.

– Proszę zaczekać!

Usłyszawszy ten rozkaz, stanęła w drzwiach. Nie był to głos księgarza, lecz starszego klienta. Gdy podszedł do niej, Brienne nie wiedziała, czego się spodziewać. Chwycił ją za ramię i przesunął poplamioną dłonią po gładkiej twarzy, badając wszystkie płaszczyzny i wgłębienia, jakby to była rzeźba z alabastru.

– Stój spokojnie i pokaż oczy!

Odwrócił ją twarzą do okna, przez które wpadało słabnące już popołudniowe słońce. Ponieważ księgarz ani myślał jej bronić, Brienne rzuciła podstarzałemu napastnikowi mordercze spojrzenie.

– Proszę mnie nie dotykać! – krzyknęła ostro.

Po smutnym doświadczeniu z Avenelem bała się dotyku męskich rąk. Odsunęła się jak najdalej od dziwnie zachowującego się dzentelmena i schwyciła za kłamekę.

– Będziesz mi pozować?

– Pozować?... – spytała, nie puszczając dębowych drzwi.

– Nie chcesz, żebym cię namalował? Może na łące, pod wierzbą?... Nie! To nie dla ciebie tło. No to może...

Brienne nagle uświadomiła sobie, że brud na jego rękach wcale nie jest brudem. To farby... ten człowiek jest malarzem!

– Ile mi pan zapłaci za pozowanie? Czy to wystarczy na życie? – spytała.

Księgarz roześmiał się.

– O tak, nie zapomnij o zapłacie, Tom! – odezwał się. – Biedne dziecko gotowe umrzeć z głodu! Nie chce mistrz chyba uwiecznić trupa?

– Płacić za pozowanie?! Wstyd i hańba! – podrażniony kpunami księgarza artysta zwrócił się do Brienne. – Słuchaj no, moja panno! Lepiej nie wspominaj o zapłacie! To raczej ty powinnaś zapłacić za taki zaszczyt! Ale przypadłaś mi do gustu, więc namaluję twój portret za darmo... a ty mi będziesz pozowała też za darmo.

– Obawiam się, proszę pana, że nie mogę tracić czasu na darmowe pozowanie. Muszę znaleźć jakąś pracę. Co innego, gdyby mi pan płacił...

– Mowy nie ma! Jeszcze tak nisko nie upadłem, żeby płacić modelce! W głowie ci się przewróciło, dziewczyno! Czy wiesz, że ludzie płacą mi po setce od łebka, żebym tylko ich namalował?!

Wymieniona przez niego suma – sto funtów – wprawiła ją w osłupienie. Zrozumiała, że nie ma sensu przedłużać tej rozmowy. Nie była bogatą damą, lecz samotną dziewczyną bez pracy. Nie znalazła dziś żadnego zajęcia, więc będzie przynajmniej pomagać pani Whitsome. Nie mogła sobie pozwolić na pozowanie za darmo.

– Bardzo żałuję – powiedziała.

Otworzyła drzwi i wyszła na ulicę.

– A pożałujesz, pożałujesz! Niech cię diabli! – krzyknął za nią gniewnie malarz.

Upokorzona Brienne aż się wzdrygnęła. Pospiesznie skręciła w stronę domu. Nie wiedziała, że rozwścieczony artysta zatrzasnął za nią drzwi, a potem walnął pięścią w ladę. Na jego niemłodej twarzy malował się wyraźny zawód. Po chwili wybiegł na ulicę szukać dziewczyny. Gdy jej nigdzie nie znalazł, płonące gniewem oczy złagodniały i posmutniały. Ale i o tym Brienne nie miała pojęcia.

## 23

**W**stawaj, kochanie! Pan Harcourt przyszedł!

Zbliżało się już południe, gdy pani Whitsome zajrzała do sypialni Brienne. Wyrwana z drzemki dziewczyna siadła na łóżku.

– O Boże! Ależ że mnie leniuch! Która to godzina?... Powinnam dostać w skórę! – zawołała ze skruczą Brienne. Podniosła się spiesznie z pogniecionej nieco narzuty i gorączkowo starała się ją wygładzić. – O Boże! Nie odsłoniłam nawet okien w salonie!

– Nie martw się, dziecko. Już odsłonięte.

– Och!... – szepnęła. – Zasługuję na coś gorszego niż bicie! Już ja sobie obmyślę jakąś należytą karę!

– Też coś!

– Tak mi przykro... Zupełnie nie wiem, co mi się stało! Właśnie miałam iść do salonu, gdy nagle poczułam się tak strasznie zmęczona... Chciałam poleżeć tylko przez chwilę!

Brienne tarła ręką czoło. Przyplątała się do niej jakaś dziwna choroba, dokuczliwa i nieprzewidywalna. Chwilami czuła się wprost okropnie: ogarniało ją takie zmęczenie, że po prostu leciała z nóg. Ale kiedy indziej, choćby wczoraj, wszystko było w najlepszym porządku. Kucharka nawet powiedziała jej, że wygląda kwitnąco!

– Nie zadręczaj się tym, kochanie!

Pani Whitsome popatrzyła na dziewczynę jakoś dziwnie.

– Tak czy owak, trzeba powiedzieć panu Harcourtowi, że nie mam dziś dla niego czasu. Muszę nadrobić wszystkie zaległości w pracy!

Ku wielkiej radości gospodyni, ów dżentelmen zjawił się kilkakrotnie w domu pod numerem pierwszym, odkąd przybyła tu Brienne. Ta jednak, choć uważała pana Harcourta za bardzo miłego młodzieńca, czuła zawsze wyrzuty sumienia, gdy jego wizyty odrywały ją od pracy.

– O tym nie ma nawet mowy! – Gospodyni przyglądała loczki, wystające spod falbanki czepka. – Bardzo łatwo się ostatnio męczysz, kochanie! Ciekawe, dlaczego?

– Doprawdy nie mam pojęcia! Może to pogoda?... Mamy bardzo zimną wiosnę.

Brienne przejrzała się w niewielkim lustrze w barokowej ramie, które wisiało nad półokrągłym stolikiem, i poprawiła potargane włosy.

– Ale zauważyłam, że wieczorem zawsze czujesz się lepiej. Chyba ranki bywają najgorsze, prawda?

– Rzeczywiście. – Brienne odwróciła się od lustra i uśmiechnęła się niepewnie. – Ale czego to dowodzi?...

– Ależ... niczego! Oczywiście, że to niczego nie dowodzi! No, chodź: porozmawiaj z miłym panem, który cię odwiedził!

Gospodyni wyciągnęła ją z sypialni. Brienne zauważyła jednak, że na pomarszczonym czole starszej pani zarysowała się nowa bruzda. Czując dziwny ucisk w żołądku, pospieszyła za gospodynią na dół, próbując zwalczyć złe przeczucia.

– Dzień dobry, panie Harcourt! Proszę, niech pan spocznie – powitała Brienne gościa, który czekał na nią w ogólnej izbie dla służby. Na dużym kominku przy tylnej ścianie huczał ogień. Wskazała mu miejsce obok siebie na ławie z irlandzkiej sosny. Pani Whitsome, pełniąc sumiennie obowiązki przyzwoitki, usadowiła się na masywnym, ciemnym krześle z wysokim oparciem.

– Przyszedłem życzyć miłego dnia... panno Brienne, pani Whitsome.

Ralph Harcourt skłonił się każdej z pań, ale w rzeczywistości widział tylko Brienne.

– Jaka dziś pogoda? Nadal zimno i mokro? – spytała Brienne, gdyż zauważyła, że elegancki aksamitny surdut gościa jest przemoczony.

– Tak... mamy tym roku paskudną wiosnę, psiakrew!

Uświadomił sobie nagle jak niestosowne słówko mu się wyrwało; zaczerwienił się, ale zaraz mrugnął żartobliwie do Brienne. Stłumiła



chichot: jakież kontrast stanowiła ich obecna sztywne poprawność pod czujnym okiem pani Whitsonne z okolicznościami, w jakich się poznali!

Starając się tak pokierować rozmową, by *faux-pas* pana Harcourta przeszło bez echa, Brienne spytała:

– No, cóż mi pan przyniósł tym razem? Proszę nie udawać niewiniątka! Zasypuje mnie pan podarkami... Obawiam się, że prędzej czy później zwykła przyzwoitość zmusi mnie do tego, by wszystko panu zwrócić!

Brienne ze śmiechem wzięła do ręki podaną przez niego paczuszkę. Ciekawe, cóż to takiego?... Nowe wydanie sonetów Szekspira?... Atłasowe wstążki do włosów?... Podarunki pana Harcourta były zawsze w najlepszym guście, nigdy przesadnie kosztowne: ani ona, ani pani Whitsome nie mogły mieć żadnych obiekcji.

Obracając upominek w palcach, Brienne zauważyła, że paczuszka jest zbyt mała jak na tomik wierszy. Była też lekka... Czyżby zawierała suszone płatki róż do jej różanego wazonu?... A może bezcenne dla każdej niewiasty stalowe szpilki?... Kiedy rozwiązała kokardę, wieczko spadło jej na kolana. Wewnątrz pudełeczka na śnieżnej podściółce leżało coś... co w blasku ognia zaśniło jak gwiazda! Brienne zapało dech.

– Boże wszechmogący!... – jęknęła pani Whitsome i pospiesznie wyszła, zostawiając ich samych.

– Panie Harcourt... – wykrztusiła z trudem Brienne.

– „Ralphie”, księżniczko. Mam na imię Ralph.

Wyjął z przytulnego gniazdka pierścionek z wielkim szmaragdem rzucającym błękitnawe iskry i trzymał go w dwóch palcach.

– Ależ, panie... to znaczy Ralphie... – wyjąkała Brienne, usiłując zebrać myśli.

– Tak?...

Uśmiechnął się ciepło i czule. Łagodnie objął ją ramieniem w talii i ucałował w policzek.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Powiedz, że zostaniesz moją żoną, księżniczko. Wystarczy jedno małe „tak”.

– Jestem zwykłą służącą... Nie mam posagu...

– Harcourtowie to kupiecka rodzina. Od niepamiętnych czasów mieszkamy w Bristolu i robimy tam znakomite interesy. Nagromadziliśmy więcej złota, niż zdołalibyśmy wydać! Nie potrzebuję posażnej oblubienicy.

Wsunął jej pierścionek na lewą rękę.

Brienne wpatrywała się we wspianiały klejnot. Jediną jej reakcją na oświadczenia Harcourta była myśl: pani Whitsome będzie w siódmym

niebie!... Zaraz jednak się tego zawstydziła. To ty powinnaś być w siódmym niebie! – mówiła sobie w duchu. Nie odrywając oczu od przepięknego szmaragdu, próbowała sobie wyobrazić małżeństwo z Ralphem. Z pewnością byłaby z nim szczęśliwa. Ralph Harcourt jest wielkodusznym, prawym człowiekiem. Miałaby dzięki niemu dom. Czułaby się bezpieczna i kochana. Ich dzieci byłyby z pewnością piękne: urocze blondaski... Cóż jej się nie podoba?! Brienne zmarszczyła czoło. W marzeniach widziała zawsze czarnowłose dzieciaki z szarymi oczyma – kropka w kropkę jak tatuś... Brienne przeraziła się. O czym ona myśli w takiej chwili?!

Z niepokojem spojrzała na Ralpha, który delikatnie odwracał ją ku sobie.

– Zaraz mnie pocałuje – pomyślała z dziwnym dystansem, jakby to jej nie dotyczyło. – O, Boże, spraw, żeby to było cudowne!...

Poczuła usta Ralpha na swoich i przytuliła się do niego, pragnąc, by pocałunek był jak najgorętszy. Chciała poczuć, że ciało jej płonie tak jak wówczas, gdy całował ją Avenel. Pragnęła, by pożądanie krążyło jej w żyłach potokiem roztopionego srebra. Rozchyliła wargi, niemal rozpaczliwie starała się obudzić w sobie namiętność, o której próbowała zapomnieć od tamtej marcowej nocy. Wyczuła zaskoczenie Ralpha. Jego ręka zacisnęła się wokół jej pasa. Całował ją z zapamiętaniem, badając językiem słodkie wnętrze jej ust... aż wreszcie poczuł, że przekracza dozwolone granice i zmusił się do opamiętania.

Kiedy oderwali się od siebie, oparł się czołem o czoło Brienne.

– Kim ty jesteś, księżniczko? – zaczerpnął głęboko powietrza. – Całujesz jak...

– Jestem służącą. Zwykłą służącą.

Brienne odwróciła się od niego, by nie dostrzegł jej przerażonej twarzy. Pocałunek sprawił jej przyjemność, ale czymże był w porównaniu z... Nagle w oczach Brienne zapłonął gniew. Czemu nawet w tej chwili musi myśleć o Avenelu Slane?! Niech go diabli! – krzyczała w duszy. – Niech go wszyscy diabli! Czemu tak ją zatruł swymi pieściami, że nigdy już nie znajdzie rozkoszy w ramionach innego mężczyzny?

Niski głos Ralpha przerwał jej rozmyślenia. Domagał się odpowiedzi.

– Brienne, wiem, że nie jesteś zwykłą służącą! Możesz się ubierać jak one, możesz nawet pracować jak one, ale to tylko pozory! Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, dostrzegłem twe wytworne maniery i szlachetną urodę. W twoim życiu jest jakaś tajemnica, kochanie. Wiem o tym! Powiedz mi, co to takiego, a przysięgam na honor, że nie będę cię osądzał!

– Nie teraz... Nie mogę skupić myśli.

Przytknęła rękę do czoła.

– Niech będzie i tak. – Podniósł się, by wyjść. – Opowiesz mi o tym po ślubie.

– Zaczekaj! – Brienne przygryzła wargę. – Gotów byłbyś ożenić się ze mną, nie znając nawet mojej przeszłości?...

– Dla ciebie jestem gotów na wszystko.

– Ale moja przeszłość może okazać się... straszna...

Brienne spuściła oczy.

– Łatwiej nam będzie razem dźwigać to brzemień. – Skłonił Brienne do podniesienia głowy i ucałował ją delikatnie w usta. – Kocham cię. Chyba w to nie wątpisz? – Gdy potrząsnęła głową, dokończył: – I nigdy nie przestanę cię kochać, choćby nie wiem co!

– Proszę cię, Ralphie... daj mi czas do namysłu. – Ręce jej się trzęsły, gdy ściągała pierścionek z palca. – Twoja propozycja jest zaszczytem, na który nie zasługuję. Proszę, pozwól mi ją przemyśleć.

Wziął od niej z powrotem pierścionek. Ze smutkiem skinął złotą głową i schylił się po leżący na ławie kapelusz.

– Przyślij mi słówko, kiedy podejmiesz już decyzję. Zatrzymałem się w oberży Pod Białym Jeleniem.

Patrzyła za odchodzącym, a jej serce było pełne smutku. Czemu nie przyjęła z radością oświadczyn tego cudownego człowieka?... Cóż odebrało jej rozum do tego stopnia?... – zadawała sobie pytanie. Doskonale jednak знаła odpowiedź: Avenel Slane! W poczuciu gorzkiej bezsilności opadła na ławę i ukryła twarz w dłoniach.

## 24

**M**inęły dwa tygodnie, zanim Brienne ponownie spotkała się z Ralphem Harcourtem. Dzień był zimny i dżdżysty, ale obiecała pani Whitsome, że pójdzie na targ po anyżek, o który upominała się kucharka. Gospodyni przez wiele dni nie mogła przeboleć, że Brienne odrzuciła oświadczyn Harcourta. Dziewczyna próbowała jakoś pocieszyć pocziwą starą swatkę, ale bez powodzenia. Po Bath krążyły plotki, że syn bogatego kupca niezwykle ciężko przeżył odmowę jakiejś tajemniczej wybranki, ale potem widziano go w Lower Assembly Rooms w towarzystwie panny Mathildy Geddings. Pani Whitsome serce omal nie pę-

kło, a Brienne wymknęła się z domu na zakupy, obiecując solennie nie tracić głowy... ani kaptura.

Targowisko nad rzeką Avon obfitowało w najróżniejsze towary. Można tu było kupić wszystko zgodnie ze swym życzeniem: od zielonych małek z Antiguy, czyli koczokodanów (w klatce), do jeszcze zielniejszych serów z Chester (w beczce). Ze wzniesionych na poczekaniu kramów unosiły się miłe wonie solonej wieprzowiny, suszonej wołowiny i kiełbas. Chytre babuleńki oficjalnie handlowały zebranych w lecie suszonymi ziołami, chowając pod ladą lecznicze napitki podejrzenie zalatujące dżinem, którymi interesowało się wielu „cierpiących” dżentelmenów.

Brienne bez trudu zdobyła anyżek, nie próbując się nawet targować ani sprawdzać ceny w innych, podobnych stoiskach. Wyprawy na targ miały dla niej zawsze urok przygody i pomagały na uporczywe bóle głowy, które dręczyły dziewczynę od ucieczki z Osterley. Dzisiaj jednak miała wrażenie, że unoszące się ze wszystkich kramów wonie są szczególnie silne i przykre. Do tej pory słodkie zapachy cukierków i win domowej roboty zawsze ją nęciły; teraz jednak przyprawiły Brienne o zawrót głowy. Kiedy zaś minął ją wózek pełen króliczych tuszek, jej żołądek całkiem się zbuntował.

Pospiesznie pożegnała sprzedawcę i oddaliła się od kramu. Przeszła na tę stronę rozległego targowiska, która sięgała niemal rzeki, i ruszyła nadbrzeżną uliczką. Miała nadzieję, że chłodny powiew od wody dobrze jej zrobi. Wszędzie było pełno ludzi. Jedni roznieciwszy na brzegu ognisko, szykowali posiłek pod gołym niebem, inni krążyli w tłumie w poszukiwaniu jakiegoś zamożnego przechodnia, którego można by uwolnić od sakiewki. Kiedy mijała kram rymarza, usłyszała kobiecy chichot, a potem przymilny szept.

– Nie ma obawy, kochasiu! Załatwisz się z nim raz dwa!

– A wtedy przykleisz się do mnie na amen, co? – wychrypiął z sarkazmem męski głos. – Jak wszystko odzyskam, zachce ci się pewnie królowania?

– Pewnie, że cię nie opuszczę, kochasiu! To był palec losu, kiedy cię wypatrzyłam, jakeś krążył po Royal Crescent! Gdyby nas z bratem nie wygonili z jarmarku w Bristolu, nigdy bym cię tam...

Rozległ się głośny jęk i kobiecy głosik umilkł.

– Jak śmiesz mi o tym przypominać!

– Ale, kochasiu... Na pewno się odegrasz i wszystko znów będzie twoje! Czuję to w kościach!... A wtedy zostanę hrabiną!

Do uszu Brienne doleciał obrzydliwy odgłos ssania.

– Jasne, że się odegram! A ty będziesz się łaścić, żebym cię wziął, choćby to nie wiem jak bolało!

– Weź mnie choćby zaraz... i niech sobie boli, ile chce, kochasiu!

Kobieta znów zaczęła gruchać, a mężczyzna roześmiał się nieprzyjemnie.

Brienne uznała, że ta dość niesmaczna konwersacja nic jej nie obchodzi: ot, prostackie zalecanki! Już się miała odwrócić od stoiska, gdy ujrzała dwie postacie splecione w uścisku, zasłonięte częściowo skórzaną uprzężą.

Ogarnęło ją przerażenie. Trwoga przeniknęła jej do krwi jak błyskawicznie działająca trucizna. Mężczyzna ubrany był nędznie: w niegdyś porządną, ale brudną i połataną już kurtkę, wyświecone portki i zdarte buty. Kiedy Brienne widziała go poprzednio, miał na sobie strój z mięsistego atłasu, ozdobiony skomplikowanym haftem. Poznała go jednak z całą pewnością po śmiechu, który rozbrzmiewał tysiące razy w jej koszmarach sennych, i po rękach: długich i kredowo białych od paznokci po nadgarstki. Straszliwe, zniewieściałe ręce! Zbrodnicze ręce! – myślała Brienne, tłumiąc szloch. Mężczyznę w kramie rymarza był jej ojciec! A kobieta w rozpiętym gorsecie, którą publicznie obmacywał, to przecież jej dawna pokojówka z Osterley Park, Annie!

Hrabia podnosił nagle głowę jak wąż, gdy poczuje obecność myszy. Widząc to, Brienne cofnęła się z pośpiechem, krzycząc w duchu z przerażenia:

– Boże!... Boże!... Boże!...

Potykając się, z płaczem biegła nadbrzeżem, chcąc znaleźć się jak najdalej od hrabiego. Mimo okropnych mdłości pędziła ile sił w nogach.

– Zmieniłaś zdanie, księżniczko?

Brienne omal nie wrzasnęła na cały głos, zderzywszy się z jakimś mężczyzną. Spojrzała w górę i rozplakała się z ulgi na widok przystojnej, chłopięcej twarzy Ralpha Harcourta.

– Co się stało, kochanie? Dokąd tak pędzisz?

– Mój kaptur! – zawołała z przerażeniem.

– Kaptur?...

– Tak, kaptur! Zasłoń mi włosy! O, Boże!... Zakryj je natychmiast!

Nerwowo sięgnęła ręką do tyłu, usiłując naciągnąć kaptur na głowę. Ralph pospiesznie pomógł jej zasłonić loki, zwracające uwagę swą niezwykłą barwą.

– Zabierz mnie stąd! Proszę cię, Ralphie! Zabierz mnie stąd!

– Cóż to znaczy? – spytał zdumiony Harcourt, ale rzuciwszy okiem na przerażoną twarz Brienne, zawołał: – Ależ oczywiście! Oczywiście!

– Zatrzymał przejeżdżający powóz, jeden z tych, które wynajmowano na godziny; pomógł Brienne wsiąść do środka i zamknął drzwiczki. – Dokąd moja pani każe jechać? Z powrotem na Royal Crescent?

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie, nim zdołała się opanować.

Zebrawszy wszystkie siły, odzyskała panowanie nad sobą i uprzytomniła sobie, że hrabia nie ma już żadnych praw do rezydencji pod numerem pierwszym. Odetchnęła głęboko kilka razy i przyszło jej do głowy, że ojciec być może zjawił się w Bath nieświadom obecnego stanu rzeczy. Gdy była już zdolna do logicznego myślenia, powiedziała:

– Tak, tak! Co za niemądra pomyłka! Powinnam wrócić na Royal Crescent.

Kiedy siedziała już bezpiecznie w kuchni domu pod numerem pierwszym, popijając z kubka gorące mleko, spytała Ralpha:

– Nie wstyd ci, że chciałeś się ożenić z taką strachliwą gęsią?...

– Kobieta nie musi udawać nieustraszonej bohaterki, zwłaszcza gdy spotkało ją coś przerażającego.

Ralph pochylił się ku niej; niepokój wyostrzył rysy jego romantycznie pięknej twarzy.

Kojący akompaniament do jego słów stanowiło dobrze znane skrzywienie „psiego kołowrotka”, wprawiającego rożen w ruch obrotowy. Siłą napędową stanowił niewielki kundelek z szarą mordką, rozpieszczany przez kucharkę, która nazywała go „swoim skarbusiem”.

– Co cię tak przeraziło, księżniczko? – spytał nagle Ralph.

– Wybacz, ale nie mogę ci powiedzieć.

Brienne odwróciła głowę; w jej fiołkowych oczach pojawił się strach.

– Opuść to miejsce! – Harcourt rozejrzał się po kuchni z wyrazem zniecierpliwienia. – Zaslugujesz na coś znacznie lepszego, Brienne! Na czułą opiekę i piękny dom. Mam naprawdę urocze domy w Londynie i Bristolu... i zadreżcam się codziennie myśla, że nie ty jesteś ich panią.

– Daj mi jeszcze trochę czasu do namysłu – prosiła.

– Po co się aż tak długo namyslać?

Łagodnie wziął ją pod brodę.

– Sama nie wiem...

Zapatrzyła się w ogień. W jego blasku widział wyraźnie rozpacz na jej twarzy.

Zapadła długa, bolesna cisza. Ralph wpatrywał się w Brienne w zadumie. W końcu powiedział głuchym głosem:

– Nie kochasz mnie, prawda?

– Nie o to chodzi! – zaprzeczyła. Wiedziała jednak, że jej nie uwierzył.

– Chyba się tego domyślałem. – Harcourt wstał, dotknięty a zarazem pełen rezygnacji. – Nie będę cię ponaglał, księżniczko. Kiedy się namyślisz, wiesz, gdzie mnie szukać. Będę na twoje zawołanie o każdej porze. Mówię poważnie. – Odchylił głowę Brienne do tyłu i ucałował ją namiętnie w usta. – Zmuszę cię, żebyś mnie pokochała! Wiem, że tak będzie!

– Ja też tak myślę – odparła całkiem szczerze. – Tylko daj mi jeszcze kilka dni do namysłu. Jestem prawie pewna, że odpowiem ci tak, jak tego pragniesz.

Po odejściu Ralpa Brienne siedziała na kuchennej ławie i przyglądała się kundelkowi biegającemu w kółko. Kucharka opowiedziała jej o biednych psach, które zmusza się do obsługiwania kołowrotu, przypalając im łapki. Biegają wówczas, łudząc się, że uciekną od bólu. Oczywiście „skarbuś” nigdy nie zaznał równie okrutnego traktowania! Patrząc jednak na mozolącego się w kołowrocie pieska (przy swej niewielkiej nodze obracał na różnie trzydzieści kilo wołowiny!), nie mogła nie dostrzec podobieństwa między losem kundelka a swoim. Oboje zostali obarczeni zadaniem ponad siły. Jak w „psim kołowrotku” w mózgu Brienne wirowały niespokojne myśli: co począć teraz, gdy hrabia pojawił się w Bath?... Jak udaremnić jego podłe machinacje?...



Kiedy odnaleziono ciało, służba spod numeru pierwszego snuła przeróżne koszmarnie przypuszczenia. O świcie pani Whitsome wysłała lokaja po egzemplarz „The Bath Chronicle”, zawierający wszystkie szczegóły makabrycznego morderstwa i dokładny rysopis nieznanego nikomu ofiary.

Tajemnicza dziewczyna miała – jak pisano – dość pospolite rysy, pełną figurę i raczej bezbarwne włosy. Odkryto jednak na ciele osobliwy znak szczególnie: trzy czarne pieprzyki różnej wielkości nad górną wargą. Brienne poczuła nagłą falę mdłości, gdy czytała o ciele ofiary, bestialsko pociętym rymarskim nożem.

Kompletnie zgnębiona przekazała gazetę innym służącym żadnym sensacji i opuściła pokój. Znała już okropną prawdę. Ciągłe widziała przed sobą dawną Annie, tę z Osterley Park, która bezczelnie wbiła się w jej różową polonezkę. Ilekroć dziewczyna mówiła, jej górna warga wydymała się zmysłowo. Brienne przypomniała sobie, jak Annie była dumna z tego, że nie musi przyklepać sobie muszek, by wyglądać jak rozpustnica. Miała naturalne pieprzyki, aż trzy!

Brienne gryzła górną wargę, zastanawiając się głęboko. Może powinna zawiadomić Avenela?... On by na pewno poradził sobie z tą sytu-



acją. Kiedy jednak zaczęła na serio rozważać taką możliwość, rozboleła ją głowa. Pojęła, że nie może tego zrobić. Przypomniała sobie straszne blizny Avenela: hrabia okrutnie go zmasakrował. Zbudził się w niej drapieźny instynkt opiekuńczy. Sama nie mogła tego pojąć, ale Avenel wydał się jej nagle bezbroną istotą w porównaniu z tym potworem, jej ojcem!... Nie, nie wezwie tu Avenela! Nie może go w to wciągać!

Zrozumiała, że musi sama w jakiś sposób rozprawić się z hrabią, nim ten zemści się ostatecznie na nowym właścicielu Osterley Park. Sama myśl o tym, że płynie w niej krew Olivera Morrow, przyprawiała Brienne o mdłości. Czuła jednak, że jeśli zdoła go unieszkodliwić, zmyje z siebie piętno tego diabelskiego pochodzenia. Mogła dokonać tego jedynie w oparciu o kogoś jeszcze potężniejszego niż hrabia Laborde... Musi więc zwrócić się do księcia Degarre!

Nie było to łatwe zadanie! – przekonała się o tym kilka dni później. Najpierw musiała skłonić stangreta, by zawiózł ją do zamku Coombe, w którym ksiączę przebywał. Potem trzeba było przekonać panią Whitso-me o konieczności tej wyprawy... i to w taki sposób, by starsza pani nie wpadła w panikę. W końcu oznajmiła jej, że podczas tej przejażdżki zamierza spotkać się z panem Harcourtem; gospodyni udzieliła jej więc swego błogosławieństwa. Szczęśliwym trafem sama była zbyt zajęta i rolę przyzwoitki powierzyła młodej służącej.

Teraz, jadąc powozem w wiosennym deszczu, Brienne była równie zdenerwowana jak w dniu, gdy opuściła na zawsze Tenby... a może jeszcze bardziej?... Wyrzała przez zalane deszczem okno i dostrzegła w od-dali wieże starego zamku. Nim się spostrzegła, wysiadła już z powozu, otulona ciasno płaszczem. Nie miała wcale zamiaru budzić służącej, która zasnęła, nim jeszcze wyjechali z Royal Crescent.

Pokonawszy lęk i zdławiwszy dumę, Brienne podeszła do wielkich średniowiecznych wrót i zaczęła stukać w nie kołatką tak, że zbudziłyby chyba umarłego.

– Muszę się widzieć z księciem! – oznajmiła siwowłosemu lokajowi, który uchylił drzwi.

– Z księciem?...

Wysoki, chudy służący otworzył drzwi szerzej i wpuścił ją do wnętrza.

– Jego Książęca Mość w domu?

Lokaj przekrzywił głowę na bok i uśmiechnął się wzgardliwie.

– Rozumiem, że moja wizyta wydaje się niestosowna. Ale muszę się zobaczyć...

– Żadne wyjaśnienia nie są konieczne. Książę pan przebywa o tej porze we wschodnim salonie. Proszę za mną.

Brienne ruszyła za lokajem przez istny labirynt pokrytych kurzem korytarzy i stromych kamiennych schodów o kruszących się stopniach; w końcu została wprowadzona do wielkiej sali o wysokich, gotyckich, zarosłych brudem oknach. Ściany pokryte były butwiejącymi kobiercami. Uwagę Brienne zwrócił jednak nie sam książę ani średniowieczny, niemal sakralny charakter komnaty, ale wypełniający ją mdły, słodkawy zapach. Dziewczyna omal nie zwymiotowała na kamienne płyty. Przełknęła jednak napływającą do ust żółć i podeszła do masywnego, przypominającego tron krzesła z poręczami, na którym siedział książę. Modliła się w duchu, by niezwłocznie podjął odpowiednie działania przeciwko jej ojcu... żeby jej ryzykowna wyprawa nie okazała się daremna!

– Wasza Książęca M...Mość... Nazywam się Brienne M...Morrow – wyjąkała.

Ogarnął ją nagle strach na widok wielkiej, masywnej postaci księcia Degarre. Zdumiała się, że jest taki nieruchawy i zaniedbany... wręcz brudny! Jego sięgające kolan spodnie były powalane żółtkiem, a jego włosy – a raczej smutne resztki włosów! – lepiły się od brudu. Nie wyglądał wcale na kogoś, z kim należy się liczyć! Kiedy w końcu spojrzała w jego nieprzytomne oczy, wszystkie jej nadzieje utonęły w grzęzawisku rozpaczy.

– Morrow?... Ten młody Morrow... Co z nim?... – zaczął mamrotać chaotycznie książę. Błądził nieprzytomnym wzrokiem po twarzy Brienne.

– Wasza Książęca Mość musi mi pomóc! Oliver Morrow... – zaczęła.

– Ten młodszy sobie poradzi... Powiedz, co z nim?... Co z Morrowem?...

– Powiem księciu panu, co z Morrowem!

W głosie Brienne brzmiał bezsilny gniew. Ten człowiek jej nie słyszał, a już z pewnością nie rozumiał! Nic dziwnego, że lokaj spoglądał na nią z takim szyderstwem! Mówiła jednak dalej:

– To z winy Waszej Książęcej Mości hrabia mógł popełniać bezkarne swe ohydne zbrodnie! Teraz już rozumiem, jak to było możliwe! To wszystko z winy księcia! I tej wstrętnej chińskiej trucizny!

– Coś ty za jedna? – spytał półprzytomnie książę. Poprawił się na krześle. Zatrząś się gruby brzuch, okryty sponiewieranym aksamitem, podobnym do sierści wyliniałego kundla. Książę próbował wstać, ale oszołomione narkotykiem ciało odmówiło posłuszeństwa.

– Jestem Brienne Morrow! Córka hrabiego Laborde'a! – krzyczała prawie, choć jej rozmówca był księciem z krwi. – Przybyłam tu w nadziei, że książę powstrzyma mojego ojca... Liczyłam, że książę będzie

w stanie... – Ledwie mogła powstrzymać łzy rozpacz. – O, niech cię piekło pochłonie! Ty bezużyteczna kukło! Nie możesz nawet stanąć o własnych siłach, a cóż dopiero rządzić księstwem!

– Mów o Morrowie... Ten młodszy wszystko naprawi... I mój grzech zostanie odpuszczony... – bełkotał książe w nagłej euforii.

– Chce wasza Książęca Mość posłuchać o Morrowie? Niech i tak będzie. Hrabia Laborde to wcielony szatan! Morderca! Ktoś musi ukrócić jego zbrodnicze zachcianki, choćbym to musiała zrobić sama!

Odwrociła się, by wyjść. Wiedziała już, że cała wyprawa była kompletnym fiaskiem. Powinna się wcześniej tego domyślić! Jej ojciec miał wolną rękę, nikt mu nie przeszkadzał w zbrodniach... Teraz, spoglądając po raz ostatni na odrażającego, nieprzytomnego księcia, Brienne wiedziała już, dlaczego tak było.

– Nie powiedziałaś mi o Morrowie!... – Książe przywoływał ze śmiechem uciekającą. – Wracaj, dziewczuszko!... Kim ty jesteś?...

– Jestem Brienne Morrow! – wrzasnęła, wiedząc, że na nic się to nie zda. – Córnica hrabiego Laborde’a!

– Nie, nie! – parsknął śmiechem obłąkaniec. – Hrabia nie ma przecież córek!

Brienne stanęła jak wryta. Nie ma córek?... Czyżby od tego człowieka miała dowiedzieć się czegoś o swej przeszłości?... Czyżby dzięki temu narkomanowi miała dokonać wielkiego odkrycia?... Może istotnie była nieślubnym dzieckiem?... Zaciekawiona w najwyższym stopniu zatrzymała się w drzwiach i spytała:

– Więc hrabia Laborde... Oliver Morrow... nie jest moim ojcem?...

– Hrabia? Twoim ojcem? – wyszeptał książe, ni stąd ni z owąd zdumiewająco przytomny. Uśmiechnął się boleśnie, jakby przepraszająco. I nagle powiedział coś absolutnie nieoczekiwanego: – Jak mógłby nim być, dziewczuszko?! Przecież lord Oliver Morrow zmarł na długo przed twoim urodzeniem!

## 25

Zamierzasz złożyć wizytę księciu Degarre? – spytał półgębkiem Cumberland, zasłaniając usta ręką; obserwował Avenela wymieniającego grzeczności z całą masą nieznanym mu osób. W ciągu ostatnich pięciu wieczorów wzięli udział w siedmiu spotkaniach towarzyskich;

to szaleńcze tempo zaczęło się odbijać na ich wyglądzie – zwłaszcza Avenela, którego surowe rysy jeszcze się wyostrzyły. Wcale nie wyglądało na to, by życie towarzyskie Londynu sprawiało mu przyjemność. Cumberland chwilami zdumiewał się, po co im ta cała szopka. Potem jednak przypominał sobie, kim był jego przyjaciel i przestawał się dziwić.

– A to po co? Żeby oglądać jego drugie dzieciństwo w cieniu maków?! Cóż by to dało? – odparł szyderczym tonem Avenel.

– Wyobrażam sobie, ile nieszczęść spowodował stary narkoman przez te wszystkie lata!... Czasem się zastanawiam, jakby się sprawy potoczyły, gdyby na jego miejscu był ktoś normalny. Wiesz...

– Czy już ją państwo widzieli?

Do stojącej w pobliżu niewielkiej grupki podbiegła jakaś dama; jej podniecony głos dotarł bez trudu do uszu obu przyjaciół.

– Kogóż to? – spytał młodzieniec należący do owej grupki.

– Damę z portretu! Tego w bibliotece! Podobno nikt jej nie zna. Ależ ona piękna!... To aż niesprawiedliwe!

– O co tyle szumu? Nie widziałem takiego zamieszania od czasu, gdy ktoś puścił plotkę, że zjawiała się w Londynie księżna de Lamballe! – zauważył z lekką wzgardą Cumberland. – Wiesz co, Slane? Według mnie to strasznie nudna zgraja. Tacy ślicznie wychowani, tacy dowcipni, że człowiek od razu ma ochotę ziewać. A teraz jeszcze ta... jak jej tam?... pani Montagu?... nalega, żebyś się przyłączył do jej kółka poetyckiego! Ty! Chłopak, który uwiódł córkę ostatniego gubernatora Maryland pod samym nosem tatusia!

– Dość tego! – Twarz Avenela zadrgała od powstrzymanego śmiechu. – Kto wie?... Może pani Montagu uczyni ze mnie naprawdę... romantycznego dżentelmena?...

– Romantycznego jak romantycznego... ale dżentelmena z pewnością nie!

Obaj mężczyźni ryknęli śmiechem. Znajdujące się w pobliżu czcigodne damy zmierzły ich surowym wzrokiem zza wachlarzy i poprosiły cichym głosem, żeby się uspokoili.

– No to co, obejrzymy sobie tę ślicznotkę?

– Damę z portretu? – Avenel roześmiał się znowu. – Jeszcze jeden sielski pejzaż i panienka dziwnie przypominająca brązową krowę z Guernsey? Piękne dzięki!

– Chyba masz rację... Piekielnie się dłuży ten wieczór, chodźmy się czegoś napić!

– Święte słowa!

I Avenel ruszył przodem.

Wieczór istotnie się dłużył. Obaj panowie, ratując się przed nudą, przebrali miarę w picciu. Nie mieli takiego zwyczaju, tym razem jednak żaden z nich nie zamierzał powiedzieć: dosyć! Obiad ciągnął się w nieskończoność. Poczuli ogromną ulgę, gdy wreszcie dobiegł końca i panowie przeszli do biblioteki. Avenel kroczył na czele i skierował się prosto do stolika z marmurowym blatem, na którym stały trunki. Nalał brandy do dwóch kieliszków; jeden wychylił od razu, drugi wręczył przyjacielowi.

– Zwolnij trochę tempo, stary! – mruknął Cumberland.

Dostrzegł, że ciągle picie otepiło nieco Avenela. Zauważył też, jak źle jego przyjaciel wygląda. Chyba już pora zbierać się do domu... I w ogóle wracać do Osterley Park!

– Ciekawe, o czym teraz będziemy rozmawiać? Kolejna dyskusja na temat podłych Amerykanów?... A może przejdziemy się tym razem po Francuzach?...

– Słuchaj no, Slane! Przecież nie musimy zawracać sobie tym głowy! To całe życie towarzyskie nie jest aż takie ważne, jak sądziliśmy. I tak cię przyjmą z otwartymi rękoma! Popatrz tylko na nich: tu liczy się tylko forsa, a tobie przecież nie brakuje ani srebra, ani złota. Nie musisz im niczego udowadniać!

Cumberland zauważył, że coraz więcej panów wchodzi do biblioteki i gromadzi się wokół marmurowego kominka, na którym płonął ogień. Wisiał nad nim duży obraz.

– Sam zaczynam w to wierzyć. – Avenel oderwał wzrok od kieliszka, który obracał w ręku. – Ale musimy załatwić wszystko jak trzeba. Kosztowało nas to tyle czasu i starań...

Cumberland czekał na jego dalsze słowa, lecz Avenel nie powiedział nic więcej. Spojrzawszy w twarz przyjaciela, starszy pan zdumiał się, widząc na niej burzę uczuć: była tam ulga, radość, nawet miłość... ale nad wszystkim górował płomienny gniew. Niczego nie pojmując, Cumberland popatrzył w tym samym kierunku co wyraźnie wstrząśnięty Avenel. Nad kominkiem ujrzał typowy dla owej epoki portret dziewczyny w pasterskim stroju. Ale na widok tego obrazu także i on doznał szoku. Choć minęło wiele tygodni od czasu, gdy po raz ostatni widział tę dziewczynę, jej rysy nie zatarły mu się w pamięci. Mimo przesłodzonego sielskiego pejzażu, mimo całkiem nieodpowiedniego dla niej stroju Brienne Morrow zachwycała swoją pięknnością. Tak, to była bez wątpienia ona: rozwiane, ciemnorude loki, pełne bolesnej zadumy fiołkowo-błękitne oczy... Wydawała się równie realna jak tamtego dnia, gdy obaj mężczyźni widzieli ją po raz ostatni.

– Mówi pani, wicehrabino, że to namalował ten... jak mu tam?... Gainsborough? – spytał Cumberland, wpatrując się w zamyśleniu w filiżankę herbaty. – Jest pani tego pewna?

– O tak, mój mąż zapewnił mnie o tym! – Obdarzona imponującym biustem wicehrabina upiła łyk herbaty. – To doprawdy zdumiewające, że nie słyszał pan o tym artyście! Zyskał sobie wielki rozgłos, odkąd przeniósł się do Londynu z rodzinnego Bath! Przebywał pan zapewne przez dłuższy czas na kontynencie? – Dama wpatrywała się w niego takim wzrokiem, iż przez chwilę Cumberland miał wrażenie, że wicehrabina zacznie gruchać jak turkaweczka.

– Ależ skąd!... To znaczy... tak. Oczywiście, na kontynencie!

– Od razu się domyśliłam! Gdyby pan przebywał stale w Anglii, na pewno zapamiętałabym pana... i jego uroczego przyjaciela!

Zarumieniła się jak wiśnia.

– Tak, ma się rozumieć.

– Zresztą, nie tylko on, pan również...

– Co ja również, wicehrabino? – spytał z roztargnieniem Cumberland.

– Pan również jest uroczy! Może nie... imponujący, ale bardzo wytworny!

Przysunęła się do niego z fotelem.

– Niezwykle pani łaskawa, wicehrabino.

Cumberland poderwał się z miejsca. Wiedział, że zachowuje się nieaktownie, ale instynkt samozachowawczy był silniejszy od grzeczności.

– Mam nadzieję, że to wystarczająca suma za obraz... Proszę wybaczyć, ale muszę się już pożegnać.

Cisnął pękata sakiewkę na inkrustowany stół do herbaty.

– Tak wcześniej?... Musi pan koniecznie zostać na śniadaniu!... Gdy zjawił się pan dziś rano, zostawił swą kartę wizytową i pytał o mnie, sądziłam...

– Oczywiście, wicehrabino, byłbym zaszczycony... – Cumberland odkaślnął. – Ale, niestety, muszę spotkać się w nagłej sprawie z panem Slane'em...

– Ach, z nim?... – powiedziała wicehrabina z chytrym uśmiechem. – Więc może mu pan przekaże pozdrowienia ode mnie?...

Spojrzała tak znacząco, mrużąc oczy, że Cumberland nie miał wątpliwości, o co jej chodzi.

– Oczywiście, przekażę... Z pewnością ogromnie mu to pochlebi.

Cumberland poczuł nieopisaną ulgę, gdy wicehrabina również wstała.

– Mam nadzieję! Jak pan wie, należę do arystokracji. Powinien pan oświecić pana Slane’a, że warto mieć wysoko postawionych przyjaciół. Czego jak czego, ale błękitnej krwi nie nabędzie się za pieniądze!

– Ma pani słuszność, wicehrabino.

– Lokaj zaprowadzi pana do biblioteki. Mój mąż będzie wściekły, kiedy się dowie, że sprzedałam jego ulubiony obraz, ale ja obejdę się doskonale bez tego malowidła! Ta dziewczuszka jest rzeczywiście atrakcyjna... ale przyciąga zbyt wiele uwagi, rozumie pan?

Cumberland przytaknął energicznym ruchem głowy i ucałował pulchną rączkę wicehrabiny. Wreszcie mógł udać się do biblioteki i wyjąć płótno z ram!

Już po wszystkim... dzięki Ci, Boże! – myślał, zmierzając do drzwi frontowych z obrazem pod pachą. Dobrze, że sam się tym zajął. Gdyby zjawił się tu Avenel, to babsko pożarłoby go żywcem!

– Masz!

Cumberland wszedł do czekającego nań powozu i wręczył zwinięte płótno Avenelowi.

– Czy wyciągnąłeś z wicehrabiny coś na temat modelki?

– Nic poza tym, że jest o nią diabelnie zazdrosna! – Cumberland przełknął z trudem ślinę. – Przesyła ci gorące pozdrowienia, Slane. Nie masz pojęcia, jakie gorące!

Avenel roześmiał tak szczerze, jak mu się to nie zdarzyło od wielu tygodni. Cumberland zauważył, że ten szczęśliwy śmiech nic a nic nie przypomina ponurych pomruków, które od ucieczki Brienne były najczęstszą reakcją Avenela na wszelkie pytania czy uwagi.

– Kazałem już woźnicy, żeby nas zawiózł do tego malarza. Na szczęście jest dobrze znany. Nazywa się Gainsborough.

– Daleko mieszka? – spytał niespokojnie Avenel.

– I pod tym względem szczęście ci dopisało. – Zadowolony Cumberland usadowił się wygodnie. – Dostałeś tę przesyłkę?

– Poślaniec doręczył ją o świcie.

Avenel nie zdążył powiedzieć nic więcej. Powóz zatrzymał się: dotarli do celu.



– Pan Gainsborough nie przyjmuje niezapowiedzianych gości. Jest bardzo zajęty; w porannym świetle mistrzowi pracuje się najlepiej.

Niepozorny, skwaszony młodzian tkwił w drzwiach frontowych, zagradzając im drogę.

– A to starczy za rekomendację?



Avenel wetknął mu w łapę trzy złote monety.

Lokaj spojrzął na pieniądze i wpuścił ich do środka.

– Kogo tam diabli niosą?! – zagrzmiał jakiś głos z pokoju na tyłach domu.

Młody lokaj zacisnął usta i zmierzył przybyszów oskarżycielskim wzrokiem.

– Przyszliśmy w sprawie portretu – odparł ze spokojem Avenel i czekał aż malarz się zjawi.

Gainsborough wkroczył do hallu w niebieskim, jedwabnym szlafroku i mycce.

– W sprawie portretu? No, dobrze. Niech się dowiem, z kim mam do czynienia. Może zdecyduję się uwiecznić panów na płótnie.

– Nie zamierzamy zamawiać własnych portretów. Chodzi o informację w sprawie obrazu, który już pan namalował – wyjaśnił Avenel, powstrzymując zniecierpliwienie.

– Informację?... O cóż panom chodzi? – spytał malarz.

Avenel obrócił w rękę płótno, które trzymał i niemal rzucił je podstarzałemu artyście.

– „Bezdomna kasztelanka”?... Odnalazła się! – wykrzyknął malarz.

– Czy ona tu jest?! – Oczy Avenela zwięzły się.

– Tutaj? Nie!... Kim ona właściwie jest? – spytał Gainsborough.

– Chce mi pan wmówić, że namalował jej portret i nie wie, kim ona jest?! Nigdy w to nie uwierz!

Avenel rzucił się w jego kierunku.

– Spokojnie, spokojnie!... Tłumaczę przecież, że namalowałem ten portret z pamięci. Rzadko mi się to zdarza, ale ta dziewczyna była tak piękna... Nie mogłem o niej zapomnieć. Jednak portret niezbyt mi się udał. – Gainsborough w zadumie wpatrywał się w nieoprawione płótno. – Twarz jest w porządku. Ale z resztą coś nie tak... Czegoś tu brakuje.

– Może tego?

Avenel chwycił paczkę, trzymaną dotąd przez Cumberlanda. Kiedy rozdarł gruby papier, spłynęły na podłogę niezliczone metry hiacyntowego atlasu. Avenel strzepnął je i troskliwie rozłożył suknię na oparciu fotela; widać było, że jej zapach i barwa budzi w nim wspomnienia, słodkie i gorzkie zarazem.

– Piękna toaleta, muszę przyznać! Czy należała do niej?

Malarz dotknął atlasu z takim szacunkiem, jakby zamierzał zaraz przenieść połyskliwą tkaninę na płótno.

Avenel skinął tylko głową.

– Niech pan powie, jak to się stało, że ją pan spotkał?... Czy ona... – głos mu wyraźnie zadrżał – ... czy ona była... zdrowa?...

– Wydała mi się dziwna – Gainsborough mówił ze swobodą; dostrzegł cierpienie swego rozmówcy i dobrze je rozumiał. – Ale z pewnością zdrowa. Wyglądała po prostu kwitnąco i w tym właśnie sęk! Zajrzałem do księgarni... takiej podejrzananej księgarenki... – Uśmiechnął się do obu mężczyzn porozumiewawczo, ale żaden nie odpowiedział uśmiechem. – Zupełnie się nie spodziewałem, że ujrzę nagle taką piękność! Ale zjawiała się tam... i proszę sobie wyobrazić: szukała pracy! Właśnie dlatego nazwałem ją w myśli „Bezdomną kasztelanką”. Miała wszelkie cechy wielkiej damy: piękność, inteligencję, doskonałe maniere... a tułała się po ulicach, szukając pracy! Zdumiewające!... Zaproponowałem, że namaluję jej portret. Odmówiła, bo nie chciałem jej zapłacić za pozowanie. Wyobrażacie sobie?! Kłóciliśmy się okropnie, choć nikt nas sobie nie przedstawił! Potem dziewczyna myk... i już jej nie ma! Ależ byłem wtedy rozczarowany, jak nigdy w życiu! Nie mogłem jej nigdzie odnaleźć.

– Tułała się... bez pieniędzy?... – Avenel zbladł. – Gdzie to było, w Londynie?

– Ależ skąd! Byłem właśnie z wizytą u mojej siostry, Mary Gibson. Kiedyś sam tam mieszkałem, ale człowiek ma w końcu dość...

– Gdzie to było? – rzucił ostro Avenel, przerywając przyjacielską gadaninę malarza.

– Wielkie nieba! Oczywiście, że w Bath! Gdzież by indziej?!

– W Bath! – wykrzyknął Cumberland. – Dobry Boże, mieliśmy ją pod nosem przez cały czas! Pamiętasz ten przekłety list od pani Whitson z Royal Crescent?! Ta nowa służąca... to musiała być Brienne! Och, Slane! Ależ z nas durnie!

Avenel rzucił niecierpliwie garść złotych monet na komodę w hallu i powiedział do malarza:

– Ten obraz należy teraz do mnie! Chcę, żeby dziewczyna była na nim ubrana w to!

Obarczył artystę zwojem hiacyntowego atlasu. Pozbywszy się pieniędzy, obrazu i sukni, bąknąwszy też niechętnie „dziękuję!”, pociągnął Cumberlanda do czekającego na nich powozu. Robił wrażenie opętanego.

Ten dom jest naprawdę śliczny! – myślała Brienne, woskując z zapalem wielki mebel stojący w gabinecie: połączenie biurka z biblioteczką. Odruchowo prostowała plecy, rozglądając się dokoła i porównując swoje obecne otoczenie z Osterley Park. Prawda, że pokoje nie były tu ani tak wielkie, ani tak modnie urządzone jak Osterley. W pałacu wszystkie wnętrza utrzymane były w pastelowych kolorach (ostatni krzyk mody!), podczas gdy gabinet przy Royal Crescent ze swymi ciemnobłękitnymi ścianami wyglądał staroświecko niczym relikwiarz minionej epoki. Jednak masywne konsole z Kent i dywan z Axminster nadawały mu ciepły, przytulny charakter, którego daremnie by szukać w Osterley Park.

A może to nastrój, w jakim sama się teraz znajdowała, wpływał na jej opinię?... W Osterley bała się wszystkiego i wszystkich, a najwięcej właściciela tej posiadłości. Przy Royal Crescent nie dręczyły jej podobne obawy; może właśnie dlatego uznała ten dom za niegroźny i przytulny?...

Wbrew woli powróciła myślą do chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała nowego pana Osterley Park. Nie było chyba na świecie pomieszczenia napawającego większym lękiem niż galeria, w której się spotkali! Ależ była wówczas przerażona... Teraz niemal chciało jej się z tego śmiać. Jakim żalosnym, niepozornym stworzeniem wydała się z pewnością temu wielkiemu, ciemnowłosemu, groźnemu mężczyźnie!

Wspomnienie o Avenelu skierowało myśli Brienne na zakazane tory. Co on teraz robi? – dumiała. Czy choć raz, w jakąś dłużącą się, samotną noc pomyślał o niej?... Wolała nie znać odpowiedzi na to bolesne pytanie; próbowała zatrzeć wszystkie wspomnienia. Wmawiała sobie, że nic jej nie obchodzi, co porabia Avenel. On z pewnością nie dba o to, co się z nią dzieje. A jeśli już o niej myśli, to z nienawiścią. Nie powinna więc tracić energii na wyobrażenie sobie „co by było, gdyby...”! Doskonale się obejdę bez Avenela! – mówiła sobie z żelazną determinacją.

– Ojejku! Ale się panienka upaćkała! – wykrzyknęła Genny, młodzianka służąca z nerwowym tikiem. Sprzątała właśnie korytarz, wykładany marmurem i ozdobiony ludozłocistymi wzorami malowidłami, zwanymi z francuska *trompe l'oeil*.

– Pewnie wyglądam jak strach na wróble! – powiedziała Brienne, spostrzegając plamy z wosku na swej sukni.

– Pani Whitsome mówi, że panienka słabuje... Nie trza aż tak harować, panienko!

Mięsień w policzku Genny drgnął; spojrzała na Brienne nieśmiało, z uwielbieniem.

– Nic mi nie jest! – zaprzeczyła stanowczo Brienne. – To stare biurko aż się prosiło o woskowanie; no cóż... widać trochę z tym przesadziłam. – Odgarnęła włosy z policzka, pozostawiając na nim smugę wosku. – Raz-dwa doprowadzę się do porządku: pani Whatsome o niczym się nie dowie!

Uśmiechnęła się do młodziutkiej dziewczyny i ruszyła ku schodom dla służby na drugim końcu korytarza.

Przygotowanie kąpieli było trudnym zadaniem. Kiedy jednak Brienne dotarła do swego pokoiku i przejrzała się w lustrze z polerowanego metalu, zrozumiała, że po prostu musi się wykapać! Miała wosk we włosach i na twarzy... Gdy zdjęła chustkę z szyi, zobaczyła że dostał się nawet do rowka między piersiami!... Z ciężkim westchnieniem owinęła się brązowym płaszczem i udała się do kuchni krytym pasażem, w którym zawsze było zimno. Tylko tu służbie wolno było się kąpać.

– Jak ty wyglądasz, kochanie?! – wykrzyknęła gospodyni, która siedziała na swym ulubionym krześle.

– Wiem, wiem... Upaćkałam się woskiem od stóp do głów.

– Tylko mi nie dźwigaj ciężkich garów! Sama ci przygotuję kąpiel.

Pani Whatsome zostawiła dzierganą koronkę na krześle i podeszła do komina, by zagrzać wodę. Usłyszawszy tę zdumiewającą uwagę gospodyni, kucharka obrzuciła ciekawym spojrzeniem zarówno panią Whatsome, jak i Brienne. Ponieważ jednak przywykła od dawna nie wtykać nosa w cudze sprawy, pod jakimś pretekstem wyniosła się z kuchni.

– Niechże się pani nie fatyguje! Mogę przecież sama przygotować sobie kąpiel!

Brienne spoglądała ze zdumieniem na swą dawną nianię.

– Nie ma mowy, kochanie! Dla mnie to żadna fatyga.

Pani Whatsome była nieugięta. Gestem poleciła Brienne zdjąć ubranie.

– Kucharka wybiera się dziś na targ?... Czy to nie dziwne? Zawsze chodzi tam na początku tygodnia!

Brienne, całkiem już rozebrana, stała przy ogniu. Bezwiednie masowała zaokrąglony lekko brzuch i przyglądała się, jak gospodyni wyciąga wannę i napełnia ją wodą.

– Powód jest taki, że będziemy mieli gości! Właśnie dostałam list: każą nam przygotować dom.

– Nowy właściciel przyjeżdża?

Nie wiedzieć czemu, Brienne poczuła dreszcz strachu. Nie masz się czego bać! – powiedziała sobie stanowczo. W końcu nowy właściciel

wyraził zgodę na zatrudnienie kogoś do pomocy gospodyni, zarządca wysłał nawet w tej sprawie list do pani Whitsome. Ona zaś od razu powiadomiła o tym Brienne. Ponieważ więc należała już do personelu, pewnie nawet nie wezwą jej przed oblicze nowego pana.

– Przyjedzie z Londynu jeszcze dziś – poinformowała ją gospodyni.

– Tak nagle? Prawie bez zapowiedzi!

Brienne podziękowała pani Whitsome za pomoc i zanurzyła się w parującej wodzie; wanna stała obok wielkiego kuchennego pieca. Dziewczyna była bardziej zmęczona niż sądziła, toteż zamiast porządnie wyszorować się od stóp do głów, oparła się o brzeg wanny i przymknęła oczy.

– Tacy już oni są, ci wielcy panowie! Ale dom wygląda jak należy, nie mam się czego wstydzić! – Gospodyni podniosła pozostawioną na krześle koroneczkę i schowała ją do torby z robótkami. – Ale muszę sprawdzić pościel. Dasz sobie sama radę?

– Oczywiście! Czemuż miałabym sobie nie poradzić? – odparła Brienne, marszcząc brwi.

– No to wykąp się porządnie. Nikt nie będzie ci tu przeszkadzał, nie ma obawy! Wrócę za parę minut.

Gospodyni uśmiechnęła się; udała, że nie słyszy pytania Brienne. Narzuciła okrycie (ze względu na zimno w pasażu) i wyszła.

W kuchni zaległa cisza. Brienne omal nie zasnęła, odprężając się w ciepłej wodzie. Wkrótce jednak usłyszała szczekanie dobiegające z tylnego dziedzińca i otworzyła oczy.

To dziwne! – pomyślała. Rozejrzała się dokoła. Skarbuś leżał przy ogniu. Żółte uszy kundla uniosły się czujnie, pies zaczął też cicho warczeć. Na tylny dziedziniec można się było dostać tylko z wnętrza domu. Jakim więc cudem wtargnął tam obcy pies? – zastanawiała się Brienne.

Usiadła prosto w wannie i wyjrzała przez jedno z niewielkich okienek wychodzących na tyły domu. Rzeczywiście, na dziedzińcu był jakiś pies! Buszował w mokrym od deszczu ogrodzie warzywnym i z wesołym szczekaniem przyskakiwał do zamkniętych drzwi kuchni, z której wnętrza odpowiadał mu kundelek kucharki. To nie był zwykły pies... Twarz Brienne pobladła. Zwierzę było nie tylko wielkie i piękne, ale białe jak śnieg!

Brienne opanowała się z najwyższym trudem i położyła w wannie. To tylko złudzenie. Z całą pewnością! Ten pies szczekający za drzwiami nie mógł być przecież Orillonem.

Spojrzała znów na niezwykłego sobowtóra; ogarnęły ją nagle wątpliwości, strach zaatakował ją jak dżuma. Czy to mógł być jednak Oril-

lon?... Brienne przygryzła wargę. Czy to możliwe, by rezydencja pod numerem pierwszym przeszła, podobnie jak Osterley Park, w ręce Avenela?... Czy to on miał przybyć na Royal Crescent z wizytą?... Nie, nie! – mówiła sobie. – To przecież niemożliwe! Pani Whatsome zapewniła ją, że nowy właściciel był utytułowany i pochodził ze starego angielskiego rodu! Avenel Slane nie miał żadnego tytułu. Był Amerykaninem.

Ale niespokojne myśli nie dawały się tak łatwo uciszyć. Nagle Brienne usłyszała ciężkie kroki w pasażu. Panika ogarnęła ją niczym pożar. Ściany niewielkiej kuchni zbliżyły się, zacieśniały wokół niej... poczuła, że znajduje się w zatrzaśniętej pułapce. Sięgnęła pospiesznie po ręcznik. Zanim jednak zdążyła pochwycić go ze stosu lnianych płacht, leżących na sosnowej ławie, usłyszała trzask otwierających się za jej plecami drzwi. Zabrakło jej tchu. Zakryła piersi rękoma i zanurzyła się jak najgłębiej w wodę, by ukryć swą nagość. Potem dotarło do niej to, czego obawiała się najbardziej: gniewne, oskarżycielskie milczenie.

O Boże... czy starczy jej odwagi, by się odwrócić?... Miała absolutną pewność, że wszystko, przed czym uciekła, powróciło wezbraną falą, i że wkrótce zazna znów tego samego cierpienia, które dręczyła ją w Osterley. Odwrócenie się do drzwi było bolesną próbą... nie tak jednak bolesną jak chwila, w której fioletowe oczy spotkały się ze srebrnoszarymi i serce Brienne w jednym momencie wezbrało gniewem, goryczą i miłością.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała oskarżycielskim tonem, rozpaczliwie starając się udawać chłód i obojętność.

– Mógłbym zapytać cię o to samo, dziki kwiatku. Ale kiedy cię tu wreszcie odnalazłem, nie potrzeba mi już żadnych wyjaśnień.

Wielka, imponująca postać Avenela wypełniała framugę drzwi. Bez pośpiechu odwrócił się, by je zamknąć. Brienne zadrżała, czując na wilgotnej skórze zimny powiew z pasażu. Jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na piersiach.

– Więc mnie odnalazłeś! – siłała się na lekki ton, głowiąc się równocześnie, jak tu sięgnąć po ręcznik, nie odsłaniając przy tym piersi?... – Niewiele ci z tego przyjdzie: ucieknę znowu przy pierwszej sposobności.

– Doskonale! Rób co chcesz, brudasku! – Podszedł do wanny i przesunął ręką po upaprzanych woskiem policzkach i włosach Brienne. – Tylko dokąd teraz uciekniesz? Do domu twego ojca w Londynie? Znowu trafisz pod mój dach! Możesz to nazwać moją kolejną zdobyczą.

Popatrzył na nią; jego oczy płonęły równie gwałtownym pożądaniem jak to, które wstrząsało ukrytym pod wodą ciałem Brienne.

– Mnie w każdym razie nie nazwiesz swoją kolejną zdobyczą! Uciekłam od ciebie, pamiętasz? I ucieknę znowu, choćbym miała włączyć się po ulicy! – odparła gwałtownie.

– Nigdy nie będziesz włączyć się po ulicy, kochanie! Nie dopuszczę do tego.

Pogładził twardą dłonią atlasowe plecy Brienne, choć podejrzewała, że jest na nią tak wściekły, iż wołałyby je posiniaczyć. Nie ośmieliła się nawet poruszyć; zamknęła oczy w nadziei, że zniweczy w ten sposób magiczny urok jego dotknięcia. Woda w wannie była nadal ciepła, Brienne jednak trzęsała się jak w febrze. Modliła się rozpaczliwie, by Avenel odszedł. Mogłaby wtedy ubrać się i uciec.

– Wolę włączyć się po ulicach niż żyć w twoim domu!

Cofnęła się pełna strachu, że Avenel posunie się dalej. Nie, nie dopuści do tego, by powtórzyło się tamto popołudnie z Osterley!... Zniechęciłyby się raz na zawsze, gdyby do tego doszło: gdyby przystała na zbliżenie z mężczyzną, który jej nie kocha i nigdy nie pokocha. To byłaby hańba nie do zniesienia!

– Wyrzekłabyś się wszelkich domowych wygod?... Czasem wydaje mi się, kochanie, że naprawdę brak ci piątej klepki! Pamiętasz jak ostrzegano mnie przed wariatką, gdy po raz pierwszy zjawiłem się w Osterley Park? – Roześmiał się, ale wargi skrzywiły mu się boleśnie. – Teraz jednak pochlebiam sobie, że znam cię lepiej niż wszyscy! I widzę motywy twojego postępowania jak na dłoni.

– A więc rozumiesz, czemu wolę to ciężkie życie?... Sprawi mi znacznie większą przyjemność zadawanie się z kim popadnie niż odgrywanie roli twojej... wyłącznie twojej dziwki!

Ich spojrzenia zwały się ze sobą. Czują już niemal na twarzy piekący ból uderzenia. Jednak, ku zaskoczeniu Brienne, cios nie padł. Ujrzała tylko, że oczy Avenela zwęziły się. To było wprost godne podziwu, jak potrafił zapanować nad sobą! Lepiej jednak nie wystawiać go znowu na próbę.

– Wyłaź z wanny! Ubierz się! Wracamy do domu – zakomenderował. Tym razem widocznie nie spodziewał się oporu. Brienne jednak nie spełniła jego poleceń. – Powiedziałem...

– Słyszałam – odparła bez pośpiechu.

Czy ten nagły niepokój, który ją ogarnął, wynikał ze skromności? Chyba nie... A jednak myśl o tym, że zostanie poddana dokładnym oględzinom, budziła w niej niewytłumaczalny strach.

– Pospiesz się, kochanie! Choć bardzo mi się podoba ten widok... – Spojrzał znacząco na wodę w wannie, która tylko częściowo zasłaniała



ponętne ciało Brienne – ... musimy porozmawiać. Sądzę, że pójdzie nam łatwiej, jeśli będziesz miała na sobie ubranie.

Uśmiechnął się kpiąco i przekornie.

– Odwróć się! – powiedziała. – Stań plecami do mnie! Wtedy się ubiorę.

– Cóż za dziewicza skromność!... Wiesz przecież, że to wszystko obejrzałem sobie już wcześniej. – Bezcelnie rozsiadł się na stojącej obok ławie. – No, wstawaj!

Wyciągnął ręcznik, by mogła się nim owinąć po wyjściu z wody.

– Nie!

Szybko sięgnęła sama po drugi, ale odsunął wszystkie ręczniki poza zasięg jej ręki. Skrzyżowała znów ramiona na piersi.

– Daję słowo, że powściągnę żądze, które mnie ogarną na widok twego nagiego ciała. Wstawaj! – powtórzył znowu.

– Odwróć się, proszę!

Po raz ostatni próbowała uniknąć... czego właściwie?...

– Brienne! – pochylił się i położył jej rękę na karku. – Powiedziałem przecież, że będę nad sobą panował. Nie zmuszaj mnie do zmiany zdania!

– Proszę cię!...

– Czegóż ty się boisz? Można by pomyśleć, że jest w twoim ciele coś, co chcesz koniecznie ukryć...

Urwał nagle. Dojrzała w jego oczach jakiś błysk. Warknął:

– Wyłaż z wanny!

– Avenelu, nie!...

Wiedziała już, co mu przyszło do głowy.

– I to zaraz!

Nim zdołała temu zapobiec, chwycił ją mocno pod pachy i zmusił, by wstała. Woda z wanny chlusnęła mu na kamizelkę i spodnie, ale nawet tego nie zauważył. Widział jedynie ciało Brienne i subtelne zmiany, jakie w nim zaszyły, odkąd je oglądał po raz ostatni.

– Puszczaj!

Brienne zaczęła się szamotać; puścił ją natychmiast. Wygramoliła się z wanny, chwyciła najbliższej leżący ręcznik i zasłaniając się nim, odskoczyła jak najdalej od wysokiej, smukłej postaci Avenela.

– Dziecko musi być duże, jeśli już tak...

– Nie ma żadnego dziecka! – wrzasnęła.

– Brienne! – Avenel wstał i podszedł do niej. – Powiedz mi prawdę! Mam prawo wiedzieć!

– Ty podły! Przeklęty! – krzyknęła i cofnęła się w stronę ognia. – Czemuś mnie tu znalazł?!

Wiła się pod jego badawczym wzrokiem. Jakże pragnęła zaprzeczyć! Chciała wrzasnąć mu prosto w twarz, że się myli! W głębi duszy wiedziała jednak, że to by się na nic nie zdało. Z wyrazu twarzy Avenela poznała, że domaga się prawdy i dotrze do niej, nie oszczędzając nikogo.

Następował na nią, ona zaś cofała się, póki nie poczuła na plecach żaru ognia. Ręka Avenela, mocna i pewna, sięgnęła do jej brzucha, ale Brienne odepchnęła ją. Próbowwała osłonić się ręcznikiem, lecz zdarł go z niej i cisnął w przeciwny kąt kuchni. Zaparło jej dech; z nienawiścią wpatrywała się w rękę Avenela, spoczywającą na jej nagim brzuchu.

– A więc to prawda... – szepnął.

I nagle Brienne uświadomiła sobie w pełni swe położenie. Do tej pory starała się ignorować zmiany zachodzące w jej ciele. Teraz jednak nie było już żadnych wątpliwości. Choć jej figura pozostawała nadal młodzieńcza i smukła, lekka wypukłość brzucha z każdym dniem bardziej utrudniała sznurowanie gorsetu. Piersi stały się pełniejsze, bardziej wrażliwe.

Brienne była pewna, że Avenel nie przeoczył żadnego szczegółu. Różnice wydały mu się z pewnością tym wyraźniejsze, że nie widział jej od wielu tygodni. Jej samej drobne, codzienne zmiany nie rzucały się aż tak w oczy. Reszta służby także ich dotąd nie zauważyła. Teraz jednak, spoglądając w twarz Avenela, Brienne pojęła, że dłużej nie zdoła ukryć prawdy.

Przez długą chwilę obserwowała na jego twardej, kanciastej twarzy burzę najrozmaitszych emocji. Dostrzegła przelotny błysk skruchy, potem zdumienie, niedowierzanie... Kiedy się jednak odezwał, głos miał zimny i beznamiętny.

– Utrzymujesz oczywiście, że to moje dziecko.

– Nie utrzymuję nic podobnego!

Starała się chwycić płaszcz leżący na krześle z wysokim oparciem. Avenel jednak objął ją w pasie i odciągnął bez trudu.

– Ach, tak?... – powiedział, mrużąc oczy; twarz miał bez wyrazu. – Jak więc do tego doszło? Zostałaś zgwałcona, czy oddałaś się dla pieniędzy?

– Zgwałcona? Chyba sam w to nie wierzysz. Zadałeś sobie dość trudu, by mnie zdeprawować! – odparła gorzko.

Cios był celny; szczęka Avenela zadrżała z gniewu.

– Mam nadzieję, że ci przynajmniej dobrze zapłacił. W łóżku jesteś na wagę złota, kochanie!

– Dobrze mi zapłacił?! Popatrz na mnie! Widzisz, jak wspaniale na tym wyszłam, ty podły...

– Mam pomścić twoją krzywdę? Zabić tego tajemniczego amanta?  
– Przyciągnął dziewczynę do siebie. – A może czujesz słabość do tego byczka, co cię tak urządził?...

– Sam jesteś tym „byczkiem, co mnie tak urządził”! – wyrwało się Brienne. Ujrzała triumfalny błysk w jego oczach i syknęła: – Ale możesz mi wierzyć: nie czuję do niego żadnej słabości, tylko nienawiść!

– Masz po temu wszelkie powody, kwiatuszku. – Raz jeszcze dotknął lekkiej wypukłości jej brzucha. – A jednak ci nie wierzę: twoje oczy wcale nie patrzą na mnie z nienawiścią.

– Zostaw mnie w spokoju, Avenelu! W twoim sercu jest tylko złość i gniew. Nie potrzebujesz ani mnie, ani dziecka!

Roześmiał się głośno.

– Nie potrzebuję ciebie?!

Cofnął się nagle i tak gwałtownie kopnął sosnową ławę, że rozpadła się; odłamki rozsypały się po kamiennej podłodze. Ten akt destrukcji nie rozładował jednak całkiem napięcia Avenela. Krążył niespokojnie wokół Brienne, jakby nie mógł zdecydować się ostatecznie, co robić.

– Pragnę cię w dzień i w nocy! Twój przeklęty ojciec już się o to postarał!

– Avenelu... – odezwała się Brienne ze spokojem, który sprawiał jeszcze większe wrażenie w zestawieniu z jego furią. – Powiem ci prawdę: rozmawialiśmy już z panią Whitsome o wyjeździe z Bath. Zamieszkamy na wsi, w domku po jej zmarłym mężu. Nauczę się od niej robienia koronek, a potem otworzymy mały sklepik. – Zamilkła i usiłowała przemóc dławienie w gardle. – Nie mam ani potrzeby, ani chęci wysuwać żadnych roszczeń pod adresem... ojca mego dziecka.

Avenel milczał tak długo, że Brienne zaczęła wątpić, czy usłyszał jej słowa. Nie mogąc już tego dłużej znieść, zdjęła wiszący na krześle płaszcz i osłoniła nim swą nagość.

– Nie wiesz, jaki jestem bogaty? – spytał wreszcie. – Nie wiesz, że mogę zapewnić wszelkie wygody matce mojego dziecka?

– Nigdy już nie będę twoim więźniem!

– Nie masz prawa odbierać dziecku ojca!

– To dziecko wcale...

Chciała mu krzyknąć w twarz: „wcale nie jest twoje!”, ale pod jego przenikliwym wzrokiem nie była w stanie wykrztusić tego kłamstwa.

– Niech cię wszyscy diabli!... Nie będziesz mnie miał!

– Będę. Już cię przecież miałem – odparł z zawziętością. Chwytną ją za rękę, dodał: – Czy ty masz pojęcie, co to dla mnie znaczy?! Od

tamtego czasu minęło już dwadzieścia lat... ale nigdy nie miałem dzieci! Żadnych dzieci, powiadam! A nie żyłem jak mnich!

– Tamte blizny nie przeszkodziły ci zaciągnąć mnie do łóżka. Teraz przekonałeś się, że nie umniejszyły w niczym twej męskości. Dzięki mnie sprawiedliwości stało się zadość: odkryłeś, że rany zadane ci przez mego ojca nie były tak groźne, jak sądziłeś.

Usiłowała wyrwać się z żelaznego uścisku.

– Sprawiedliwości stanie się zadość, kiedy córka hrabiego i jego wnuk wrócą do Osterley Park.

– Nigdy! – poprzysięgła i zdołała się jakoś uwolnić. – Muszę natychmiast porozmawiać z panią Whitsome. Jeszcze dziś stąd wyjedziemy!

– Nigdzie nie wyjedziesz! – powiedział cicho i złowrogo.

– Poszukaj sobie innej, z pewnością chętnie obdarzy cię dzieckiem. Wyjeżdżam i już!

Odwrociła się do drzwi. Jakimś cudem zdołała powstrzymać łzy.



– Dziecko! Dobry Boże!

Cumberlandowi oczy omal nie wyskoczyły z orbit. Avenel zastał go w gabinecie, gdzie Cumberland popijał grzane wino. Odstawił kieliszek i po prostu osłupiał.

– Czy to możliwe, Slane? Twoje dziecko, powiadasz?

– Wszystko wskazuje na to, że moje.

Oparł się obiema rękami o blat ze sztucznego marmuru i zwiesił głowę. Wyglądał na równie zdenerwowanego jak każdy przyszły ojciec.

– To prawdziwy cud! Ależ twój ojciec musi się zaśmiewać w niebie! – Cumberland w podnieceniu wznosił kieliszek do toastu, ale odstawił go od razu, dostrzegłszy na twarzy Avenela ponury grymas. – Tylko mi nie wmawiaj, Slane, że nie szalejesz ze szczęścia! Mnie nie oszukasz!

– A jeśli ona kłamie?...

– W sprawie ciąży? Nie bądź głupi! Jak mogłaby cię okłamać? Widziałeś przecież na własne oczy!

– Nie w sprawie ciąży. W sprawie ojcostwa. – Na twarzy Avenela ukazał się znów ponury grymas. – To musi być moje dziecko! Ale... o Boże! Przecież do tej pory powinny być inne! A nigdy żadnego nie spłodziłem!

– Bienne by cię nie okłamała. – Cumberland zastanowił się powtórnie. – Nie, to do niej niepodobne. Nie jest wcale przebiegła!

– Nie jest przebiegła?! Wali mnie po głowie, wymyka się z Osterley w mroku nocy i ukrywa się przed nami przez długie tygodnie mimo wszelkich naszych wysiłków! A ty mi mówisz, że nie jest przebiegła!

– Miała dość powodów do ucieczki. Teraz znamy je w pełni.

Cumberland zmierzył przyjaciela oskarżycielskim wzrokiem. Pod jego badawczym spojrzeniem Avenel zdobył się tylko na to, by przejechać drżącą ręką po włosach i zarośniętej szczęce.

– Była *virgo intacta*, kiedyś ją...?

– Oczywiście!

– No to nie ma o czym gadać! Rozmawiałem już z gospodynią: powiedziała mi dokładnie, kiedy Brienne się zjawiła. Wędrowała na piechotę i zajęło jej to z pewnością pięć dni. Dokładnie tyle minęło od ucieczki z Osterley do pojawienia się w Bath.

– Ale potem?...

– Potem?! Brednie! Dobrze wiesz, że ona nie jest taka! – Cumberland przyjrzał mu się bacznie. – Poznaję po twoich oczach, Slane! Nie masz wątpliwości, że to twoje dziecko!

– I wnuk mojego wroga!

Cumberland wstał i poklepał przyjaciela po plecach w odwiecznym geście uznania.

– Zapomnij o tym, Slane! To już nie ma znaczenia. – Odetchnął głęboko.

– No więc, jak małego nazwiemy? – Mrugnął filuternie. – Ale chyba warto najpierw pomyśleć o weselu, zanim się wyprawi chrzciny! Kiedy ślub?

– Z pewnością nieprędko!

Avenel walnął pięścią w sztuczny marmur.

– Chcesz złamać przysięgę?! A możeś o niej zapomniał? Czekaj no... byliśmy wtedy w Baltimore, prawda?

– Tak, tak – przytaknął spiesźnie Avenel.

– Już wtedy był z ciebie niezły rozrabiaka, jeśli mnie pamięć nie myli! I piłeś jak gąbka. Całymi dniami uganiałeś się po wszystkich portowych knajpach za dziwkami. Pamiętam, jakieś przysiągł, że ożenisz się z tą, co zajdzie z tobą w ciążę, choćby to była najgorsza szmata! Tak powiedziałeś, Slane, słowo w słowo: „choćby to była najgorsza szmata”!

– To się do Brienne nie odnosi!

– Jasne, że Brienne to nie żadna szmata! Ale przysięga odnosi się i do niej. I prawdę mówiąc, trafiłeś aż miło! Brienne Morrow będzie idealną panią Osterley Park. I co ważniejsze, idealną żoną dla ciebie!

– Idealną?! Najgorszą z możliwych!

– Liczy się tylko to, że ją kochasz. Wiem, że nie pozwalasz o tym mówić, ale raz sobie ulżę i powiem, co myślę! Tygodniami szukałeś tej

dziewczyny jak wariat. Nigdy cię nie widziałem w takim stanie! No, przyznaj sam: nie możesz bez niej żyć, prawda?... A jeśli to nie jest miłość, to już sam nie wiem, jak ona wygląda!

– Nie mogę się ożenić z Brienne. Dobrze o tym wiesz!

– Chcesz, żeby twój jedyny dzieciak był bękartem?!

– Lepiej żeby był bękartem niż trupem! – wykrzyknął Avenel.

– Dajże spokój, Slane! Zamordowałby własnego wnuka?! Nawet nasz hrabia czegoś takiego by nie zrobił! – zaprotestował Cumberland, ale w jego głosie wyczuwało się wahanie.

– A jeśli to wcale nie jego wnuk? Co wiemy o pochodzeniu Brienne? Tylko on może coś o tym wiedzieć. Nie podejmę takiego ryzyka! Musimy siedzieć cicho. Nie ma mowy o zapowiedziach ani o ślubie. Im mniej osób wie o tym, co nas łączy z Brienne, tym lepiej dla niej i dla dziecka!

– A ta gospodyni?... Z pewnością się domyśla, co w trawie piszczy! Co z nią zrobimy?

– Zabierzemy ją ze sobą do Osterley Park.

– Chyba to najlepsze wyjście. Ale jak to się skończy, Slane?... Zwłaszcza teraz, gdy powiększa się nam rodzina?...

Ostatnie zdanie dorzucił po namyśle.

– Nie wiem. Ale cokolwiek się wydarzy... – Avenel spojrzął na przyjaciela i w oczach błysnęła mu żądza mordu – ... koniec nastąpi w Osterley Park. Tego możesz być pewien!

## 27

Obiecuj, Genny, że nikomu nie piśniesz ani słowa!

Brienne nerwowym ruchem złożyła arkusik welinu i wręczyła list młodej służącej.

– Jasne, panienko! I zaraz to zaniosę do hotelu Pod Białym Jeleniem! I nie oddam nikomu, tylko panu Harcourtowi!

– Bardzo ci dziękuję. – Brienne uśmiechnęła się niewesoło. – Mam nadzieję, że pan Harcourt zjawi się tu jutro skoro świt! Nie mogę zwlekać dłużej.

– Jasne, panienko! – Genny popatrzyła na nią ze smutkiem i pośpiesznie wyszła z listem.

Niedługo potem dały się słyszeć kroki Avenela. Otworzył drzwi i stanął na progu. Brienne spojrzała z niepokojem w jego stronę. Sie-

działa przed kominkiem i szcztokowała swe gęste, długie włosy, by szybciej wyschły. Zajmowała teraz sypialnię pani domu. Gospodyni przeniosła ją tam bezzwłocznie, gdy tylko zorientowała się, kim jest nowy właściciel rezydencji. Pani Whitsome zapędziła też dwie służące do przygotowania następnej kąpieli. Brienne poczuła się głupio, ale nie protestowała: musiała w końcu pozbyć się wosku, który przyłgnał do jej włosów i skóry. Obecna sytuacja była dla niej trudna do zniesienia, nie potrafiła też niczego wyjaśnić pani Whitsome. Gospodyni popędzała obie służące i krzątała się wokół Brienne. Zachowywała się wobec niej znacznie bardziej oficjalnie niż dotąd. Przybycie Avenela spowodowało zmianę ich wzajemnych stosunków, nad czym Brienne ubolewała.

– No, chodź, dziki kwiatku! Wybierzemy się na mały spacer, zgoda? – odezwał się Avenel.

– Już zapadł zmrok. To nie jest odpowiednia pora na spacer.

Brienne odwróciła się znów do ognia. Jakimś cudem część jej sukien z Osterley Park przyjechała już do Bath!... Miała teraz na sobie suknię zwaną z francuska *sac*; która z tyłu przypominała fałdzistą pelerynę, z przodu zaś stanik dawał się łatwo poszerzyć. Uzupełnieniem wierzchniej sukni z szeleszczącej, ciemnoróżowej tafty była seledynowa, pikowana spódnica z atlasu. Pod każdy z rękawów wszyto dwa małeńkie, ołowiane ciężarki, wszystko więc układało się znakomicie przy najmniejszym ruchu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Brienne czuła się ładna i elegancka. Siedziała nadal na miękkim dywaniku koło kominka i udawała, że nie widzi swego „dozorcy więziennego”. To długo potrwa – mówiła sobie w duchu. – Rano zjawi się Ralph!

– Odpowiednia czy nie, musimy porozmawiać. Zbieraj się!

Avenel wszedł do pokoju i chwycił podbitą futrem pelerynę, która leżała na malowanym łożu z baldachimem. Podał okrycie Brienne. Nim się spostrzegła, jej rozpuszczone włosy były już ukryte pod kołnierzem, a ona sama schodziła ze schodów.

W hallu Cumberland powitał ją pocałunkiem i uściskiem. Brienne jednak okazała znacznie większą rezerwę. Nadal bardzo lubiła starszego pana, ale nie potrafiła myśleć o nim w oderwaniu od obecnej sytuacji. Czuła do niego żal, miała wrażenie, że ją zawiódł; jej uczucia w stosunku do Cumberlanda były ogromnie skomplikowane.

– Rose bardzo za panią tęskniła, drogie dziecko – powiedział Cumberland.

– Ja za nią również – odparła cicho i smutno Brienne. – Jak ona się miewa? Czy dobrze?... A co z Vivie?



– Rose miewa się doskonale. Zdaje się, że małżeństwo jej służy. Za to Vivie, z tym swoim francuskim temperamentem, była wprost nie do zniesienia od dnia, gdy pani... no, powiedzmy: zniknęła. Jak się pani wiodło, dziecino? Muszę powiedzieć, że wygląda pani wprost cudownie! Cóż za śliczne rumieńce!

– Wiodło mi się znakomicie.

Nim Brienne zdążyła dodać coś więcej, Avenel ujął ją pod łokieć i wyprowadził na świeże, nocne powietrze.

We mgle i zmierzchu Royal Crescent wyglądał nierealnie, przypominał olbrzymi pałac z bajki. W oknach migotały płomyki świec. Ich blask padał na brukowaną ulicę i łagodził twarde krawędzie domów. Choć Brienne nie brakowało kłopotów, w tym momencie urzekło ją piękno i wspaniałość tego widoku. Zatrzymali się oboje przy furtce z kutego żelaza, przez którą można było wejść na trawnik; dolatywał do nich turkot jakiegoś dalekiego powozu i szepty mijających ich przechodniów, otulonych w płaszcze. Brienne poczuła, że ramiona Avenela obejmują ją; wsłuchiwali się w pobrzękiwanie dzwoneczków niewidocznych we mgle owiec.

– Tęskniłem za tobą, mój dziki kwiatku. Wierzysz mi? – Avenel zsunął jej kaptur z głowy i wtulił usta w czerwonawe włosy.

W kręgu jego mocnych ramion czuła się tak bezpiecznie, że omal nie odpowiedziała twierdząco. Ugryzła się jednak w język.

– Pewna jestem, że znalazłeś sobie towarzystwo!

– Mylisz się. Nikt ci nie dorówna, malutka!

Zaśmiała się gorzko.

– Chyba w głupocie! – Próbowwała odsunąć się od niego, ale trzymał ją mocno. – Nie zostanę z tobą! Nie wrócę do Osterley!

– Dokąd się udasz, jeśli nie ze mną? Gdzie się schronisz przed swym ojcem? Tutaj?

– Nie, tutaj nie zostanę. Okazuje się, że nawet tu nie jestem bezpieczna. Widziałam go, Avenelu! Widziałam mego ojca w Bath! – Dreszcz strachu przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa na wspomnienie Oliveira Morrowa stojącego przy kramie rymarza.

– Wiem. Próbował odzyskać swą rezydencję. Moi ludzie mają na niego oko, Brienne. Wiem, gdzie przebywa i co robi o każdej porze dnia.

– Potrząsał ją lekko za ramiona. – Czy ty w ogóle rozumiesz, co ja czułem, gdy dowiedziałem się, że przez cały czas byłaś tutaj, pod samym jego nosem?! Uciekaś ode mnie tylko po to, by o mały włos nie wpaść w jego szpony!

– Ojciec mnie nie zauważył. Ale wolę nie ryzykować następnego spotkania – odparła rezolutnie.

– Więc wrócisz ze mną do Osterley? – spytał Avenel z odcieniem zadowolenia w głosie.

– Nie. Jadę z panią Whitsome na wieś, do jej wdowej chatki. Nie będę się tam musiała obawiać ani ciebie, ani jego!

– Pani Whitsome zgodziła się już wrócić do Osterley Park.

– Kłamiesz! Nigdy by mnie nie porzuciła! – odparła z oburzeniem Brienne.

– Masz rację. Ale ponieważ i ty tam wracasz, więc zgodziła się łaskawie objąć funkcję gospodyni w Osterley Park.

– Wcale tam nie wracam! Mam prawo do własnego życia! Nie chcę być twoim więźniem ani pionkiem w twojej grze!

Odsunęła się od niego i nagle dostrzegła oślepiający błysk na mrocznym sklepieniu. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego: wielka gwiazda z długim, białym ogonem sunęła po niebie. Przestraszona Brienne cofnęła się znów w objęcia Avenela; jednak gdy tylko dziwne zjawisko zniknęło, poczuła się skrępowana i znowu próbowała się wyrwać.

– Zły znak... – usłyszała szept Avenela. – To było w roku pańskim 1758, akurat w święta Bożego Narodzenia... Ujrzeliśmy w Maryland taką samą gwiazdę. Właśnie dlatego mój ojciec postanowił wracać do Anglii. Dwa tygodnie później umarł, doznawszy ogromnego bólu serca. – Avenel obejmował ją tak mocno, iż Brienne prawie się obawiała, że ją przełamie. – Musisz wrócić do Osterley Park! Nosisz pod sercem moje dziecko, potrzebujesz opieki! Rozumiesz?!

Rozumiała oczywiście jego słowa, ale ich ukryty sens budził w niej protest. Odsunęła od siebie myśl o zamordowanej pokojówce, Annie. Powiedziała z irytacją i sceptycyzmem:

– Ach, wy Amerykanie! Czy zawsze jesteście tacy przesądni? Chyba jedna spadająca gwiazdka to nic groźnego!

– Nie rozumiesz, o czym mówię?

– Nie, do wszystkich diabłów! Niczego nie rozumiem! Nie rozumiem tego potwora, który twierdzi, że jest moim ojcem. I nie rozumiem twojej obsesji na temat Osterley Park. Chcę być sama. Chcę wrócić do Walii. To moje dziecko, tylko moje! Nie pozwolę, by wychowano je na więźnia! – Chwycił ją płacz, ale go zdławiła.

Widząc jej udrękę, Avenel nieco złagodniał.

– Cicho, cicho, dziki kwiatku... Nie chcę przecież z tobą wojować! Całymi tygodniami błądziłem po Walii, z miasta do miasta, żeby cię odnaleźć... Ale musisz zrozumieć i moje racje: to przecież moje dziecko; powinno się wychowywać w Osterley Park!

– Mówisz tak, jakby to dziecko było dla ciebie czymś więcej niż bronią przeciw memu ojcu!

– Nie zamierzam porzucić mojego dziecka, kiedy hrabia uda się na spotkanie ze swym Stwórcą! – rzucił ostro Avenel.

– Nie?... A na cóż będzie ci jeszcze potrzebne?

– Mam do niego prawo, Brienne! Musi wychowywać się tam, gdzie jego miejsce: w moim domu!

– Nie masz żadnego prawa do tego dziecka, Avenelu! Zostało poczęte w wyniku twojego podłego podstępu! I właśnie dlatego wolę, by rośło bez ojca... przynajmniej nigdy się nie dowie, w jakich okolicznościach zostało spółdzone!

– W jakich znów okolicznościach?! Powiedz mi w oczy, jak straszna dla ciebie była tamta noc w mojej sypialni! – krzyknął niemal Avenel.

– Była straszna! – zawołała. – Przyszłam do ciebie z własnej woli... ale zostałam oszukana. Rankiem dowiedziałam się, jaką rolę mi wyznaczyłeś w swoim podłym planie! Przekonałam się, jaką byłam idiotką!

Pałace łyzy ciekły powoli po zimnych policzkach Brienne. Nie chcąc, by Avenel ujrzał, jak silne są jej uczucia, odwróciła się od niego.

– Nigdy nie byłaś idiotką, Brienne. Ale teraz postąpiłabyś bardzo niemądrze, walcząc ze mną. Wracamy razem do Osterley Park.

– Nie! Nie pojedę z tobą! Moje dziecko będzie wierzyło, że jest owocem miłości, choćbym miała je okłamywać do końca życia!

Brienne rzuciła się do ucieczki. Gardziła sobą, że okazała taką słabość – i to w obecności Avenela!

– Brienne!

Dogonił ją dopiero wówczas, gdy potknęła się na śliskim bruku i upadła na mokrą ulicę.

– O, Boże!... – Usłyszała jęk przerażonego Avenela i ujrzała, jak Cumberland zbiega ku nim z ganku.

– Nic ci się nie stało? – dopytywał się natarczywie Avenel.

– Nic mi nie jest, naprawdę nic! – odparła Brienne. Zrobiło się jej nieswojo. Spojrzała na swą suknię i zobaczyła, że cały przód jest brudny i mokry od upadku.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś równie głupiego, zamknę cię w pokoju i wyrzucę klucz! – Rozgniewany Avenel pomógł jej wstać.

Urażona jego szorstkim tonem Brienne odepchnęła podane ramię i udała, że nie dostrzega niepokoju w jego oczach.

– Powiedz mi – zwróciła się do niego, dając upust swej złości. – Czy to o mnie się tak troszczysz, czy o nowego, cennego więźnia, wnuka hrabiego?

Nie doczekawszy się od zdumionego Avenela żadnej odpowiedzi prócz lodowatego milczenia, Brienne poczuła się jeszcze bardziej urażona. Ciche łzy przeszły w głośny szloch; wbiegła na schodki wiodące do domu pod numerem pierwszym, nie zwracając uwagi na dolatujące z tyłu wołania. Wyminęła w pędzie Cumberlanda, otworzyła drzwi frontowe i pognęła na górę do swej sypialni. Na szczęście, Avenel jej nie gonił.

Niebawem jednak zjawił się w jej pokoju; nadal był na nią zły.

– Ściągnij to mokre ubranie! Każę ci przysłać obiad do pokoju.

– Nie chcę obiadu! – odburknęła Brienne, starając się opanować dreszcze.

Suknia z przodu była całkiem przemoczona... ale nie chciała przecież przebierać się na jego rozkaz!

– Doskonale. – Chwycił za jej mokre tasiemki.

– Co ty wyprawiasz?! – Brienne próbowała odsunąć się od niego, ale jej się to nie udało. Jak zawsze, Avenel nią dyrygował! To bezgranicznie ją irytowało.

– Traktuję cię jak nieznośnego dzieciaka, którego z powodzeniem udajesz. – Zaczął zdejmować z niej suknię.

– Sama to zrobię! – zaprotestowała, próbując się wyrwać. Zignorował jednak to życzenie i nie puścił jej. Przyglądała mu się z naburmuszoną miną, gdy ściągał jej z ramion przemoczony stanik sukni. Wreszcie spytała:

– Dlaczego w ogóle mnie szukałeś? Czemu ci na tym zależało?

Jakże pragnęła znać odpowiedź na te pytania! Zachował się tak tajemniczo: przyjechał do Bath wyłącznie po nią! Czyż nie zemścił się dostatecznie tamtej nocy w Osterley Park?... Czy nie miał ważniejszych porachunków niż utarczki z nią?... Mierząc Avenela wzrokiem pełnym nienawiści, Brienne czekała w napięciu na jego odpowiedź.

On jednak wcale jej nie słuchał. Rozebrał Brienne aż do koszuli, przemoczonej i niemal przezroczystej. Dopiero wówczas, gdy jego palce przypadkowo musnęły pierś dziewczyny i ręka mu zadrżała, odsunął się wreszcie i pozwolił, by sama dokończyła dzieła.

– Włóż to! – Rzucił jej purpurowy aksamitny szlafrok.

Brienne schwyciła go i czekała, aż Avenel odwróci oczy. Gdy tego nie uczynił, odwróciła się sama, ściągnęła przez głowę białą, bawełnianą koszulę i pospiesznie włożyła szlafrok. Kiedy znów spojrzała na Avenela, zrozumiała, że nie była dość ostrożna. Dostrzegła w jego oczach dobrze jej znany błysk jawnego, nienasyconego pożądania.

W pokoju zaległa cisza. Brienne usiadła sztywno wyprostowana w fotelu. Zatopiona w posepnych rozmyślaniach o przyszłości nie zauważyła,

że przyniesiono jej obiad. Mała służąca, Genny, której wręczyła liścik do Ralpa Harcourta, podsuwała jej rozmaite dania na wielkiej, srebrnej tacy. Nie wspomniała ani słówkiem o ich poprzednim spotkaniu, ale Brienne i tak odetchnęła z ulgą, gdy dziewczyna wyszła. Starła się również nie myśleć o tym, jak przekona Ralpa, by pomógł jej w ucieczce z Royal Crescent.

Prócz obiadu dla niej, Genny przyniosła także brandy dla Avenela. Ten usiadł wygodnie w fotelu i w zadumie popijał trunka. Gdy Brienne poczuła smakowity zapach pieczeni z jagnięcia i gorącego figowego puddingu, zdała sobie sprawę, że jest bardzo głodna. Zabrała się więc do obiadu, ignorując zupełnie obecność Avenela. Dopiero gdy skończyła jeść, zauważyła, że Avenel ocknął się z zadumy.

– Zostaw to! Nie jesteś służącą – ofuknął ją, gdy brała do rąk tacę.

– Sama już nie wiem, kim jestem... Nie widzisz tego? – Oczy Brienne miały iskry, gdy ją odstawiała. Usadowiwszy się znów w fotelu, zapatrzyła się w ogień i wkrótce zaczął ją morzyć sen.

– Pamiętasz noc, którą spędziliśmy w domku myśliwskim, kwiatuszku?

Przemawiał do niej cicho i podobnie jak ona wpatrywał się jak zahipnotyzowany w płomienie. Smutek w jego głosie sprawił, że Brienne poczuła dławienie w gardle. Musiała sobie uprzytomnić, że to ona kocha się w nim beznadziejnie, a nie on w niej!

– Nie pamiętam – skłamała.

– A ja przypominam sobie, że w nocy obudziłem się, ale byłem półprzytomny i nie wiedziałem, kim jesteś. Wydawało mi się, że to jakaś piękna wieśniaczka, która przyszła mi z pomocą. Ale kiedy potem, w Osterley Park, ocknąłem się na dobre, uprzytomniłem sobie, z kim wówczas rozmawiałem w gorączce. Pożałowałem wtedy, że nie jesteś tamtą zjawą ze snu, dziewczyną bez przeszłości. – Popatrzył na nią znacząco. – Jak myślisz, dlaczego?...

– Widać gorączka jeszcze ci nie przeszła. Nie widzę innego wytłumaczenia – odpowiedziała z wysiłkiem.

Czemu tak ją dręczy? Czy chce ją znówu poniżyć?... Całym wysiłkiem woli zmusiła się do myślenia o Ralpie Harcourcie i o tym, że dzięki niemu jutro odzyska wolność.

Widząc zadumę Brienne, Avenel podszedł do niej i wpatrywał się w nią tak długo, że nie mogła już znieść tego przenikliwego wzroku. Rzuciła mu gniewne, odpychające spojrzenie w nadziei, że się odwróci. Zamiast tego jednak Avenel pochylił się nad nią i niewinnie, delikatnie ucałował ją w usta.

Powinna była mu przeszkodzić. Powinna była odwrócić głowę i okazać mu wyraźnie, jaki wstręt budzi w niej jego dotknięcie. Tylko że ten pocałunek wcale nie budził odrazy! Nie czuła też triumfu na myśl o planowanej ucieczce ani na myśl o swej kompletnej obojętności wobec niego.

Brienne jęknęła. Nie czuła przecież wcale obojętności! Budziło się w niej coraz silniejsze pożądanie. Rozpaczliwie usiłowała ignorować to, co się z nią działo... ale szybko, zbyt szybko przekonała się, że nie ma dla niej ratunku. Avenel był groźnym przeciwnikiem... zwłaszcza wtedy, gdy wydawał się spokojny i łagodny. Brienne rozchyliła usta i poczuła, że wpada znów w jego sieci – tak samo jak w Osterley Park. Jutro trzeba koniecznie uciec! Myśli jej wirowały jak szalone. Tak, jutro będzie musiała odejść...

Z dreszczu, który przemknął przez ciało Avenela, zorientowała się, jakim zaskoczeniem była dla niego jej namiętna reakcja. Zdumiała się, że przestał ją całować. Chyba nawet chciał odejść, ale Brienne przyłgnęła do niego, dręczona pragnieniem silniejszym nawet od jego pożądania.

– Cóż to ma znaczyć? – popatrzył na nią, gdy pocałunek dobiegł końca. – Czyżby mojej ślicznej małej dziewczycy po kilku tygodniach sprzykrzyła się samotność?

Jego szare oczy spoglądały kpiąco na Brienne.

– Nie jestem już dziewczicą – powiedziała chłodno, zawstydzona własną reakcją na jego pieśczoły. Chciała, żeby zabrzmiało to oskarżycielsko, ale jej głos był tylko niski i gardłowy.

– Tym lepiej.

Ciepłe, twarde kciuki sunęły wzdłuż jej mostka i zniknęły we wnętrzu aksamitnego szlafroka. Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie, gdy poczuła jak prężą się wrażliwe na dotknięcie sutki. Popatrzyła Avenelowi w twarz i ujrzała na niej wyraźne zaproszenie; nadal jednak wahała się, miała wątpliwości.

– W twoich oczach, Avenelu, widzę niemal miłość... Ale kiedy dziś się nią nasycisz, co z niej zostanie na jutro?...

– Wydaje ci się, że widzisz w nich miłość, kwiatku? No to uwierz w nią, choćby na chwilę.

Pochylił się i znowu ją pocałował, a potem podniósł z fotela i położył na rozesłanym już łóżku. Z dziwną mieszaniną wdzięczności i upokorzenia, napięcia i ulgi, Brienne pozwoliła zdjąć z siebie szlafrok. Potem, naga i śliczna, sama przyciągnęła rękę Avenela i położyła ją na delikatnej wypukłości, która była ich dzieckiem. Małeńki wzgórek wyraźnie oczarował go: gładził go ostrożnie, a potem pochylił się, by ucałować. Pełne pożądania usta zostawiały wilgotny ślad na jedwabistej skórze.

– Tęskniłem za tobą, malutka.

Ściągnął z siebie ubranie i nim Brienne spostrzegła, co się święci, ten wielki, władczy mężczyzna tulił ją już do siebie; w jego pieszczotach była jakaś cześć – jakby wielbił w ten sposób swoją boginię. Jego pocałunki były długie, niepokojące. Czuła się po nich słaba, ale zarazem rośło w niej pragnienie. Jęczała pod dotknięciem pieszczotliwej ręki, powtarzając raz po raz:

– Chcę tego, chcę... – Kiedy jednak chciała dodać: – ... ale to przecież niemożliwe?... – wargi Avenela spadły gwałtownie na jej usta, nie pozwalając dokończyć zdania. Zupełnie jakby mówił, że odtąd nie będzie już żadnych nieporozumień. I choć Brienne wiedziała, że to nieprawda, w tym momencie chciała mu wierzyć.

Usłyszała jęk Avenela. Jego ręce zachłannie objęły jej piersi, w ślad za rękoma poszły usta. Brienne westchnęła rozkosznie, upajając się tą chwilą. Jej umysł, ciało i duszę przepełniała granicząca z bólem miłość do ciemnowłosego kochanka. Jak łatwo było zapomnieć o wszystkim, gdy rzucał na nią swój magiczny czar!

Kiedy jednak chciał osunąć się na nią, Brienne zaprotestowała. Przyczyna jej sprzeciwu była wyraźnie widoczna: obronnym ruchem zasłoniła brzuch. Avenel odsunął delikatnie jej rękę, zapewniając, że dziecku nie stanie się nic złego, jeśli będą się kochali. Przeniósł cały ciężar ciała na muskularne ramiona, by nie przygnieść zbytnio Brienne. Otworzyła się przed nim, pozwalając prowadzić się na szczyty rozkoszy.

– Nigdy mnie już nie opuszczaj, Brienne! Nigdy więcej! – jęknął Avenel.

Głowa Brienne miotła się po poduszce i dziewczyna nie była w stanie odpowiedzieć; w końcu zdołała zapełnić dręczącą pustkę, wchłaniając go w siebie i obejmując go ramionami tak kurczowo, że ślady jej rąk nie zniknęły z jego pleców aż do rana.

Potem leżeli obok siebie na puchowym piernacie w błogim milczeniu. Choć nie mogła go dostrzec w blasku gasnących świec, Brienne wiedziała, że Avenel jest przy niej. Jej delikatna, smukła noga spletała się z jego udami. W każdej sekundzie, przy każdym oddechu myślała tylko o nim. Czuła nadal zamęt w swym ciele – skutki dopiero co przeżytej rozkoszy. Niecierpliwiły ją głosy służby, które wciąż jeszcze rozbrzmiewały w domu. Co za natrętne dźwięki! Przypominały o istnieniu realnego świata, ze wszystkimi jego sprzecznościami i komplikacjami.

– Brienne...

– Nie mów nic... – Uniosła się na łokciu i ucałowała Avenela w usta.



– Posłuchaj...

– Nie chcę niczego słuchać! – Znów go pocałowała w nadziei, że zaczną się znowu kochać – w zupełnej ciszy, jak we śnie...

– Kochanie, wróć do Osterley! – W głosie Avenela brzmiało napięcie. – Nie sprzeciwiaj mi się dłużej, malutka! Wróć ze mną do Osterley Park, a dam ci wszystko, czego tylko zapragniesz.

Brienne zastanowiła się przez chwilę, nim odpowiedziała.

– Tylko jedno mogłoby mnie skłonić do powrotu.

– Zapłacę każdą cenę!

– Nie ma mowy o żadnej „cenie”. Tego, czego pragnę, nie kupisz za wszystkie swoje bogactwa. – Odetchnęła głęboko, by uciszyć trzepoczące w piersi serce.

– Więc czego chcesz? – Avenel uniósł sceptycznie czarną brew.

Chcę być dziewczyną bez przeszłości – myślała, wpatrując się w ogień. – Chcę, żebyś mnie kochał.

– Brienne! Powiedz, czego chcesz? – dopytywał się łagodnym szeptem.

Przymknęła oczy. Czy to coś pomoże, jeśli zdradzi mu swoje najgłębsze uczucia?... Czy wyda mu się znowu żalosna, wyjawiając swą miłość, której on nigdy nie odwzajemni?...

– Powiedz, że mnie kochasz, Avenelu... – Odsunęła się lekko, by spojrzeć w jego piękną twarz. W migotliwym świetle nie widziała dobrze jego oczu. Nie mogła z nich nic wyczytać. – Wystarczy mi, że usłyszę te słowa... – Zawahała się i dodała szeptem: – Ty przecież usłyszałeś je ode mnie...

– Tylu rzeczy nie rozumiesz, dziki kwiatku... – W zamyśleniu gładził jej bujne włosy, które opadły mu na pierś.

– Rozumiem wszystko! To mój ojciec stoi pomiędzy nami! – Nagle ogarnęła ją panika. – Tylko mi to powiedz, Avenelu. Za to jedno „kocham cię” chętnie wrócę z tobą do Osterley Park. Za to jedno zostaną twoją usługą dziwką!

– Żebym tego więcej nie słyszał!

Zerwał się z łóżka. Blask kominka oświetlił jego smukłe, silne ciało. Krążył nerwowo po pokoju jak lampart w klatce.

– Avenelu! – zawołała z płaczem. – Nie złość się na mnie! Pragnę twojej miłości, nie gniewu!...

– Więc nie mów o takich paskudztwach! To nie pasuje do ciebie!

– Już nie będę. Powiedz mi tylko, że mnie kochasz. – Wczepiła się rękoma w aksamitny szlafrok leżący obok niej. W napięciu oczekiwała na słowa Avenela, on jednak milczał.

– Nie mówię o małżeństwie... Dla mojej matki było ono przekleństwem. Nie proszę cię wcale, żebyś się ze mną ożenił. Ani trochę nie zależy mi na dobrej opinii! Powiedz mi tylko to jedno, Avenelu! Niczego więcej od ciebie nie chcę. Tak bardzo cię proszę...

Spojrzała na jego szerokie, mocne plecy. Odwrócił się do niej tyłem, żeby nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Z pewnością jest straszny! – pomyślała niemal obojętnie. Czy kiedykolwiek zdoła odzyskać poczucie własnej godności, jeśli teraz Avenel jej odmówi?...

– W naszej sytuacji nie można mówić o miłości. Obawiam się, że nigdy nie mogło być o tym mowy – odparł ponuro. – O tylu sprawach nie masz pojęcia, Brienne... mimo że dotyczą także ciebie.

– Więć mi wyjaśnij! Pomóż mi wszystko zrozumieć!

Pospiesznie zakryła piersi szlafrokiem, jakby nagość kojarzyła jej się z bezbronnością. Potem popatrzyła na Avenela; obracał w palcach figurkę z saskiej porcelany stojącą na gzymisie kominka. W porównaniu z jego muskularną ręką cacko wydawało się nieprawdopodobnie kruche i delikatne, a zetknięcie tych dwóch przeciwieństw wręcz niestosowne. Ale ja nie jestem porcelanową laleczką! – pomyślała. Nie będę czekać bezradnie aż Avenel zniszczy mnie jednym machnięciem ręki. Nie wypowiedział słów, o które prosiła. Zahartuje więc wszystkie swoje uczucia, by stały się twarde jak brylanty na jej grzebyku. Tylko w ten sposób będzie mogła przetrwać.

– To bardzo nierozsądne żądanie... – Avenel wyraźnie nie mógł się zdecydować. – Sytuacja jest i tak niebezpieczna. Trudno nad nią zapamiętać... Ale wyjaśnię ci, jeśli chcesz.

Odwrócił się do Brienne, ona zaś odsunęła się w najdalszy kąt łóżka, by uniknąć jego niepokojącego dotyku. Avenel zauważył to i jego usta zacisnęły się w twardą linię. Powiedział kąśliwie:

– W jednej chwili upokarzasz się przede mną, a w następnej wraca znów dawna lady Brienne, wielka dama poróżniona ze swym ojcem, rzekomym hrabią! Zdecyduj się wreszcie, mała! Czy uważasz się za istotę niższą ode mnie, czy za wyższą? – Sięgnął po nią i chwycił ją w ramiona.

– Pewnie że wyższą, ty wyuzdany potworze! – warknęła, czując bolesne upokorzenie.

– Więć nie wypadaj z roli! – Odepchnął ją dość łagodnie, lecz z irytacją. – Nie zapomnij tylko, że wszystko zależy ode mnie, lady Brienne! Wszystko!... A miłosne słówka nic tu nie zmieniają, najwyżej skomplikują jeszcze sytuację i tak już paskudną! – Zebrał ubranie, chcąc opuścić pokój.

– Wcale nie wszystko zależy od ciebie! To tylko twoje megalomańskie majaki! Choćbyś miał nie wiem ile pieniędzy i twój ukochany Osterley Park, Oliver Morrow zawsze będzie górował nad tobą pod jednym względem. Posiada tytuł hrabiowski i wielkość, jaką daje mu szlachećne pochodzenie!

– Oliver Morrow nie posiada ani jednego, ani drugiego! Nie zostało mu już nic, zadbałem o to! A jeśli tak ci imponuje wielkość Laborde’ów, to ukorź się przed ostatnim z rodu, piękna dziewczeczko! To ja i tylko ja posiadam wszystko, co tak sobie cenisz!

Kiedy zamilkł, Brienne nie odezwała się. Avenel był wyraźnie zaskoczony brakiem reakcji na to nieoczekiwane oświadczenie.

– Cóż to? Nie zaprzeczasz moim słowom? Nie wymyślasz mi od samozwańców? Wydarłem ci właśnie resztkę niegodnego, choć czasem użytecznego dziedzictwa, a ty milczysz?!

– Nie wierzę ci – odezwała się wreszcie Brienne, choć w duchu nie była wcale tego pewna.

– W co mianowicie nie wierzysz? Że nazywam się w rzeczywistości Avenel Slane Morrow? Że pewien łotr bez skrupułów, kapitan statku nazwiskiem Quentin Spense był w stanie przez dwadzieścia lat grać fałszywą rolę? Że właśnie on, dziwnym trafem dość podobny fizycznie do prawdziwego Olivera Morrowa, zdołał go zabić, nim mój ojciec wrócił do Anglii – swojej ojczyzny, którą opuścił przed wielu laty?... A może po prostu wolisz się nad tym nie zastanawiać? – Popatrzyl na nią z nienawiścią. – Nie wierzysz, że zabił starszego syna hrabiego, drugiego zaś okaleczył, by nie stanowili dla niego zagrożenia? Czy moje bliźny nie są dla ciebie wystarczającym dowodem?

– Dość tego! Moja matka nigdy nie wyszłaby za kogoś takiego! Była piękna i bogata! I nigdy nie przyłożyłaby ręki do oszustwa!

– Nie wiedziała o niczym. Była młoda i pewnie zdawało jej się, że jest w nim zakochana. Ale w końcu od niego odeszła. Sądzę, że odkryła prawdę, ale czuła się bezsilna; nic już nie mogła zrobić.

– Nie! Mama zawsze mi mówiła, że jestem córką hrabiego! Przywiązywała wagę do tego tytułu... ze względu na mnie!... Zachowała grzebień, mój grzebień!... To najlepszy dowód, że kłamiesz! To przecież jeden z rodowych klejnotów, ze znakiem Laborde’ów!

– Zastanów się, kochanie. Kto jest w posiadaniu innego klejnotu z tej samej kolekcji?... Przecież nie twój ojciec!

Brienne wróciła myślą do wieczoru, kiedy Avenel przyniósł jej piękny ametystowy naszyjnik. Wówczas nie przywiązywała do tego większej wagi; nie obejrzała nawet dokładnie obu klejnotów. Zapewne nie tylko na grzebieniu, ale i na naszyjniku widniał znak rodu Laborde...

– Oszalałeś! Straciłeś rozum! Mój ojciec nigdy nie zrzeknie się tytułu na twoją korzyść!

– Nigdy go nie posiadał, więc nie ma się czego zrzekać – odparł z pogardą Avenel.

– Ale nigdy z niego nie zrezygnuje! – Brienne poczuła nagle, że wszystko w niej zamienia się w lód. – Prędej zabije nas oboje!

– Wreszcie zrozumiałeś!

Skinęła głową. Lęk o dziecko sprawił, że uświadomiła sobie prawdę.

– Więc rozumiesz teraz, dlaczego nie może być mowy o żadnych deklaracjach miłości.

– Tak – odparła bezbarwnym głosem.

– Bardzo tego żałuję – powiedział. Podeszedł do niej i położył rękę na jej włosach.

Ale do Brienne nie dotarło jeszcze prawdziwe znaczenie jego słów.

– Czuję się zbyt skrzepowana w towarzystwie hrabiego – powiedziała cicho. – Zechce się pan oddalić?

– *Avec plaisir*. Rano masz być gotowa: wracamy do Osterley! – warknął Avenel i opuścił pokój, nie troszcząc się nawet o zapięcie spodni.

Patrząc za odchodzącym, Brienne czuła współczucie dla nich obojga. Zmagali się tak ciężko z losem, a ich kłopotom nie było końca... Gdy jednak za Avenelem zamknęły się drzwi, poczuła, że lód, który ją opancerzył, zaczyna tajać. I kiedy wybuchnęła płaczem, płakała już tylko nad sobą.

## 28

Następnego ranka, po męczącej, bezsennej nocy, Brienne pakowała w sypialni swoje manatki. Pomagała jej w tym Genny. Wśród skrzypu szuflad i szelestu jedwabi prowadziły ze sobą rozmowę. Brienne spytała małą służącą:

– Na jak długo wyjechali?

– Pan Cumberland z naszym panem pojechali do stelmacha, naprawić coś w powozie. Po tym, jak gnali do Bath, nasz pan obawiał się, że w powozie coś tam się wygięło. – Genny z lubością składała fartuszki.

– A pan Harcourt wyraźnie ci powiedział, że tu dziś będzie? – spytała Brienne po raz setny.

– Jasne, panienko! Pewnie że będzie! – Genny kiwnęła głową. Miała jakąś niewyraźną minę. Brienne była pewna, że coś... a może ktoś?... napędził dziewczynie stracha.

Oby tylko Ralph zjawił się przed ich powrotem! – myślała Brienne, pakując pospiesznie ostatnią suknię. Nie zabierała ze sobą zbyt wiele; tylko te ubrania, których się dorobiła podczas pobytu na Royal Crescent. Inne suknie, tamte z Osterley Park, zostawi pod opieką Genny. Jej samej z pewnością nie będą już potrzebne.

Brienne pospiesznie podziękowała Genny za wszystko, co dla niej zrobiła od przyjazdu Avenela. Potem wzięła wiklinowe koszyki ze swymi rzeczami i przeszła do salonu. Postanowiła tam zaczekać na Ralpha. Wiedziała, że z tego pokoju prędzej niż z sypialni usłyszy zatrzymujący się przed domem powóz. Modliła się, by Ralph przybył jak najszybciej.

Ledwie mogła uwierzyć we własne szczęście, gdy Genny przyniosła jej wraz z poranną czekoladą cudowną wieść o nieobecności Avenela. Postanowiła skorzystać z uśmiechu losu; nie traciła ani chwili i oto była gotowa na przybycie Ralpha. Ciągle jeszcze nie obmyśliła, co mu powie, wiedziała jednak, że to dla niej jedyna szansa i nie może jej stracić. W pierwszej chwili myśl o tym, że Avenel mógłby zatrzymać ją siłą, gdyby chciała odejść z innym mężczyzną, wydała się Brienne wprost śmieszna. Kiedy się jednak nad tym zastanowiła, przypomniało jej się wiele zuchwałych czynów, przed którymi się nie cofnął. Uznała więc, że lepiej będzie wymknąć się z domu chyłkiem niż opuścić rezydencję w sposób demonstracyjny.

Czekając w salonie, starała się wszelkimi sposobami uspokoić starzane nerwy. Wpatrywała się w malowidło na suficie, wodząc oczyma po przedstawionych na nim girlandach z wijących się pędów i pierzastego kwiecica kapryfolium oraz po festonach z jakichś łuskowatych pnączy. Był to całkiem uspokajający widok; kontrastował wyraźnie z ożywionym ruchem ulicznym, którego odgłosy dobiegały tutaj mimo szczelnie pozamykanych okien. Niesiono w lektykach licznych reumatyków i podagryków. Ranek był najodpowiedniejszą porą na zabiegi, toteż pacjenci spędzali go w łaźniach. Potem opatulonych jak niemowlęta odnoszono ich w czarnych lektykach prosto do łóżek. Jedyną zaletę osobliwego ruchu ulicznego w Bath stanowiło to, że bez trudu można było rozpoznać turkot nadjeżdżającego powozu. Brienne nie miała wątpliwości, że Ralph Harcourt przybędzie po swą oblubienicę właśnie powozem!

Coś ją zaczęło dławić w gardle, gdy doleciało ją od frontu skrzypienie kół. Rozległo się stukanie do drzwi. Gdy je lokaj otwierał, Brienne stała już ze swymi koszykami w hallu wykładanym sztucznym marmurem.

– Co się stało, Brienne? Czyżbyś się namyśliła?

Patrzyła na stojącego na progu Ralpha Harcourta z bolesnym wprost niezdecydowaniem.

– Ja?... Nie. To znaczy... potrzebuję twojej pomocy! – Podeszła bliżej, żeby się z nim przywitać.

– Co się stało, księżniczko? Nie masz pojęcia, jak zaniepokoił mnie twój liścik! Powiedz, o co chodzi! – Delikatnie pogładził ją po policzku.

– Właściciel tego domu... właśnie się zjawił. – Odetchnęła z trudem i obejrzała się jakby w obawie, że napotka oskarżycielskie spojrzenie srebrnych oczu. – Nie mogę tu dłużej zostać. Miałam nadzieję, że pomożesz mi wyjechać stąd.

– Za dzień lub dwa moglibyśmy już brać sekretny ślub w Gretna Green. Czy tego właśnie pragniesz? Małżeństwa? – Oczy mu zabłysły. Brienne nie miała żadnych wątpliwości, że Ralph bardzo ją kocha.

– Wydaje mi się... – mruknęła Brienne, odwracając oczy, by nie widzieć tego rozkochanego spojrzenia. Nie chciała zranić Ralpha Harcourta, czuła jednak, że musi to zrobić. Nosila w sobie dziecko innego mężczyzny. Zdała sobie nagle sprawę, że małżeństwo z Harcourtem byłoby czymś nie do pomyślenia, haniebnym oszustwem. Ralph Harcourt był dobrym człowiekiem, nie mogła posłużyć się nim bezwzględnie po to tylko, by uwolnić się od Avenela! Gdyby to zrobiła, okazałaby się nie lepsza od tych, którzy ją wykorzystali.

Oczy Brienne błądziły po hallu. Zastanawiała się, jak najdelikatniej powiadomić Ralpha o stanie swoich uczuć. Patrzyła na puste w tej chwili schody i na szafkowy zegar, który odmierzał cenne minuty... I ciągle nie mogła znaleźć właściwego rozwiązania, podjąć ostatecznej decyzji.

Nagle uniosła rękę do ust, serce podskoczyło jej w piersi, kolana się pod nią ugięły... Po lewej stronie hallu znajdował się gabinet. Zobaczyła w nim Avenela: siedział w milczeniu na fotelu i wpatrywał się... nie w nią, lecz w Ralpha Harcourta! Jedno piorunujące spojrzenie tych gniewnych oczu powiedziało jej wszystko. Avenel od samego początku przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Co się dzieje? – Oczy Ralpha powędrowały w ślad za przerażonym spojrzeniem Brienne. Zmarszczył brwi na widok wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, który obserwował ich z gabinetu.

– Powóz już czeka, Brienne. – Avenel wstał, skinieniem głowy odprawił lokaja i przeszedł do hallu.

– Nie idę z tobą do Osterley! – Brienne dosłownie trzęsła się ze strachu, widząc, że zaraz rozpęta się burza, której tak chciała uniknąć.

– Czyżby? – uśmiechnął się nieprzyjemnie Avenel. – Widać mnie nie usłyszałaś. Powiedziałem, że powóz już gotów i zaraz wracamy do

domu, Brienne. Idziemy! Nie każesz chyba Cumberlandowi zbyt długo czekać? – Chwycił ją za łokieć. – Pan wybaczy! – powiedział zdawkowo do Harcourta.

– Ani myślę! – Ralph ruszył w jego stronę, wykazując (zdaniem Brienne) zdumiewającą odwagę. – Dama, której pan ośmiela się wydawać rozkazy, to moja przyszła żona. I z pewnością nigdzie z panem nie pojedzie.

Avenel nagle zatrzymał się i znieruchomiał.

– Ach, tak? Pańska żona?... – Ścisnął ramię Brienne aż do bólu. – Czy to prawda, moja droga?

– Nigdzie z tobą nie pojadę, Avenelu! Żeby nie wiem co! – Przygryzła drżące wargi.

– No to ci powiem, co cię czeka, jeśli zaciągniesz tego otumanionego młodzieńca do ołtarza! – warknął Avenel. – Nie zaznasz chwili spokoju do końca życia! Odnajdę cię choćby na końcu świata! Chcesz zniszczyć sobie życie?... W porządku! Ale pomyśl, że zniszczysz je i jemu! – Avenel wskazał ruchem głowy Ralpha.

– Puść ją natychmiast! – zażądał Harcourt i znów ruszył ku niemu.

– Brienne, nie masz przypadkiem jakiejś nowiny dla swego oblubieńca? – dręczył ją Avenel.

– Nie zmuszaj mnie do tego! – Brienne przymknęła oczy, myśląc o tym, jak jej odmowa zrani Ralpha. A jednak nie miała wyboru... Tylko że Ralph nigdy tego nie zrozumie! Nie miał pojęcia o jej ciąży.

– Puść ją, powiadam! Ona jedzie ze mną! – powtórzył Harcourt z niewzruszoną pewnością.

– Co ty na to, „księżniczko”? – prowokował ją Avenel; oczy płonęły mu gniewem.

– Ralphie, zrozum... – zaczęła Brienne, ale przerwał jej.

– Nie musisz nic mówić, kochanie. Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień. Już ci to powiedziałem.

Głos Harcourta był spokojny i kojący. Miała wrażenie, że Ralph wie o jej problemach i że już wszystko jej wybaczył. Jakże pragnęła z nim odjechać!... A jednak w głębi serca wiedziała, że jej przeznaczeniem jest Avenel. Więzy łączące ją z właścicielem Osterley Park były zbyt skomplikowane, by mogła je zerwać jedną ucieczką.

– Tak mi przykro, Ralphie... Tak strasznie mi przykro... – Głos jej się załamał, płonęła ze wstydu i to nie tylko za siebie. – Nie wiem, jak ci to wyjaśnić... Widzisz, moja przeszłość... Tak, właśnie ona wiąże mnie z tym człowiekiem. Nie mam innego wyjścia: muszę odjechać z nim... Och, Ralphie... – Nie była w stanie mówić dalej.



– Ach, tak?... – Piękne, brązowe oczy Ralpha były pełne bólu.

– Ralpie, postaraj się zrozumieć!... Ja nie chciałam, żeby się tak skończyło!

Brienne próbowała wyrwać się Avenelowi, by pocieszyć Ralpha. Wiedziała jednak, że ramiona Avenela – zwarte czy to w nienawiści, czy w miłości – są silne jak stal.

– Do powozu, Brienne! – rzucił Avenel.

– Nie! Muszę mu wytłumaczyć!

Znowu zwróciła się do Ralpha. Gotowa była błagać go o wybaczenie, choćby na kolanach! Zrobiłaby wszystko, byle z jego oczu zniknął ten bolesny wyraz...

Nie miała jednak możliwości. Avenel wpadł nagle w furję, chwycił ją jedną ręką w pasie, drugą za nogi i wyniósł z domu, nim zdążyła wypowiedzieć jeszcze jedno słowo. Wrzeszczała, żeby ją puścił. On jednak, głuchy na jej krzyki, brutalnie wrzucił ją do czekającego powozu.

– Nie mogę tak odjechać! Mówię ci: nie zostawię go tak! – krzyczała Brienne, nie mogąc znieść widoku załamane go Ralpha stojącego ze zwieszoną głową.

– On już wszystko dobrze rozumiał! – powiedział Avenel z uśmiechem, obejmując ją twardym spojrzeniem. – Jedziemy! – Usiadł obok Cumberlanda i pospiesznie zatrzęsął drzwiczki.

Nieodwołalność tej sytuacji przytłaczała Brienne jak sterta kamieni. Zerwała się z miejsca i próbowała wysiąść z powozu. Chciała pomóc Ralphowi i postąpić z nim uczciwie, choćby jej przyszło wyznać, że spodziewa się nieślubnego dziecka. Jednak Avenel trzymał ją mocno.

– Proszę cię, Avenelu! Pozwól mu wszystko wytłumaczyć! Nie każ mi rozstawać się z nim w ten sposób! Był dla mnie taki dobry... – posunęła się nawet do błagań.

– A czemu nie miałabyś się z nim rozstać właśnie tak? – spytał złośliwie Avenel. – Przecież go nawet nie kochasz! O ile dobrze pamiętam, kochasz mnie.

Zadawszy jej ten cios, Avenel opadł na siedzenie. Nie czekał jednak długo na ripostę Brienne.

– Tak, ciebie! I będę się smażyć w piekle, że zmarnowałam w taki sposób najpiękniejsze uczucie!

Zamachnęła się i wymierzyła mu bolesny policzek. Avenel nie wzdrygnął się nawet ani nie szukał rewanzu. Przez resztę podróży zachował kamienne milczenie. Ostentacyjnie ignorował patrzące nań z tak bliska fiołkowe oczy pełne nienawiści.

## *Część trzecia*

*Głupcy pędzą bez namysłu tam, gdzie aniołowie lękają się stąpnąć.*

Alexander Pope



Wiosna 1781 roku zjawiała się w potokach deszczu. Był już dziesiąty kwiecień; ziemia w Osterley Park nasiąkła wodą jak gąbka. Przez cały ponury tydzień panoszyła się wilgoć i chłód. Niekiedy Brienne miała wrażenie, że ta posepna atmosfera jest zapowiedzią czegoś znacznie gorszego – zbliżającego się nieszczęścia.

Starła się odpędzić od siebie takie myśli; posepne rozważania mogły zaszkodzić dziecku, które rosło w niej jak na drożdżach. Przemagając nieustanne znużenie, Brienne kręciła się po wielkim domu, zajmowała robotkami ręcznymi, choć nigdy nie mogła się na nich skupić, i wiodła przyjacielskie rozmowy z Rose i panią Whitsome. Z przyjemnością zobaczyła znów Vivie i wróciła do swej dawnej żółtej sypialni. Jednak w radosnym powitaniu Osterley Park nie zabrakło goryczy: Brienne dobrze pamiętała, że właśnie tu po raz pierwszy ujrzała Avenela.

Ilekróć przypomniwała sobie przymusowy wyjazd z Bath, kipiała wprost z gniewu. Napisała długi list do Ralphi Harcourta; wyjaśniła mu wszystko najlepiej, jak mogła, nie wspominając o dziecku. Powierzyła ten list Vivie; była pewna, że pokojówka wyśle go bez zwłoki. Jednak nawet i to nie uśmierzyło goryczy i gniewu Brienne. Poprzysięgła sobie unikać wszelkich kontaktów z Avenelem, jak długo to będzie możliwe.

Jednak – ku zdumieniu Brienne – nawet w domu tak wielkim jak Osterley bardzo trudno go było unikać. W hallu, na korytarzu, w bibliotece ich oczy spotykały się nagle i Brienne natychmiast szukała jakiegoś pretekstu, by się oddalić. Nie padło ani jedno ze słów, które wisiały w powietrzu. Brienne przysięgła sobie, że nie pozwoli się więcej zranić!

Grono domowników powiększyło się o jeszcze jedną osobę (nie licząc tego przybysza, który miał pojawić się w całej okazałości dopiero w grudniu!). Z Ameryki przyplłynął chłopiec, który nazywał się Robert Staples.

Z początku Brienne nie wiedziała o Nobie nic poza tym, że jest milczący i chudy. Dość często spotykała smutnego dzieciaka w galerii; wpatrywał się z nabożnym podziwem w ogromne płótna XVI-wiecznych malarzy wiszące na ścianach jedno obok drugiego.

Potem Brienne zaczęła spędzać z Nobem coraz więcej czasu, zwłaszcza od chwili, gdy dowiedziała się o tragicznej śmierci jego ojca w Maryland. Była wdzięczna Avenelowi, że nie wspominał chłopcu o pokrewieństwie łączącym ją z rzekomym Oliverem Morrowem. Wiedziała, że dzieciak ją ubóstwiał; wchodząc do pokoju, zawsze szukał jej wzrokiem i promieniał wprost ze szczęścia, gdy do niego podchodziła i spędzała czas w jego towarzystwie.

Przyjaźń między nimi zacieśniła się w długie, dżdżyste dni, które z konieczności spędzali w domu. Pewnego razu Brienne dostała skurczu brzucha; Nob tak się przeraził, że zszarzał na twarzy. Chcąc uspokoić chłopca, Brienne spojrzała prosto w jego wychudzoną twarz i zapewniła go:

– To nic groźnego, Nob! Spodziewam się po prostu dziecka. Jest tutaj, widzisz?

Z radością pozwoliła mu dotknąć brzucha, w którym rosło jej dziecko. Pomyślała, że tak właśnie postąpiłaby matka Noba. Obojgu nagle wydało się, że stanowią rodzinę.

Avenel jednak nie zamierzał bawić się z nimi w tę „rodzinkę na niby”. Trzymał się przeważnie na uboczu. Niekiedy, siedząc w salonie, Brienne słyszała przez ścianę, jak krążył tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu obwieszonym gobelinami. Wstrzymywała wówczas oddech, a wszystkie jej myśli bieły do sąsiedniego pokoju i człowieka, który tam się znajdował. Brienne wiedziała, że oboje czekali w napięciu: ona na narodziny dziecka, Avenel na coś zgoła innego.

Wieść dotarła do nich, gdy siedzieli wszyscy przy obiedzie. Avenel po raz pierwszy od powrotu do Osterley Park jadł razem z nimi. Była też Rose i Cumberland oraz mały Nob. Brienne prawie się nie odzywała podczas posiłku; czuła się skrepowana obecnością Avenela. Wszyscy zdumieli się, gdy do jadalni wpadł Hans, nie zważając na swe wysokie, zabłocone buty.

– On się wymknął, Slane! Przed chwilą posłaniec dał mi to! – Wręczył pospiesznie Avenelowi list, który ten równie szybko otworzył. Marszcząc brwi, odcyfrował znajdujące się w nim gryzmoły i podniósł wzrok.

– Dobra robota, Hans! Chyba na to właśnie czekaliśmy. Niech kilku lokajów patroluje cały teren. A wy z bratem uważajcie na bramę! Miejcie się na baczności: Spense to zarozumiały bydlak, bez wątpienia ze chce wkroczyć tu z hrabiowskim szykiem!

Avenel odprawił wielkiego Skandynawa i zwrócił się do Brienne:

– Quentin Spense wymknął się moim ludziom, którzy go mieli na oku. Może zjawić się tu w każdej chwili.

– Wobec tego Rose powinna stąd wyjechać! – Cumberland zerwał się nerwowo z krzesła. – W Londynie będzie bezpieczna.

– Słusznie! – Avenel milczał przez chwilę, przygotowując się do ogłoszenia decyzji, którą dobrze przemyślał. – I chcę, żeby Brienne wyjechała razem z nią.

Brienne zapało dech.

– Mam wyjechać? Teraz?! – spytała, nie wierząc własnym uszom. – Zrobiłeś wszystko, żeby sprowadzić mnie do Osterley Park... na ten właśnie moment! A teraz chcesz, żebym wyjechała do Londynu? – Wybuchnęła śmiechem. – Nie gadaj głupstw!

– Pomyśl o swoim stanie, Brienne! Nie możesz tu zostać – odezwała się Rose.

– Mogę i zostanę! To mój ojciec! Zrujnował mi życie, tak samo jak wam! – Odwróciła się do Avenela. – Drogo już zapłaciłam za to pokrewieństwo. Mam więc prawo zostać! – Wstała i popatrzyła na obu mężczyzn, którzy poczuli się nieswojo pod jej stanowczym wzrokiem.

Avenel potrząsnął głową.

– Teraz, kiedy nadszedł ten moment, nie podejmę takiego ryzyka! Wyjedziesz z Rose.

– Mam przecież służyć ci jako przynęta! Czyż nie na to byłam ci potrzebna od samego początku? – Brienne skrzyżowała ramiona na piersi. Avenel, nie zwracając na nią uwagi, powiedział do Cumberlanda:

– Każ stajennym przygotować powóz na rano. Wolałbym, żeby odjechali już teraz, ale nie chcę puszczać na noc dwóch kobiet i dzieciaka!

– Masz rację. Idę do stajni – Cumberland nerwowo wyłamywał sobie palce.

– Nigdzie nie wyjadę! Ja też mam prawo do zemsty! – upierała się ze złością Brienne.

– Zemsta go nie ominie – zapewnił ją Avenel. – I pójdzie nam łatwiej, jeśli wy będziecie w Londynie. Nie zapominaj, że odpowiadasz teraz nie tylko za siebie. Narażając własne życie, narażasz i dziecko!

Po tej, udzielonej spokojnym tonem, reprimendzie Brienne zamilkła na chwilę. Niełatwo jej było podjąć decyzję. W głębi duszy wiedziała, że

Avenel ma rację. Równocześnie jednak czuła, że musi stanąć twarzą w twarz z ojcem i oskarżyć go o krzywdę, którą wyrządził matce i jej. A poza tym pod jej nieobecność w Osterley Park mogło dojść do jakiejś tragedii... Może nigdy już nie ujrzałyby Avenela?... Brienne pospiesznie odsunęła od siebie te myśli. Gdyby taka perspektywa rzeczywiście ją niepokoiła, to by znaczyło, że nadal kocha Avenela... a od powrotu z Bath postanowiła nigdy się do tego nie przyznawać, nawet przed sobą!

– Odprowadzę cię do naszego pokoju, Rose. Lepiej zabierz się już za pakowanie – powiedział łagodnie Cumberland.

Brienne spojrzała na niego, gdy zaczął wydawać polecenia lokajom. Kiedy oboje z Rose wyszli z jadalni, odprowadziła ich wzrokiem.

Avenel zwrócił się do chłopca.

– Nob, będziesz w czasie podróży opiekunem pani Brienne. Skocz do mego pokoju i przynieś stamtąd pistolet; pokażę ci przed jutrzejszą wyprawą, jak się z nim obchodzić.

Na te słowa chłopcu zabłyśły oczy. Zerwał się z krzesła, gotów już biec po broń.

– Fantastycznie, panie Slane!... To znaczy... co za zaszczyt, panie hrabio... – wybąkał, nie oswoiwszy się jeszcze z nową pozycją Avenela.

Ten roześmiał się w odpowiedzi.

– Doskonale! Poszukaj pod moim łóżkiem. Para pistoletów, którą tam znajdziesz, nie jest nabita. Zanieś je do galerii, spotkamy się tam za chwilę.

Chłopiec pospiesznie skinął głową i ochoczo popędził schodami na dół. W jadalni zaległa cisza, gdy Brienne została sama z Avenelem.

– Może wszyscy pojedziemy do Londynu? – podsunęła. – Poczekamy, aż twoi ludzie wpadną na trop mojego ojca i wówczas tu wrócimy.

– I będzie się tak wlokło bez końca? Nie, kwiatuszku! Trzeba to skończyć, raz na zawsze. On chce mnie zabić. Od dwudziestu lat tylko o tym marzy. Nie mam zamiaru przez następne dziesięć ciągle się rozglądać, czy się gdzieś nie czai!

– A gdybym ja się z nim spotkała? Mogłabym mu powiedzieć, że spodziewam się dziecka... twojego syna... jego wnuka. Może to by na nim zrobiło wrażenie?

– Dajże spokój! – Avenel podszedł do niej i pogłaskał ją po lśniących włosach. – Czy naprawdę myślisz, że to by go skłoniło do zmiany planów? Przecież on nic nie czuje nawet do ciebie, rodzonej córki! Już sobie wyobrażam, jak by pokochał swego wnuka... zwłaszcza splotzonego przeze mnie!

Brienne poczuła nagle przytłaczający smutek. Podeszła do okna, ale widziała przez nie tylko deszcz i mrok.



– Tak, mój ojciec wcale o mnie nie dba. I tego właśnie nie przewidziałeś w swoich planach... cóż za ironia losu!

– Widzisz więc, malutka, że tym bardziej powinnaś wyjechać.

– Nie! – zaśmiała się posepnie. – Tym bardziej powinnam zostać! Muszę być świadkiem wszystkiego, co się tu stanie... aż do samego końca! I ja chcę mieć swój udział w wymierzeniu sprawiedliwości.

– Brienne, nie będę z tobą dyskutował na ten temat! Spodziewasz się dziecka...

– Właśnie: dziecka! – Brienne odwróciła się do niego. – Pomówmy więc o dziecku! O tym biedactwie, którego nikt prócz mnie nie kocha!

– Przestań, Brienne! – rzucił ostro Avenel, lecz zignorowała jego rozkaz.

– Zostanę tu, Avenelu. Moje dziecko też by sobie tego życzyło! Mój syn chciałby z pewnością, żeby jedyna osoba, która go kocha, walczyła o jego dziedzictwo.

– O czym ty mówisz? – burknął Avenel.

– Będę tu, gdy zjawi się Spense, choćby tylko po to, by wreszcie się dowiedzieć, kto naprawdę jest moim ojcem!

– Z pewnością nie on! – upierał się gniewnie Avenel.

– Czyżby? Jaki masz na to dowód? Żadnego! Tylko moja matka i Spense znali prawdę, a teraz tylko on może ją wyjawić!

– Nie ma znaczenia, kim jest twój ojciec! – wrzasnął niemal Avenel.

– Nie ma znaczenia? Nie ma znaczenia?! – słowa Brienne brzmiały jak świst bicia. – Jak śmiesz mówić mi takie rzeczy! Kiedy moje dziecko spyta, czemu dziadek tak go nienawidził, będę musiała mu powiedzieć: „z powodu twojego ojca”. A kiedy spyta mnie, czemu jego ojciec gardzi mną, jego matką, odpowiem: „z powodu mojego ojca”! – Całkiem już przestała nad sobą panować i w furii okładała pięściami Avenela. – Więc mi nie opowiadaj, że to nie ma znaczenia! Tylko to się liczy!

– O Boże!... Brienne! – Avenel pochwycił jej piąstki. Próbował ją uspokoić, ale Brienne krzyczała dalej:

– Zrozum to wreszcie, Avenelu! Nie ma żadnego powodu, który mógłby mnie powstrzymać! Zostanę tu do samego końca! Moje bezpieczeństwo?... Do diabła z nim! Nie ma żadnego powodu! – zapewniała.

– Właśnie że jest! Najważniejszy powód na świecie. Wyjedziesz stąd jutro i już!

– Niby dlaczego? Z jakiej racji?! – krzyczała. – Cóż możesz mi powiedzieć takiego, co zmieniloby sytuację? Co mogłoby mnie przekonać?!

W pokoju zaległa złowróźbna cisza. Brienne obserwowała burzę uczuć na twarzy Avenela.

– Kocham cię! – wykrzyknął gwałtownie. – Kocham cię, Brienne! I chcę, żebyś była bezpieczna!

– Ty mnie kochasz?... Ty?... – wyjąkała, nie wierząc własnym uszom.

– Kocham cię. Tak bardzo, że nie pozwolę ci dopytywać się o to, kto jest twoim prawdziwym ojcem... Nie chcę, żeby ci się stało coś złego!

Dotknęła jego twarzy, którą знаła tak dobrze, kochała tak mocno... Nawet wtedy, gdy Avenel ją skrzywdził, nawet wtedy go kochała... Ale teraz ... czy nie przesłyszała się?... Nie pomyliła?... Spytała cicho:

– Jak to możliwe, Avenelu? Jak mogłeś pokochać właśnie mnie? Przecież mną pogardzasz...

– Kocham cię – odparł również szeptem. – Próbowałem zwalczyć w sobie tę miłość, wkładałem w to wszystkie siły! Ale nie mogę dłużej się jej zapierać. Kocham cię, dziki kwiatku. Kocham cię nad życie, kocham cię ponad wszystko!

– Nawet jeśli jestem córką Quentina Spense’a?...

Wstrzymała dech.

– Nie dbam o to! Jesteś najcudowniejszą, najbardziej godną miłości kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Oddałbym wszystko, o co tak żażarcie walczyłem, abyś zawsze tak na mnie spoglądała jak teraz.

– A jak ja na ciebie patrzę?...

– Jakbyś mnie kochała bardziej niż na to zasługuję – głos mu się załamał ze wzruszenia.

– Avenelu... – jęknęła – kocham cię, naprawdę... Nawet nie wiesz, od jak dawna!

– Więc chodź! – Ucałował ją tak zachłannie, że zabrakło jej tchu. – Zejdźmy do mego pokoju! Pokaż mi, jak bardzo kochasz bezczelnego potwora z końca świata, Brienne! I pozwól, żebym spróbował cię przebłagać za to wszystko, co musiałaś przeze mnie wycierpieć...

– Ależ, Avenelu! Nob czeka na nas w galerii... – wahała się Brienne.

– Niech sobie czeka! – odparł Avenel z uroczym, łobuzerskim uśmiechem.

Istotnie, Nob musiał długo na nich czekać. Avenel zamknął się z Brienne w paradnej sypialni... i czas dla nich stanął. Szeleściło opadające na podłogę ubranie. Westchnienia przeplatały się z czułymi szeptami, gdy Avenel rozbierał Brienne z ogromną delikatnością, bez pośpiechu, sprawiedliwie obdzielając pieczyotami każdą cząstkę jej ciała.

– Czy to się nam nie śni?... – spytała, całując wnętrze jego dłoni.

– O nie, malutka! To nam się wcale nie śni – zapewnił Avenel, kładąc ją na swym łóżku.

– Naprawdę cały jesteś mój?...

– Naprawdę. Tyle, ile zdołasz objąć ramionami! – Przytulone do jej piersi usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Zagarnę cię całutkiego!

– Widzę, dziewczyno, że jesteś nienasycona! Tak samo jak ja! – roześmiał się tubalnie, ale zaraz spoważniał. Całując jej czoło i powieki, szepnął: – Nikomu cię nie oddam, Brienne! Nigdy! Jestem absolutnym egoistą... pogodzisz się z tym?

– Jakoś to zniosę – odpowiedziała.

Przyjęła go w siebie i pozwoliła, by kochał ją tak zachłannie jak jeszcze nigdy dotąd. Każde jego dotknięcie było jak prąd elektryczny, każdym pocałunkiem niemal ją pożerał. Pewna jego miłości Brienne czuła się bezpieczna. Zatraciła się całkiem w jego uścisku, a gdy oboje osiągnęli szczyt rozkoszy, czuła, że ukochany przeniknął nie tylko do jej ciała, ale i duszy.

Brienne ucałowała gorące wargi Avenela, po czym okryła prześcieradłem nagie piersi i wtuliła się w ramiona kochanka. Odsunęła od siebie wszelkie myśli o dniu jutrzejszym; liczył się tylko mężczyzna leżący obok niej, mężczyzna, którego kochała całą duszą. W blasku świecy przypatrywała mu się w zadumie. W wieczornej ciszy rozległ się jej szepot:

– Nie myślałam, że można być równocześnie bardzo szczęśliwym i bardzo smutnym...

– Czemu jesteś smutna, kochanie? – Avenel leżąc na wznak, bawił się delikatnie jej włosami.

– Zawsze mówiłeś, że jestem ci potrzebna do ostatecznej zemsty na moim ojcu...

Mruknął coś niewyraźnie i zamyślił się.

– Więc jeśli jutro wyjadę, nie będziesz mógł...

Avenel położył jej palec na ustach.

– Wątpię, czy kiedykolwiek mógłbym cię wykorzystać jako narzędzie zemsty, kwiatuszku. Rzeczywiście, myślałem sobie, że to prawdziwy uśmiech losu, kiedy po zdobyciu Osterley Park dowiedziałem się, że przebywa w nim nadal córka „hrabiego”! Zanim cię poznałem, snułem różne okrutne plany... Tak, miałaś stać się narzędziem mojej zemsty!... Ale wszystkie moje zamiary rozwiały się już w pierwszym dniu pobytu w Osterley.

– Jak to?

– No, widzisz... – uśmiechnął się leniwie – mizdrząca się, egoistyczna pannica, którą spodziewałem się tu znaleźć, w ogóle nie istniała! Zamiast niej ujrzałem najcudowniejszą istotę pod słońcem! Była piękna i szlachetna. I pełna dumy... nawet jeśli miała dziury na łokciach!...

Kiedy ze mną walczyła, to nie szło jej o tytuł ojca czy własną pozycję ... Nie, broniła tylko swej ludzkiej godności!... I całkiem mnie zawojowała.

– Jeśli naprawdę tak było, to czemu mnie tu więziłeś?

Oczy Brienne spoglądały nań z wielką powagą.

– Wiedziałem, że opuścisz Osterley Park, jeśli nie zatrzymam cię tu siłą. No i chyba w najczarniejszych zakamarkach mego mózgu kryło się jeszcze złudzenie, że zdołam cię wykorzystać w walce z twoim ojcem. Ale z każdym upływającym dniem widziałem jaśniej, że nigdy się tobą nie posłużę.

– Więc czemu nie pozwoliłeś mi odejść?

– Kiedy tamtej nocy po balu męczyły cię koszmarnie sny, odkryłem, jak bardzo lękasz się samozwańczego Olivera Morrowa. Zrozumiałem, że muszę cię przed nim bronić, choćby zatrzymując cię wbrew twojej woli w Osterley. – Potarł nerwowo szczękę. – O, Boże!... Nie masz pojęcia, jak rozpaczliwie poszukiwałem cię, kiedy uciekłaś w marcu! Przeszukałem każde *dinbych* w Walii, włącznie z Tenby! Byłem pewny, że właśnie tam się ukrywasz. Był to dla mnie straszny cios, kiedy cię nie znalazłem. Na myśl, że nigdy już cię nie zobaczę, rozdzierało mi się serce.

– Przecież nienawidziłeś mnie! Dałeś mi to wyraźnie do zrozumienia tamtego ranka w twojej sypialni!

– Byłem wtedy nieprzytomny z gniewu. Tak rozwścieczyła mnie wieść o zamordowaniu Staplesa, że nie mogłem myśleć logicznie! To był jeden z moich najbliższych przyjaciół. Opłakiwałem go tak, jakbym opłakiwał Cumberlanda. Czy wybaczysz mi to, co wtedy zrobiłem?... – Odwrócił Brienne twarzą ku sobie i przesunął kciukiem po jej policzku. – Dasz mi jeszcze jedną szansę?... Kiedy wrócisz do Osterley...

– Nie będę musiała tu wracać! Proszę cię, Avenelu! Pozwól mi zostać razem z tobą!

Objęła go z całej siły i przyciągnęła do siebie.

– Cicho, cicho, kochanie... – Tulił ją mocno w ramionach. – Tak być musi...

– Ja się boję! Boję się o ciebie! Wiesz przecież, że cię kocham!

– Więc zostań ze mną przez całą noc. Niech cię trzymam w ramionach i czuję, że nic nas nie dzieli. Niechaj będzie tylko ta noc... bez żadnej przeszłości.

– I żadnej przyszłości!

Brienne rozpląkała się. Avenel pokochał ją wreszcie. Kochał ją naprawdę! I mieliby dla siebie tylko tę jedną noc?...

– Jak to „żadnej przyszłości”, dziki kwiatku? – Avenel stanowczym gestem położył rękę na jej brzuchu. – Przyszłość jest przed nami i nie waz się w nią wątpić!

Nob przyglądał się Orillonowi, który polował w pobliżu stajni na jakieś niewielkie stworzenie o szarym futerku. Z okna pokoju śniadaniowego chłopiec nie mógł dostrzec, czy pies upatrzył sobie na ofiarę dużego szczura, czy też dzikiego królika, który nie zdążył się jeszcze przyodziać w wiosenne, ciemniejsze futro. Obaj, chłopak i pies, byli jednakowo podnieceni, ilekroć mały, bystrooki gryzoń wysuwał głowę z dziury i błyskawicznie zniknęła dostrzegłszy groźnego drapieżnika.

Chłopca bawiły harce Orillona rozkopującego z zapalem dziurę i strzygącego białymi uszami; spoglądał jednak na psią zabawę z wyraźną zazdrością – chętnie sam wzięłby w niej udział. Przed chwilą Rose i Cumberland udali się do swych apartamentów na drugim końcu domu. Pozostawiony samemu sobie Nob zaczął się zastanawiać, czy bez zwrócenia niczyjej uwagi mógłby wymknąć się na chwilę z domu i przyłączyć do Orillona?... Niedawna podróż z Ameryki do Anglii była dla chłopca koszmarnym wspomnieniem. Niekończące się postoje we wszystkich maleńkich portach na Karaibach... Ładowanie na pokład trzciny cukrowej, wyładowywanie spod pokładu czarnych niewolników prosto z Afryki... Wlokący się w nieskończoność rejs przez Atlantyki, prawdziwy czyściec dla młodego, spragnionego ruchu ciała, uwięzionego w małej przestrzeni!... Nic dziwnego, że mały Nob pospiesznie zbiegł na parter, pragnąc wykorzystać jak najlepiej każdą chwilę dzielącą go od następnej przymusowej podróży. Pomyślał sobie, że pani Brienne jest teraz zajęta przygotowaniami do drogi, więc z pewnością nie zauważy jego krótkiej nieobecności. On przecież zaraz wróci do domu! A poza tym czeka go (skrzywił się okropnie) jeszcze jeden dzień trzęsienia się w powozie... taki sam jak wtedy, gdy odstawiono go z Liverpoolu do Osterley Park. Jeśli chce się trochę przewietrzyć – to teraz albo nigdy!

Wcisnąwszy mocno na głowę podniszczony, trójgraniasty kapelusz, chłopiec otworzył drzwi i wymknął się z domu. Nie minęła nawet minuta i był już koło stajni. Rozejrzał się dokoła i zobaczył dziurę, do której Orillon zapędził swą ofiarę... Teraz jednak – o dziwo! – psa nie było widać, a szary króliczek kicał w stronę drzew otaczających świątynię Pana.

– Orillon! Chodź no tu, piesku! – Nob gwizdnął przeraźliwie, ale ciszy poranka nie zakłóciło psie szczekanie. – Orillon! – zawołał ponownie i podszedł jeszcze bliżej do stajni. Koło drzwi zauważył czerwoną strużkę. Odezwał się więc znowu: – Czyżbyś złapał szczura, Orillon? Królik okazał się za szybki dla ciebie, co? – i bez pośpiechu podszedł, by zbadać sprawę.

Cios był zupełnym zaskoczeniem. Drobne ciało zważyło się na stajenny dziedziniec i natychmiast zostało wciągnięte w ciemność za drzwiami. Pozbawiony tchu, brutalnie zdławiony muskularnym ramieniem Nob wrywał się jednak i uderzał na oślep napastnika. Ten oddał mu pięknym za nadobne i – po dwóch ciosach w głowę wszystkie gwiazdy stały chłopcu przed oczami.

– Spokój i milczeć! Bo będzie z tobą jak z tym psem!

Nob ujrzał leżącego tuż za progiem skrwawionego, dygoczącego Orillona. Potem, mocno popchnięty, zatoczył się, jęknął i znalazł w głębi stajni. Przekonał się, że zbir, który go zaatakował, nie jest sam. Było z nim trzech innych. Nob rozpoznał tylko jednego, wysokiego, siwowłosego mężczyznę. Oczy chłopca rozszerzyły się z przerażenia: to był hrabia, który brał udział w pamiętnej rozgrywce karcianej w Maryland!

– W którym pokoju mieszka lady Brienne? – spytał hrabia.

– Nic ci nie powiem, morderco! To ty zabiłeś mego ojca! – krzyknął zuchwale Nob.

– Słuchaj no, chłopcze – hrabia uśmiechnął się i wskazał schody na poddasze. – Tam jest okno. Wylecisz z niego, jak nie będziesz grzeczny. – Ruszył ku niemu, Nob cofnął się. – W którym pokoju mieszka lady Brienne? W żółtym?

– Nie!

Hrabia nie tracił czasu na dalszą rozmowę. Dzieciak zbladł.

– Zabierzcie go na górę i wywieście ze szczytowego okna. Na pewno ktoś go zauważy i zaraz się tu zjawi.

– Nie, nie!

Jeden ze zbirów popchnął chłopca po schodach na górę. Oczy Noba oswoiły się już z ciemnością. Rozejrzał się po wnętrzu stajni i dostrzegł w jednym z kątów Kelly'ego. Stajenny – związany, z kneblem w ustach – bezradnie patrzył na to, co się tu działo. Przemagając strach, Nob zawołał:

– Tak, lady Brienne jest w żółtym pokoju! Ale nie uda się wam jej schwycić! Słane obroni ją przed takimi jak wy!

– Czyżby? – roześmiał się zjadliwie siwowłose hrabia. – Chyba jednak zdołamy ją tu zwabić! – i zwracając się do zwałistego zbira, który trzymał chłopca, polecił mu: – Zabierz go na górę i wywieś z północno-wschodniego okna!

– Nie! – zaczął znów protestować Nob, ale nim zdołał powiedzieć coś więcej, poczuł w ustach ohydny, cuchnący moczem szmatę.

– Nob! – Brienne zajrzała do pokoju chłopca, sąsiadującego z jej sypialnią. – Jesteś gotów? Musimy jechać, bo Avenel będzie wściekły! Nob!

Ujrawszy, że w pokoju nie ma nikogo, przygryzła dolną wargę. Weszła do środka i ujrzała leżące na łóżku rzeczy chłopca, porządnie spakowane w węzełek. Samego Noba jednak nie było. Wzięła machinalnie do ręki jego skórzane getry; zauważyła jak bardzo są zniszczone i przysięgła sobie w duchu, że w Londynie zatroszczy się o porządne ubranie dla niego. Odłożyła getry na łóżko i miała już wyjść z pokoju, gdy przyciągnął jej uwagę jakiś ruch po przeciwnej stronie dziedzińca, na dachu stajni.

Podeszła do okna i zdumiała się, widząc Noba wymachującego do niej ręką z najwyższego pietra w stajni. Wychylał się z wnętrza jednej ze znajdujących się na poddaszu pustych izb i jakoś nienaturalnie wywijał wzniesionym w górę ramieniem. Zwisał z parapetu w bardzo ryzykownej pozycji. Brienne zapało dech, gdy dostrzegła tuż pod nim spiczasty występ, sterczące groźnie zwieńczenie dachu niższej kondygnacji.

Jeśli to próbka twego dowcipu, mój paniczu – pomyślała poirytowana Brienne – to już ja się postaram, żeby Avenel tak cię sprął, że aż go ręka zaboli!

Nie przyszło jej nawet do głowy, że to wydarzenie może mieć jakiś związek z wczorajszymi ostrzeżeniami Avenela. Zbiegła na parter, chwyciła w pośpiechu pelerynę i patenki którejś ze służących i popędziła do stajni.

– Brienne! Brienne!

Dziewczyna przystanęła. To dziwne: chłopiec powinien nadal tkwić w oknie, a nigdzie go nie było widać!... Rozejrzała się dokoła i dostrzegła trójgraniasty kapelusz Noba. Leżał w błocie... znacznie bliżej świątyni Pana niż stajni.

– Brienne! Brienne! – odezwał się znów chłopięcy głos.

Był jakiś nienaturalny, dziwnie piskliwy. Niewiarygodne, że smarkacz tak się z nią przekomarza!... Poirytowana dziewczyna ruszyła ku stajni.

Jeśli Nob sobie wyobraża, że ujdzie mu to na sucho, to się myli! – myślała z gniewem. – Oberwie porządnie za takie głupie i niebezpieczne figle!

– Brienne! Brienne!

Popatrzyła w kierunku, skąd głos dobiegał. Spodziewając się ujrzeć wesołą buzię chłopca ubawionego psotą, zacisnęła usta w surową linię. Jednak oczy, w które spojrzała, nie były oczami Noba. Brienne stanęła jak wryta, sparaliżowana trwogą i wstydem z powodu własnej głupoty.



Avenel krążył nerwowo po galerii. Każde jego ścięgno i mięsień były napięte i gotowe do walki. Od czasu do czasu zatrzymywał się koło



kominka, ale nawet żar ognia nie mógł pokonać zimna, które przejmowało go aż do kości.

– Zobacz, co zatrzymało lady Brienne! – warknął do stojącego w pobliżu lokaja; był to jeden ze starszych dżentelmenów, pełniących zazwyczaj wartę w hallu. Gdy służący zniknął, by wykonać polecenie, Avenel zaczął znów krążyć po galerii i bez pośpiechu zbliżył się do okna. Ujrzał tonący we mgle zielony park; ten widok dziwnie go uspokoił. Przysiadł na parapecie, czekając na przyście Brienne. I nagle kątem oka dostrzegł w dole sunącą po dziedzińcu postać w barchanowej pelerynie. Spod kaptura wymknął się lok ciemnorudych, niezrównanie pięknych włosów... Avenel wciągnął gwałtownie powietrze; poznał natychmiast, kto to taki!

– Psiakrew! Co to ma znaczyć?!

Gniew wywołany nierozważą Brienne szybko ustąpił miejsca trwodze o nią, gdy oprócz ukochanej ujrzał mężczyznę, w którego dziewczyna wpatrywała się z przerażeniem. W drzwiach stajni stał jakiś obcy, wysoki i zwalisty mężczyzna i wyraźnie na nią czekał. Uśmiechnął się paskudnie do Brienne. Avenel poczuł, że chętnie by go zabił za ten uśmiech! Miał się już odwrócić od okna i zbiec po schodach, by pomścić przestach Brienne, gdy nagle doznał szoku. Całe jego ciało zmieniło się w bryłę lodu.

– Cóż za uznanie dla mego dobrego gustu: widzę, że nie dokonałeś w Osterley żadnych zmian! – rozległ się przerażająco znany śmiech i Avenel stanął twarzą w twarz ze swym wrogiem.

– Jak się tu dostałeś? – wykrztusił Avenel przez zaciśnięte zęby.

– A widzisz! Okazało się, kto jest naprawdę panem Osterley Park! – uśmiechnął się Quentin Spense. – Oczywiście, bardzo mi ułatwiła sprawę rozległość parku. Nawet wojsko miałoby kłopoty z patrolowaniem całego terenu! No i kilka osób ze służby dochowało wierności prawdziwemu hrabiemu.

– Któż okazał się taki lojalny? – W oczach Avenela błysnęła mściwość.

– Oczywiście Fergie McInnis i jego zacna żona, kucharka. Zastanawiałem się, czy im nie polecić, żeby ci podsypali trucizny?... Ale to zbyt łagodna dla ciebie śmierć... No i sam chciałem popatrzeć, jak zdychasz.

– Gdzież jest teraz ta lojalna para?

– Chyba właśnie zamykają starego Cumberlanda i Rose, żeby nam nie przeszkadzali. Wolałbym, żeby nikt nie zakłócił naszego *tête-à-tête*. Po co niepokoić służbę?... Oczywiście wezwę ich natychmiast, gdy odzyskam tytuł i majątek.

– Nigdy mi ich nie wydrzesz. – Avenel skrzyżował silne ramiona na piersi.

– Cóż z księżę niezłomny! – Spence postąpił ku niemu. – Wyrzyj lepiej przez okno i przekonaj się, czy i w twojej zbroi nie ma jakichś szczelin!

– Zabiję cię, jeśli tkniesz Brienne choćby palcem!

Avenel mówił to ze śmiertelnym spokojem. W jego oczach płonęła nienawiść do stojącego przed nim człowieka.

– Moja córka jest doprawdy prześliczna, nie uważasz? – Quentin Spence zbliżył się do parapetu. Obserwował z satysfakcją rozgrywający się pod oknem dramat. Brienne poślizgnęła się na błocie i nie zdołała wyrwać z rąk trzymającego ją zbirą. Z tyłu obserwował tę scenę oparty o ścianę stajni Nob, związany jak zwierzę prowadzone na rzeź, z rękoma boleśnie unieruchomionymi w kroczu.

– Jesteś już trupem, Spence.

Wściekłość Avenela doszła do zenitu. Rzucił się na wroga. W tej chwili jednak dostał kolbą pistoletu w tył głowy; dwóch olbrzymów, przy których nawet Hans wyglądałby na karzełka, zaatakowało go znie-nacka. Od ciosu zamigotało mu w oczach. Potrząsnął jednak kilkakrotnie głową i udało mu się zadać obu zbirom parę potężnych ciosów.

– No, no! Przynajmniej widać, że „pan hrabia” mnie nie lekceważy! – przemknęło przez głowę Avenelowi. Jednakże walka z dwoma olbrzymami równocześnie okazała się ponad jego siły. Napastnicy popchnęli go na krzesło z poręczami i przytrzymali na nim siłą; zdzielili go jeszcze kilka razy po głowie kolbą.

– Ach, Slane, Slane!... Co ja mam z tobą zrobić?... Od lat tkwisz jak cierń w moim boku! A w dodatku chodzą słuchy, że moja córka z tobą sypia... Czyżbyś nią sobie zawrócił głowę? – zaśmiał się szatańsko podrabiany hrabia.

– Zostaw ją w spokoju, Spence! Jeśli jej się coś stanie...

Za ten wybuch Avenel został natychmiast ukarany kolejnym ciosem w głowę, ale Spence zaraz powstrzymał ruchem ręki swoich zbirów.

– Nie martw się o nią, Slane! Dałem moim ludziom wyraźne instrukcje: nie wolno im jej tknąć! – Odpowiedzią na tę uwagę Spence’a było mrozące krew w żyłach milczenie. – Masz słabość do mojej małej Brienne, co? – Znów odpowiedziało mu milczenie. – Sądziś, że ja nic do niej nie czuję? Zapewniam cię, że się mylisz! Od dawna jej nie widziałem... i muszę przyznać, że zaparło mi dech! Ale z góry wiedziałem, że tak będzie. Szkoda, że nie znałeś matki Brienne!... Pozwól, że cię zapytam: jak ci się na niej jeździło, kolego?

Pochylił się nad Avenelem, by lepiej usłyszeć jego słowa. Nie padło ani jedno.

– Ależ, mój chłopcze, musisz mieć przecież coś do powiedzenia! Nic cię nie zraziło? Nic nie przypadło ci szczególnie do smaku? No, gadajże, Slane!

– Rad jestem, żeś się zjawił – powiedział Avenel z lodowatym spokojem. – Skończę wreszcie z tobą.

– No, no! Tylko bez tych pogrózek! Chcę pogawędzić na całkiem inne tematy. Na przykład... co myślisz o tym?

Spense podszedł do wielkiej kanapy i rozłożył się wygodnie. Choć niemłody, był nadal bardzo zgrabny.

– Widzisz mnie dobrze, Slane? Chyba jeszcze niezły ze mnie ogier?... No cóż... wystarczy namówić Brienne, by mocno objęła mnie nóżkami i ruszymy galopem, co?

Wściekły pomruk wydobył się z gardła Avenela, który zerwał się na równe nogi. Dwóch osiłków zdołało go ogłuszyć i usadowić znowu na krześle, trwało to jednak dłuższą chwilę. Po tym incydencie Quentin Spense wydawał się nieco zdenerwowany.

– A więc to Brienne jest szczeliną w twojej zbroi!

– Brienne nie ma z tym wszystkim nic wspólnego! Każ swoim ludziom w stajni, żeby ją puścili!

– Mylisz się, Slane. Ona ma z tym bardzo wiele wspólnego! Co mi dasz za to, bym ją zostawił w spokoju?

– Dałbym ci wszystko co mam, byleś ją puścił! Ale wiem, co warte są twoje obietnice.

– Sprytny z ciebie chłopak! – Usta Spense’a wykrzywiły się w diabelskim uśmiechu. – Doprawdy szkoda, że muszę skończyć to, czego przed dwudziestu laty nie zrobiłem jak należy. – Wydobył ostrze z polewonej stali; załśniło w blasku ognia. Podszedł do Avenela i z szybkością błyskawicy ugodził go w policzek. Z niewielkiej ranki popłynęła obficie krew.

Avenel nawet się nie wzdrygnął. Patrzył wrogowi prosto w oczy. Emanowała z niego taka nienawiść, że Spense aż się cofnął.

– Nie spuszczaaj go z oka! – rozkazał jednemu z osiłków i zwracając się do Avenela, dodał: – Zajmę się teraz twoją lubą, kolego! Kiedy już mi będzie jadała z ręki, przyprowadzę ją tutaj. Czeka cię niezłe przedstawienie! A zaraz potem grób.

Roześmiał się i wziął płaszcz z ręki jednego ze swych sługusów. Avenel widział, jak obaj opuszczają galerię, przeskakując przez starego lokaja, leżącego bez przytomności na marmurowej posadzce hallu.

Kiedy obaj zniknęli, Avenel przyjrzał się uważnie spoconemu olbrzymowi, który miał go pilnować. Po kilku sekundach wybuchnął szalonym śmiechem.

– Zamknij mordę! – Zbir rzucił się na Avenela, by zmusić go do zamilknięcia. Wolno myślący osiłek nie zorientował się nawet, co go czeka. Avenel wyciągnął nóż z cholewy buta. Bez wysiłku, choć z wyraźnym obrzydzeniem poderżnął bydlakowi mięsiste gardło.



– Nob?... – spytała szeptem Brienne, gdy znalazła się w mrocznej izdebce nad stajnią. Był to ten sam pokój, w którym spędziła pierwszą noc po przybyciu Avenela do Osterley Park. – Nic ci się nie stało, Nob?... Gdzie jesteś? – Głos jej docierał do wszystkich ciemnych kątów izby. Brzmiał w nim strach. W ciemne, gotyckie okna zaczął stukać deszcz. Dziewczyna skuliła się z zimna; czekała aż chłopiec się odezwie.

– Bardzo przepraszam, pani Brienne... – wykrztusił wreszcie.

Zaraz potem usłyszała pociąganie nosem i dziecinne pochlipywanie. Omal sama się nie rozplakała.

– Cicho, Nob... – próbowała go pocieszyć.

Powolutku przesuwiała się w jego stronę na pośladkach, przeklinając swe skrepowane ręce i nogi; które były związane mocno szorstkim, konopnym sznurem. Niebawem poczuła obok siebie ciepło chudego chłopięcego ciała. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, przyjrzała się uważnie Nobowi. Przeraziło ją okrucieństwo, z jakim skrepowano chłopca. Na szyi miał linkę, której koniec biegł przez całe plecy aż do krocza. Tam związane obie ręce chłopca wyjątkowo skomplikowanym węzłem, który przy najmniejszym ruchu zacieśniał się. Nob cierpiał prawdziwe męki.

– Chciałem panią obronić... naprawdę próbowałem, pani Brienne!... Ale zobaczyłem Orillona... leżał na kamieniach, chyba go zabili... A potem ten człowiek... On zamordował mego tatę!...

Starał się powstrzymać łzy jak przystało na mężczyznę... ale na dłuższą metę mu się to nie udało.

– Avenel z pewnością coś wymyśli. Nie przejmuj się: opieka nad mną to jego obowiązek, nie twój! – Pocieszała chłopca jak mogła, ułożyła jego głowę na swej piersi. W ciszy mrocznego pokoiku zastanawiała się, jakim cudem jej ojciec zdołał się tu dostać mimo wszelkich środków ostrożności podjętych przez Avenela. Potem jednak przypomniała sobie, jak rozległy jest dworski park i jak dobrze jej ojciec zna ten teren.

A poza tym, cóż mogłoby powstrzymać człowieka tak pozbawionego skrupułów i tak zdeterminowanego jak on?...

– Boli... – Nob zadrżał i krępujące go sznury znów się zacisnęły.

– Wiem... – wykrztusiła Brienne zdławionym głosem. – Postaraj się odprężyć. Po prostu odprężyć. Myśl tylko o tym, jaki byłeś dzielny, o niczym więcej!

– Wcale nie byłem dzielny! – kajał się chłopiec.

– Co ty mówisz! Bardzo bym chciała, żeby moje dziecko było takie odważne jak ty!

– Naprawdę?

– Naprawdę. No, odpręż się! Jeśli ci się to uda, to może zdołam jakoś cię rozwiązać! Chciałabym, żebyś stąd uciekł. Musisz uciec jak najdalej, nie zatrzymywać się... nawet we wsi. Nie wiem, komu naprawdę można ufać.

– Uciekniemy razem! Ja też panią rozwiążę.

– Obawiam się, że nic z tego. Ty na pewno uciekniesz daleko. Mnie... ze względu na dziecko... nie wolno tak biegać.

– Nie mogę pani tu zostawić! Co by powiedział Slane?!

– Powiedziałby to samo co ja, Nob!

– Gdzie on teraz jest, jak pani myśli?

– Sama nie wiem...

Zmagając się z uczuciem beznadziejności, Brienne zabrała się do rozwiązywania więzów chłopca. Związano jej ręce z przodu, w nadgarstkach. Mogła bez trudu poruszać palcami; trudno jednak było jej się skulić.

Gdzie jest Avenel?... – zadawała sobie ciągle to pytanie. Czy jej ojciec zaskoczył go zniemacka? A może już... Nie, nie będzie o tym myśleć! Pragnęła tylko jednego: być razem z Avenelem. Muszą być razem z nim, ona i dziecko – bez względu na to, gdzie Avenel teraz jest!

## 31

**G**otowe! – wykrzyknęła Brienne z triumfem i skomplikowane więzy opadły z drobnego ciała Noba. Chłopiec żywo zabrał się do sznurów, które ją krępowały; kiedy jednak usłyszeli dochodzący z dołu śmiech, Brienne szepnęła pospiesznie: – Ktoś tu idzie. Uciekaj zaraz, już! Pod samym oknem jest półeczka... Musisz być bardzo ostrożny, nie spiesz

się zanadto. Uważaj na ten sterczący szpic, żebyś się na niego nie nadział... przedostań się do szczytowej ściany i stamtąd na ziemię!

– Nie zostawię pani samej! – szepnęła żarliwie Nob.

Słyszac na schodach zbliżające się kroki, Brienne zaklinała chłopca:

– Ktoś musi sprowadzić pomoc! Ja nie zdołam tego zrobić. Idźże już!

Gwałtownym ruchem głowy wskazała okno. Na zewnątrz był deszcz i kłębiąca się mgła. Niebo zalegały ciemne, ciężkie chmury.

Przez sekundę Nob stał niezdecydowany, w końcu jej argumenty go przekonały.

– Sprowadzę pomoc! Uratujemy panią na pewno, Brienne!

Uściskał ją z całej siły. Z zapartym tchem patrzyła, jak drobna postać przeciska się przez małe okienko i staje na półeczce. Dwukrotnie omal nie spadł, poślizgnąwszy się na mokrym dachu. W Brienne zamierało serce. Nob uciekł w samą porę: zdążyła zamknąć za nim okno, nim kroki dotarły do górnego podestu.

– Witaj, dziecinko! Tatusz przyszedł! – rozległ się za drzwiami donośny głos. Na jego dźwięk Brienne aż podskoczyła i zatrzęsa się.

– Rozpalę ogień, Spense.

Do izby weszło dwóch mężczyzn. Jeden, ciężki i niemrawy, przykucnął obok kominka i podpalił spiesznie leżące tam spleśniałe szczapy. Drugi – jej ojciec – stał bez ruchu w progu i wpatrywał się w nią. Odziany był w suto haftowane białe jedwabie, z którymi kontrastowała czerwona jak krew kamizelka.

– A gdzie chłopak? – spytał nagle tępy olbrzym.

– Tu go nie ma – odparła Brienne pewnym siebie tonem, choć wewnątrz trzęsa się ze strachu.

– Nieważne. Zostaw nas samych, Bilikins! – rozkazał Spense.

– Ale chłopiec... – wyjęczał niemal zwalisty wielkolud.

– Wynoś się!

Olbrzym z miną zbitego kundla wykonał rozkaz swego pana.

– Ależ z ciebie ślicznotka, Brienne! Daj buzi tatusiowi. – Spense podniósł dziewczynę z podłogi, jakby była lalką i położył ją na sienniku. Brienne próbowała się opierać, ale trzymał ją mocno. Zaparło jej dech, gdy przeciął ostrym nożem pęta na jej nogach.

– Gdzie Avenel? Gdzie on jest?... – Nie była pewna, czy zdoła znieść odpowiedź.

– Mam cię uspokoić, że już po nim?

Zamachnęła się związanymi rękami, próbując go odepchnąć.

– Nie!... – szepnęła z przerażeniem.

– Twój kochaś też za tobą wzdycha, złotko! Może damy mu powód do zazdrości, co? – Spense chciał ją pocałować, ale odepchnęła go kopniakiem, krzywiąc się ze wstrętu.

– Nie! – wrzasnęła.

– Zawsze miałem na ciebie chrapkę, nawet kiedy byłaś dzieckiem. Rozkoszne stworzonko! – Znowu próbował ją pocałować, ale kopnęła go ponownie. Tym razem trafiła w pachwinę, więc aż odskoczył.

– Wolisz, żeby bolało? – Przyciągnął ją brutalnie do siebie.

– Puść mnie! Puszczaj! – szamotała się daremnie.

– Puszczę cię, puszczę. Tylko przedtem pobaraszkuj ze mną tak jak ze Slane'em.

Przyciągnął wyrywającą się i wierzgającą dziewczynę po twardej podłodze pod sam kominek. Ogień zaczął już przygasać, ale w pobliżu paleniska było jeszcze gorąco. Samozwańczy hrabia sięgnął po wypalone do połowy polano i nieomal przytknął je do twarzy Brienne.

– Uważaj, dziewczyno! Wolałbym nie uszkodzić tej ślicznej buźki!

– Parzy!... – Czują na policzku żar ognia.

– A będziesz grzeczna?... Kto wie, może nawet oszczędzę twego kochasia... tego kastrata!

Odrzucił do tyłu siwą głowę i ryknął śmiechem.

– To nie żaden kastrat! – ujęła się za Avenelem, zapomniawszy o strachu.

– Czyżby?... Masz na to jakiś dowód?

Znów się roześmiał, ale tym razem Brienne nie zdołała ukryć triumfalnego spojrzenia. Ujrawszy go, Spense spowaźniał. Przyjrzał się dziewczynie uważnie, jakby chciał upewnić się, czy nie jest w ciąży. Po jego morderczym spojrzeniu Brienne poznała, że odgadł prawdę.

– Ciężarna, co? Moja mała kurewka postarała się o bękarta! – Zmienił ton i przemówił miękkiem szeptem, przysuwając płonąca szczapę jeszcze bliżej do jej twarzy. – Nie zrobię krzywdy ani tobie, ani dziecku. Bądź grzeczna, a nie stanie ci się nic złego!

– Proszę... nie!... – jęknęła, gdy brutalnie uniósł jej głowę do góry.

– No, pokochaj mnie! Możesz gryźć, jeśli chcesz. – Zaczął rozpinąć spodnie.

– Nie, nie... – płakała. Strach przytłaczał ją, czuła w ustach posmak trwogi.

– No, chodź, kochaneczko! Robiłaś to z nim, możesz i ze mną!

– O Boże, nie! – wrzasnęła, cofając instynktownie głowę przed płonącym polanem. Nim jednak dotknęło jej twarzy, drzwi za nimi rozwarły się z trzaskiem.



– Strzeż się, Spense!

Na progu stał Avenel. Widząc, że Brienne nic się nie stało, że wywrwała się z uścisku wroga, zaczął się śmiać. Nie był to jednak zwykły, zdrowy śmiech. Avenel wyglądał straszliwie w swej białej koszuli zbroczonej cudzą krwią i w spodniach z płowego zamszu, również zakrwawionych.

– Gdzież te twoje rzezimieszki? Bardzo by ci się teraz przydały! No, no!

Avenel wkroczył do pokoju, wyraźnie unikając zatrwożonych oczu Brienne. Przyjrzawszy mu się, poczuła ogromną ulgę: był zdrow i cały, choć niewątpliwie stoczył przed chwilą walkę.

– Zaraz się z tobą rozprawię, Slane!... Bilikins! Bilikins! – ryknął Spense, zapinając spodnie.

– Twój Bilikins i ten drugi kretyn leżą na dole z poderżniętymi gardłami – uśmiechnął się Avenel. – Zostałeś sam, Spense. Sam na sam z wrogiem!

– Nie zbliżaj się, bo zabiję Brienne! – Spense chwycił dziewczynę za gardło i zaciągnął w najdalszy kąt izby. W pokoiku nad stajnią było coraz ciemniej: ogień całkiem zgasł, za oknem padał ulewny deszcz. W mroku Brienne mogła dostrzec sylwetkę Avenela, ale jego twarz była niewidoczna.

– Ostrzegam: nie podchodź! Trzymaj się z daleka! – krzyknął hrabia do zbliżającego się mężczyzny.

Avenel jednak nie zamierzał trzymać się z daleka. Był coraz bliżej, aż wreszcie, w ostatnim odruchu samozachowawczym, Spense popchnął ku niemu Brienne, a sam rzucił się ku drzwiom.

Avenel ostrożnie złożył dziewczynę na sienniku i skoczył za nim.

Wciągnął swego wroga z powrotem do pokoju i zaczęła się walka na śmierć i życie. Brienne spoglądała bezradnie na zwartych ze sobą mężczyzn, zataczających się od ściany do ściany. Nie rozdzieliłaby ich przecież swymi nadal skrepowanymi rękami! W pewnym momencie Avenel powalił hrabiego na kolana i zaczął okładać kopniakami jego głowę; Spense jednak zerwał się i znowu obaj miotali się po izbie.

– Zabiję cię! Nie za mego ojca, nie za brata! Za to, że ośmieliłeś się tknąć Brienne!

– Nie zrobiłbym jej nic złego... to przecież moja córka – wystękał hrabia, próbując ratować skórę.

– Łżesz! Ona nie może być twoją córką! Przyznaj to wreszcie! Powiedz Brienne, kim był jej prawdziwy ojciec!

– To moja córka! Przysięgam, że moja!

– A ja przysięgam, że poderżnę ci gardło, jeśli natychmiast nie powiesz prawdy! – warknął Avenel i z całej siły uderzył go w szczękę. – Gadaj! Kto wie... może daruję ci życie?...

– Jej matka zgiła się z jakimś chłystkiem za moimi plecami... Odkryłem to... i drogo za to zapłaciła, podła dziwka! Ladacznica!

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie Brienne ze swego siennika. – Kochała go po prostu! Jak mogłaby kochać takiego potwora jak ty?!

– Jawnogrzesznica!... Ten jej arystokratyczny kochaś zdechł na suchoty, a ona nigdy się po tym nie pozbierała. – Spense popatrzył na Brienne. – A córeczka nie lepsza od mamuni! Dziwka z dziwki!

Z okrzykiem wściekłości Avenel rzucił się na wroga i obaj mężczyźni znów zwarli się w walce. Tym razem Brienne jeszcze trudniej było zorientować się, kto bierze górę. Byli podobnej budowy i w mrocznym pomieszczeniu prawie ich nie rozróżniała. Z hukiem przewracali sprzęty, walili się na podłogę, zrywali na nogi, przypierali się nawzajem do ściany.

Wreszcie nastąpił punkt kulminacyjny: Brienne usłyszała przeraźliwy krzyk i brzęk tłuczonego szkła. Potem z okna doszło okropne uderzenie... odczuła wstrząs całym swym ciałem. Instynktownie zerwała się, wyminęła skuloną postać, leżącą twarzą do podłogi, i podbiegła do wybitego okna. Musiała zobaczyć, co się stało! Wychyliła się i w strugach deszczu, w kłębiącej się mgłę poniżej okna ujrzała ciało wbite na ostry występ przypominający średniowieczną wieżyczkę. Serce Brienne zamarło z przerażenia: poznała czerwoną od krwi koszulę Avenela.

Zaczęła krzyczeć, nie wierząc własnym oczom. Czepiała się ostrych krawędzi potłuczonych szyb, kalecząc sobie dłonie. Stojący za nią mężczyzna daremnie usiłował odciągnąć ją od okna.

– Zabierz mnie ze sobą, Avenelu! – błagała rozpaczliwie, wpatrzona w przygożdżone do dachu ciało. – Kocham cię! Zabierz mnie ze sobą!

Nie słyszała i nie rozumiała kojących słów, szeptanych jej do ucha. Widziała tylko jedno: mężczyzna w czerwonej kamizelce osaczał ją! Był coraz bliżej... bliżej... bliżej!... Brienne nie mogła tego znieść. Umysł odmówił jej posłuszeństwa i zapadła w czarną otchłań.

## 32

Gdy Brienne otworzyła znów oczy, cały świat był pełen słońca. Rozejrzała się po żółtej sypialni, w której leżała; czuła się dziwnie obco

w tym jasnym, pięknym otoczeniu. Przyglądała się wszystkiemu uważnie, jakby chcąc wyryć w pamięci każdy szczegół. Wszystko wydawało się jej równie ważne (lub równie pozbawione znaczenia) – od płonącego wesoła na kominku ognia do pulchnych, złotych amorków, zdobiących oparcie fotela.

Avenel!... Zamknęła oczy, a ból przeszył ją na wylot. Leżała na boku, skulona, nie dostrzegając słonecznego światła, które wpadało przez okno i tworzyło złote plamy na pościeli. Zapłakała cicho, nie chcąc planować przyszłości ani zastanawiać się nad przeszłością. Obchodził ją tylko Avenel i jego dziecko, które miało się urodzić w grudniu. Dotknęła brzucha i znalazła pociechę w jego wypukłości. Mimo to nadal płakała z gorczy i żalu.

– Płaczymy?... W taki cudowny dzień?

Głos docierał do niej z jakiejś ogromnej dali. Złękła się, że to Quentin Spense przybywa, by dokonać ostatecznej zemsty. Rozszlochała się jeszcze bardziej.

– Odejdź! Proszę, idź sobie! – wyszeptała z rozpaczą, zaciskając powieki.

– Co za niewdzięcznica! Omal mi przez ciebie nie ucieli głowy, a ty co?!

Brienne poczuła, że materac się ugina: ktoś siadł bez skrepowania na brzegu łóżka.

– Czy to możliwe?... Boże wszechmogący! – wykrzyknęła Brienne i cofnęła się, chwytając za kotary łóżka. Obok niej siedział Avenel! Wydawał się bardzo zmęczony, miał na skroni wielki, paskudny siniak... Ale to naprawdę był on! Avenel!

– Tylko mi znowu nie mdlej, kwiatuszku! Dziecko też ma chyba coś do powiedzenia, a jemu się to wyraźnie nie spodobało! – Uśmiechnął się i wyciągnął do niej ramiona. – No, kochanie, nie patrz tak na mnie! Słowo honoru, że to nie ja wypadłem z okna!

– Ale ja widziałam... Widziałam na własne oczy! – Brienne starała się opanować.

– Było ciemno, deszcz i mgła... Nie widziałas znów tak wiele. No, dotknij mnie... naprawdę jestem żywy!

– Przecież ja tego chcę... – szepnęła – ale się boję. – Wydarzyło się tyle strasznych rzeczy... to było jak zły sen. Kiedy wyrzesałam z okna stajni, pomyślałam: sprawdziły się moje najgorsze obawy!...

– No właśnie, malutka! Stały ci po prostu przed oczami twoje obawy, nic więcej. Byłaś półprzytomna, więc ujrzawszy ciało Spense'a pomyślałaś, że to ja. Ale dotknij mnie, upewnij się, że żyję! To on zginął, nie ja! – Wyciągnął ku niej ramie.

Ostrożnie dotknęła mocnej, opalanej ręki Avenela i natychmiast znalazła się w jego uścisku. Tak, to był on: jego zapach, jego związane na karku włosy, dotyk jego natarczywych warg przekonały Brienne, że jej ukochany naprawdę żyje. Kiedy w końcu wypuścił ją z objęć, łzy radości spływały po policzkach Brienne, a w jego szarych oczach jaśniało szczęście.

– Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę...

– I to ci się wydawało takie straszne? Odzyskałabyś upragnioną wolność!

– Nie mów takich rzeczy! – Objęła go i przytuliła do siebie.

– Kocham cię, malutka... Bardzo często to powtarzam... może ci się znudziło?

– To mi się nigdy nie znudzi! – Przytknęła usta do jego ust i całowała go zachłannie. Liczyło się tylko jedno: Avenel był przy niej!

– Gdzie jest Nob? – spytała, gdy po długim, długim czasie opadła na poduszki. – Udało mi się go rozwiązać i zdołał się wymknąć... Jak sobie radził potem?

– Doskonale! Widziałem jak zsuwa się ze szczytu dachu, kiedy biegłem wyrwać cię z rąk Spense'a. Obaj, Nob i Orillon, są teraz w nie najlepszej formie, ale mogło być znacznie gorzej! – Na samą myśl o tym, co być mogło, oczy Avenela zwięzły się.

– Widzę, że nie tylko Orillon, ale i jego pan nie jest dziś w najlepszej formie. – Brienne dotknęła ostrożnie siniaka na jego skroni. – Jak to się właściwie zaczęło?... Czy możesz mi teraz opowiedzieć?

– Opowiem ci wszystko. Musisz się przyzwyczaić do swego tytułu.

– Nie mam żadnego tytułu. W oczach prawa nadal jestem córką człowieka z gminu, oszusta, zbrodniarza, którego nienawidziłam... Ale wiem już, że w rzeczywistości jestem nieślubnym dzieckiem jakiegoś arystokraty... Nigdy nie dowiem się, kto to był... Ale powiedz mi, Avenelu: jak Spense zdołał czegoś takiego dokonać?... Odebrał twemu ojcu nazwisko i tytuł... i przez tyle lat nikt tego nie wykrył?!

– Widzisz... prawdziwy hrabia, mój ojciec, od dawna przebywał poza Anglią. Mówiąc ściśle: w Ameryce.

– Wyrzekł się swego tytułu i pozycji?... – spytała z niedowierzaniem.

– Tak. Opuścił Osterley Park i wyruszył do kolonii w poszukiwaniu wielkiej przygody. Zamierzał wrócić za rok czy dwa, ale poznał tam moją matkę. Urodziła mu dwóch synów... i nie miał serca zabierać jej z ojczyzny, którą tak kochała. Kiedy mama zmarła na febrę, miałem trzynaście lat. Mój brat Christopher właśnie się ożenił; ojciec uznał, że powi-

nien wrócić z nami do Anglii, aby zapewnić synom należne im dziedzictwo. Niestety, ojciec zmarł na samym początku podróży.

– Ale wydarzyło się to już na morzu?...

– Staliśmy w basenie portowym w Annapolis. Kapitanem naszego statku, „Rosalie”, był niejaki Quentin Spense. Załoga składała się z rozmaitych rzezimieszków, których trzymał żelazną ręką. Okrutny kaprys losu sprawił, że ten kapitan był zdumiewająco podobny do naszego ojca. Ta sama budowa, ten sam wiek, ten sam kolor włosów. Istniały oczywiście różnice, ale mój ojciec wyjechał z Anglii przed dwudziestu laty. Wszyscy jego bliscy albo zmarli, albo zestarzeni się i zniedołężnieli. No i był jeszcze, rzecz jasna, książę Degarre.

– To wszystko jego wina! Cóż to za żalosna karykatura! – wtrąciła zapalczywie Brienne.

– A ty skąd o tym wiesz, kochanie? – pochwycił jej drobną rączkę; gorący uścisk uradował Brienne.

– Udałam się do niego, gdy byłam w Bath. Miałam nadzieję, że zrobi coś w sprawie hrabiego... to znaczy Quentina Spense’a. Ale był po prostu żalosny! To z jego winy to okropne oszustwo nie wyszło na jaw przez te wszystkie lata!

– Tak, los nie uśmiechał się do Morrowów... aż do tej chwili. – Dotknął policzka ukochanej.

– Ale co teraz będzie, Avenelu? – Brienne wydawała się zaniepokojona. – Wszyscy uważali Spense’a za prawdziwego hrabiego... Jak im udowodnisz, że to nieprawda?

– Nie obawiaj się! Angielska arystokracja już mnie życzliwie przyjęła ze względu na moją fortunę; kiedy się dowiedzą, że jestem jednym z nich, będą mnie nosić na rękach! A gdyby mimo to istniały jakieś wątpliwości, rodowe klejnoty Laborde’ów z pewnością je rozwieją!

– Te litery na moim grzebieniu, K.E. ... Czy to jest właśnie znak rozpoznawczy tych klejnotów?

– Te klejnoty zostały подарowane moim przodkom przez królową Elżbietę, gdy schroniła się w Osterley Park, uciekając przed czarną śmiercią – zarazą, która pustoszyła wówczas Londyn. Naszyjnik z ametystów i brylantów oraz ozdobiony nimi grzebyk stanowiły część jej biżuterii; zamówiła te drobiazgi niedługo przed podróżą.

– Ale jak zdobył je mój oj... Spense?

– Nie zdobył wszystkich! Brat, umierając, kazał mi ratować klejnoty Laborde’ów. Nim wyskoczyłem z Cumberlandem za burzę, zdołałem schwycić naszyjnik, ale grzebień został na „Rosalie”. Spense dał go twojej matce w prezencie ślubnym; potwierdził tym swoje rzekome prawa

do rodowego tytułu i majątku. Przypuszczam jednak, że kiedy miałaś cztery czy pięć lat, twoja matka odkryła oszustwo. Zabrała cię, zabrała dowód rzeczowy: grzebień i uciekła od męża.

– Więc odzyskasz tytuł, który ci się prawnie należy! Ogromnie się cieszę ze względu na cię, Avenelu!... Chciałabym cofnąć wszystkie moje niemądre słowa, kiedy nalegałam, byś tytułował mnie „lady Brienne”! Jakaż ja byłam głupia...

Policzki jej poczerwieniały.

– Spense nie był twoim ojcem, nie pochodzisz z gminu – odparł stanowczo Avenel.

– Jest pewna miniatura... ale poza tym nie mam żadnych dowodów...

– Miniatura?

– Tak. – Brienne sięgnęła do szufladki nocnego stolika. Wzięła do rąk bezcenną płytkę z kości słoniowej, popatrzyła ze smutkiem na portrecik i podała miniaturę Avenelowi. Przyjrzał się uważnie twarzy młodego mężczyzny.

– To z pewnością twój ojciec!

Odłożył miniaturę na łóżko. Młodzieniec z portretu spoglądał na nich inteligentnymi, zielonymi oczyma. Ubrany był w skromną lnianą koszulę i ciemnozielony surdut. Nie miał peruki ani pudru na włosach. Na ciemnorudych kędziorach połyskiwały karmazynowe światełka.

– Chyba tak... Ale nigdy nie będę miała pewności. Wszystkie trzy osoby, które znały prawdę, już nie żyją. – Brienne niespokojnie gryzła wargę. – Myśl o pokrewieństwie z tym potworem napełniała mnie przerażeniem... Teraz jednak nie mam ani ojca, ani nazwiska... Czy odtąd będą mnie nazywać „Brienne Spense”?...

– Sądzę, że „Brienne Morrow” pasuje do cię znacznie lepiej – powiedział miękko Avenel i czekał na jej reakcję.

Brienne milczała przez chwilę.

– Czyżbyś prosił mnie o rękę, Avenelu?... Naprawdę uważasz...

– Uważam, że powinnaś teraz odpocząć. Ale nie będziesz czekać na tytuł dłużej niż kilka dni. Co powiesz na ślub za tydzień, pani hrabino?

– Powiem, że to będzie najdłuższy tydzień w moim życiu! – roześmiała się Brienne i uściskała go mocno; oczy jej lśniły szczęściem i miłością.

## Epilog

*Tamtych dni złoty blask  
zgasił czas. Rozwiał czas  
barwne cienie...  
Pragnę znów w zieleń łąk,  
wśród słów czułych, pobiec z nią,  
z mym marzeniem...  
...Aż spacerów mając dosyć  
spoczęliśmy dla rozkoszy  
w słodkiej ciszy...  
Usta same się złączyły  
a ramiona przytuliły  
skarb najmiłszy...*

Wiersz przypisywany Szekspirowi

W wielkiej galerii panowała cisza, jeśli nie liczyć brzęku sewskiej porcelany i poszczękiwania srebrnych sztuczków. Pani Whitsome nakrywała właśnie do herbaty. Każdy jej ruch śledziła para pięknych, zadumanych oczu damy z obrazu nad kominkiem. Obraz ten wisiał dokładnie tam, gdzie przez dziesięć minionych lat portret Quentina Spense'a. Namalowana przez mistrza Gainsborough dziewczyna wyglądała po królewsku w sukni z hiacyntowego atłasu i uśmiechała się tajemniczym uśmiechem, mówiącym o utraconej i odnalezionej na nowo miłości.

Z parku dolatywał śmiech; w osypanej kwieciami wiśni świątyni Pana było bardzo wesoło. W jej wnętrzu Brienne siedziała na brokatowej poduszce. Skończyła właśnie karmić lorda Williama Cumberlanda Morrowa i teraz uśpione dziecko spoczywało na jej kolanach. Brienne zamierzała właśnie zapiąć stanik sukni, lecz małżonek jej w tym przeszkodził.

– Widzę, że nie dajesz memu synowi kleiku! – powiedział z udanym oburzeniem.

– Nie wychowałam się na kleiku... i założę się, że ty też nie! – odparła z uśmiechem.



– O, potworów z końca świata nie karmi się kleikiem! Ale dlaczego odmawiasz tych frykasów jemu?... – Poglaskał delikatną główkę dziecka.

– Uważasz, że nie jestem dobrą matką?! – Przytknęła rękę do piersi w żartobliwym proteście.

– Żadnych kleików, żadnych powijaków!... Ten dzieciak ma stanowczo za dużo swobody! Już teraz rozsadza go energia!

– Owszem. Wrodził się w tatusia: żwawy, rozpuszczony, wygodnicki...

– Ach, żeby tylko to!...

Avenel przeniósł ciemnowłosego chłopczyka na sąsiednią poduszkę, sam zaś zajął miejsce obok żony i spadł na jej usta zaborczym pocałunkiem.

Brienne ze śmiechem próbowała go odepchnąć, ale bez skutku. Zupełnie jak nasz dzidziuś! – pomyślała. Przymknęła oczy i wróciła myślą do dnia, w którym urodził się ich syn.

Avenel i Cumberland siedzieli na schodach niczym żebracy. Z racji swojej płci znaleźli się poza zasięgiem wielkich wydarzeń. Przez cały ranek docierały do nich krzyki Brienne. Po południu ucichły i rozległ się donośny wrzask noworodka.

– Czy to syn?.. – spytała szeptem Brienne, wyczerpana porodem.

– Syn, syn, pani hrabino! – zawołały ostatkiem tchu Vivie i pani Whatsome, a Rose wzięła dziecko na ręce.

– Ładny?... – uśmiechnęła się słabo Brienne.

W tym momencie do pokoju wpadł błady jak ściana Avenel. Podbiegł do łóżka jakby musiał upewnić się, że żona żyje.

– Mamy syna, Avenelu... – oznajmiła Brienne, ciągnąc go za kamizelkę. – Zobacz, czy jest podobny do ciebie!

– Cicho, cicho... – Poczwała na wargach jego pocałunek, pełen miłości i strachu.

– Musimy przesłać łóżko, kochanie, bo się jeszcze przeziębisz! – Pani Whatsome podbiegła do położnicy. Avenel podniósł ją ostrożnie. Wykapano ją i zmieniono pościel. Nogi Brienne drżały z osłabienia, więc natychmiast wróciła do łóżka. Jednak twardo obstawała przy swoim:

– Avenelu, obejrzyj wreszcie swego syna! I powiedz mi, czy ci się podoba!

Teraz i Cumberlandowi pozwolono wejść do pokoju. Podeszedł do dziecka i aż dech mu zapało ze zdumienia.

– Co się stało? Taki brzydki?! – wykrzyknęła zaniepokojona Brienne.

– Podejdz no tu, Avenelu! Stanowczo musisz to zobaczyć! – Cumberland potrząsnął głową. – Nie przypuszczałem, że dożyję tego dnia...

Avenel wstał i podeszedł do kołyski ustawionej w pobliżu etruskiego pokoju. Kołyska była naprawdę niezwykle ozdobna, leżące w niej dziecko tonęło w fałdach błękitnego jedwabiu.

– Panie hrabio, oto pański syn! – oznajmiła uroczyście Rose.

Avenel zajął do środka i zamrugał oczami, próbując ukryć kłębiące się w nim uczucia.

– Co się stało, mężu? Czy dziecko ma jakąś wadę? – krzyknęła rozpaczliwie ze swego łóżka Brienne, nie mogąc ukryć zawodu.

– Owszem, jedną: kubek w kubek podobny do taty! Oj, będą z nim kłopoty!... – roześmiał się Cumberland i poklepał Avenela po plecach.

– Więc ci się podoba?... – Wyczerpana Brienne osunęła się na poduszki.

– Pewnie że mi się podoba, kwiatuszku!

Po tych słowach Brienne natychmiast usnęła – tak bardzo potrzebowała wypoczynku. Śniły jej się same miłe rzeczy: kołyski wyścielone błękitnym jedwabiem i dziecięcy śmiech. Nie zdążyła nawet obejrzeć synka, którego wydała na świat. Wiedziała jednak wcześniej, jak będzie wyglądał! Zgodnie z jej przewidywaniami dziecko leżące w wytwornej kołysce miało włoski czarne jak węgiel i spoglądało na świat przejrzystymi jak kryształ, szaroniebieskimi oczami.

Także i teraz, w świątyni Pana, otwierając oczy, od razu poszukała wzrokiem śpiącego na drugiej poduszce synka.

– Moja pani hrabino! Stanowczo przesadzasz z tymi macierzyńskimi cnotami! – burknął Avenel, który poczuł się osamotniony.

– Kiedy on taki słodki! Jakże go nie rozpieszczać... przecież to nasz jedyny syn! – Brienne powróciła w objęcia męża.

– Moim zdaniem przydałaby mu się konkurencja! – Wymownym ruchem rozchylił odpięty stanik żony i dotknął jej piersi. Ucałował wyłaniający się z osłony wzgórek i uśmiechnął od ucha do ucha. Minęło sześć miesięcy od narodzin ich syna. Od tamtej pory Avenel traktował żonę jak świętą, a Brienne nie miała nic przeciwko temu. Dzisiejsza pieśczoć uświadomiła jej jednak, że ma już dość celibatu.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy zafundować mu siostrzyczkę?... Przesunęła palcem po udzie męża.

Ręka Avenela wślizgnęła się pod jej halkę; odpowiedział na pytanie żony, nie marnując słów. Wśród ciepłych powiewów lata, w zapachu kwitnących pomarańczy wyjaśnił jej dokładnie, co miał na myśli. Szczęśliwy śmiech Brienne rozdzwonił się po ogrodzie, docierając do najdalszych zakątków parku. Była absolutnie tego samego zdania, co jej mąż!